ISSN 1509-6726

Pismo Akademii Pedagogicznej w Krakowie

NR 1/2005 (21)

KONSPEKT

- **Gość Konspektu**
  Walery Pisarek
  rozmowa o etyce dziennikarstwa
- **Reportaż**
  - Bolesław Faron
    o wizycie w sztokholmskiej Bibliotece Nobla
  - Ukraińska rewolucja
- **Dyskusja**
  Jak kształcić dziennikarzy?
- **Konferencje**
  Henryk W. Żaliński
  o najważniejszych wydarzeniach z 17 Powszechnego Zjazdu Historyków
- Wiersze Andrzeja Warzechy
- **Galeria Konspektu**
  Barbara Zambrzycka-Śliwa
- **Z życia Uczelni**
  Jarosław Rafa
  o rewolucji w rekrutacji

ZIMA 2004/2005

www.wsp.krakow.pl/konspekt

Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej

ul. Studencka 5
31-116 Kraków
tel./fax (012) 430 09 83
e-mail: wydawnictwo@wsp.krakow.pl

Poleca

bogaty wybór skryptów,
podręczników i innych pomocy
dydaktycznych dla studentów
poradniki i materiały metodyczne
dla nauczycieli i wychowawców
monografie naukowe
ze wszystkich dziedzin wiedzy

Do nabycia

w księgarni Academicus
(gmach Akademii Pedagogicznej)
w wybranych księgarniach naukowych
na terenie całego kraju
w sprzedaży wysyłkowej

Zespół doświadczonych autorów i redaktorów to gwarancja wysokiego poziomu naszych publikacji

Od redakcji

Niniejszy, dwudziesty pierwszy numer „Konspektu" jest wyjątkowy. Opracował go nowy zespół redakcyjny, który zamierza zachować dotychczasowy, społeczno-kulturalny profil czasopisma, dążąc jednocześnie do rozszerzenia jego tematyki o dziedziny wiedzy dotąd nie uwzględniane. W piśmie znalazły się więc nowe działy, całość zaś ujęto w oryginalną szatę graficzną, która, mamy nadzieję, spodoba się naszym Czytelnikom.

Zawartość numeru określić można mianem „mozaiki tematycznej". Wiodącym zagadnieniem jest w nim dziennikarstwo. Gość „Konspektu", prof. Walery Pisarek, opowiada o etycznych aspektach tego zawodu w kontekście ostatnich wydarzeń społeczno-politycznych w kraju i na świecie. Problemy kształcenia dziennikarzy poruszone zostały w dyskusji przeprowadzonej w 2003 r. z okazji 20-lecia Studium Dziennikarskiego AP. Wzięli w niej udział m.in.: Ryszard Kapuściński, Janusz Adamowski, Tomasz Globan-Klas i inni przedstawiciele świata mediów. Zapis ich wypowiedzi redakcja zawdzięcza uprzejmości Edwarda Chudzińskiego. O sytuacji na lokalnym rynku prasowym opowiada Jan Pieszczachowicz, redaktor nowego czasopisma społeczno-kulturalnego „Kraków". Nie zabrakło również historycznego ujęcia dziennikarstwa; Alfred Toczek przypomina o zwalczających się w okresie międzywojennym dziennikach krakowskich.

Uwadze Czytelników polecamy interesujące reportaże: o pobycie prof. Bolesława Farona w Bibliotece Nobla i o pomarańczowej rewolucji na Ukrainie prof. Kazimierza Karolczaka. Międzynarodowe sympozjum we Francji relacjonuje prof. Henryk W. Żaliński.

Miłośnikom kina proponujemy artykuł Anny Ogonowskiej o twórczości Larsa von Triera, zaś melomanom i fanom uczelnianego chóru „Educatus" artykuł o jego nowej płycie.

Oprócz tekstów o treści humanistycznej Czytelnicy znajdą na łamach „Konspektu" artykuł Rafała Michalskiego poruszający problemy współczesnej fizyki teoretycznej. Kulisy sukcesu ostatniej rekrutacji na studia – po raz pierwszy prowadzonej drogą elektroniczną – opisał Jarosław Rafa.

W numerze nie zabrakło także reprezentantów sztuki. Przedstawiamy wiersze Andrzeja Warzechy, twórczość Barbary Zambrzyckiej-Śliwy oraz debiuty literackie i artystyczne studentów naszej Uczelni. Z powodu przerwy w ukazywaniu się pisma zamieściliśmy w nim również teksty opisujące wydarzenia, które miały miejsce na początku bieżącego roku akademickiego, m.in. sprawozdania ze zjazdów i konferencji, które odbyły się w drugim półroczu 2004 r.

Dziękujemy naszym Autorom za współpracę, natomiast Czytelników zapraszamy do lektury nowego „Konspektu", wierząc, iż każdy znajdzie w nim coś dla siebie.

1/2005 (21)

AKADEMIA PEDAGOGICZNA im. KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

Pismo Akademii Pedagogicznej
im. Komisji Edukacji Narodowej
http://www.ap.krakow.pl/konspekt
30-084 Kraków
ul. Podchorążych 2, pok. 7p
tel. (0-12) 662 61 28
fax: (0-12) 635 88 85
e-mail: konspekt@ap.krakow.pl

RADA PROGRAMOWA
prof. Henryk W. Zaliński
— przewodniczący
prof. Tadeusz Budrewicz
prof. Jacek Chrobaczyński
dr Edward Chudziński
prof. Zbigniew Długosz
dr Czesław Michalski
prof. Ryszard Pado
prof. Helena Siwek
prof. Stanisław Sobolewski

SKŁAD REDAKCJI
Stanisław Skórka
(redaktor naczelny)
Michał Grzeszczuk
Marcin Kania
Piotr Krywak
Bortosz Ochoński

WSPÓŁPRACA
Marek Karwala, Czesław Michalski,
Janusz Morbitzer, Romuald
Oramus, Mirosław Oset,
Barbara Sykulska, Marta Widurska

ZDJĘCIA
Marian Pasternak
Mieczysław Więcławek

WERSJA ONLINE
Stanisław Skórka

WYDAWCA
Akademia Pedagogiczna im. KEN
w Krakowie, ul. Podchorążych 2

DRUK
Wydawnictwo Naukowe AP
31-116 Kraków, ul. Studencka 5
tel./fax (0-12) 430 09 83
e-mail: redakcja@wydawnictwoap.pl
http://www.wydawnictwoap.pl

SKŁAD
Krzysztof Porosło

PROJEKT OKŁADKI
Grzegorz Karwala

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmian redakcyjnych. Propozycje reklam i ogłoszeń prosimy przekazywać na adres redakcji

17 Gość Konspektu

Dzisiaj na duszę dziennikarza czyhają pokusy sprzeniewierzenia się dziennikarskiemu sumieniu przez jednoczesną pracę w redakcji i jawne lub niejawne wykonywanie zleceń na rzecz reklamy lub marketingu – mówi profesor **Walery Pisarek**

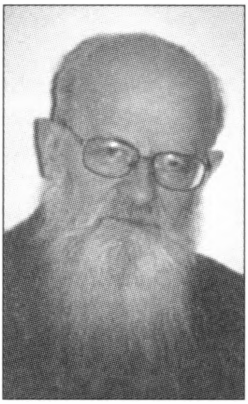

33 Rozmowy Konspektu

Prasa polska jest nastawiona raczej na bessę, niż na hossę w stabilizowaniu życia społecznego. Niemało redakcji wyznaje zasadę: „im gorzej, tym lepiej, im krwawiej, tym weselej, im głupiej, tym mądrzej".
O nowym czasopiśmie społeczno-kulturalnym i obecnej sytuacji na rynku prasy w Krakowie opowiada **Jan Pieszczachowicz**

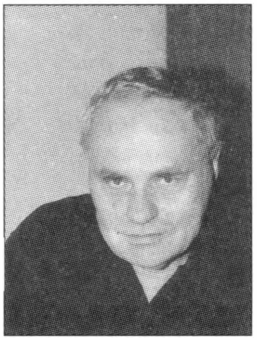

38 Historia prasy

O zwalczających się dziennikach krakowskich w dwudziestoleciu międzywojennym pisze **Alfred Toczek**

23 Dyskusja

Cały program szkolenia dziennikarzy powinien być oparty na rozwijaniu tego, co jest kulturą, etyką, cywilizacją – twierdzi **Ryszard Kapuściński**, jeden z uczestników dyskusji pt. „Jak kształcić dziennikarzy?"

105 **Życie Uczelni**
O rewolucji w systemie rekrutacji
pisze **Jarosław Rafa**

54 **Reportaż**
Alfred Jansen napisał 49-stronicową charakterystykę twórczości autorki Nad Niemnem, w której stwierdził m.in.: „Orzeszkowa jest niewątpliwie kobietą szlachetną, o gorącym sercu i wielkiej odwadze, kieruje się jednak bardziej sercem niż rozumem".
O archiwaliach z Biblioteki Noblowskiej opowiada profesor **Bolesław Faron**

48
O pobycie na Ukrainie podczas gorących dni „pomarańczowej rewolucji"
pisze **Kazimierz Karolczak**

112 **Szkiełko i oko. Fizyka**
Współczesne teorie fizyki opisuje **Rafał Michalski**

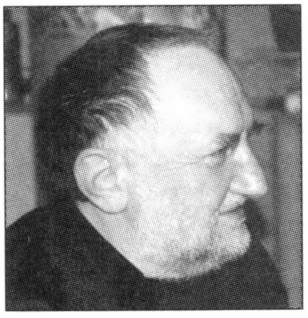

Wiersze
Andrzeja Warzechy, Doroty Piątek

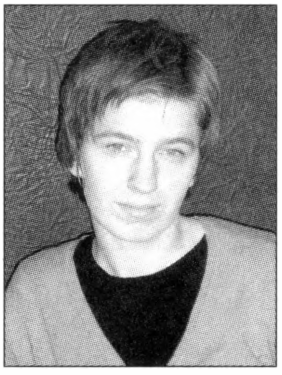

125
Stanisław Burkot zachęca do czytania poezji

162 **Konferencje**
Znamy dobrze swoją historię, ale chcieliśmy się dowiedzieć jak tę historię widzą historycy innych narodów, jak widzą tę kwestię naukowcy europejscy, amerykańscy, ale także jak społeczeństwa tych państw odbierają nasze dzieje...
O najważniejszych wydarzeniach z 17. Powszechnego Zjazdu Historyków
opowiada **Henryk W. Żaliński**

129 Na małym i dużym ekranie

Okrzyknięty przez krytyków szarlatanem kina, von Trier ripostował: „Lubię pozerów. Jest taka bajka o nowych szatach cesarza. Złą postacią dla mnie jest w niej mały chłopiec, który mówi, że cesarz jest nagi. Gdyby siedział cicho, wszyscy zobaczyliby piękne ubranie..."
O twórczości filmowej **Larsa von Triera** pisze **Anna Ogonowska**

146 Galeria Konspektu
Dorobek artystyczny rzeźbiarki **Barbary Zambrzyckiej-Śliwy**
Opisuje **Marek Karwala**

98 Wspomnienia
Janina Wszołek-Szymańska, Jan Flis

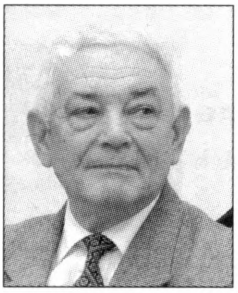

92 Jubileusze
Feliks Kiryk, Maria Zarębina

KONSPEKT W INTERNECIE
Zajrzyj na naszą stronę, która jest też stroną naszych współpracowników i autorów
www.ap.krakow.pl/konspekt

1 Od redakcji
2 W numerze
7 Iwona Tomasik, Inauguracja nowego roku akademickiego
10 Jacek Chrobaczyński, Profesor Wojciech Wrzesiński doktorem honorowym Akademii Pedagogicznej. Laudacja
17 O etyce współczesnego dziennikarstwa. Wywiad z prof. Walerym Pisarkiem
23 Jak kształcić dziennikarzy?
33 Wypełnianie pustki. Rozmowa z redaktorem naczelnym miesięcznika „Kraków" – Janem Pieszczachowiczem
38 Alfred Toczek, Emil Haecker i Jan Matyasik – redaktorzy antagonistycznych dzienników krakowskich
45 Henryk W. Żaliński, Polacy we Francji. Historia i współczesność
48 Kazimierz Karolczak, Ukraińska rewolucja. Pomarańczowa nadzieja w czarno-białej rzeczywistości
54 Bolesław Faron, Z notatnika sztokholmskigo. Podróż do noblowskiego sezamu
60 Kazimierz Karolczak, Z Czartoryskimi do korzeni (2)
66 Maria Teresa Lizisowa, Z Krakowa do Grodna
67 Paweł Zięba, Historia czy historia literatury? O literackości dziejopisarstwa
69 Refleksje o współczesnej poezji polskiej na Litwie
74 Marcin Kania, Surowa diagnoza rzeczywistości. Szkic o *Wschodzie nad Rossą* – antologii młodej polskiej poezji na Litwie
76 Gabriela Meinardi, Laurent Gaudé – dwie nagrody Goncourt. Jesień literacka w Krakowie i w Paryżu
78 Joanna Miczałowska, Kobieta w poezji Różewicza
83 Agnieszka Bal, Współczesne wcielenia Fausta
86 Łukasz Tomasz Sroka, Jezuici dzisiaj. Zarys dziejów najnowszych Towarzystwa Jezusowego
90 Iwona Tomasik, O pracach Senatu
92 Zdzisław Noga, Jubileusz profesora Feliksa Kiryka
94 Edward Stachurski, Jubileusz profesor Marii Zarębiny
97 Odeszli – Doktor Bohdan Gralewski (1957–2004)
98 Elżbieta Maria Minczakiewicz, Janina Wszołek-Szymańska (1923–2003) pseudonim „Lotna"
102 Janusz Wojtycza, Wspomnienia o Janie Flisie
105 Jarosław Rafa, Rekrutacja po nowemu. O elektronicznej rekrutacji na studia w roku 2004/2005
112 Rafał Michalski, O strategii poznawania w świecie znanych praw
120 Piotr Krywak, *Fantasy* i *science fiction* czyli znów o materii mieszaniu
124 Andrzej Warzecha, Wiersze
125 Stanisław Burkot, Czytajmy poetów
129 Agnieszka Ogonowska, Lars von Trier. Teoretyk czy szarlatan kina?
133 Leszek Wrona, Archiwum X
135 Ewa Piotrowska, Renata M. Zając, Systemy elektronicznego dostarczania dokumentów
138 Jarosław Rafa, Cyfronet wczoraj i dziś
144 Maciej Kawka, Dziennikarstwo interwencyjne?
146 Marek Karwala, Barbara Zambrzycka-Śliwa – artystka niezależna
149 Romuald Oramus, Holendrzy w Krakowie
153 Michał Mentel, [*Fotografie*]
154 Dorota Piątek, [*Wiersze*]

155 Konferencje w Instytucie Historii w 2004 roku
158 Czesław Nowarski, Raport z XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich
162 Historycy obcokrajowcy na XVII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich. Rozmowa z prof. Henrykiem W. Żalińskim
166 Krystyna Latawiec, Zjazd Polonistów w Krakowie, 22–25 września 2004 r. *Polonistyka w przebudowie*
170 Irena Pulak, Bożena Jarosz, Sprawozdanie z 14. Ogólnopolskiego Sympozjum Naukowego *Komputer w edukacji*
173 Henryk Lach, Agnieszka Greń, O mechanizmach utrzymujących życie – prosto z Podbrzezia
174 Małgorzata Nodzyńska, Międzynarodowa konferencja *Badania w dydaktyce chemii*
176 Marek Glogier, Dylematy archiwistów uczelnianych
179 Hieronim Tokarski, Spotkanie absolwentów Wydziału Geografii WSP – rocznik 1954 w dniach 19–20 czerwca 2004 r.
184 *INTRO 2004 – wprowadzenie na rynek pracy*
185 Tersa Wildhardt, Czytelnia Główna w nowej szacie
186 Muzyka chóralna
187 Czesław Michalski, Wychowanie fizyczne i sport na ziemiach polskich pod zaborami (2)
189 Łukasz Smogorowski, Sportowa Jesień w Kijowie
191 Jerzy S. Ossowski, Mag w cylindrze i kapeluszu
197 Małgorzata Chrobak, Tadeusza E. Witkiewicza *Niezwykłe ksiąg miłowanie*
200 Artur Jachna, Nowe źródło do dziejów gospodarczych Drugiej Rzeczposopolitej w opracowaniu naukowym Jerzego Gołębiowskiego
202 Dydaktyka w Drugiej Rzeczypospolitej
207 Liliana Majda, Ksiądz Antonio Marini. Neapolitański jakobin i jego biblioteka
210 Prasa Krakowa w dekadzie przemian (1989–1998)
212 Jolanta Grzegorzek, Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej

Iwona Tomasik

Inauguracja nowego roku akademickiego

Inauguracja 59. roku akademickiego 2004/2005 odbyła się już tradycyjnie w Dzień Nauczyciela (14 października). Uroczystość rozpoczęła się powitaniem gości, następnie JM Rektor Michał Śliwa złożył sprawozdanie za poprzedni rok akademicki. W swoim wystąpieniu Rektor stwierdził: „Nasza Uczelnia w ostatnim czasie gruntownie zmodernizowała proces dydaktyczny, odchodząc od kształcenia wąskospecjalistycznego na rzecz kształcenia wielospecjalistycznego i wielokierunkowego. Coraz większy nacisk kładziemy w edukacji nauczycieli na przygotowanie do kształtowania u ucznia nie tylko konkretnych umiejętności, lecz również do metanauczania, tj. przygotowania uczniów do samokształcenia i uczestniczenia w procesie kształcenia trwającego przez całe życie człowieka. Pragniemy, by nasz absolwent: nauczyciel-wychowawca był bardziej jeszcze zorientowany na potrzeby młodego człowieka, stawał się dla niego przewodnikiem, został bardziej ukierunkowany na edukację refleksyjną, rozwój wartości. Oczywiście realizujemy kształcenie nauczycieli-wychowawców na pełnym poziomie akademickim, dwukierunkowe, wielospecjalistyczne ze wzbogaconymi umiejętnościami w zakresie języków obcych i technologii informatycznej".

Kolejnym punktem uroczystości było nadanie prof. dr. hab. Wojciechowi Wrzesińskiemu tytułu doktora *honoris causa*. Prof. W. Wrzesiński jest wybitnym historykiem i humanistą, współtwórcą i animatorem życia naukowego kraju. Sylwetkę i dorobek naukowy profesora przybliżył zebranym prof. dr hab. Jacek Chrobaczyński.

Następnie Wojewoda Małopolski, Jerzy Adamik, i Małopolski Kurator Oświaty, Elżbieta Lęcznarowicz, wręczyli 58 pracownikom naszej Uczelni odznaczenia państwowe i resortowe (4 Krzyże Kawalerskie

Orderu Odrodzenia Polski, 9 Złotych Krzyży Zasługi, 19 Srebrnych Krzyży Zasługi, 7 Brązowych Krzyży Zasługi oraz 17 Medali Komisji Edukacji Narodowej i 2 medale resortowe Ministerstwa Obrony Narodowej).

W trakcie uroczystości wręczono również Nagrody Ministra Edukacji Narodowej i Sportu dr hab. Bożenie Popiołek, prof. AP, prof. dr. hab. Henrykowi Lachowi oraz dr. hab. Zdzisławowi Nodze, prof. AP.

Podczas inauguracji wręczono także Medale Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie: prof. Herbertowi Lange, prof. Stefanowi Kwiatkowskiemu, doc. Tadeuszowi Ziętarze, mgr. Wojciechowi Blecharczykowi, mgr. Jerzemu Ziemińskiemu oraz mgr Otylii Pulit. Potem prorektor ds. dydaktycznych, prof. Eugeniusz Wachnicki, dokonał immatrykulacji studentów pierwszego roku. Uroczysta inauguracja zakończyła się wykładem dr hab. Bożeny Popiołek, prof. AP, pt. *Co wy wiecie o kobiecie? Feminizm obłaskawiony.*

Oprawę artystyczną zapewnił - jak co roku - uczelniany chór „Educatus" pod batutą prof. Adama Korzeniowskiego.

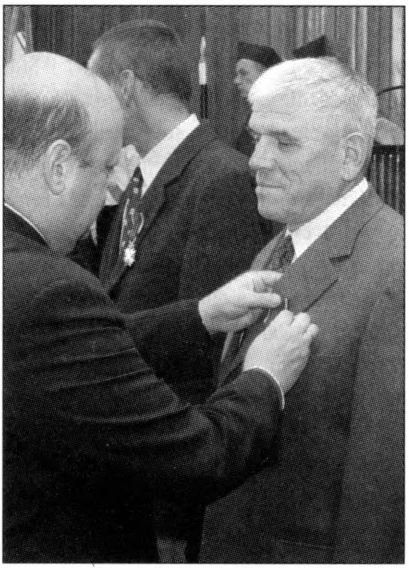

Fotografowali:
Mieczysław Pasternak i Mieczysław Więcławek

Jacek Chrobaczyński

Profesor Wojciech Wrzesiński doktorem honorowym Akademii Pedagogicznej

Laudacja

Magnificencjo Rektorze,
Wysoki Senacie,
Drogi Panie Profesorze,
Panie i Panowie.

Proszę mi pozwolić na rozpoczęcie tej pochwały osobistym wspomnieniem. Otóż w końcu lat dziewięćdziesiątych, w gronie dobijających się o naukowy awans historyków, zajmujących się historią najnowszą, unosiły się dwa duchy i fama o „Panach Profesorach W". Owi panowie profesorowie to Roman Wapiński i Wojciech Wrzesiński. „Koszą", „niszczą", „prześladują", „nie dają awansować", wreszcie „nie dają żyć" (wszystkie wypowiedzi autentyczne!) głosiła fama.

Prof. Wojciech Wrzesiński

Nie ukrywam, że także i mnie się to udzieliło. Niepotrzebnie. Ani nie kosili, ani nie prześladowali, ani nie niszczyli. Domagali się tylko jednego: by historię, także i tę najnowszą, którą w niebywałym stopniu wykoślawiano w PRL-u (w myśl zresztą trafnej orwellowskiej sentencji: „Kto kontroluje przeszłość - kontroluje przyszłość"), traktować jak jedną z najpoważniejszych i najważniejszych dyscyplin naukowych. Aż tyle? Czy raczej: tylko tyle?

Dziś obaj „Panowie W" są tu obecni - nasz gość honorowy, przyjaciel sporego grona historyków, ale też i socjologów, politologów, psychologów społecznych, archeologów - prof. Wojciech Wrzesiński oraz jeden z recenzentów Jego dorobku naukowego - prof. Roman Wapiński.

I obaj się nie zmienili! Nadal uważają, że historia nie jest cudaczną czy jarmarczną, frywolną sztuką, na której wszyscy bez mała się znają, jak - nie przymierzając - na piłce nożnej i medycynie, ale że jest trudną i odpowiedzialną profesją.

Tyle wspomnienie.

Natomiast gdyby chcieć wyznaczyć, nawiązując nieco do tego wspomnienia, kierunek zasadniczy myśli, postawy i naukowej aktywności prof. Wojciecha Wrzesińskiego, moje skojarzenie kierowałoby się do poszerzającej nieco frazy starego Leopolda Rankego:

Wie es eigentlich gewesen ist und warum?

Jak to właściwie było i dlaczego? Oto klucz, oto sedno poczynań rzetelnego i odpowiedzialnego historyka-badacza. A zaraz po nim, najważniejsze z naszych zawodowych przykazań:

Nigdy nie będziesz w swych badaniach kłamał!

Mogę z pełnym przekonaniem, po lekturze dorobku prof. Wojciecha Wrzesińskiego, powiedzieć: to esencja Jego postawy badawczej. Nigdy się tym zasadom i pryncypiom nie sprzeniewierzył, nigdy nie zaparł się siebie-historyka, siebie-badacza, a także siebie-nauczyciela. Próbowałem przeniknąć, skąd wybór kierunku Jego naukowych badań, refleksji i dorobku: Niemcy-Polacy, niemieckość-polskość, mity i stereotypy, wynaturzenia, złe klisze pamięci i złe stop-klatki pamięci, ale też i złe historyczne doświadczenia, zła polityka i jeszcze gorsza ideologia, czasem nawet religia. To klamry i wektory szerokiego *spectrum* zainteresowań prof. Wrzesińskiego. Ale polsko-niemieckość jest ich osią zasadniczą, linią główną, wiodącą i szczególną zarazem. Tylko skąd właśnie ten kierunek naukowych penetracji?

Przecież nie urodził się w Krakowie, gdzie wszyscy wiedzą, że bohaterska Wanda nie chciała Niemca. Ale urodził się na Kujawach, nie tak dawno zresztą temu, by tego ostrego rysu polsko-niemieckiego nie pamiętał. A na Kujawach mawiają: „Jak się uprze to swoje zrobi". I to jest, moim zdaniem, pierwszy klucz-wektor odpowiedzi na to pytanie: skąd? Ważny, bo Kujawy i polsko-niemieckie konteksty to sporo stron w każdym podręczniku polsko-niemieckiej historii.

Wektor drugi - Toruń. Też ten sam kontekst. Ale jakby dodatkowo, wtedy gdy studiował, mocno obecna była tam emocjonalna, jeszcze niezatarta, pamięć - Wilna, wojny, okupacji. A i sam tamten czas na młodym historyku musiał odcisnąć swe złowieszcze piętno - stalinizm i historia, otwocka konferencja metodologiczna, hańba zdrady ideałów i postaw metodologicznych. Wojciech Wrzesiński zawsze o tym pamiętał i pamięta: nie warto i nie opłaca się ulegać krótkotrwałym fobiom, bo głupie czy fałszywe słowo zapisane, zawsze pozostaje, a niekiedy, po latach, boli i to bardzo. Niewątpliwie to właśnie doświadczenie ugruntowało Jego głębokie, transcendentne przekonanie, wręcz prawo, przykazanie, postawę:

Historyk nie kłamie!

Owszem może się omylić, źle wyjaśnić problem, nieprecyzyjnie przeanalizować źródło, ale nie może skłamać.

I wektor trzeci tego procesu formowania wybitnego uczonego - Archiwum Państwowe w Olsztynie. Fakt, że nakaz pracy, ale Wojciech Wrzesiński lepiej chyba trafić nie mógł - toż to przecież niemal laboratorium - archiwum, region, ludzie oraz oczywiście polityka i ideologia. A ważne też i to, że właśnie przyszła znamienna cezura Października '56.

Ośmielam się sformułować tezę: te trzy punkty historyczno-geograficzne, ale też i emocjonalne, to właśnie laboratorium, fundament Wrzesińskiego-historyka. Cała reszta była już tylko rzetelną realizacją projekcji zarysowanej w tym właśnie czasie. I spełnienie. Pozostał i pozostaje temu wierny.

Spójrzmy na ten niezwykły dorobek, skrupulatnie ostatnio podliczony (ponad 760 pozycji, w tym kilkanaście książek, a każda ważniejsza i trwale obecna w historiografii; fundamentalne serie, interdyscyplinarność, rozległe horyzonty i otwartość na rzeczy nowe). Podkreślają to wszyscy recenzenci przewodu: wspomniany już prof. Roman Wapiński z Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Teresa Kulak z Uniwersytetu Wrocławskiego i prof. Andrzej Kastory z naszej Akademii. Ich myśl przewodnią trafnie oddaje pierwsze zdanie opinii pióra prof. Wapińskiego: „Wniosek ten nie wymaga moim zdaniem jakiegoś specjalnego uzasadnienia, prof. Wojciech Wrzesiński, wybitny znawca dziejów Polski i powszechnych XIX i XX wieku, jest równocześnie wyróżniającym się organizatorem życia naukowego".

Prof. Teresa Kulak dodaje: „Wojciech Wrzesiński - wybitny historyk dziejów najnowszych, szeroko znany w Polsce i zagranicą".

A prof. Andrzej Kastory dopełnia: „Omówienie całego dorobku Wojciecha Wrzesińskiego to zajęcie tytaniczne".

Niemal pół wieku czynnego życia badawczego, obecności w piśmiennictwie historycznym, krajowym i zagranicznym, w strukturach organizacyjnych nauki. Niebywały dorobek scedowany na innych, dziesiątki wypromowanych doktorantów, setki magistrantów, przewody habilitacyjne i profesorskie. Je-

go uczniowie to profesorowie zwyczajni, kontynuujący chlubną drogę Mistrza. Można z pełną odpowiedzialnością powiedzieć: Mistrz Wrzesiński stworzył szkołę, trwale posadowioną na dobrym fundamencie, dość rozległą obszarem naukowej penetracji i refleksji, interdyscyplinarną. Przyciągającą i integrującą, zespołową. Dość wyraziście zdefiniowaną, z wysoko zawieszoną poprzeczką merytoryczno-metodologiczną i poprzeczką odpowiedzialności za wynik tych poczynań - miejsce w literaturze przedmiotu, budowanie świadomości i odpowiedzialności historycznej, rzetelnej wiedzy, a nie tromtadrackich zachłyśnięć, niepotrzebnych emocji i intelektualnych szaleństw. Źródło, historyk, odpowiedzialność oraz ciągłość i zmiana - to zasadnicze kategorie poszukiwań i penetracji tej szkoły. I zawsze najpierw pytanie stawiane źródłom - dlaczego, przed pytaniem kiedy. Rzetelna i wyrafinowana weryfikacja całego pakietu źródeł i świadome posługiwanie się wszelkimi dostępnymi metodami naukowej refleksji, a także syntetyzujące ogarnianie całości, nawet wtedy, gdy jest to historia lokalna bądź regionalna. Wreszcie wspominana już interdyscyplinarność. To główne wyznaczniki szkoły Wrzesińskiego i samego prof. Wrzesińskiego. Jego dorobek to potwierdza. Także dorobek uczniów i współpracowników.

Już pierwsza monografia, wówczas dr. Wrzesińskiego, opublikowana przez poznański Instytut Zachodni w 1963 r., *Ruch polski na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1920–1939* zwróciła uwagę na młodego badacza zarówno środowisk polskich, jak i niemieckich. Nie wykluczając, rzecz jasna, i politycznych. Ta świetnie udokumentowana źródłowo, rzetelna analitycznie i napisana odważnie, jak na tamten czas, praca, wyznaczyła też dalsze kierunki naukowych poszukiwań i penetracji. A jej uhonorowanie prestiżową historyczną nagrodą „Polityki" wpłynęło na dalsze losy naukowe i życiowe młodego badacza. Rozpoczął on pracę w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Tu, jak podkreśla recenzent (prof. Teresa Kulak), W. Wrzesiński „znalazł nowe środowisko intelektualne i nowych przyjaciół". Ale nie tylko. Sądzę, że tutaj dopiero w powojennym polsko-niemiecko, pożydowsko-kresowym Wrocławiu (Breslau) dostrzegł, że pogranicze to nie tylko sfera polsko-niemiecka, ale też i obszary, regiony i inni ludzie. Że to wielki tygiel - grup, środowisk, myśli i postaw, emocji, również i dynamiki zmian. Coś fantastycznego dla świadomego badacza procesów dziejowych.

To we Wrocławiu powstał zasadniczy zrąb naukowych dokonań prof. Wrzesińskiego, przede wszystkim polsko-niemiecki, ale też i śląski, morawski, czeski. Także we Wrocławiu spotkał prof. Henryka Zielińskiego, co zaowocowało badaniami nad polską myślą polityczną XIX i XX wieku. Zatem Wrocław to czwarty geograficznohistoryczny punkt odniesienia, wektor Wrzesińskiego-historyka, jak również Wrzesińskiego-organizatora nauki i życia naukowego.

Warmia, Mazury, Powiśle zwróciły uwagę prof. Wrzesińskiego na kontekst szerszy zagadnienia - ogół polskich spraw narodowościowych w byłej Dzielnicy Pruskiej. Sporo uwagi poświęcił polityce państwa pruskiego i Rzeszy wobec wszystkich prowincji wschodnich, warunkom funkcjonowania szkolnictwa polskiego na tym obszarze, spółdzielczości polskiej. Pokazywał i interpretował też efekty systematycznej akcji germanizacyjnej i to nie tylko w perspektywie narodowej, ale i formujących się postaw, życiowych kompromisów, rodzinnych rozdroży, niekiedy dramatów. Te badania - co zgodnie podkreślają wszyscy recenzenci - były nie tylko polem ożywionego dyskursu, i to nie wyłącznie historycznego, ale też inspiracją, wskazówką i odwagą dla innych. Bez cienia fałszywej skromności prof. Wrzesiński może o sobie powiedzieć: przybyłem - zbadałem - zainspirowałem. To w tej triadzie mieszczą się prace o Babimojszczyźnie, Ziemi Złotowskiej, Ziemi Pilskiej. Przypomina to małopolskie dokonania regionalistycznej szkoły historycznej prof. Feliksa Kiryka. Jako jej członek doceniam w sposób szczególny ten obszar badawczy zainspirowany przez Wrzesińskiego. Pozwolę sobie nawet na parafrazę, bo wiem, że obaj profesorowie nie tylko się cenią, ale i od lat przyjaźnią - że prof. Wrzesiński był na swym wrocławskim obszarze takim małopolskim Kirykiem.

Konsekwencją tej intensyfikacji poczynań była kolejna, znamienna pozycja w dorobku Wojciecha

Wrzesińskiego - opublikowana w 1970 r. rozprawa habilitacyjna *Polski ruch narodowy w Niemczech (1922-1939)*. To znacząca cezura polskiej historiografii na obszarze badań niemieckoznawczych, z uwagą odnotowana i dyskutowana w Bundesrepublik Deutschland, przemilczana zaś przez polskich ideologów historii i domorosłych partyjnych historyków. Właśnie oni w stanie wojennym będą się za to mścić.

Wrzesiński „zderzył" ze sobą źródła polskie i niemieckie, zapomniał o propagandowych pryncypiach, nakazach i zadęciach, uruchomił warsztat nie tylko historyka, ale również socjo- i psychohistoryka, wyłączył emocje, a zajął się żmudnym wyjaśnianiem procesu historycznego. Nie zapominając o szczegółach, potrafił ogarnąć całość zagadnienia - tamte procesy i przemiany oraz ich dynamikę. Nie zamierzał poprzez badania dowodzić komuś czegokolwiek, zamierzał - i to Mu się udało - wyjaśnić. Właśnie dlatego ta praca wywołała sporą dyskusję profesjonalistów w Polsce i Niemczech; autor nie wywoływał złych duchów, nie myślał o politycznej wykładni czy partyjno-państwowych pryncypiach. Bo badanie świadomości narodowej to najczęściej stąpanie po kruchej, zbutwiałej desce, gdzie łatwo o potknięcia, przekłamania, zdradliwą idealizację. Rzetelny i sprawiedliwy w swych ocenach historyk potrafi te rafy ominąć. Tak uczynił Wojciech Wrzesiński.

I zdaje się, że ten autentyczny sukces naukowy uzmysłowił też Profesorowi, iż krokiem następnym powinien być Śląsk. Też przecież niebywałe laboratorium dla historyka. O Śląsku zresztą sporo pisano, bo takie były wymogi - a to bieżącego zapotrzebowania, a to źle pojmowanego patriotyzmu, zarówno tego wynikającego z woli czy z idei narodowej, jak i narodowego interesu, jak trafnie zauważa w swych *Polskich zmaganiach z wolnością* Andrzej Walicki. Ale też i ze świadomego bądź nie niezrozumienia Śląska, Ślązaków i śląskości, zderzeń polsko-niemieckich, jak również polsko-czeskich, głównie zaś polsko-śląskich. Wytrawny historyk trafnie dostrzegł problem, ale wiedział też, że potrzebny jest zespół. Skupił więc wokół siebie spory zastęp historyków z Katowic, Opola, Zielonej Góry, Szczecina i Poznania. Jak nietrudno zauważyć, większość spośród nich to miejsca z młodymi wówczas uczelniami i dopiero formującymi się środowiskami naukowymi. I Poznań, z którym jego związek był trwały i już ugruntowany. Kompleksowe, obszerne, dobrze zaprojektowane i przemyślane badania, a także umiejętne wykorzystanie środków, co dowodzi świetnego zmysłu organizacyjnego założyciela, przyniosły znamienite rezultaty. Badania te pokazały Śląsk nie tylko od pradziejów do współczesności, a więc nie tylko w podstawowych kategoriach procesu historycznego: czasu i przestrzeni oraz ciągłości i zmiany, tak śląską spójność, jak i jej odrębność w polskich i niemieckich, a nawet czeskich dziejach, zmiany etniczne, wreszcie postawy, zachowania i nastroje, zarówno te „za", jak i „przeciw".

Obok dorobku historiograficznego był jeszcze jeden skutek tych poczynań - zbliżenie i umocnienie środowisk humanistycznych w miejscach, gdzie dotąd ich nie było, bądź były dość słabe. Seria wydawnicza *Dzieje Śląska* - źródła, monografie, wieloautorskie tomy, a wszystko to wydane w trzech językach - stanowią do dziś znamię fundamentalne śląskiej, i nie tylko, historiografii.

Po tym wysiłku i doświadczeniu autorskim, edytorskim i redaktorskim przyszedł czas na zastanowie-

Fot. M. Pasternak

Prof. Jacek Chrobaczyński

nie się nad autorską pracą, wielką syntezą, choć jak sądzę, jeszcze nie książką życia Wojciecha Wrzesińskiego. *Sąsiad czy wróg? Ze studiów nad kształtowaniem obrazu Niemca w Polsce w latach 1795–1939*. Już sam tytuł prowokował, choć czasy były już inne, lecz czynnik niemiecki, obok rosyjsko-sowieckiego, to przecież wciąż oś polskich uniesień wszelkiego autoramentu. Wrzesiński dobrze wiedział „w co gra", ale wiedział też, że jest jednym z nielicznych, którzy mogliby temu wyzwaniu podołać. Przygotowywał się do tego solidnie i wytrwale przez większą część swego pracowitego, naukowego życia. I podołał.

Roman Wapiński, badacz równie co Wrzesiński znakomity, nie ma w tym miejscu żadnych wątpliwości. W swej recenzji podkreśla on, że dzieło Wrzesińskiego to jedno z „fundamentalnych, największych osiągnięć polskiej historiografii XIX i XX wieku". To samo odczucie w swej recenzji prezentuje też Andrzej Kastory – to „najbardziej reprezentatywna dla jego badań praca".

To synteza syntez, wielce erudycyjna, świetnie umocowana w podstawie źródłowej, z wykorzystaniem, niezwykle twórczym zresztą, nie tylko warsztatu historyka, ale i dokonań socjologów, psychologów społecznych, politologów. To praca o ewolucji stereotypu Niemca w polskiej opinii publicznej od upadku I Rzeczypospolitej po II wojnę światową. Dobrze przyjęta zarówno w polskim środowisku historycznym, jak i niemieckim. Dowodem – prestiżowa niemiecka nagroda państwowa dla autora. Ta praca dowiodła, ponad wszelką wątpliwość, co podkreślają recenzenci, „że o sprawach trudnego, polsko-niemieckiego sąsiedztwa, prof. Wrzesiński potrafi pisać w sposób wysoce zobiektywizowany, który służyć może porozumieniu i zbliżeniu obu narodów" (prof. Teresa Kulak). Jest po wielokroć cytowana, zarówno w literaturze polskiej, jak i niemieckojęzycznej, gdyż stawia i rozwiązuje problemy ponad złem polityki i ideologii, ponad Eriką Steinbach i ponad Pruskim Powiernictwem Rudiego Pawelki. Ale też i ponad jazgotem polskiej narodowej prawicy w Sejmie RP domagającej się uchwały o wojennych reparacjach od Niemiec. Ponad wypominaniem, przez jej zacietrzewionych przedstawicieli, współczesnym Niemcom antypolskiej polityki Fryderyka Wielkiego, a polskim uczonym, w tym, jak wnoszę, także i historykom („tłumek pożytecznych idiotów o żebraczym usposobieniu") „zdradę" i „hańbę", na dodatek za „niemieckie pieniądze". Ale pseudohistoria w wydaniu pseudohistoryków, nawet z poselskim mandatem w kieszeni, to jeszcze nie Historia, poważna, rzetelna i odpowiedzialna, to jeszcze nie nauka historyczna.

To nie pseudopolitycy i pseudohistorycy, a intelektualiści, jak właśnie prof. Wrzesiński, stale dowodzą, że historia, póki co, nadal pozostaje nauką, a nie sztuką czy ideowo-politycznym bełkotem, niepotrzebną tromtadracją z pseudopatriotycznym, narodowym chorałem w tle. Odpowiedzialni historycy, ale także politycy, z pokorą powinni doceniać ten intelektualny, twórczy wysiłek autora i pomnik w historii historiografii. Stosunki polsko-niemieckie ze wszech miar na to zasługują. Najwyższy też czas na rozważenie Wrzesińskiego stosunków polsko-sowieckich i polsko-ukraińskich. Pierwsze zresztą jaskółki, jak widzę, zdają się i na tym polu już pojawiać; tekst o wrześniowej klęsce 1939 r. na Kresach, a przede wszystkim trzy tomy studiów pod jego redakcją (czwarty w druku) *Między Królewcem, Warszawą, Berlinem a Londynem*.

Osobnym i nie mniej ważnym obszarem poczynań i peregrynacji naukowych prof. Wrzesińskiego są też dzieje polskiej myśli politycznej XIX i XX wieku. To „trudne do przecenienia osiągnięcie", trafnie zauważa prof. Wapiński. Nie tylko kontynuacja po śp. prof. Zielińskim, świetna organizacja, ale też w wielu przypadkach twórcza inspiracja Wrzesińskiego zaowocowały serią wydawniczą (do dziś ukazały się pod jego redakcją tomy V–XI) *Polska myśl polityczna XIX i XX wieku*. Seria grupuje znamienite środowisko badaczy – historyków, politologów, historyków literatury, historyków sztuki, socjologów. Autorzy „mocują" się z materią trudną badawczo, często niejednoznaczną, znaczoną emocjami, stereotypami i autostereotypami, napięciem politycznym i ideologicznym, źle obciążoną pamięcią itd. Bowiem historia polskiej myśli politycznej była i jest do dzisiaj – tu podzielam pogląd prof. Adama

Bromke (por. A.Bromke, *The Meaning and Uses of Polish History,* Boulder, Colorado 1987, rozdz. II) - sporem między realizmem politycznym a różnymi formami politycznego idealizmu. Ale Wrzesiński dobrze wie, że to ważna i konieczna droga badawczego postępowania, nakaz i intelektualny obowiązek, historyczna powinność, by w podręcznikach historii nie było niepotrzebnych meandrów, kluczeń i pospolitego szachrajstwa. By rzetelna, zweryfikowana wiedza, poparta źródłową podstawą, której niekiedy ważniejszą egzemplifikacją bywa wiersz, poemat, a nawet dowcip czy karykatura, aniżeli sążnisty program partyjny i polityczny memoriał. To ranga najwyższa wtajemniczenia historyka, także i organizującego badania Redaktora. Bo Wrzesiński w tej akurat postawie na myśl przywodzi mi śp. Redaktora z Maisons-Laffitte. Wie, czego chce, co jest ważne, a nie koniunkturalne, tandetne intelektualnie, doraźne. To wymaga wiedzy i warsztatu, sporej naukowej wyobraźni, a przede wszystkim odpowiedzialności i wiary w to, co się robi. I nie ulega naciskom!

Może właśnie dlatego prof. Wrzesiński potrafi zawsze grupować wokół siebie ludzi nietuzinkowych, odważnych intelektualnie i odpowiedzialnych badawczo. To dlatego jest w środowisku odbierany jako naukowy i moralny autorytet, mistrz nad mistrzami. Potwierdzają to, skutecznie i trafnie, funkcje pełnione z demokratycznego wyboru, zarówno te w mateczniku, jakim jest dla niego wrocławski, 300-letni Uniwersytet, ale też i wybory środowiskowe - Centralna Komisja, Polskie Towarzystwo Historyczne, redakcja „Polityki", Kancelaria Prezydenta RP.

Ponad wszystko, co nietrudno zauważyć, ceni sobie wrocławską *Alma Mater.* Tutaj rozwinął swój badawczy talent, tu zdobył najważniejsze naukowe stopnie i tytuły. Nie bez trudności, bo Wrzesiński-badacz zderzał się z partyjną nomenklaturą, partyjnym establishmentem, który niemal zawsze myślał i wiedział lepiej. Na szczęście establishmentu już nie ma, zgodnie zresztą z zasadą, o której niedawno zmarły Czesław Miłosz pisał w *Toaście:*

Bo słusznie co nam Breza (ten autor) powtarza: Dłużej pisarza - mówi - niźli dygnitarza

A prof. Wrzesiński, na szczęście, nadal w Uniwersytecie i w środowisku jest autorytetem i Mistrzem.

Przypomnę tylko niewtajemniczonym, że w Uniwersytecie Wrocławskim sprawował niemal wszystkie funkcje - od kierownictwa Zakładu Historii Najnowszej poczynając, poprzez, po kilkakroć mu powierzaną, funkcję dyrektora Instytutu Historycznego, później dziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego, prorektora, wreszcie, w latach 1990-1994, rektora. To tej uczelni poświęcił też jedną z ważnych swych monografii, tom jej dziejów w latach 1945-1995, jedną z najlepszych w polskiej historiografii biografii uczelni.

Przypomnę też, iż w czasie Pierwszej Solidarności, jako aktywny jej członek, był przedmiotem niewybrednych poczynań Służby Bezpieczeństwa, zaś jako autor i redaktor niejeden raz potykał się z wysokim urzędem cenzorskim. W stanie wojennym zaś, tej - jak niekiedy się mówi - recydywie stalinizmu, władze zmusiły go do ustąpienia z funkcji prorektora Uniwersytetu Wrocławskiego i odebrały mu - co skrupulatnie podkreśla prof. Teresa Kulak - „chyba jedynemu w Polsce" - kierownictwo instytutowym Zakładem Historii Najnowszej. Konsekwencją była blokada awansu na profesora zwyczajnego, aż do roku 1989. PRL-owscy decydenci wiedzieli, jak zwykle, lepiej niż środowisko; na szczęście tylko do czasu.

Osobnym, choć integralnym z dotychczasowymi aktywami, polem działania prof. Wojciecha Wrzesińskiego, było i jest, Polskie Towarzystwo Historyczne. Poświęcił mu sporo czasu, energii, a pewnie i trochę zdrowia. Przez dwie kadencje, do roku 2003, był prezesem Zarządu Głównego PTH (pamiętamy: „stale w pociągu na trasie: Wrocław-Warszawa-Wrocław i Wrocław-krajowe oddziały"). Wrocławski, XVI Powszechny Zjazd Historyków Polskich, poświęcony nie tylko tradycyjnym podsumowaniom dorobku nauki historycznej, ale przede wszystkim „przełomom w historii", to rezultat „wrzesińskiego" (jak nie przymierzając, Września z czasu „dzieci wrzesińskich") sposobu myślenia i kujawskiego uporu. Profesor, choć już nie jest prezesem PTH o naszym zasłużo-

nym Towarzystwie nie zapomina: krakowski, XVII Powszechny Zjazd Historyków Polskich, który odbył się w dniach 15-18 września tego roku, był także cząstką Jego osobowości, niespokojnego ducha i Jego inspirującego wpływu na nasze - trzeba przyznać, że nie bez oporów, jak to w Krakowie - tj. Komitetu Organizacyjnego - poczynania i sposób myślenia, a w konsekwencji także i niewątpliwy sukces krakowskiej imprezy.

Doświadczyłem tego zresztą osobiście w czasie przygotowań do krakowskiego zjazdu. Gdzie od Profesora sporo się nauczyłem. Naszym wspólnym, dogłębnie przemyślanym dokonaniem, co poczuwam sobie za honor i zaszczyt, było jedno z ważnych zjazdowych sympozjów, które przygotowaliśmy: *Dramat przemocy w perspektywie historyka*. Spotkali się na nim najwybitniejsi humaniści polscy - historycy, socjologowie, filozofowie, historycy sztuki, bibliści, teologowie i księża, psycho-pedagodzy, prawnicy, ludzie kina, teatru i mediów. Owocem ich przemyśleń jest tom esejów *Dramat przemocy w historycznej perspektywie,* pod naszą naukową redakcją, świetnie opracowany i wydany przez krakowską oficynę WAM Ojcowie Jezuici.

O dokonaniach Profesora w chwalebnej CKK już wspominałem - dodam tylko, że sam wypromował całkiem sporą plejadę wytrawnych historyków, że kierując Komisją Konkursu Historycznego „Polityki" (scheda po prof. Czesławie Madajczyku) na bieżąco „dopatruje" tego, co ważne, nośne i potrzebne w polskiej nauce historycznej. Że dostrzega też te osiągnięcia jako członek Komisji Nagród przy Prezesie Rady Ministrów i członek „Wspólnoty Polskiej". Jest też członkiem-korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności, zasiada w wielu towarzystwach, komitetach i radach naukowych, w tym w prestiżowej Radzie do Spraw Nauki przy Prezydencie RP. Skąd bierze na to czas - nie byłem w stanie dociec, choć bardzo się starałem. Zawsze jest pod telefonem, prawie nie nawala z terminami i prawie nie spóźnia się na spotkania oraz zebrania. Cud mniemany!

Pora na podsumowanie i wnioski.

Można by zwyczajowo przytoczyć w zakończeniu tej laudacji trzy jednoznacznie pozytywne wnioski trójki recenzentów, potwierdzające zasadność przyznania przez naszą Akademię prof. Wojciechowi Wrzesińskiemu tytułu honorowego.

Był i jest związany także i z naszą uczelnią, całkiem spore grono naszych historyków i politologów nieco mu zawdzięcza. Czuję się związany z tym gronem, zarówno naukowo, jak i emocjonalnie. Już to powinno wystarczać, by uhonorować wybitną osobowość, wytrawnego historyka, uczonego, Mistrza w zawodzie, przyjaciela historii i historyków, prawda, często aż nazbyt dociekliwego, czasem surowego recenzenta.

Ale proszę mi w zakończeniu pozwolić na coś więcej. Powiada się w naszym środowisku, że uczonym w akademickiej karierze niekiedy się bywa. To prawda. Ale prawdą jest też, iż bywają uczeni, którzy są nimi już od pierwszych swych poczynań, pierwszych pomysłów, pierwszych publikacji. Wojciech Wrzesiński niewątpliwie do tego elitarnego grona humanistów na pewno należy.

Nie wiem, czy sprawiły to główne wektory geografii jego życiowej i intelektualnej biografii: Kujawy i Poznań, Mazury i Śląsk, a przede wszystkim Wrocław, laboratoryjny tygiel znaczony jakąś dziwną Bożą iskrą. Pewnie wszystko po trosze. Zaś istotą i sensem tego mistrzostwa w zawodzie prof. Wojciecha Wrzesińskiego zdaje się być to, co widnieje na medalu Nagrody Miasta Wrocławia, którą zasłużenie posiada: *Honor virtutis praemium*.

Powtórzę więc za recenzentami: wobec wybitnych dokonań naukowych Profesora Wojciecha Wrzesińskiego, z wielkim uznaniem należy odnieść się do inicjatywy Rady Wydziału Humanistycznego i decyzji Senatu krakowskiej Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej nadania mu tytułu doktora *honoris causa*.

Jacek Chrobaczyński

Przemówienie zostało wygłoszone w Krakowie 22 sierpnia 2004 r.

O etyce współczesnego dziennikarstwa

Wywiad z prof. Walerym Pisarkiem

Walery Pisarek – (ur. 31 maja 1931 r.), prof. dr hab., wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, Papieskiej Akademii Teologicznej oraz Akademii Pedagogicznej. Założyciel i kierownik studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Jagiellońskim (1973–1983). Od 1957 r. członek, w latach 1976–1990 wiceprzewodniczący IAMCR/AIERI, a w latach 1970–1990 przewodniczący Sekcji Bibliograficznej tego stowarzyszenia; członek ICA od 1992 r., Deutsche Gesellschaft für Publizistik und Kommunikationwissenschaft od 1975, członek zespołu ekspertów UNESCO ds. badań nad komunikowaniem (1972–1974); członek od 1974 r., a w latach 1974–1992 wiceprzewodniczący Komisji Prasoznawczej PAN; w latach 1991–1996 przewodniczący Komisji Kultury Języka Komitetu Językoznawstwa PAN, przewodniczący Komisji Językoznawstwa PAN w Krakowie (1991–1996). Członek Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, Narodowej Rady Kultury (1986–1990), Rady Prasowej (1986–1989), od 1993 r. wiceprzewodniczący Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego. Jest także honorowym Członkiem Wspólnoty Badaczy Uniwersytetu w Wolverhampton (od 1995). Przewodniczący Rady Języka Polskiego, członek Prezydium Rady Upowszechniania Nauki przy Prezydium PAN, członek rad redakcyjnych lub kolegiów periodyków: „Zeszyty Prasoznawcze" (redaktor naczelny), „Mass Communication Yearbook", „Journal of Communication", „Chasqui", „Journalism Studies". Autor popularnych słowników ortograficznych oraz książek, m.in.: *Retoryka dziennikarska* (1970, 1975, 1988), *Frekwencja wyrazów w prasie* (1972), *Prasa nasz chleb powszedni* (1978), *Słowa między ludźmi* (1986), *Analiza zawartości prasy* (1984), *Who Is Who in Mass Communication* (współautor, 1990), *Nowa retoryka dziennikarska* (2002). Ponadto opublikował ponad 300 artykułów w naukowych czasopismach polskich i zagranicznych.

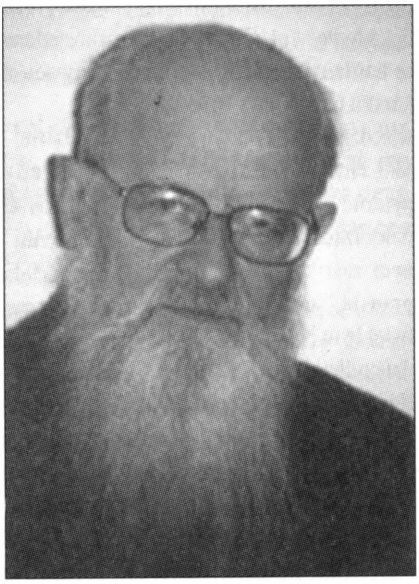

„Konspekt": Czy w dzisiejszych czasach dziennikarstwo jest zawodem moralnym?

Walery Pisarek: - Za taki zawód dziennikarstwo od najdawniejszych lat pragnie uchodzić i takim chciałaby je widzieć opinia publiczna, ale chyba nigdy nie było tak powszechnie postrzegane. W literaturze dziennikarz rzadko bywa postacią pozytywną. Półtora wieku temu pisał Fredro:

Jak kominiarza,
Tak dziennikarza
Zawód diable trudny:
Czyści - a sam brudny.

A kiedy przed 30 laty Władysław Cybulski w „Zeszytach Prasoznawczych" dokonał przeglądu postaci dziennikarzy w polskim filmie powojennym, odkrył, że wiele z nich to osoby wyjątkowo irytujące

i wredne. Być może to z napięcia między środowiskową i społeczną potrzebą moralności dziennikarstwa a znajomością konkretnych przykładów nieetycznego zachowania się jego przedstawicieli powstało tak wiele kodeksów etyki dziennikarskiej.

Pyta Pan o moralność dziennikarstwa „w dzisiejszych czasach". Przyjmuję, że te „dzisiejsze czasy" oznaczają przełom XX i XXI wieku. Ale w takim razie czasami „wczorajszymi" miałyby być cztery dekady Polski Ludowej. Czyżby lata siedemdziesiąte bardziej sprzyjały moralności zawodu dziennikarskiego niż lata dziewięćdziesiąte? Rzeczywiście, chyba trzeba na to pytanie odpowiedzieć twierdząco, choć z istotnym zastrzeżeniem. To prawda, że na ogół łatwiej było być uczciwym dziennikarzem w latach siedemdziesiątych, jeśli się wyłączyło z dziennikarskiej penetracji i interpretacji pewne sfery życia publicznego, pewnych jego bohaterów i pewne tematy. Była to więc moralność skażona zakłamaniem jako grzechem pierworodnym autorytarnego systemu. Trudno wszakże zaprzeczyć, że system ten nie przeszkodził rozwinąć się wielkim indywidualnościom reporterskim a jednocześnie osobom uznawanym za dziennikarskie autorytety moralne, jak Ryszard Kapuściński, Hanna Krall, Janina Jankowska czy Maciej Szumowski. I nie ma tu nic do rzeczy, że ich stosunki z autorytarną władzą nie zawsze były przyjazne.

Dzisiaj na duszę dziennikarza i redaktora czyhają pokusy sprzeniewierzenia się dziennikarskiemu sumieniu przez jednoczesną pracę w redakcji i jawne lub niejawne wykonywanie zleceń na rzecz reklamy lub marketingu

Czy problem moralności jest tak samo postrzegany przez wszystkich dziennikarzy na świecie, czy też może w Polsce jest on rozumiany inaczej?

– Sytuacja polskich dziennikarzy różni się od dziennikarzy w innych krajach i od innych zawodów w Polsce czułych na tle własnej godności i moralności. Przed 13 grudnia 1981 r. wszystkich dziennikarzy w Polsce obowiązywał *Kodeks obyczajowy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich*. Obecnie mają swój kodeks członkowie SDP i SD RP, mają swój osobny kodeks dziennikarze Polskiego Radia, osobny dziennikarze z „Rzeczypospolitej", osobny dziennikarze z Telewizji Polskiej. Pięć lat temu polscy nadawcy telewizyjni w trosce o dzieci i młodzież podpisali porozumienie „Przyjazne media". Formalnie bodaj wszystkich polskich dziennikarzy, redaktorów, wydawców oraz dyrektorów i prezesów stacji radiowych i telewizyjnych, publicznych i komercyjnych, obowiązuje *Karta etyczna mediów*. Do tego dochodzą kodeksy etyczne organizacji międzynarodowych, jak Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy (której członkami są nasze stowarzyszenia dziennikarskie). Nadal aktualna jest tzw. Deklaracja paryska, czyli *Międzynarodowe zasady etyki zawodowej dziennikarzy* z roku 1983, a także „zasady etyczne dla dziennikarzy" sformułowane w głośnej w swoim czasie Rezolucji 1003. Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy z roku 1993. Tej liście kodeksów daleko do kompletności. Należałoby ją uzupełnić zwłaszcza o ustawy, które – jak ustawa o prawie prasowym czy ustawa o radiofonii i telewizji – zawierają jednoznaczne nakazy i zakazy moralne dla dziennikarzy.

Duża liczba kodeksów dziennikarskiej etyki świadczy – jak wspominałem – o społecznym poczuciu wagi moralności w uprawiania tego zawodu, ale też sprzyja ich dewaluacji.

Ocena moralna różnych wątpliwych etycznie zachowań dziennikarzy zależy od tego, co się uzna za kwintesencję pracy dziennikarskiej albo co oni sami za najważniejsze w swojej pracy uważają. Niestety, wiele już lat upłynęło od ostatnich reprezentatywnych badań nad postawami zawodowymi dziennikarzy. Ostatnie znane mi pochodzą z początku lat dziewięćdziesiątych. Wtedy to Zbigniew Bajka wykazał, że większość (66%) polskich dziennikarzy jako swoje najważniejsze zadanie deklaruje obiektywne informowanie o wydarzeniach w kraju i na świecie. Znacznie rzadziej w tych badaniach deklarowane

było informowanie władzy o postulatach obywateli, krytyczna ocena działań władz i polityków oraz zwalczanie ujemnych zjawisk społecznych. Z tego, że większość polskich dziennikarzy tak wysoko ceni obiektywne informowanie, można by się cieszyć, gdyby nie to, że jednak co trzeci dziennikarz nie uznał obiektywnego informowania, stanowiącego fundament moralności dziennikarskiej, za swój główny obowiązek zawodowy.

W jakim zakresie reklama, sponsor lub może właściciel większości udziałów danego czasopisma wpływa na działalność dziennikarską?

– Dzisiaj na duszę dziennikarza (i redaktora) czyhają pokusy sprzeniewierzenia się dziennikarskiemu sumieniu przez jednoczesną pracę w redakcji i jawne lub niejawne wykonywanie zleceń na rzecz reklamy lub marketingu, przez motywowane osobistymi korzyściami materialnymi praktyki kryptoreklamowe lub kryptopropagandowe, przez świadome tworzenie tekstów sprzecznych z własnymi przekonaniami, ale za to zgodnych z oczekiwaniami wydawcy czy redakcji i jej linią programową, przez eksponowanie we własnych i przez siebie redagowanych tekstach lub programach wątków sensacji, erotyki i przemocy, przez zatajanie faktów lub ich okoliczności niewygodnych dla siebie, redakcji lub jakiejś instytucji, przez świadome przyczynianie się do publikowania informacji nieprawdziwych, niesprawdzonych lub zmyślonych, przez zmuszanie kolegów do wypowiedzi niezgodnych z ich przekonaniami.

Ponadto dziennikarz, zobowiązany prawnie lub ekonomicznie do przestrzegania linii programowej macierzystej redakcji, w coraz większym stopniu traci swoją podmiotowość, stając się tylko dodatkiem do jednego z coraz mniej licznych, ale za to coraz większych konglomeratów medialnych. Jeszcze kilkanaście lat temu dziennikarze wykłócali się w redakcji o zmiany wprowadzone do ich tekstu bez uzgodnienia. Dziś w wielu redakcjach tekst dostarczony przez reportera traktuje się tylko jako surowiec, półfabrykat.

Tendencyjnej selekcji informacji nie potępi ktoś, kto swoją działalność dziennikarską traktuje jak misję na rzecz jakiejś idei. I odwrotnie, nadawanie wypowiedzi medialnej takiego kształtu, by najskuteczniej służyła wielkiej idei, dla dziennikarza misjonarza jest oczywistością, ale dziennikarz informator uzna to za grzech śmiertelny. Z kolei dziennikarz adwokat, który pracuje kolejno w mediach o różnych orientacjach polityczno-ideologicznych, potraktowany zostanie przez dziennikarza misjonarza za człowieka z miedzianym czołem.

Wymienił Pan trzy typy dziennikarzy: misjonarza, adwokata i informatora. Czy występują jakieś odmiany tej profesji, na przykład: ze względu na rodzaj uprawianego dziennikarstwa?

– W latach dziewięćdziesiątych wyróżniłem wśród ówcześnie aktywnych dziennikarzy trzy główne typy: bojowników (misjonarzy); dyskdżokejów i rzemieślników. Dziennikarze bojownicy, służąc swojej Sprawie, o tym, co jej sprzyja, piszą tylko dobrze, o tym, co jej szkodzi – tylko źle; inne fakty nie zasługują na zainteresowanie. Dziennikarze dyskdżokeje upatrują swoje zadanie w zabawianiu publiczności, co znajduje wyraz w doborze tematyki, jak i środków językowych. Dziennikarze rzemieślnicy to profesjonaliści w sferze zbierania informacji, jej opracowania i redagowania; do nich należą moim zdaniem wyróżnieni przez ks. Kazimierza Sowę dziennikarze kelnerzy, którzy operatywnie, fachowo spełnią każde życzenie korzystających z ich usług mediów i publiczności.

Prototypy dzisiejszych, różnych zawodowych postaw dziennikarzy i redaktorów znajdziemy już w wieku XVII, w którym narodziła się prasa. Mówiąc o nich studentom, powołuję się na trzy wielkie postaci ówczesnej prasy angielskiej: Johna Miltona, Rogera L'Estrange'a i Marchamonta Needhama. Milton, przede wszystkim pisarz i rzecznik rewolucji purytańskiej, walczył o wolność słowa drukowanego; L'Estrange, pisarz i polityk, jako publicysta i wydawca widział sens prasy we wspieraniu władzy królewskiej; Nedham, publicysta i wydawca prasowy, był rasowym

dziennikarzem rzemieślnikiem. Historycy prasy nazywają go patriarchą angielskiego dziennikarstwa, ale też obdarzają takimi epitetami, jak kameleon, mistrz pomówień, giętki, a nawet sprzedajny.

Co można powiedzieć o etyce dziennikarza? Czy jest to łowca sensacji, starający się za wszelką cenę zdobyć informację, zanim dotrze do niej konkurencja, czy może detektyw podejmujący niekiedy ryzykowne, tzw. dziennikarskie, śledztwo w celu ujawnienia kolejnej afery?

– Uogólnienia są zawsze niebezpieczne. Znam dziennikarzy bojowników, dziennikarzy dyskdżokejów i dziennikarzy rzemieślników, a wśród nich kelnerów, łowców sensacji i detektywów. Których jest więcej, których mniej, trudno powiedzieć bez reprezentatywnych badań. A takich brak. Jeżeli się ośmielam wyrazić opinię, że w ostatnich latach obniża się poziom moralności zawodowej polskich dziennikarzy, to opieram się nie tylko na obserwacji wyników ich pracy na łamach dzienników i tygodników oraz w programach radiowo-telewizyjnych, ale także na znajomości czynników sprzyjających rozluźnieniu norm moralnych. Przynajmniej kilka z tych czynników stanowi następstwo braku stabilizacji. Dawniej dziennikarz uzyskawszy etat w jakiejś redakcji czy to prasowej, czy to radiowej, czy telewizyjnej liczył na to, że będzie mógł spędzić w niej całe zawodowe życie. Podkreślam: „będzie mógł", a nie: „będzie musiał", bo to by oznaczało brak perspektyw rozwojowych. Dziś część dziennikarzy wiąże z macierzystą redakcją tylko umowa o współpracy, część cieszy się umową zawartą na ściśle określony czas, część z niepokojem śledzi spadek nakładów swojej gazety czy czasopisma albo kurczenie się odbioru swojej stacji, bo to zapowiada redukcję etatów, bankructwo pisma lub stacji albo zmianę ich właściciela, a więc być może również ich linii programowej.

Jeszcze kilkanaście lat temu dziennikarze wykłócali się w redakcji o zmiany wprowadzone do ich tekstu bez uzgodnienia. Dziś w wielu redakcjach tekst dostarczony przez reportera traktuje się tylko jako surowiec, półfabrykat

Trzeba więc być lepszym niż inni, a w tym wypadku „być lepszym" oznacza przyczyniać się skuteczniej niż inni do zwiększenia poczytności, słuchalności lub oglądalności tego medium, w którym się aktualnie pracuje.

Nie sprzyja moralności zawodowej słabość i rozbicie stowarzyszeń dziennikarskich. Solidarność profesji ustąpiła miejsca solidarności korporacji. Jeżeli dawniej w zespole redakcyjnym do wyjątków należeli dziennikarze niezrzeszeni, dziś w redakcjach jako wyjątki traktowani są członkowie stowarzyszeń dziennikarskich. Stowarzyszenia dziennikarskie konsolidowały środowisko, które dawało oparcie etyce zawodowej. Badania Bolesława Garlickiego z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku dowodzą, że dziennikarze w sprawach zawodowych bardziej się wówczas liczyli z opinią środowiska dziennikarskiego niż ze zdaniem przełożonych, a nawet partii.

O dzisiejszym rozchwianiu moralności zawodowej świadczy zarówno nieznajomość przez dziennikarzy kodeksów obyczajowych, jak nowe, nieszczęśliwe sformułowania norm w samych kodeksach. Oto w jednym z nich czytam:

„W zbieraniu materiałów nie wolno posługiwać się metodami sprzecznymi z prawem i nagannymi etycznie; wyjątkiem jest dziennikarstwo śledcze, tj. tropienie w imię dobra publicznego za wiedzą i zgodą przełożonych – zbrodni, korupcji czy nadużycia władzy."

I dalej: „Nie wolno naruszać prywatności i sfery intymnej; wyjątek mogą stanowić – w uzasadnionych okolicznościach – działania w zakresie dziennikarstwa śledczego, także wobec osób publicznych".

Rozumiem, że zawodowe normy etycznie mogą się czasem kłócić z przepisami prawa państwowego i kodeks etyki zawodowej powinien dawać temu wyraz, deklarując wyższość etyki zawodowej nad prawem państwowym. Dziennikarzy na całym demo-

kratycznym świecie obowiązuje na przykład tajemnica źródła informacji. Zachowania jej wymagają bodaj wszystkie dziennikarskie kodeksy obyczajowe, często wbrew prawu państwowemu. Nie oznacza to jednak bezkarności dziennikarza, ale gotowość zapłacenia za zachowanie tajemnicy grzywną lub nawet aresztem. Wypadki efektywnego ukarania dziennikarza więzieniem za odmowę ujawnienia sądowi źródła informacji zdarzają się nawet w liberalnych Stanach Zjednoczonych, co zresztą przydaje splendoru i ukaranemu dziennikarzowi, i jego macierzystej redakcji.

Uznając możliwość postawienia wyżej norm zawodowych nad państwowymi, nie mogę się zgodzić z przyznaniem komukolwiek w jakimkolwiek celu prawa do posługiwania się metodami „nagannymi etycznie". Pojęcie „dziennikarstwa śledczego" (tak się ostatnio tłumaczy angielskie wyrażenie *investigative journalism*) jest na tyle nieostre, że można pod nie podciągnąć w razie potrzeby każde staranne gromadzenie informacji do krytycznego materiału prasowego. Przyznanie zaś redakcjom szczególnych uprawnień do prowadzenia „dziennikarskiego śledztwa" (cóż za terminologia!) przypomina obyczaj utrzymywania prywatnego wojska przez magnatów w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. A zresztą dziennikarz powinien obiektywnie i możliwie wielostronnie oceniać rzeczywistość; wolałbym, by widział siebie raczej w roli sędziego niż policjanta, prokuratora czy zgoła kata.

Możemy się pocieszać, że gdzie indziej nie jest lepiej. Świadczą o tym m.in. wciąż nowe, pejoratywne określenia dziennikarskich wypowiedzi i ich języka. Media to środki masowej dystrakcji, dziennik telewizyjny to telenowela, trudno odróżnić redakcyjną publicystykę od reklamy, bo to *advertorials*, informację i promocję od rozrywki, bo to albo *infotainment*, albo *promotainment*, zamiast serwisu wiadomości media oferują nam newszak (*news + muzak*). Upowszechnia się model dziennikarstwa „przędnego" (tak tłumaczę amerykańskie spin *journalism*), które sprowadza się do informowania w sposób stronniczy lub kłamliwy w celu wywarcia wpływu na opinię publiczną. Kto zaś uprawia dziennikarstwo „przędne", posługuje się językiem „przędnym" (*Spinnish*).

Media – „czwarta władza". Jak daleko mogą sięgnąć uprawnienia dziennikarzy i jakie powinny być granice odpowiedzialności ponoszonej przez przedstawicieli mediów?

– Nie utożsamiajmy mediów z dziennikarzami: oni zgodnie z prawem prasowym tylko realizują ogólną linię programową redakcji. Kiedy dziennikarz swoimi ambicjami zawodowymi i społecznymi wykracza poza przewidziane dla siebie ramy, zostaje zmuszony do odejścia. Przykłady takich niedawnych rozstań z telewizyjnymi gwiazdami mamy zapewne wszyscy w pamięci.

Przeglądając najpopularniejsze polskie dzienniki można odnieść wrażenie, iż jesteśmy świadkami powrotu dawnej idei wydawców prasowych „krew na pierwszej stronie".

– Ta zasada na wolnym rynku prasy codziennej nigdy nie przestała być aktualna. Odnosiła się wszakże tylko do gazet zwanych bulwarowymi, rewolwerowymi, ulicznymi (tzn. sprzedawanymi na ulicy, w przeciwieństwie do gazet prenumerowanych) a u nas ostatnio tabloidami. Po wojnie nie mieliśmy w Polsce prasy tego typu. Pewną jej namiastką były nasze popołudniówki typu „Expressu Wieczornego" czy „Echa Krakowa", które zniknęły z rynku w latach dziewięćdziesiątych. Ich spadkobiercą był „Super Express". Prasoznawcy już z dziesięć lat przepowiadali, że skoro w Niemczech i w Anglii rekordy nakładowe należą do gazet bulwarowych, prędzej czy później pojawią się one w Polsce. Rzeczywiście pod koniec 2003 r. zawitał do naszych kiosków „Fakt", polski brat niemieckiego „Bildu". „Super Express" (a w pewnym stopniu i inne dzienniki) musiał spróbować mu dorównać. I tak się zaczęła obecna bulwaryzacja czy tabloidyzacja naszych dzienników.

Niedawno toczyła się dyskusja na temat etyki dziennikarstwa, mam na myśli kon-

trowersję związaną z zamieszczeniem zdjęcia zwłok redaktora Waldemara Milewicza. Czy istnieje bariera swobody przekazu informacyjnego?

– Oczywiście istnieje. Jednakże istnieje nie tyle w formie ostrych kryteriów prawnych, co przede wszystkim w sumieniu samych informatorów, tzn. dziennikarzy i redaktorów. Te bariery zmieniają się w czasie i przestrzeni, zależą zresztą od różnych czynników. Media przyzwyczajają siebie i nas do coraz bardziej drastycznych wizerunków rzeczywistości. Obrazy skutków ostatniego trzęsienia ziemi w południowo-wschodniej Azji, które oglądamy ostatnio w telewizji i prasie, przekroczyły chyba wszystkie dotychczasowe bariery w tym zakresie. Czy jednak bez pokazania ich można było uświadomić ludziom to, co się stało, i skłonić ich do pomocy ofiarom tragedii?

Nie utożsamiajmy mediów z dziennikarzami: oni – zgodnie z prawem prasowym – tylko realizują ogólną linię programową redakcji

Jeśli zaś chodzi o konkretny przypadek opublikowania zdjęcia Waldemara Milewicza, rozumiem oburzenie jego rodziny i najbliższych przyjaciół. Ze względu na nich i na pamięć samego Milewicza nie puściłbym tego zdjęcia w masowym piśmie, gdybym był jego redaktorem. Ale też nie przyłączyłbym się do głosów potępiających za to redakcję „Super Expressu", gdyby się do mnie z taką propozycją ktoś zgłosił. Zwłaszcza, że chodziło o zdjęcia już upublicznione przez telewizję.

Jak dalece można naruszać prywatność osób publicznych? Czy istnieje różnica między prywatnością polityka a artysty?

– Dziennikarzy obowiązuje w tym zakresie zarówno prawo państwowe (zwłaszcza znowelizowana ostatnio ustawa o ochronie danych osobowych), jak i zawodowe kodeksy obyczajowe. Nadużycia – moim zdaniem – powinny być karane bez względu na to, czy dotyczą osób prywatnych, czy publicznych. Ale tak dla polityków, jak i dla artystów nieporównanie bardziej nieprzyjemne niż naruszanie ich prywatności jest milczenie mediów na ich temat. I jedni, i drudzy instynktownie czują słuszność potocznej prawdy: dobrze czy źle, byle z nazwiskiem. Protesty przeciw naruszaniu prywatności też dobrze służą *publicity* osoby publicznej.

Z plotek o gwiazdach artystycznych i politycznych (a także finansowych, sportowych, naukowych i in.) żyje wiele pism, a m.in. dzięki tym pismom owe gwiazdy są gwiazdami, niekiedy powszechnie „znanymi z tego, że są znane" (jak to ładnie sformułowano w „Polityce").

Jakie największe wyzwanie stoi przed dziennikarstwem wieku XXI?

– Zachowanie dziennikarstwa jako działalności polegającej na możliwie obiektywnym informowaniu o tym, co najważniejsze, i uczciwym komentowaniu tego, co się wydarzyło. Jeżeli dla takiego dziennikarstwa zabraknie miejsca w konkurujących między sobą mediach masowych, pewnie schroni się ono do internetu.

Dziękujemy za rozmowę

Wywiad przeprowadzony za pośrednictwem internetu.

Fotografia ze strony Ośrodka Badań Prasoznawczych (www.obp.hosting.pl/personel.htm)

Jak kształcić dziennikarzy?

Prezentujemy skrócone i nieautoryzowane wypowiedzi uczestników dyskusji, zorganizowanej z okazji jubileuszu 20-lecia Studium Dziennikarskiego AP. Zapis dyskusji nie był dotychczas publikowany w żadnej formie. Wyboru i opracowania redakcyjnego dokonał dr Edward Chudziński

Edward Chudziński (kierownik Studium Dziennikarskiego AP)

– Do dyskusji na temat: *Jak kształcić dziennikarzy?* zaproszenie przyjęli przedstawiciele uczelni prowadzących kierunki dziennikarskie, reprezentanci wielkich mediów publicznych i niepublicznych oraz dziennikarze praktycy. Dlatego sądzę, że wymiana poglądów w tym gronie może być pożyteczna.

Prof. dr hab. Teresa Sasińska-Klas (Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ)

– Żaden sektor gospodarki nie rozwija się tak szybko i dynamicznie jak sektor informacyjny. Powstaje więc pytanie, co proces edukacji ma tu do wniesienia, jak za taką dynamiką nadążyć i jak kształcić kadry dla sektora informacyjnego? Wprawdzie temat dyskusji brzmi: *Jak kształcić dziennikarzy?* i skłania uczestników do zajęcia się wyłącznie tą grupą zawodową, ale wydaje się, że nie będzie z mojej strony daleko idącym nadużyciem, jeśli zaproponuję rozszerzenie dyskusji o kwestie dotyczące kształcenia kadr w różnych zawodach i specjalnościach medialnych.

Obserwujemy wyraźnie w świecie, a także w ostatnich latach w Polsce, przesunięcie zainteresowań dydaktyków i badaczy w stronę szeroko rozumianej komunikacji społecznej. W USA dynamika rozwoju w dziedzinie badań nad komunikowaniem masowym i szeroko rozumianą komunikacją społeczną jest najbardziej imponująca i datuje się od początku lat siedemdziesiątych. Badacze, teoretycy jak i praktycy, coraz częściej posługują się terminem „komunikacja społeczna", „komunikowanie masowe", studia w zakresie *mass communication*, *media studies*, aniżeli tradycyjnym pojęciem dziennikarstwa w znaczeniu określonego profilu edukacyj-

Uczestnicy dyskusji

nego związanego z przygotowaniem kadr do różnych specjalności i szeroko rozumianych zawodów medialnych.

A więc kim są dzisiejsi dziennikarze jako grupa zawodowa? Poszukajmy odpowiedzi na to pytanie, bowiem z tego w znacznej mierze wyniknie, jak należy ich kształcić. Czy jest to grupa, która jest raczej symbolem przeszłości, czy jest to grupa odchodząca, zmniejszająca się w sensie społecznego znaczenia, czy też jest to zawód przyszłości? Zawód czy wyzwanie? Szansa, a może pasja, hobby? Czy to praca dla zawodowców, czyli - jak dzisiaj określamy - profesjonalistów, czy też raczej dla amatorów, czy wymaga należytego przygotowania, opanowania podstawowego kwantum wiedzy i ile tej wiedzy wystarczy, ażeby zostać dzisiaj w naszym kraju dziennikarzem wykwalifikowanym, kompetentnym, umiejącym wykonywać ten zawód? A może, jak to się ponoć zdarza, wystarczy wejść do studia i... zostać dziennikarzem radiowym. Wydaje się jednak, że kryteria naboru do tego zawodu są określone, a poprzeczka jest wysoko ustawiona. Należy więc w taki sposób kształcić dziennikarzy, aby sprostali postawionym im wymaganiom.

Spójrzmy dla przykładu na dziennikarstwo tematyczne, powiedzmy, ekonomiczne. Dziś błąd dziennikarza specjalizującego się w tej dziedzinie może spowodować krach na giełdzie, napięcia na rynku kapitałowym, spory między ekspertami czy doradcami ekonomicznymi. A więc dziennikarstwo o niesprecyzowanym zakresie i profilu na dobrą sprawę już nie istnieje. „Dziennikarz od wszystkiego" nie ma racji bytu. Dziś wymagana jest coraz węższa, precyzyjnie określona specjalność. Rozstajemy się z misjonarstwem, relacjami typu mistrz - uczeń. Obecnie w dziennikarstwie odbiorcy poszukują wiarygodnych informacji i dziennikarze specjaliści mają ich dostarczać.

Ta kwestia łączy się ze specjalizacją zawodową na studiach dziennikarskich. Na UJ, spośród sześćdziesięciu studentów trzeciego roku studiów dziennych, ponad połowa wybiera jako przyszłą specjalizację *public relations* i reklamę, 10 proc. wybiera się do telewizji, a zaledwie 2 osoby do prasy. Reszta jeszcze się waha; są osoby, które preferują wariant mieszany, czyli chcieliby być dziennikarzami od wszystkiego. Jakkolwiek by to gorzko nie zabrzmiało: od wszystkiego, czyli od niczego.

Prowadząc zajęcia w niepublicznej szkole wyższej w Warszawie na kierunku dziennikarskim, zadałam pytanie studentom pierwszego roku: jak kształcić i czy kształcić dziennikarzy, czy też nie kształcić i dlaczego, z prośbą o uzasadnienie. 90 proc. wypowiadających się w anonimowej ankiecie stwierdziło, że dziennikarzy należy kształcić. Oto kilka uzasadniających wypowiedzi:

„Żyję w społeczeństwie informacyjnym, gdzie zapotrzebowanie na informacje ciągle się zwiększa. Potrzebny jest ktoś, kto przekaże je ludziom. Dziennikarz niekoniecznie musi być związany z mediami, jest to osoba potrafiąca zdobyć i sprzedać informację, skatalogować ją i przedstawić w formie zrozumiałej dla odbiorcy, klienta. Uważam, że studia dziennikarskie najlepiej przygotowują do życia w otaczającym nas świecie informacji".

„Należy kształcić dziennikarzy, ponieważ jest to odpowiedzialna praca. Słowa potrafią wiele zdziałać, dziennikarz powinien mieć świadomość swojej roli i czuć się odpowiedzialnym za to, co stworzy, w jakim świetle

Od lewej: dr E. Chudziński, prof. B. Faron

i jak dokładnie pokaże człowieka czy daną sytuację. Należy uczyć się wnikliwej analizy faktów, elastyczności w ocenie realiów, szacunku dla ludzi i dla ich uczuć".

„Zdecydowanie tak, kształcić, gdyż na polskim rynku medialnym jest bardzo dużo ludzi działających nieprofesjonalnie, a w zawodzie dziennikarskim profesjonalizm jest niezbędny. Ale nie wystarczy być specjalistą w jakiejś konkretnej dziedzinie, by móc o tym dobrze pisać. Często ludzie piszący do różnych gazet nie potrafią zainteresować swymi artykułami czytelników".

Tyle wypowiedzi. Widać wyraźnie, jak w tych głosach odbija się rzeczywistość. Dziennikarstwo zmienia się, kurczy się zakres klasycznie, tradycyjnie uprawianego rzemiosła. Na plan pierwszy wysuwają się eksperci, potrafiący odnieść się do konkretnych problemów, gdyż posiadają na ich temat specjalistyczną wiedzę.

Równocześnie zachodzą zmiany wśród odbiorców mediów. Z badań prowadzonych przez lata w Ośrodku Badań Prasoznawczych UJ wynika, że ubywa czytelników. Równocześnie obserwujemy wzrost oglądalności programów telewizyjnych (medium telewizyjne jest dominujące), słuchalności radia, czyli następuje wyraźne przegrupowanie na rynku odbiorców. Nowym zjawiskiem jest dynamicznie zwiększająca się liczba internautów. Do tej grupy należy dotrzeć, bo jest ona zainteresowana informacją.

Widzimy więc, że preferencje odbiorców się zmieniają. Z tych zmian musimy wyciągać wnioski, czyli kształcić tak, by nasi absolwenci znaleźli pracę w szeroko rozumianych zawodach medialnych. Dlaczego w zawodach medialnych? Dlatego, że dzisiaj nie ma alternatywy dla społeczeństwa informacyjnego, w którym ponad 50 proc. ludzi będzie utrzymywało się z wymiany, obiegu, przetwarzania i przerabiania informacji. Taka jest przyszłość i w niej szansa na nowe specjalności medialne.

W przeszłości, w społeczeństwie wiedzy, to dziennikarze ją dostarczali bądź interpretowali. W społeczeństwie informacyjnym będą konkurowali ze specjalistami w zakresie przetwarzania, przesyłania i obróbki informacji i dlatego zapotrzebowanie na te właśnie kadry wykazuje tendencję rosnącą. Rynek pracy da odpowiedź na pytanie, jak i kogo kształcić na poziomie akademickim w zawodach medialnych, czyli gdzie znajdą zatrudnienie absolwenci szkół wyższych. I to musimy mieć wszyscy na uwadze.

Michał Maliszewski (b. dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej)

– Wyznaję zasadę „uczta się na uniwersytetach a nie na błędach". Przed laty, kiedy wchodziłem do dziennikarskiego zawodu, jawił mi się on w kategoriach zgoła dziewiętnastowiecznych: pusta kartka papieru, nade mną muza, przede mną ołówek, a dalej, to już jak na wyścigach – „wszystko w rękach konia". Wkrótce okazało się jednak, że choć bywają czyste kartki, bywa też „tabula rasa", czyli pustka w głowie i wtedy jest gorzej. Dziennikarzy kształcić trzeba, bo trzeba mieć jakieś podstawy do wykonywania tego zawodu. Ja bym go jednak nie wiązał z twórczością. Dziennikarstwo jest zawodem, solidnym rzemiosłem. Widać to szczególnie w tych specjalnościach, które są stechnicyzowane, takich jak, na przykład, telewizja.

Ważnym elementem dziennikarskiego wykształcenia jest więc specjalizacja, ale patrzę na nią trochę inaczej niż pani profesor. Nie łączyłbym dziennikarstwa z profesjami czysto informacyjnymi. Jednak zawód dziennikarza jest bardzo różny od specjalisty z dziedziny *public relations*. Jest to bowiem inna problematyka zawodowa, a nade wszystko inna deontologia i inna etyka. Nie mieszałbym więc tych specjalności, choć z teoretycznego punktu widzenia może to być całkowicie poprawne.

Moim uniwersytetem była redakcja telewizyjnej Panoramy. Kiedy z niej odchodziłem, powiedziałem coś takiego: stąd się nie odchodzi, bo to rodzaj szkoły dziennikarskiej, którą uprawia się do końca życia. Dobrze zorganizowana redakcja, w której się dobrze pracuje, jest najlepszą szkołą dziennikarstwa. A poza tym stawia bardzo wysokie wymagania. Tutaj sprawdza się człowiek w skali jeden do jeden. Albo coś robi i mu wychodzi, albo nie.

Jeśliby nawet nie przetrwało dziennikarstwo, choć mam nadzieję, że przetrwa, to zawsze będą lu-

dzie, którzy wątpią, którzy szukają prawdy, drugiego dna. Wierzę, że pozostanie komentator, który, dysponując odpowiednim zasobem wiedzy, zachowa dystans do rzeczywistości i potrafi ją zanalizować. Na takie kompetencje będzie zawsze zapotrzebowanie, niezależnie od tego, jakiej będą owi dziennikarze specjalności: internetowej, telewizyjnej, radiowej czy klasycznej. I na tym opieram swój optymizm. A więc końca zawodu dziennikarza jeszcze nie ogłaszajmy.

Prof. dr hab. Janusz Adamowski (dyrektor Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego)

– Stawiając pytanie: *Jak kształcić dziennikarzy?*, organizatorzy oczekują odpowiedzi, a ja nie mam gotowej recepty. Dla mnie największym zaskoczeniem dekady lat dziewięćdziesiątych była ogromna popularność studiów dziennikarskich. Dziś kształci dziennikarzy właściwie kto tylko może: wszystkie uniwersytety publiczne, wiele uczelni niepublicznych. Mój instytut kształci 1800 studentów, na sześciu różnych typach studiów. To jest szokujące, a jednocześnie w pewnym sensie optymistyczne. Dlatego zgadzam się z red. Maliszewskim, że nie możemy mówić o końcu zawodu dziennikarskiego, tym bardziej, że droga do tego zawodu jest ciągle otwarta. Nie ma obowiązku posiadania wykształcenia dziennikarskiego, by do tego zawodu wejść.

Nie jestem zwolennikiem teorii talentyzmu. Oczywiście trzeba mieć pewne predyspozycje do wykonywania tego zawodu, to jest niesłychanie ważne, ale same predyspozycje nie wystarczą. Dlatego jestem zwolennikiem kształcenia dziennikarzy, nie upierając się absolutnie przy tym, że będzie się to odbywało na kierunku „dziennikarstwo i komunikacja społeczna", uruchomionym pod tą nazwą na Uniwersytecie Warszawskim w 1997 r.

Pozwolę sobie popatrzeć na sprawę trochę może szerzej i wyjść poza nasze polskie podwórko. Istnieje model kształcenia uniwersyteckiego, gdzie raczej uczy się masowego komunikowania, czy jak chce profesor Sasińska-Klas – komunikacji społecznej. Natomiast w szkołach zawodowych zdobywa się praktyczną umiejętność obcowania z kamerą, z mikrofonem, pracy w agencji informacyjnej. Napór studentów na kierunki dziennikarskie był tak wielki, że my w Polsce musieliśmy stworzyć własną metodę kształcenia. W rezultacie powstała kombinacja kształcenia uniwersyteckiego z uniwersytetem praktycznym.

Na Uniwersytecie Warszawskim wygląda to tak, że pierwsze trzy lata studiów są nasycone w maksymalnym stopniu teorią, a dwa ostatnie lata są bardzo praktyczne. Spośród 55 etatowych pracowników instytutu ponad połowę stanowią nauczyciele zawodu, a dodatkowo, w ramach różnego typu zleceń, zatrudniamy ponad 20 dziennikarzy praktyków uczących tego zawodu. Tak więc na pytanie postawione mi przez organizatorów chciałoby się krótko odpowiedzieć: uczyć dziennikarzy nowocześnie, a zarazem efektywnie.

Co to znaczy „nowocześnie"? To znaczy tak, aby mogli sprostać zapotrzebowaniu rynku i wymogom pracodawców. Nawet jeśli patrzymy z pewnym „obrzydzeniem" na to, co Anglicy nazywają *clambing down*, czyli schodzenie w dół polskiego dziennikarstwa, to jednak broniłbym realiów ryn-

Od lewej: prof. T. Goban-Klas, red. R. Niemiec, A. Czapliński

ku. Widocznie czytelnicy akceptują ten typ dziennikarstwa.

Efektywnie, to znaczy dając dziennikarzom wiedzę, która w tym zawodzie będzie im naprawdę przydatna. Jeśli pojawia się zapotrzebowanie na tak zwane dziennikarstwo internetowe, czy jak chcą inni - dziennikarstwo on-line'owe, to trzeba taką specjalizację otworzyć.

Dlatego, nie bacząc na koszty, przystąpiliśmy do budowy własnego studia radiowego, własnego studia telewizyjnego, własnego portalu internetowego, bo bez tego nie da się dzisiaj kształcić dziennikarzy. W przeciwnym razie przegramy rywalizację o przyszłych studentów, których „nadmiar" jest przecież w dużej mierze konsekwencją wyżu demograficznego.

W czym upatruję przyszłość kształcenia dziennikarzy w Polsce? Sądzę, że niedługo na rynku ostaną się tylko najlepsi, dysponujący dobrą bazą i kadrą. Zaczną tracić na znaczeniu szkoły kształcące dziennikarzy na poziomie elementarnym, podstawowym. Przyszłość upatruję raczej w kształceniu podyplomowym - to jest droga, którą powinniśmy pójść, gdyż kształcenie dziennikarzy w ramach wąsko wyspecjalizowanych studiów wydaje się być najbardziej efektywne.

Jacek Stawiski (dyrektor Informacji Radia RMF FM)

- Moją rolą nie jest kształcenie dziennikarzy. Zbieram dziennikarzy z tak zwanego rynku i z natury rzeczy mam sporo praktycznych spostrzeżeń na temat, kto chce być dziennikarzem i kto nim zostaje. Moja redakcja ma oczywiście określone oczekiwania wobec kandydatów. Przede wszystkim zachęcam młodych ludzi, którzy chcą być dziennikarzami, do pozbycia się złudzeń. Bardzo trudno być dziennikarzem, bardzo trudno trafić dziś do redakcji. Zostają najlepsi, zarówno w radio, TV, jak i w prasie czy w portalach medialnych. Zostają ci, którzy mają najciekawsze i najbardziej atrakcyjne rzeczy do powiedzenia. Przypadków jest coraz mniej.

Bezrobocie, temat numer jeden mediów, dotyka też potencjalnych dziennikarzy i absolwentów tego kierunku. Za jakiś czas uporządkuje się ostatecznie rynek medialny i będzie bardzo trudno się przebić. Zachęcam więc do pozbycia się złudzeń i do ciężkiej harówki. To droga najlepsza i praktycznie jedyna. Mówię to jako praktyk, który kieruje zespołem młodym, ale z dnia na dzień nabierającym doświadczenia.

Bardzo trudno być dziś dziennikarzem dużego medium. Ogromne audytorium, którego przez dwanaście lat dorobiło się radio RMF, to błogosławieństwo, ale także przekleństwo. Z jednej strony bowiem jesteśmy liderem na rynku radiowym i odzew na to, co robimy jest ogromny. Ale to także przekleństwo, bo mówimy do wszystkich. Musimy mieć w zespole ludzi, którzy potrafią napisać prostą i jasną informację na temat postępów w śledztwie w sprawie mordu w Jedwabnem i człowieka, który napisze prostą, jasną i czytelną (po polsku! - to poważny problem, niestety) informację na temat nowych osiągnięć inżynierii genetycznej. Wiedza, czy brak wiedzy, która upoważnia dziennikarza do tego, by być w miarę kompetentnym uczestnikiem debaty publicznej, jest najpoważniejszym mankamentem. Do pisania takich informacji, do uczestniczenia w takiej debacie publicznej potrzebuję ludzi, którzy są zakorzenieni w świecie wieku dwudziestego. Ale do wielu innych tematów potrzebuję dziennikarzy, którzy mentalnie tkwią już w wieku dwudziestym pierwszym.

Rynek jest ogromny. Słuchacze czy widzowie mają do wyboru informację w RMF i Big Brothera, a mnie żal każdego słuchacza, który odejdzie od odbiornika z poczuciem, że dziennikarz jest nieprofesjonalny, nieodpowiedzialny czy zgoła niepoczytalny. Ponieważ kształcenie odbywa się w określonych warunkach społecznych i historycznych, to jeszcze dziesięć lat temu powiedziałbym, że skrótowa forma radia jest przekleństwem. Dziś już wiemy, że nie mamy szans w mediach elektronicznych zajmować się zbyt długo problemami, które nas otaczają. Musimy szanować czas odbiorcy.

Ryszard Kapuściński (pisarz, dziennikarz)

- Kłopot z naszą dyskusją polega na tym, że nie uściśliliśmy, „co rozumiemy przez..." Otóż w rezultacie rewolucji elektronicznej to, co było kiedyś dziennikarstwem, rozrosło się ogromnie i powoli stajemy

w obliczu zjawiska, które Amerykanie nazywają *medium class*, klasy pracowników medialnych. Ale Amerykanie rozróżniają, czego my nie mamy w naszym języku, pojęcia *journalist* i *medium worker*. Medium worker to pracownik nowo rozwiniętego w tamtym kraju sektora usług, dla którego kształci się pracowników informacji, jak kelnerów dla restauracji. To nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Dziennikarstwo istnieje od 200 lat i ciągle się rozwija. Są to dwie różne dziedziny. Jeśli na świecie istnieją gazety, doskonałe czasopisma, telewizja i radio, to dzieje się tak dzięki dziennikarzom. Trzeba rozróżnić pojęcia *messenger* i *message*. Tak zwane „media" są środkami przekazu, ale przecież przekazuje się coś, jakąś treść. Każda redakcja, czy prasowa czy telewizyjna, musi mieć dziennikarzy do pisania, do kreowania audycji, a potem ubiera to w masówkę, którą produkuje się na łokcie. Bez dziennikarzy nikt nie ujedzie. Absolwentów dziennikarstwa mamy mnóstwo, ale to jeszcze nie dziennikarze. Nie wolno mylić tych rzeczy. Najbardziej ambitne na świecie gazety zatrudniają świetnych dziennikarzy i nakłady rosną. To samo dotyczy stacji telewizyjnych i radiowych. Oczywiście jest jeszcze ów *message*, jak mawiają Amerykanie, ale to nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem...

Powiem więcej – rola dziennikarstwa rośnie, bo nastąpiło przesunięcie ośrodka kształtowania opinii społecznej z kręgów intelektualistów w stronę mediów. Dziś dziennikarze spełniają tę rolę, jaką kiedyś spełniali intelektualiści w społeczeństwie. Jeszcze niedawno w Polsce intelektualiści podpisywali listy otwarte, by zwrócić uwagę społeczeństwa na jakiś problem. Dziś rolę taką spełniają środki masowego przekazu i ludzie tam pracujący. Podobnie jest w Ameryce Łacińskiej, gdzie pisarze są równocześnie dziennikarzami i piszą do gazet. Carlos Fuentes, Vargas Lyosa, Gabriel Marquez są dziennikarzami. I na nich opiera się prasa...

W dziedzinie medialnych usług będzie więc zapewne tak, jak mówi pani profesor, ale w dziedzinie dziennikarstwa będzie tak, jak było zawsze. Gdy mówimy o szkoleniu dziennikarzy, dziennikarzy, których ja mam na myśli, to największy nacisk należy położyć na etykę zawodową. To jest problem główny dla dziennikarza, bo dziś dziennikarz jest twórcą etyki społecznej, twórcą duchowych wartości narodu. Zbiera i wypowiada opinie, ostatecznie je formułuje, więc od jego etyki zależy wszystko. Właściwie cały program szkolenia dziennikarzy (nie mówię o usługowych robotnikach informacji) powinien być oparty na rozwijaniu tego, co jest kulturą, etyką, cywilizacją. To rzeczy, które trzeba wpoić człowiekowi, który chce być dziennikarzem. I nie sądzę, żeby w istocie tak trudno było odróżnić ludzi, którzy chcą być dziennikarzami, od tych, którzy zamierzają skończyć studia usługowo-informacyjne, komunikacji społecznej, czy jak je tam zwał. To jest rozróżnienie między ludźmi, którzy chcą coś zrobić więcej, w których tkwią zalążki twórcze, od tych, którzy chcą po prostu zarabiać na chleb.

Prof. dr hab. Tomasz Goban-Klas (Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ) – W dziennikarskim świecie istnieje osobna kategoria, którą możemy nazwać „tuzami dziennikarskimi" i Ryszard Kapuściński do tej kategorii należy. Pytanie, czy takich dziennikarzy w ogóle da się wykształcić? To pytanie raczej retoryczne, bo tacy dziennikarze po pierwsze się rodzą, po wtóre kształcą się sami, a po trzecie – pewne kultury dają większe szanse dziennikarzom. W kulturze latynoskiej pisarz ciągle jest przywódcą narodu, nawet we Włoszech takie zjawisko można dostrzec. Dlatego powołam się na innego tuza dziennikarskiego, słynnego Umberto Eco. Jest profesorem semiotyki, pisarzem, ale zarazem dziennikarzem, który pisze znakomite felietony. Otóż Eco w podobnej dyskusji powiedział, że problemem w kształceniu dziennikarzy jest połączenie umiejętności zawodowych z kształceniem etyczno-filozoficznym. Jest w tym, jego zdaniem, pewna schizofrenia, bo profesorowie etyki uczą wartości, które potem na zajęciach z kształcenia zawodowego są przekreślane. Uczą zgłębienia problemu, uczciwości, a na zajęciach warsztatowych uczy się pisać jak szef każe i jak każe pisać publiczność. I właśnie brakującym ogniwem w naszej dyskusji jest owa publiczność: niecierpliwy czytelnik czy odbiorca...

W amerykańskich szkołach dziennikarstwa opowiada się anegdotę, że gdyby dziś Mojżesz zszedł z góry Synaj, a spotkał go reporter CNN i spostrzegł, że starszy pan ma w ręku dziesięć przykazań, to powiedziałby patriarsze, że to zbyt wiele na dzisiejsze wydanie wiadomości i żeby zechciał wymienić trzy najważniejsze...

Obserwujemy więc tendencję do komprymacji czasu, bo i czas audytorium jest dziś w cenie. Zaczyna się tabloidalne dziennikarstwo na poziomie tych wspaniałych „Le Mondów", czy „Corriere della sera", co w Polsce też obserwujemy. Nawet „Polityka" już nie zamieści tak długiego tekstu jak dawniej. Rodzi się więc pytanie, jak dla takich gazet kształcić dziennikarzy?

Oglądałem kiedyś niezwykle ważną informację z dziedziny nauki w dzienniku CNN. Chodziło bodaj o doświadczenie z dziedziny fuzji neutronowej. „Daję Panu dwie minuty na wyjaśnienie, o co chodzi" – zwraca się dziennikarz do laureata nagrody Nobla. Ten się żachnął, a dziennikarz się zreflektował i powiada – „Panu, to daję trzy minuty".

I jeszcze jedno. Pamiętam czasy, kiedy uniwersytet kształcił niesłychanie elitarnie. Na socjologii było dwudziestu, na naukach politycznych trzydziestu studentów. Gdy dowiedziałem się, że w Salzburgu kształci się dwa tysiące socjologów, zachodziłem w głowę, gdzie też oni będą pracować. Potem jednak pojechałem do Ohio, stanu wielkości Małopolski i Śląska, gdzie jest 4 mln ludności i kilkadziesiąt uniwersytetów, a w jednym z nich, uczelni radiowo-telewizyjnej, studiuje cztery tysiące studentów. Cóż, wykształcenie nie zobowiązuje do tego, by być dziennikarzem. Absolwent może się stać *information provider*, dostawcą informacji i jest to też bardzo ważna dziedzina.

Z pozoru wydaje się, że w Polsce mądrych dziennikarzy nie brakuje, ale jak człowiek ruszy w Polskę „B", zobaczy, jaka tam jest obsługa informacyjna, to przekona się, że brakuje zawodowych selekcjonerów informacji, którzy potrafią napisać proste sprawozdanie z tego, co się działo na posiedzeniu rady gminy. Oczywiście Ryszard Kapuściński ma rację, potem musi pojawić się dobry dziennikarz, który z tego wyciągnie więcej, ale „pracownicy informacyjni" też są potrzebni i będzie ich trzeba coraz więcej.

Ryszard Niemiec (b. redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej")

– Zgadzam się w pełni z Ryszardem Kapuścińskim, że dziś, gdy wszyscy uczą dziennikarskiego warsztatu, nikt nie uczy etyki. Inna rzecz, że to głównie życie będzie uczyć etyki w bezpośrednim kontakcie z materią świata, który jest nam dany do opisania. Powołam się tu na zapomnianego już dziś nieco reportera, Zbigniewa Kwiatkowskiego, który mówił, że dziennikarz winien być swego rodzaju reflektorem, który idzie przed politykami, ostrzegając ich. Dziś, po doświadczeniach lat dziewięćdziesiątych, możemy wprowadzić istotną korektę do stwierdzenia Kwiatkowskiego. Powinniśmy iść tropem polityków i oświetlać ich ślady.

I *pro domo sua*. Reprezentuję gazetę, która po dziś dzień płaci rachunek za to, co zrobili z nią politycy. Ogromne szkody poczyniła weryfikacja roku '82, która wycięła w pień najzdolniejszych dzienni-

R. Kapuściński, prof. T. Sasińska-Klas

karzy. Ale i ta druga, w '90 roku, poczyniła podobne szkody intelektualne i warsztatowe. Nie jest prawdą, że „komsomolskie zaciągi" mogą z dnia na dzień zastąpić „starą" kadrę. To się nie udało nikomu. Liczy się kompetencja, kompetencja i jeszcze raz kompetencja. Toteż chcę popdkreślić, że w okresie wstawania z klęczek „Gazety Krakowskiej" przyszli do niej absolwenci Studium Dziennikarskiego Akademii Pedagogicznej i nie byli to „komsomolcy", lecz dziennikarze wyposażeni w odpowiednią wiedzę i umiejętności warsztatowe.

Zbigniew Bajka (z-ca kierownika Ośrodka Badań Prasoznawczych UJ):

- Mówiąc o etyce, Ryszard Niemiec odwoływał się do wypowiedzi Ryszarda Kapuścińskiego. To ważna sprawa. Robiłem internetowe badania wśród dziennikarzy z całego kraju i rzeczywiście problem etyki zaznaczał się w ich wypowiedziach bardzo wyraźnie. Aż 90 proc. z nich twierdzi, że ma problemy z cenzurą wewnętrzną. Pojawiają się też głosy, że dzisiejsza „wolność prasy" to nie jest wolność dla dziennikarzy, lecz dla wydawców. Wielu dziennikarzy wskazuje na powiązania biznesu z mediami. Niekiedy przybiera to karykaturalne formy, szczególnie gdy finanse medium są zależne od reklamodawców...

Druga sprawa. Nie ulega wątpliwości, że dziennikarze mają ogromny wkład w zmiany, jakie dokonały się po roku 1989, a równocześnie środowisko zostało znacznie przetrzebione. Wielu ludzi odeszło z zawodu, albo na początku lat osiemdziesiątych, albo dziewięćdziesiątych.

Robiłem u schyłku lat osiemdziesiątych badania na temat: „co ludzi młodych skłania do tego zawodu". Często padały określenia: „chcemy dobrze, uczciwie, solidnie informować", bardzo często „pomagać innym ludziom", to na drugim miejscu i na trzecim: „chcemy się uczyć, pogłębiać wiedzę". Teraz ta hierarchia uległa zmianie. „Chcemy być w centrum wydarzeń, chcemy być tam, gdzie zwykły śmiertelnik nie może się znaleźć". Możliwość obcowania z wielkimi tego świata bywa więc motywem wyboru.

I ostatnia sprawa. Mówił Ryszard Kapuściński, że dziennikarze mają szansę wpływania na opinię publiczną. Tak, i mają tego świadomość. Mówią to *expressis verbis*: „chcemy wpływać na opinię ludzi". Obawiam się jednak, że nie wszyscy dziennikarze są predestynowani do tego, by opinię kształtować i na nią wpływać, a niekiedy ich wpływ może być zgoła niebezpieczny.

Dr Zbigniew Bauer (medioznawca i literaturoznawca, IFP AP)

- Chciałbym powiedzieć kilka słów na temat sytuacji prasy lokalnej i regionalnej w Polsce. Mianowicie od dziesięciu lat obserwujemy stopniowe odchodzenie od indywidualności, także w tych, z natury rzeczy odporniejszych na uniformizację mediach. Dzieje się tak dlatego, że przechodzą one stopniowo w ręce wielkich koncernów medialnych, które prowadzą politykę macdonaldyzacji. Indywidualność przestaje być wartością. Jeśli się ogląda *layout* „Gazety Krakowskiej", „Gazety Olsztyńskiej", pism wychodzących we Wrocławiu, Opolu, w środkowej Polsce, należących do tego samego koncernu prasowego, to nie wiem, gdzie ja właściwie jestem? W jakim mieście? Wszędzie jest tak samo.

A więc proces macdonaldyzacji prasy regionalnej i lokalnej, a do takiej trafia przecież większość absolwentów studiów dziennikarskich, zwalnia ich od poszukiwania własnej indywidualności. Całe szczęście, że są jeszcze w tych redakcjach dziennikarze zdolni przytrzymać owych młodych ludzi, którym się jeszcze chce czegoś więcej, niż tylko hamburgera i frytek, *fast foodu* dziennikarskiego.

Nawiążę też do tego, o czym mówił Ryszard Kapuściński. Otóż wielkie koncerny medialne coraz rzadziej wysyłają dziennikarzy tam, gdzie można dostać po głowie, gdzie można zginąć... Bardzo chętnie natomiast korzystają z pracy dyletantów. Pisał o tym pan Ryszard w jednym ze swoich „Lapidariów". Materiał nakręcony kamerą VHS, dostarczony do centrali przez kogoś, komu można dać pięćset dolarów (jeśli to bardzo dobry materiał) zostaje opracowany, włączony w pewien ogólny schemat, jakim posługuje się taka agencja. Za podróż ekipy w to miejsce

trzeba by zapłacić kilkanaście, a może i kilkadziesiąt tysięcy dolarów...

Myślę więc, że ważnym problemem w zawodzie dziennikarskim jest zanik indywidualności, zanik osobowości.

Olgierd Jęrzejczyk (emerytowany dziennikarz „Gazety Krakowskiej")

- Ja walczę od dłuższego czasu o „ufilologicznienie" studiów dziennikarskich. Patrzę na mojego kolegę, Ryszarda Kapuścińskiego - on jest z Pińska, a ja ze Słonima (o Krakowie nie ma słowa w „Panu Tadeuszu", a o Słonimie jest) i jeśli ja chcę, żeby ludzie o tym wiedzieli, to jest to „ufilologicznienie" mojego zawodu. Kiedy myśmy studiowali dziennikarstwo, trzeba było przejść przez gramatykę opisową! Historii literatury uczyła nas prof. Garbaczowska, prof. Wyka literatury współczesnej. Do Stefana Otwinowskiego chodziliśmy na Krupniczą i rozmawialiśmy o literaturze dwudziestolecia międzywojennego.

Kształcenie literackie dziennikarzy było ważne. Dzisiaj osoby pracujące w TV mówią „wadza", a spikerki „Dwójki" malują usta szminkami i nim powiedzą słowo, rozlega się mlask. To przecież znak lekceważenia widza i słuchacza.

Michał Maliszewski

- W niektórych krajach anglosaskich, na przykład w Australii, kończy się podstawowy kierunek studiów na poziomie licencjatu. Dalszą edukację zawodową powierza się „zakładom pracy". One dają wiedzę rzemieślniczą, kompetencję a jak widzimy, nawet w sprawach etyki zawodowej decyduje kompetencja. Bronię więc przygotowywania kompetencyjnego dziennikarzy.

Rodzi się jednak pytanie, kto u nas weźmie na siebie ciężar przygotowania kompetencyjnego: czy instytucje - molochy, jak koncerny prasowe lub telewizja, czy uczelnie kształcące dziennikarzy?

Prof. Janusz Adamowski

Moim zdaniem nie powinniśmy być nastawieni na hodowlę brojlerów. Przyjmując nawet, że kształcimy dziennikarzy, nie chciałbym od razu, na początku drogi życiowej, dzielić młodych ludzi na elitarnych i masowych. Dlaczego? Doceniam rolę dziennikarstwa elitarnego i doceniam rolę wielkich nazwisk w dziennikarstwie, a jednak, gdy spojrzymy na nakłady prasy (na przykład w Wielkiej Brytanii) okaże się, że w gazetach masowych nie pracuje elita. A ja muszę dać taką samą wiedzę Monice Olejnik i Tomaszowi Lisowi, jak i tym mniej znanym, mniej utytułowanym... A co oni z tego wezmą, to jest już trochę ich sprawa. I dlatego powinien nastąpić sensowny podział pracy między uczelniami kształcącymi kadry dziennikarskie, a pracodawcami.

Jacek Stawiski

- Nie jadam nigdy w McDonald'sie, ale chcę żyć w świecie, w którym jedni mogą pójść do McDonald'sa, a inni do Wierzynka. I tak samo jest z prasą. Dziwię się, że na łamach „Super Ekspresu" żaden z polskich polityków od prawa do lewa nie potrafi opublikować prostego, jasnego, precyzyjnego artykułu politycznego, wyjaśniającego jakiś problem, a na łamach dziennika „The Sun" co dwa tygodnie premier albo minister spraw zagranicznych, lub politycy opozycji potrafią do 3 milionów czytelników

Od lewej: prof. J. Adamowski, R. Kapuściński, prof. T. Sasińska-Klas, dr E. Chudziński, red. M. Maliszewski, J. Stawicki

przesłać precyzyjny komunikat, że np. interes Wielkiej Brytanii polega na przystąpieniu do unii walutowej, po spełnieniu takich a takich warunków.

Ja wolę żyć w kraju, w którym jest miejsce na elitarne dziennikarstwo, ale także na szeroką debatę. Żadnego dziennikarstwa, ani popularnego, ani elitarnego, nie zrobią dyletanci. Trzeba się kształcić, trzeba się uczyć, trzeba umieć pracować w zespole. Rzemiosło na podstawowym poziomie jest niezbędne. Nie chciałbym, aby po studiach przychodzili do redakcji dziennikarze z nastawieniem, że będą nadawali ton debacie o wstąpieniu do Unii Europejskiej. Tacy ludzie wyglądają dla mnie podejrzanie.

Jan Pieszczachowicz (redaktor naczelny miesięcznika „Kraków")

- Nie ma co ukrywać, polskie środki masowego przekazu są także skorumpowane. Znam redakcję tygodnika, który nie daje not o książkach, jeśli wydawca nie zapłaci! Znam ludzi, którzy chcą uchodzić za krytyków literackich, a pobierają regularne tantiemy, na przykład od wydawców podręczników i wiem, ile mniej więcej pobierają za tę usługę. Znam artykuły, autorów i redakcje, w których były publikowane artykuły pochlebne lub wybielające osoby ze sfer biznesu, które zakupiono za niemałe pieniądze. Dlatego dziwię się, że nikogo to nie dziwi, ale nie widzę powodu, aby ten fakt ukrywać przed adeptami dziennikarstwa.

Najpopularniejszą w Polsce formą korupcji jest „towarzyskość". Są grupki, podgrupki i grupeczki, są kręgi młodych literatów, którzy obsługują siebie wzajemnie. Jednego dnia Iksiński pisze, że Ygrekowski jest dziwnie podobny do Tomasza Manna albo Balzaca, a na drugi dzień jest rewanż. Podobna samoobsługa, za wiedzą i przyzwoleniem redakcji, następuje w wielu innych dziedzinach - życia społecznego, gospodarczego i wszelkiego innego. Jest to obrzydliwe i nie mamy powodu być z tego dumni.

Środki masowego przekazu proponują odbiorcom taniochę, a gdy ta zostanie kupiona, powołują się na „wolę ludu". To przypomina perpetuum mobile. Jako człowiek staroświecki protestuję przeciw traktowaniu społeczeństwa, czy przynajmniej pewnej jego części, jak głupów. Wysłuchałem niedawno na gruncie prywatnym wypowiedzi jednego z macherów od Wielkiego Brata. Powiedział mi tak: jeśli w Polsce są miliony idiotów, to my tym idiotom wychodzimy naprzeciw. Potem się będziemy powoływać na to, że nie wolno krytykować głosu milionów.

Chciałem też powiedzieć, że kształcenie dziennikarzy, tak naprawdę, odbywa się dopiero w redakcjach. Jeśli szef zachęca, żeby robić szmal za wszelką cenę, to ten szmal będzie robiony! Czy Państwo wiecie, że przed wojną, w uchodzącej za brukową prasie „czerwonej", między wiadomościami z targu i procesu Gorgonowej, były felietony najwybitniejszych w większości polskich pisarzy: Nałkowskiej, Dąbrowskiej i nikomu to jakoś nie przeszkadzało. A dzisiejszej prasie brukowej czy parabrukowej, przeszkadza... Prawda, w niektórych środkach masowego przekazu pokazuje się dziś i szambo i różyczkę, takie jest ostatecznie życie. Ale bardzo prosiłbym, żeby nie rżnąć głupa i nie raczyć odbiorców obrokiem duchowym.

Edward Chudziński:

- Dziękuję wszystkim uczestnikom dyskusji. Przychylam się do opinii, że etos polskiego dziennikarstwa przetrwa, że będzie się ono dostosowywało do nowych wymagań, że będzie sięgało po nowe narzędzia, ale ostatecznie o wszystkim zdecyduje postawa i etyka samych dziennikarzy. Bo prawdziwe dziennikarstwo polega na odpowiedzialności za to, co przekazuje się innym ludziom, w jaki sposób i z jakim skutkiem.

Fotografował Bartosz Siedlik

Wypełnianie pustki

Rozmowa z redaktorem naczelnym miesięcznika „Kraków" – Janem Pieszczachowiczem

Szanowny Panie Redaktorze, pierwszy numer miesięcznika „Kraków" ukazał się w listopadzie 2003 r. Korzystając z faktu pojawienia się pisma o tematyce społeczno-kulturalnej, pragniemy poznać idee, założenia, a także plany redakcji z nim związane

„Konspekt": O jakich wydarzeniach i faktach mówić należy, gdybyśmy chcieli dotrzeć do źródeł założenia tego pisma?

Jan Pieszczachowicz: - Szczerze mówiąc, było tak: pan prezydent Jacek Majchrowski przypomniał sobie, że miał przedwyborcze zobowiązania powołania tego typu pisma w Krakowie. Miasto zostało ogromnie spustoszone medialnie, czego ukoronowaniem stało się odejście do Warszawy arcykrakowskiego „Przekroju". Drugim, równie ważnym czynnikiem stały się rosnące wątpliwości, czy kultura Krakowa jest nadal tak wspaniała, jak mogliśmy kiedyś mniemać. Rozmawiając z przedstawicielami różnych środowisk twórczych i intelektualnych, zacząłem odczuwać nacisk z ich strony w tej materii. Prezydent, rzecz jasna, chciał to pismo powołać i pomógł nam, ale gdyby nie zdecydowanie poparcie, a nawet żądanie krakowskich środowisk artystycznych, to ja z pewnością bym się za to przedsięwzięcie nie wziął.

Poparcie jednak przeszło nasze oczekiwanie; zresztą widać to po pierwszym numerze, gdzie jest istny fajerwerk wybitnych nazwisk. W tej chwili prawie wszyscy chcą współpracować. Wynika to z kilku powodów. Po pierwsze, w Krakowie - z całym szacunkiem dla istniejących jeszcze tytułów - zabrakło trybuny, która by pokazywała, co się w tym mieście dzieje i co w tym mieście jest, nawet jeśli to coś jest zaniedbane; trybuny, która zwyczajnie zaczęłaby coś stymulować. Na przykład: przerażającą rzeczą jest stan krakowskich teatrów. Niegdyś, będąc recenzentem, nie mogłem sobie poradzić z ilością doskonałych premier z serii: „co druga, to lepsza". Obecnie prawie w ogóle chodzę nie do teatru, bo jak sobie przypomnę tamte premiery, np.: Jarockiego, Swinarskiego, Wajdy, to - po prostu mi się nie chce. Więc trzeba było coś

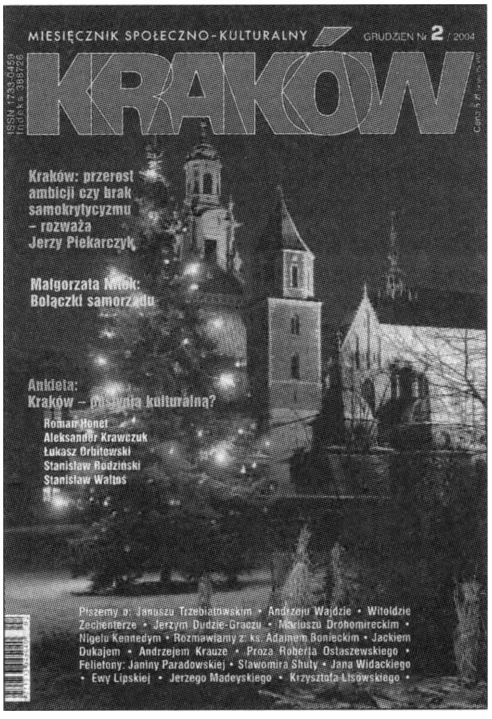

robić - takie były rady moich dostojnych znajomych, którzy trochę mnie w to „wepchnęli".

Kwartalnik „Kraków" już dawno przestał wychodzić, trzeba więc było to robić od początku, w innych warunkach. Nawet z towarzyszeniem urojonych przypuszczeń, wyrażonych w wyprzedzającym ataku „Gazety w Krakowie", bezsensownych skądinąd, bo atakujących pismo, które jeszcze nie zaistniało. Tak na wszelki wypadek.

Kto był autorem tego ataku?

- Pan redaktor Stanisław Mancewicz. Na kilka tygodni przed ukazaniem się pierwszego numeru. I nawet, gdy okazało się, że „tubą Majchrowskiego" nie jesteśmy, nie stać go było na odwołanie tego ataku. Ale to incydent z krakowsko-polskiego piekiełka.

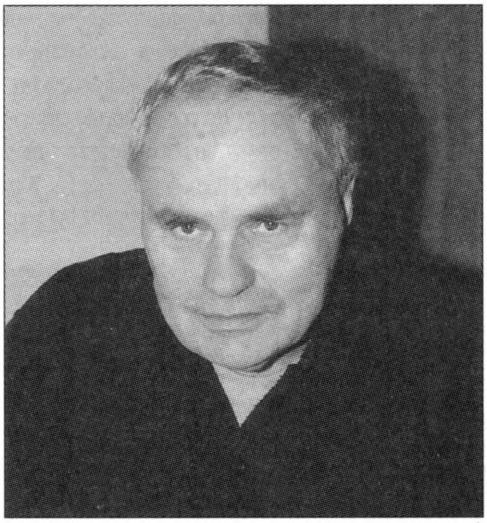

Fot. M. Więcławek

Jan Pieszczachowicz

A zatem, nasze miasto jakby straciło prężność w dziedzinie kulturalnej. Coś jest, coś się organizuje, jednakże często jest to znane tylko w wąskich środowiskach, lub poza Krakowem; nie ma tego kto przekazywać. Nadto potrzebna jest pilnie dyskusja o różnych nabolałych problemach. Dlatego postaramy się, by w kolejnych numerach temperatura głosów się podniosła - poprosiłem też oto młodych kolegów, zaproszonych do współpracy. Z początku myśleli, że chcę ich wypuścić na oficjalne forum i „oswoić", ale mimo to zgodzili się, co świadczy o tym, że dialog między starszymi a młodszymi pokoleniami jest możliwy. Niektórzy mają skrajne poglądy, ale to przecież nie powód, aby ich ignorować. Założenie jest takie, że skoro pismo adresujemy do wszystkich Krakowian, wszyscy powinni znaleźć tu swoje miejsce, bo tylko wtedy pismo będzie czytane. No, może z wyjątkiem postaw skrajnych, zwłaszcza upolitycznionych. Nie jest to w tej chwili modny trend, bo prasa polska została gruntownie podzielona i zantagonizowana. A tu, już w pierwszym numerze „Krakowa", w tej samej kwestii wypowiadają się: z jednej strony katolicki uczony Jacek Woźniakowski, z drugiej - Andrzej Kurz z lewicowej „Kuźnicy", z trzeciej zaś - radykalny Piotr Marecki z młodoliterackiego „Ha!artu". I dobrze, bo jeśli się wszyscy pozatrzaskują w swoich „jedynie słusznych" racjach, dialogu już w ogóle nie będzie. Nie ma zaś nic gorszego niż światopoglądowa równina, zamieniająca się w pustynię.

„Kraków" ma zatem pełnić rolę swoistego „tygla porozumienia"?

- Tak chciałbym, z dala od partyjnej polityki. Bezpośrednio nie będziemy się nią zajmowali, choć niewykluczone, że pojawi się ona tu czy tam, niekiedy w formie dość niespodziewanej. W drugim numerze o polityce pisze w specyficzny, niepowtarzalny sposób Ewa Lipska. Kiedy Wisława Szymborska zapoznała się z tym niewielkim felietonem, zadzwoniła do koleżanki po piórze i zachęciła ją do kontynuowania tej twórczości. Więc jeśli o polityce, to z dystansem, humorem, jako o sferze obyczajowej czy etycznej, a nie krainie chamskich przepychanek liderów różnej maści oraz ich medialnych organów.

W Krakowie - z całym szacunkiem dla istniejących jeszcze tytułów - zabrakło trybuny, która by pokazywała, co się w tym mieście dzieje i co w tym mieście jest, nawet jeśli to coś jest zaniedbane; trybuny, która zwyczajnie zaczęłaby coś stymulować

Na razie leżymy na uboczu, lecz może uda nam się wyrwać z klątwy prasowej i medialnej. Przychodzą też do mnie autorzy, których artykuły odrzucono w innych czasopismach, ponieważ zawierały one treści nie podobające się różnym grupom, chyba także politycznym. A tu się mówi, że w Polsce nie ma cenzury... W Krakowie czujemy się niezależni, mamy pewne szersze możliwości. Może się jednak zdarzyć, że sytuacja w kraju diametralnie się odwróci i nawet neutralne pismo będzie nie na rękę, ponieważ część „elyt polytycznych" – jak mawia się w „stolycy" – zacznie uważać, że kto nie z nimi, ten przeciwko nim. To już widać, a tradycja spora, m. in. partyjno-bolszewicka. Oczywiście będziemy próbowali nie dopuścić do tego na łamach naszego czasopisma. Nie możemy także udawać, że pewne postulaty nie istnieją: na przykład ostatnio znany alterglobalista dostarczył nam tekst, w którym uważa, że majątek kościelny w Krakowie winien być sprywatyzowany a kościoły zamienione na przybytki i będzie wesoło. Ja się trochę obawiam, że teraz spotka nas *embrass' de richesse*, czyli nadmiar propozycji. Już teraz widać, że gdyby „Kraków" był tygodnikiem, to miałbym co drukować. Ale „Przekrój" jest teraz w Warszawie.

Prasa polska jest nastawiona raczej na bessę, niż na hossę w stabilizowaniu życia społecznego. Niemało redakcji wyznaje zasadę: „im gorzej, tym lepiej, im krwawiej, tym weselej, im głupiej, tym mądrzej"

Porozmawiajmy teraz o kwestiach technicznych. Często gazecie smaczku nadaje już sam sposób pozyskiwania tekstów. Dostaje je Pan już gotowe, czy może otrzymuje tylko ich propozycje? Jak współpracuje się z ich autorami?

– No cóż, z początku zwróciłem się do znajomych, poprosiłem m. in. prof. Walerego Pisarka o propozycję osób gotowych do współpracy. Część się zgodziła, a chodzi mi głównie o ludzi młodych. Tu różnie bywa. W drugim numerze, prezentujemy felieton prozaika Sławomira Shuty, co dla wielu może się okazać przedsięwzięciem dość karkołomnym, zwłaszcza jeżeli przypomnimy sobie, że biczował się publicznie parówkami w celu dodania pikanterii swojej pisarskiej działalności. Szukamy konsekwentnie nowych współpracowników, nie ma bowiem sensu zamykać się w kręgu stałych, wypróbowanych nazwisk. Ku mojemu zaskoczeniu nad niektórymi młodymi kandydatami trzeba popracować. Nie wiem, co ich stresuje... a może im się po prostu nie chce? Obawa, że nie będą przez starszych kolegów szanowani? Oświadczam, że każdy tekst młodego autora będzie z uwagą i życzliwie potraktowany. Ale teraz pytam: gdzie ci autorzy? Jest chyba jakiś stan rozproszenia, niewiary w siebie.

Jakie są reakcje czytelników po lekturze „Krakowa"?

– Oceny, jakie do nas już docierają, są dobre, a nawet zbyt dobre. Inne, krytyczne – mówią nam, że numer pierwszy jest zbyt prestiżowy, zbyt ciężki, że pojawiają się pewne zbitki tematyczne, których, nawiasem mówiąc, uniknąć już nie było można, ponieważ przesuwano datę terminu druku i materiały się nawarstwiały. Planujemy większy luz, większą dawkę humoru od numeru drugiego, nawiązując trochę do ostatniej strony „Studenta", który już przeszedł do historii prasy. Będzie kilka kolumn satyrycznych, m. in. Ludwika Jerzego Kerna.

To już trzecie pismo, które współzałożyłem i reprezentuję: „Student", prestiżowy miesięcznik „Pismo" (1981–83), zniszczony w stanie wojennym, a teraz „Kraków". Mogę zatem powiedzieć, że do trzech razy sztuka. Miałem wątpliwości, czy tej redakcji nie powinien objąć ktoś inny. Ale po konsultacji wskazano mnie, może dlatego, że kilkadziesiąt lat działam w naszym mieście, nie dając, mówiąc potocznie, ciała. Także dlatego, że ludzie okazali mi zaufanie. Pismo nie powstałoby, gdyby nie kredyt zaufania właśnie. To najtrudniejsze zadanie, jakie w życiu dostałem. Postaram się. Może wyjdzie, ale nie jestem hurraoptymistą. Chcielibyśmy zostać pi-

smem ogólnopolskim jak „Odra" czy „Śląsk". Podobno „Kraków" wywołał w Warszawie zdumienie, tam takie pismo by nie powstało, nawet gdyby były pieniądze, bo wcześniej wszyscy by się nawzajem pozagryzali, zanim doszłoby do pierwszego numeru. Może i tak. Może Kraków mimo wszystko jest miejscem, gdzie wciąż możliwy jest jakiś cud, cud pod Wawelem, miejscem, gdzie nie wszyscy muszą się wzajemnie załatwiać, i potrafią jeszcze porozmawiać. Na razie zbieram zaskakujące propozycje wybitnych postaci z Warszawy. Być może to działają, resztki mitu tolerancyjnego, galicyjskiego Krakowa, być może zwykła ludzka potrzeba pisma integrującego, propagującego umiar i przyzwoitość, zwłaszcza w kraju tak płynnym, jak Polska.

Co jest istotne, bo trudno nie dostrzec takiej potrzeby...

– My to wiemy i czujemy. Mamy także nadzieję, że nie będą się wtrącać w to czynniki zewnętrzne. Zabezpieczyliśmy się na wszystkie możliwe strony. Nie chcemy przecież tworzyć gazetki partyjnej czy frakcyjnej, a taką – przy udziale różnych czynników – mógłby się „Kraków" stać. Wobec tego założyliśmy Stowarzyszenie Kulturalnonaukowe „Kraków", do którego wstąpiło kilkadziesiąt godnych szacunku osób. Tylko oni mogą mnie odwołać, ale gorszym posunięciem byłoby utrudnienie zbierania funduszy na gazetę, chociażby poprzez zniechęcenie do mnie sponsorów. Z taką możliwością zawsze się trzeba liczyć. Ale to byłby błąd, który dowodziłby, że Kraków woli inercję.

Do takiego przedsięwzięcia potrzeba Judyma, postaci traktowanej dziś humorystycznie. Bo ja, jako redaktor naczelny, nie mam żadnej pensji. Dawniej to się nazywało pracą społeczną, teraz wielu to śmieszy. Anachronizm, ale jeśli to pismo zacznie przynosić Krakowowi jakiś splendor, jeśli uda się spowodować, aby drukowali tu ludzie różnych orientacji światopoglądowych, niekoniecznie politycznych, to warto zaryzykować. Sam fakt, że powstał taki miesięcznik obok tandetnej prasy ilustrowanej i tabloidów – trzeba chyba zaliczyć do cudów. Jeśli ten cud będzie miał swój dalszy ciąg – bardzo dobrze. To nie jest moja własność, nie zależy mi na rozbudowaniu mojego biogramu w tym kierunku. Moim zamiarem jest wydać jeszcze trzy książki, które już zostały przeze mnie opracowane, ale nie mam czasu na ich ponowną redakcję, bo redaguję pismo. To mnie troszkę przytłacza. Macie do czynienia z człowiekiem przeszło sześćdziesięcioletnim, który już niebawem przejdzie na emeryturę. Mógłbym sobie dać spokój, ale wiem, że pismem muszę jeszcze się zająć, chociażby dlatego, że muszę spłacić kredyt zaufania. Niektórzy mi zazdroszczą, ale ja się pytam: czego? Harówki? Ja tylko robię swoje, całe życie tak robiłem, raz pod wozem, raz na wozie. Wygodniejsi nazywali to: drugą pozycją, i pewnie mieli po ludzku rację.

Panie Redaktorze, czy nie uważa pan, że zachodzi pewien rozdźwięk między oczekiwaniami generacji, nazwijmy ją umownie: „młodych" a tym, co znajdują w „Krako-

Fot. M. Więcławek

wie"? Czy nie sądzi Pan, że język pisma wydaje się im trudny, nieco niestrawny?

- I tak i nie. Pierwszy numer jest rzeczywiście nieco „dostojny", pełen prestiżowych nazwisk, ale tak bywa z „legitymacyjnymi" numerami. Wiemy o tym. Cóż więc możemy zrobić? Może uruchomić różne dykcje, różne punkty widzenia, więcej uwagi poświęcić życiu codziennemu i „przyziemnym" problemom, nie rezygnując z intelektualizmu. To niełatwy mariaż ale wierzę, że można go zawrzeć bez groźby rychłego rozwodu.

Prasa polska jest nastawiona raczej na bessę, niż na hossę w stabilizowaniu życia społecznego. Niemało redakcji wyznaje zasadę: „im gorzej, tym lepiej, im krwawiej, tym weselej, im głupiej, tym mądrzej". Widać to szczególnie w tych tabloidach, które w nieudany sposób próbują tę taktykę maskować. Opakowuje się tam różę w „krwawe ochłapy". Niektórzy uważają, że to nic szczególnego, że były precedensy w prasie brukowej już przed wojną. Teraz dziennikarze są nastawieni głównie na to, aby komuś dołożyć, komu się da. Bo jak się komuś nie dołoży, to nie będzie dobrego artykułu. Tak zwane „dziennikarstwo śledcze" rozkwita, ale często rezygnuje z zasady *fair play*. Nie chcę się zachowywać jak ciotka przyzwoitka, to nachalna i nierzadko chamska praktyka. Można kogoś nie lubić, mieć do kogoś pretensje, ale niekoniecznie trzeba mu odbierać ludzką godność czy z góry skazywać.

W dużej mierze jestem skłonny solidaryzować się z powieścią *Zwał* Sławomira Shuty - tragikomicznym obrazem życia polskiego. Tylko on reaguje hasłem ucieczki, a to trochę tchórzostwo. Dla mnie to cały czas tchórzostwo. Niektórzy złorzeczą na swoich łamach i najgorsze jest to, że w tym wszystkim nie ma możliwości odwrotu.

Ja wiem, że jestem poniekąd z pokolenia mastodontów, ale w „Studencie" staraliśmy się być odpowiedzialni, walczyliśmy o naszą godność, o nasze miejsce w życiu, nie godziliśmy się na to, co komuna nam dyktowała, Nikt nie miał złudzeń, że Jałta padnie. Ale wierzyliśmy w sens działania i pracy społecznej. Inaczej niż ogromna większość młodych pisarzy. Pilnie śledzę tę młodą literaturę, czytam książki, których moi znajomi na ogół nie czytują, bo mają do ich autorów pretensje. Ja też je miewam, ale ja chcę ich zrozumieć. Wniosek jest taki: otwartość obowiązuje wszystkich, współodpowiedzialność też. Ja też w jakiejś mierze odpowiadam za to, co się dzieje w kulturze nowego Krakowa. Nie wystarczy narzekać. Dla tych m.in. przyczyn podjąłem wysiłek założenia „Krakowa".

Serdecznie dziękujemy za wywiad.

Rozmawiali Marcin Kania i Bartosz Ochoński

(wywiad został przeprowadzony 29 listopada 2004 r.)

Alfred Toczek

Emil Haecker i Jan Matyasik – redaktorzy antagonistycznych dzienników krakowskich

W okresie Drugiej Rzeczypospolitej ukazywało się w Krakowie ponad 20 dzienników. Pięć z nich to pisma długotrwałe, odgrywające główną rolę pośród prasy codziennej miasta

Duży wpływ na ich oblicze formalne i treściowe, w tym programowe, wywierali redaktorzy naczelni. Najbardziej poczytny z nich to ogólnoinformacyjny „Ilustrowany Kurier Codzienny" (1910--1939), popularny „Ikac", którego wydawcą i redaktorem naczelnym był Marian Dąbrowski, właściciel wielkiego koncernu zwanego „Pałacem Prasy". Pozostałe cztery to pisma informacyjno-polityczne. Najstarszym dziennikiem krakowskim, konserwatywnym „Czasem" kierował prezes Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Dziennikarzy RP i wiceprezes Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy - Antoni Beaupré (w latach 1920-1937). Liberalno-demokratyczną „Nową Reformę" (1882-1928) redagował wespół z Konstantym Srokowskim związany z nią przez 34 lata, zasłużony dziennikarz - Michał Konopiński, zwany wówczas w środowisku dziennikarskim „Starym Konopą".

Kolejne dwa dzienniki i ich główni redaktorzy to bohaterowie niniejszego tekstu. Pierwszy to socjalistyczny „Naprzód" (1892-1939), drugi wówczas - po warszawskim „Robotniku" - organ Polskiej Partii Socjalistycznej. Jak stwierdził członek redakcji wiodącego pisma PPS, Wacław Czarnecki - „[...] młodszy brat dziś, ale starszy jeżeli chodzi o tradycje".

Drugi - to chadecki „Głos Narodu" (1893-1939), krakowski dziennik Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, okresowo jej najważniejszy - obok katowickiej „Polonii" - organ prasowy.

W latach dwudziestych XX w. toczyły one ze sobą ciężkie boje. To najwięksi antagoniści na ówczesnym rynku prasowym „podwawelskiego grodu". „Naprzód" reprezentował część mniej zamożnych mieszkańców Krakowa: socjalistycznie zorientowanych robotników, głównie członków PPS i tzw. klasowych związków zawodowych oraz nieliczną lewicową inteligencję. „Głos Narodu" był natomiast wyrazicielem nie tylko krakowskich zwolenników chadecji (drobnomieszczaństwa czy części robotników), ale też endeckich wyborców Krakowa. Działo się tak dlatego, że endecja, poza krótkimi okresami, nie posiadała pod Wawelem własnego dziennika.

Redaktorem naczelnym „Naprzodu" w latach 1920-1934 pozostawał długoletni dziennikarz-publicysta, ale też polityk, historyk literatury i badacz dziejów socjalizmu - Emil Haecker (1875-1934). Był pochodzenia żydowskiego, a jego pierwotne nazwisko brzmiało Samuel Haker. Wychowywał się w katolickiej rodzinie emerytowanego konduktora pocztowego, co miało w przyszłości swoje reperkusje. Działalność socjalistyczną rozpoczął już w wieku 17 lat, kiedy to wstąpił na Wydział Filozoficzny UJ. W roku następnym relegowano go jednak z uczelni. Zajął się działalnością polityczną w Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska, zasiadając

później w jej władzach, oraz współredagowaniem najpierw dwutygodniowego a następnie tygodniowego „Naprzodu". Od 1900 r. aż do wybuchu I wojny światowej pełnił faktycznie rolę jego redaktora naczelnego, za co słusznie - pismo bowiem ukazywało się już codziennie - nazwał go Jerzy Myśliński „architektem pierwszego polskiego dziennika socjalistycznego".

Do „Naprzodu" powrócił jako redaktor naczelny z początkiem 1920 r.; stając się również jego wydawcą w latach 1923-1933. Brał istotny udział w życiu politycznym Krakowa jako referent prasowy Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS Kraków, stały jego członek i czołowy działacz. Aktywnie uczestniczył w działalności kulturalno-oświatowej socjalistów. Był współautorem programu zjednoczonej partii. Niektórzy jej czołowi działacze atakowali go niekiedy za - ich zdaniem - zbyt daleko idące kompromisy z burżuazją, co stanowiło przeszkodę w wejściu do naczelnych władz. Nie był nigdy posłem, chociaż ubiegał się o tę godność w 1922 i 1928 r. Już po śmierci Haeckera pojawiły się opinie, wyrażane m. in. przez czołowego ideologa PPS, Kazimierza Czapińskiego a jednocześnie dawnego redaktora „Naprzodu", że „był niedoceniany w naszych szeregach".

Haecker, aktywny członek krakowskiej Rady Miejskiej i zarządu Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich, zaznaczył się też jako historyk socjalizmu. Opublikował m. in. zarys syntetyczny pt. *Historia socjalizmu w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim, t. 1: 1846-1882* (Kraków 1933), oparty na nieznanym uprzednio materiale źródłowym. Był autorem wielu artykułów, drukowanych głównie w „Naprzodzie", poświęconych przeszłości ruchu socjalistycznego. Pasjonował się teatrem i literaturą, o których często pisał na łamach redagowanego przez siebie dziennika, ale też w odrębnych publikacjach (np. o Juliuszu Słowackim w 1927 r.). Jako głównego recenzenta teatralnego „Naprzodu" ceniono go w Krakowie. Prowadził stały dział „Z teatru", popierając w nim sztuki polskich autorów. Antoni Waśkowski wspomina, że: „Haecker zwrócił na siebie uwagę jako [...] teatrolog i wybitny znawca teatru. Recenzje Haeckera miały swój ciężar gatunkowy na giełdzie krytyków teatralnych i były chętnie czytane przez wszystkie sfery". W innej stałej rubryce, „Przegląd Literacki", propagował lewicowo zorientowanych młodych poetów, historyków i znawców kultury. Był wśród nich dobrze widziany, bo w redakcji przy ul. Dunajewskiego 5, gdzie mieścił się wówczas „Naprzód", przyjmował do kroniki liczne komunikaty o ich występach. Zamieścił też sporo szkiców literackich. Wartość recenzji i tekstów o tematyce historycznoliterackiej drukowanych w powyższej rubryce była różnorodnie oceniana. Krytycznie jego wiedzę z zakresu teorii i historii literatury oceniał m. in. Jalu Kurek. Haecker zamieszczał także własne, satyryczne wierszyki polityczne w rubryce „Hocki - Klocki". Poza tym publikował artykuły wstępne i polemiczne, przedstawiając stanowisko dziennika wobec kontrowersyjnych wydarzeń politycznych oraz wypowiadał się w podstawowych kwestiach programowych pisma. Teksty z zakresu literatury i teatru zwykle podpisywał, w przeciwieństwie do artykułów o tematyce politycznej, np. tzw. „wstępniaków". To dzięki E. Haeckerowi „Naprzód" poświęcał tak dużo uwagi wszechstronnie ujmowanej problematyce kulturalnej.

Pod jego redakcją „Naprzód" był pismem pryncypialnym, unikającym tanich sensacji, redagowanym w sposób tradycyjny, z obowiązkowym artykułem wstępnym. W życiu codziennym układny i koleżeński, w publicystyce zapalczywy i zawzięty. Charakteryzowała się ona namiętnością i brutalnością słowa, bezkompromisowością i inwencją w zwalczaniu politycznych przeciwników. Za przykład może posłużyć artykuł napisany bezpośrednio po przewrocie majowym, poddający pod osąd publiczny obalony rząd. Stwierdzał on m.in.: „Pod sąd zdrajców i złodziei: Witosa i Kiernika, Korfantego i Kucharskiego, Smólskiego i Malczewskiego, Rozwadowskiego i Zagórskiego! Za swe łzy i za swą krew - lud żąda zadośćuczynienia. Za nędzę i poniewierkę, za brak chleba, za kule armatnie i bomby z samolotów niech winowajcy odpowiedzą przed sądem". Klub Parlamentarny PSL-Piast zaskarżył „Naprzód" do ministra sprawiedliwości o nawoływanie do samosądu nad byłym premierem Wincentym Witosem

w artykule Haeckera zatytułowanym *Witosa pod sąd*. Ówczesny bliski współpracownik „Naprzodu", Zygmunt Gross, po latach, w swoich wspomnieniach podkreślał jego cięte pióro „[...] gdy ponosił go gniew (był nerwowej konstrukcji), lub też poddawał się nastrojom, był niedościgniony w pomysłach, niby piła o zębach naostrzonych, atakował na prawo i lewo, zdawało się wówczas, że inwencja jego jest niewyczerpana". E. Haecker to wierny kontynuator krzykliwego, bojowego, stylu zwanego „naprzodowym", jaki przy jego pomocy wypracował Ignacy Daszyński jeszcze u schyłku XIX wieku. Sam oceniał swoją publicystykę jako tendencyjną, ale nie oszczerczą, co wytykał „Głosowi Narodu". O tendencyjności w praktyce prasowej pisał: „Tendencja może znaleźć swój wyraz w sposobie podania faktów, w ich omówieniu, ale nie w ordynarnym okłamywaniu publiczności za pomocą zmyślania wydarzeń". Przez 10 lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Haecker był gorącym zwolennikiem marszałka Józefa Piłsudskiego, co miało decydujący wpływ na oblicze polityczne „Naprzodu". W stosunku do rządzącej sanacji redaktor pisma długo lansował rozwiązania kompromisowe i współpracę. W związku z tym w redakcji dziennika doszło do ostrych sporów. Dopiero od r. 1929 stawał się coraz bardziej otwartym przeciwnikiem polityki sanacji a później i marszałka, aby w latach trzydziestych podjąć z nimi bezkompromisową, nieprzebierającą w środkach walkę.

Pod kierownictwem Haeckera „Naprzód", będąc pismem ostro zwalczającym przeciwników i prezentując jednocześnie umiarkowane poglądy w łonie lewicy, świetnie „wyczuwał" atmosferę „starego Krakowa", symbiozy różnych kierunków politycznych. Jego redaktor naczelny to uczestnik częstych spotkań przy okrągłym stoliku - w ostatniej sali kawiarni Grand Hotelu przy ul. Sławkowskiej, gdzie siadywał razem z Antonim Beaupre z „Czasu", Konstantym Srokowskim z „Nowej Reformy" i Marianem Dąbrowskim lub Ludwikiem Rublem z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Dyskutowano tam o polityce i - jak podaje ówczesny pracownik redakcji krakowskich pism endeckich, Klaudiusz Hrabyk - „[...] utrzymywała się powszechna opinia, że podczas tych spotkań krakowskim targiem regulowano różne sprawy co najmniej lokalne a bywało, że i krajowe". Za przyczyną Haeckera „Naprzód" stał się jednym z nielicznych pism socjalistycznych, na którego łamach możliwe było zamieszczanie rzeczowych acz krytycznych polemik z redaktorem naczelnym jezuickiego „Przeglądu Powszechnego", ks. Janem Urbanem, czy wykazywanie wartości i wpływu pierwotnego chrześcijaństwa na powstanie i rozwój idei socjalistycznych oraz popieranie postulatu godzenia socjalizmu i katolicyzmu. Wywoływało to ożywioną dyskusję w partii a nawet w redakcji.

Ostatecznie w r. 1923 E. Haecker przeszedł na wyznanie rzymsko-katolickie, co wywołało zaciekłe ataki ze strony przedstawicieli endecji. Szczególnie ostro, z pozycji antysemickich, zareagował na łamach endeckiej „Myśli Narodowej" jego „etatowy" krytyk warszawski, wzięty felietonista i pamflecista, Adolf Nowaczyński (notabene współpracownik „Naprzodu" jeszcze z początku XX wieku). Stwierdził on, że to „[...] szwindel i podstęp germańskiego, integralnego, maksymalnego, skondensowanego i kwintesencjonalnego Żyda!!". W latach 1922--1923 A. Nowaczyński obarczał Haeckera winą za krwawe wydarzenia krakowskie z 6 listopada 1923 r., wypominając mu pisanie peanów na cześć Włodzimierza Lenina i przeciwstawianie się przywódcom własnej partii. W swoich wywodach nie szczędził inwektyw (np. w artykule *Szajgec papista*). Haecker nie polemizował z nim w „Naprzodzie", wypowiadając się na łamach warszawskiej, pepesowskiej „Trybuny" - że „[...] ton paszkwilowy reprezentowany przez Adolfa Nowaczyńskiego świadczy o młodszości politycznego rozwoju Warszawy".

Po 1930 r. „Naprzód" pozostał już jedynym opozycyjnym dziennikiem w Krakowie ostro zwalczającym władze sanacyjne. Przynosiło to dotkliwe represje i coraz gorszą kondycję finansową pisma. Nie brakowało też rozbieżności między Haeckerem a władzami PPS. Popadł on także w konflikt z radykalną, krakowską młodzieżą socjalistyczną. To wszystko spowodowało, że zachowując dotychczasowy tytuł, „Naprzód" z dniem 1 października 1934 r. stał się mutacją stołecznego „Robotnika". Emil Haec-

ker nie wyobrażał sobie życia bez samodzielnego „Naprzodu", więc powyższe wydarzenia odbiły się na jego zdrowiu. Ten najbardziej profesjonalny dziennikarz spośród redagujących wówczas prasę socjalistyczną zmarł na atak serca 8 grudnia 1934 r. w wieku 59 lat.

Niemniej wielowymiarową, kontrowersyjną acz zasłużoną postacią dla dziennikarstwa krakowskiego był Jan Matyasik (1887-1949), redaktor naczelny „Głosu Narodu" w latach 1921-1931. Jesienią 1907 r. zapisał się na Wydział Prawa UJ. Jako student rozpoczął praktykę dziennikarską w redakcji „Głosu Narodu". Z końcem 1909 r. został wysłany do Wiednia w charakterze jego korespondenta. Tu kontynuował studia prawnicze. Po powrocie, w 1912 r. został sekretarzem redakcji i przez okres dwóch lat podpisywał dziennik jako wydawca i redaktor odpowiedzialny. Będąc współpracownikiem tygodnika „Głos Ludu" podpisywał go jako wydawca w latach 1911--1912. Bezimiennie wyszła jego broszura *Polski charakter Krakowa ginie* (odbitka z „Głosu Narodu" 1914 r.).

W 1915 r. został wcielony do wojska austriackiego, a w 1916 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. Do kraju wrócił w grudniu 1919 r. Swe wspomnienia wojenne spisał w artykule *Z murmańskiej odysei* („Głos Narodu" 1921).

W połowie marca 1921 r. objął stanowisko redaktora naczelnego i odpowiedzialnego „Głosu Narodu". Wstąpił do chrześcijańskiej demokracji. Został też wybrany do zarządu Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich. Organizacja ta jednak w listopadzie 1923 r. przeżyła kryzys i rozłam. Jego bezpośrednią przyczyną stał się artykuł w „Naprzodzie" gloryfikujący robotników walczących z wojskiem (*Krwawy wtorek w Krakowie*). Cała prasa krakowska nie kryła swojego oburzenia. Na walnym zebraniu SDK postawiono wniosek o wykluczenie z organizacji całej redakcji „Naprzodu". W dyskusji zdecydowana większość ostro skrytykowała artykuł, ale także posługiwanie się tragicznymi wydarzeniami dla wąsko pojętych interesów partyjnych, co było skierowane przeciwko „Głosowi Narodu" i endeckiemu „Gońcowi Krakowskiemu". Wniosek o wykluczenie jednak odrzucono. Wkrótce, m. in. członkowie redakcji „Głosu Narodu" z J. Matyasikiem na czele, wystąpili z Syndykatu. Rozłamowcy utworzyli Związek Dziennikarzy Polskich, którego członkiem mógł zostać jedynie Polak i chrześcijanin. J. Matyasik wszedł w skład zarządu, pełniąc później stanowisko wiceprezesa.

Tak jak redaktorzy „IKC", „Naprzodu", „Czasu" i „Nowej Reformy" posiadali swój stolik w kawiarni Grand Hotelu, tak znajdował się tam również stolik „endecki", przy którym - jak wspomina bywały wówczas w endeckich sferach K. Hrabyk - „[...] codziennie w południe zasiadała krakowska starszyzna partii, wspierana sympatykami, wymieniając poglądy i ustalając różne sprawy". Częstym gościem był tam również redaktor naczelny „Głosu Narodu", jako zwolennik ścisłego współdziałania chadecji z endecją. Poza krótkimi okresami ta ostatnia nie posiadała w Krakowie własnego dziennika. Stąd prowadzony przez Matyasika „Głos Narodu" reprezentował na rynku prasowym Krakowa także wszystkich narodowo-demokratycznie zorientowanych jego mieszkańców. K. Hrabyk z pewną przesadą stwierdza, że „Matyasik politycznie był rzeczywiście skrajnym, nietolerancyjnym endekiem i za takiego uważano go w naszych kołach, poufnie nie kryjąc zadowolenia, że posiadamy tego rodzaju wtyczkę w organie krakowskiego metropolity. Niemała też była rozpacz w krakowskiej endecji, gdy Matyasika zwolniono wreszcie z redakcji krakowskich chadeków". Z określeniem „skrajny, nietolerancyjny endek", kłóci się w pewnym stopniu opinia innego pamiętnikarza i dziennikarza krakowskiego, Witolda Zechentera. Zauważa on, że „Głos Narodu" był pismem chadeckim, prawicowym, w walce politycznej stosującym często „chwyty poniżej pasa", zwłaszcza wobec lewicy. I w takim to piśmie, dzięki Matyasikowi, uwiła sobie gniazdko młoda literatura krakowska, która przecież - z bardzo małymi wyjątkami - grawitowała z pewnością bardziej ku lewicy niż prawicy, a w każdym razie nie miała nic wspólnego z nietolerancyjną polityką chadecką, jakiej pismo oficjalnie służyło. Jak to było możliwe? Bo dziwny to zaiste był redaktor ten Jan Matyasik, po prostu zakochany

w poezji. [...] Przez łamy «Głosu Narodu» przeszli w latach, gdy redagował go Matyasik - wszyscy młodzi poeci Krakowa, nawet wybitnie lewicowi, nawet pochodzenia żydowskiego". Dalej wyraża przekonanie, że „[...] taka symbioza chadeckiej polityki i prawie rewolucyjnych wierszy, artykułów o akcentach wybitnie antyżydowskich i utworów literackich, podpisanych przez literatów - Żydów, była możliwa dzięki niezapomnianemu redaktorowi naczelnemu «Głosu Narodu» Janowi Matyasikowi". Dla porównania: w haeckerowskim „Naprzodzie" pojawiała się poezja i inne utwory literackie tylko autorów wyznających lewicowe poglądy, a ich treść była zawsze zgodna z programem społeczno-politycznym socjalistycznego dziennika.

Kierowanemu przez siebie pismu Jan Matyasik nadał bojowy ton. Jak wspomina, nie bez dozy emocji i szczypty przesady K. Hrabyk - „Matyasik jednym tchem nienawidził namiętnie Piłsudskiego, Żydów, komunistów, socjalistów, konserwę i «Ikaca»". Z takimi poglądami i preferencjami oczywiście nie mogło być zgody z „Naprzodem", a nawet spokojnych polemik. Natomiast inny pamiętnikarz, znakomity poeta Jalu Kurek, za czasów Matyasika członek redakcji chadeckiego dziennika, stwierdza: „Pisywał co dzień artykuły wstępne, improwizując je w ciągu pół godziny, po przyjęciu wieczorem do redakcji w ostatniej chwili przed zamknięciem numeru. Styl jego pod względem odwagi i nieprzejednania porównywano z piórem Cata-Mackiewicza w «Słowie» wileńskim. Był celem ataków oficjalnego reżymu jako zdecydowany opozycjonista". A stało się to (i trwało do 1930 r.) w czasie przewrotu majowego, kiedy uczynił swój dziennik organem konsekwentnej opozycji (jako przykład mogą posłużyć np. artykuły - *Sędziami będziemy my*, gdzie jednoznacznie potępił zamach Piłsudskiego, czy *Piłsudski? Nie! Nie! Nie!*, uzasadniając, dlaczego nie należy głosować na marszałka jako prezydenta RP). Licznych artykułów wstępnych nie podpisywał aż do przewrotu majowego, kiedy swoją sygnaturą całą odpowiedzialność wziął na siebie. Charakteryzowały się one pasją i precyzją słowa, bezkompromisowością i opozycyjną postawą wobec rządzącego „obozu sanacyjnego". Doprowadziło to do represji ze strony władz w stosunku do redaktora „Głosu Narodu". 15 listopada 1926 r. zajęto tymczasowy nakład dziennika, a 16 listopada skazano Matyasika administracyjnie na 1000 zł grzywny lub 10 dni aresztu. Wskutek represji wzrosła popularność pisma. Rada Nadzorcza „Głosu Narodu" wyraziła Matyasikowi pełne zaufanie i uznanie, do czego przyczynił się również zarząd klubu sejmowego chadecji. Za przegrane przez chadecję wybory sejmowe w Krakowie w marcu 1928 r. odpowiedzialnością obarczono m. in. Matyasika. Udzielono mu dwumiesięcznego urlopu na wyjazd za granicę. Przestał podpisywać dziennik jako redaktor odpowiedzialny. Nadsyłał korespondencje z Genewy. Do redakcji wrócił w lipcu 1928 r., nie zmieniając swojej bezkompromisowości i opozycyjnej postawy wobec rządzącego Polską obozu marszałka Piłsudskiego.

Wybrany przewodniczącym krakowskiego koła Związku Polskiej Inteligencji Katolickiej, wszedł do komitetu głównego i prezydium międzynarodowego kongresu prasy katolickiej w Brukseli (wrzesień 1930 r.) jako drugi przedstawiciel Polski. Porozumienie wyborcze Chrześcijańskiej Demokracji i Stronnictwa Narodowego wysunęło go na czołowego kandydata wspólnej listy do Sejmu w okręgach m. Kraków i Tarnów w listopadzie 1930 r. Powtórna przegrana chadecji w wyborach spowodowała pod wpływem nacisków rezygnację z kierownictwa „Głosu Narodu" w marcu 1931 r. Wyjechał wtedy do Paryża. Pisał stamtąd korespondencje. Definitywnie opuścił redakcję 28 maja 1931 r. Później kierował redakcją endeckiego „Kuriera Lwowskiego" i związał się na trwałe z endecją. W 1937 r. został naczelnym redaktorem lwowskiego „Słowa Narodowego". Podczas wojny przebywał w obozach koncentracyjnych, m. in. na Majdanku. Po wojnie redagował w Paryżu narodowo-demokratyczną „Placówkę" oraz był bliskim współpracownikiem „Myśli Polskiej" w Londynie. Zmarł nagle w Paryżu 24 grudnia 1949 r. Zgodnym chórem jemu współczesnych, dzisiejszych badaczy historii dziennikarstwa i pamiętnikarzy został zaliczony do wybitnych polskich publicystów okresu międzywojennego.

Dzienniki redagowane przez Emila Haeckera i Jana Matyasika w latach dwudziestych ubiegłego wieku stanowiły więc parę najostrzej zmagających się gazet krakowskich. „Głos Narodu" był najzaciekleji zwalczanym a jednocześnie najczęściej goszczącym na łamach „Naprzodu" krakowskim pismem. Z łam socjalistycznego dziennika, w stosunku do Jana Matyasika „buchała" nienawiść.

Szczególna napastliwość „Naprzodu" z lat dwudziestych wynikała z kilku przyczyn. „Głos Narodu" prowadził z nim boje od początku swego powstania w 1893 r. Poza tym organ chadecki był po 1918 r. czołowym wyrazicielem opinii krakowskiego obozu narodowego, głównego, nieprzebierającego w środkach, zażartego przeciwnika politycznego PPS. Pretendował on do reprezentowania katolickiej i narodowej społeczności Krakowa. Stały konflikt spowodowany był również diametralnie odmiennymi poglądami na działalność marszałka J. Piłsudskiego, mniejszości narodowych, rolę Kościoła katolickiego czy rządy tzw. Chjeno-Piasta. Była to wzajemna prasowa walka, często niemająca wiele wspólnego z zasadami kultury politycznej. Każdy argument był dobry, by zdyskredytować przeciwnika. Największe nasilenie walki „Naprzodu" z krakowskim organem chadecji przypada na okres rządów Chjeno-Piasta (od maja do grudnia 1923 r.), w pierwszym półroczu 1924 r. (wokół tzw. procesu krakowskiego, toczącego się w związku z krwawymi wydarzeniami z 6 listopada 1923 r.) i w okresie przewrotu majowego aż do końca 1926 r.

„Naprzód", chcąc podważyć wiarygodność przeciwnika, zarzucał mu publikowanie kłamstw i fałszerstw, wprowadzanie w błąd opinii publicznej poprzez zmyślanie wydarzeń. Oceniając publicystykę „Głosu Narodu" z okresu przewrotu majowego, redakcja socjalistycznego pisma stwierdzała, m. in.: „W ten sposób i wydania nadzwyczajne «Głosu Narodu» - jedynego reprezentanta prasy ósemkowej w Krakowie trafiały niejednokrotnie do rąk osób, zwykle niemających sposobności stwierdzenia, jak bezceremonialnie kłamie prasa tego gatunku! Nie można tego tłumaczyć tendencją danego pisma". W dalszym ciągu wypowiedzi „Naprzód" podaje, według własnej oceny, przykłady mijania się z prawdą przez „Głos Narodu" (np. w artykułach - *Etyka dziennikarska „Głosu Narodu"* czy *Odprawa kłamcom i obłudnikom klerykalnym*). Redakcja organu PPS często wytykała pismu chadeckiemu postępowanie niezgodne z etyką chrześcijańską. Jej wywody w tej materii miały nierzadko posmak czystej demagogii (m. in. w artykule z 1928 r.: *Biedny „Głos Narodu" ani do polityki ani do teologii. Ks. Piwowarczyk a mojżeszowa manna*). Zdarzały się nawet spory ideologiczne. W 1929 r. na zapowiedź papieża Piusa XI o bliskim ogłoszeniu świętym Tomasza Morusa, „Naprzód" określił go jako socjalistę, starając się to uzasadnić w obszernym artykule. „Głos Narodu" odpowiedział mu artykułem pod ironicznym tytułem *Święty „twórca socjalizmu". Niezwykłe odkrycie p. Haeckera*. Szukając argumentów w sporze z dziennikiem chadeckim jego socjalistyczny adwersarz stwierdzał: „W polemice z nami co do protoplasty nowożytnego socjalizmu Tomasza Morusa, którego papież obecny chce ogłosić świętym, zapytuje ironicznie «Głos Narodu» czy pomiędzy twórców socjalizmu zaliczamy i różnych średniowiecznych sekciarzy, nie wykluczając Adamitów, którzy odrzucali własność prywatną i wprowadzali wspólność kobiet. I dodaje dowcipnie, że ze względu na «obciążoną hipotekę moralną» niektórych sekt, trudno je będzie włączyć do socjalistycznego kalendarza". W odpowiedzi redakcja „Naprzodu" ripostowała, że „[...] ci sekciarze chcieli nawrotu do pierwotnego chrześcijaństwa, a średniowieczni wysoko postawieni w hierarchii duchownej często mieli obciążoną hipotekę moralną" (w artykule pt. *Adamici i Sodomici*).

Redakcja krakowskiego organu socjalistycznego w celu „ostatecznego" pogrążenia „Głosu Narodu" poruszała najbardziej drażliwe tematy. Tak było np. w przypadku rezygnacji biskupa krakowskiego ks. Adama Sapiehy z patronatu nad pismem w 1923 r. W komentarzu szydzono: „Istnieje w Krakowie pismo, wprawdzie zadawnione, ale tak nieudarzone, że patronujący mu - ze względu na jego firmę klerykalną biskup Sapieha, w końcu uznał za właściwe opuścić je... Każdy rozumie, że chodzi tu o «Głos Narodu»". Krakowski organ socjalistyczny szczególnie

atakował jednego z głównych przywódców chadecji w Polsce, Wojciecha Korfantego, ówczesnego posła m. Krakowa, który wykupił duże udziały w wydawnictwie „Głosu Narodu". Stąd pismo to było często z nim utożsamiane i zajadle atakowane. W 1923 r. redakcja dziennika z ul. Dunajewskiego 5 stwierdzała m. in., że „To organ niby chadecki a zupełnie nie informuje co się w chadecji dzieje [...]. Nie wie też nic o miliardowych interesach, które z żydowskim finansistą Boselem doprowadzić chce do skutku p. Korfanty" (w artykule pt. *Święty i nieświęty Wojciech*).

„Głos Narodu" nie pozostawał dłużny i nie przebierał w środkach w zmaganiach z „Naprzodem" i socjalistami. Nazwał ich „PoPSujami", „PePejSachowcami", popierając wszelkie działania wymierzone przeciw PPS i jej krakowskiemu dziennikowi, określając go mianem „świstka socjalistycznego" a redakcję jako „żydki z «Naprzodu»". Zamieszczano plotki na temat antynarodowych działań socjalistów, szczególnie krakowskich. Zajadle krytykował ich w drugiej połowie 1923 r., w okresie sprawowania władzy przez rząd Chjeno-Piasta, oskarżając m.in. o spowodowanie krwawych wydarzeń krakowskich z 6 listopada tego roku. Nazwał ich „moralnymi sprawcami zbrodni". „Naprzód" zyskał miano „zbrodniarza" za opublikowanie artykułu *Krwawy wtorek w Krakowie. Zwycięstwo proletariatu krakowskiego*. Wypowiedź tę określił „Głos Narodu" jako skandaliczną, ale w Polsce odosobnioną, sławiącą „morderców żołnierza polskiego" (m.in. w artykułach: *Rola PPS w krwawych wypadkach* i *Zbrodniarz się wije*).

W okresie przewrotu majowego winę „za wzmożony ruch i dające się zauważyć podniecenie" w dniu 13 maja 1926 r. w Krakowie chadecka gazeta zrzuciła na nadzwyczajne wydanie „Naprzodu" „rozszerzające kłamliwe i bezpodstawne informacje". Widać więc, że oba pisma wzajemnie zarzucały sobie okłamywanie opinii publicznej. Na posądzenie o nadużycia finansowe W. Korfantego „Głos Narodu" odpowiedział opisem sposobu przejęcia większości kapitału Drukarni Ludowej przez Spółdzielnię Spożywców „Proletariat", przedstawiającym krakowską organizację PPS w niekorzystnym świetle (w artykule, pt. *Nowy miliarder* z 1923 r.).

Po 1930 r. wzajemna, nieprzejednana walka „Naprzodu" i „Głosu Narodu" ustąpiła spokojnej, rzeczowej rywalizacji a niekiedy gestom wzajemnego poparcia w krytyce sanacji. Socjalistyczny dziennik powoływał się na antyrządowe wypowiedzi swego niedawnego, zaciekłego adwersarza. W połowie 1931 r., donosząc o usunięciu z krakowskiej chadecji najbardziej zagorzałych przeciwników sprawującego władzę obozu, po raz pierwszy wypowiedział się w życzliwym tonie o swoim dawnym nieustępliwym antagoniście, w tym czasie już zwolnionym ze stanowiska redaktora naczelnego chadeckiego dziennika - Janie Matyasiku.

Pomimo rozbieżnej postawy politycznej i ostrych zmagań prowadzonych przez Haeckera i Matyasika dzienników, w biografiach obu redaktorów można znaleźć pewne podobieństwa. Pochodzili z zachodniej Małopolski i wcześnie zaczynali praktykę dziennikarską. Byli też związani ze swoimi dziennikami jeszcze w okresie galicyjskim, z przerwą na I wojnę światową. Dużą wagę, pomimo informacyjno-politycznego typu prasowego „Naprzodu" i „Głosu Narodu", przywiązywali do prezentowania tematyki kulturalnej i to na dość wysokim poziomie. Tyle, że E. Haecker szczególnie preferował teatr a J. Matyasik poezję. Mimo cechującej obu zajadłości politycznej, w swych dziennikach niejednokrotnie umieli się wznieść na wyżyny tolerancji wobec „inaczej myślących". To czołowe postaci ówczesnej, nie tylko krakowskiej publicystyki, ale też fachowego dziennikarstwa.

Alfred Toczek

Henryk W. Żaliński

Polacy we Francji
Historia i współczesność

W sobotę 2 października 2004 r., w wypełnionej po brzegi sali Ośrodka Wypoczynkowego „Stella Maris" w nadmorskiej miejscowości Stella-Plage na Opalowym Wybrzeżu we Francji, rozpoczęło się dwudniowe VIII Międzynarodowe Sympozjum Biografistyki Polonijnej pt. *Polacy we Francji. Historia i współczesność*, zorganizowane przez Agatę i Zbigniewa Judyckich z Instytutu Badań Biograficznych w Vaudricourt. Sympozjum, poświęconemu losom Polaków i osób polskiego pochodzenia żyjącym we Francji oraz ich wpływowi na rozwój nauki, kultury i cywilizacji francuskiej na przestrzeni wieków, patronował minister kultury RP, Waldemar Dąbrowski, a w skład Komitetu Honorowego, obok wysokiego szczebla przedstawicieli francuskich władz państwowych i regionalnych, weszli także polscy uczeni, wśród nich rektorzy dwóch krakowskich uczelni – prof. Franciszek Ziejka z UJ i prof. Michał Śliwa z naszej AP.

Polonia francuska (licząca obecnie przeszło milion osób) pod względem liczebności zajmuje drugie miejsca w świecie po Polonii amerykańskiej. Warto przypomnieć, że Polacy od wieków przybywali do Francji, wybierając ten kraj jako miejsce emigracji politycznej, artystycznej i zarobkowej. Początki emigracji politycznej sięgają XVIII wieku, kiedy to za ekskrólem Stanisławem Leszczyńskim przybyli do Francji jego zwolennicy i dworzanie. Następne fale polskich uchodźców politycznych przybywały do Francji po klęsce konfederacji barskiej, po trzecim rozbiorze, po upadku powstania listopadowego (tzw. Wielka Emigracja), po upadku powstania styczniowego, wreszcie po klęsce wrześniowej, a także w 1968 r. (tzw. emigracja pomarcowa) i w latach 1981–82 (tzw. emigracja solidarnościowa). Pod koniec XIX wieku do Francji, głównie do Paryża, zaczęli przybywać polscy studenci, działacze socjalistyczni, a także literaci i artyści szukający tutaj artystycznych inspiracji. W tym też okresie pojawiły się we Francji pierwsze fale emigracji zarobkowej, która trwała w większym lub w mniejszym nasileniu przez cały XX wiek.

Najliczniejsze grupy Polaków zamieszkują obecnie w północnych departamentach Francji: Pas-de-Calais i Nord, drugim ich skupiskiem jest Alzacja i Lotaryngia, a trzecim okręg paryski. Polacy pracowali dawniej i pracują nadal we francuskim przemyśle (głównie w kopalnictwie i hutnictwie), w rolnictwie; działają także jako kupcy, sklepikarze, rze-

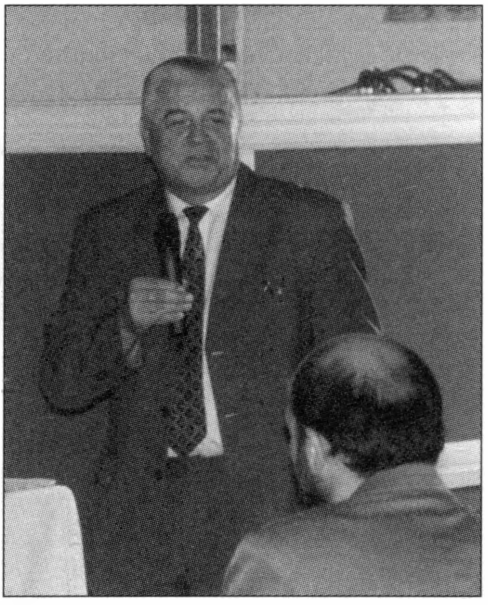

mieślnicy, często też - w zawodach inteligenckich. Wielu rodaków zaistniało także we francuskiej nauce i kulturze.

W obradach VIII Międzynarodowego Sympozjum uczestniczyła grupa pracowników z Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Referaty reprezentantów naszej Uczelni zostały dobrze przyjęte przez uczestników Sympozjum, odwoływano się do nich w dyskusji i w rozmowach kuluarowych.

Profesor Michał Śliwa reprezentujący Instytut Politologii swoje wystąpienie poświęcił Józefie Franciszce Joteyko (1866-1928), wybitnej polskiej uczonej w dziedzinie nauk przyrodniczych oraz psychologiczno-pedagogicznych. Odbyła ona gruntowne studia w Genewie (1886-1888), w Brukseli (1889--1890) oraz w Paryżu (1890-1896). Po obronie doktoratu w 1896 r. przez dwa lata prowadziła prywatną praktykę lekarską w Paryżu. Praca ta nie dawała jej jednak satysfakcji intelektualnych i nie zaspakajała aspiracji twórczych. Wyjechała więc do Brukseli, gdzie przez dwadzieścia lat prowadziła badania z zakresu fizjologii układu nerwowo-mięśniowego, zajmując się głównie zagadnieniami zmęczenia, bólu i pracy. Niektóre z jej ustaleń weszły do literatury naukowej pod jej imieniem. Badania psychologiczne Józefy Joteyko dotyczyły pamięci i psychologii wrażeń. Autor referatu podkreślał, że uczona, o sprecyzowanych, demokratycznych, a nawet socjalistycznych poglądach, była zawsze wrażliwa na sprawy człowieka i krzywdę ludzką. W czasie I wojny światowej, po powrocie do Francji, prowadziła wykłady w sławnej uczelni paryskiej Collége de France. Przed nią tylko jeden Polak - Adam Mickiewicz - dostąpił tego zaszczytu, przy czym Józefa Joteyko była pierwszą kobietą profesorem tej prestiżowej uczelni. Poza wykładami w Collége de France Joteyko zajmowała się również pracą naukową na paryskiej Sorbonie. Jako uczona rozsławiła imię Polski we Francji, Belgii i pozostałych krajach Europy.

Mniej znanym, ale również zasłużonym dla swojej drugiej ojczyzny, Francji, był Ludwik Nabielak, znany z polskich podręczników historii przede wszystkim jako uczestnik ataku na Belweder 29 listopada 1830 r. Jego dokonania - dyplomowanego inżyniera górnika (który w 1843 r. ukończył w Paryżu studia École de Mines) - przedstawił w swoim referacie piszący te słowa Henryk Żaliński z Instytutu Historii. W l. 1850-53 Ludwik Nabielak pracował jako dyrektor kopali węgla w Plessis (departament Manche) w południowej Francji, zaś w latach 1853--54, na zlecenie kompanii braci Pereirów, z dużym sukcesem prowadził poszukiwania geologiczne węgla kamiennego w Décazeville i Aubin (departament Aveyron). Następnie pracował jako naczelny dyrektor kopalni miedzi w Muzaja (Algieria) oraz w Hiszpanii, prowadząc tam poszukiwania metalurgiczne. W 1857 r., pozostając wciąż wybitnym fachowcem, objął posadę dyrektora gazowni w Nimes, otrzymując pensję, która mogłaby zaspokoić wymagania każdego urzędnika francuskiego. Ludwik Nabielak nie był jednak jedynym polskim dyrektorem kopalni we Francji. W owym czasie funkcję tę również sprawowali: Konstanty Czyżkowski, Franciszek Zawadzki i Onufry Korzeniewski, wszyscy absolwenci francuskich uczelni górniczych. Wielu polskich inżynierów pracowało w czasach Wielkiej Emigracji przy budowie dróg, kolei, a także we francuskich urzędach miejskich i administracji centralnej, przyczyniając się do rozwoju gospodarczego Francji i odpłacając się

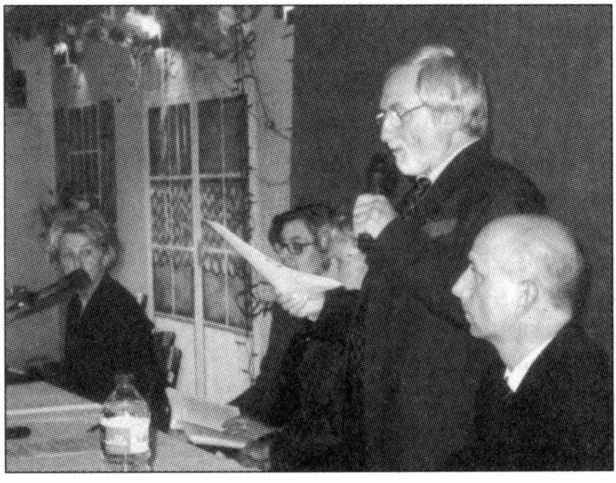

w ten sposób za gościnę, którą władze tego państwa udzieliły im po upadku powstania listopadowego.

Wygłoszone referaty zostały opublikowane w książce *Les Polonais en France* (*Polacy we Francji*), która towarzyszyła obradom. Obszerną część publikacji zajął słownik biograficzny autorstwa Agaty i Zbigniewa Judyckich, którzy przybliżyli w nim życiorysy około 400 znanych Polaków mieszkających obecnie we Francji. W książce tej znalazły się też referaty, które choć nadesłane do organizatorów wcześniej, z braku czasu nie zostały wygłoszone w czasie obrad w Sella-Plage. Wśród nich znalazł się ciekawy szkic Huberta Chudzio z Instytutu Historii AP w Krakowie, zatytułowany „Adam Kulczycki (1809-1882) - polski badacz Oceanii w służbie Francji". Kulczycki jeszcze przed powstaniem listopadowym, w którym zresztą wziął czynny udział jako podporucznik, ukończył Wydział Matematyki, Budownictwa i Miernictwa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1834 r., dzięki materialnej pomocy księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, zapisał się na studia do Szkoły Dróg i Mostów w Paryżu, ale przed ich ukończeniem wyjechał w 1836 r. do Brazylii, gdzie pracował przy budowie dróg, mostów i portów. W 1843 r. wstąpił do francuskiej służby kolonialnej. Wykonywał dla francuskiego rządu prace kartograficzne na nowo przyłączonych do Francji wyspach leżących na Oceanie Spokojnym. Zamieszkał w stolicy Tahiti, Papeete, gdzie założył pierwsze obserwatorium astronomiczne i meteorologiczne w tej części Pacyfiku. Mieściło się ono przy rue de la Petite Pologne, którą zapewne sam tak nazwał, aby przypominała mu w tych dalekich stronach o starej ojczyźnie. Jego działalność we francuskiej służbie kolonialnej była tak owocna i wszechstronna, że zyskała duże uznanie władz centralnych, czego wymownym faktem było przyznanie mu Orderu Legii Honorowej.

W drugim dniu uczestnicy Sympozjum udali się do miejscowości Vaudricourt, oddalonej od Stelle-Plage o około sto kilometrów, gdzie Instytut Badań Biograficznych organizuje Europejskie Centrum Polonijne. Centrum, położone na posesji o powierzchni 22 ha, z czego 70% stanowi stary park, posiada wspaniałą bazę, m.in. pałac o powierzchni użytkowej 900 m², internat-hotel na około 60 miejsc noclegowych, halę widowiskowo-konferencyjną ze sceną i bogatym zapleczem obejmującym dwa boiska do piłki nożnej, boisko do koszykówki, parkingi i garaże oraz własne ujęcie wody. Wobec powyższego Centrum zamierza organizować sympozja, konferencje, szkolenia i kursy językowe, liczne imprezy sportowe, wystawy i plenery malarsko-rzeźbiarskie, a także utworzyć archiwum osobowe Polonii europejskiej. Uczestnicy Sympozjum wzięli udział w otwarciu pierwszego obiektu powstającego Centrum - stałej Galerii Malarstwa oraz Rzeźby Polskiej i Polonijnej zlokalizowanej w pałacu. W Galerii zaprezentowano prace z prywatnej kolekcji Agaty i Zbigniewa Judyckich oraz obrazy i rzeźby ofiarowane przez polskich artystów tworzących w kraju i na emigracji.

Imprezą towarzyszącą Sympozjum był Międzynarodowy Salon Książki Polonijnej, zorganizowany przez Stowarzyszenie Autorów Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie. Podczas Salonu zaprezentowano ponad 250 tytułów książek oraz 175 tytułów prasy polonijnej wydawanej w 30 krajach.

Ogółem w Sympozjum i licznych imprezach towarzyszących uczestniczyło przeszło 500 osób. Obok Polaków mieszkających głównie w departamentach Nord i Pas-de-Calais, którzy z dużym zainteresowaniem przysłuchiwali się obradom, najliczniejszą grupę stanowili naukowcy z ośrodków akademickich: Austrii, Belgii, Francji, Danii, Niemiec, Szwajcarii, USA, Ukrainy, Litwy, Wielkiej Brytanii, Włoch oraz z Polski (Białystok, Bydgoszcz, Katowice, Kielce, Kraków, Lublin, Łódź, Olsztyn, Rzeszów, Warszawa). Sympozjum towarzyszyła ekipa telewizyjna oraz francuscy, polscy i polonijni dziennikarze. Relacje i sprawozdania z obrad ukazały się w kilkunastu wydaniach gazet i czasopism francuskich, a reportaż telewizyjny był emitowany przez TV Polonia, która drogą satelitarną jest odbierana w wielu krajach całego świata.

Henryk W. Żaliński

Kazimierz Karolczak

Ukraińska rewolucja

Pomarańczowa nadzieja w czarno-białej rzeczywistości

21 listopada Ukraina zamarła w oczekiwaniu. Wybory prezydenckie wyraźnie podzieliły kraj na dwa obozy: zwolenników jednego z dwu Wiktorów: Juszczenki lub Janukowycza. Podział wydawał się tak czytelny i trwały, że żadna ze stron nie podjęła przed drugą turą wyborów większego wysiłku przeciągnięcia na swoją stronę potencjalnych wyborców rywala politycznego. Można było odnieść wrażenie, że agitacja wyborcza skierowana jest do środowisk już przekonanych, wierzących w zwycięstwo swojego kandydata, a więc ma na celu stworzenie jedynie silniejszych więzi i wykreowanie „wspólnego wroga", utrwalenie „wizji zagrożenia", w razie sukcesu przeciwnika. Czy była to więc wyłącznie kampania negatywna? W dużej mierze tak, chociaż...

Proklamowanie niepodległości Ukrainy 24 sierpnia 1991 r. nie było równoznaczne z powstaniem świadomego swej przyszłości narodu ukraińskiego. Jak wiele dzieliło rosyjskojęzycznych Ukraińców ze wschodu od posługujących się na co dzień językiem ukraińskim mieszkańców z zachodu, pokazać miały dopiero następne lata. A pamiętać musimy, że pomiędzy nimi żyło kilkanaście milionów ludzi całkowicie biernych i państwowo obojętnych. To - przywołując wyniki polskiego spisu ludności z 1921 r. - tacy ukraińscy „tutejsi", którym nie sprawia większej różnicy, kto sprawuje rządy: car, komunistyczny sekretarz czy prezydent. Obojętnym zdaje się dla nich odpowiedź na pytanie, jaka władza i skąd? Bliższy Kijów czy odległa Moskwa są dla ludzi nie wykraczających niejednokrotnie przez całe życie poza miejsce swego zamieszkania równie daleko... To o nich, paradoksalnie, toczyła się walka przed ostatnimi wyborami, albowiem w ich właśnie rękach znalazła się przyszłość Ukrainy...

Kandydatów na prezydenta, przystępujących do decydującej rozgrywki, zdawało się różnić wszystko, a media skutecznie powiązały ich program polityczny z przyszłością Ukrainy. Cztery prorządowe, rosyjskojezyczne kanały telewizyjne sprzedawały wizerunek aktualnego premiera Janukowycza jako gwaranta spokoju, stabilizacji i rozwoju ekonomicznego opartego na istniejących silnych powiązaniach z gospodarką rosyjską. Juszczenkę pokazywano mało, a jeśli już, to jako wichrzyciela, sprzedawczyka, nacjonalistę, a nawet faszystę! Odmienny obraz obu kandydatów funkcjonował jedynie w opozycyjnym, piątym kanale telewizyjnym i nielicznych stacjach radiowych, z których najbardziej znaczącą było Ra-

dio Era FM. Tu Juszczenko jawił się jako bojownik o wartości demokratyczne, zwolennik opcji proeuropejskiej, zdecydowany wypowiedzieć walkę wschodnioukraińskim oligarchom i uniezależnić się od Rosji. Janukowycz uosabiał za to w tych rozgłośniach wszelkie plagi nawiedzające Ukrainę w ostatnich latach: niekompetencję władzy, brak myślenia propaństwowego, powiązania mafijne, korupcję, złodziejstwo itp.

Specjaliści od kreowania politycznego wizerunku obu kandydatów wyraźnie próbowali trafić do najmniej wyrobionego wyborcy, stąd pokazywanie ich w ogromnym uproszczeniu, w czarno-białych barwach. W kampanii medialnej wyraźną przewagę zdawał się mieć urzędujący premier, jako że popierały go aż cztery odbierane w całym kraju kanały telewizyjne, a sygnał piątego – wspierającego jego konkurenta – „dziwnym trafem" przestał docierać do wschodnich rejonów Ukrainy...

Ludziom nie sprawia większej różnicy, kto sprawuje rządy. Bliższy Kijów czy odległa Moskwa są dla nich równie daleko... Lecz to właśnie o nich, paradoksalnie, toczyła się walka przed ostatnimi wyborami o przyszłość Ukrainy...

Wieczorem 21 listopada, jeszcze przed zakończeniem głosowania, oba obozy polityczne ogłosiły zwycięstwo własnego kandydata, jakby chcąc w ten sposób wywrzeć presję na komisję wyborczą. Obie strony otwarcie zapowiedziały uznanie wyborów tylko pod warunkiem swojego zwycięstwa, co z góry odsuwało wszelkie rozstrzygnięcia od urn wyborczych. W poniedziałek z rana zwolennicy opozycji wyszli na ulice, zbierali się na placach, dyskutowali, skandowali „Juszczenko, Juszczenko". Dominuje pomarańcz. Wściekłość wywołują komunikaty, że Janukowycz ma już ponad 49% głosów, a śmiech i gwizdy – szczegółowe doniesienia o 98% poparciu dla niego w Doniecku i niewiele mniejszym w obwodzie ługańskim. Dzięki specyfice ukraińskich wyborów (niekontrolowane wręcz możliwości głosowania poza miejscem zamieszkania) owe liczby przekroczą tam potem nawet 100%! Wkrótce Wiktor Janukowycz wygłasza przemówienie z pozycji zwycięzcy, a prezydent Rosji Putin przesyła mu gratulacje jeszcze przed ogłoszeniem wyników przez komisję wyborczą. Ulica odbiera to złowrogim pomrukiem, wyraźnie wzmagają się nastroje antyrosyjskie.

Na ulicach Kijowa i zachodniej Ukrainy pomarańczowo, ludzie chodzą z żółto-niebieskimi flagami narodowymi, ale we Lwowie pojawia się też nacjonalistyczna czerń. Mimo mrozu, przejmującego zimna, atmosfera podniosła. Dominuje młodzież. Na kijowskim Majdanie czy lwowskim prospekcie tysiące ludzi, flagi, transparenty, ludzie w pomarańczowych pelerynach z napisami „Wirju, znaju, możemo", „Juszczenko Tak". Wszyscy mają na sobie coś pomarańczowego: kurtki, czapki, ale najwięcej wstęg, wstążek na głowie, rękawach, torbach. W sklepach brakuje tego koloru... Ekspedientki w pośpiechu tną na paski materiał na zasłony do okien. Nazwa *pomarańczowej rewolucji* dociera do świadomości Ukraińców, przyjmuje się w Europie. Przezorni pamiętają jednak, że łatwo tę barwę nasycić intensywniejszą czerwienią, kolorem krwi...

Rewolucję wyraźnie robią studenci i uczniowie. W ośrodkach akademickich wyruszają pochodami z akademików do centrów miast, wznosząc okrzyki na cześć Juszczenki. Kilkusetosobowe grupy zaopatrzone we flagi w barwach narodowych i pomarańczowych szybko urastają do wielu tysięcy. Najmłodsi traktują to jak ciekawą przygodę. Z entuzjazmem wykrzykują nazwisko kandydata opozycji. Za kilkadziesiąt lat będą pamiętać, że brali udział w przełomowych dla Ukrainy wydarzeniach, dziś chyba nie są jeszcze świadomi swego uczestnictwa w rewolucji. W centrum przyłączają się do nich ludzie starsi, gapiów prawie nie ma, nie ma ludzi obojętnych, wszyscy są zaangażowani politycznie. Nawet obcokrajowcom, dobrze znającym Ukrainę, trudno zachować neutralność. Zbyt świeża jest jeszcze w ich pamięci „radziecka Ukraina", obowiązkowy język rosyjski i sowieckie stosunki. Teraz świta nadzieja na odrobinę normalności.

Opozycja oskarża władze o sfałszowanie wyborów, wzywa ludzi do obywatelskiego protestu poprzez pozostanie na ulicach. We Lwowie grupy młodzieży krążą po ulicach, skandując nie tylko oficjalne hasła. Wszystko podporządkowane zasadzie: kto nie z nami, temu biada. Inwencja młodych ludzi nie zna granic. Aplauz wzbudzają np. uśmiechnięte 14--15-letnie dziewczyny wykrzykujące *Juszczenko, Juszczenko, Juszczenko prezydent, Janukowycz impotent*... Nikt nie zważa na zimny wiatr czy śnieg przechodzący z upływem dnia w deszcz. Tłum ogarnięty jakimś dziwnym amokiem, jednomyślny; nikt nie wyraża odmiennego zdania. Jak zareagowałby ów tłum, gdyby ujawnił się jakiś zwolennik Janukowycza? Na ogół jest jednak spokojnie, postronnych obserwatorów zaskakuje spontaniczność, ale też porządek i odpowiedzialność. Nie ma burd, pijaństwa, prowokowania milicji.

Przez głośniki płyną słowa przemówień z Kijowa, ludzie reagują okrzykami aprobaty bądź gwizdami. We wtorek po południu tysiące ludzi gromadzi się pod gmachem władz obwodowych, żądają ustąpienia prezydenckiego gubernatora (odpowiednik polskiego wojewody). Nawet pomniki przepasane są pomarańczowymi wstęgami, las flag. Reakcją na próby uspokajających wezwań ze strony władz są pomruki, buczenie i gwizdy. Na ulice Lwowa wyległo około 150 tys. ludzi. Przy prospekcie rozstawiono kilka namiotów, ale to raczej symbolicznie. Prawdziwe pole namiotowe stanęło na kijowskim Majdanie Niezależności. Cały czas napływają informacje, że autobusy z ludźmi z Zachodniej Ukrainy nie mogą dotrzeć do Kijowa, są zatrzymywane przez milicję przed stolicą. Niezależne radio Era podaje numery telefonów, pod które należy zgłaszać przypadki blokad na drogach. Głośnym echem odbija się wypowiedź Zbigniewa Brzezińskiego, piętnującego oszustwa wyborcze. Głos z Ameryki na Ukrainie liczy się podwójnie. Unia Europejska jest wyraźnie na drugim planie. Polskich akcentów mało, wspomina się jedynie o studenckich demonstracjach w Krakowie i Warszawie. Aplauz wywołuje przesłanie Wacława Havla (wymawianego tu „Gaweł"), odczytane w Kijowie przez Juszczenkę.

Ukraina czeka... Codziennie pojawiają się nowe nadzieje. Jedną z nich staje się zwołane na wtorek posiedzenie parlamentu. Powszechnie oczekuje się, że opozycyjna większość, na czele ze spikerem Lytwynem, przejmie tymczasową władzę. Ludzie na ulicach z zaskoczeniem słyszą z głośników słowa Lytwyna (zamykającego posiedzenie), że parlament nie ma prawa tego zrobić. Po chwili ulice eksplodują entuzjazmem na wiadomość, że Wiktor Juszczenko, nie bacząc na słowa Lytwyna, podszedł do prezy-

dium i złożył przysięgę prezydencką na ostrogską biblię. Na Ukrainie pachnie rozłamem... Janukowycz czuje się prezydentem przy poparciu wschodniej części kraju, Juszczenko - zachodniej i Kijowa. Szybko narastającym oporem wyraźnie zaskoczona wydaje się być Rosja. Putin wycofuje się z wcześniejszych gratulacji, mówiąc, że na Ukrainie nie są jeszcze rozstrzygnięte wybory... Wiktor Juszczenko w przemówieniu na Majdanie Niezależności apeluje o okazywanie pomocy ludziom przybyłym do Kijowa z całej Ukrainy: „Kijowianie, okażcie się gościnni, ogrzejcie, nakarmcie przybyszy". Apeluje o neutralność do wojska, milicji, urzędników.

Ustępujący prezydent Kuczma czeka... Miał lepsze i gorsze dni, chociaż tych ostatnich było - zdaniem jego rodaków - znacznie więcej. Na koniec dostał jednak szansę godnego zakończenia swej prezydentury, ale nie chciał bądź nie potrafił z niej skorzystać. Interes rodziny przedłożył, jak się wydaje, nad dobro państwa. Ukraińcy przypominają swojemu włodarzowi, że w czasie, gdy zasiadał w pałacu prezydenckim, jego osobisty zięć stał się jednym z najbogatszych ludzi w kraju, przejmując - w ramach prywatyzacji - znaczną część majątku narodowego... Bezpieczeństwo tego rodzinnego imperium finansowego mógł zagwarantować „człowiek wschodnich oligarchów", Janukowycz. Kuczma zaangażował się więc bardzo mocno po jego stronie, przyjmował jednoznaczne wsparcie polityków rosyjskich, ku zgorszeniu opozycji spotykał się nawet w przeddzień wyborów z prezydentem Putinem.

Pogłębia się antagonizm wschodu z zachodem. W Doniecku Rada Miejska podejmuje uchwałę o poparciu dla Janukowycza, Lwów uznaje prezydentem Juszczenkę, a później podobne informacje dochodzą z innych miast (m.in. z Równego). Ukraina dzieli się, być może stanęła na progu konfliktu... Coraz częściej pada pytanie: czy pomarańczowa rewolucja nie zmieni się na krwawą? Zachodnia Ukraina traktuje południowy wschód jak bandytów, mafię. Określenia te wykorzystuje władza do podsycania antagonizmów. Do radia telefonują oburzeni mieszkańcy Doniecka, postrzegający Ukraińców ze Lwowa jako wrogów, darmozjadów, których przemysłowy wschód musi utrzymywać.

Pojawiają się wiadomości, że do Majdanu Niezależności zbliżają się oddziały milicji oraz przypuszczenia, że urzędujący prezydent może wprowadzić stan wyjątkowy. Lwowskie ulice wyją... Tu milicja nie kiwnie palcem! Wyraźnie sprzyja demonstrantom. Groźnie brzmi doniesienie - dementowane wprawdzie następnego dnia przez ministra obrony, Łysenkę - że do Kijowa przyjechał rosyjski Specnaz. Dzienniki podają wypowiedź prezydenta Kwaśniewskiego, że Ukraińcy nie zdali egzaminu z demokracji, ale szerzej odbija się apel prezydenta Gruzji, by Unia Europejska nie zostawiała Ukrainy samej. Do Kijowa przybywają autobusy zwolenników Janukowycza z Doniecka. Oni również rozbijają namioty na Majdanie... Media przychylne Juszczence oskarżają władze o przysyłanie kryminalistów, finansowanie tych przyjazdów przez sztab Janukowycza. Z drugiej strony padają posądzenia o wysyłanie do stolicy dzieci i młodzieży. W samym Kijowie służby medyczne apelują o rozwagę. Na Majdanie coraz więcej ciężkich przypadków zachorowań, zwłaszcza u najmłodszych. Starsi nawiązują bliskie przyjaźnie, pod czujnym okiem kamer duchowni udzielają trzech pierwszych ślubów...

Młodzież krąży samochodami, z wielkimi flagami narodowymi i głośnymi klaksonami. Demonstracje przeradzają się w wielkie festyny, w których informacje i przemówienia przeplata muzyka i występy piosenkarzy na żywo. Na kijowskim Majdanie pojawiają się artyści, którzy wcześniej występowali

(jak głosi fama: za godziwe honoraria) na przedwyborczych spotkaniach Janukowycza. W pośpiechu dołączają do setek tysięcy demonstrantów; mówi się, że oni najwcześniej wyczuwają zwycięzców... Nie wszyscy jednak zmieniają front. Stupka, wspaniały aktor, były minister kultury Ukrainy, znany w Polsce ze znakomicie zagranej roli Chmielnickiego w *Ogniem i mieczem*, publicznie broni swego poparcia dla Janukowycza, podobnie jak uznawany za najlepszego piłkarza w Europie, gracz włoskiego Juventusu, Szewczenko.

We Lwowie wielkie festyny trwają pod pomnikiem Iwana Franko przed uniwersytetem i na prospekcie pod teatrem. Na mrozie i przy padającym śniegu młodzież śpiewa, tańczy i wznosi okrzyki na rzecz Juszczenki. Coraz więcej osób chodzi w pomarańczowych kombinezonach, z pomarańczowymi parasolami. Hasła poparcia dla Juszczenki wypisywane są na kawałkach tektury, na papierze, nawet na plecach. Rewolucja przybiera wyraźnie festynowy charakter, ale ze względu na zgromadzenie dziesiątków tysięcy młodzieży w każdej chwili może grozić wybuchem... Na razie dominuje atmosfera pikniku, zabawy. Hasła pomarańczowej rewolucji płyną ze scen w rytmie rapujących zespołów. Piorunującą karierę robi utwór wykonany przez lokalny zespół na wiecu w Iwanofrankowsku (Stanisławowie). Już po paru dniach cała Ukraina śpiewa: *Radom nas bahato, nas nie podołaty*. Słowa tej pieśni dotrą wkrótce do Brukseli i - choć dla niewielu tam zrozumiałe - staną się symbolem pomarańczowej rewolucji.

Media podają informację o przyjeździe prezydenta Kwaśniewskiego jako oficjalnego wysłannika Unii Europejskiej. Niespodziewanie dla wszystkich pojawia się w Kijowie Lech Wałęsa. Przyjęty na Majdanie z entuzjazmem, wygłasza jednak nijakie przemówienie, które kończy słowami, że wyjeżdża teraz do Portugalii, ale zostawia swojego zastępcę, zaprawionego w takich bojach Zbigniewa Bujaka. Cóż - ważne, że Wałęsa się tu pojawił, to wręcz symboliczne, a to, co powiedział, nie jest już takie istotne. Nikt do serc zgromadzonych tam ludzi i tak nie trafi w taki sposób, jak Julia Tymoszenko. Ona czuje się na takich zgromadzeniach jak ryba w wodzie, a jej żarliwe słowa porywają tłumy. To prawdziwy „motor rewolucji" - mówią jej zwolennicy; „stalinowska baba" - odpowiadają przeciwnicy. Znakomicie podgrzewa nastroje, steruje emocjami, ale jej radykalizm może być w przyszłości groźny także dla Wiktora Juszczenki.

W środowy wieczór oboje rzucili na Majdanie wezwanie do strajku. We Lwowie przyjęto to z entuzjazmem, tu zresztą wiele instytucji i tak już nie pra-

cuje (uniwersytety, szkoły), a w innych głównie się dyskutuje. W mieście wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu, ze sklepów przy prospekcie ekspedientki wynoszą gorącą herbatę w plastikowych kubkach. Ludzie są dla siebie ogromnie życzliwi, takiej solidarności społecznej nigdy tu nie obserwowano. Na wiecu wystąpił rektor Uniwersytetu Lwowskiego, prof. Wakarczuk. To ważny i oczekiwany głos za demokracją. Na kijowskim Majdanie syn profesora - jeden z najpopularniejszych na Ukrainie piosenkarzy - jest dobrym duchem całego, wielkiego zgromadzenia. Zagrzewa do wytrwałości, śpiewa... Następnego dnia głośnym echem w całym kraju odbija się decyzja podjęta przez profesorów Uniwersytetu Lwowskiego o odebraniu doktoratu *honoris causa* prezydentowi Kuczmie.

Tymczasem na Ukrainie coraz głośniej o próbach tworzenia na wschodzie (Donbas, Cherson) republiki autonomicznej i oderwania tych najbardziej uprzemysłowionych terenów od Ukrainy. Wydaje się, iż jest to na razie tylko straszak, ale w razie niekorzystnego rozstrzygnięcia dla Janukowycza, może stać się realną groźbą. Lokalna administracja zyskuje dla tego pomysłu poparcie wielu mieszkańców, obawiających się rządów Juszczenki. Na wschodzie przedstawiany jest jako nacjonalista, który pozbawi pracy ludzi nie posługujących się językiem ukraińskim. A tam wszyscy mówią po rosyjsku...

Pierwszy dzień grudnia przynosi nowe nadzieje. Na Ukrainę przyjeżdżają Solana, Kwaśniewski i Brazauskas. Klimat wokół Polski znów znakomity, zwłaszcza wobec fatalnego - zdaniem Ukraińców - zachowania kanclerza Schredera, który wyraźnie staje po stronie swojego przyjaciela Putina. Akcje Polski rosną, zaczynają tu doceniać jednoznaczne od początku stanowisko naszego kraju. Kwaśniewski przyjeżdża z propozycją oczekiwaną na Ukrainie: powtórne wybory pomiędzy dwoma kandydatami. Poplecznicy Kuczmy optują za rozpisaniem wyborów od początku, ale sam prezydent wydaje się skłonny do zawarcia porozumienia z każdym..., byle tylko zagwarantował bezpieczeństwo finansowemu imperium rodzinnemu! Z owej oferty wkrótce skorzysta Juszczenko, a kulisy zawartego kompromisu pozostają w sferze domysłów. Oby tylko nie odbiły się fatalnie na przyszłości Ukrainy. To pierwszy od dawna sukces Kuczmy, zwłaszcza, że powiązany z wyraźnie zarysowanym pęknięciem w obozie opozycji. Julia Tymoszenko nie chce pogodzić się z owym kompromisem, a za nią mogą stanąć tłumy...

Wiece i manifestacje powoli wygasają. Nikt nie pracuje, wszyscy czekają. Ludzie nie rezygnują. Tłumy na kijowskim Majdanie, zagrzewane przemówieniem Juszczenki trwają... W radiu Era występują minister obrony Ukrainy i szef Sztabu Generalnego. Jednoznacznie opowiadają się po stronie Juszczenki, deklarują, że armia nie wystąpi przeciw narodowi. To już otwarty bunt w obozie premiera. Pomarańczowa rewolucja w ciągu dwóch tygodni nie tyle zmieniła Ukrainę, co Ukraińców. Zaszczepiła w ich sercach odwagę, pragnienie wolności, godnego życia. Dała też poczucie siły, stworzyła naród. Tych zmian nikt już nie zdoła cofnąć, nikt nie zahamuje procesu demokratyzacji, który ruszył jak walec. Lepszej lekcji patriotyzmu trudno sobie wyobrazić. Młodzież demonstrująca za Juszczenką może być wielką siłą ukraińskiego narodu. Oby tylko została skierowana w ramy demokracji... Dla wielu Ukraińców Juszczenko stał się symbolem owej demokracji, większość idealizuje go jako polityka, nie zastanawia nad przyszłością.

A jaka przyszłość czeka Ukraińców? Ile wyrzeczeń, rozczarowań, cierpień? Na razie panuje optymizm, entuzjazm nie wygasa, chociaż Ukraina znów czeka... Czeka na powtórkę wyborczą 26 grudnia 2004 roku. Te wybory nie są obojętne także dla sąsiadów Ukrainy, o czym świadczy chociażby kilka tysięcy Polaków, spędzających tegoroczne święta Bożego Narodzenia poza domem. Jako międzynarodowi obserwatorzy wyborów wyjeżdżają na Ukrainę już w przeddzień wigilii...

Kraków, dn. 13 grudnia 2004 roku...
Kazimierz Karolczak
Fotografował autor

Bolesław Faron

Z notatnika sztokholmskiego
Podróż do noblowskiego sezamu

3 września 2004 r.

Pociąg z Krakowa do Warszawy odjeżdża o godz. 17.35. Czytam niedawno wydaną powieść Ryszarda Sadaja *Brzytwa Niecikowskiego*. W ostatnich latach opublikował on trzy interesujące książki: *Ławka pod kasztanem* (2000), *Terapia Pauliny P.* (2002) i wspomnianą *Brzytwę Niecikowskiego* (2004). W *Brzytwie...* narracja jak w *Ławce pod kasztanem*. Bohater podobny. Nieprawdopodobne sytuacje. Czyżby realizm baśniowy?

Warszawa. Hotel „Dialog" przy ul. Limanowskiego 23. Otwieram telewizor; na TVN 24 sprawozdanie z tragedii w Biesłanie. Informacja: mało Warszawiaków składa kwiaty pod Ambasadą Rosyjską, mniej niż pod amerykańską 11 września 2001, czy Hiszpańską 11 marca 2004 r. Komentarz: przyczyna, chyba weekendowe wyjazdy poza miasto...? Zasypiam z przerażającymi obrazami pod powiekami – półnagich dzieci wynoszonych z ruin szkoły.

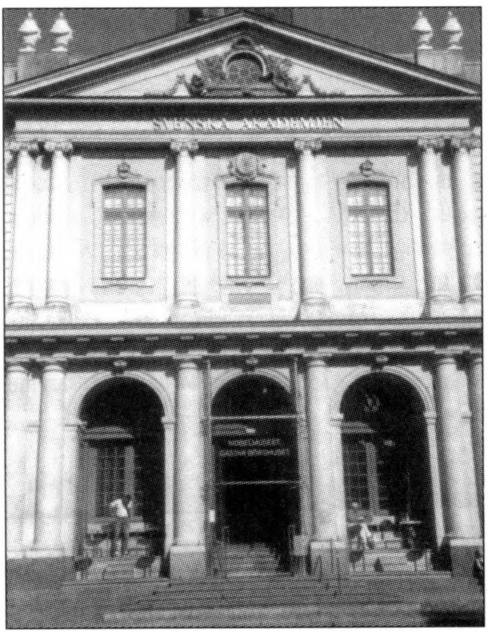

4 września...

Po godzinnym opóźnieniu startujemy. W samolocie lektura „Gazety Wyborczej". Relacje z Osetii. Makabryczne zdjęcia pokrwawionych dzieci i dorosłych oraz przedziwne komentarze, oskarżenia pod adresem służb specjalnych o nieudolność, itp. Na dalszym planie tragedia niewinnych dzieci...

W pokoju gościnnym Ambasady RP będę miał kwaterę na okres pobytu w Sztokholmie. Po południu wraz z Bogumiłą i Ryszardem Warchołami zwiedzamy centrum miasta. Jest to bardzo ważne, gdyż ułatwi samodzielne poruszanie się po tej aglomeracji w następnych dniach. Potem jedziemy na wyspę Ingarö do ich letniego domku. Dookoła małe, skromne budowle, wspólna sauna nad zatoką (dla ośmiu rodzin), z bezpośrednim zejściem do wody, skały, zieleń, lasy, w których mnóstwo grzybów. Kiedyś było tutaj gospodarstwo rolne, dzisiaj kolonia letnich i całorocznych domków. Krajobraz urokliwy. Wszędzie ład i porządek. Państwo Warchołowie są emigrantami z 1981 r., pochodzą z Krakowa. Tam mają rodzinę, nie wykluczają, że pod Wawelem spędzą kiedyś lata „pensjonistów". Początki w Szwecji były trudne. Najpierw praca u rolnika w Malme. Potem Sztokholm, poszukiwanie mieszkania, pracy. Brak kontaktu z krajem. Po sześciu latach wyrzeczeń, oprócz mieszkania w ładnej dzielnicy, letni domek wśród skał i lasów na wyspie, oaza spokoju. Koszt utrzymania dwa-

dzieścia pięć tysięcy koron rocznie plus mieszkanie w mieście. To dużo, ale warto.

Pod wieczór spotkanie z Katarzyną Gruber, wieloletnią bibliotekarką Biblioteki Noblowskiej, w jej mieszkaniu w Sztokholmie. Rozmowa o wojennych i okupacyjnych przeżyciach Gruberów tak mnie wciągnęła, że zapomniałem o głównym celu mojej wizyty. Ona pochodzi z okolic Nowogródka, jej mąż ze Lwowa. Oboje losy rzuciły na obrzeża ZSRR. Tam się spotkali. On wiele lat pracował w kołchozie przy zbiorach bawełny, ona m. in. w Delegaturze Rządu Londyńskiego. Po wojnie powrót do kraju: Łódź, Wrocław i Warszawa. Pani Katarzyna pracowała w Wydawnictwie Książka i Wiedza, a mąż był dyrektorem Wydawnictw Ekonomicznych. Przyszedł pamiętny rok 1968. Emigracja najpierw do Włoch, z zamiarem osiedlenia się w Kanadzie, w 1969 Szwecja, dzięki energicznej postawie znajomej z tego kraju. Na koniec krótka rozmowa o nagrodach Nobla. Otrzymuję teczkę materiałów i parę książek na nocną lekturę, która ma mnie przygotować do poniedziałkowych penetracji naukowych w archiwum Biblioteki Noblowskiej.

5 września...

Niedziela. Piękny, słoneczny dzień. Ciepło, jak na tę porę roku w Skandynawii, temperatura ok. 26°C. Spacer po starówce: monumentalny Parlament, okazały, wyniosły Pałac Królewski (tu zwiedzam kaplicę). Ustalam lokalizację budynku dawnej Giełdy, dzisiaj Muzeum Nobla, siedziby Akademii Szwedzkiej i Biblioteki Noblowskiej. Wzdłuż brzegu udaję się do Wasamuzeum. Na trasie bogate domy, wybudowane na początku XX wieku, jachty, przycumowane tuż przy ulicy, a to oryginalne muzeum na maleńkiej wysepce. 10 sierpnia 1628 r. przy pięknej pogodzie wyruszył w swój dziewiczy rejs królewski okręt Wasa. Po przepłynięciu 1300 m przewrócił się i poszedł na dno w sztokholmskim porcie. Utonęło 50 marynarzy i całe wyposażenie wojenne. W 1956 r. wydobyto jednostkę, wyremontowano i w 1990 otwarto to dzisiaj najpopularniejsze muzeum. Dzięki niskiemu zasoleniu wody drewno, z jakiego był zbudowany, pochodzące z 1000 dębów, zachowało się w doskonałym stanie. W czasie wodowania Wasa był najpotężniejszym okrętem na świecie: 64 działa, oprócz 150 osobowej załogi mógł wziąć 300 żołnierzy. Dzisiaj w muzeum tłumy zwiedzających z całego świata. Przemieszczam się wraz z nimi po salach multimedialnych, okrążam jednostkę po wielopiętrowych podestach, oglądam zachowane przedmioty, zapoznaję się ze śladami życia na pokładzie...

6 września...

Krótka rozmowa z Piotrem Cegielskim, dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie. Placówka ta mieści się tuż koło ambasady w ładnym pałacyku przy Villagatan 2. Przy okazji przeglądam program na okres od sierpnia do października. Poza tradycyjnymi polskimi filmami, wieczór ku czci Czesława Miłosza, jakieś koncerty muzyczne, wernisaże. Dyrektor deklaruje pomoc w realizacji programu naukowego, zaprasza na wieczór 9 września, podczas którego profesor Uniwersytetu Sztokholmskiego (niegdyś pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego) Leonard Nauger otrzyma przyznany przez Prezydenta RP Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Udaję się do Biblioteki Nobla Akademii Szwedzkiej. Katarzyna Gruber ułatwia mi pierwsze kontakty z dyrektorem i pracownikami. Od grudnia 1969 do czerwca 1992 r. pracowała tutaj, odpowiadała głównie za zbiory słowiańskie. Jest autorką broszury *Akademia Szwedzka. Literacka Nagroda Nobla. Biblioteka Noblowska* (w języku polskim i rosyj-

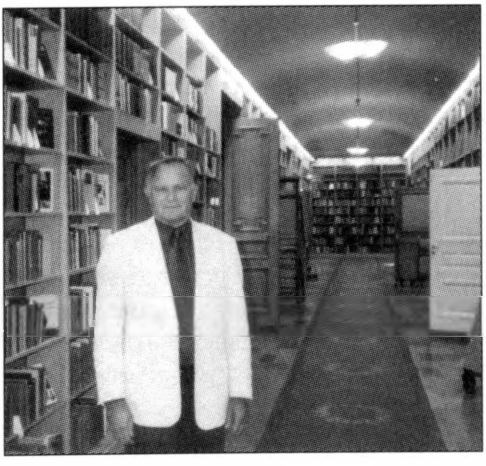

Prof. Bolesław Faron

skim), która ukazała się w 1994 r. w Sztokholmie. Brała udział w tłumaczeniu wierszy Czesława Miłosza jeszcze przed przyznaniem mu Nagrody Nobla (*Möte Dikter*, 1980) oraz przygotowała po szwedzku tom esejów poety. Na łamach kwartalnika „Artes" propagowała literaturę polską.

Obecny dyrektor Biblioteki Nobla Lars Rydqvist przedstawia księgozbiór, wielojęzyczne czasopisma, informuje o historii placówki i o jej współczesności. Posiada ona najbogatsze w Szwecji zbiory literackie z całego świata. Carola Hermelin, bibliotekarka, z którą wcześniej korespondowałem w sprawie udostępnienia archiwaliów, dostarcza materiały. Zostaję ulokowany w małym pokoiku zapełnionym stylowymi, zabytkowymi meblami, jedyny ślad nowoczesności to komputer. Mogę mieć dostęp tylko do dokumentów sprzed pięćdziesięciu lat, gdyż takie tutaj obowiązują zasady. Pozostałe teczki będą odtajnione dopiero po upływie pół wieku. Trafiają zatem na moje biurko papiery dotyczące Henryka Sienkiewicza, Elizy Orzeszkowej, Władysława Reymonta, Marii Dąbrowskiej, Tadeusza Zielińskiego i Leopolda Staffa. Niesamowita lektura. Dzisiaj zdołam tylko pobieżnie przeglądnąć zawartość teczek, gdyż w południe spotkanie z Andersem Rybergiem, dyrektorem biblioteki w latach 1969-1992, który jest kopalnią wiedzy na temat procedury przyznawania literackich nagród Nobla, roli funkcjonującego do lat osiemdziesiątych Instytutu Noblowskiego, zadań ekspertów itp. Wykorzystuję tę szansę. Rozmawiamy po niemiecku.

7 września...

Praca w Bibliotece. Ponownie wertuję teczki Sienkiewicza, Orzeszkowej, Reymonta i Żeromskiego. W każdej dwie grupy materiałów: nominacje i opinie. Zwracają uwagę materiały Alfreda Jensena, wieloletniego pracownika Biblioteki Noblowskiej, znakomitego slawisty, znawcy wielu słowiańskich języków (zmarł w Wiedniu w 1921). Jensen kaligraficznym, czytelnym pismem formułował kilkudziesięciostronicowe charakterystyki poszczególnych kandydatów do nagrody, zaopatrując je w uporządkowaną bibliografię podmiotową i przedmiotową, z uwzględnieniem tłumaczeń i opracowań szwedzkich. W teczkach m.in. wnioski Akademii Umiejętności z Krakowa na Reymonta i Polskiej Akademii Umiejętności na Żeromskiego, wniosek Jana Parandowskiego o laur noblowski dla Staffa (1950). A w materiałach o Orzeszkowej, podpisany przez 12 uczonych polskich i obcych wniosek w języku francuskim, wykaligrafowany ozdobnym pismem. Dokument ten - jak pisze Edmund Jankowski w książce o autorce *Nad Niemnem* - napisany przez Józefa Kallenbacha, przełożony na francuski przez Zenona Miriama Przesmyckiego. Sięgam do teczki z napisem Henryk Sienkiewicz. Tu m.in. rekomendacja Stanisława Tarnowskiego (w języku francuskim). Krakowski historyk literatury tak formułuje swoje stanowisko:

Kraków, 25 stycznia 1901 r.

Panie Przewodniczący,
zanim odpowiem na Pana miłe zaproszenie i przekażę opinię Akademii Umiejętności z Krakowa w kwestii nagród przyznawanych przez fundację Alfreda Bernarda Nobla, muszę poczekać na głosowanie naszego Wydziału Nauk Humanistycznych. Sprawa ta jest powodem opóźnienia, z jakim odpowiadam, składając jednocześnie Komitetowi podziękowania. Jako Prezes Akademii Umiejętności, jednocześnie profesor literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim upoważniony przez paragraf 1 „Regulaminu Specjalnego" do przedłożenia swojego osobistego zdania w powyższej kwestii, pozwolę sobie zwrócić uwagę Komitetu i Pana, Panie Przewodniczący na dzieło, które, wydaje mi się, spełnia wszelkie warunki, wymagane przez fundatora w 4 części konkursu - dzieło literackie szczególne przez swój charakter, w sensie idealizmu.

Dziełem tym jest „Quo Vadis" Henryka Sienkiewicza. Nie zamierzam go tu wychwalać. Mogę jedynie powiedzieć, bez zbędnej przesady, że jednomyślnego wyboru dokonał cywilizowany świat. Poprzestaję jedynie na stwierdzeniu, że w chwili obecnej trudno będzie znaleźć dzieło odpowiadające bardziej intencji fundatora nagrody [...].

Pozwalam więc sobie podać, w imieniu Akademii Umiejętności z Krakowa kandydaturę pana Henryka Sienkiewicza do 4 części konkursu i proszę Pana, Panie Przewodniczący, o przedstawienie jej Komitetowi. Proszę przyjąć itd.

Książę Stanisław Tarnowski

Przytoczyłem w niewielkim skrócie pismo prezesa AU z Krakowa do przewodniczącego Komitetu Noblowskiego w Sztokholmie, gdyż wyjaśnia ono - jak sądzę - fakt, że przez wiele lat sądzono, iż Sienkiewicz za *Quo Vadis* otrzymał w 1905 nagrodę Nobla. W potocznej opinii trwa to do dzisiaj. Student filologii polskiej zapytany w tej kwestii prawie zawsze wymieni tę powieść. Podczas gdy materiały zawarte w teczce autora *Trylogii*, a zwłaszcza uzasadnienie hr. Wirsena wyraźnie wskazują, że laur ten przyznano naszemu pisarzowi za całokształt twórczości. W roku 1901 było 25 kandydatów, m. in. Emil Zola; w 1902 wniosek ponowiono (Hans Hildebrand), w 1904 (Harold Hjärne), 1905 (Hans Hildebrand, który też opiniował pierwszy wniosek). Wśród materiałów znajdujemy 40-stronicowe omówienie twórczości sporządzone przez Jansena. W 1905 pojawia się nowa polska kandydatura, konkurencyjna wobec autora *Quo Vadis*, a mianowicie Eliza Orzeszkowa. Alfred Jansen napisał 49 stronicową charakterystykę twórczości autorki *Nad Niemnem*, w której stwierdził m. in.: „Orzeszkowa jest niewątpliwie kobietą szlachetną, o gorącym sercu i wielkiej odwadze, kieruje się jednak bardziej sercem niż rozumem".

8 września...

Z ambasady, która mieści się przy Karlavagen codziennie przez park (Humlegarden), w którym znajduje się okazały gmach Biblioteki Królewskiej, przez Sture plan (plac), koło niebieskiego, trochę ponurego gmachu Filharmonii, przez Drottnigg (najdłuższą ulicą handlową) udaje się na starówkę do Biblioteki Noblowskiej. Konserhuset, budowla, będąca nordycką wersją greckiej świątyni, jest dziełem architekta Ivara Tengbloma (1878-1968). Tutaj tradycyjnie co roku, 10 grudnia, w rocznicę śmierci fundatora odbywa się ceremonia wręczania nagród Nobla. Obok Targ Sienny (Hötorget): atmosfera jak na krakowskim Kleparzu, mnóstwo jarzyn, owoców, kwiatów. Teraz we wrześniu stosy kurek po 10 koron za 10 dkg, czyli około 50 złotych za kilogram.

Dzisiaj w Bibliotece Nobla przeglądam głównie teczki Marii Dąbrowskiej, Tadeusza Zielińskiego i Leopolda Staffa. Nieoceniona zawsze uśmiechnięta Pani Carola dostarcza mi konieczne materiały. Umożliwia też kopiowanie niektórych, ale tylko do 10 stronic, gdyż takie tutaj przepisy obowiązują. Próbuję negocjować z jej przełożonymi, są nieugięci. W Szwecji 10 znaczy 10, a jednak krakowskim targiem skserowałem 14...

Parę zdań o tych trzech polskich kandydatach, których historia jest mniej znana. Nominację na Marię Dąbrowską w 1939 r. napisali profesorowie szwedzcy L.B. Liljengren (Lund) i Anton Kalgren. W pierwszej porównuje się *Noce i dnie* do Reymonta, który pokazuje siłę epicką. Mimo uwag krytycznych uważa, że to dzieło ma znaczenie. W Polsce - powiada - są obecnie dwie pisarki wysoko cenione, wymienia Zofię Kossak Szczucką i Zofię Nałkowską ale one nie dorównują Dąbrowskiej. Kalgren jest

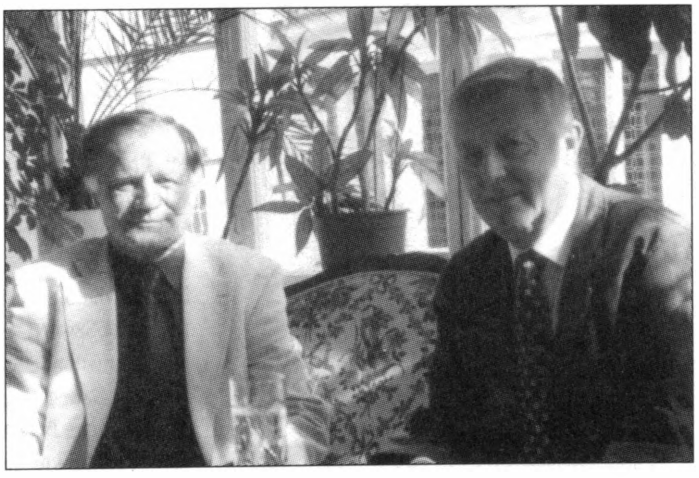

Profesorowie Bolesław Faron i Andrzej Nils Uggla

znacznie bardziej krytyczny, czasem wręcz złośliwy. Już na początku recenzji zapytuje, dlaczego w tytule są „noce", chociaż w nocy nic tutaj się nie dzieje. Jej bohaterowie, ludzie o dobrych mieszczańskich manierach, nie mogą zamieniać nocy na dzień lub odwrotnie. Czy też zajmować się w nocy nieprzyzwoitymi czynami. W 1939 r. zgłoszono 33 kandydatów, Dąbrowska figuruje na 22 miejscu. Nagrodę otrzymał Frans Emil Sillanpää z Finlandii.

Na Leopolda Staffa wniosek w imieniu PEN Clubu w styczniu 1950 roku podpisał Jan Parandowski. Nominację przygotował Nills Oke (profesor slawistyki na Uniwersytecie w Uppsali), który napisał m.in. „trudno raczej powiedzieć, że jego stosunek do tradycji jest oryginalny i czy zasługiwałby na międzynarodową uwagę". Kandydowało w 1950 r. 54 pisarzy, m. in. William Faulkner, Ernest Hemingway, Francois Mauriac. Staff jest na tej liście jako 32. Wręczono dwie nagrody: za rok 1949: William Faulkner (USA), za 1950: Bertrand Russel (Wielka Brytania).

Tadeusza Zielińskiego nominowano dwukrotnie, w 1934 i 1935 roku, najpierw na 16, a później 36 miejscu. W roku 1934 laur ten otrzymał Luigi Pirandello (Włochy). W 1935 nagrody nie przyznano.

Kończę pracę w Bibliotece Noblowskiej nieco wcześniej, gdyż jeszcze dzisiaj w planie Muzeum Nobla. Za oknem słychać orkiestrę wojskową, która towarzyszy bodajże zmianie warty przed Pałacem Królewskim, bądź jakimś innym dworskim uroczystościom. Muzeum - jak wspomniałem - mieści się w tym samym budynku na parterze. Znajduje się tutaj wystawa, która obrazuje postępy w nauce w czasie ostatnich 100 lat. Dotyczy ona głównie nauk ścisłych i przyrodniczych. Literaci raczej na marginesie, eksponuje się ich portrety i cytaty z dzieł. Są też pamiątki po Noblu, m. in. oryginalny testament. Dzisiaj w Muzeum spokojnie, pusto. Od czasu do czasu pojawi się jakaś para Japończyków, czy grupka młodych Szwedów. Sennie...

Carola Hermelin i Lars Rydqvist

9 września...

Biblioteka Noblowska. Pani Carola dostarcza mi około dziesięciu teczek z wycinkami z gazet całego świata na temat przyznanych nagród Miłoszowi i Szymborskiej. Nieprzebrany materiał, kapitalna dokumentacja również polskiej prasy. Te parę godzin, jakie mi pozostało, pozwalają jedynie na pobieżny przegląd tego materiału. Trzeba tu jeszcze wrócić, gdyż są to jedyne dokumenty, jakie można tutaj na temat ostatnich nagród otrzymać, pozostałe za pięćdziesiąt lat.

Spotykam się z Andrzejem Nils Uggla, profesorem Uniwersytetu z Uppsali. Rozmawiamy w saloniku Instytutu Polskiego na temat sztokholmskich laurów. Otrzymuję książki profesora, m.in. *Polacy w Szwecji w latach II wojny światowej, Sverige och Polska shalder. Från Mickiewicz till Miłosz*, dramaty Jerzego Szaniawskiego po szwedzku, książkę o Witkacym i redagowane przez niego czasopismo naukowe, a nade wszystko wiele bezcennych informacji bibliograficznych na temat literackich nagród Nobla.

Wieczorem kolejna atrakcja. Ambasador RP Marek Prawda zaprasza na wspomnianą już imprezę w Instytucie Polskim, czyli na wręczenie profesorowi Leonardowi Neugerowi wysokiego, polskiego odznaczenia. Spotkanie to daje okazję do pozyskania kolejnych wiadomości i o laureatach nagrody, i o życiu Polonii w Szwecji. Ludomir Garczyński-Gąssowski, szef Archiwum Emigracji Polskiej przy Kongresie Polaków w Szwecji zaprasza do swojego biura. Tutaj długie, nocne Polaków rozmowy, zakończone w jakimś okolicznym pubie. Pytam gospodarza o jego

emigracyjne perypetie: był w Krakowie dziennikarzem, publikował m. in. w „Głosie Młodzieży" i „Życiu Literackim". Od 1971 roku mieszka w Szwecji. Współpracował z Wolną Europą, redagował pisma („Jedność", „Arka"), uruchomił pierwsze polskie wydawnictwo, w którym wydrukował m.in. dwie powieści Michała Lisińskiego, niezwykłego Górala z Czarnego Dunajca" (*Kamieniec, Czarownica*), publikował w paryskiej „Kulturze" i w „Dzienniku Polskim" w Londynie. Opowiada o pracy w Archiwum. Pomieszczenie pełne książek, czasopism polskich, pamiątek patriotycznych. Otrzymuję trzy ostatnie numery „Nowej Gazety Polskiej", polskiego dwutygodnika, wydawanego w Szwecji, omawiają sprawy lokalne, są okruchy informacji z kraju, wspomnienie o Jacku Kuroniu.

10 września...

Ostatni dzień w Sztokholmie. Jeszcze trzy wizyty. Pierwsza na Wydziale Slawistyki tutejszego Uniwersytetu u profesora Per Arne Bodina. Mówi po rosyjsku i po polsku. Spotykamy się w jego maleńkim pomieszczeniu na IX piętrze, w sektorze E rozległego kampusu uniwersyteckiego, zbudowanego na obrzeżach miasta. Otrzymuję tłumaczony przez niego na szwedzki tom Szymborkiej (*Aldrig två gangen*), *Studia nad polską literaturą współczesną* (m. in. o Miłoszu, Szymborskiej, Mrożku i Herbercie), a więc - jak się zdaje - nie tylko o Noblistach, ale również o pretendentach do tego prestiżowego wyróżnienia.

Z kolei spotkanie z Ambasadorem, Markiem Prawdą. Młody, dobrze wykształcony, ambitny, znający bardzo dobrze niemiecki i wystarczająco szwedzki opowiada o planach placówki w zakresie współpracy ekonomicznej i naukowej. Zachęca zwłaszcza do kontaktów Krakowa z Uppsalą, ważnym ośrodkiem akademickim. Otrzymuję oficjalne pismo „Polonia" i ksero artykułu z „Gazety Wyborczej" z 16 sierpnia 2004 r. *Pochwalmy się zmianami* jego autorstwa, w którym pisze m. in. o tym, jak promować Polskę oraz o wewnętrznych i zewnętrznych uwarunkowaniach tego procesu.

Jeszcze podsumowująca pobyt krótka rozmowa w saloniku Katarzyny Gruber, herbata, szarlotka upieczona z okazji przyjazdu wnuczki ze Stanów czy Włoch. W rozmowie uczestniczy zawsze pogodny, schorowany, żyjący na co dzień sprawami polskimi mąż, który śledzi wszystkie możliwe programy w Telewizji Polonia. Atmosfera pełna życzliwości dla moich naukowych poczynań, zapewnienia o dalszej pomocy. Przed wyjazdem spacer po parku, który codziennie przemierzałem, spiesząc do Biblioteki Noblowskiej. Tu w promieniach wrześniowego słońca cisza i spokój, matki z małymi dziećmi na trawie, staruszkowie na ławkach, zakochane pary.

Na lotnisko mkniemy nową, wykutą w skałach autostradą. Samolot tym razem odlatuje punktualnie o 18.50. Pod nami spokojne miasto Sztokholm, do którego wdzierają się morskie zatoki. Na pokładzie polska prasa. Po tygodniowych „rekolekcjach" naukowych, bibliotecznej ciszy, powrót do polskiej rzeczywistości, do kłótni politycznych, afer gospodarczych, Komisji Śledczej, zamiast nazwisk laureatów literackich nagród Nobla czy szwedzkich akademików utrwalam sobie wizerunki Giertycha, Wassermana, Miodowicza...

Bolesław Faron

Z Czartoryskimi do korzeni... (2)

Zbliżamy się do Klewania... Czartoryscy nazwisko przyjęli wprawdzie od posiadłości Czartorysk, ale główną siedzibą, prawosławnej od początku XV wieku rodziny, był właśnie Klewań. Od królów polskich otrzymali przywilej na używanie herbu Pogoń (litewska), a Jerzy (zm. 1621) swe rosnące aspiracje polityczne poparł przejściem na katolicyzm. On też ufundował m. in. pierwszy kościół w Klewaniu (1591), w którym później chowano zmarłych Czartoryskich. Szybko rozrastająca się i żyjąca do dziś klewańska linia Czartoryskich doszła do dużego znaczenia w życiu politycznym i kulturalnym kraju. Dzięki korzystnym mariażom i zręczności politycznej w schyłkowym okresie I Rzeczypospolitej należeli do najbardziej wpływowej grupy bogatej magnaterii. Skoligaceni z Potockimi i Lubomirskimi, przejęli ogromne dobra po wygasłym rodzie Sieniawskich. Bracia: Michał (późniejszy kanclerz wielki litewski) i August (wojewoda ruski) wraz ze szwagrem Stanisławem Poniatowskim utworzyli stronnictwo nazwane potem „Familią", próbowali reformować państwo, zdobyli decydujący wpływ na jego losy. Przy pomocy carycy Katarzyny II, po śmierci króla Augusta III, osadzili na tronie polskim swego siostrzeńca Stanisława Augusta Poniatowskiego (1764-95). Wystarczy. To chyba najważniejsze miejsce na naszej trasie.

Przy drodze przelotowej, na centralnie położonym placyku, na którym handluje się wszystkim, co tylko ktoś chce sprzedać i kupić, czeka na nas ksiądz proboszcz Andrzej Ścisłowicz. Dla niego to chyba także ważna wizyta, albowiem tym specyficznym przybyszom równie mocno zależy na przywróceniu blasku miejscowej świątyni. Widzimy się pierwszy raz, ale powitanie niezwykle serdeczne. Proboszcz prowadzi nas kilkaset metrów w bok, do kościoła, gdzie znajdują się prochy przodków jego gości.

Kości Czartoryskich

Świątynia stojąca obecnie w Klewaniu powstała w XVIII wieku za pieniądze Izabeli Czartoryskiej. Dziś ksiądz Andrzej z mozołem remontuje odzyskany w 1991 roku kościół, w którym po wojnie urządzono magazyn zbożowy. Zrobił już dach, ogrodzenie, ale wnętrze nadal pozostaje w ruinie. Odgruzował zasypane krypty grobowe, a odnalezione kości zgromadził w jednej trumnie przy bocznym ołtarzu. Odkrywamy trumnę: modlitwa, chwila

zadumy... Co pozostało z potężnych książąt władających tą krainą? Na szczęście nie tylko kości... Powtórny, uroczysty pogrzeb ksiądz urządzi tym prochom już po odbudowie wnętrz. W kościele zgromadził trochę materiałów budowlanych (głównie drewna). Sporo opowiadał o prowadzonych pracach, ale dość skromnie pokazywał swoją w tym rolę. Z kontekstu można było się jednak domyślać, że była olbrzymia.

Nasz przewodnik poprowadził nas potem na stary zamek Czartoryskich. Budowla brzydka, wielokrotnie przebudowywana, nie będąca w późniejszym okresie rezydencją rodziny, a w XIX wieku oddana władzom administracyjnym, szkolnym itp. Obecnie obiekt w ruinie, ze spalonym nad jednym skrzydłem dachem. Jedynie z zewnątrz duże wrażenie robi najstarsza i nienaruszona część zamku.

Wracając rozmawiam z księdzem Andrzejem, energicznym młodym kapłanem. W duchu trochę mu współczułem z powodu warunków, w jakich się znalazł, ale chyba tylko tu miał szansę samodzielnego działania zaraz na starcie swojej posługi, wykazania także swoich talentów organizacyjnych. Na Ukrainie nie wystarczy być kapłanem, ale trzeba umieć rozmawiać z ludźmi, z władzą, znać się na budownictwie, ekonomii i Bóg jeden wie, na czym jeszcze... W tym konkretnym czasie osiąga się tu bardzo wiele lub ponosi sromotną porażkę. Nie można trwać wygodnie żyjąc...

Przechodziliśmy właśnie koło cerkwi prawosławnej, gdy moje rozmyślania przerwał okrzyk księdza: „O, otec Iwan!" Przy drodze stał niepozorny mężczyzna w przybrudzonym, lichym ubraniu. Obaj wpadli sobie w ramiona, ściskając się serdecznie. Dopiero po chwili ksiądz Andrzej przedstawił mi ... popa Iwana, zawiadującego prawosławną cerkwią! Po tylu latach ciągłych powrotów, na Ukrainie niewiele już mnie zaskakuje, ale tym razem moje zdumienie było autentyczne. Tyle słyszymy o niechęci kościoła prawosławnego do katolików, oskarżeniach o prozelityzm, a tu taka scena! Czy relacje pomiędzy hierarchami lepiej oddają ich wzajemne stosunki, czy też przypadkowe spotkania plebanów? W Klewaniu, w każdym bądź razie, wygląda to na idyllę!

Nie wytrzymałem i poprosiłem obu duszpasterzy, by jeszcze raz przywitali się do fotografii. Nie odmówili, ale to było już sztuczne. Wymienili kilka uwag na tematy bieżące. Pop własnoręcznie robił jakiś remont w cerkwi, poza tym pytał naszego przewodnika, co nowego w jego kościele. Obydwaj ponarzekali na brak funduszy. Wobec tego remonty w dużej mierze muszą robić własnymi rękami. Cerkiew ojca Iwana jest oczywiście w dużo lepszym stanie. Niemniej jednak ogromnie wzruszyła mnie jego deklaracja, że przyjdzie pomóc księdzu Andrzejowi przy jego kościele, jak „skończę swoje!" Zbyt piękne, by było prawdziwe?

Zapytałem potem księdza Ścisłowicza, czy mogę opisać owo spotkanie w jakimś reportażu? Skwitował to z szerokim uśmiechem: „gdybyśmy się pobili, to może bym prosił żeby nie pisać, a w takiej sytuacji dlaczego mam być przeciwny? My tak tu żyjemy". Później wyjaśnił mi jeszcze, że kościół prawosławny czuje się obecnie na tym terenie dość niepewnie i raczej szuka sojusznika w kościele rzymskokatolickim, bo unici są mu bardzo niechętni.

Ludzie na Ukrainie żyją dziś bardzo biednie, zwłaszcza na terenach, gdzie całkowicie załamała się gospodarka, upadł przemysł. Opieka społeczna tu

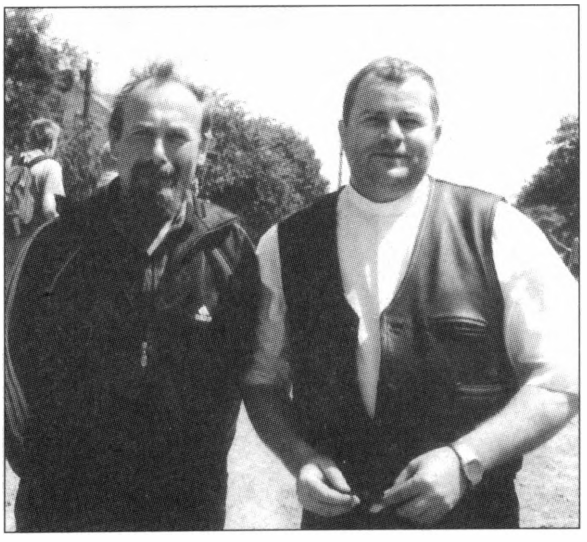

Ojciec Iwan i ksiądz Andrzej Ścisłowicz

nie funkcjonuje, a jedyna nadzieja na przeżycie, zwłaszcza dla osób starych i samotnych, leży w pomocy kościoła. Ta prawda dawno już dotarła do Polaków, sami jej doświadczaliśmy przed ponad dwudziestoma laty. Dziś nawet ci, którzy sami nie mają zbyt wiele, starają się pomóc tym, którzy mają jeszcze mniej. Czartoryscy nie tylko nie mają już dziś Klewania, Pełkiń, Puław, Konarzewa - wciąż żyją godnie, ale zwyczajnie, ciężko pracując na własne utrzymanie. „Do korzeni" wybrali się jednak z pełnymi bagażnikami w autokarze...

Do Zdołbunowa, plebanii księdza Ścisłowicza, docieramy wraz z nim. Plebania stara, kryta eternitem. Mały kościółek, wystawiony przed wojną przez kolejarzy. We wnętrzu, w bocznym ołtarzu, figura przywieziona z Winnicy, ale kolumny... z żurawińskiego alabastru! Barbara Czartoryska tryumfuje: okulary na czoło, uważna lustracja... To wszystko z alabastrowni uruchomionej w okresie międzywojennym w ich Żurawnie, przez ojca Kazimierza! Wzruszenie udziela się nawet Żurawianom młodszej generacji, chociaż oni ją znają już tylko z opowiadań.

Proboszcz zaskakuje i rozbawia nas informacją, że brakujące elementy u dołu ołtarza uzupełnił... płytami z rozebranego pomnika Lenina! Rozpakowaliśmy autokar (będzie dużo lżejszy), a ksiądz Andrzej zaprosił nas na plebanię, gdzie siostry prowadzące jego gospodarstwo ugościły nas kawą, ciastem i zimnymi napojami.

Jak dobrze, że księża nadal dbają o wyposażanie swych jadalni w długie stoły. Ten zwyczaj należy starannie pielęgnować! Pomieściliśmy się wszyscy. Przed plebanią ładne, zadbane trawniki, ksiądz pokazuje nam nowoczesny sprzęt elektroniczny i komputer do jego dyspozycji, a także dwa sztandary odnalezione podczas remontu na strychu kościoła: jeden Związku Ochotników Armii Polskiej z lat 1914-21, drugi przedwojennych Drużyn Konduktorskich. Znalezisko ciekawe i cenne, bowiem uchowały się one dzięki ptakom, których odchody tak bardzo pokryły osłaniające je worki, że aż wzbudziły zainteresowanie ekipy remontowej. Dziś każdy z nas chce je sfotografować.

Kilkadziesiąt minut spędzonych w serdecznej atmosferze gościnnej plebanii minęło szybko, przed nami dalsza droga. Wcześniej jednak ktoś wpada na zabawny pomysł przepytania wychodzących z plebanii o nazwę miasteczka, w którym aktualnie jesteśmy. Piotrek Goliński i Wojtek Rostworowski nie pominęli chyba nikogo, a wynik okazał się szokujący! Padło wiele różnych zniekształconych nazw, ale nikt prawidłowo nie wymówił Zdołbunów! No cóż, nie było tu w przeszłości Czartoryskich, Potockich, Radziwiłłów...

Ze Zdołbunowa dojechaliśmy z pewnymi perturbacjami drogowymi do Korca. Tej miejscowości

Akademia Ostrogska

nikt już nie myli, jako że potężny w swoim czasie ród Koreckich wygasł w XVII wieku na Izabeli, poślubionej przez Mikołaja Jerzego Czartoryskiego! To stąd wywodziła się potem jedna z linii rodu, zapoczątkowana przez Jan Karola Czartoryskiego (zm. 1680), która znaczeniem wprawdzie nigdy nie dorównała klewańskim kuzynom i która wygasła na początku XIX wieku, jednakże ostatni jej przedstawiciel, Józef Klemens (1740–1810), przeszedł do historii, jako aktywny organizator manufaktur, z których najsławniejszą stała się wytwórnia porcelany w Korcu (od 1783). Malowniczo położone na wzgórzu ruiny starego zamczyska oraz spalonego już w 1831 roku pałacu do tego stopnia urzekły Krzysztofa, że zaczął snuć wizje powrotu Czartoryskich...

Na nocleg pojechaliśmy do dawnej siedziby potężnego rodu Ostrogskich, do Ostroga. Dziś jedną z większych jego „atrakcji" jest proboszcz miejscowej parafii rzymskokatolickiej, ksiądz Witold Józef Kowalów, góral z Poronina, którego miałem przyjemność poznać już przed kilku laty. Ogromne chłopisko, mające na pierwszy rzut oka ok. 2 m wzrostu i pewnie ze 120 kg wagi! Długa, czarna broda, w której zauważyłem już teraz srebrne nitki. Znów – podobnie jak przy pierwszym naszym spotkaniu – powraca myśl, że właśnie takich duszpasterzy powinno się wysyłać na Wschód, bo oni już samą posturą symbolizują „potęgę Rzeczypospolitej"! To prawda, przy księdzu Witoldzie każdy rozmówca czuje się jakoś mizernie... Oprowadzał nas potem po kościele, opowiadał o jego historii, dziejach Ostroga i swoich doświadczeniach, zachęcał (jak zawsze) do kupna książek, które sam wydaje. Jego działalność jest tu rzeczywiście imponująca. Nie tylko wydaje w dwóch językach (polskim i ukraińskim) miesięcznik „Wołanie z Wołynia", ale sam pisze i wydaje książki religijne, historyczne, wspomnienia różnych ludzi. Założył tu istne przedsiębiorstwo wydawnicze, zlokalizowane na plebanii. Przyczynił się też do reaktywowania uniwersytetu, który przyjął historyczną nazwę Akademii Ostrogskiej.

Zakwaterowani jesteśmy w tym samym fatalnym hoteliku, w którym miałem nieszczęście już kiedyś mieszkać. Nic się w nim nie zmieniło. Po kolacji zostaliśmy zaproszeni na plebanię, znacznie oddaloną od kościoła, a mieszczącą się w odzyskanym przed paru laty jakimś prywatnym domu. Plebania to właściwie wydawnictwo. Pełno książek, wielkie stoły zawalone papierami, dalej komputery, drukarki, a nade wszystko – ogromna postać księdza. Oglądamy na wideo film o Ostrogu, a potem emitowany kiedyś w naszej telewizji film dokumentalny o rzezi na Wołyniu w 1943 r. Okrutne sceny... Zrobiło się bardzo późno, wikary grupkami odprowadzał nas ciemnymi uliczkami do hotelu. Ciemno, że aż strach. Żadnych lamp! Ocena stanu ukraińskiej energetyki (a może raczej całej gospodarki) zapisana w przedwyjazdowych zaleceniach Jerzego Potockiego sprawdziła się w 100%. Radził zabrać latarki, a ja to zlekceważyłem. Rozglądam się po innych; spostrzegam światełko. Jest latarka! Tak, to niezawodny Jerzy Potocki oświetla nam drogę...

Hotel w Ostrogu stanowi zjawisko samo w sobie. Pokoje przygotowano nam 2-osobowe i jeden 4-osobowy (oj, poznałem już jego wyjątkowe uroki). Ciekawe dysputy toczone podczas poprzednich noclegów sprawiły, że Wojtek Rostworowski z entuzjazmem godnym lepszej sprawy wychwycił ową „czwórkę" i w ten sposób mogliśmy poznać (ja po raz kolejny) zalety nocowania w wieloosobowym pokoju wyposażonym jedynie w umywalkę (na ścianie przy jednym z łóżek)! Do naszej uprzednio zmontowanej „trójki noclegowej" udanie wprowadził się Piotrek Goliński. Brak łazienki przy pokoju zmuszał nas do korzystania z ubikacji na korytarzu, która wprawdzie nie miała żadnych oznaczeń, ale znajdowało się ją po... zapachu! Nie sposób było jednak doń wejść... Ja przynajmniej nie dałem rady. Namiastkę toalety odbyliśmy w naszym „apartamencie", po krótkiej tym razem dyskusji (z racji pory) zażyliśmy przed snem środki uspokajające (w płynie) zaordynowane przez „doktora Piotra" i wpadliśmy w objęcia Morfeusza.

Rano przechodzimy samych siebie: bez narzekania, bezkolizyjnie korzystamy z zainstalowanego w naszym pokoju urządzenia higienicznego, a w lodowatej wodzie udaje się umyć nawet głowę. Dochodzenie, mające ujawnić „nocnego podchrapywa-

cza", przynosi nieoczekiwany rezultat: był nim Morfeusz! Podczas śniadania, za sprawą dyplomatycznych zabiegów Krzysztofa, pojawia się możliwość skorzystania z łazienek w sąsiednich pokojach. Mam dylemat: do Czartoryskich, czy do Radziwiłłów? Pozostawiając Krzysztofa w rodowych apartamentach poszedłem do Radziwiłłów. Śniadanie, tak w scenerii, jak i w smaku, trochę socrealistyczne: pokruszony biały ser, do tego bita śmietana, cukier i kasza gryczana z sadzonymi jajkami. Po odśpiewaniu sto lat (zdaje się dla Jasia Słupskiego) widziałem zadowoloną minę kelnera: kuchnia przyjęła nasz wybuch entuzjazmu jako uznanie dla ich dokonań kulinarnych! Wrażenie zostawiliśmy więc po sobie doskonałe.

Prognozę pogody mamy na dziś nieciekawą. Z księdzem Kowalowem oglądamy na wzgórzu zamkowym cerkiew (z zewnątrz), zwiedzamy muzeum krajoznawcze. Ekspozycja skromna: trochę portretów, przedmiotów zabranych wcześniej z kościoła, wśród których są dwie rzeźby alabastrowe. Potem rzut oka na Akademię Ostrogską (obecnie uniwersytet), na której studiuje - według informacji ks. Witolda - około 1500 studentów. Nasz odjazd przyspiesza rzęsisty deszcz. Żegnamy księży, którzy wyprowadzają nas jeszcze za miasto, i ruszamy na Sławutę. Na chwilę tylko zatrzymaliśmy się, na moją prośbę, pod kościołem Św. Doroty, ale jego wnętrza znów nie udało mi się zobaczyć. Sanguszków wśród nas nie było, a koligacji Czartoryskich z tym rodem nie zdołałem sobie szybko przypomnieć. Zwyczajnie zabrakło mi argumentów... Wolno przejechaliśmy obok oficyn dawnego pałacu i stajni po słynnej w XIX wieku hodowli koni arabskich.

Sztandar Związku Ochotników Armii Polskiej

Przez Starokonstantynów i Płoskirów (Chmel'nyc'kyj) dotarliśmy pod ogromne mury fortecy Międzyborza. Dokładnie sto lat zamczysko było w przeszłości własnością Czartoryskich, nim zostało - wraz z innymi majątkami - skonfiskowane księciu Adamowi Jerzemu w 1831 r. za udział w powstaniu listopadowym. Później, do rewolucji 1917 r., mieściła się tu jedna z carskich rezydencji. Architektura obronna twierdzy stanowi obecnie niemałą atrakcję turystyczną, obsługiwaną - jak informują tablice - przez fachowych przewodników. Ciekawe, co wiedzą o Czartoryskich? Kupując bilety wstępu, „ujawniam" więc (niby przypadkowo) naszą grupę. Wrażenie piorunujące. Wybiega do nas dyrektor obiektu Mirosław Pinczak, starszy, zaniedbany mężczyzna, który opowiada o ostatnich tutejszych odkryciach podczas wykopalisk archeologicznych. Okazuje się, że najwięcej wiedzą o wikingach!

Od Czartoryskich dyrektor koniecznie próbuje uzyskać wizytówki, podekscytowany „odkrywa" istnienie w Odessie jakiegoś Czartoryskiego, który szuka rodziny(!). Sytuacja robi się niezręczna. Widząc zaniepokojenie na twarzy Barbary Czartoryskiej, poczuwam się do winy i podejmuję próbę wybawienia jej z kłopotu. Wręczam owemu dyrektorowi swoją wizytówkę, podejmując się pośrednictwa w kontaktach z Czartoryskimi. Dla Związku Rodzinnego to niewątpliwie bezpieczniejsze...

Fotografujemy fortecę z dołu, a ja dzielę się z wszystkimi dużym bochnem chleba, zakupionym w pobliskim sklepie. Chleb na Ukrainie przepyszny, łamanie się nim symboliczne i podkreślające jedność grupy. Z mojej strony był to zabieg świadomy, ale ktoś inny zapoczątkował go (przypadkowo?) poprzedniego dnia w Klewaniu. Po godz. 15-ej ruszamy w kierunku Kamieńca Podolskiego. Czas nagli, trasa długa, a chcemy jeszcze zobaczyć - reklamowany jako najpiękniejszy na Podolu - pałac Orłowskich w Malejowcach.

Nadciąga burza, deszcz łapie nas w długiej alei parkowej prowadzącej do pałacu. Po kilku minutach mamy oberwanie chmury. Nie pomagają żadne parasole, kurtki przeciwdeszczowe, a korony drzew chronią tylko na chwilę. Przemakamy w mgnieniu oka. Nagle w jednym z budynków obok nas (jeszcze przed dojściem do pałacu) otwierają się drzwi i kobieta w białym fartuchu zaprasza nas do środka przeszklonej werandy. Pojawiają się dzieci z krzesłami. W całym tym kompleksie jest sanatorium dla dzieci. Deszcz tak szybko jak lunął, tak też nagle ustał. Pałac przereklamowany.

Pod wieczór zajechaliśmy do Kamieńca pod kościół Dominikanów, który obecnie odbudowują Paulini. Dopiero po dłuższym stukaniu wyszedł braciszek z jakimś „cywilem". W tym drugim rozpoznałem zamówionego wcześniej przez Czartoryskich przewodnika Smirnowa z Lwowa. Przedstawił mi go kiedyś prezes Fundacji im. św. Brata Alberta, ksiądz kanonik Tadeusz Isakowicz-Zaleski, w katedrze ormiańskiej we Lwowie, co teraz - witając się - nieopatrznie mu przypomniałem. Tymczasem nasz przewodnik, przyzwyczajony do oprowadzania przybywających z Polski grup pielgrzymkowych, badawczo lustrował wysiadające osoby, poszukując tej Najważniejszej... Na nic zdało się wysuwanie do przodu prezes Barbary Czartoryskiej czy „trzymającego kasę" Jerzego Potockiego... Po wyjściu wszystkich Jurij Smirnow błyskawicznie ocenił sytuację. „Najważniejszym" mógł być tylko ten, co właśnie wrócił do autokaru po bagaże! Powietrze przeszył okrzyk: „Proszę księdza! Gdzie jest ksiądz profesor?". Osłupienie grupy trwało krótko, rozbawienie znacznie dłużej. Tylko ja (nim mnie oświecono) dziwiłem się, dlaczego raptem wszyscy zwracają się do mnie per „ksiądz profesor"? Cóż, pewnie jedyną osobą podobną do księdza wydałem się ja... No i pierwszy raz w życiu zostałem księdzem!

Trójka zakonników, wspomagana przez zatrudniany przez nich miejscowy personel, zrobiła na nas doskonałe wrażenie. Wszędzie czysto, schludnie, jedzenie bardzo smaczne. Po obiadokolacji nasz nowy przewodnik zaproponował wieczorny spacer po mieście. Nie wszyscy mieli już na to ochotę. Z Krzysztofem, Piotrem i Maryjką Golińską siedliśmy w ogródku kawiarni, którą zapamiętałem kiedyś z czystych toalet (na Ukrainie to świetna rekomendacja). Po kilkudziesięciu minutach doszło do nas więcej osób i do klasztoru wróciliśmy przed północą. Nic dziwnego, że mieliśmy kłopot z wejściem. W sytuacjach awaryjnych niezbędny - jak zwykle - okazał się Jerzy Potocki i jego komórka. Po trzecim telefonie w otwartej bramie pojawił się przeor... Żadnych wyrzutów, a nawet słowa przeprosin, że musieliśmy długo czekać. Na Podolu - nawet dziś - nikt nie ośmieli się zadrzeć z Potockimi...

Paulini urządzili ładny hotelik w dawnym klasztorze, który zarabia zdaje się na dalszy remont kościoła. Hotelik o niezłym - jak na tutejsze warunki - standardzie. Pokoiki 2-3 osobowe z łazienkami, prysznice, ciepła woda. Bez porównania z siermiężnością pobliskiego hotelu „Ukraina", w którym już kilkakrotnie nocowałem. Z Krzysztofem i Piotrem mamy dwupokojowy apartament z łazienką. Krzysztof wybiera stare łoże (może pamięta jeszcze Turków?) i leżąc przypomina mi odpoczywającego przeora. W takim łożu i sny bywają piękne... Tej nocy jednak czuwaliśmy. Najmniejsze nawet poruszenie się Krzysztofa stawiało nas na równe nogi! Łoże rzeczywiście było stare...

Kazimierz Karolczak
Fotografował autor

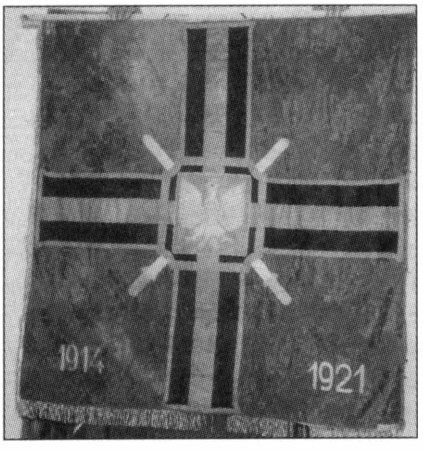

Sztandar Drużyn Konduktorskich

Z Krakowa do Grodna

Grodno jest jednym z najpiękniejszych miast na Białorusi, położonym malowniczo nad Niemnem w odległości ok. 30 km od granicy z Polską. Mieszka tam ponad 300 tys. ludności różnych nacji: Białorusini, Rosjanie, Polacy, Ukraińcy, Litwini, Żydzi, Ormianie, Tatarzy i inni. Miasto jest ważnym ośrodkiem nauki i kultury. Trzy szkoły wyższe, w tym uniwersytet, przyciągają zastępy studiującej młodzieży. Życie kulturalne skupia się wokół muzeum historyczno-archeologicznego na zamku królewskim i w domu-muzeum Elizy Orzeszkowej. Królewski zamek założony w końcu XI wieku, dawna siedziba księcia Litwy Witolda, a także króla Stefana Batorego, był miejscem ostatniego sejmu Rzeczypospolitej (w 1793 r.), tu też 25 XI 1795 r. abdykował król Stanisław August Poniatowski.

Kontakty naukowe Akademii Pedagogicznej w Krakowie z Państwowym Uniwersytetem w Grodnie nawiązane zostały w 1988 r. Powstała wówczas pierwsza w dziejach Białorusi (i jedyna dotąd w tym państwie) polonistyka na wyższej uczelni. Współpraca uczelni Krakowa i Grodna obejmuje wymianę dydaktyczną oraz naukową. W pierwszych latach działalności Katedry Języka Polskiego na uniwersytecie w Grodnie, pracownicy krakowskiej uczelni wykładali tam przedmioty literaturoznawcze i językoznawcze, a kadra naukowa uczelni grodzieńskiej doskonaliła w Krakowie zasady dydaktyki i znajomość języka polskiego. Na praktykach wakacyjnych wymieniali doświadczenia studenci obu uczelni. Po szesnastu latach współpracy nadal odbywają się staże naukowe doktorantów z Grodna w Krakowie. Tradycją są wspólne sesje naukowe poświęcone pisarstwu Elizy Orzeszkowej i Zofii Nałkowskiej, których biografia związana jest z nadniemeńskim grodem (ostatnia miała miejsce w Grodnie, w maju 2004 r.). Krakowska uczelnia organizowała w 1997 r. konferencję w stulecie wydania przez etnografa polskiego Michała Federowskiego (1853-1923) dzieła pt. *Lud białoruski*. Tematem konferencji w 2003 r. w Krakowie były języki i kultura Wielkiego Księstwa Litewskiego. Do ważniejszych wydarzeń Roku Mickiewiczowskiego należy międzynarodowa sesja naukowa poprzedzająca dwusetną rocznicę urodzin poety, która odbyła się w Grodnie i Nowogródku w 1997 r. W roku 2005 planowane są dwie konferencje: krakowska – nt. *Słowiańskich języków urzędowych i prawnych. Współczesność i historia*, oraz grodzieńska – poświęcona powtórnie mickiewiczowskiej rocznicy, na temat *Przyjaźni, miłości, nienawiści i problemu „małej ojczyzny" w życiu i twórczości Adama Mickiewicza*. Pokłosiem konferencji są książki w językach polskim, białoruskim i rosyjskim wydawane w Krakowie i Grodnie.

Historyczny szlak wiódł z Krakowa przez Lublin i Grodno do Wilna. Tędy podobno szedł pieszo z Wawelu, obok trumny swej ukochanej żony Barbary, ostatni z Jagiellonów, król Zygmunt August, do litewskiej stolicy. Naukowe podróże Kraków-Grodno i Grodno-Kraków okazują się nie tylko atrakcyjne, lecz także sentymentalne. Dzięki serdecznej gościnności uniwersytetu w Grodnie i sympatycznym wsparciom władz krakowskiej Akademii istnieje dla krakowian możliwość osobistego kontaktu z „krajem lat dziecinnych" autora *Pana Tadeusza*, a dla grodnian – spotkania z polską historią i współczesnością, spacery po królewskim mieście nad Wisłą. Grodno z uniwersytecką polonistyką zwraca się w stronę zachodnią, gdzie droga przez Kraków, jak w słynnym fragmencie z wiersza Mickiewicza *Do Joachima Lelewela*:

„A tak gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Żeś znad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy."

Poetycka wyobraźnia poety niech patronuje dalszej współpracy naszych Uczelni.

Maria Teresa Lizisowa

Paweł Zięba

Historia czy historia literatury?
O literackości dziejopisarstwa

Dziejopisarstwo XVII i XVIII wieku określano jako *ars poetica* i nadawano mu głównie charakter erudycyjny. Joachim Lelewel, chcąc odróżnić tę twórczość od sztuki, która stopniowo zaczęła zmieniać znaczenie na początku XIX wieku, nazwał swoje prace *historica*[1]. Sztuka na ogół wiązała się wówczas z wykorzystywaniem środków stylistycznych charakterystycznych dla prozy, a przede wszystkim – dla retoryki. Używana była jako środek wyrazu i jako sposób na wywołanie u odbiorcy przeświadczenia o prawdziwości i sile racji posługującego się nią retora. Lelewel, „wyciągając wnioski z krytycznej analizy tekstów, ostrzegał przed tkwiącymi w nich pułapkach retoryki. Odrzucił przede wszystkim, jako niezgodny ze stanem współczesnej mu krytyki historycznej, zwyczaj układania fikcyjnych przemówień, wkładanych następnie w usta postaci historycznych"[2]. Zabieg, który dawał historykowi możliwość wyrażenia subiektywnych przeświadczeń, bardzo silnie łączył historiografię z powieścią. Nie były to zresztą jedyne miejsca bliskie obu sposobom pisania. Erudycyjne dziejopisarstwo XVII i XVIII wieku operowało także dygresjami, naganami i pochwałami czynów postaci historycznych. Stosowano stylistyczne ozdobniki narracyjne (np. tropy i środki retoryczne), można było dostrzec kwiecistość i pompatyczność stylu, co korespondowało z częstą manierą ówczesnych powieści historycznych.

Zasadnicze kryteria historiografii Lelewela postulowały zasady, które z biegiem lat się utrwaliły. Polegały one na zachowywaniu prawdy narracji poprzez unikanie wyrażania ustami historyka wiedzy pozaźródłowej, komentowania faktów przez pryzmat jego zakorzenienia kulturowego (tutaj tradycję europejską, chrześcijańską i narodową) oraz z góry przyjęty cel narracji bądź rozwoju historii. Wymienione cechy dotyczą zatem postulatu obiektywizmu, który w literaturze wcale nie jest konieczny. Przedstawianie losów wybitnych postaci historycznych może spowodować udramatyzowanie dziejów i zbliżyć do narracji literackiej sposób opowiadania historii. Nie da się jednak całkowicie uniknąć form literackich w tekście historycznym i, aby przedstawić jasno odbiorcy zdarzenia przeszłości, Lelewel dopuszczał formę zbliżoną do gawędy i powiastki. Stawiał wobec tego na jasność i jedność narracji, uzyskiwaną poprzez układ osi problemowej (np. dziejów państwa lub narodu, relacji pomiędzy władcą a władanymi lub rozwój kultury)[3]. Język historyka wymaga logicznej jasności, co pociąga za sobą ograniczenie neologizmów i neosemantyzmów, unikanie trudnych metafor, figur alegorii i aluzji.

Według Wojciecha Wrzoska, w świetle współczesnego podejścia do historii i historiografii, należy traktować je jako dziedziny kultury[4]. Zarysowująca się opozycja nauki wobec kultury, od Platona poprzez Galileusza aż po jej pozytywistyczną wizję, nadawała nauce suwerenny charakter. Historiografia wywodzi się jednak z literatury, pomimo iż stara się być traktowana jako nauka. Wrzosek twierdzi nawet, że „historia [...] uplasowała się w obszarze kultury na przecięciu się tendencji wiodących ją ku *science* i tych pozostawiających ją w obszarze *lettere*. [...] W efekcie historia jest ni to nauką, ni sztuką"[5]. Pogląd ten znajduje odzwierciedlenie w najnowszym nurcie podejścia do historiografii, zwanym nowoczesnym (też postmodernistycznym), w opozycji do tradycyjnej historiografii klasycznej. Historyk, przedstawia-

jący chronologicznie następstwa faktów politycznych, opatrujący je przykładami wybitnych jednostek, został zaatakowany przez zwolenników nowej tendencji w podejściu do historyzmu. Zanegowali oni możliwość pisania bezstronnego, zanegowali mechanizm pewnego ładu świata i rolę człowieka w rozwoju historii. Poglądy nowej historiografii rozwinęły się w latach sześćdziesiątych w atmosferze postmodernistycznych manifestów. Ewa Domańska tak ujmuje to zjawisko: „okres ten cechował specyficzny klimat intelektualny: otwarte dyskredytowanie kartezjańskiego myślenia w kategoriach prawd jasnych i oczywistych, kryzys koncepcji prawdy, podważenie logiczno-dedukcyjnego sposobu wnioskowania oraz ogólny sceptycyzm wobec rozumu i wiedzy"[6]. Prowadziło to do zbliżenia historyka do antropologa. W efekcie miał on się zajmować przyczynami zaistnienia społecznych faktów kultury, stosunkami między nimi, uważając duchowość i wytwory danego okresu za jedność godną opisywania.

Paweł Zięba

[1] Por. V. Julkowska, *Retoryka w narracji historycznej Joachima Lelewela*, Poznań 1998, s. 22 i n.
[2] *Tamże*, s. 25.
[3] *Tamże*, s. 39 i n.
[4] Por. W. Wrzosek, *Historia - kultura - metafora. Powstanie nieklasycznej historiografii*, Wrocław 1995, s. 5 i n.
[5] Tamże.
[6] E. Domańska, Filozoficzne rozdroża historii [w:] E. Domańska, J. Topolski, W. Wrzosek, *Między modernizmem a postmodernizmem. Historiografia wobec zmian w filozofii historii*, Poznań 1994, s. 21.

Refleksje o współczesnej poezji polskiej na Litwie

W dniu 8 grudnia 2004 roku, w redakcji kwartalnika „Konspekt", odbyła się rozmowa pomiędzy Haliną Turkiewicz, profesor Pedagogicznego Uniwersytetu Wileńskiego a profesor Haliną Bursztyńską, pracownikiem naukowym Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie. W spotkaniu uczestniczył Marcin Kania, przedstawiciel redakcji pisma

Instytut Filologii Polskiej AP im. KEN w Krakowie od pięciu lat prowadzi współpracę z Katedrą Filologii Polskiej Wileńskiego Uniwersytetu Pedagogicznego w ramach międzyuczelnianej Umowy o Współpracy. Ze strony polskiej pełnomocnikiem Rektora AP do spraw kontaktów z zagranicą mianowana została profesor Halina Bursztyńska. Obie strony prowadzą wspólne badania nad osiągnięciami kultury i literatury tzw. Kresów Północnych, czego dotychczasowym osiągnięciem jest publikacja tomu Rocznika Naukowo-Dydaktycznego AP w Krakowie, pod red. H. Bursztyńskiej i H. Turkiewicz, oraz tomu w toku realizacji pt. *Od strony Kresów.*

W ramach współpracy odbywa się także wymiana nauczycieli akademickich, prowadzących zajęcia dydaktyczne dla studentów. Każdego roku słuchacze filologii polskiej z Wilna odbywają na AP obligatoryjne studia z przedmiotów określonych siatką zajęć dydaktycznych. W roku 2004 w Instytucie Filologii Polskiej odbyła się także pierwsza obrona pracy doktorskiej absolwentki Wileńskiego Uniwersytetu Pedagogicznego.

Marcin Kania: Pani profesor, proszę opowiedzieć o współczesnej literaturze polskiej na Litwie.

Halina Turkiewicz: Jej datą graniczną, którą należy wspomnieć, był rok 1990. W ogóle ostatnie dziesięciolecie zeszłego wieku upływało pod znakiem powolnego upowszechniania się literatury, która do tamtego, przełomowego momentu, istniała głównie w drugim obiegu lub pojawiała się niesamodzielnie, na łamach redagowanego w Wilnie pisma literackiego „Czerwony Sztandar". Ów rok 1990 jest więc datą pierwszych polskich edycji tomików autorskich. Wydaniem rozpoczynającym okres swobodnie edytowanej poezji polskojęzycznej stał się zbiór wierszy Sławomira Worotyńskiego pod nazwą: *Kontrasty i analogie*. Wielka w tym zasługa Henryka Mażula, który - mając możliwość wydania swoich wierszy - przeznaczył fundusze na edycję poezji swojego, nieżyjącego już wtedy, przyjaciela. Autorski tomik *Doszukać się orła* Mażul wydał dopiero rok później.

Jednakże poezja polska na Litwie stała się zauważalna już w roku 1985. Pojawiła się wtedy drukiem jej pierwsza antologia pod nazwą: *Sponad Wilii cichych fal.* Stało się tak dzięki staraniu Jadwigi Kudirko oraz redakcji „Czerwonego Sztandaru". Po przełomie roku 1990 zdecydowanie rozszerzyły się możliwości polskich poetów, głównie dlatego, że zaczęło pojawiać się więcej pism literackich. „Czerwony Sztandar" przekształcił się w „Kurier Wileński" - a Romuald Mieczkowski objął redakcję nad dwutygodnikiem „Znad Wilii", gdzie wiele miejsca poświęcono polskim poetom.

Halina Bursztyńska: Ale przecież istnienie literatury polskojęzycznej na Litwie po II wojnie światowej datuje się jeszcze od lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

H.T.: Zaraz po wojnie nastał trudny okres, w którym polskie stowarzyszenia literackie mogły swobodnie działać jedynie w szkołach. W latach 50-tych, dzięki

Rok 1990 jest więc datą pierwszych polskich edycji tomików autorskich. Wydaniem rozpoczynającym okres swobodnie edytowanej poezji polskojęzycznej stał się zbiór wierszy Sławomira Worotyńskiego pod nazwą: *Kontrasty i analogie.*

pomocy Władysława Abramowicza, przy wspomnianym już wcześniej piśmie „Czerwony Sztandar", powstało koło literackie, którego naczelnym założeniem było pełnienie pewnego rodzaju form kształcenia początkujących pisarzy i poetów. Koło to istniało dotąd, dopóki żył Abramowicz. Po jego śmierci nastąpił okres chwilowego rozproszenia, choć wypada nadmienić, że tradycję tę z dumą zaczęli kontynuować inni pracownicy gazety. W latach siedemdziesiątych Koło Literackie przy „Czerwonym Sztandarze" - bo taką oficjalną nazwę przyjęło - podjęła się prowadzić Jadwiga Kudirko, a pod koniec dziesięciolecia zaczął nim kierować jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów polskich na Litwie: Henryk Mażul. Pamiętam, że na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych bardzo wyraźnie odczuwało się, że to Koło funkcjonuje, że zachęca do współpracy, szczególnie nas - studentów filologii polskiej. Sytuacja wyglądała wtedy jednak następująco: pisano już wiersze, ale poeci nie mieli wciąż oficjalnej trybuny, brakowało też środków na wydawanie tomików. Zaczęliśmy więc organizować wieczorki autorskie. Zapraszaliśmy tych poetów na uczelnię do siebie. Pamiętam wspaniałe wystąpienie Henryka Mażula i recytację wiersza *Przedmurze*:

Idzie na burzę
na ulewę się zanosi
oby Noe nie zapomniał o mnie.

Oprócz prezentacji dorobku poeci organizowali spotkania tematyczne: jak np.: wieczór poezji Gałczyńskiego czy Tuwima. Organizowaliśmy także spotkania poświęcone najnowszej poezji polskiej: Rafała Wojaczka, Edwarda Stachury. Niestety, zdecydowanie opóźniony był u nas odbiór czytelniczy takich poetów jak Stanisław Barańczak czy Zbigniew Herbert - twórców niewygodnych dla ówczesnego systemu politycznego. Poeci ci w świadomości czytelniczej zaistnieli dopiero po przemianie ustroju, czyli po roku 1990.

H.B.: A jak postrzegani są inni, polscy poeci współcześni, np. Miron Białoszewski?

H.T.: Tu sytuacja jest bardziej skomplikowana. Na jego poezję studenci reagują bardzo różnie - czasem nawet sceptycznie. Nie jest to poeta czytany z aplauzem, nie stanowi jednak tematu tabu.

H.B.: Jak obecnie wyglądają struktury organizacyjne skupiające polskich poetów? Czy istnieje współdziałanie z środowiskami litewskimi?

H.T.: Obecnie istnieje u nas Sekcja Pisarzy Polskich przy Związku Pisarzy Litwy. Należą tam: Aleksander Sokołowski, Aleksander Śnieżko, Władysław Lasota. Są też poeci niezrzeszeni, tacy jak Henryk Mażul, Józef Szostakowski, Wojcech Piotrowicz, Romuald Mieczkowski. Uważa się, że jest to czołówka literacka polskiej literatury w Litwie.

H.B.: To jest poezja wąskiego toru, głównie o charakterze regionalnym. Dobrze, że takowa zaistniała, ale odnosi się pewien niedosyt w odbiorze dzieł, z uwagi na słabo wyartykułowaną stronę intelektualnego wypowiadania się. Dla przykładu: w wierszach współczesnych poetów pojawiają się motywy architektury, zresztą tematycznie zawężone do „ograny" miejsc jak: Ostra Brama, kościoły świętej Anny, św. Piotra i Pawła. Czy to wynik wąskich horyzontów intelektualnych tych poetów, czy niedobór warsztatowy, a może należy brać pod uwagę, że to są ludzie, którzy żyli w bardzo trudnych realiach ZSRR i poezja stawała się jedynie ucieczką od życia? Wydaje sie również, że niektóre teksty poetyckie, zawierające tzw. tematy egzystencjalne, rażą banałem w próbach wartościowania świata. Można znaleźć teksty świetne – ale czy problemowo-semantyczna strona tej poezji nie trąci zaściankowością i monotonią tematyczną?

H.T.: Trzeba odnotować pozytywny fakt: ta poezja już jest. Istnieje. Czy dominuje regionalizm? Wydaje mi się, że jeśli mówić o ewolucji, wyraźnie zauważa się, że następuje odchodzenie od tej tzw. „swojskości". W połowie XX wieku takie zjawiska zdawały się często. U niektórych poetów takie wiersze stanowią nurt autentyczny. Inni – tak; można powiedzieć, że idą za modą.

H.B.: Na czym tematycznie polegałoby owo „podążanie za modą"?

H.T.: Był czas, gdy uważano, że warto pisać śmielsze erotyki, niektórzy próbowali „wybić się" na oryginalność formy, ale często, co widać wyraźnie, ma się do czynienia z zapożyczeniami. Aleksander Śnieżko wydał na przykład ostatnio tomik haiku, które – jako gatunek literacki – rozpowszechniło się po ukazaniu tomiku *Haiku* Czesława Miłosza. Nasi poeci pilnie obserwują to, co dzieje się poza granicami kraju – np. na *Warszawskiej Jesieni Poezji*, gdzie jesteśmy stale obecni, a następnie próbują podążać za nowszymi trendami. Nie mamy jeszcze tzw. postmodernizmu i jesteśmy bardziej tradycyjni, jednakże nie hermetyczni, nie zamykamy się na nowe kierunki.

H.B.: Wspomniała pani przy innej okazji, że po przewrocie politycznym wciąż postrzega się na Litwie nazwiska poetów, którzy są wierni swej dotychczasowej poezji „patriotycznej", lecz w miejsce panegiryków sławiących ZSRR, przy niezmienionej tonacji emocjonalnej wierszy, zastępują byłego „adresata" swej poezji – nowym, czyli: Litwą. Czy można zatem mówić o działalności grup lub jednostek, których twórczość mieści się w formalnym nurcie bogoojczyźnianym?

H.T.: Trudno jest mówić o nurcie, bo nurt jednak wymusza, że będzie coś powstawało pod konkretne założenia. Mnie się wydaje, ze takim poetą jest Aleksander Śnieżko – bardzo popularny na Wileńszczyźnie – ponieważ pisze wiersze, które wprawdzie nie podobają się erudytom – profesorom i krytykom, ale są pociągające dla szerokich rzesz zwy-

Nasi poeci pilnie obserwują to, co dzieje się poza granicami kraju – np. na *Warszawskiej Jesieni Poezji*, gdzie jesteśmy stale obecni, a następnie próbują podążać za nowszymi trendami

kłych ludzi. Śnieżko ma w swoim dorobku niemało tekstów, które są po prostu poezją śpiewaną – i jest to głównie poezja religijna. Budzą jednak sprzeczne uczucia. Na odczytach sale wypełnione są słuchaczami, którzy – wbrew stanowisku krytyki – żywo reagują na ową poezję.

H.B.: Czy obecnie można dostrzegać kontynuację tradycji literackiej, sięgającej źródłowo jeszcze dwudziestolecia międzywo-

jennego, tzn. otwartych „Śród Literackich" czy „szopek poetyckich"?

H.T.: Tak - kontynuacje regionalistów międzywojennych są dość istotne dla rozumienia tej twórczości. Nasi poeci bardzo często wyjeżdżają do szkół, odbywają tam wieczory autorskie, mają też imprezę, którą zawdzięczamy panu Romualdowi Mieczkowskiemu - od roku 1994 organizuje się cykl spotkań literackich *Maj nad Wilią*. Jest to impreza międzynarodowa, na której pojawiają się poeci z różnych zakątków Europy; głównie Polski, Czech i Niemiec. W cyklu spotkań jest kilka stałych punktów. Pierwsze spotkanie odbywa się zawsze na placu pod pomnikiem Mickiewicza, następnie istotnym elementem jest pobyt w celi Konrada (przynajmniej tak było dotąd), gdzie czytało się utwory. Impreza trwa zazwyczaj trzy dni - i ten ostatni jest poświęcony na wyjazd w teren. Poeci, w małych grupach, odwiedzają szkoły i spotykają się z młodzieżą Wileńszczyzny. W ten sposób popularyzujemy poezję. W tym także dostrzegam kontynuowanie tradycji regionalistów 20-lecia.

H.B.: W Wilnie są przebogate zasoby archiwaliów. Z przyczyn od nas niezależnych mieliśmy ograniczony, jeśli nie niemożliwy dostęp do wileńskich zasobów. Dopiero od lat 90 zaczyna w Polsce pojawiać się - i nadal pojawia - wiele publikacji, opartych na tamtejszych zbiorach. Ale jako badacz zauważam, że naukowcy wileńscy bardzo niechętnie korzystają z tych zbiorów. Czy można określić genezę owej obojętności?

H.T.: To bolący, drażliwy problem. My to też dostrzegamy i widzimy, że naukowcy z Polski przyjeżdżają i penetrują materiały, które my mamy w zasięgu ręki. Staramy się kierować naszych studentów do tych zasobów, a nawet zachęcamy ich do tego, aby za tematy swych prac obierali takie, które byłyby związane z dziedzictwem zgromadzonym w bibliotekach. Ja częściej bazuję na tekstach współczesnych, więc nie zawsze sięgam po te materiały, ale ci, którzy pracują na literaturze wieków wcześniejszych - powinni. Moja opinia jest taka, że u nas i na Uniwersytecie Wileńskim (dawnym Stefana Batorego) jesteśmy bardziej obciążeni dydaktyką niż państwo w kraju. Przecież badanie materiałów archiwalnych jest niezmiernie pracochłonne. Jest to paradoksalna sytuacja - są jednak tygodnie, kiedy pracownik nie może nawet wejść do biblioteki. Studenci są dla nas na pierwszym planie, pracę naukową praktycznie można realizować kosztem swojego wolnego czasu. Zgadzam się, że tu można postrzegać naszą postawę jako obojętność lub niedocenianie tego, jakim materiałem dysponujemy. Kiedyś jednak był to owoc surowo zakazany, o którym się mówiło: „nie idziemy tam, bo i tak nam nie pozwolą". Teraz ta postawa się zmieniła, lecz mimo to wciąż niezmienna jest opinia: jeszcze mamy czas, to jest na miejscu... Nie spieszy się".

H.B.: Zastanawia nas, że przyjeżdżają do polskich ośrodków osoby z Wilna, by przygotować rozprawy w oparciu o zasoby biblioteczne Krakowa czy Warszawy. Cieszy nas takie podejście, ale mimo wszystko wydaje się to dość zaskakujące, zwłaszcza gdy porówna się z sytuacją na Zachodniej Ukrainie. Tamtejsi doktoranci najczęściej korzystają z materiałów, które mają na miejscu, we Lwowie czy Kijowie. Niejednokrotnie powstają wartościowe prace; często takie, które ujawniają naszym badaczom zjawiska, jakie są jeszcze mało rozpoznane.

H.T.: Tak, to jest paradoksalne i nieekonomiczne. Wszyscy nasi pracownicy z Instytutu Pedagogiki obronili prace doktorskie z tematów miejscowych. To samo dotyczy prac magisterskich. Student wileński woli przygotowywać rozprawy na temat twórczości Stefana Żeromskiego niż wileńskiej działalności Józefa Zawadzkiego. Inna sprawa, że nie zawsze to były prace powstałe na materiałach archiwalnych. Językoznawcy, np. więcej pracują w terenie, zbierają materiał z autopsji. Literaturoznawcy zaś rzadziej penetrują miejscowe zbiory. Próbujemy

to jednak zmieniać. Powstało mnóstwo prac magisterskich poświęconych lokalnym tematom, więc np. ja próbuję zainteresować moich studentów twórczością miejscowych regionalistów lub prasą regionalną, jak „Źródła Mocy" czy wileńskie „Słowo". Czasem badamy samą poetykę i wtedy nie jest to związane z badaniami w archiwach.

H.B.: Powiedziała Pni, że jesteście Państwo obciążeni dydaktyką. Ile godzin wynosi roczne pensum?

H.T.: Pensum wynosi osiemset godzin rocznie, bez dyżurów i konsultacji. Trochę się dodaje za kierowanie pracami: magisterskimi i dyplomowymi. Czyli w sumie 800 godzin do wykonania.

H.B.: Czy nauczyciele akademiccy otrzymują urlopy na pisanie prac habilitacyjnych czy doktorskich?

H.T.: Można taki uzyskać, ale oczywiście wtedy, jeśli się ma już zredagowaną część pracy. Urlop przysługuje tylko na zakończenie, do zamknięcia przewodu. Ale jak się otrzyma urlop, to obliguje on do terminowego zamknięcia przewodu habilitacyjnego.

M.K.: Serdecznie dziękuję Paniom za rozmowę.

Marcin Kania

Surowa diagnoza rzeczywistości

Szkic o *Wschodzie nad Rossą*[1] – antologii młodej polskiej poezji na Litwie

Autor niniejszego szkicu znalazł się w sytuacji dość specyficznej. Przyjął bowiem na siebie opisanie antologii tekstów poetyckich nieznanych polskiemu czytelnikowi. Skromny tomik wierszy - opublikowanych w kraju, w roku 2000 - genetycznie związanych z Wileńszczyzną, stanowi zaledwie sygnał uobecniania się na Litwie zjawiska młodej polskiej poezji. W momencie edycji *Wschodu nad Rossą* jego autorzy w większości rekrutowali się spośród uczniów wileńskich szkół średnich. Tomik ten stanowi więc zaledwie asumpt do autoprezentacji najmłodszej, debiutującej grupy poetów - czy raczej poetów potencjalnych.

Mimo trudności w krytycznym wartościowaniu tego typu tekstów, publikacji nie sposób przemilczeć. I to z dwóch powodów: po pierwsze - jest ona dokumentem wypowiedzi o człowieku, świecie i wzajemnych między nimi zależnościach, po wtóre - stanowi o zaistnieniu na Litwie nowego pokolenia literackiego polskiej mniejszości narodowej.

Opiekunka grupy i jednocześnie autorka posłowia, prof. Halina Turkiewicz, zauważa: „Na obliczu najmłodszej poezji wileńskiej zaważyły bez wątpienia pogłosy zmian społeczno-egzystencjalnych ostatniej dekady. Młodzi nie oceniają ich bezpośrednio, odwołują się do obrazów bardziej uniwersalnych, wyrażają jednak niepokój wewnętrzny, swoje rozterki i zagubienie w rzeczywistości, która jest jakby pozbawiona nadrzędnej zasady, jakiejś nici przewodniej"[2]. Co zostało już zasugerowane[3] przez znawczynię tematu[4] - poezja dojrzałych polskich poetów Wilna, (np: Aleksandra Śnieżki czy Aleksandra Sokołowskiego), jest zdecydowanie bardziej konserwatywna w doborze środków poetyckich, niż twórczość tamtejszego młodego pokolenia. I tu należy doszukiwać się *novum*.

Piszący te słowa pozwoli sobie zawęzić krąg owych poszukiwań do omówienia utworów dwojga poetów, których utwory zamieszczone zostały w antologii: Olgi Generałowej i Łukasza Ławrynowicza.

W wierszach tych autorów zauważyć można istotny dla ich pokoleniowego wyróżnienia brak „motywów wileńskich" (nazwijmy - za Turkiewicz: regionalnych), czyli takich, jakie wykreowała dojrzała generacja polskich poetów na Litwie. Nie oznacza to wszakże, że miasto Wilno nie staje się przedmiotem ich poetyckiej analizy i oceny. Wręcz przeciwnie - miasto jest wciąż obecne w wierszach, ale głównie poprzez opis realiów dnia powszedniego, kreślonych w podobnych tonacjach przez oboje poetów. „[...] Niezbyt przychylna rzeczywistość otacza widocznie [...] człowieka, skoro w wierszu *Worek*... [Ławrynowicz: MK] z ulgą czeka na kataklizm [...][5] - zauważa prof. Turkiewicz. We wspomnianym utworze autor pisze: „[...] oto idzie powódź / by wymyć me miasto / z brudów i grzechów / i z tego co zawsze kochałeś / z siebie"[6] [...] a w wierszu następnym (tj. *Sobota w mieście*) dodaje: „[...] nic nie pozostanie co nie jest warte przeżycia [...]".

A więc Wilno w jego poezji to miejsce, w którym kumuluje się niepokój, wypełnione oczekiwaniem na... tragedię? zagładę? a może katharsis? W każdym razie miasto-moloch, gdzie dominują [...] „ostre geometryczne kształty / masowa sztuka ludu / wytarte ściany i korozja metali [...]", gdzie tragiczne doświadczenie cywilizacji urealnia się w jej przerażającej deformacji „bloków, które zasłaniają niebo" i „tysiącu okien", w których odbija się „czerwone oblicze słońca". W takim środowisku zamierają nadzieje na przyszłość, rodzi się zaś „[...] niepewność, nieufność wobec świata, wobec innego człowieka, a nawet wobec siebie [...]"[7].

Wiersze Łukasza Ławrynowicza ocenia się jako „drapieżne", „zuchwałe", „nowoczesne"[8]. Ale nawet w owej „pogoni za dniem codziennym" nie brakuje w nich głębokiej, humanistycznej refleksji nad uczuciem, nad potrzebą bliskości drugiego człowieka w świecie zdominowanym przez sztuczność. Przykładem tego jest cytowany wcześniej utwór „Sobota w mieście: [...] idę do centrum [...] szukamy samych siebie [...] I w pewnej chwili / gdy

wiatr lekko dotknie twych włosów /ja odnajdę siebie w dotyku twej dłoni".

Rzeczywistość dnia codziennego nie dla wszystkich twórców prezentowanych we *Wschodzie nad Rossą* jest jednakowa i w równej mierze ponura. Analizując chociażby *Moje miasto* Olgi Generałowej, łatwo dostrzec odmienną sytuację liryczną: „Zdeptany bruk leniwie sączy / Upał minionego dnia / W powietrzu zwisa cicha rozmowa / Miasta ze świerszczami / I jest mi tak spokojnie / Gdy wiatr bierze w ramiona / Rozkołysane korony drzew / I tak mi dobrze"[9]. Prezentowana codzienność - choć być może nie jest ani optymistyczna, ani nie skłania do pełnej akceptacji *status quo* chwili obecnej, niekoniecznie musi przerażać. Jest więc w niej obecny obraz codzienności, małej ojczyzny czasu rzeczywistego, [...] „beztroska chwila" [...], która „dodaje skrzydeł", a także głęboka potrzeba pozytywnych przeżyć emocjonalnych, związanych z kontemplacją zachodzącego słońca i widoku nieba ponad blokami. Jest też wędrówka tłumów, wyznaczająca porządek: chwili i przemijania - „Czas gromadzi tłumy przechodniów / Oddychają powietrzem przesyconym / Odorem myśli o tym co przemija / Myśli o niczym / Opętani ideą przetrwania [...] Czekają wciąż / I wierzą w przyszłość"[10].

Apokaliptyczne zagrożenie zostaje rozmyte w powszedniości (czyżby echo *Piosenki o końcu świata* Czesława Miłosza?); autorka konstatuje z godną podziwu śmiałością: „Milenium mam w nosie / zawiodłam się na prorokach / cywilizacji czas nie stanął / nie wybuchło nie zapadło się / nawet nie potknęłam się [...] a co z apokalipsą gdzie / patrzyli aniołowie zaniedbali / obowiązki pomyślę sobie [...] życie czuje jak kostkę mydła / w ustach wielka przeszłość / żadna przyszłość [...]". Diagnoza pesymistyczna, ale nie katastroficzna.

Romuald Karaś - założyciel na Litwie Oficyny Literatów i Dziennikarzy *Pod Wiatr*, który zajął się edycją tomików młodych Wilnian, w wywiadzie udzielonym „Światu Polonii", powiedział: „[...] wyrosło tam już kolejne młode pokolenie pisarskie, bardzo nowoczesne. [...] Oni piszą niejako w opozycji do starszych. To jest już zupełnie inna poezja [...]"[11].

Ale nawet ów temperament, zrodzony potrzebą czasu, „nowoczesnością" chwili - nie jest do końca powszechny, przynajmniej nie we *Wschodzie nad Rossą*. Tutaj także zaznaczona została liryczna delikatność, zachwyt nad przyrodą i prostotą w miłości do ziemi ojczystej. Warto, choćby na koniec, przytoczyć wiersz piękny w swojej konwencjonalności, bliski tematycznie tym, którzy zostali „ziemi przypisani"[12]: „Ziemia ojczysta / Pagórek różowy / Dom przysadzisty / Ciepło kolebki [...] Ziemio ojczysta / Kocham Cię szczerze / Za drzewa pradziadów / I ojców pacierze"[13].

Niniejsze uwagi nie wyczerpują tematu. Stanowią jedynie sugestię, iż młoda polska poezja na Litwie, zaczyna walczyć o swoje miejsce w kulturze i życiu artystycznym Wilna. Młodzi twórcy są ambitni - chcą działać. Ową potrzebę realizują poprzez edycje autorskich tomików, na spotkaniach i wieczorkach autorskich. Ich głos, mimo iż dochodzi zza ustanowionej politycznie granicy - to głos w języku polskim. Uchwycenie go i opisanie w bieżącej chwili - może stanowić trudność ze względu na ową niepewność i nikłość, z jaką upowszechnia się w Polsce. Ale należy próbować.

Marcin Kania

[1] *Wschód nad Rossą. Antologia poezji młodych Polaków z Wileńszczyzny*. Posłowie H. Turkiewicz, *Kolejny poetycki wschód nad Rossą*, Wilno - Mrągowo 2000, ss. 52.

[2] H. Turkiewicz, *Kolejny poetycki wschód nad Rossą* [w:] j.w., s. 49-50.

[3] Zob., *Refleksje o współczesnej poezji polskiej na Litwie. Wywiad z prof. Haliną Turkiewicz, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Pedagogicznego w Wilnie*, bieżący numer „*Konspektu*".

[4] Autorka poświęciła temu zagadnieniu osobny artykuł., Zob., H. Turkiewicz, *O najmłodszej poezji wileńskiej*, „Magazyn Wileński" 2000, nr 7, s. 10-12.

[5] H. Turkiewicz, *Kolejny poetycki wschód nad Rossą*..., j.w., s. 50.

[6] R. Ławrynowicz, *Worek z piaskiem i cudo*, [w:] *Wschód nad Rossą*... j.w., s. 25. W dalszych cytatach podaje się tylko: autora, tytuł wiersza i stronę.

[7] H. Turkiewicz, *Kolejny poetycki wschód nad Rossą*..., j.w.

[8] Zob., *Rozmowy o poezji na Kresach. Z Romualdem Karasiem, założycielem Oficyny Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr", wydawcą m. in. 50 tomików wierszy poetów kresowych - rozmawia Jerzy Biernacki*, [w:] *Świat Polonii. Strona o Polonii dla Polonii i Polaków na całym świecie, redagowana przez Stowarzyszenie Wspólnoty Polskiej, finansowana przez Senat RP*, http://www.wspolnota-polska.org.pl/index.php?id=kw4_5_07

[9] O. Generałowa, *Moja miasto*, s. 18.

[10] O. Generałowa, *Przy pomniku nadziei*, s. 13.

[11] *Rozmowy o poezji na Kresach*..., j.w.

[12] Cytat świadomie nawiązuje do tytułu powieści Juliana Kawalca. Zob. Tenże, *Ziemi przypisany*, Kraków 1969.

[13] Sigita Gaizauskaite, *Ziemia ojczysta*, s. 12.

Gabriela Meinardi

Laurent Gaudé – dwie nagrody Goncourt

Jesień literacka w Krakowie i w Paryżu

Laurent Gaudé, francuski autor powieści „Słońce rodziny Scortów" (Le soleil des Scorts), został w 2004 r. podwójnym laureatem nagrody Goncourtów. Pierwszy raz, w stuletniej tradycji tej najbardziej prestiżowej nagrody literackiej nad Sekwaną i kilkuletniej historii jej przyznawania przez polskich studentów romanistyki, werdykt jurorów wyłonił tego samego autora. Polscy studenci wyprzedzili tym samym wynik głosowania francuskiego jury Akademii Goncourtów, które każdej jesieni zbiera się w restauracji „Drouant" w Paryżu, by wybrać najlepszą książkę roku

Od kilku lat studenci romanistyki z różnych uczelni w kraju przyznają polską edycję nagrody Goncourtów[1]. Wśród nich są również studenci romanistyki Akademii Pedagogicznej w Krakowie. W tym roku z piętnastu nominowanych do nagrody tytułów wybrali właśnie powieść Laurenta Gaudé. Uzasadnienie brzmiało: „Za odwoływanie się do pojęć, wydawałoby się zapomnianych, takich jak więzi rodzinne, honor, potrzeba akceptacji wśród najbliższych, poczucie godności. Nasze pokolenie właśnie tego potrzebuje" - zapewniła A. Piątkowska, członek jury, studentka romanistyki AP.

Werdykt został ogłoszony już tradycyjnie podczas corocznych targów książki w Krakowie, w sobotnie przedpołudnie. Przysłuchiwał się mu ubiegłoroczny polski laureat Frédéric Beigbeder, którego zwycięska powieść *Windows of the World* (w tłumaczeniu tytuł pozostawiono w wersji angielskojęzycznej) ukazała się niedawno w polskim tłumaczeniu.

Przyznanie nagrody Goncourtów we Francji 9 listopada 2004 r. to punkt kulminacyjny tamtejszej jesieni artystycznej, która upływa pod znakiem rozpoczęcia roku literackiego (*rentreé litteraire*). Jest to fenomen typowo francuski, albowiem jesienią właśnie przyznawane są tutaj wszystkie najważniejsze nagrody literackie, a wtedy też ukazuje się najwięcej nowości wydawniczych. W tym roku pojawiło się 660 tytułów, z czego sto dziesięć to debiuty.

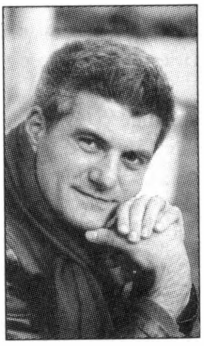

Wśród nowości znalazła się również powieść Laurenta Gaudé *Słońce rodziny Scortów* - pełna namiętności i zbrodni saga, której fabuła rozciąga się od roku 1870 po współczesność.

Pisarz prowadzi swoich czytelników po dolinach Pouilles. Przy pomocy krótkich zdań i języka, który „trzaska jak wiatr", opisuje barwnie życie klanu Scortów. Z pokolenia na pokolenie nic nie rozdziela mocno przywiązanych do siebie braci i sióstr, poza przymierzami z innymi, zawartymi po to, aby utrzymać potomstwo, któremu przekazują wspomnienia przodków - bandytów, urzędników, przemytników czy dzierżawców.

Rodzina ta, żyjąca często na marginesie prawa, posiada prawdziwą szlachetność, która nadaje sens sprawiedliwości i godności. Jurorzy postawili w tym roku na sagę z dreszczykiem, licząc na popularność

i dobrą sprzedaż tego gatunku. Prestiż nagrody opiera się bowiem właśnie na wynikach sprzedaży, a - choć samo honorarium wynosi zaledwie symboliczne 10 dolarów - przynosi laureatowi rozgłos i zwiększa poczytność jego książek.

Ubiegłoroczny laureat nagrody, Jacques Pierre Amette, doczekał się już tej jesieni polskiego przekładu swojej książki. Jego powieść: *Kochanka Brechta* (*La maîtresse de Brecht*) spodobała się w zeszłym roku francuskim jurorom, chociaż o jego zwycięstwie zdecydowało dopiero piąte głosowanie. Nagrodzony tytuł, również w polskim przekładzie charakteryzuje się elegancją, impresjonistycznym stylem i na pewno zachwyci wielbicieli powieści z kluczem.

Jacques Pierre Amette - to współczesny pisarz francuski (ur. 1943 r.), dramaturg, krytyk literacki, korespondent „The New York Times", autor takich książek jak: *Exit* (1981), *Les Deux Léopards* (1997), *L'homme du silence* (1999) - a także wybitny znawca niemieckiego dramaturga Bertolda Brechta. Amette, zafascynowany Brechtem, po raz pierwszy wskrzesił go w swojej powieści *Province* (1997).

Tegoroczny laureat musiał również być materiałem na stuprocentowy bestseller.

Książka Gaudé spotkała się już z dobrym przyjęciem czytelników we Francji. Sprzedano ją do tej pory w ilości ponad 80 tys. egzemplarzy ze 100 tys. nakładu (wg wydawcy). Krytycy byli podzieleni - po raz pierwszy bowiem otrzymał ją wydawca *Actes du Sud*.

Czy taką samą popularność nagrodzony autor zyska wśród polskich czytelników? Jego powieść niewątpliwie ukaże się w polskim przekładzie i wtedy może być lekturą nie tylko dla francuskojęzycznych miłośników tego rodzaju literatury. Tradycyjnie też wybrany laureat polskiej edycji nagrody Goncourt obecny jest na Targach Książki w Krakowie. W przyszłym roku powinien to być Laurent Gaudé.

Gabriela Meinardi

[1] Zob. G. Meinardi, *Prix Goncourt - polski wybór*, „Konspekt", nr 10 (2002).

Joanna Miczałowska

Kobieta w poezji Różewicza

Dawne erotyki bywały opisami ciała
właściwy erotyk współczesny erotyk
moim zdaniem to nie opis kobiecego
ciała ale opis braku kobiety

(Non - stop - shows)

także:

dawne erotyki
bywały opisami ciała
opisywały to i owo
na przykład rzęsy
[...]
Brak głód
nieobecność
ciała
jest opisem miłości
jest erotykiem współczesnym

(Szkic do erotyku współczesnego)

Źródeł wierszy miłosnych upatrywać należy w sentymentalizmie (rozumianym jako postawa wobec uczuć). Różnią się one tylko formą, jaką przybierają. Jest to subtelny kostium, sublimujące *to* i *owo*, bądź brutalny erotyzm ekscytujący cielesnością, fizjologizmem, sprowadzający miłość głównie do kontaktu ciał; zalotna, maskowana frazesem pieśń, albo też ekshibicjonistyczny „tekst" wnikliwie opisujący techniki miłosne, i może z czasem coraz odważniejsze przedstawianie tematu. Pomijając jakość walorów estetycznych - efekt jest ten sam - pobudzenie wyobraźni, pożądania.

Natomiast u Różewicza istota erotyku („[...] tego dawnego [...]") zostaje sprowadzona do opisu kobiecego ciała, dodajmy - piękna kobiecego ciała, ogólnie pojętej kobiecości, utożsamianej z subtelnością, cnotą, moralnością, ideałem. Ale takie wyobrażenie w dzisiejszych czasach stało się nieaktualne, utraciło swą semantyczną wartość. Obecnie miłość jest przede wszystkim ciałem, przedmiotem postrzeganym zmysłowo, seksualnie. Miłość sprowadza się więc do opisu pożądania i głodu, a tym samym do sfery związanej z szeroko pojętą konsumpcją. Ów Brak, jego dotkliwość (podkreślona dużą literą), to nie tylko brak kobiety samej w sobie (tj. *kalokagatii* urealnionych cech żeńskich), lub rzeczywistej (współczesnej), ale także technika pisarska poety, swoisty punkt patrzenia na kobiecość.

Tadeusz Różewicz, w cytowanym wyżej wierszu, pisze dalej: „najplastyczniejszym / opisem chleba / jest opis głodu". To także swego rodzaju filozofia poety, jego realistyczny pogląd na świat, akceptowany takim, jakim się mu on objawia: Nic, Nikt. Sposobem uchwycenia tej jego postaci jest znaczące milczenie, sensowny brak czegoś, co jest ważne, co powinno BYĆ.

Ciało ludzkie ma u Różewicza swój określony status, jego poszczególne części służą wartościowaniu, znaczą. Da się jednak zauważyć ewolucję, zmianę w podejściu do tego „przedmiotu", utożsamianego mniej lub bardziej z człowiekiem w ogóle, jako jednostką genetycznie ukształtowaną. Był czas, kiedy ciało stało się NICZYM. Kiedy poddawano je torturom, jako bezwartościową rzecz w rękach oprawców.

widziałem:
furgony porąbanych ludzi
którzy nie zostaną zbawieni.

(Ocalony)

Również człowiek wolny okazał się być barbarzyńcą własnego ciała. Nie przywrócił mu szacunku. To przejście nie nastąpiło oczywiście w sposób gwałtowny i łatwy do akceptacji. Człowiek wojny, mający przed oczami widok zmasakrowanego ciała - obecnie musi na nowo uczyć się obcowania z nim, przywrócić pojęciu wartość - w końcu - zawierzyć: „Patrz on znowu zaufał To dobrze/ obejmuje ciało kobiety/ Będzie żył i płodził życie [...] Każda ręka kobiety/trzymająca różowy kwiat/ma pięć palców" (*Ostrzeżenie*).

Miłość „czasu pogardy" jest miłością tragiczną. Pozostającą tylko (lub aż) we wspomnieniu tego, które - z dwojga - przeżyło. Rolę drugiego kochanka przejmuje wojna, pożoga: „Płonące powietrze zdarło z niej suknie" - to sugestywny obraz, w którym ciało kobiety oddane zostało nie mężczyźnie, lecz wojnie; „moje opuszczone ręce / ręce które nie dotknęły / jej ciała żywego" (*Pierwsza miłość*) - znów opis poprzez brak - brak ważnego tu dotyku. Wojna wyryła ślad nie tylko w psychice, pozostawiła go także na ciele oraz w samej istocie kobiecości: „Nie mogłem jej poznać [...] «Nie patrz tak na mnie» / powiedziała [...] «obcięli mi włosy» - mówi - / «patrz co ze mnie zrobili»" [...] połyka łzy" (*Odwiedziny*).

Ciało ludzkie ma u Różewicza swój określony status, jego poszczególne części służą wartościowaniu, znaczą. Da się jednak zauważyć ewolucję, zmianę w podejściu do tego „przedmiotu", utożsamianego mniej lub bardziej z człowiekiem

Włosy to ważny element kobiecości, nie tylko ze względów estetycznych, obyczajowych czy kulturowych, ale przede wszystkim dlatego, że miały swe „miejsce" w historii... Podobnie w wierszu *Warkoczyk*: „nie dotyka ich dłoń / ani deszcz ani usta". Kobieta, dla której wojenna przeszłość tworzy sugestywne tło, jest istotą subtelną, ledwie zarysowaną, pojawiającą się często we wspomnieniu, jakby nierealną, przezroczystą. Osobą, którą chciało się tylko kochać. Jest wyrazem najczystszych uczuć i pragnień mężczyzny, ledwie poznanym ideałem. Ta, która przeżyła, poddana okrutnym praktykom - realizuje poezję „nagich faktów", mówiącą wprost, językiem sprozaizowanym, bez używania „wielkich słów".

Zupełnie inaczej, w przeciwieństwie do kobiety ofiary, rysuje się obraz kobiety współczesnej. To jak podróż do mitycznej Italii i samego Półwyspu Apenińskiego, realnego kraju kapitalistycznego; to zderzenie się ideału z rzeczywistością. A więc sytuacja człowieka w wieku XX na tle współczesnej cywilizacji, jej wytworów, nowej kultury, zjawisk, z duchem wyzwolenia i rewolucją seksualną kobiet, całego zła, które „przyszło" do nas z Zachodu.

„Cudzoziemka" to piękna pani z magazynów francuskich i amerykańskich, postać filmu i ekranu, osoba obca, niedostępna, której poeta przeciwstawia (!) „naszą", zwykłą żonę, kobietę: „prawdziwą, naturalną - choć brzydką, małą, płaczącą, ze skręconą pończochą. Leży przy mnie / z grubym złotym warkoczem / ma sen że dzban rozbiła / albo znalazła klucze / albo rozdarła suknię" (*Wyobraźnia kamienna*). To nieliczne momenty, w których Różewicz jawi się „prywatnie", „rodzinnie", na tle codzienności. Poeta pisze wówczas o kobiecie bez patosu, egzaltacji, zwyczajnie opisuje rzeczywistość dnia powszedniego.

Miejsce dojrzałej, moralnej kobiety, pełniącej przypisane jej „odwieczne" role zajmuje *Lolita*: „[...] Smak Lolity nie leży w opisach / Miłość mężczyzny w średnim wieku z dwunasto- / letnią dziewczynką... Lolita jest symbolem / cywilizacji amerykańskiej: młodej prężnej / niedojrzałej [...]) Lolita to taki sopelek / lodu dziewczynka bez zarostu pod pachami /Jak laleczka On docent czy coś w tym rodzaju / Lolita okrutna naga laleczka bez włosów" (*Non - stop - shows*). Współczesna kobieta jest produktem cywilizacyjnym, stworzonym i dostosowanym czy samodostosowującym się dla potrzeb masy. Sensowne jest tu odniesienie płci do problematyki genderowej, czyli widzenia roli seksualnej przez pryzmat kultury historycznie zdeterminowanej. „Nowe" czasy, wzmożone tempo, dynamika, narzucają pewien sposób życia, jego jakość... lub raczej bylejakość:

Pragnę
powiedział
niestety duszy nie ma
dusza wyszła
roześmiała się
młoda kelnerka
była tak zbudowana
że można z nią było
stworzyć bez duszy
nowego człowieka

ależ ona ma
zadek sklepiony piękniej
niż
kopuła tej słynnej
katedry - pomyślał -
cudowne naczynie
chwilowo zamknięte

dusze zostały widocznie rozebrane
przez poprzednie pokolenia
i teraz trzeba żyć
jak kto może
płytko
prędzej

(Płytko prędzej)

Wprawdzie jest to projekcja męskiego, seksualnego spojrzenia - już sam widok kobiety oddziałuje estetycznie, jest ona źródłem fantazji erotycznych; poddana zostaje oglądowi, ocenie - według tradycji pornografii wprawdzie - której towarzyszy pewna gorzka refleksja... Podobny jak w tym wierszu motyw - „kobiety - naczynia", jako maszyny przeznaczonej do produkcji dzieci - pojawia się w *Przyroście naturalnym* . Zwraca się tam ona do Uczonego - Pustelnika (nadzorującego ów proces), ze słowami: „uderz we mnie / swą laską / dotknij / wsadź swój kij / w moje mrowisko / a wytryśnie życie".

Wydaje się, że wyzwolona seksualność kobiet, jakkolwiek mówi się o niej w sposób wulgarny, prostacki, nie razi tak naprawdę żadnej ze stron, że na „polu seksu" o walce płci mówić nie można. We współczesnym świecie, gdzie wszystko można, bowiem nie ma już dna, nie można niżej upaść moralnie, więc: „wszystko rozgrywa się / w znajomej /niezbyt wielkiej okolicy / między Regio genus arterio / regio pubice / i regio oralis" (*Spadanie*).

Odarty z cech ludzkich jest obraz kobiety upadłej, ukazanej w scenerii miejskiej, jako maszyny do produkcji rozkoszy: „prostytutki / wykonują mechaniczne / ruchy / z twarzą daleką i martwą" (*Godzina karmienia*). Z drugiej strony, takie określenie twarzy - części człowieczego ciała, choć tragiczne, to jednak jest to jakiś symptom przynależności do świata ludzi. Gorzej chyba wypadają te, „spotkane" w Neapolu: „w wodzie światła leżały kobiety / czarne i błyszczące jak foki / tłuste wielkookie czerwone / świecące czerwone i srebrne / płynęły z wielkim brzuchem / w jedwabiu miękko" (*Et in Arkadia ego*).

Kobieta, która bywa uosobieniem miłości, często pozostaje u poety tylko synonimem ciała, „jakoś" wyglądającego. U Różewicza wygląd zewnętrzny, choć zarysowany w bardzo uproszczony, pikturalny wręcz sposób, komiksowo wyjaskrawiony, ograniczony do typowych, z seksem się kojarzących części ciała - mówi. I jest to nie tylko zapis obowiązującej mody, nie socjologia garderoby jest celem nadrzędnym, ale wyraźnie wartościuje osobę, którą „okrywa". Jest teatralną maską o przesadnie podkreślonych rysach tak, iż nie pozostawia wątpliwości, z kim mamy do czynienia. To lapidarny sposób charakterystyki postaci. Koresponduje z psychoanalitycznym rozumieniem ambiwalencji ubrania, które w tej samej chwili głosi nagość i ją równocześnie ukrywa, zasłaniając odsłania.

Nagość prawdziwa, „odkryta" nie budzi takiego pożądania, takiego popędu wzrokowego, - czego przykładem jest poetycki akt artystyczny: „płynęła z dłonią na ciemnej delcie / Wenus / przebudzona przez Tycjana" (*Motyle*) - co widok współczesnej kobiety, niby jakoś zakrywającej miejsca wstydliwe i nawet więcej, ale wobec ilości zabiegów, jakie wykonuje („wkłada nieziemskie kreacje, ma migdałowe srebrne paznokcie, kostium w kolorze banana, czerwoną torebkę, twarz inkrustowaną pleśnią pudru, wygolone pachy, do tego nadmiernie się wygi-

na, gestykuluje, uśmiecha, rozchyla usta") - jest sztucznym rozedrganym motylem, niewiele mającym wspólnego z doskonałą, leniwą Wenus.

„Czułość" Różewicza obnaża fałsz „damulek", obłudę, grę pozorów. Nie szczędzi przy tym ironii, uwłaczającej nierzadko kobiecej godności, kiedy porównuje ją np. do torby (zapewne źródło tego wyszukanego skojarzenia tkwi w języku potocznym). Nieaktualne stało się bowiem stare poetyckie porównanie do kwiatu - wyrażającego piękno, subtelność, delikatność. Teraz „kobieta jest jak kobieta" (*Et in Arkadia ego*) - ta tautologia odziera ją z opiewanego niegdyś czaru, powabu, jest nową „jakością", obcą, nieznaną.

Ale jest matka! Na tle cywilizacyjnych przemian, przewrotów, wywrotów, wojen i zawieruchy - ona jedyna pozostała niezmienna, niepodległa rewolucjom, nieroszcząca sobie praw innych ponad te, które jej z natury przysługują. Niestety okres wojny ograniczył jej role do wydania na świat nowego człowieka, a pozbawił zupełnie radości wychowania, miłości do własnego dziecka. To: „Matka od której / odcięli mnie / po urodzeniu [...] Wyszedłem z niej / to ona - obca kobieta" (*Obcy*); to dramat matki i syna. Syna, którego wojna przemieniła w potwora, matki, która niezłomna chciałaby takiego wepchnąć w siebie (*Z uśmiechu uczynili potwora*), zatrzymać w sobie nienarodzonego, nie narodzić. Matka jest uosobieniem cierpienia, symbolem głębokiej wiary, bezwzględnej miłości, ciepła, bezpieczeństwa, to kobieta cicha i pokorna, właściwie nie mówiąca, ani taka, o której mówi się dużo i kwieciście. Jest często wspominana, kojarzona z domem czy na jego tle ukazana, widziana oczami dorosłego dziecka - to osoba krucha, schorowana, zmęczona życiem, ale jednak cicha... matka jest mała i można ją nosić na rękach (*Kasztan*). Ważną perspektywę stanowi czas, który paradoksalnie, dla nagle dorosłego syna przyglądającego się matce, płynie niejako w dwóch kierunkach: do przodu - dla młodego jeszcze, myślącego perspektywicznie i wstecz - dla nagle postarzałej, starej, starzejącej się coraz bardziej, zachowanej w pamięci, należącej do przeszłości, do której się mimo wszystko powraca. Malejąca matka - kurcząca się, umierająca, zestawiona z wzrastającym w siłę kasztanem, symbolizującym życie i konfiturami - boginiami młodości, które zachowały smak wiecznej młodości - ma wymowę tragiczną, rodzi pytania o porządek tego świata, mówi o bezsilności człowieka. Matka, która ma wpisane, niemal w definicji, kogoś jeszcze, nie istnieje sama, jest związkiem siebie i dziecka czy raczej najpierw dziecka, a potem siebie - powraca w poezji Różewicza ciągle (myśli o niej w czasie podróży, brakuje jej w wielkim mieście, wyrzuca sobie grzechy wobec niej uczynione, tęskni za nią Tołstoj, to matka Chrystusa, Hansa Chrystiana). To kobieta bez skazy, rywalki w postaci kochanki czy żony. Słowa syna: „chciałbym ją nosić na sercu i karmić słodyczą" (*Ale kto zobaczy...*) - wyrażają chyba wszystko.

Nie sposób pominąć - pomijanej nie tylko w poezji... starej kobiety, której wiek określony wprost, bynajmniej nie ujmuje jej godności, szacunku jaki przynależny jest każdemu człowiekowi. Wiersz *Opowiadanie o starych kobietach* - z zasugerowanym w tytule gatunkiem, odpowiednim, by oddać „prozę" ich powszedniego, zwykłego życia i przywrócić wartość tym „paniom". To umiejętność dostrzeżenia w nich piękna (młodych kiedyś dziewczyn), przymiotów tych, które są solą ziemi, żadnej pracy się nie boją; „lubię stare kobiety [...] bo to są piękne kobiety".

Należałoby tu wspomnieć *Dytyramb na cześć teściowej* - kobiety równie szlachetnej, podobnie jak matka - strzegącej ogniska domowego, kochającej, opiekuńczej. To ona zasługuje na pochwałę - dytyramb - a nie opiewane do tej pory dziewczę, „które jest czasem jak gęś / A czasem jak cielę majowe".

Do tej kobiecej społeczności, reprezentowanej jak dotąd przez charaktery wyraziście określone - czarne lub białe, dołączają świadome, myślące, nie tylko jakoś pokazane, ale przedstawione wraz ze swoją psychiką, problemami. Kobieta - żona z *Poematu otwartego*, będącego niemym dialogiem, zestawieniem obok siebie niewypowiedzianych, tylko myślanych słów, gdzie każde z dwojga ma -w ramach poematu - prawo głosu, ale nie ma między nimi nici wiążącej, porozumienia. To poemat zamknię-

tych na siebie ludzi, którzy są dla siebie tylko „zapomnianymi ciałami". W oczach małżonka jest ona osobą starzejącą się, słabą psychicznie, pełną blizn, także tych po miłości. To współuczestniczka męczącego życia, codzienności, monotonii wykonywanych czynności. Oboje, pomimo iż są sobie obcy, na interesującym nas poziomie są partnerami, nie obwiniają się nawzajem, nie walczą, nie wyrzucają win. Milczą wymownie. Żona, co warto zauważyć, jest często wartościową, docenianą partnerką, tak więc przyczyn takiego stanu należy szukać gdzie indziej, a może stawiać tylko retoryczne pytania?

Świadomą, przyszłą kobietą jest 17-letnia dziewczyna, odpowiadająca na ankietę. Wiersz ten może być odbiciem lęków egzystencjalnych współczesnych kobiet, zastanawiających się, do czego doprowadzona została ich płeć przez cywilizację, kulturę? Czy jest ona „tylko miejscem / które oczekuje na życie / czy jestem jajem czy kwiatem / czy jestem" (*Dziewczyna odpowiada na ankietę*). Mamy tu także zapis nowych obowiązków i priorytetów w życiu dzisiejszej kobiety, myślącej najpierw o karierze zawodowej, a na drugim miejscu stawiającej - miłość.

Można by stwierdzić, że dobre kobiety i to, co w nich dobre odnosi się tylko do tych starych, teściowych, matek, do pokolenia, które odeszło, albo którego czas się już kończy. O ile jednak Różewicz występuje „przeciwko" - posługuje się wówczas ironią, którą wymierza nie w samego człowieka, czy interesującą nas kobietę, lecz w ich - utrwalone w kulturze - wyobrażenie. Ironiczna jest przede wszystkim jego ocena współczesnej kultury masowej. Taka postawa wyrasta z niepokoju; dlatego też poeta stara się pokazać świat nie poprzez sprzeczności w nim występujące, lecz ambiwalencje. Jednocześnie godzi się z rzeczywistością taką, jaką ona jest i... z taką kobietą, która jest.

Joanna Miczałowska

Agnieszka Bal

Współczesne wcielenia Fausta

Johann Faust – niemiecki uczony, alchemik, astrolog i medyk, jest wprawdzie postacią historyczną, żyjącą na przełomie XV i XVI wieku, współczesnemu czytelnikowi najbardziej znany jest jednak z dramatu Goethego. Od bohatera wywiedziono termin „faustyczny", który bywa odnoszony do „motywów", albo też do „osobowości." Chciałabym przyjrzeć się „osobowości faustycznej" oraz miejscu, jakie zajmuje ona w literaturze i filozofii XX wieku

Najważniejszą cechą wyróżniającą postać Fausta jest *dążenie*, bardzo często akcentowane przez samego bohatera: „jam wciąż pożądał tylko i dosięgał, i znów pożądał." Po śmierci Faust nadal będzie dążył ku „wyższym sferom niebieskim", pociągany przez Wieczną Kobiecość. Rollo May uznał ten problem za realizację mitu o potrzebie władzy i siły, przejawiających się w ciągłym posuwaniu się do przodu. Faust stawia sobie cel godny geniusza: „pojąć, na czym stoi świat, poznać wewnętrzny jego ład", poznać potęgę „co wnętrzne siły świata w jedno sprzęga". Uczony dąży do zrozumienia praw natury, konstruujących człowieka i wszechświat. Za tę cenę gotowy jest zawrzeć pakt z diabłem i zgodzić się na wszystkie warunki podyktowane przez Mefistofelesa. Ten faustowski program ma związek ze stanowiskiem autora dramatu. Aktywność poznawcza człowieka ma, według Goethego, „starać się wnikać w naturę i jej święte życie z całą miłością, czcią i pobożnością". Według ujęcia Spenglera, podstawowy rys egzystencji bohatera faustycznego to również „leśna tęsknota, niemożliwe do nazwania osamotnienie; istnienie wiedzione z najgłębszą świadomością, przyglądające się sobie".

O sposobie realizacji motywów faustycznych we współczesności przesądza choćby nieco odmienny kontekst kulturowy niż w XIX-wiecznych mieszczańskich Niemczech. Leszek Kołakowski w trawestacji *Fausta* podaje wyczerpującą listę wyznaczników przełomu XX-go i XXI-go wieku: „silniki spalinowe, system nowych banków i ubezpieczeń, maski przeciwgazowe, sprzedaż ratalna i emancypacja seksualna". Do tego można dorzucić spostrzeżenia socjologów, że kultura „ponowoczesna" przypomina trochę mitologiczny labirynt, w którym człowiek pada ofiarą zagubienia i „wiecznej, nieuleczalnej niepewności". Przesadą jednak chyba byłoby osądzanie, że we współczesnych czasach zupełnie zabrakło miejsca na literaturę głęboką, próbującą na przykład wniknąć w tajemnicę życia i śmierci. Człowiek współczesny dochodzi – jak sformułował to Tischner – „do nowego rozumienia siebie".

Tischner, idąc torem wskazanym przez Hegla, postrzega postać Fausta jako symboliczne wyobrażenie „końca renesansu i początku sceptycyzmu." Heglowska teza, że świadomość sceptyka „pojmuje siebie jako istotę podwojoną i ze sobą tylko sprzeczną" znajduje odbicie w wypowiedzi bohatera dramatu Goethego, o dwu mieszkających w nim duszach, pozostających ze sobą „w wiecznym sporze": „pierwsza zmysłowa i chciwa / Ta druga z przyziemności się wyrywa". Podważenie wartości rozumu i wiedzy także wydaje się być rodem ze sceptycyzmu. W słowach niemieckiego uczonego, „rozczarowanego rozumem", pobrzmiewa sceptyczne „cóż wiem?": „I widzę: wiedzieć nic nam nie jest dane! / Ta myśl mi w sercu wypaliła ranę". Postrzeganie wiedzy jako odwodzącej ludzi od naturalnej prostoty, bezwartościowej z punktu widzenia etyki, gdyż nie czyni człowieka szczęśliwszym, przede wszystkim zaś nie daje poznania prawdy – to były przekonania Montaigne'a – przedstawiciela francuskich sceptyków-racjonalistów.

Echa osobowości faustycznej uwidaczniają się w sposobie kreacji bohaterów prozy Iwaszkiewicza. Michał Komasa (*Mefisto-Walc*) żyje w powojennym świecie, „skłóconym i niezrównoważonym". Poczucie niepokoju i utraty bezpieczeństwa wzmagają się w nim od momentu, gdy odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu - jest Żydem ocalonym przez kolejarzy - ludzi, których dotąd uważał za rodziców. Świat staje się odtąd dla niego wrogi i nieprzyjazny. Środowisko warszawskie, gdzie pobiera lekcje muzyki u profesora Feliksa Pietrusińskiego, przybiera formę „obcej pustyni i dżungli", „krainy lęku i zgrozy". Michał pragnie odnaleźć własną tożsamość, ale nie potrafi. Podejmuje próbę wydostania się z kręgu nierozwiązywalnych dla niego problemów, sięgając po alkohol oraz wdając się w romans z poznaną w warszawskiej kawiarni Dżulią. Analogiczne wnioski wysnuwa Włodzimierz Szturc w odniesieniu do Fausta, nazywając go „samotnikiem zaczarowującym swoją samotność magią, alchemią i pożądaniem". Samotność Michała „obrodziła strasznymi czynami" - wraz z warszawskimi przyjaciółmi zamordował profesora Feliksa.

Uwagę Julka Zdanowskiego (*Młyn nad Utratą*), absolwenta filozofii, o zainteresowaniach teologicznych, spędzającego wakacje w podwarszawskiej Krzywiźnie, zaczyna zaprzątać „zupełnie nieokreślony, ale niedobry niepokój". Źródłem szczęścia i zadowolenia była dotychczas dla niego religia. Niewiele pozostało w nim z tych uczuć, gdy Julek związał się ze starszą od siebie młynarzową Jadwigą Łowiecką. Radość, jaką dostarczała mu dawnej wiara, przerodziła się w „drobne uczucie niewygody". Julek usiłuje „rozedrzeć tę mgłę i ujrzeć Boga poza nią", ale nie może. Kobieta, którą wybiera, nie jest ani piękna (jak Helena z *Fausta*), ani też młoda (jak Małgorzata). Dla Julka liczy się ona jedynie jako zmysłowa przyjemność, dająca złudzenie, że „można przezwyciężyć samotność, jaka ciąży nad człowiekiem". Namiętność nie ochroni go jednak ani przed samotnością, ani przed niepokojem i dojdzie w końcu do wniosku, że „wszystko jest straszne: młyn, Jadwiga, staw - byt cały po prostu". Taki sposób kreacji bohatera wykazuje pewne pokrewieństwo z postacią Fausta. Józef Tischner, pisząc o faustowskim erotyzmie, postrzega go jako tragiczny: Faust zaczyna melancholią i kończy melancholią. Niemiecki alchemik, będąc dojrzałym i wielostronnie wykształconym, wybiera sobie na partnerkę czternastoletnią, prostą dziewczynę. Związek Fausta z Małgorzatą, o której mówi Kierkegaard, że jest „gliną w ręku Fausta" i „tonie w swoim bogu"; okazuje się nietrwały. Przyjemność zmysłowa (utożsamiona przez uczonego ze szczęściem i możliwością doświadczenia „pełni życia") - „proste następstwo różnicy płci" to dla Fausta przede wszystkim możliwość „odnajdywania siebie" w innej indywidualności. Faust szuka w osobowości Małgorzaty własnego odbicia i w efekcie odnajduje fatum, które wkrada się pomiędzy kobietę i mężczyznę, „aby siać zniszczenie". Początkiem fatum, czyli łańcucha konieczności stała się przyjemność, pojęta jako szczęście.

Karol Hopfer (*Młyn nad Utratą*), przemysłowiec, dużo podróżuje w interesach, ale być może tylko dlatego, żeby zapomnieć, „że noc jest zawsze bardzo czarna, a dusza nasza czarniejsza". Podróże napawają go coraz to większym niepokojem, którego źródłem jest niepewność co do swojej tożsamości, sensu istnienia i własnego miejsca w świecie. Faust również przemieszcza się przez różne przestrzenie kulturowe (dwór cesarski, dziedziniec zamku średniowiecznego, pałac Menelaosa w Sparcie), nazywano go „wiecznym wagabundą". Bohater zostaje skonfrontowany ze światem polityki, ekonomii, władzy i kultury. Nie znika wprawdzie jego niepokój i uczucie nienasycenia, przejawiające się w ciągłym poszukiwaniu nowych sfer działania, ale Faust zdobywa nową wiedzę i doświadczenia, poznaje także własną osobowość. Karol natomiast, przebywając w Werfen, „zrobił odkrycie, że nie wie kim ani gdzie jest".

Faustyczność bohaterów *Młyna...* przejawia się także w ich próbach zgłębienia tajemnicy nieskończoności, absolutu i świętości. Karol, obserwując dzikie gęsi, odczuwa chęć lotu ku górze (ku boskości?) i jednocześnie żal, że nie może ich dogonić. Takie pragnienia wpisane są również w monolog Fausta: „czemu mnie jakieś skrzydło nie uniesie w chmury, Bym zawsze mógł podążać tam, gdzie ono". Dla Fausta idea Boga tożsama jest z uczuciem (*miłością, sercem, szczęściem*). Bohater mówi: „uczucie jest wszystkim".

Faust, a także w jakimś stopniu bohater prozy Iwaszkiewicza, mógłby powiedzieć: „dążę, więc jestem" oraz „odczuwam niepokój, więc jestem". Dla bohatera opowiadań Różewicza życiowym mottem było-

by natomiast: „myślę, więc jestem". W *Próbie rekonstrukcji* pozostaje on zamknięty w świecie swoich myśli, jedynym punktem odniesienia są jego własne sądy i opinie o rzeczywistości, mówi: „wszystkie myśli są moim własnym produktem". Jest tylko pasywnym obserwatorem. Konfrontacja z otaczającym światem, w którym rządzi prawo chaosu, prowadzi go do zwątpienia w wartość ludzkich uczuć. Nie widzi przed sobą żadnych możliwości, jest, pewnego dnia budzi się „bez zawodu, światopoglądu oraz charakteru", Faust natomiast inaczej - przełamuje kryzys spowodowany rozczarowaniem wiedzą (zarysowany w słynnym monologu *Noc*). Wspomnienia dla bohatera *Próby rekonstrukcji* są tylko przeszłością, oderwaną od teraźniejszości, która przybiera kształt „bezludnej wyspy". Otoczenie z jego perspektywy jest wrogie, czuje się on osaczony, „odklejony" od świata. Czasami tylko ulega „przyjemnemu złudzeniu, że jest potrzebny".

Bohaterka opowiadania *Na placówce dyplomatycznej we Włoszech* - stara kobieta, mieszkająca z synem i synową we Włoszech, czuje się osamotniona w obcym kraju, w innych warunkach kulturowych i wśród nieznanych ludzi, często odczuwa smutek. Nie ma również dobrego kontaktu z najbliższymi, spotkania z nimi okazują się powierzchowne i krótkie, syn i synowa prawie z matką nie rozmawiają, to co o niej naprawdę myślą, dowiaduje się z przypadkowo podsłuchanych rozmów.

Ludwik (*W najpiękniejszym mieście świata*) ma wrażenie, że jego życie jest „szare", a Paryż „szmirowaty". Mimo że uczestniczy w życiu kulturalnym Paryża, chodzi do opery, muzeów, czuje się „wypełniony ciężkimi wnętrznościami" i osamotniony. Pesymizm wypełnia też skargi jego znajomej (nazwanej tylko inicjałem - M.), cierpiącej na nieuleczalną chorobę, która wyznaje, że jest jej „ciężko i źle", myśli o popełnieniu samobójstwa. Podkreśleniem jej uczuć są naturalistyczne rysunki, które wykonuje: maluje własną chorobę, rozwijającą się wewnątrz organizmu, co przypomina podręcznik biologii lub atlas medyczny. Na własne życie nastaje także Faust (w noc Wielkiego Piątku), nie mogąc się pogodzić z tym, że możliwości ludzkiego umysłu są ograniczone. W przypadku Fausta taki stan nie jest jednak długotrwałym, opuszcza on mroczne wnętrze swej pracowni i w Wielką Sobotę wybiera się przed bramę miasta. Wraz z dźwiękiem dzwonów rezurekcyjnych, jego postawa zaczyna ulegać przemianie, ma wrażenie, że w duszy znów „robi się jasno".

Bohater prozy Różewicza jest przede wszystkim samotny, co zresztą jest charakterystyczne i dla Fausta, z tym, że u Różewicza jest to samotność pusta i jałowa, u Goethego czasami też - Spengler nazywa Fausta (obok Tristana i Hamleta) jednym z najsamotniejszych bohaterów wszystkich kultur - ale również sprzyjająca rozwojowi wewnętrznemu bohatera.

Pozostaje jeszcze kwestia: kim jest Mefisto? Demonicznym pragnieniem zadawania śmierci, jak w przypadku Michała z *Mefisto-Walca*? Zauroczeniem socjalizmem i marksizmem, jak chce Kołakowski? Poczuciem straty i braku, którego nie można niczym zapełnić, przyczyną współczesnej melancholii, jak zauważa Tischner? Zdaniem Leszka Kołakowskiego, określenie Mefista: „jam cząstką tej dziedziny, co pragnie zła, a dobro wciąż czyni", oznacza, iż demon, żyjąc z negacji ładu, żyje tym samym z tegoż ładu". Istnienie ładu jest współokreślone przez obecność siły negatywnej.

Mefisto jest trochę sceptykiem („ja jestem duch, co zawsze mówi nie"). Wątpienie i negowanie jest cechą charakterystyczną sceptyków, a ich ulubionym argumentem jest wykazywanie niezgodności różnych teorii i opinii. Diabeł stworzony przez Goethego, odznacza się ironicznym stosunkiem do rzeczywistości, drwi z dogmatów kościelnych i mistyki liczb, rozpowszechnionej w naukach katechetycznych w czasach współczesnych Goethemu (widoczne jest to w scenie *Kuchnia Czarownicy*). Mefisto to również racjonalista, znawca życia i człowieka. Faust, pomimo zdobytych czterech fakultetów, korzysta z pomocy szatana przy uwodzeniu prostej mieszczańskiej dziewczyny. Mefisto wprowadza niemieckiego uczonego w świat zmysłowych rozkoszy. Diabeł z dramatu Goethego jest też cyniczny i inteligentny: na dworze cesarskim zakłada maskę błazna, aby wytykać błędy świata dworskiego. Demon współczesności natomiast to demon pustki, chaosu i jałowości, a także poczucia samotności (w prozie Różewicza). To również, jak sądzi Ewa Kuryluk, „symbol intelektualnej ciekawości i aktywności poznawczej człowieka".

Agnieszka Bal

Łukasz Tomasz Sroka

Jezuici dzisiaj

Zarys dziejów najnowszych Towarzystwa Jezusowego

Zakony zajmują miejsce szczególne w strukturze Kościoła katolickiego. Na przestrzeni wieków spełniały liczne zadania, krzewiąc wiarę, naukę i kulturę. Wiele wskazuje na to, że obecnie, obok stowarzyszeń skupiających katolików świeckich, stanowić będą filar przyszłej odnowy Kościoła. To zakony mają szansę stać się siłą napędzającą przemiany w Kościele katolickim. Zgromadzenia zakonne jako pierwsze podjęły próbę określenia swoich zadań i swojego miejsca, tak w strukturze kościelnej, jak i w społecznościach lokalnych, stosownie do przeobrażeń społecznych. W ten nurt wpisuje się również Towarzystwo Jezusowe, zakon założony w 1534 r. przez św. Ignacego Loyolę. Działalność misyjna i edukacyjna jezuitów stanowiła odpowiedź Kościoła katolickiego na zjawisko reformacji. Historia zakonu, bogata w doniosłe wydarzenia, lecz wciąż pełna tajemnic, skłania do postawienia zasadniczych pytań: czym jest zakon dzisiaj, jaką rolę odgrywają jezuici w życiu społecznym i jakie zadania stawia przed nimi współczesny Kościół?

Zgromadzenie jezuitów wzięło na siebie znaczny ciężar. Charakterystyczna dla całego Kościoła działalność misyjna, praca z młodzieżą, posługa ubogim, więźniom, samotnym i chorym nie wyczerpuje wszystkich form aktywności jezuitów początku XXI wieku. Towarzystwo Jezusowe uczestniczy wobec tego w licznych przedsięwzięciach naukowych i kulturalnych. W wielu krajach świata jezuici prowadzą szkoły różnych szczebli edukacji oraz ośrodki badawcze. Wyposażeni w nowoczesne środki teleinformatyczne zakonnicy kierują wydawnictwami, redagują programy radiowe i telewizyjne, zarówno dla mediów świeckich, jak i katolickich.

Aktywne zaangażowanie się jezuitów w dialog międzyreligijny szczególnie uwidocznia się w takich państwach jak Polska, gdzie w tej kwestii nie wszyscy duchowni reprezentują jednakowe stanowisko. Największą polemikę wzbudza jednoznaczna postawa jezuitów w zakresie dialogu polsko-żydowskiego. Ich praca na rzecz wspólnego pojednania Polaków i Żydów u wielu osób spotyka się z niezrozumieniem. W takich okolicznościach budował zręby pojednania - jako jeden z pierwszych - nieżyjący już ks. Stanisław Musiał. Bardzo duże uznanie w tej dziedzinie, wyrastające daleko poza granice naszego kraju, zyskuje praca ks. prof. Stanisława Obirka.

Oparte na tolerancji i szacunku względem „starszych braci w wierze" rozumowanie jezuitów niejednokrotnie zyskiwało i zyskuje bardzo wymierny charakter. Wśród odznaczonych medalami „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" znajduje się dziesięciu jezuitów z różnych krajów. W tym szacownym gronie znajduje się również polski jezuita - Adam Sztark, odznaczony pośmiertnie przez Instytut Yad Vashem w roku 2001[1].

Duchowny, urodzony w 1907 r. w Zbiersku koło Kalisza, podczas II wojny światowej pełnił funkcję administratora sanktuarium maryjnego w Żyrowicach na Polesiu. Ksiądz Sztark zachęcał parafian do pomocy Żydom, organizował zbiórki pieniędzy,

a także aryjskie dokumenty. Na plebanii przechowywał żydowskie dzieci, które następnie znalazły schronienie w klasztorze sióstr Niepokalanek[2].

W 1998 r. z inicjatywy ks. prof. dr. hab. Stanisława Obirka SJ powstało Centrum Kultury i Dialogu (CKD). Zadaniem Centrum jest praca na rzecz zbliżenia różnych kultur i tradycji. CKD propaguje dialog kultur na różnych płaszczyznach, a także wspiera i uczestniczy w związanych z tym zagadnieniem projektach naukowych.

Poprzez aktywność społeczną i edukacyjną jezuici przyczyniają się do budowy społeczeństw obywatelskich w krajach, w których są obecni. Polska jest tego znakomitym przykładem. Dzięki opiece duchowej, jaką w okresie PRL roztoczyli nad ludźmi nauki i młodzieżą akademicką, możliwe było kształtowanie inteligencji katolickiej. W jezuickich placówkach edukacyjnych prowadzone są różnego rodzaju projekty, szkolenia i kursy pomagające zrozumieć mechanizmy funkcjonowania państwa demokratycznego. Poprzez wykłady i studia o tematyce europejskiej przyczyniają się do szerzenia wiedzy na temat Unii Europejskiej w środowiskach katolickich. W Jezuickim Wolontariacie Europejskim (JEV) setki młodych ludzi uczy się posługi bliźnim potrzebującym pomocy. W 1993 r. jezuici założyli Stowarzyszenie Chrześcijańskich Dzieł Wychowania (SChDW). Celem Stowarzyszenia jest „prowadzić działalność wychowawczą wśród młodzieży i wśród jej wychowawców. Działalność (dotyczącą) wychowania społecznego, religijnego i kulturalnego, zmierzającego do integracji Polski w Europie"[3]. SChDW otwarte jest na współpracę ze środowiskami katolickimi oraz prawosławnymi i protestanckimi. Ekumeniczny wymiar Stowarzyszenia podkreśla określenie dzieł wychowawczych jako *chrześcijańskich*, a nie tylko katolickich.

Jezuici zaangażowani są w prace prowadzone przez Katolickie Biuro Informacji i Inicjatyw Europejskich - Office Catholique d'Information et d'Initiative pour l'Europe (OCIPE). Organizacja ta powstała z inicjatywy osób świeckich, założył ją arcybiskup Strasburga (tam też znajduje się jej siedziba) Jean Julien Weber w 1956 roku. Rozpoczęcie integracji Polski z Unią Europejską stanowiło uzasadnioną przyczynę do powołania OCIPE w Warszawie, miało to miejsce 1 września 1992 roku. Inicjatorem powołania Katolickiego Biura Informacji i Inicjatyw Europejskich w Polsce był ks. Andrzej Koprowski SJ, natomiast jej założycielem - o. Prowincjał Florian Pełka SJ.

Znamienne są słowa wypowiedziane przez księdza Stanisława Musiała na konferencji *Rasizm, antysemityzm, ksenofobia przekleństwem XX w.*, zorganizowanej przez Młode Centrum Unii Wolności dnia 31 marca 2001 roku: „Przed przekleństwem minionego wieku jest nas w stanie uchronić Polska obywatelska, którą winniśmy budować"[4].

Na gruncie polskiej nauki obecność jezuitów odznacza się przede wszystkim w dziedzinach humanistycznych. Spośród Towarzystwa Jezusowego rekrutowało i nadal rekrutuje się wielu poważanych filozofów i humanistów. Do tego grona zaliczają się: Roman Darowski, Piotr Lenartowicz, Stanisław Ziemiański, Ludwik Grzebień, Bogdan Lisiak, Stanisław Obirek, Józef Bremer, Stanisław Cieślak i Aleksander Posacki. Do roku 1970 wśród uprawianej przez jezuitów filozofii dominowała filozofia neotomistyczna. Obecnie wśród nich najpopularniejsze są dwa główne nurty: filozofia inspiracji arystotelesowsko-tomistycznej oraz filozofia dialogu[5].

Perspektywy oraz oczekiwania współczesnego Kościoła względem zakonu zakreślił sam papież Jan Paweł II, zwracając się 27 lutego 1982 roku do ówczesnego generała o. Pedro Arrupe oraz 86 prowincjałów z orędziem: „Kościół oczekuje od was w pierwszym rzędzie dostosowania różnych form tradycyjnego duszpasterstwa, które nie straciły i dziś na wartości. Oczekiwania te spełnicie zabiegając o odnowę duchowego życia wiernych, wychowując młodzież, formując księży, zakonników i zakonnice, działając na misjach. Jest to jednoznaczne z katechizacją, przepowiadaniem Słowa Bożego, krzewieniem Chrystusowej nauki, chrześcijańskim przenikaniem w sferę kultury, która dąży do podziału i przeciwstawieniem nauki i wiary; duszpasterską działalnością na rzecz ubogich, uciśnionych, zepchniętych na margines; kapłańskim posługiwa-

niem we wszelkich autentycznych formach. Nie należy zapominać o nowych środkach duszpasterskich, którymi posługuje się współczesna społeczność, jak prasa czy społeczne środki przekazu. Towarzystwo winno udoskonalić dotychczasowy sposób posługiwania się nimi. Ponadto Kościół pragnie, by Towarzystwo coraz bardziej interesowało się inicjatywami szczególnie zalecanymi przez Drugi Sobór Watykański: ekumenizmem, by zmniejszyć zgorszenie płynące z podziału chrześcijan. [...] - pogłębianiem stosunków z niechrześcijańskimi religiami [...] - studiami i inicjatywami dotyczącymi niepokojącego zjawiska ateizmu, [...]"[6].

W artykule *Nasz stosunek do apostolatu* wybitny jezuita Karl Rahner naszkicował wizję apostolatu „dzisiejszych chrześcijan". Rahner zgodził się z tezą, że każdy chrześcijanin powołany jest do tego, by być apostołem, chociaż zjawisku temu towarzyszą liczne zagrożenia. Jednym z takich zagrożeń jest zmieniająca się rzeczywistość, która wymusza na nas elastyczność oraz umiejętność interpretowania wskazań zawartych w Piśmie Świętym. Jednym z punktów odniesienia dla rozważań Rahnera była podstawowa idea św. Pawła „według którego chrześcijaństwo jest ze swej zasady łaską, jest ze swej zasady cudem, jest przeciwieństwem tego, co oczywiste i naturalne"[7]. Czy we współczesnym świecie, tak odmiennym od czasów biblijnych możliwe jest utrzymanie właściwej dla apostołów pasji i żarliwości? Czy na przykład w biurze, w którym pracuję, mogę świadczyć o chrześcijaństwie? Karl Rahner doszedł do wniosku, że: „Każdy chrześcijanin jest [...] apostołem już z racji swego chrześcijaństwa. I każda sytuacja życia jest potencjalnym gruntem rozkwitu jego apostolstwa: zawód, małżeństwo, rodzina, życie społeczne i towarzyskie. [...] Katolik świecki ma coś do powiedzenia przede wszystkim przez to, czym jest. Podstawową formą świadectwa, jakie składa, jest jego osobiste chrześcijaństwo w życiu zawodowym, rodzinnym czy społecznym. I tylko on może złożyć tego rodzaju świadectwo"[8]. Naszą uwagę powinna zwrócić jednoznaczna postawa, z jaką autor odniósł się do apostolstwa ludzi świeckich. Chociaż na początku II połowy XX wieku uznanie dla apostolstwa świeckich nie było postawą odosobnioną, to spostrzeżenia i wnioski Rahnera wyprzedzały zmiany zachodzące w Kościele katolickim o kilka dziesięcioleci.

Na jednej ze stron internetowych jezuitów, poświęconej kwestii powołań, postawiono pytanie: „Jak to się stało, że jezuici przez tyle lat nie mieli żadnego rozłamu?" Odpowiedź brzmiała w sposób następujący: „Każdy rozłam w strukturach zakonnych jest reformatorski. Grupa ludzi uznaje, że został utracony duch założycieli. Bardzo ciężko doprowadzić do czegoś podobnego. Niektórzy mawiają, że jezuici są niereformowalni. Dlaczego? Konstytucje jezuitów są napisane biorąc pod uwagę rozwój człowieka. Św. Ignacy założył, że jezuita będzie wzrastał duchowo i że w konsekwencji różne normy powinno się stosować w różnym czasie i na różnych etapach. Dla przykładu jezuici nie mieli nigdy obowiązkowych umartwień ani postów. A jeśli chodzi o ubranie i inne podobne rzeczy św. Ignacy chce, aby jezuici naśladowali styl zacnych kapłanów na obszarach, gdzie przyszło im się znaleźć. W Konstytucjach św. Ignacy ponad sto razy pisze, że ma to być «na większą chwałę Bożą» (*Ad maiorem Dei gloriam*). Co tu reformować?" Rzeczywiście - w gronie jezuitów żadnego rozłamu ani rewolucji nie było. Mimo to nastąpiła głęboka ewolucja. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* - zgodnie z tą sentencją zmienili się również jezuici. Obecne wpływy i oddziaływanie zakonu na kulturę, naukę i wydarzenia społeczne są nieporównywalnie mniejsze niż w XVI, XVII, XVIII czy nawet XIX wieku. Mimo to jezuici nie zaprzestali swojej misji i towarzyszy im charakterystyczna od samego początku gorliwość, poświęcenie i konsekwencja w działaniu. Podobnie jak to miało miejsce w poprzednich wiekach wychowują kolejne pokolenia młodzieży. Dialog prowadzony z innymi religiami oraz ateistami (nie zaś sama konfrontacja) świadczy z kolei, że jezuici - mniej lub bardziej dobrowolnie - nauczyli się sztuki kompromisu.

Najwyższą władzę w zakonie sprawuje Generał zakonu, który wybierany jest przez Kongregację Generalną jezuitów z całego świata, na dożywotnią ka-

dencję. Generał wyznacza prowincjałów, którzy są odpowiedzialni za prowincje zakonne. Na terenie Polski znajdują się dwie prowincje: Wielkopolsko-Mazowiecka oraz Polski Południowej. Prowincjał sprawuje swoją funkcje przez sześć lat. Tak Generał, jak i prowincjałowie, swe decyzje podejmują samodzielnie, chociaż mogą uwzględniać opinie swoich doradców. Od września 1983 roku Generałem zakonu jezuitów jest o. Peter Hans Kolvenbach SJ (ur. 30.11.1928 r.). Wybrany został na XXXIII Kongregacji Generalnej. Wcześniej pełnił między innymi funkcję prowincjała na Bliskim Wschodzie, rektora Papieskiego Instytutu Orientalnego w Rzymie oraz członka mieszanej komisji do spraw dialogu z prawosławiem. W Polsce żyje obecnie 691 jezuitów, na świecie jest ich 21 490[9].

Można ogólnie stwierdzić, że dzieje najnowsze jezuitów zasługują na uwagę nie mniejszą, niż ta, którą poświęca się dawnej historii tego zakonu. Warto dociekać, czym jest Towarzystwo Jezusowe dzisiaj, chociażby z tego względu, aby lepiej zrozumieć, czym jest Kościół katolicki i dokąd zmierza.

Łukasz Tomasz Sroka

[1] Zob. „Słowo Żydowskie", 5 października 2001 r., nr 20 (254).
[2] Tamże.
[3] *Statut Stowarzyszenia Chrześcijańskich Dzieł Wychowania*, Par. 2, pkt 2.1.a. [cyt. za:] T. Homa, *W drodze do podmiotowości społeczeństwa*, Kraków 2002, s. 105, 106.
[4] „Słowo Żydowskie", 18 maja 2001 r., nr 10 (244).
[5] R. Darowski SJ, *Filozofia Jezuitów w Polsce w XX wieku. Próba syntezy – słownik autorów*, Kraków 2001.
[6] „Przegląd Powszechny", 1982, nr 4/733.
[7] K. Rahner SJ, *Nasz stosunek do apostolatu*, [w:] „Więź", 1964, nr 7-8 (75-76), s. 64.
[8] Tamże, s. 71.
[9] B. Łoziński, *Leksykon zakonów w Polsce. Instytuty życia konsekrowanego i stowarzyszenia życia apostolskiego*, Warszawa 2002, s. 57.

O pracach Senatu AP

pisze Iwona Tomasik

Pierwsze powakacyjne posiedzenie, we wrześniu 2004 r., Senat rozpoczął od zapoznania się ze stanem technicznym obiektów Uczelni, które zostały częściowo wyremontowane bądź zmodernizowane.

Na początku Senatorowie zapoznali się efektami prac remontowo-modernizacyjnych w budynku przy ul. Ingardena 4. Wygospodarowane tam pomieszczenie zaadaptowano na potrzeby szatni dla studentów o nowym rozwiązaniu technicznym - „obrotowo-mechanicznym". Budynek przy ul. Ingardena wzbogacił się również o mediatekę, w bibliotece Wydziału Pedagogicznego zamontowano automatycznie przesuwane regały na książki.

Następnie członkowie Senatu udali się na ul. Piekarską, gdzie znajduje się Dom Studencki „Zaułek". Tam obejrzeli nowo wyremontowane pokoje studenckie i zapoznali się z warunkami, w jakich studenci mieszkają i uczą się.

Kolejnym etapem wizyty było zwiedzanie budynków przy ul. Mazowieckiej 43. W budynkach tych znajduje się Instytut Sztuki. Jeden z budynków został gruntownie wyremontowany. Zmieniono elewację budynku, a wewnątrz wyremontowano sale dydaktyczne i zaadaptowano niektóre pomieszczenia dla potrzeb studentów oraz kadry uczącej.

W uroczystości przekazania tego zmodernizowanego budynku dydaktycznego wzięli udział również zaproszeni goście. Przecięcia wstęgi dokonali: JM rektor Michał Śliwa, wiceprzewodniczący SKOZK - doc. dr Andrzej Kurz, Prezes PRZ Kraków - Władysław Dudzik (wykonawca prac remontowych), a także dyrektor Instytutu Sztuki - prof. Marcin Pawłowski.

II część obrad Senatu odbyła się w sali konferencyjnej w Hotelu „Krakowiak", podczas której podjęto uchwały:

- o nadaniu tytułu doktora honoris causa Akademii Pedagogicznej w Krakowie panu prof. dr. hab. Wojciechowi Wrzesińskiemu, profesorowi Uniwersytetu Wrocławskiego, wybitnemu historykowi i humaniście, współtwórcy i animatorowi wielu organizacji naukowych i stowarzyszeń, znakomitemu promotorowi życia naukowego;

- o przyznaniu Medali Akademii Pedagogicznej w Krakowie następującym osobom: prof. Herbertowi Lange, mgr. Wojciechowi Blecharczykowi, prof. Stefanowi Kwiatkowskiemu, mgr Otylii Pulit, mgr. Jerzemu Ziemińskiemu;

- o utworzeniu studiów podyplomowych z romologii - ***Sytuacja Romów w Polsce - historia, prawo, kultura, stereotypy etniczne***;

- o sfinansowaniu przez Uczelnię 10% kosztów rozbudowy budynku głównego. Wiąże się to z tym, że od 1 stycznia br. zmieniły się zasady finansowania inwestycji szkół wyższych przez resort. Do tej pory inwestycje te były finansowane przez budżet centralny, czyli MENiS. Obecnie ministerstwo finansuje 15% inwestycji, inwestor bezpośredni, czyli Uczelnia - 10%, a reszta, tj. 75%, ma być finansowana z tzw. programów unijnych;

- o przedłożeniu w Ministerstwie Edukacji Narodowej i Sportu projektów nauczycielskich studiów zawodowych dwuspecjalnościowych: filologia angielska z językiem rosyjskim, filologia angielska z językiem niemieckim, filologia angielska z językiem francuskim, filologia romańska z językiem angielskim, filologia romańska z przedsiębiorczością, filologia rosyjska z językiem angielskim, filologia rosyjska z językiem niemieckim, filologia rosyjska z przedsiębiorczością, język niemiecki z językiem rosyjskim, język niemiecki z językiem angielskim, język niemiecki z przedsiębiorczością, filozofia z wiedzą o społeczeństwie, informatyka z elementami przedsiębiorczości, informatyka z językiem angielskim, matematyka z informatyką, geografia z przyrodą oraz geografia z przedsiębiorczością.

Następnie rektor M. Śliwa poinformował Senatorów, że uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego 2004/2005 odbędzie się w dniu 14 października o godz. 10.15., natomiast o godz. 9.00 w Kościele NMP z Lourdes przy ul. Misjonarskiej 37 odprawiona zostanie msza św. w intencji naszej społeczności akademickiej.

W III części posiedzenia Senatu odbyło się uroczyste przekazanie nowego domu studenckiego „Za Kolumnami" przy ul. Armii Krajowej 9. Przecięcia wstęgi dokonali ks. kardynał Franciszek Macharski, rektor Michał Śliwa, Łukasz Bałanda - przewodniczący Samorządu Studenckiego oraz wykonawca robót „Chemobudowa" i projektant budynku - profesor Tomasz Mańkowski.

Po uroczystym otwarciu Rektor zaprosił wszystkich gości do zwiedzenia akademika i zapoznania się z warunkami, jakie będą mieli mieszkający tam studenci. W uroczystości wzięli również udział studenci, pracownicy Uczelni, zaproszeni goście oraz prasa i TV.

Tradycyjnie już 14 października, w Dzień Edukacji Narodowej, odbyło się uroczyste posiedzenie Senatu, w trakcie którego rektor - prof. Michał Śliwa otworzył 59. rok akademicki 2004/2005.

Pod koniec października odbyło się drugie w tym miesiącu posiedzenie Senatu. Powodem był wybór kandydatów z Uczelni na członków Państwowej Komisji Akredytacyjnej, w nowej kadencji (od 1 stycznia 2005 r.). Senat zaakceptował następujących kandydatów z naszej Uczelni na członków PKA: prof. dr. hab. Bolesława Farona, prof. dr. hab. Zbigniewa Długosza, dr. hab. Krzysztofa Łabędzia, prof. AP, prof. dr. hab. Andrzeja Kastorego i prof. dr. hab. Mirosława Szymańskiego. W trakcie tego posiedzenia Senat wyraził również zgodę na mianowanie prof. dr. hab. Tadeusza Budrewicza na stanowisko profesora zwyczajnego, a także zaakceptował utworzenie od roku akademickiego 2005/2006 uzupełniających studiów magisterskich z filozofii, specjalność edukacja filozoficzna na studiach dziennych oraz uzupełniających studiów magisterskich z filozofii na studiach zaocznych.

Przed rozpoczęciem listopadowego posiedzenia członkowie Senatu zwiedzili Instytut Techniki, zapoznając się z nowymi pracowniami komputerowymi i laboratoriami. Pracownie zostały wyposażone w nowoczesny sprzęt komputerowy, aparaturę pomiarową i laboratoryjną. Remont i zakup sprzętu sfinansowany został ze środków Instytutu Techniki.

Następnie Senat udał się do Biblioteki Głównej, gdzie odbyło się uroczyste przekazanie wyremontowanej i zmodernizowanej Czytelni Głównej. Następnie rozpoczęły się merytoryczne obrady Senatu, które poświęcone były między innymi: podsumowaniu analizy działalności wydziałów w Uczelni oraz perspektywom ich rozwoju, a także zmianom organizacyjnym w Instytucie Nauk o Wychowaniu.

Senat przyjął również „Plan obchodów Jubileuszu 60-lecia Uczelni" i postanowił, aby Akademia Pedagogiczna w Krakowie przystąpiła do sieci „Uczelni wolnych od uzależnień". W trakcie tego posiedzenia Senat podjął uchwałę w sprawie demokratycznych dążeń środowiska akademickiego Ukrainy i całego narodu ukraińskiego, a także poparł działania Uniwersytetu Jagiellońskiego w zakresie poprawy sytuacji ekonomiczno-finansowej szpitala klinicznego Collegium Medicum UJ. Wznowił również działalność Centralnego Ośrodka Metodycznego Studiów Nauczycielskich, przekształcając go od 1 stycznia 2005 r. w Europejskie Centrum Edukacji Multimedialnej i Informatycznej.

W grudniu Senat zebrał się, by uchwalić sprawozdanie z działalności Uczelni za 2004 r., które jak co roku przekazywane jest do Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu. Zostało ono jednomyślnie zaakceptowane. Kolejny punkt obrad dotyczył problemów dydaktycznych na studiach zaocznych. Kończąc posiedzenie Senatu, rektor prof. Michał Śliwa skierował do Państwa Senatorów, nauczycieli akademickich, studentów i wszystkich pracowników Uczelni życzenia zdrowych, wesołych Świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku.

Iwona Tomasik

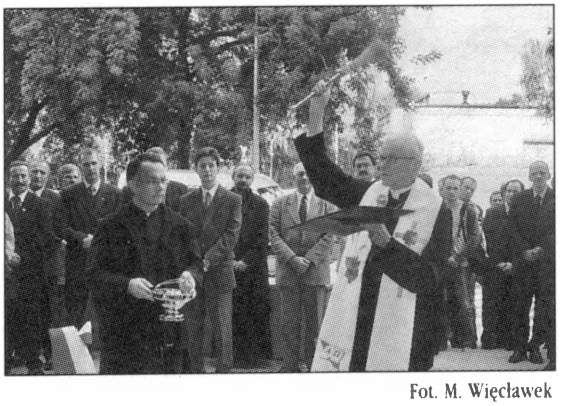

Fot. M. Więcławek

Zdzisław Noga

Jubileusz profesora Feliksa Kiryka

Wieczorem 15 września 2004 r., w przeddzień oficjalnego otwarcia XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Krakowie, w murach Akademii Pedagogicznej miała miejsce miła uroczystość wręczenia profesorowi Feliksowi Kirykowi księgi jubileuszowej, przygotowanej przez przyjaciół, uczniów i współpracowników z okazji jego siedemdziesiątych urodzin. W uczelnianym kwartalniku „Konspekt" sylwetki profesora przedstawiać nie trzeba. Rektor dwóch kadencji, doktor honorowy Uniwersytetu Lwowskiego - pozostaje jednym z najwybitniejszych czynnych uczonych Akademii Pedagogicznej. Uznanie, jakim cieszy się w środowisku, było widoczne podczas uroczystości, na którą przybyło wielu dostojnych gości.

W wypełnionym po brzegi Audytorium im. Wincentego Danka zebranych powitał prof. Marek Wilczyński, dyrektor Instytutu Historii. Uroczystość zaszczycił swą obecnością prof. Michał Śliwa, rektor Akademii Pedagogicznej, który w swoim serdecznym wystąpieniu podkreślił zasługi prof. Feliksa Kiryka dla Akademii Pedagogicznej i środowiska historycznego. Następnie głos zabrał prof. Tadeusz Budrewicz, dziekan Wydziału Humanistycznego, który zadał sobie trud obliczenia czasu, jaki jubilat poświęcił dla Wydziału w ciągu pięćdziesięciu niemal lat pracy zawodowej, pisząc setki stronic recenzji doktorskich, habilitacyjnych, opinii o tytuł profesorski, ekspertyz, przewodnicząc licznym komisjom wydziałowym. Wystąpienie Dziekana miało również wątek osobisty. Profesor Budrewicz wspomniał wieloletnią współpracę z jubilatem w zespole przygotowującym kilkutomowy słownik biograficzny.

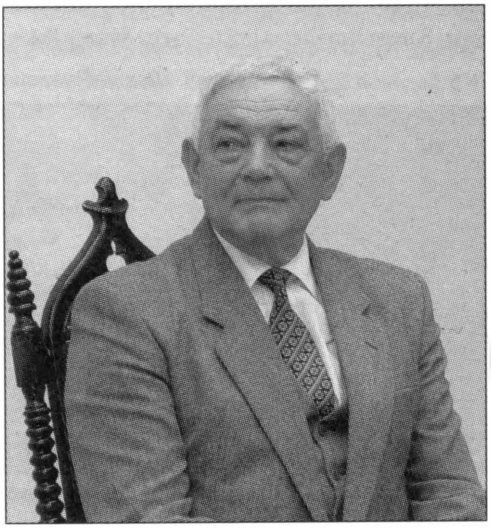

Następnie zabrał głos prof. Henryk Samsonowicz. Podkreślił pionierską działalność profesora Kiryka w dziedzinie badań regionalnych w Małopolsce, rolę „ambasadora" nauki polskiej w społecznościach lokalnych. Dzięki monografiom miast wiele środowisk uzyskało wgląd we własną przeszłość, odkryło własną „małą ojczyznę", a nauka otrzymała materiał do dalszych badań. Kolejny mówca - prof. Krzysztof Mikulski, prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego - podkreślił zasługi jubilata dla organizacji (której do niedawna był wiceprezesem) i jego zaangażowanie w tworzeniu stacji naukowych PTH w Przemyślu i Nowym Sączu oraz wieloletnią opiekę nad nimi. Osobisty charakter miało wystąpienie prof. Franciszka Ziejki, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wspominał z sentymentem wędrówki z jubilatem po Małopolsce, podziwiając jego wiedzę o każdej mijanej miejscowości. Wyraził przekonanie, że profesor Kiryk, uwolniony od obowiązków organizacyjnych w Uczelni, odda się z większą swobodą pracy nad monografiami kolejnych miejscowości. Wspomniał też o rodzinnym Radłowie, którego opracowanie monograficzne jest w trakcie przygotowania. Kolejny mówca, prof. Wojciech Fałkowski,

przewodniczący Stałego Komitetu Mediewistów Polskich, podkreślił wysoki poziom twórczości naukowej jubilata na przykładzie wciąż żywej w obiegu naukowym, chociaż wydanej przed niemal 40 laty, monografii Jakuba z Dębna oraz jego zasługi w dziedzinie badań regionalnych.

Następnie głos zabrał prof. Piotr Franaszek, dyrektor Instytutu Historii UJ, który w serdecznych słowach przedstawił zasługi profesora Kiryka dla środowiska historycznego i złożył życzenia jubilatowi w imieniu wszystkich pracowników swojego Instytutu. Uroczyste adresy przekazali profesorowi Kirykowi również prof. Henryk Gmiterek, dyrektor Instytutu Historii UMCS oraz prof. Adam Massalski, rektor Akademii Świętokrzyskiej. Nadto życzenia nadesłali liczni uczeni z Polski, między innymi: Maria Bogucka, Stanisław Litak, Marta Młynarska-Kaletynowa i Mateusz Goliński.

Zamykając pierwszą część uroczystości, prowadzący ją profesor Marek Wilczyński podziękował serdecznie jubilatowi za lata jego owocnej pracy w Instytucie, za trud włożony w kształcenie kadry naukowej i złożył mu serdeczne życzenia w imieniu wszystkich koleżanek i kolegów z Instytutu.

Po przemówieniach dawni uczniowie wręczyli profesorowi księgę jubileuszową. Zawiera ona ponad 40 artykułów, dotyczących okresu staropolskiego, treściowo zbieżnych z zainteresowaniami badawczymi jubilata. Większość tekstów dotyczy różnych aspektów przeszłości miast, są również artykuły poświęcone dynastiom i urzędnikom królewskim, a także dziejom kościołów w Rzeczypospolitej oraz przyczynki tyczące się szlachty i stanu chłopskiego.

Na zakończenie głos zabrał sam profesor Kiryk. Wyraźnie wzruszony okazaną mu serdecznością, dziękował wszystkim autorom i redaktorom Księgi oraz władzom Uczelni, które wsparły finansowo jej wydanie. Wspominał swoją działalność w Polskim Towarzystwie Historycznym od lat pięćdziesiątych, początki działalności stacji naukowych w Przemyślu i w Nowym Sączu. Profesor podziękował wszystkim, którzy towarzyszyli mu w drodze naukowej, podkreślając ich serdeczność i życzliwość na kolejnych etapach awansu zawodowego.

Uroczystość zakończyła się w Instytucie Historii, gdzie została przygotowana wystawa prac profesora oraz skromne przyjęcie. Przypominając te miłe chwile, żywimy nadzieję, że nasz profesor wciąż będzie służył pomocą i radą młodszym koleżankom i kolegom. Jesteśmy przekonani, że jego działalność organizacyjna i naukowa przyniesie jeszcze wiele pożytku Instytutowi, nauce historycznej i społecznościom lokalnym.

Zdzisław Noga
Fotografował M. Pasternak

Edward Stachurski

Jubileusz profesor Marii Zarębiny

Uroczystość 80-lecia prof. Marii Zarębiny odbyła się 28 listopada 2004 r., a więc dwa lata później niż planowano, gdyż znacznie przedłużyło się przygotowywanie i wydawanie drukiem księgi jubileuszowej. Organizatorem jubileuszu była dyrekcja Instytutu Filologii Polskiej Akademii Pedagogicznej we współpracy z członkami Katedry Języka Polskiego, a księgę jubileuszową zredagowali profesorowie: Leszek Bednarczuk, Edward Stachurski i Tadeusz Szymański.

Uroczyste wręczenie księgi jubileuszowej odbyło się w uczelnianej sali senackiej, wypełnionej przyjaciółmi i uczniami szanownej jubilatki. Ponieważ JM Rektor Akademii Pedagogicznej, prof. Michał Śliwa, z ważnej przyczyny nie mógł być obecny, reprezentowali go na uroczystości prorektorzy: do spraw nauki, prof. Henryk Żaliński i do spraw studenckich, prof. Marian Zakrzewski. Uroczystość prowadził dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, prof. Bolesław Faron. Powitał jubilatkę i członków jej rodziny (córkę Annę i wnuczkę Ewę), panów rektorów, dziekana Wydziału Humanistycznego, prof. Tadeusza Budrewicza, gości zaproszonych spoza Uczelni, autorów prac złożonych do księgi jubileuszowej (także z innych ośrodków uniwersyteckich), oraz wszystkich obecnych pracowników i studentów Akademii Pedagogicznej. W słowie wstępnym podkreślił wielkie zasługi prof. Marii Zarębiny w wieloletniej działalności naukowej, dydaktycznej i organizacyjnej w Katedrze Języka Polskiego i poza Uczelnią. Szczególnie docenił stworzenie jej koncepcji nowego kierunku studiów - logopedii.

Poproszony o głos w imieniu władz rektorskich prof. Henryk Żaliński wyraził zadowolenie, że jubilatka, pracując w latach pięćdziesiątych na Uniwersytecie Jagiellońskim i w UMCS, od 1961 r. związała swoją karierę naukową z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Krakowie. Uczelnia mocną pozycję w środowisku naukowym zawdzięcza profesorom, a jubilatka jest uczoną, która swoim dorobkiem i postawą życiową przynosi chlubę Akademii Pedagogicznej.

Dziekan Tadeusz Budrewicz docenił wielkie zasługi prof. M. Zarębiny w kształceniu kadry naukowej - wielokrotny jej udział w przewodach doktorskich, habilitacyjnych i profesorskich, wy-

promowanie wielu naukowców w dziedzinie językoznawstwa i setek magistrów filologii polskiej. Prof. M. Zarębina prowadziła seminaria magisterskie jeszcze w kilkanaście lat po przejściu na emeryturę.

Kierownik Katedry Języka Polskiego, prof. Tadeusz Szymański, powiedział, iż obejmując po jubilatce kierownictwo katedry w 1992 r., zastał zespół naukowo-dydaktyczny bardzo dobrze zorganizowany i pracujący tak rytmicznie, że nie trzeba było nic w nim zmieniać, a dbać tylko o kierowanie katedrą w tym samym stylu.

Dorobek naukowy jubilatki scharakteryzował zwięźle prof. Leszek Bednarczuk, podkreślając wielokierunkowość realizowanych przez nią badań i zastosowanie nowych metod badawczych (m.in. wykorzystywanie już w latach siedemdziesiątych komputera do sortowania elementów tekstowych i stosowanie statystyki dla uściślenia wyników badań). Prof. Maria Zarębina zajmuje się językoznawstwem polskim i ogólnym, psycholingwistyką (szczególnie rozwojem mowy dziecka w wieku szkolnym i atrofią mowy w afazji). W ostatnim ćwierćwieczu najwięcej uwagi poświęciła słownictwu i składni polszczyzny pisanej i mówionej ogólnej oraz różnych jej odmian środowiskowych i gwary ludowej. Kilka książek i dziesiątki rozpraw naukowych jubilatki to cenne monografie ważnych zagadnień językowych w tekście literackim (także teorii i praktyki jego przekładu), a szczególnie ważne są prace o słownictwie *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza. Prof. Bednarczuk z uznaniem mówił o odwadze cywilnej pani Marii, która działała w konspiracji i rozpoczęła studia filologiczne podczas okupacji hitlerowskiej na tajnym Uniwersytecie Jagiellońskim, o czym wspomina jako współautorka i współredaktorka dwóch prac zbiorowych o tajnym nauczaniu. W latach osiemdziesiątych wiele czasu poświęciła na działalność organizacyjną w NSZZ „Solidarność", za co szykanowano ją po ogłoszeniu stanu wojennego.

Następnie trzej redaktorzy uroczyście wręczyli jubilatce piękną, oprawioną w skórę księgę jubileuszową - zawierającą artykuły 52 autorów (także z zagranicy) oraz informacje o życiu jubilatki i bibliografię jej prac wydanych po poprzednim jubileuszu, czyli 70-lecia. Po symbolicznej lampce szampana przemówiła sama jubilatka.

Najpierw zauważyła, że bieg historii wyciska piętno także na życiu zwykłego człowieka i całego pokolenia. Wspomniała swe dzieciństwo w Niepołomicach, które przypadło na lata odzyskanej przez Polskę wolności. Dom i szkoła wychowywały wtedy zgodnie -

uczyły patriotyzmu i uczciwości metodami wypracowanymi w czasach zaborów. Wraz z sześciorgiem starszego rodzeństwa uczestniczyła w zadaniach społecznych, m.in. w amatorskim teatrze w „Sokole" grającym dramaty Słowackiego, Fredry, Wyspiańskiego i Rydla. W czasie II wojny światowej każdy z członków rodziny wedle swoich możliwości włączył się w nurt życia „państwa podziemnego": najmłodszy brat był w Armii Krajowej, najstarszy walczył w powstaniu warszawskim, a średni organizował tajne szkolnictwo w powiecie. W domu Ziembów, czyli w domu rodzinnym jubilatki, był nasłuch radiowy rozgłośni londyńskiej informującej o wydarzeniach na froncie. Maria jako przedwojenna gimnazjalistka uczyła się na tajnych kompletach Gimnazjum im. Świętej Rodziny, a potem uzyskała, poprzez swoich nauczycieli, kon-

takt z tajnym Uniwersytetem Jagiellońskim. Miała szczęście korzystać z wiedzy doborowej kadry profesorów – polonistów i slawistów, m.in. Mieczysława Małeckiego, Kazimierza Nitscha i Stanisława Pigonia.

Po wojnie, po ukończeniu studiów i założeniu rodziny, musiała wybierać między poświęceniem się pracy naukowej a zajęciem się dziećmi i domem. Nie była beneficjentem systemu panującego w PRL, z racji swoich przekonań często doznawała upokorzeń. Podczas wieloletniej pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej udało się jej pozyskać przyjaźń kolegów, a nawet przychylność władz uczelnianych. Momentem przełomowym było uzyskanie habilitacji, gdyż jako samodzielny pracownik naukowy mogła prowadzić przewody doktorskie, recenzować prace na stopnie i tytuły naukowe, wychowywać uczniów i następców, uczestniczyć w konferencjach zagranicznych i nawiązywać przyjaźnie intelektualne.

Jubilatka stwierdziła, że wiele zawdzięcza swoim uczniom, także studentom, zarówno polonistom, jak i logopedom. Śledzenie ich rozwoju, postępów, a potem pracy naukowej, dało jej wiele satysfakcji i samo w sobie było nagrodą za trud włożony w ich kształcenie. Najsmutniejsze dla niej momenty w ostatnich latach to przedwczesne zgony niektórych uczniów: Władka Zelecha – adiunkta w Katedrze Języka Polskiego, Staszka Podobińskiego – dyrektora Wydawnictwa Naukowego WSP w Częstochowie i Jurka Piekarskiego – dziennikarza w Nowym Jorku.

Jubilatka podziękowała władzom Uczelni i kolegom za piękną uroczystość jubileuszową, autorom artykułów i redaktorom za księgę – trwałą pamiątkę, a wszystkim zebranym za obdarzenie jej przyjaźnią.

W imieniu uczniów i przyjaciół Pani Profesor przemówiła prof. Jadwiga Cieszyńska, składając jubilatce serdeczne podziękowanie za mistrzowski styl pracy z doktorantami i magistrantami. Mistrzyni nie tylko promowała prace naukowe, ale także uczyła swych podopiecznych godnego życia. Postawa ideowa Marii Zarębiny została zilustrowana odczytanym wierszem Zbigniewa Herberta *Przesłanie Pana Cogito*.

Oficjalną część uroczystości jubileuszowej zakończyło wręczenie jubilatce kwiatów i złożenie życzeń przez zebranych. Słodkim akcentem był też, przygotowany przez jedną z wychowanek prof. Zarębiny, biały tort w kształcie księgi. Podczas nieoficjalnej części uroczystości przy kawie i słodyczach przyjaciele i uczniowie długo jeszcze rozmawiali z jubilatką, wspominając minione wydarzenia w Uczelni.

Edward Stachurski

Fotografował M. Pasternak

Doktor Bohdan Gralewski (1957–2004)

17 września 2004 r. odszedł od nas wieloletni adiunkt Pracowni Technologii Nauczania, dr inż. Bohdan Gralewski, związany z Akademią Pedagogiczną od przeszło 20 lat. Otrzymał on bardzo rzetelne przygotowanie do wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego. W roku 1981, po ukończeniu studiów w zakresie inżynierii materiałowej na Wydziale Metalurgicznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach, podjął studia filozoficzne na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Rok przed ukończeniem nauki, w listopadzie 1985 r., rozpoczął pracę w Akademii Pedagogicznej – początkowo jako starszy technik, trzy miesiące później – już jako pracownik naukowo-dydaktyczny. Szybko awansował, przechodząc kolejne etapy od asystenta stażysty do adiunkta. W dziesięć lat później obronił pracę doktorską nt. *Efektywność dydaktyczna interakcyjnego oprogramowania wspomagającego proces uczenia się*, uzyskując 23 kwietnia 1996 r., decyzją Rady Wydziału Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, tytuł doktora nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki. Był kolejnym uczniem promowanym przez wybitnego polskiego pedagoga, prof. Kazimierza Denka.

Filozofia, w szczególności filozofia nauki, była jego wielką pasją, bardzo przydatną, zarówno w poszukiwaniu postaw życiowych, jak i w codziennej pracy nauczycielskiej czy w dyskusjach polemicznych. Optymistycznie nastawiony do życia, zdystansowany do trudności, poszukiwał wciąż nowych, niekonwencjonalnych rozwiązań. Pełen kultury, wesoły, choć nieco powściągliwy, był nieocenionym towarzyszem wspólnych spotkań, a jego obecność sprzyjała pogodnej atmosferze prowadzonych rozmów. Dzięki rozległym zainteresowaniom, głównie z zakresu współczesnych osiągnięć biologii, chemii, fizyki i astronomii, potrafił w ciekawy sposób wypowiadać się na wiele tematów, zachęcając tym samym innych do podjęcia własnych poszukiwań naukowych.

Interesował się przede wszystkim zagadnieniem zastosowania internetu w edukacji, w szczególności zaś – internetowego kształcenia na odległość.

Dr inż. Bogdan Gralewski potrafił doskonale wykorzystywać swe inżynierskie umiejętności. Z jednakową zaciekłością i uwielbieniem naprawiał komputery, co usuwał zagrażające im wirusy. W dużej mierze to właśnie jemu zawdzięczamy prawidłowe funkcjonowanie laboratorium edukacyjnych zastosowań komputerów w PTN. Swoją nieocenioną pomocą służył chętnie również innym pracownikom jednostek naszej Uczelni.

Wspominając dr. inż. Bohdana Gralewskiego nie można zapomnieć o jego długoletniej działalności dydaktycznej. Studenci wspominać bowiem będą nie tylko jego kompetencje merytoryczne i metodyczne, lecz – co wydaje się ważniejsze – przyjazną atmosferę zajęć, sprzyjającą samodzielnym poszukiwaniom i kształtowaniu postawy dociekliwego badacza w świecie informacji i nowych technologii. W pamięci kolegów i przyjaciół pozostanie już na zawsze człowiekiem skromnym i uczciwym, sumiennym i odpowiedzialnym.

Odszedł od nas w wieku zaledwie 47 lat, pozostawiając niedokończone prace naukowe, pasje i przerwane plany własnego rozwoju. W słoneczne, wrześniowe południe odprowadziliśmy go na miejsce wiecznego spoczynku na krakowskim Pasterniku.

Janusz Morbitzer

Elżbieta Maria Minczakiewicz

Janina Wszołek-Szymańska (1923–2003) pseudonim „Lotna"

Działaczka ruchu oporu. Harcerka, łączniczka i sanitariuszka „Zielonego Krzyża", wizytator szkolnictwa specjalnego kuratorium okręgu krakowskiego. Organizatorka kształcenia dzieci i młodzieży specjalnej troski. Nauczycielka nauczycieli oraz działaczka społeczno-oświatowa ziemi krakowskiej

Przyszedłeś na ten świat z niczym...
I nic nie weźmiesz z sobą...
Jesteś jak pielgrzym... zbłąkany wędrowiec...
tułacza naznaczony dolą do końca swoich dni.
Bądź wytrwałym i dzielnym na pielgrzymim szlaku.
Z godnością znoś cierpienia, trudy, niewygody...
Dźwigając ciężar życia... nie zbaczaj z swej drogi!!!
Czymże czyny Twe wzniosłe? Twe zaszczyty? Dzieła?
Przyjaźnie i sympatie? Twe plany? Marzenia?
Czymże ludzkie bogactwa? Sława? Uniesienia?
Tylko ... śladem pamięci!!! Dowodem istnienia!!!

Janina Wszołek-Szymańska, córka Wojciecha, urodziła się 15 grudnia 1923 r. w Bochni. W Jej bogatym życiorysie daje się wyróżnić kilka zasadniczych etapów. Pierwszy z nich obejmuje dzieciństwo i wczesne lata młodości, a więc okres do roku 1939, to jest do chwili wybuchu drugiej wojny światowej, w którym zdążyła ukończyć szkołę podstawową i pierwszą klasę szkoły średniej.

Drugi etap obejmuje okres przymusowej przerwy w nauce, który wypełniała Jej bez reszty praca w gospodarstwie rolnym matki (ojciec zmarł w 1930 r.) oraz konspiracyjna działalność w ruchu oporu. Jej najpiękniejsze lata młodości przypadły na niezwykle trudny i tragiczny w skutkach okres drugiej wojny światowej, bowiem już od momentu jej wybuchu uczestniczyła w pracach drużyny harcerskiej, aktywnie włączając się w pomoc żołnierzom polskim. Od przełomu lat 1939/1940 uczestniczyła w zdobywaniu produktów żywnościowych i przygo-

towywaniu posiłków na dworcu PKP w Bochni dla przewożonych tędy jeńców wojennych. Uczestniczyła także w transportowaniu, kwaterowaniu i żywieniu rodzin polskich przesiedlanych do Bochni z okupowanych okolic Podkarpacia oraz terenów zachodnich i północnych byłych ziem polskich. Pracując od 1940 r. w niemieckim składzie broni i amunicji w Kłaju, organizowała i dowodziła akcją sabotażową na tyłach wroga. Akcja ta polegała na organizowaniu przemytu broni i amunicji do funkcjonujących pod kierownictwem Batalionów Chłopskich grup oporu. Od pamiętnego dnia 1 maja 1941 r., po złożeniu przysięgi na wierność Ojczyźnie, mając niespełna 18 lat przyjęła pseudonim „Lotna" i trudne do wykonania obowiązki łączniczki i sanitariuszki „Zielonego Krzyża" w Obwodzie Bocheńskim, utrzymując łączność z żołnierzami i grupami dywersyjnymi z okolic: Proszówek, Krzyżanowic, Rzezawy, Pogwizdowa i Wiśnicza. W wyniku odniesionych ran od kwietnia do sierpnia 1944 r. pozostawała na leczeniu szpitalnym w Bochni, nie tracąc jednak kontaktu z towarzyszami broni i ludnością cywilną.

Od 1945 r. organizowała grupy Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" na terenie powiatu bocheńskiego oraz limanowskiego, nadając im kierunek i profil wybitnie kulturalno-oświatowej działalności.

W latach 1945-1949 Janina Wszołek, uzyskawszy - w systemie zaocznym - odpowiednie kwalifikacje pedagogiczne, podjęła pracę w Rabce Zdroju na rzecz dzieci przewlekle chorych i kalekich, wywodzących się z terenów szczególnie dotkniętych wojną. Dzieci te, odpowiednio zdiagnozowane i zaopatrzone, były następnie kierowane na dalsze leczenie - głównie za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża - do Danii i Szwecji. Po zakończeniu, niekiedy długotrwałego i złożonego procesu leczenia i rehabilitacji oraz po ustabilizowaniu się sytuacji rodzinno-prawnej, dzieci te powracały do domu, znajdując dla siebie stosowne miejsce nie tylko w rodzinie, ale również w systemie opieki i wychowania.

Praca z dziećmi chorymi i ich nie zawsze kompletnymi rodzinami dawała Pani Janinie dużo radości i satysfakcji. Stąd też, doskonaląc formy opieki nad dzieckiem, zwłaszcza w jakimś sensie niepełnosprawnym, konsekwentnie podnosiła swoje kwalifikacje pedagogiczne w zakresie kształcenia specjalnego, walnie przyczyniając się do rozwoju tegoż szkolnictwa w całym, wyzwolonym już kraju.

W latach pięćdziesiątych (1950-1951) Pani Janina była Słuchaczem Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej (zwanego krótko: PIPS-em) w Warszawie, kierowanego przez nieżyjącą już prof. Marię Grzegorzewską - legendę szkolnictwa specjalnego. Janina Wszołek specjalizowała się w zakresie pedagogiki resocjalizacyjnej. Po odbyciu rocznej pracy z nakazu, w Szubinie, na stałe przeniosła się do Krakowa, w którym pozostała do końca swojego - bogatego w fakty i wydarzenia - życia.

Śledząc koleje losu warto zauważyć, iż Pani Janina Wszołek po uzyskaniu stosownych kwalifikacji oraz po odbyciu wymaganego stażu zawodowego, w latach 1953-1962 pracowała jako nauczycielka, a następnie kierowniczka szkoły w Ośrodku dla Dziewcząt Społecznie Niedostosowanych w Krakowie przy ul. Wroniej 3 (obecnie Świętej Faustyny 3). Niebawem po objęciu funkcji kierowniczej, a więc w latach 1958-1962, studiowała w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie na Wydziale Filologiczno-Historycznym, uzyskując w 1962 r. stopień magistra pedagogiki, co w dużym stopniu zaważyło na Jej dalszej karierze zawodowej i działalności społecznej.

Kolejny etap życia i kariery zawodowej Pani Janiny Wszołek przypadł na lata 1962-1970. W tym okresie pełniła funkcję organizatora i wizytatora szkolnictwa specjalnego Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie. Doraźnie (na podstawie umowy-

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie

Nr FH. 2/62

DYPLOM

Ob. Janina Wszołek

urodzona dnia 15 grudnia 1923 r.

w Bochni

po odbyciu studiów wyższych

w latach 1958/59-1961/62

specjalizując się w zakresie

pedagogiki

i złożeniu egzaminu dyplomowego

z wynikiem bardzo dobrym

otrzymuje w dniu 29 września 1962 r.

DYPLOM UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

stopnia

na Wydziale Filologiczno-Historycznym

Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie

i uzyskuje stopień magistra pedagog.

Prezydent Dr. Dziekan

Kraków, dnia 25 paźdz. 1962 r.

zlecenia) prowadziła również zajęcia dydaktyczne w III Studium Nauczycielskim w Krakowie, przy ul. Krupniczej 68, przygotowując całe zastępy kadr pedagogicznych dla potrzeb kształcenia dzieci: przewlekle chorych, kalekich, niewidomych, głuchych, upośledzonych umysłowo oraz społecznie niedostosowanych. Jako wizytator nadzorująco-kontrolujący i zawiadujący specjalną oświatą krakowską, dbała o jakość podległych Jej placówek, przeznaczonych dla dzieci i młodzieży z deficytami rozwoju, o dobór właściwej kadry pedagogicznej, jej kształcenie i doskonalenie zawodowe.

W omawianym okresie (przypomnijmy - chodzi o lata sześćdziesiąte dwudziestego wieku) działalności społeczno-zawodowej Pani Janiny Wszołek, miałam szczęście poznać ją nieco bliżej jako wizytator szkolnictwa specjalnego. Już od pierwszego wejrzenia zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Dała się poznać jako osoba niezwykle empatyczna, przychylna ludziom, otwarta, troskliwa, pełna ciepła, aczkolwiek wymagająca i konsekwentna. Moje pierwsze spotkanie z Panią wizytator miało miejsce w III Studium Nauczycielskim w Krakowie, którego byłam słuchaczką, podczas zajęć z pedagogiki specjalnej, a potem zajęć seminaryjnych. Pod Jej kierunkiem napisałam pracę dyplomową pt. *Ocenianie i opiniowanie uczniów szkół specjalnych. Fakty i propozycje zmian*, która uzyskała wysoką ocenę Promotorki.

Pani Janina Wszołek była dla mnie osobą niezwykłą. Postrzegałam Ją jako uosobienie piękna i dobra, ceniąc nade wszystko Jej wiedzę i doświadczenia, którymi umiała się dzielić. Była zawsze elegancka, pogodna, uśmiechnięta, obowiązkowa, wymagająca, a przy tym życzliwa ludziom i... „do bólu" konsekwentna w swych poczynaniach. Miałam szczęście być nie tylko Jej uczennicą, co poczytywałam sobie za wielkie wyróżnienie, a nawet zaszczyt, ale także podwładną, młodym, początkującym nauczycielem, którym umiała pokierować i w odpowiednim czasie udzielić niezbędnej pomocy. Praca dyplomowa napisana pod Jej kierunkiem była niczym więcej, jak tylko sprawdzianem posiadanej przeze mnie wiedzy i nabytych umiejętności pedagogicznych oraz testem przydatności w pracy z dziećmi specjalnych potrzeb edukacyjnych, a jednocześnie podstawą oceny do uzyskania przeze mnie awansu zawodowego nauczyciela mianowanego. Przyznam, iż od Niej wiele się nauczyłam. Była bowiem dla mnie wielkim autorytetem, silną osobowością, niezwykle mądrą i sugestywną osobą, umiejącą wywierać wpływ na swoich podwładnych, umiejącą zachęcać do pracy samokształceniowej i rozwoju własnych predyspozycji i zainteresowań. Miała doskonałe wyczucie, kto spośród nauczycieli i wychowawców zatrudnionych w placówkach kształcenia specjalnego może awansować, a komu wystarczy wiedza teoretyczno-pragmatyczna kończąca się na poziomie liceum pedagogicznego, studium nauczycielskiego, czy tzw. PIPS-u. Spośród absolwentów wspomnianego studium nauczycielskiego w sobie tylko wiadomy sposób potrafiła wyselekcjonować kandydatów na stanowiska kierownicze, zadbawszy jednocześnie o ich merytoryczne przygotowanie, a następnie zatrudnienie w podległych Jej placówkach oświatowo-wychowawczych. Umiała z każdym, niezależnie od wieku i doświadczeń życiowych rozmawiać, przekonywać, zachęcać i argumentować podjęte decyzje. Wśród nauczycieli i dyrektorów podległych Jej służbowo placówek oświatowo-wychowawczych miała wielu przyjaciół, zwolenników i sympatyków, choć - jak w życiu bywa - byli i wrogowie.

Wszyscy, dostrzegając Jej ogromną charyzmę, wiedzę i doświadczenia, czuli się wobec Niej niekompetentnymi, często nawet „maluczkimi", bezradnymi istotami. Każdy z szeregowych nauczycieli, czy też piastujących stanowiska kierownicze, w sytuacjach trudnych mógł zawsze liczyć na pomoc i wsparcie z Jej strony. Jako nauczyciele, czy dyrekto-

rzy placówek specjalnych, z przyjemnością braliśmy udział we wszelkich spotkaniach, odprawach czy konferencjach. Z przyjemnością słuchaliśmy Jej wykładów, w pełni zrozumiałych interpretacji i komentarzy różnego rodzaju pism urzędowych i zaleceń ministerialnych. Zadawaliśmy tysiące pytań, na które zawsze miała gotową, aczkolwiek bardzo wyważoną, w pełni satysfakcjonującą odpowiedź.

Pani Janina Wszołek była doskonałym gospodarzem i organizatorem pracy administracyjnej na szczeblu Kuratorium Oświaty i Wychowania. Za Jej gotowość, wszechstronność i wszechobecność w sprawach merytorycznie ważnych szczerze podziwialiśmy Ją, wyrażając tym samym szacunek, słowa uznania i poważania.

Kolejny etap Jej życia i działalności w służbie człowieka, zwłaszcza człowieka niepełnosprawnego, wiąże się z pracą naukowo-dydaktyczną na poziomie akademickim. Okres ten przypada od 1970 r., to jest od momentu przejścia z pracy administrującej polską oświatą specjalną do pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, w której pracowała do chwili przejścia na zasłużoną emeryturę, to jest do 1984 r. Przechodząc do pracy na uczelni i tu włączyła się w nurt problemów związanych z kształceniem specjalnym. W 1974 r. uzyskawszy stopień doktora nauk humanistycznych, uzyskała jednocześnie awans na stanowisko kierownika Punktu Konsultacyjnego w Rabce. Jako kierownik odpowiadała za formalne i merytoryczne przygotowanie (w systemie zaocznym) czynnych zawodowo nauczycieli i wychowawców do pracy z dzieckiem przewlekle chorym i kalekim.

Współpraca z Janiną Wszołek-Szymańską była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Lubiłam przebywać w Jej towarzystwie. Na każdym kroku starałam się wykorzystywać Jej cenne uwagi, doświadczenia życiowe i zawodowe. Potrafiła, jak mało kto, zaskarbiać sobie zaufanie i przyjaźń wielu życzliwych Jej ludzi. Z ogromną troską i estymą mówiła o ludziach chorych, osamotnionych i opuszczonych. Swoje przemyślenia przekazywała nie tylko w bezpośrednim kontakcie ze studentami, ale też starała się ukazywać i dzielić się nimi za pośrednictwem swych publikacji, których problematyka koncentrowała się wokół dzieci i młodzieży niedostosowanej społecznie. Ogłosiła m.in. następujące teksty: *O potrzebie modernizacji procesu resocjalizacji młodzieży społecznie niedostosowanej* (1978), *Niedostosowanie społeczne jednostek przestępczych z zaburzeniami ośrodkowego układu nerwowego* (1980), *W sprawie wychowania i nauczania specjalnego* (1981) oraz, wspólnie z Janiną Wyczesany, *Dziecko ociężałe umysłowo – otwarty problem szkoły podstawowej* (1972).

Za swoją wieloletnią pracę zawodową i społeczną na rzecz Uczelni, jak również lokalnego środowiska krakowskiego, była wielokrotnie wyróżniana, odznaczana i nagradzana. Do szczególnie cenionych przez Nią należały: Srebrny Krzyż Zasługi (1969); Złoty Krzyż Zasługi (1973); Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1983); Medal 40-lecia Polski Ludowej (1984); Złota Odznaka za Zasługi dla Województwa Nowosądeckiego (1979); Złota Odznaka za Pracę Społeczną dla Miasta Krakowa (1984); Złota Odznaka ZNP (1965); Honorowa Odznaka Ruchu Przyjaciół Harcerstwa (1978).

Dr Janina Wszołek-Szymańska zmarła 19 kwietnia 2003 r. w Krakowie, mając blisko 80 lat. Pochowana została w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Parafialnym w Bochni. Odwiedzając Jej mogiłę, usytuowaną na cmentarnym wzgórzu, w pewnej chwili zdałam sobie sprawę z jednej strony z Jej odejścia, a z drugiej z istnienia nieprzemijalności idei, którym była wierna do końca, jak również dającej się odczuć Jej wydatnej dominacji nad przeciętnością epoki, w której żyła.

W zadumie nad przemijaniem, próbowałam jednakże ustalić: kim była Ona dla mnie jako człowiek, jako zwierzchnik, nauczyciel wielu pokoleń adeptów sztuki pedagogicznej i społeczników, jako koleżanka i przyjaciółka, czy wreszcie jako działacz społeczny? Pozostawiła po sobie wiele, dla mnie niezwykle znaczących, momentów i wspomnień, które na zawsze pragnę zachować w swym sercu i pamięci.

Elzbieta Maria Minczakiewicz

Janusz Wojtycza

Wspomnienia o Janie Flisie

Jan Flis (1912-1993), geograf, prof. dr hab., por., żołnierz Brygady Karpackiej i II Korpusu, podharcmistrz. Urodził się 20 lipca 1912 r. w Nowym Sączu jako syn adwokata - dr. Stanisława Flisa (1872--1933) i Marii z Olszewskich (zm. 1943), w rodzinie o tradycjach prawniczych i nauczycielskich. Dziadek ojczysty, pochodzenia chłopskiego, był nauczycielem gimnazjalnym, dziadek macierzysty Tadeusz Olszewski - adwokatem i burmistrzem Nowego Sącza.

Jan Flis miał trzy siostry: Marię (nauczycielka gimnazjum, uczestniczka tajnego nauczania, więziona przez hitlerowców), Stanisławę (adwokat, uczestniczka konspiracji, zam. Kalczyńska) i Zofię (nauczycielka) oraz brata Tadeusza (1909-1927). Do 1922 r. uczęszczał do Szkoły Powszechnej im. A. Mickiewicza a następnie do I Państwowego Gimnazjum im. Jana Długosza w Nowym Sączu, gdzie zdał maturę w 1930 r. W latach 1930-1935 studiował geografię i pedagogikę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od października 1930 do października 1931 r. był drużynowym 3. Krakowskiej Drużyny Harcerzy. 12 marca 1931 r. otrzymał stopień podharcmistrza. Do lutego 1932 r. był hufcowym harcerzy w Nowym Sączu. Należał również do akademickiej drużyny starszoharcerskiej „Watra" i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a od roku 1930 był czynnym członkiem Koła Geografów UJ. Studia ukończył w roku 1934 uzyskaniem stopnia magistra filozofii w zakresie geografii. Pracę zawodową rozpoczął jeszcze jako student, pełniąc od września 1933 r. funkcję młodszego asystenta na UJ, jednak po dwóch latach zrezygnował z asystentury i podjął pracę jako nauczyciel w gimnazjum i liceum w Starachowicach. W roku 1936 uzyskał dyplom nauczyciela szkół średnich: ogólnokształcących i zawodowych, w zakresie nauczania geografii i geologii. Po sześciu miesiącach pracy w Starachowicach przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w Biurze Planowania Regionalnego Ziem Górskich i Redakcji Słownika Geograficznego Państwa Polskiego i Krajów Sąsiednich. Równocześnie był nauczycielem geografii w Prywatnym Gimnazjum i Liceum Stowarzyszenia Dyrektorów Szkół Średnich Ogólnokształcących i Zawodowych oraz w Gimnazjum i Liceum im. J. Zamojskiego. Dzięki swemu talentowi dydaktycznemu, młodzieńczej energii i gruntownemu przygotowaniu merytorycznemu potrafił, w trudnym środowisku tej szkoły, stworzyć przyjacielską atmosferę. Był także opiekunem kół krajoznawczych młodzieży. Już w roku 1936 opublikował na łamach „Spraw Morskich i Kolonialnych" artykuł na temat ukształtowania wybrzeży Bałtyku i jego znaczenia dla żeglugi, a w roku 1939 dwa artykuły: o obszarach letniskowo-wypoczynkowych środkowej części Karpat na łamach „Rocznika Ziem Górskich" i o Sądecczyźnie na łamach „Rocznika Sądeckiego". W ostatnim roku

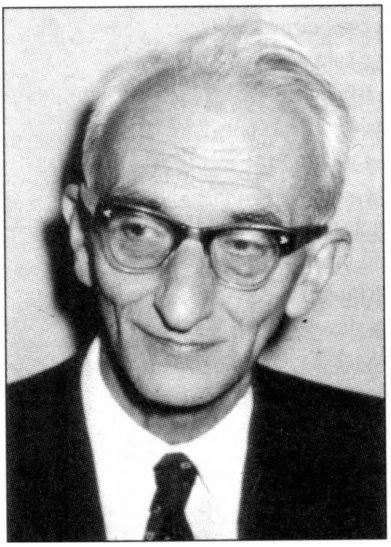

przed wojną pełnił jako wolontariusz obowiązki młodszego asystenta w Katedrze Antropogeografii Uniwersytetu Warszawskiego. Przygotował i złożył rozprawę doktorską, ale wybuch wojny uniemożliwił mu przeprowadzenie przewodu. W chwili wybuchu wojny zgłosił się jako ochotnik do oddziałów broniących Lwowa. Uczestniczył w walkach pod Brzuchowicami jako kanonier pułku artylerii lekkiej, a po kapitulacji - w listopadzie 1939 r. - przekroczył granicę węgierską. Na Węgrzech współorganizował polskie szkolnictwo, a następnie pracował w harcerskim obozie dla młodzieży-uchodźców w Somlószölles-Szikszó jako kierownik dydaktyczny gimnazjum i liceum. Rozwój sytuacji wojennej spowodował, że przez „zieloną granicę" przedostał się z grupą młodzieży do Jugosławii (Zagrzeb, Belgrad), a następnie do Konstantynopola, przez Anatolię do Mersyny koło Tarsu, a stamtąd statkiem „Warszawa" do Palestyny, gdzie w Haifie wstąpił do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Wraz z tą brygadą odbył kampanię libijską (Tobruk, Bardija, El Ghazala), po czym wrócił do Palestyny. Po ukończeniu szkoły podchorążych został przeniesiony do II Korpusu Polskiego, z którym przemierzył szlak bojowy we Włoszech (Monte Cassino, Ancona, Bolonia), skąd w roku 1946 trafił do Wielkiej Brytanii. Służył tam w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Opublikował w roku 1947 na łamach „Bellony" pierwszy swój powojenny artykuł pt. *Związek geograficzny dorzecza Odry z Polską*. Służbę wojskową zakończył w stopniu porucznika. Do Polski wrócił w lipcu 1947 r. i objął stanowiska nauczyciela w Publicznej Średniej Szkole Handlowej i dyrektora Zasadniczej Szkoły Zawodowej nr 2 w Nowym Sączu. We wrześniu 1948 r. został starszym asystentem w Instytucie Geografii UJ. Pełniąc tę funkcję, pracował równocześnie w Wyższej Szkole Nauk Społecznych, Akademii Górniczo-Hutniczej i Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Kadr Nauczycielskich, a od 1952 r. w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. W tym czasie opracował dwuczęściowy skrypt do kartografii i topografii, z których zajęcia prowadził. Opublikował również 8 artykułów na łamach „Poznaj Świat" oraz trzy broszury w serii „Wiedzy Powszechnej". W roku 1951 uzyskał stopień doktora filozofii na podstawie pracy pt. *Kras gipsowy Niecki Nidziańskiej*, opublikowanej przez PWN w 1954 r. Po uzyskaniu doktoratu opublikował szereg prac z zakresu geografii fizycznej oraz dydaktyki szkoły wyższej i dydaktyki geografii. 31 grudnia 1954 r. otrzymał tytuł zastępcy profesora WSP w Krakowie, a 27 kwietnia 1956 r. tytuł docenta, nadany mu przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną dla Pracowników Nauki. Od roku 1960 pełnił funkcję etatowego docenta w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. W roku 1960 uzyskał półroczne stypendium zagraniczne UNESCO, w związku z czym wyjechał do Abisynii. W latach 1957-1972 był kierownikiem Katedry Geografii Fizycznej WSP. Równocześnie w latach 1960-1962 i 1964-1967 przez trzy kadencje był dziekanem Wydziału Geograficzno-Biologicznego. Zyskał znaczne uznanie ze strony środowiska akademickiego dla swych osiągnięć w pracy na tym stanowisku. Zainicjował wprowadzenie do programu studiów wakacyjnych praktyk terenowych oraz przedmiotu geografia fizyczna ogólna. Opracował programy nauczania szeregu przedmiotów na studiach geografii w WSP i WSN. Wyrażał przekonanie, że najważniejszym obowiązkiem pracownika wyższej uczelni jest dydaktyka. Prowadził wykłady z kartografii i topografii, geomorfologii, geografii fizycznej Polski, hydrografii i oceanografii, biogeografii i geografii fizycznej ogólnej; wygłaszał również prelekcje w Polskim Towarzystwie Geograficznym. W latach 1955-1957 był przewodniczącym oddziału krakowskiego tej organizacji, członkiem Wydziału Nauki, a później członkiem Sekcji Geografii Szkolnej jej Zarządu Głównego. Był także kuratorem Koła Naukowego Studentów Geografii WSP. 10 lipca 1970 r., kiedy Rada Państwa nadała mu tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego nauk przyrodniczych, miał w swoim dorobku aż 83 oryginalne opracowania naukowe, a wśród nich szereg skryptów i podręczników. W roku 1971 organizował Instytut Geografii WSP, którego dyrektorem był do roku 1976. Równocześnie w latach 1971-1984 był kierownikiem Zakładu Dydaktyki Geografii, a w latach 1974-1978 kierownikiem Zaocznego Studium Doktoranckiego, przewodniczącym komitetu redakcyjnego czasopisma „Geografia w Szkole",

wiceprzewodniczącym Komitetu Głównego i wiceprzewodniczącym Jury Olimpiady Geograficznej, odpowiedzialnym za przygotowanie zadań. Był promotorem prac doktorskich i opiekunem naukowym habilitacji z zakresu dydaktyki geografii. W roku 1977 wydał swoją najbardziej znaną i często wznawianą pracę *Szkolny słownik geograficzny*. Skoncentrował się na zagadnieniach treści nauczania geografii fizycznej, w tym strukturyzacji geograficznej wiedzy ucznia, wychowawczych funkcjach geografii i nauczaniu problemowym geografii. Nadal bliska mu była także dydaktyka szkoły wyższej. Przeszedł na emeryturę we wrześniu 1982 r. Do roku 1988 pracował jeszcze na uczelni początkowo na godzinach zleconych, a od roku 1984 w wymiarze 1/3 etatu. Do końca życia zachował pełną sprawność intelektualną. Opracował łącznie 134 publikacje, wypromował ponad 300 magistrów i 13 doktorów. W jego dorobku ważne miejsce zajmują akademickie podręczniki, wśród których na szczególną uwagę zasługują: *Geografia fizyczna części świata* (1964), *Kartografia w zarysie* (1966) i *Wstęp do geografii fizycznej* (1969). Przybliżył i udostępnił wiele opracowań obcojęzycznych, tłumacząc z języka angielskiego prace J. N. Bakera (1959), P. E. Strzeleckiego (1960) i O'Della (1961). Od roku 1948 był członkiem ZNP, należał również do PTTK, gdzie pełnił funkcje wiceprezesa Oddziału Beskid i członka redakcji „Wierchów". Zwiedził 23 kraje Europy, Azji i Afryki. Posiadał duży zbiór znaczków głównie o tematyce przyrodniczej oraz zbiór numizmatów. Stał zawsze na straży poprawności naukowej, a krytyczne uwagi jasno i odważnie formułował. Był przy tym człowiekiem skromnym i pracowitym, dążącym do doskonałości, dla którego rzetelna praca, połączona z pasją badawczą stanowiły sens życia.

Zmarł 9 grudnia 1993 r. w Krakowie. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, żegnany przez liczne grono uczniów, współpracowników i nauczycieli. 9 grudnia 1998 r. w gmachu I Liceum Ogólnokształcącego im. J. Długosza w Nowym Sączu została odsłonięta tablica ku czci prof. J. Flisa.

Był odznaczony Krzyżem Walecznych (1944), Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami (1944), Medalem Wojska (1945), Krzyżem Monte Cassino (1944), Africa Star (1943), Italy Star (1945), Defence Medal (1945) i Medal for the War 1939-1945 (1945), a po wojnie Krzyżem Oficerskim (1985) i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1964), Złotym Krzyżem Zasługi (1959), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1976), Medalem (1979) i Złotą Odznaką Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Posiadał tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL (1973) oraz honorowe członkostwo Polskiego Towarzystwa Geograficznego. W roku 1967 otrzymał nagrodę II stopnia Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego za wybitne osiągnięcia naukowe, a w latach 1964-1982 szereg nagród Rektora WSP.

4 lipca 1939 r. zawarł związek małżeński z Jadwigą Grochowalską (1912-1995, nauczycielka). Miał córki: Małgorzatę (mgr inż. budownictwa wodnego, zamężna Mościńska) i Teresę (mgr inż. geofizyk, nauczycielka V LO, zamężna Mach) oraz syna Jana Tadeusza (1950-1954).

Janusz Wojtycza

Archiwum Akademii Pedagogicznej w Krakowie, teczka personalna; W. Biedrzycki, J. Marewicz, *Zielona trójka 1911-1986*, Kraków 1986, s. 23, 70, 78; J. Desperak, *Bibliografia prac Jana Flisa*, „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP w Krakowie", z. 77, Kraków 1982, s. 17-23; A. Dylikowa, *Jan Flis (1912-1993)*, „Czasopismo Geograficzne", 1995, nr 3-4, s. 413-415; T. Gawel, *Janusz Flis* [w:] *Pokłon tym którzy tworzyli*, Kraków 1999, s. 63-64 [błędne imię i rok urodzenia], J. Lach, *Jan Flis (1912-1993)*, „Rocznik Sądecki", R. XXII:1994, s. 425-427; J. Lach, *Uczony i nauczyciel*, „Rocznik Sądecki", R. XXI:1993, s. 9-12; B. Leonhard, *Kalendarium z dziejów harcerstwa krakowskiego 1910-1950*, Kraków 1984, s. 47, 49; S. Piskorz, S. Zając, A. Żołnierz, *Dorobek profesora Jana Flisa w zakresie dydaktyki geografii*, „Geografia w Szkole", 1994, nr 3, s. 131-134; S. Piskorz, T. Ziętara, *Pięćdziesięciolecie działalności naukowej i dydaktycznej profesora Jana Flisa*, „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP w Krakowie, z. 77, Kraków 1982, s. 7-16; S. Piskorz, *Profesor dr Jan Flis (1912-1993). Z żałobnej karty*, „Geografia w Szkole", 1994, nr 2, s. 120; oraz informacje siostry Zofii Flisówny i córki Małgorzaty Mościńskiej.

Jarosław Rafa

Rekrutacja po nowemu

O elektronicznej rekrutacji na studia w roku 2004/2005

Jednym z najistotniejszych i najbardziej krytycznych procesów w funkcjonowaniu każdej uczelni wyższej jest rekrutacja na studia. Dotychczas procedura rekrutacyjna – mimo prób częściowego jej skomputeryzowania w ubiegłych latach – realizowana była na naszej uczelni w przeważającej większości metodami ręcznymi. Obieg informacji pomiędzy poszczególnymi osobami i jednostkami zaangażowanymi w proces rekrutacji (kandydaci, Sekcja ds. Rekrutacji, komisje rekrutacyjne, kwestura, dziekanaty) odbywał się drogą papierową, co wiązało się z koniecznością wielokrotnego przepisywania tych samych danych. Przysparzało to osobom pracującym przy rekrutacji dużo zbędnej pracy, a także wprowadzało niebezpieczeństwo popełnienia pomyłki przy przepisywaniu. Kandydaci mieli także utrudniony dostęp do informacji o postępowaniu rekrutacyjnym – uzyskanie tych informacji wymagało najczęściej fizycznej obecności na uczelni w odpowiednim miejscu i czasie, aby np. skontaktować się z sekretarzem komisji rekrutacyjnej

Takie postępowanie rekrutacyjne bez wątpienia nie przystaje już do wymogów społeczeństwa XXI w., w którym rolę kluczową zaczyna odgrywać sprawny przekaz informacji. Dlatego w bieżącym roku akademickim uczelnia zdecydowała się na wprowadzenie daleko idących zmian, które bez przesady można określić mianem **rewolucji** w dotychczasowej procedurze rekrutacji. Podjęto decyzję o zbudowaniu kompleksowego systemu komputerowego, obsługującego całość procesu rekrutacji we wszystkich jego aspektach. Dotychczas nie realizowano na naszej uczelni tak dużego i złożonego projektu informatycznego obejmującego tyle spraw jednocześnie i pracę tak wielu jednostek uczelni.

Nawet osoby, które podczas tegorocznej rekrutacji miały okazję pracować z tym systemem, często nie uświadamiają sobie całej jego obszerności i złożoności, gdyż stykały się tylko z jednym „wycinkiem" systemu, przeznaczonym do wykorzystania w konkretnym celu. Tymczasem najistotniejsza zmiana, jaka dzięki wprowadzeniu systemu dokonała się w procesie rekrutacji, ma miejsce właśnie w przekazywaniu informacji **pomiędzy** tymi poszczególnymi „wycinkami". Dlatego w niniejszym tekście chciałbym przedstawić naszą „rekrutacyjną rewolucję" z perspektywy twórców systemu.

Założenia

Przystępując do wdrażania systemu rekrutacyjnego, postawiliśmy przed sobą trzy najważniejsze cele, jakie system ten powinien spełniać: **wyższa jakość obsługi kandydata, lepsza komunikacja kandydata z uczelnią; ułatwienie pracy osób obsługujących rekrutację; usprawnienie i przyspieszenie przepływu informacji pomiędzy różnymi podmiotami procesu rekrutacyjnego.**

Niezbędnym warunkiem powodzenia jakiegokolwiek projektu informatycznego jest wcześniejsze dokładne przeanalizowanie przebiegu procesu, który ma być komputeryzowany. Budowa systemu informatycznego bez takiej analizy zazwyczaj kończy się spektakularną porażką w rodzaju tych, o których informują nas media przy okazji kolejnych nieudanych projektów komputeryzacji instytucji państwowych.

Dlatego też prace nad systemem rozpoczęliśmy od stworzenia precyzyjnego opisu całego procesu rekrutacji. Należało wyróżnić w nim poszczególne etapy (tzw. stany) i wskazać możliwe drogi przejść między nimi. Trzeba było też określić, kiedy i pod jakimi warunkami następują owe przejścia, jaki zakres informacji o kandydacie potrzebny jest na danym etapie, kto jest odpowiedzialny za wprowadzanie tych informacji do systemu oraz w jaki sposób informacje te są przekazywane pomiędzy określonymi osobami. W wyniku tych prac opracowany został m.in. widoczny na rysunku 1 schemat logiczny procedury rekrutacyjnej.

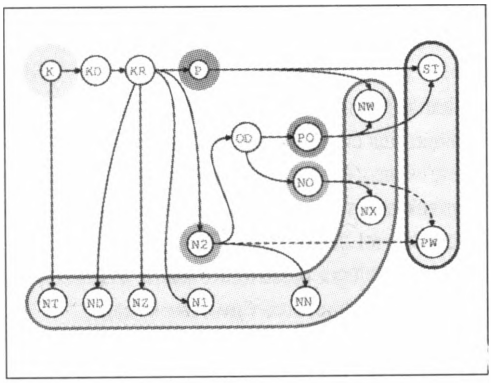

Rysunek 1

W schemacie tym rekrutacja rozpoczyna się od miejsca oznaczonego literą K, czyli wypełnienia przez kandydata elektronicznego formularza rejestracyjnego na stronie internetowej. Możliwe zakończenia postępowania rekrutacyjnego reprezentują natomiast koła umieszczone na rysunku w polu czerwonym (zakończenia negatywne - kandydat nie zostaje studentem) lub w polu niebieskim (zakończenia pozytywne - kandydat zostaje studentem). Dokładne objaśnienia znaczenia poszczególnych pól na schemacie można znaleźć na stronie WWW naszego systemu rekrutacyjnego: **http://rekrutacja.ap.krakow.pl/**, na której schemat ten został również zamieszczony. Prace przygotowawczo-analityczne, bez których wdrożenie systemu nie mogłoby zakończyć się sukcesem, wykonał w znakomitej większości mgr Aleksander Nabagło z Samodzielnej Sekcji ds. Komputeryzacji AP.

Z uwagi na liczbę osób zaangażowanych w procedurę rekrutacyjną system zaprojektowano jako aplikację internetową. Całe przetwarzanie danych musiało być dokonywane na centralnym serwerze, a dostęp do wszelkich funkcji systemu powinien się odbywać poprzez przeglądarkę WWW, tak aby użytkownik nie musiał instalować jakiegokolwiek specjalnego oprogramowania. Dzięki temu możliwa jest praca z systemem na dowolnym komputerze z dostępem do Internetu*, przenoszenie pracy z jednego komputera na drugi (co okazało się bardzo pożyteczne dla komisji rekrutacyjnych), jak również zapewnienie możliwości bezproblemowego podstawienia sprzętu zastępczego w razie awarii komputera. Z trzema niewielkimi wyjątkami (o których dalej) udało się ten cel osiągnąć.

Jednym z podstawowych problemów, z jakimi borykała się uczelnia przy rekrutacji prowadzonej w dotychczasowy sposób, była konieczność ręcznego wprowadzania do systemów komputerowych danych osobowych kandydatów, przepisywanych ze składanych przez nich papierowych podań. Było to bardzo czasochłonne, dochodziło przy tym również do wielu pomyłek, zwłaszcza że dane wprowadzane były aż w trzech miejscach (Sekcja ds. Rekrutacji, komisje rekrutacyjne i wreszcie - dla kandydatów, którzy zostali przyjęci na studia - dziekanaty). Przyjęliśmy zatem, że kandydat rejestrując się będzie sam wprowadzał swoje dane osobowe poprzez stronę WWW. Następnie dane te będą automatycznie wykorzystywane na wszystkich kolejnych etapach procedury rekrutacyjnej.

Przedmiotem długotrwałych kontrowersji i dyskusji stało się pytanie, czy oprócz elektronicznej reje-

stracji kandydatów będzie równolegle utrzymane przyjmowanie podań w dotychczasowej formie papierowej. W końcu jednak, po rozważeniu wszystkich „za" i „przeciw", władze uczelni - reprezentowane przede wszystkim przez osobę prorektora ds. dydaktycznych, prof. Eugeniusza Wachnickiego - podjęły przełomową decyzję, iż forma elektroniczna będzie od roku 2004/2005 **jedyną i obowiązkową** formą rejestracji kandydatów na studia zarówno dzienne, jak i zaoczne (z uwagi na znaczne rozproszenie organizacyjne studiów podyplomowych, na które rekrutację prowadzą instytuty we własnym zakresie, studia te nie zostały na razie objęte systemem).

Zakładając, że część kandydatów może nie dysponować drukarką (niezbędną do wydrukowania potwierdzenia rejestracji, będącego zarazem podaniem o przyjęcie na studia) lub w ogóle nie mieć dostępu do Internetu, uczelnia udostępniła kandydatom „awaryjne" stanowiska komputerowe, na których mogli oni na miejscu dokonać rejestracji lub wydrukować potwierdzenie. W trakcie rekrutacji okazało się, iż liczba osób korzystających z tych stanowisk była znacznie większa, niż przewidywano, co spowodowało tworzenie się długich kolejek. Byli to w większości kandydaci mieszkający w Krakowie, którzy mimo większych możliwości wcześniejszego zarejestrowania się przez Internet (np. w kawiarence internetowej), **nie chcieli** z nich korzystać. Osoby zamiejscowe przeważnie postępowały zgodnie z założeniami, pojawiając się na uczelni już z gotowym wydrukiem potwierdzającym rejestrację.

Struktura i działanie systemu

Zadanie zbudowania systemu przypadło w udziale piszącemu te słowa. Z uwagi na ustalone i zatwierdzone wcześniej terminy rekrutacji system musiał ruszyć 15 maja 2004 r. Tymczasem ostatnie ustalenia dotyczące sposobu przeprowadzenia rekrutacji miały miejsce jeszcze w marcu tego roku. Wymagało to znacznego wysiłku, niemniej jednak udało się napisać i - co najważniejsze - **przetestować** system w przewidzianym czasie (z wyjątkiem modułu przeznaczonego dla komisji rekrutacyjnych, który rozpoczął pracę kilka tygodni później). 15 maja 2004 r. około godz. 4 nad ranem, po ostatnich testach system został udostępniony na uczelnianych stronach WWW. Trzy godziny później w bazie danych zarejestrował się pierwszy kandydat, a właściwie kandydatka, starająca się o przyjęcie na kierunek biologia.

Z uwagi na przyjęty model systemu jako aplikacji internetowej, słusznym wyborem było zrealizowanie go w oparciu o język programowania PHP oraz bazę danych MySQL. Są to najpopularniejsze obecnie narzędzia wykorzystywane do tworzenia tego typu systemów, stanowiące sprawdzoną, stabilną i niezawodną platformę, wykorzystywaną przez serwisy internetowe na całym świecie. Istotne znaczenie ma także fakt, że są to rozwiązania darmowe i oferowane na zasadach *open-source* (z ogólnie dostępnym kodem źródłowym), co sprzyja szybkiemu wykrywaniu i poprawianiu przez społeczność internetową ewentualnych błędów, a nawet umożliwia w razie potrzeby dokonanie modyfikacji tych narzędzi dla własnych potrzeb (co okazało się w naszym przypadku konieczne, w celu uzyskania współpracy języka PHP z bazą danych istniejącego systemu dziekanatowego).

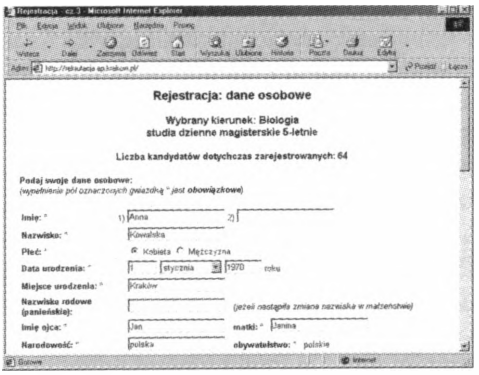

Rysunek 2

Jak już wspomniano wcześniej, system obsługuje całość procesu rekrutacyjnego, począwszy od rejestracji kandydatów, poprzez postępowanie kwalifikacyjne w komisjach rekrutacyjnych, ewentualną procedurę odwoławczą, względnie przyjęcia kandydatów na wolnych słuchaczy, aż do momentu wpisu

na studia, kiedy to dane zostają przeniesione do systemu dziekanatowego. System automatycznie rejestruje również opłaty rekrutacyjne wpłacane przez kandydatów na podstawie informacji otrzymywanych z banku. Tworzone są ponadto raporty dla kwestury, zawierające zestawienia wpłat kandydatów w rozbiciu na poszczególne kierunki studiów, wykazy nadpłat, niedopłat itp. Na bieżąco dostępne są aktualne dane statystyczne dotyczące liczby kandydatów znajdujących się na różnych etapach postępowania, do których wgląd mają komisje rekrutacyjne oraz inne upoważnione osoby.

System składa się z kilku modułów. Pierwszym z nich jest **moduł rejestracyjny**. To z nim najpierw styka się kandydat, wprowadzając do systemu swoje dane personalne (por. rys. 2).

Po dokonaniu rejestracji kandydat otrzymuje swój numer identyfikacyjny oraz hasło, które pozwalają mu zalogować się do następnego modułu systemu - **modułu dla kandydatów**. Za jego pośrednictwem kandydat uzyskuje przez cały czas trwania procesu rekrutacyjnego aktualne informacje dotyczące swojej osoby (np. o wpłynięciu wpłaty z banku, wyznaczonym terminie egzaminu, wynikach, fakcie przyjęcia lub nieprzyjęcia, itp.). Bezpośrednio po zarejestrowaniu kandydat musi natomiast wykorzystać tę jednostkę systemu w celu wydrukowania potwierdzenia rejestracji, które podpisuje i składa na uczelni wraz z dokumentami. W module tym znajdzie również informację o numerze konta, na które musi wpłacić opłatę rekrutacyjną. W oparciu o umowę zawartą przez uczelnię z bankiem, każdemu kandydatowi przypisywany jest indywidualny numer konta do wpłaty (analogicznie jak ma to miejsce np. przy opłacaniu rachunków za telefon bądź energię elektryczną). Jest on powiązany z numerem rejestracyjnym kandydata, co umożliwia późniejszą automatyczną identyfikację wpłat przez bank i w konsekwencji przez nasz system rekrutacyjny.

Dla zaoszczędzenia czasu i uniknięcia pomyłek przy wpłacie kandydat może wydrukować z systemu gotowy blankiet wpłaty, zawierający niezbędne dane. Z uwagi na skomplikowaną formę graficzną bankowego formularza, niezbędne było zastosowanie formatu PDF (*Portable Document Format*), często wykorzystywanego w Internecie do publikacji dokumentów. Kandydat musi mieć więc zainstalowany - oprócz przeglądarki WWW - program umożliwiający odczyt plików w takim formacie (np. popularny Adobe Reader).

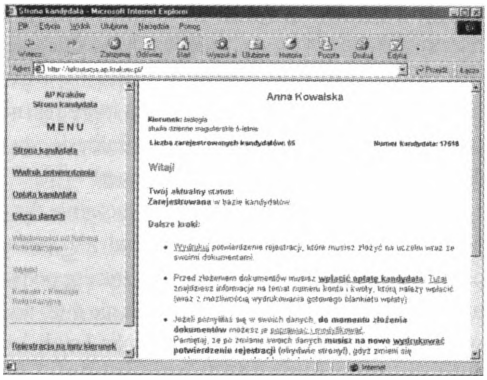

Rysunek 3

Informacja o fakcie dokonania wpłaty przez kandydata dociera do systemu - a tym samym do Sekcji ds. Rekrutacji, komisji rekrutacyjnych, jak również kwestury - za pośrednictwem niewielkiego, ale pełniącego bardzo ważną rolę **modułu bankowego**. Pracuje on w sposób automatyczny, w oparciu o nadsyłane przez bank pliki transakcyjne z systemu płatności masowych. Pliki te bank wysyła do uczelni e-mailem, w postaci zaszyfrowanej i opatrzonej podpisem elektronicznym. Po odebraniu takiej przesyłki przez uczelniany serwer poczty elektronicznej samoczynnie uruchamia się moduł bankowy, który po zweryfikowaniu podpisu i odszyfrowaniu pliku wprowadza informacje o wpłatach kandydatów do bazy.

Pozostałe jednostki systemu przeznaczone są dla pracowników uczelni pracujących przy rekrutacji. Dostęp do nich możliwy jest tylko dla autoryzowanych użytkowników, posiadających identyfikator i hasło przydzielone przez Sekcję ds. Komputeryzacji. Należą do nich:

- **moduł dla Sekcji ds. Rekrutacji**, obsługujący czynności: przyjmowania dokumentów kandyda-

tów, przekazywania dokumentów do komisji rekrutacyjnych, rejestrację złożonych odwołań od decyzji komisji, przyjmowanie wolnych słuchaczy, wprowadzanie wyników postępowania odwoławczego, wysyłanie zawiadomień do osób przyjętych i nieprzyjętych z odwołania oraz drukowanie list takich osób. Moduł ten zawiera także obsługę szeregu sytuacji „awaryjnych", często zdarzających się w praktyce rekrutacyjnej, jak np. rezygnacja kandydata po złożeniu dokumentów;

- **moduł rejestracji dokumentów**, stanowi uproszczoną wersję powyższego modułu, zawierającą jedynie funkcje związane z przyjmowaniem dokumentów kandydatów. Wykorzystywany jest przede wszystkim przez ośrodki zamiejscowe przyjmujące dokumenty kandydatów na studia zaoczne (Tarnów, Nowy Sącz itp.), a także na dodatkowych stanowiskach przyjmowania dokumentów, tworzonych doraźnie w okresach szczytowej liczby kandydatów składających dokumenty;

- **moduł dla komisji rekrutacyjnych,** jest najbardziej skomplikowanym elementem systemu. Wspomaga on wszystkie czynności komisji rekrutacyjnej, począwszy od podziału kandydatów na grupy, poprzez wysyłanie zawiadomień do kandydatów (drogą elektroniczną i tradycyjną), wprowadzanie wyników postępowania kwalifikacyjnego, po drukowanie list wyników i protokołów oraz automatyczną publikację wyników w sieci;

- **moduł dla dziekanatów**, umożliwia dokonywanie wpisów na studia kandydatów, którzy zostali przyjęci, oraz przenoszenie danych osób wpisanych do dziekanatowego systemu informatycznego.

Wszystkie te moduły korzystają z **jednej centralnej bazy danych** - oznacza to, że dokonanie jakiejkolwiek operacji w jednym z modułów jest natychmiast widoczne w powiązanych z nim pozostałych modułach. Przykładowo, jeżeli komisja rekrutacyjna wprowadzi do systemu i zatwierdzi wyniki postępowania kwalifikacyjnego, są one natychmiast widoczne zarówno dla kandydatów, jak i dla Sekcji ds. Rekrutacji oraz dla dziekanatów. Tym samym możliwa jest sytuacja (miała ona miejsce w trakcie tegorocznej rekrutacji), że zanim jeszcze sekretarz komisji rekrutacyjnej zdąży wydrukować listy wyników i dostarczyć je na papierze do Sekcji ds. Rekrutacji, ta zacznie już przyjmować odwołania od kandydatów, którzy nie zostali przyjęci na studia(!) Przy odpowiedniej organizacji pracy dziekanatów możliwe jest również natychmiastowe rozpoczęcie przyjmowania przez dziekanaty wpisów kandydatów. Pozwala to na znaczne skrócenie czasu niezbędnego na dokonanie przez kandydata wszystkich czynności związanych z rekrutacją i eliminuje konieczność niepotrzebnych wielokrotnych wizyt na uczelni, co jest szczególnie istotne w przypadku osób zamiejscowych.

Najbardziej rewolucyjnym elementem wprowadzonym dzięki systemowi jest **całkowicie zelektronizowany** obieg informacji „rekrutacyjnej". Informacja przepływająca drogą elektroniczną **zyskała znaczenie pierwszoplanowe**, a informacja w postaci „papierowej" **tylko ją dubluje,** głównie ze względu na wymogi formalne. Niestety, wydaje się, iż w trakcie tegorocznej rekrutacji ten podstawowy fakt nie do końca został zrozumiany przez wszystkie komisje rekrutacyjne. Niektóre z nich usiłowały np. popełnione przez siebie pomyłki przy wprowadzaniu wyników kandydatów do bazy korygować poprzez przekazywanie do Sekcji ds. Rekrutacji ręcznie poprawionych papierowych list wyników, zamiast skorygować dane w systemie. Pytano również o możliwość wcześniejszego przygotowania papierowych list wyników i zawiadomień dla kandydatów przed zatwierdzeniem i opublikowaniem wyników w postaci elektronicznej. Takiej możliwości system nie obsługuje, gdyż jest to działanie sprzeczne z wymienionymi wcześniej jego podstawowymi celami.

Niewątpliwym wyzwaniem przy projektowaniu systemu była konieczność zapewnienia obsługi całej różnorodności wariantów postępowania kwalifikacyjnego, z jaką spotykamy się przy rekrutacji na naszą uczelnię. Na niektórych kierunkach postępowanie składa się tylko z jednego etapu, którym jest konkurs świadectw, na innych zaś z kilku egzaminów, na dodatek z różnymi zasadami obliczania oceny końcowej. Z uwagi na tę różnorodność, moduł

przeznaczony dla komisji rekrutacyjnych został zaprojektowany jako narzędzie bardzo uniwersalne, które komisja przed rozpoczęciem pracy musi dostosować do swoich potrzeb, ustalając w systemie szereg parametrów, takich jak np. liczbę ocen cząstkowych w każdym etapie postępowania, sposób obliczania oceny końcowej itp.

Jednym z celów elektronicznego systemu rekrutacji było także ułatwienie pracy komisji w zakresie wysyłania do kandydatów różnego rodzaju zawiadomień (np. o terminie egzaminu lub o jego wynikach).

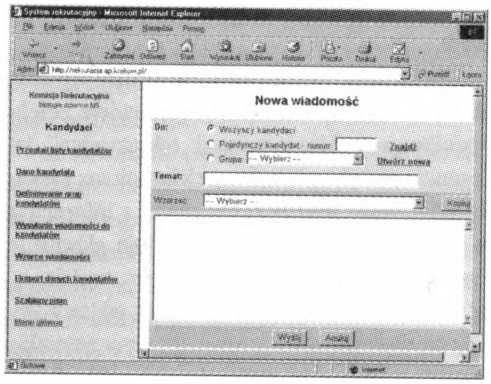

Rysunek 4

W systemie przewidziano możliwość wysyłania zawiadomień zarówno drogą elektroniczną, jak i pocztą tradycyjną. Wiadomości wysyłane elektronicznie dostarczane są do kandydata na dwa sposoby: pojawiają się na jego indywidualnej stronie w module dla kandydatów, jak również - jeżeli kandydat podał przy rejestracji swój adres e-mail - wysyłane są automatycznie na podany adres. Możliwe jest wysłanie wiadomości do wszystkich kandydatów, do pojedynczej osoby lub do grupy osób, którą można dowolnie zdefiniować.

W systemie udostępniono opracowane przez Sekcję ds. Rekrutacji wzorce standardowych zawiadomień, z których komisja może skorzystać uzupełniając brakujące dane, modyfikując je według swoich potrzeb, bądź tworząc własne.

Wspomagane jest także drukowanie papierowych wersji zawiadomień, przeznaczonych do wysyłania pocztą tradycyjną. O ile wysyłka drogą elektroniczną odbywa się całkowicie wewnątrz systemu, o tyle do drukowania zawiadomień papierowych niezbędny jest - z uwagi na niewystarczające możliwości przeglądarek WWW - dodatkowy program. Jest to druga funkcja systemu, do korzystania, z której nie wystarczy sama przeglądarka (trzecim takim przypadkiem jest wykorzystywany przez dziekanaty specjalny program pełniący funkcję „pośrednika" w przenoszeniu danych do systemu dziekanatowego).

Wydruk zawiadomień realizowany jest za pośrednictwem funkcji korespondencji seryjnej edytora Microsoft Word (bądź innego o analogicznej funkcjonalności, jak np. OpenOffice), w oparciu o *wyeksportowany* z systemu plik zawierający dane kandydatów (wszystkich lub wybranej grupy). Plik ten, w połączeniu z przygotowanymi przez Sekcję ds. Rekrutacji szablonami dokumentów Worda umożliwia wydrukowanie serii listów zaadresowanych indywidualnie do poszczególnych kandydatów i zawierających odpowiednie informacje, jak np. termin egzaminu czy uzyskane wyniki.

Podobnie jak w przypadku wiadomości wysyłanych elektronicznie, możliwe jest dowolne modyfikowanie standardowych szablonów bądź utworzenie całkowicie nowych. Pozwala to na wykorzystanie tej opcji nie tylko do drukowania korespondencji, ale także dowolnych list i zestawień, odpowiadających szczególnym potrzebom danej komisji.

Jak widać z powyższego opisu, narzędzie przeznaczone do wysyłania wiadomości do kandydatów ma bardzo rozbudowane możliwości, co dla niektórych komisji rekrutacyjnych stanowiło pewną trudność w jego opanowaniu. Zdarzyło się kilka błędów, ale na szczęście nie miały one poważniejszych konsekwencji. W przyszłym roku z pewnością użytkownicy systemu będą mieli już więcej doświadczenia i takich pomyłek uda się uniknąć.

Kilka refleksji praktycznych

Ostatnim etapem wdrożenia każdego systemu informatycznego jest jego praktyczna weryfikacja. Pod względem technicznym tegoroczną operację

„rekrutacja" można uznać za niewątpliwy sukces. Nie wystąpiły żadne poważne problemy techniczne z systemem, a większość kłopotów zgłaszanych do Sekcji ds. Komputeryzacji dotyczyła w istocie funkcji korespondencji seryjnej w programie MS Word, która - jak się okazało - na wielu komputerach komisji rekrutacyjnych nie działała poprawnie, wskutek nieprawidłowej instalacji oprogramowania lub uszkodzeń systemu Windows spowodowanych przez wirusy itp.

W systemie ujawniły się oczywiście niewielkie błędy, które nie zostały wychwycone w fazie testowania, z powodu braku rzeczywistych danych. Nie miały one jednak istotnego wpływu na przebieg całej procedury rekrutacyjnej i zostały szybko skorygowane. Pojawiło się także - zwłaszcza w toku postępowania odwoławczego - kilka sytuacji, których nie przewidziano we wstępnej analizie. Odpowiednie zmiany w bazie danych musiały być zatem dokonywane ręcznie przez administratora.

Więcej problemów związanych było z tzw. „błędami ludzkimi". Prócz wspomnianych wcześniej kłopotów z wysyłaniem wiadomości do kandydatów; zdarzały się także pomyłki przy wpisywaniu do systemu wyników egzaminów. Z uwagi na fakt, że po zatwierdzeniu wyników następuje ich automatyczna publikacja, początkowo system nie umożliwiał komisjom rekrutacyjnym dokonywania jakichkolwiek zmian zatwierdzonych już wyników. Korekty ewentualnych pomyłek mogły być wprowadzane tylko za pośrednictwem administratora. Liczba owych pomyłek i korekt okazała się jednak znacznie większa, niż to wcześniej zakładano, co stanowiło wyraźną wskazówkę, iż należy jednak rozbudować system o funkcję pozwalającą korygować zatwierdzone już wyniki. Poprawka taka została już wprowadzona podczas wrześniowej rekrutacji na studia zaoczne.

Należy tu jednak nadmienić, że sytuacja, w której wprowadza się korekty do już zatwierdzonych (a tym samym opublikowanych) wyników, jest wysoce niekorzystna, ponieważ może wprowadzić kandydatów w błąd - np. w pewnym momencie kandydat może zobaczyć na swojej stronie informację, iż został przyjęty na studia, a w chwilę potem okaże się, że jednak nie został przyjęty. Zgromadzone w tym roku doświadczenia powinny pozwolić komisjom rekrutacyjnym uniknąć takich pomyłek przy przyszłorocznej rekrutacji.

Największym - i zupełnie nieprzewidzianym - problemem, który stał się wręcz „horrorem" dla pracowników Sekcji ds. Komputeryzacji, była nieprawdopodobna liczba kandydatów, którzy zapominali swoich numerów identyfikacyjnych i haseł (!). Procedura postępowania w takiej sytuacji wymagała kontaktu kandydata (osobistego, telefonicznego lub e-mailowego) z pracownikiem Sekcji ds. Komputeryzacji, który nadawał kandydatowi nowe hasło. Liczba takich przypadków przekroczyła wszelkie oczekiwania. Nie został wbudowany do systemu żaden mechanizm zliczania zmian haseł, w związku z tym brak dokładnych danych na ten temat. Szacunkowo można ocenić, że mniej więcej co dwudziesta osoba zapomniała swojego hasła. W końcowych dniach okresu składania dokumentów, kiedy na uczelni pojawiało się najwięcej kandydatów, zdarzało się, iż pracownicy Sekcji ds. Komputeryzacji nie robili niemal nic innego, jak tylko zmieniali hasła „zapominalskim". Co ciekawe, zjawisko to występowało znacznie częściej wśród kandydatów na studia dzienne, niż na zaoczne - zupełnie odwrotnie niż się spodziewano.

Jednak pomimo wszystkich wymienionych powyżej problemów, przeprowadzoną w tym roku po raz pierwszy rekrutację „po nowemu" można ogólnie uznać za bardzo udaną. System bez wątpienia znacznie ułatwił pracę i wprowadził - co było naszym zasadniczym zamiarem - „nową jakość" w przebieg tego procesu we wszystkich jego aspektach. Pozostaje mieć nadzieję, że doświadczenia wyniesione przez pracowników uczelni podczas wdrażania systemu rekrutacyjnego pozwolą w przyszłości równie „gładko" skomputeryzować inne obszary działalności uczelni, oparte na sprawnej wymianie informacji między różnymi osobami i jednostkami.

Jarosław Rafa

* Autor używa terminu „Internet" w rozumieniu globalnej sieci komputerowej. Por. *Słownik ortograficzny PWN*, Warszawa 2004, s. 236.

Rafał Michalski

O strategii poznawania w świecie znanych praw

Marcie

Minęła już, charakterystyczna dla przełomu wieków, moda na dokonywanie podsumowań odkryć naukowych ubiegłego stulecia. Wiele tekstów opisujących stworzone narzędzia badawcze (teoretyczne i eksperymentalne) współczesnej fizyki gloryfikuje możliwości poznawcze nauki początków XXI wieku. Niestety, coraz częściej nie prawda fizyczna, a raczej czynniki o charakterze społeczno-ekonomicznym decydują o popularności takiej czy innej teorii fizycznej

Informacje pochodzące z massmediów często atakują tytułami donoszącymi o odkryciu *teleportacji kwantowej*, *lasera atomowego*, *komputera kwantowego* itp. Nie zawsze jednak z treści artykułu bądź reportażu wynika, że to nie obiekty materialne potrafimy teleportować, ale tzw. *stany kwantowe*, że ów laser nie produkuje wiązek atomów gotowych do wystrzelenia na dalekie odległości, tylko pozwala na wytworzenie tzw. *koherentnego stanu w ultra zimnej materii* w obszarze specjalnej pułapki magnetyczno-optycznej. Komputer kwantowy to futurystyczna wizja maszyny liczącej opartej na układach scalonych złożonych z tranzystorów, nad których stworzeniem trwają prace, a których stany miałyby się przełączać poprzez wstrzykiwanie w obszar złącza pojedynczych elektronów. Nie skupiając się na oczywistych błędach w aparacie poznawczym (np. odkrycie tzw. *zimnej fuzji jąder atomowych*, których rozdmuchanie w mediach powiększyło tylko rozmiar klapy i uwidoczniło bezkrytyczność mediów w poszukiwaniu sensacyjnych tematów), niniejszy artykuł jest próbą nieco chłodniejszego spojrzenia na możliwości współczesnej fizyki w obszarach, które można określić fizyką weryfikowalną eksperymentalnie. Mam tutaj na myśli to, co być może dla wielu nie-fizyków wydaje się oczywiste, a mianowicie ten rodzaj uprawiania nauki, który pozwala opisywać *istniejący rzeczywiście świat zjawisk fizycznych*.

Dla wielu współczesnych fizyków takie „zawężenie" obszaru pracy byłoby dziś nie do przyjęcia. Przypomina mi się tutaj rozmowa z jednym z krakowskich teoretyków fizyki ciała stałego, w której na moje pytanie o związek omawianego przezeń modelu z rzeczywistością, usłyszałem pouczenie, że ów model nie opisuje rzeczywistości fizycznej; rzeczywistość tego modelu jest bytem matematycznym, który dopiero może okazać się użyteczny lub nie, ale na pewno jest bardzo interesujący.

Rzeczywistość fizyczna

Jaka właściwie jest nasza znajomość rzeczywistości fizycznej? Oczywiście, odpowiedzią na to pytanie jest zawartość dużej biblioteki wypełnionej po brzegi podręcznikami. Postaram się jednak przedstawić (subiektywnie, siłą rzeczy) esencję procesu poznawczego prowadzącego do dzisiejszej znajomości mechanizmów natury w obszarze fizyki obiektów materialnych.

Biorąc sobie do serca słowa Stephena W. Hawkinga[1], prognozujące każdorazowe dwukrotne zmiejszenie liczby zainteresowanych tekstem przypadające na każde zapisane równanie, zamierzam zrezygnować całkowicie z przedstawiania zależności matematycznych. Przyjęcie takiego stylu jest oczywiście karkołomne, i to z wielu powodów. Jednym z nich jest chociażby określenie samej dyscypliny naukowej. Termin „fizyka" powstał bowiem - jak wiadomo - całkiem niedawno, pomimo niezliczonych prób odgadnięcia rozumem reguł rządzących materią nieożywioną. Określenie takie formalnie wprowadzono w nazewnictwo dyscyplin w początkach XX wieku jako dookreślenie tej części nauki zwanej filozofią przyrody, którą daje się opisywać językiem matematyki. Ujęcie za pomocą reguł matematycznych rzeczywistości fizycznej stanowić miało bowiem gwarancję absolutnej ścisłości opisu natury.

Bardzo szybko okazało się jednak, że gwarancja absolutnej ścisłości opisu rzeczywistości tak szybko uleciała jak dziewiętnastowieczna wiara, że: „deterministyczna natura praw przyrody pozwoli wyliczyć zachowanie, w przyjętym przedziale czasu, dowolnych układów obiektów oddziałujących ze sobą, z założoną z góry, dowolną dokładnością" (oczywiście, przy założeniu dokonania dowolnie długotrwałych rachunków). Wiara w taką umiejętność obliczeniową człowieka okazała się utopią, i to utopią z dwojakiej przyczyny (skądinąd dwoistość widzenia natury, w sensie fizycznym, towarzyszy człowiekowi od zawsze).

Po pierwsze: sama przyroda zamanifestowała w kilku spektakularnych eksperymentach ziarnistość (kwantowość) szeregu wielkości fizycznych, zmuszając jednocześnie do całkowitej weryfikacji sposobu patrzenia na mikroświat. Odkrycie owej kwantowości, czyli występowania poszczególnych właściwości w postaci porcji, początkowo w obszarze energii (Max Planck w 1900 r.), a następnie wielkości, jak: ładunek elektryczny (Robert Millikan w 1910 r.), momentu pędu, itp., postawiło poważny problem dla tworzenia teorii opisującej te wielkości.

Zadanie postawione przed taką teorią zdawało się być niewykonalne. Miała ona bowiem opisywać zachowanie mikroukładów (np. elektronu w polu elektrycznym jądra atomowego), a jednocześnie (po uśrednieniu) powinna dostarczać informacje zgodne z dobrze znaną (dotykalną) fizyką układów w skali makro - czyli powinna dawać się uogólniać na obszar klasycznej mechaniki. Teoria zwana mechaniką kwantową została jednak stworzona. Zapoczątkowana dzięki pracom Maxa K.E.L. Plancka (1858-1947), Wernera C. Heisenberga (1901-1976) oraz Erwina Schrödindera (1887-1961) zagościła na dobre jako podstawa opisu wszelkich zjawisk fizycznych. Pod koniec XX wieku kanonem większości dyscyplin wchodzących w obraz współczesnej fizyki stała się teoria kwantowa - rozwijana, uogólniana i poszerzana przez największe umysły stulecia. Dzięki wysiłkom wielkich teoretyków, jak Paul A.M. Dirac (1902-1984), Richard P. Feynman (1918-1988) oraz wielu innych, współczesna mechanika kwantowa uwzględnia efekty relatywistyczne (względne zmiany właściwości obiektów, takich jak np.: masa i rozmiary liniowe, w układach poruszających się, których znaczenie uwidocznia się ze wzrostem ich wzajemnej względnej prędkości). Wprowadzona do fizyki przez Alberta Einsteina (1879-1955) genialna myśl o równoważności masy i energii, pozwoliła w konsekwencji w latach 1970-1980 opracować teorię opisującą oddziaływania (elektromagnetyczne, oddziaływanie słabe, oddziaływanie silne) w świecie najbardziej elementarnych składników materii zwaną *modelem standardowym*. Zbiór praw opisujących zachowanie mikroobiektów, określany mianem mechaniki kwantowej, stał się zarówno źródłem wiedzy o znanych obiektach, jak i przyczynił się do eksperymentalnego potwierdzenia istnienia obiektów bardziej egzotycznych (np. *kwarki* czy *neutrina*). Dowodów na ich istnienie poszukiwano w eksperymentach, których budżet mierzy się dziś w miliardach dolarów.

Po drugie: dziewiętnastowieczny determinizm legł w gruzach z jeszcze innej przyczyny, związanej z matematyką. Prace ówczesnych wizjonerów, takich jak George Cantor (1845-1918), Henri Poincaré (1854-1912) (choć, w przypadku Georga Cantora, w większości ignorowane przez społeczność nauko-

wą epoki) przyczyniły się do innego niezwykłego odkrycia. Ich badania, kontynuowane przez naukowców XX wieku, doprowadziły do wniosku, że właściwości modelowych tworów matematycznych cechujących się samopodobieństwem znajdują się w bliskim związku z obserwowaną właściwością pewnej klasy układów równań, w przypadku których rozbieżność pewnych ich rozwiązań całkowicie uniemożliwia oszacowanie niepewności wyniku przy zadanej dokładności wartości określających warunki początkowe obiektów stanowiących ten układ. Zjawisko to, nazwane *efektem motyla*, doprowadzając do rozkwitu teorii *fraktali* (taką nazwę nadano obiektom, których konstrukcja opiera się na *samopodobieństwie*), otwarło problem granicy obszarów określonych dla warunków początkowych (np. położeń i prędkości w chwili początkowej) obiektów stanowiących układ. Granica pomiędzy ciągłym obszarem parametrów wejściowych (warunków początkowych) prowadzących do określonego kierunku ewolucji układu a innym obszarem, z którego zbiór warunków początkowych prowadzi do całkiem innych rozwiązań (np. w skali czasu) okazała się mieć wewnętrzną strukturę. Struktura ta, w powiększeniu, składa się z rozgraniczonych obszarów ciągłych, których granica także ma wewnętrzną strukturę, która ma granice również z wewnętrzną strukturą i tak dalej, w nieskończoność...

Współczesną teorię, którą zapoczątkowało to odkrycie, a której zadaniem jest wskazywać i klasyfikować rozwiązywalność problemów w *układach wielociałowych* nazwano *teorią chaosu deterministycznego*.

Jak widać z przedstawionego powyżej szkicu różnica w postrzeganiu świata pomiędzy początkiem XX i początkiem XXI wieku cechuje się olbrzymią różnicą w sposobie jego postrzegania. Ludzka wiedza o nim poszerzyła się i stała się bardziej precyzyjna, lecz wbrew oczekiwaniom nie przybliżyła człowieka do upragnionej umiejętności permanentnego przewidywania właściwości obiektów w funkcji wpływu czynników zewnętrznych.

W spuściźnie po wielkich umysłach XX w. odziedziczyliśmy piękną, sprawdzoną teorię opisującą *mikroobiekty* oraz ich wzajemne oddziaływania. Mamy mechanizmy klasyfikacji tych obiektów pozwalające na użycie konkretnych (adekwatnych) metod obliczeniowych do matematycznego opisu ich wzajemnych oddziaływań. Mamy ponadto metody katalogujące, zebrane w postaci reguł, dzięki którym możemy odpowiednio dobrać narzędzia obliczeniowe dla konkretnych problemów fizycznych. Mamy wreszcie komputery pozwalające wykonywać z olbrzymią prędkością żmudne rekurencyjne, kwantowo-mechaniczne obliczenia.

Ograniczenia

Badania przyrodnicze dały klarowne potwierdzenie faktu, że w mikroświecie pewnych rzeczy nie da się przewidzieć, można jednak w zamian oszacować *prawdopodobieństwo wystąpienia określonej sytuacji*. Jednak w przypadku wielkiej ilości obiektów, albo prowadzenia obserwacji układu przez odpowiednio długi czas, statystyczne zachowanie poszczególnych obiektów pozwala na określenie uśrednionego stanu układu. Pozwala to wielu badaczom urzeczonym mocą obliczeniową współczesnych komputerów twierdzić, że poznanie podstawowych reguł rządzących przyrodą: „zasady zachowania masy-energii, zasady zachowania pędu, zasady zachowania ładunku, zasady nieoznaczoności Heisenberga" (wraz z szeregiem reguł będących konsekwencją powyższych zasad) oraz umiejętność ich użycia w ramach *jednego z równoważnych sformułowań mechaniki kwantowej* pozwala na opis ewolucji dowolnych (czytaj: wszystkich) układów. Oczywiście, w zależności od przyjętego wariantu opisu, sposób wykonywania owych rachunków jest różny, jednak w większości przypadków sprowadza się do wielokrotnie powtarzanych procedur określania tzw. *wektorów własnych* (funkcji własnych) oraz *wartości własnych* (stanów własnych) operatorów matematycznych charakteryzujących wielkości fizyczne, zwykle zapisanych w postaci macierzowej.

Posuwając się niebezpiecznie blisko w kierunku zbytnich uproszczeń, można zaryzykować twierdze-

nie, że wielkość (rząd) macierzy (tablicy liczb) użytych do obliczeń jest proporcjonalna do ilości obiektów użytych do obliczeń. Prowadzi to w prostej linii do znanego faktu, że jedynym *ściśle* policzalnym „od początku" wielociałowym układem kwantowym jest dwuciałowy układ atomu wodoru (*proton + elektron*). Nie oznacza to jednak nieumiejętności prowadzenia obliczeń stanów atomów wieloelektronowych. W ich przypadku bowiem można z powodzeniem stosować szereg zabiegów matematycznych prowadzących do uzyskania wyników na podstawie wiedzy o tzw. *funkcjach wodoropodobnych*. Funkcje takie, przy założeniu odpowiedniego ich składania, tworzą tzw. *funkcję wieloelektronową* i stanowią podstawowe narzędzie analityczne fizyki atomowej. W tym miejscu jednak sprawa się komplikuje, bowiem spektrum stanów energetycznych atomu wieloelektronowego może być modyfikowane przez szereg oddziaływań o znacznie subtelniejszym charakterze niż elektrostatyczne oddziaływania ładunków elektrycznych poszczególnych elektronów z jądrem atomu. Oddziaływania te tworzą pokaźną listę. Jej początek stanowią niecentralne (niedziałające w kierunku jądra) oddziaływania elektrostatyczne poszczególnych elektronów między sobą oraz oddziaływania o charakterze magnetycznym związane z wewnętrznym stopniem swobody elektronu zwanym *spinem*. Nie wgłębiając się w jego definicję można przyjąć, że determinuje on *moment magnetyczny elektronu*. Ten z kolei oddziałuje na moment magnetyczny, indukowany przez elektron na skutek przemieszczania się elektronu w swoim ruchu orbitalnym. W układzie wielu elektronów momenty te oddziałują na siebie wzajemnie. Oddziaływanie takie określa się mianem *sprzężenia spin-orbita*.

To jednak zaledwie początek listy, dalej bowiem mamy oddziaływania momentów magnetycznych elektronów z momentem magnetycznym jądra atomu, oddziaływanie pola elektrycznego układu elektronów z kwadrupolowym momentem elektrycznym jądra itd. Nie wnikając już w istotę tych wkładów w strukturę energetyczną atomu można powiedzieć, że wszystkie one w sposób wewnętrznie samouzgodniony prowadzą do osiągnięcia możliwie jak najniższej energii przez atom. Możemy postawić sobie pytanie o zachowanie się naszego atomu w towarzystwie drugiego atomu wieloelektrodowego. Wzajemne relacje pomiędzy *polami elektromagnetycznymi* obiektów oddziałujących o podwojonej ich liczebności wymuszą dwukrotne zwiększenie rzędu macierzy, czyli jednocześnie: ilości równań stanowiących ich układ, który należy rozwiązać oraz liczby członów występujących w tych równaniach. Rozważmy przypadek, w którym liczba tych atomów wynosi np. 10^{23}. Liczba ta (wykładnik Stałej Avogadro $6.022 \cdot 10^{23}$ mol^{-1}) pomnożona przez liczbę współczynników określających wkłady opisanych powyżej oddziaływań wewnątrzatomowych stanowić powinna ilość współczynników, którą powinna zawierać idealna baza do rozważań struktury energetycznej ciała stałego, czyli ilość równań w ich układzie, a jednocześnie liczbę członów każdego z nich. Zastanówmy się więc, ile to jest 10^{23} atomów w odniesieniu do makroskopowego *ciała stałego*.

Będzie to stosunkowo niewielkie ciało stałe, gdyż zawierające zaledwie około 1/6 mola atomów, co w przypadku, np. żelaza stanowi około 10 gramów. W charakterze dygresji warto tutaj wtrącić, że według wszelkich wskazówek wiek znanego nam Wszechświata (od *Wielkiego Wybuchu* przez czasookres kreacji cząstek elementarnych, później jąder atomów aż do gwiazd, galaktyk i ich gromad, aż po dzień dzisiejszy) wyrażony w sekundach jest rzędu „zaledwie" 10^{18} s.

Już na tym etapie rozważań nie istnieje ani program komputerowy ani komputer (ani prognozy wynalezienia takowego w przewidywalnym czasie) potrafiący w sposób ścisły wyliczyć właściwości tak, zdawałoby się, mało skomplikowanego obiektu jak mały kawałek żelaza...

Dwie strategie

Każda skala energii obejmująca określoną grupę zjawisk posiada wypracowany sposób opisu, również *fizyka ciała stałego* dopracowała się swoich metod. Uwidocznił się tutaj jednak pewien dualizm w podejściu do zagadnienia. W skrajnej formie orto-

doksyjni wyznawcy każdej z nich, zarzucając niekompetencję drugiej stronie, prowadzą regularną bitwę (niestety nie tylko merytoryczną) na łamach prasy naukowej. Metodami walki są tak, wydawałoby się, nienaukowe działania, jak: powołanie na prestiż (czyli bezkrytyczna apoteoza autorytetów), manipulacja środowiskiem za pomocą angażowania środków medialnych w rozstrzyganiu sporów, dobór recenzentów, blokada dróg awansu i inne pozamerytoryczne środki. Głównym problemem sporu jest obszar, w jakim stosowalność konkretnego pojęcia uznana ma być za słuszną. Paradoksem tego sporu zdaje się być fakt, że podobnie jak w innych dualistycznych podejściach obie strony mają i nie mają racji równocześnie.

Podejście lokalne

W sytuacji braku możliwości rozwiązania problemów z opisem ciała stałego w sposób ścisły, zależności empiryczne charakteryzujące ilościowy sposób zapisu stanowiły wyjściowy sposób opisu danej właściwości. Empiryczny opis musi posiadać parametry. Często sposób tworzenia teorii polega na nadaniu sensu fizycznego tym parametrom. Jeśli procedura „ufizyczniania" parametrów modelu empirycznego pozwala na szacowanie wartości tychże parametrów w przypadku konkretnych sytuacji, można zakładać fizyczną adekwatność użytego modelu. Charakterystycznym dla tego sposobu myślenia jest półempiryczne prawo Curie, którego - jak na ironię - nikt nie krytykuje, a które reprezentuje skrajnie uproszczony sposób opisu najważniejszej chyba, doświadczalnie mierzonej wielkości opisującej magnetyczne właściwości makroskopowej próbki. Właściwość ta to *podatność magnetyczna* - czyli stosunek namagnesowania do przyłożonego zewnętrznego pola magnetycznego.

Rozumowanie przeprowadzone przez Pierre'a Curie polegało na tym, że degeneracja stanów ze względu na liczbę kwantową ***J***, charakteryzującą całkowity moment magnetyczny jonu, zostaje zniesiona przez przyłożenie zewnętrznego pola magnetycznego. Pojawia się więc, zamiast jednego (zdegenerowanego) stanu podstawowego, grupa licząca 2J+1 równoodległych stanów. Zniesienie degeneracji, czyli rozszczepienie stanu podstawowego jest wprost proporcjonalne od przyłożonego pola. Termicznie aktywowane obsadzenie tych (równoodległych) stanów powoduje charakterystyczny, hiperboliczny przebieg krzywej podatności magnetycznej zwany prawem Curie. Model zaproponowany przez Pierre'a Curie nie uwzględniał jednak modyfikacji tej struktury przez szereg czynników, i to o przyczynach, których struktury energetycznej należy szukać zarówno w podobnych, jak i wyższych i niższych energiach.

Podejście takie zakłada, iż nie należy obliczać tego, co można w obliczeniach zastąpić parametrem, w sytuacji, gdy tenże parametr może zostać wyliczony za pomocą metod adekwatnych dla jego skali energii. Uciekając się do uogólnień oznacza to w przypadku ciała stałego, że jeśli za pomocą metod chemii fizycznej jesteśmy w stanie określić konfigurację elektronową atomu (bądź jonu) wieloelektronowego, przyjmijmy, że ona taka jest. Następnie, traktując ją jako wprowadzony do obliczeń parametr, wykonajmy obliczenia o charakterze subtelniejszym, dotyczące oddziaływań magnetycznych i spinowo-orbitalnych dla poszczególnych elektronów wybranego jonu bądź atomu. Jeśli ponadto energie związane z oddziaływaniem danego jonu ze swoimi sąsiadami mają podobne wartości do energii związanych ze strukturą elektromagnetycznych oddziaływań wewnątrzatomowych, wykonujmy te obliczenia razem. Reasumując: redukcja macierzy opisującej oddziaływania poprzez parametryzację następuje wyłącznie wtedy, jeśli skala energii opisująca dane oddziaływanie jest istotnie różna od oddziaływania, które ma zostać wprowadzone do obliczeń jako ich parametr. Prowadzi to do rozróżnienia pomiędzy:

1. Energiami związanymi z dynamicznymi efektami makroskopowymi - myślę tutaj o klasycznych efektach tworzenia struktur na granicy mikro- i makroświata, czyli efektami *tworzenia kryształu* oraz *struktury domenowej* dowolnego rodzaju: domen magnetycznych (np. domeny w ferromagnetyku) oraz elektrycznych (np. domeny w ferroelektryku).

Energie charakterystyczne dla tych zjawisk to wartości większe niż miliardy *eV/cm*^{3} (E > 10^9 *elektronowoltów na centymetr sześcienny*).

2. Oddziaływaniami tworzącymi strukturę elektronową atomu. (E rzędu dziesiątek *eV na atom*).

3. Efektami transportowymi w krysztale (przewodnictwo) charakteryzowanymi za pomocą tzw. *Energii Fermiego*. (typowe wartości E_F leżą w przedziale *1-20 eV na elektron*).

4. Energie określające rozszczepienie (bądź mówiąc bardziej ściśle - *zniesienie degeneracji*) *stanu podstawowego* tej konfiguracji za pomocą elektromagnetycznych oddziaływań wewnątrzatomowych. (E rzędu od ułamków *eV na jon* do *2-3 eV na jon*, w zależności od rodzaju atomów).

5. Wpływem pola elektrycznego i magnetycznego sąsiadów sieciowych analizowanego jonu w krysztale znajdującym się w równowadze termodynamicznej, czyli w stabilnym krysztale. (E rzędu od milionowych części *eV na jon* do *2-3 do eV na jon*, w zależności od rodzaju substancji).

Podział ten, nie dosyć, że różnicuje zjawiska względem wartości energii, to dodatkowo różnicuje je względem obiektu, na który tę energię się szacuje. Mamy oszacowania energii na: element objętości, na elektron, na atom - oznacza to dodatkową konieczność odrębności opisu właściwości właśnie ze względu na analizowany obiekt.

Podstawowym założeniem jest jednak konieczność uwzględniania w rachunkach wszystkich tych oddziaływań, których wartość energii w przeliczeniu na ten sam element ciała stałego daje podobny lub bliski przedział jej wartości. Widać więc z powyższej klasyfikacji, że efekty wewnątrzatomowe muszą być brane pod uwagę w rachunkach równocześnie z wpływem oddziaływań elektromagnetycznych sąsiadów. Widać także, że struktura elektronowa atomu generalnie może być dla takich obliczeń przyjmowana jako parametr, powodując gigantyczne uproszczenie rachunków poprzez zmniejszenie rozmiaru macierzy potrzebnej do obliczeń. Nasuwa się tutaj nieuchronne pytanie: jak dużym przybliżeniem w wynikach jest rezygnacja z pełnego opisu?

Podanie pełnej odpowiedzi na to pytanie znacznie przekracza obszar niniejszego artykułu, jednak kluczem do jej zrozumienia jest następujący fakt: w obrazie jednojonowym (jon/atom + wpływ jego sieciowych sąsiadów) stosowanie funkcji wieloelektronowej powoduje, iż obsadzenie wyższych stanów struktury energetycznej wywoływane jest poprzez efekty energetyczne o odpowiadającej im wartości. Wyższe stany mogą być więc obsadzane wtedy, gdy do układu dostarczana jest energia (np. w postaci promienistej). Jeśli jednak interesuje nas stan podstawowy układu - gdy do niego nie jest dostarczana energia - wtedy nasza informacja jest na tyle pełna, na ile duże jest prawdopodobieństwo znalezienia się układu w stanie, którego istnienia nie bierzemy pod uwagę ze względu na parametryzację. Ponieważ jego odległość jest dużo, dużo większa niż odległość do innych stanów struktury obliczonej zgodnie z przyjętym założeniem, można powiedzieć, że tak uzyskana informacja o stanie podstawowym i stanach energetycznie jemu najbliższych jest prawie pełna. Jeśli dodać do tego, że skala energetycznej struktury uzyskanej dzięki takim obliczeniom odpowiada wartościom energii dostarczanej na sposób przekazu ciepła podczas ogrzewania ciała od temperatury absolutnego zera do temperatur przekraczających temperaturę pokojową, okaże się, że jest to jedyny sposób opisu ciała stałego pozwalający uzyskiwać w sposób bezpośredni informacje o zmianach właściwości fizycznych (magnetycznych i elektronowych) atomów/jonów pod wpływem zmiany temperatury ciała, w którym jony te się znajdują.

Rozumowanie takie ma olbrzymią ewidencję doświadczalną, na którą składa się olbrzymia liczba publikacji w najlepszych czasopismach naukowych. Podejście takie rozwijane jest w Centrum Fizyki Ciała Stałego[2], gdzie określa się je akronimem QASST (*Quantum Atomistic Solid-State Theory*).

Podejście pasmowe

Zupełnie inne podejście do zagadnienia jest reprezentowane przez tzw. Teorię Pasmową. Bezpośrednią potrzebą powstania tej teorii była próba

stworzenia spójnego sposobu opisu właściwości transportowych metali i półprzewodników. Na tym polu zwolennicy teorii pasmowej osiągnęli znaczący sukces, który przyczynił się do powstania kuszącej wizji zaprzęgnięcia jej do wszystkiego. Podstawą Teorii Pasmowej jest bardzo eleganckie w swej prostocie twierdzenie Blocha: funkcje falowe będące rozwiązaniem równania Schrödingera z potencjałem periodycznym są iloczynem zespolonej fali płaskiej i funkcji periodycznej. Twierdzenie to w praktyce oznacza, że całkowicie rezygnując z wprowadzania parametrów charakteryzujących atomy i jony, numerycznie skonstruujemy konfigurację elektronową ciała stałego od nowa. Ponieważ i w tym podejściu nie możemy stworzyć obliczeń pełnych, uwzględniających wszystkie efekty oddziaływań elektromagnetycznych, stosuje się szereg uproszczeń. W zależności od stopnia zaawansowania konkretnego, pasmowego, wybiera się następujące przybliżenia: rezygnację z potencjału jąder; rezygnację z oddziaływań elektron-elektron; rezygnację z oddziaływań spinowo - orbitalnych, oraz rezygnację ze struktury termów i multipletów, a także innych efektów subtelnych (o skalach energii rzędu mniejszego niż tysięczna część *eV*).

O ile dwa pierwsze przybliżenia we współczesnych teoriach wykorzystywane są rzadko, o tyle oddziaływania spinowo-orbitalne w sposób elementarny uwzględniane są jedynie w najnowocześniejszych wersjach teorii pasmowej. Rezygnacja z uwzględniania struktury subtelnej jonów w ciele stałym często nie zgadza się z ewidencją eksperymentalną (np. spektroskopia w podczerwieni IR, Elektronowy Rezonans Paramagnetyczny EPR, spektroskopia nieelastycznego rozpraszania neutronów INS, efekt Mössbauera i inne), jednocześnie wyraźnie rozgraniczając zakres stosowalności metod pasmowych. Z drugiej strony struktura pasmowa ciała stałego znajduje potwierdzenie w interpretacji innych metod doświadczalnych o mniejszych zdolnościach rozdzielczych, ale wyższych energiach całkowitych - z królującymi tutaj odmianami metody XPS (Spektroskopia Fotoemisja promieni X). Niestety, często wiara w metody *ab initio* (łac. „z pierwszych zasad") każe wierzyć, że metodami pasmowymi można policzyć wszystko. Co zatem policzyć można?

W rezultacie pasmowych obliczeń *ab initio* w przypadku np. miedzi możemy otrzymać następujące informacje: miedź jest metalem (a dokładniej: przewodzi prąd elektryczny, a charakter tego przewodnictwa będzie metaliczny), o strukturze kubicznej fcc, o gęstości bliskiej wartościom tablicowym, możemy określić jej podstawowe własności sprężyste, oraz pośrednio możemy wydedukować jej kolor.

Obliczenia *ab initio* (mimo pretensjonalności tej nazwy) nie dostarczą informacji o termicznej ewolucji właściwości magnetycznych, o łatwych kierunkach magnesowania, efektach termodynamicznych związanych z obsadzaniem dyskretnych poziomów, podatności magnetycznej i jej anizotropii, itp. Innymi słowy obliczenia pasmowe nie będą dostarczać informacji pochodzących z lokalnych efektów pochodzących od poszczególnych jonów/atomów tworzących ciało stałe.

Podsumowanie

Przedstawione tu zestawienie teoretycznych metod badawczych w fizyce ciała stałego (bądź też inaczej nazywanej *fizyką fazy skondensowanej*) wyraźnie i, mam nadzieję, logicznie rozgranicza obszary stosowalności obu podstawowych teoretycznych metod badawczych. Niestety silne emocje związane zarówno z szumnym nazewnictwem, jak i niechęcią niektórych badaczy do analizy metod antagonistów prowadzi do częstych nieporozumień i niesprawiedliwych ataków. Często przytrafia się to naukowcom „młodego pokolenia", którzy wyposażeni w dobrą maszynę liczącą oraz jeden z programów komputerowych do obliczeń *ab initio* permanentnie ignorują obliczenia oparte na wypracowanych przez fizykę atomową metodach i technikach. Skromny wkład autora tego artykułu do zagadnienia daje się określić jednym zdaniem - obszar badań oparty na metodach pasmowych i atomowych jest rozłączny. Rozłączny jednak nie ze względu na dobór materiałów opisywanych przez jedną czy drugą teorię, ale na przedział energii, w których chcemy

analizować właściwości i przez to rodzaj tych właściwości.

Pozostaje więc problem: jaka powinna być strategia obliczeń w fizyce ciała stałego w przyszłości? Nie chcąc rozwijać futurystycznych wizji o wymiarze fraktalnym struktury energetycznej, moją propozycją jest tworzenie wspólnej funkcji falowej, łączącej pęczki dyskretnych struktur stanów energetycznych dopuszczających transport ładunku między atomami i jego wpływ na strukturę wewnętrznych stanów. Jony związane ze sobą wspólną funkcją falową mogą być przesunięte wzajemnie o dowolnie małą wartość w opisie wieloelektronowym, spełniając tym samym założenia teorii pasmowej. Pasmowy opis struktury stanów (tyle stanów, ile elektronów w materiale) winien być więc rozważany jako pasmo wzajemnie przesuniętych statycznych struktur moderowanych faktem *hoppingu* (przeskoku) nadmiarowego elektronu (bądź dziury).

Tymczasem jednak musimy zadowolić się opisem polegającym na rozróżnieniu pomiędzy klasą tzw. elektronów wędrownych (zdelokalizowanych) a zlokalizowanymi stanami atomowymi i stosować odpowiednie metody badawcze do opisu właściwości poszczególnych klas.

Artykułem tym pragnę ponadto przestrzec przed zbytnią wiarą w szumność nazw tematów badawczych. Na zakończenie chcę przedstawić jeden ze stosunkowo nowych, dotowanych przez odpowiednie państwowe instytucje naukowo-badawcze, „nośnych" tematów badawczych. Zagadnieniem tym są *ciężkie fermiony* (ang. *heavy fermions*). Fermiony to wszystkie cząstki o spinie połówkowym (między innymi elektron, wszystkie składniki jądra atomowego, kwarki i mnóstwo innych cząstek elementarnych). Teoria ciężkich fermionów nie zajmuje się ogólną teorią elementarnych budulców materii, ale efektem polegającym na tym, że w przypadku pewnych związków pomiary zależności ciepła właściwego od temperatury wskazują widoczną, liniową zależność w niskich temperaturach. Interpretacja takiej krzywej w ramach modelu pasmowego sugeruje, że jeden z jej parametrów (tzw. masa efektywna) powinien być przyjmowany jako większy niż gdzie indziej. Jak nazwać takie perły w nominalizmie fizycznym pozostawiam czytelnikowi do własnej oceny.

Rafał Michalski

[1] S. Hawking, *Krótka historia czasu*, Poznań 1996.
[2] Centrum Fizyki Ciała Stałego, www.css-physics.edu.pl.

Piotr Krywak

Fantasy i *science fiction* czyli znów o materii mieszaniu

Zdawać by się mogło, że problem rozstrzygnięto przed trzydziestu laty, a dokonane po upływie dekady poszerzenie argumentacji przemawiającej za przyjętymi niegdyś ustaleniami ostatecznie sprawę zamknęło. Nic z tego. Wciąż powtarzane są tezy mocno wątpliwe, siejące zamęt w umysłach entuzjastów gatunku, który stał się tak popularny, że nobilitowano go, wprowadzając do spisów szkolnych lektur

Mniej więcej w połowie lat 70. stało się jasne, że czas triumfów fantastyki naukowej, którego apogeum przypadło w Polsce na poprzednie dziesięciolecie, dobiega końca. Osłabienie związków tej prozy z nauką, przekładające się na zanik tzw. „twardej" (*hard*) SF, wyraźne zainteresowanie prognostyką społeczną zamiast technicznej, ciągoty do rozprawiania się z teraźniejszością za pomocą ezopowego języka i skupianie uwagi na eksperymentatorstwie formalnym dawały o sobie znać coraz częściej. Zmierzch *science fiction* zapadał szybko, a wielbicieli fantastyki dręczyć poczęło pytanie: co dalej?

Czas przyniósł odpowiedź: tak, jak fantastykę grozy wyparła niegdyś skutecznie naukowa, tak naukową wyłączyła z czytelniczego obiegu *fantasy*. Jednakże w latach siedemdziesiątych minionego wieku wynalazek Howarda i Tolkiena jeszcze się u nas trwale nie zadomowił, choć pochodzący z Teksasu pisarz stworzył postać Conana na początku czwartej dekady stulecia (1932), a urodzony w Południowej Afryce Anglik wydał swego *Hobbita* zaledwie 5 lat później. Polski przekład jego powieści – dokonany przez Martę Skibniewską – a niebawem także trylogii *Władca pierścieni* (powstałej w latach 1954–1955) pojawiły się wprawdzie w sprzedaży już na początku lat sześćdziesiątych, lecz – mimo ogromnego i niezaspokojonego popytu – ich reedycje trafiły do księgarń dopiero po 20 latach. Na opowiadania Howarda czekano jeszcze dłużej. Każdy jednak, kto zadał sobie trud przeczytania Lemowej *Fantastyki i futurologii* (1970), wiedział, że po *science fiction* na Zachodzie modne stało się coś nowego. To „coś" z biegiem czasu poczęto nazywać „fantazją", lub częściej, za Lemem i zgodnie z szerzącą się modą na angielskie zapożyczenia – *fantasy*.

Nowego terminu nie stosowano jeszcze w owym czasie powszechnie. O najmłodszej odmianie fantastyki mówiło się raczej w sposób opisowy, podkreślając jej podobieństwo do baśni lub akcentując hybrydyczny charakter: jednoczesne odwoływanie się do motywów baśniowych i mitycznych oraz rekwizytów czerpanych z *science fiction*. Już wtedy jednak w świadomości teoretyków rysował się poważny problem genologiczny: gdzie na mapie rozmaitych odmian literatury fantastycznej ulokować jej najświeższą postać, jak ma się ona do baśni, do opowieści grozy, do prozy o tematyce przyszłościowej? Jak precyzyjnie sklasyfikować utwór, którego bohaterowie włóczą się wprawdzie po całym Kosmosie, lecz nie w rakietach czy latających spodkach, a na grzbietach smoków, i po to tylko, by rzucać czary na jego mieszkańców?

Rozstrzygnięcie sporów dokonało się prędzej niż można się było spodziewać, zanim pojęcie *fantasy* weszło na stałe do języka krytyki. Nastąpiło w 1975 r., gdy na łamach „Tekstów" (nr 5) Ryszard

Handke zamieścił artykuł *O pewnym materii pomieszaniu czyli między baśnią a science fiction*. Przedstawioną w nim argumentację powtórzył i rozbudował jedenaście lat później, publikując, tym razem w „Fantastyce", kolejny szkic teoretyczny: *Baśń a SF – po raz drugi* (1986, nr 6). Wciąż jeszcze nawiązując do pojęcia baśni opowiedział się za wyraźnym rozgraniczeniem obu odmian literatury i wskazał czynnik umożliwiający ich jednoznaczną identyfikację. Zdaniem warszawskiego badacza była nim odmienna motywacja zjawisk fantastycznych pojawiających się w światach przedstawionych rozpatrywanych gatunków. Naukowe lub pozornie naukowe ich wyjaśnienie pozwalało umiejscowić utwór w kręgu *science fiction*, nadnaturalność zaś nieposiadająca takiego uzasadnienia przesądzać miała o jego baśniowym charakterze lub – w najlepszym wypadku – sytuować tekst na pograniczu baśni i naukowej fantastyki.

I oto – po następnych jedenastu latach – ze zdumieniem czytam następujące słowa: „Fantasy, zwana także fantastyką baśniową, jest jedną z dwóch głównych odmian (obok fantastyki technicznej) współczesnej literatury fantastycznonaukowej". To pierwsze zdanie opracowanego przez Piotra Dębka hasła *Fantasy* zamieszczonego w *Słowniku literatury popularnej* (Wrocław 1997, s. 103). Co ciekawe, w tym samym, rzec można – pionierskim w Polsce dziele, lecz w zredagowanym przez Leszka Pułkę haśle *Literatura fantastycznonaukowa* (s. 210–211), opinii tej już nie powtórzono, ograniczając się do odnotowania faktu, iż *science fiction* jest coraz częściej wypierana właśnie przez *fantasy*. Rozumiem przez to, że autor drugiego z przywołanych omówień uważa fantazję za zjawisko z fantastyką naukową nietożsame, to bowiem, co wypiera, nie może być jednocześnie tym, co jest wypierane... Zawartości obu haseł najwyraźniej więc nie skorelowano; okazuje się niespójna, ale – nie w tym rzecz.

Siedem lat przed wydaniem cytowanego słownika, a cztery po powtórnym rozpatrzeniu problemu przez Ryszarda Handkego, dwaj inni badacze, Andrzej Niewiadowski i Antoni Smuszkiewicz, pisali o fantasy, iż „wprawdzie nawiązuje do innych [...] odmian (fantastyki – przypis autora) usankcjonowanych przez tradycję [...], ale ze względu na typ motywacji z żadną z nich nie daje się w pełni utożsamić" (*Leksykon polskiej literatury fantastycznonaukowej*, Poznań 1990, s. 287). Na cóż więc zdały się dokonane przez nich i Handkego ustalenia? Materię jak mieszano, tak miesza się dalej...

Pojawia się tedy pytanie: dlaczego? Skoro kryterium podziału jest tak proste, jak utrzymywał Ryszard Handke, a niemożliwość identyfikowania *fantasy* z *science fiction* tak oczywista, jak twierdzili Andrzej Niewiadowski i Antoni Smuszkiewicz, poparci pośrednio także przez Leszka Pułkę, czemuż – po tylu latach! – znów przychodzi mi czytać, że *fantasy* to odmiana fantastyki naukowej?

Odpowiedź jest stosunkowo prosta i łączy się ze specyfiką spornego gatunku. Przybiera on bowiem trzy różne formy, z których dwie konsekwentnie nawiązują do baśni i mitu, modyfikując wprawdzie ich konwencje, lecz motywacji niezwykłych zjawisk nie tykając, trzecia zaś łamie ową zasadę i obok zgodnych z tradycją uzasadnień wprowadza naukowe, umożliwiając tym samym kreowanie światów, w których magia i wiedza zdolne są jednakowo skutecznie zmieniać rzeczywistość. W dwu przypadkach odejście od poetyki gatunków wzorcowych ogranicza się zatem – przykładowo – do tego, że czary mają ograniczoną moc lub działają tylko w pewnych okolicznościach, w trzecim natomiast przeciwko magowi wystąpić może posiadacz urządzenia, które niweczy siłę jego zaklęć: urządzenia, a nie przedmiotu o cudownych właściwościach! Pierwsza i druga to „fantazja heroiczna" (*heroic fantasy*) oraz „fantazja miecza i czarów" (*sword and sorcery*). Trzecią zwie się „fantazją naukową" (*science fantasy*) i właśnie ona jest główną przyczyną nieporozumień oraz genologicznych dysput. Niemniej, nie jedyną.

Sytuację komplikują dodatkowo kolejne pojęcia wprowadzone w końcówce minionego wieku do języka krytyki, a służące opisowi nowych fenomenów, jakie objawiły się w literaturze fantastycznej i przyczyniły do dalszego zacierania się granic między różnymi jej odmianami. Pierwszy z nich to „historie alternatywne". Nazywa się tak opowieści o innym

przebiegu dziejów niż ten, który znamy z lekcji historii. Korzenie owego pisarstwa sięgają pierwszej połowy XIX w. (*Napoléon Apocryphe* L. Geoffroya, 1836), lecz prawdziwy rozkwit przeżyło ono dopiero w XX stuleciu. Odpowiedzi na pytanie: co by było, gdyby historia potoczyła się inaczej, stały się jednym z częstszych tematów prozy popularnej (*science fiction*, *fantasy*, politycznych thrillerów), lecz nie stronili od nich również twórcy elitarni (Teodor Parnicki: *Mogło być tak właśnie*). Drugi termin to „alternatywne światy" – fabuły oparte na założeniu, że w tym samym wycinku przestrzeni, lecz niejako w innym jej wymiarze, istnieje obok siebie nieskończona ilość różnych rzeczywistości i właśnie w nich umiejscowione. Oba pojęcia, choć nie są synonimami, niewątpliwie się zazębiają (historia alternatywna może – ale nie musi! – toczyć się w alternatywnym świecie), a ponadto łączą zarówno z fantastyką naukową, jak i z *fantasy*, gdyż „inny świat" z jednakim powodzeniem przybiera postacie zgodne z konwencjami obu gatunków.

Zauważmy, że pojęcie „świata alternatywnego" okazuje się w praktycznym stosowaniu workiem niezwykle pojemnym, zdającym się mieścić w sobie nie tylko fragment klasycznej, naukowej fantastyki, lecz także całą prozę *fantasy*, kontrowersyjnej *science fantasy* nie wyłączając. Skoro bowiem pisarz zawsze może oświadczyć, iż wymyślił i opisał inną rzeczywistość, równoległą do naszej, o cechach sprzecznych, co prawda, z zasadami empirii, lecz właśnie przez wzgląd na empirię dającą się opisać jako możliwa, to stworzył *science fiction*. Fantazja staje się w ten sposób częścią naukowej fantastyki, opozycyjną wobec tych jedynie utworów z jej obszaru, których fabuła osadzona jest w autentycznych bądź zmyślonych realiach postrzeganego przez nas wszechświata i w żaden sposób (na przykład metafizycznie lub baśniowo) poza nie niewykraczających.

Doszliśmy w ten sposób do sedna. Idea alternatywnych światów ma niewątpliwie źródło w hipotezach współczesnej fizyki. W jakim stopniu prawdopodobnych – nieważne. Odwołanie się do nich w literackiej opowieści łączy ją automatycznie z fantastyką naukową, choć w stworzonej przez pisarza rzeczywistości fruwają smoki, a magowie rzucają czary; owa rzeczywistość ma bowiem – właśnie jako świat alternatywny, lecz już nie jako jego postać – naukowe umotywowanie. Cała tedy *fantasy*, to nic innego, jak tylko nowe oblicze *science fiction*, co też gromko obwieścił w *Słowniku literatury popularnej* mój imiennik.

Ejże! Prawdą jest, że światy alternatywne przybierać mogą kształty znane z fantastyki naukowej lub takie, jakie znamy z baśni; mogą też mieszać ze sobą ich właściwości. Czy jednak z tego powodu kryterium wskazane przez Ryszarda Handkego utraciło moc? Bynajmniej. Spójrzmy bowiem na problem od strony czytelnika i zastanówmy się, kiedy ma on świadomość, iż czyta książkę o „innym świecie"? Wtedy i tylko wtedy, gdy tekst go o tym powiadamia. Poznając prozę Howarda i Tolkiena przekonujemy się, że opisana w niej rzeczywistość nie jest obrazem autentycznej przeszłości, nie mamy jednak wrażenia, że istniała ona, istnieje lub zaistnieje gdziekolwiek i kiedykolwiek, a więc także w innym kontinuum czasoprzestrzennym niż to, które odbierają receptory naszych zmysłów. By wrażenie to powstało, niezbędny jest wyraźny sygnał; sama tylko niezwykłość przedstawionych w dziele realiów nie wystarczy. Gdyby rzecz miała się inaczej, świat Kopciuszka i królewny Śnieżki musiałby zostać uznany za alternatywny.

Jeśli zatem pisarz oświadcza czytelnikowi: poznajesz, mój drogi, opowieść o rzeczywistości, której nie ujrzysz wprawdzie na własne oczy, gdyż zrodziła się w mej wyobraźni, lecz która jest możliwa, bo – podług domniemań niektórych fizyków – ilość światów równoległych jest nieskończona, a stąd wniosek, iż może istnieć i taki, jaki wymyśliłem – rzecz ma wyraźny związek z *science fiction*. Inaczej, gdy wspomnianego odwołania brak, gdy od pierwszego zdania utworu poruszamy się po krainie, która rządzi się własnymi prawami, i gdzie cud jest możliwy ot, tak sobie, z woli autora, a nie dlatego, że prawdopodobne jest istnienie innego niż znany nam świat. Wtedy czytamy baśń.

Powiadomienie odbiorcy o tym, że w toku lektury wędruje wraz z bohaterami po świecie alterna-

tywnym, nie musi mieć, rzecz jasna, tak ostentacyjnej jak zasugerowana postaci; niemniej, jest konieczne, by utwór umieścić w kręgu *science fiction*.

A co - spyta ktoś - z *science fantasy*? To samo. Sygnał świadczący o tym, iż rzecz dzieje się w rzeczywistości równoległej, którą w jakiś sposób udało nam się poznać, przesądza o związkach utworu z fantastyką naukową. Jego nieobecność zaś lokuje dzieło na pograniczu baśni i *science fiction*, w obszarze stanowiącym być może komercyjny odprysk łączącej wszystko ze wszystkim poetyki postmodernizmu.

Fantasy w postaci stworzonej przez Howarda, Tolkiena i ich późniejszych naśladowców nie jest więc fantastyką naukową, a gatunkiem, który - najzupełniej słusznie - określa się mianem współczesnej baśni. Natomiast wtedy, gdy jednoznacznie odwołuje się do koncepcji równoległych światów, zachowując zarazem baśniową motywację zachodzących w nich, niezwykłych zjawisk, mami po prostu odbiorcę i bardziej „pozuje" na *science fiction*, niż nią w istocie jest. Niemniej, nadając w ten sposób pozory prawdopodobieństwa rzeczywistości, w której to, co zwykliśmy uważać za cud, jest możliwe, z formalnego punktu widzenia może być za fantastykę naukową uznana. Utwory tak skonstruowane tworzą jednak część tylko, nie całość gatunku, stawianie więc znaku równości między *fantasy* i *science fiction* jest bezzasadne.

Zaproponowane trzydzieści lat temu przez Ryszarda Handkego kryterium podziału sprawdza się tedy nadal i aż dziw, że wciąż jeszcze dochodzi w tej kwestii do jawnego „materii mieszania"...

Piotr Krywak

Andrzej Warzecha

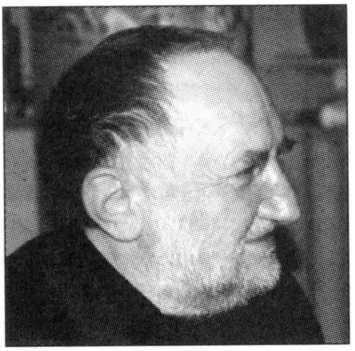

Poeta, publicysta, krytyk artystyczny, dziennikarz od roku 1975 związany z „Dziennikiem Polskim". Współzałożyciel grupy poetyckiej „Tylicz". Utwory Andrzeja Warzechy od lat siedemdziesiątych pojawiały się m.in. w „Życiu Literackim", „Tygodniku Kulturalnym", „Kulturze", „Przekroju". Debiutem książkowym był zbiór poezji *Biały paszport* z roku 1975. Najnowszym tomikiem poetyckim jest, uhonorowany nagrodą „Krakowskiej Książki Miesiąca" (wrzesień 2003), *Zielony ryzykant.*

Żonkil

Co roku
Z ziemi
Dumnie wstaje
Żonkil
Stokrotka
Polny chwast

Nam obiecano
Tylko raz

2004

Apel

My żywi
Stając
Do apelu

Raz jeszcze
Po imieniu

Prosimy
Każdego z Was
O pomoc

2004

Jak gwiazdy

Dzisiaj
Jesteśmy
Nieco dalej
A może
Bliżej nieco

Gwiazdy
Też kończą
Życie

Choć
Nieco dłużej
Świecą

2002

Późnym latem

Wspominając Jurka Harasymowicza

Stygnie upał
Nad rabatką
Przed domem

Rdzawa paproć
Opłakuje cichutko
Niegdysiejszą
Zieloną
Urodę

2003

Stanisław Burkot

Czytajmy poetów

Nie wszystkich. Wrzaskliwa ulica, oszalałe mass media, szczuropodobni politycy w telewizorze, klatki schodowe zaśmiecone reklamami, których nikt nie czyta i nikt nie pyta o ich handlową użyteczność - świat jak z Franka O'Hary. To jest tło obrazu, na którym pojawia się człowiek współczesny - wykonuje jakieś ruchy, grzebie w śmietnikach, gdzieś biegnie z ponurą twarzą, ze spuszczoną głową. Byle do mety. Tak wygląda nowe zniewolenie. Szaleństwo plakatowych kolorów ma nas przekonać, że jeśli nie jesteśmy jeszcze w Arkadii, to lada dzień... itd., itd.

Szukajmy azylu przed szaleństwem świata, gdzie czas prywatny biegł będzie inaczej, gdzie pojawi się uśmiech, kontemplacyjny błysk myśli czystej, wolnej od stereotypów...

Wszystko to, co powiedziałem, powiedziałem z powodu poezji Andrzeja Warzechy... Charakteryzuje ją najpełniej wyciszenie, odrzucenie wrzasku - nie chodzi o ucieczkę, lecz o świadomy wybór i przenikliwe rozpoznanie spustoszonego wnętrza człowieka współczesnego. Rozpoznanie owo nie zmienia się w moralizatorską tyradę, jest ukryte za obrazkiem z życia - prawie banalnym, zwykłym. Przywołajmy tu wiersz *Rodzinny telewizor*:

Nawet nie zauważyłem
jak od stołu
przesiedliśmy się
przed rodzinny telewizor
przy którym
nie ma już miejsca
dla tatuowanych marynarzy
i żołnierza samochwała

Nawet nie zauważyłem
że w spisie lektur
znalazła się
instrukcja obsługi
i karta gwarancyjna
którą przechowujemy
jak metrykę
sławnego dziadka

Nawet nie zauważyliśmy, kiedy się to stało, kiedy nowa cywilizacja zawładnęła nami, kiedy rozstaliśmy się dawnymi wzorami życia, z najbliższym kręgiem sygnalizowanym przez rodzinny stół i światło lampy. Nie ma już miejsca na opowieści rodzinne i na czytanie książek (w spisie lektur główne miejsce zajmuje karta gwarancyjna telewizora). Myślę, że niemożliwe jest dziś nawet powtórzenie przez następców takiej drogi życiowej, jaką przeszedł autor *Białego paszportu* (1975). Komu by się chciało? Wprawdzie w 1968 r. na łamach „Życia Literackiego" ogłosił pierwszy wiersz, ale po drodze o mało nie został zakonnikiem, był kelnerem i fryzjerem, uczniem w liceum dla pracujących, od 1969 r. studentem filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, nauczycielem, dziennikarzem, jest jednak przede wszystkim poetą. Należy do pokolenia „urodzonych po wojnie", de facto do „Nowej Fali", jeśli dziś to określenie jeszcze cokolwiek znaczy. W czasie studiów należał do grupy „Tylicz", uchodzącej za opozycyjną w stosunku do grupy „Teraz", która na początku lat siedemdziesiątych ogłaszała buntownicze programy poetyckie i ideowe, eksponujące miasto jako jedyną przestrzeń życia. Andrzej Warzecha, Adam Ziemianin, Jerzy Gizella, Krzysztof Torbus, Wiesław Kolarz, Franciszek Brataniec w krótkiej fazie działalności grupowej głosili natomiast pochwałę prowincji. Ale starczyło to za-

ledwie na czas debiutu. Nowy Sącz, miejsce urodzenia Andrzeja Warzechy, nie jest zabitą deskami prowincją, tyle tylko, że do Tylicza, całkiem prowincjonalnego, wręcz skansenowego miasteczka, jest blisko, a Muszynę Adama Ziemianina zajął już wcześniej dla nazwania swojej grupy Jerzy Harasymowicz.

Z tego pierwszego okresu odnajdujemy u Warzechy ślady ironicznych potyczek z członkami grupy „Teraz", jak w *Dedykacji:*

Na przekór wam poeci
którzy haftujecie swój sztandar
w niezgrabne słowa manifestów
wiosna
potrafi zadziwić
lepiej niż wiersz

Prowincja nie zmienia się u Warzechy, jak u Harasymowicza, w Arkadię, nie daje schronienia; poeta nie może i nie chce się w niej zakorzenić. Ironia, łagodna, a nawet ciepła, określa prowincjonalność nie w sensie materialnym (architektury, niedostatków współczesnych zdobyczy cywilizacyjnych), lecz duchowym. Wyraża to tytułowy wiersz z debiutanckiego tomiku *Biały paszport*:

Pomiędzy trybuną i ołtarzem
(jedno i drugie bywa zbijane
z nieheblowanych desek)
stoi poeta
z białym paszportem wiersza

Metafizyk majowej manifestacji
nieślubne dziecko
siwych teologów

Pomiędzy ołtarzem
a trybuną
pobożny ministrant
wiecujących
domowy nauczyciel
swojego proboszcza

Tyliczanie dość szybko rozbiegli się po świecie, opuścili swoją wyimaginowaną Arkadię; Ziemianin i Warzecha osiedli w Krakowie, Gizella, krakowianin z urodzenia, między sobą a Tyliczem – jakby to Norwid powiedział – „położył Ocean"... W twórczości Warzechy, i Ziemianina także, pozostał widoczny rys owego początku w postaci wrażliwości na piękno i tajemnice natury. Ważne miejsce w metaforyce poetyckiej zajmuje dom rodzinny. W odczuwanej bliskości znajomego pejzażu jest jakiś poetycki panteizm, pokorny szacunek dla ładu świata, nawet jeśli jest to ład gorzki, mówiący o śmierci:

Łąki już martwe
na wznak leżą
słońce wysysa z ziół ich soki
i do nas kiedyś przyjdą z kosą
i najpiękniejsze
zetną loki
(Czerwiec)

Tego nie mógłby napisać żaden z poetów grupy „Teraz" czy grupy „Próby". Jest to ryt własny, poświadczający odrębność i oryginalność, mający swoje konsekwencje w dalszym rozwoju poety. A Warzecha, dobrze wpisany w panoramę kulturalną Krakowa, jest autorem kilkunastu tomików wierszy: oprócz debiutanckiego *Białego paszportu* wydał tomiki – *Rodzinny telewizor* (1977), *Ciało obce* (1979), *Błędny ognik* (1982), *Pieniądze dla umarłych* (1987), *Przy rodzinnym stole* (1991), *Krótka ballada o wiecznej miłości* (1992), *Matka atlety* (1995), *Jesień z mostu* (1999), *Zielony ryzykant* (2003). Nie należy Warzecha do poetów medialnych – „obecnych" przy różnych okazjach w radiu i w telewizji, czasem w prasie codziennej zjawiają się jego pojedyncze wiersze. Poezja w takim układzie staje się zapisem życia, prywatnych myśli, jednostkowych wyborów, zawsze jednak rzetelnych indywidualnych wartościowań. Bo to wyznacza status poety, jest jego powinnością:

Serce powiedziało mu - nie
rozum powiedział mu - tak
on jednak
błazeńskim sposobem
poszedł własną drogą
(*Poeta czytaj błazen*)

Powiedzieć jednak można, że to błazen ma często rację, bo w nagłym błysku rozpoznaje fragment prawdy. Służy temu cecha języka poetyckiego - obowiązuje w nim rygor, narzucony na myśl formalny porządek wiersza. Wypowiedź trzeba oczyścić z rzeczy zbędnych, byle jakich. Mówię tu oczywiście o dobrej i świadomej siebie poezji:

Przegrałem
powiedział mędrzec
zwyciężając na pięści
(Pokonany)

Kto zaczął
pyta rozgniewany król
po przegranej bitwie

Ty panie
odpowiada kronikarz
z godnym historyka
stuletnim namysłem
(Kronika)

Te dwa krótkie wiersze można rozwinąć w osobne traktaty, zamienić w eseje... Ale po co? Zniknie wówczas prawdziwa tajemnica języka poetyckiego. Nie chodzi w tym przypadku o nastrój, o emocje, lecz o myśl - rzec można: w stanie czystym. Nie jest podporządkowana nikomu, ujmuje jakieś relacje międzyludzkie, dotyka prawd odkrywanych nagle, niespodziewanie.

Operowanie paradoksem jest czynnością intelektualną, paradoks okazuje się diagnostycznym narzędziem w rozpoznawaniu absurdów świata. Na tej drodze poeci dochodzili często do postaw katastroficznych, do wzmacniania środków ekspresji - do krzyku. W poezji Andrzeja Warzechy nie ma krzyku, jest intelektualny namysł, często ironiczna refleksja. W budowie wierszy uwagę zwraca wyraźnie zaznaczona pointa, stanowiąca kompozycyjną dominantę. Wiersz nie jest zapisem przepływu emocji, liryczną erupcją, nie jest także wyznaniem czy spowiedzią, wynika z kontemplacyjnej postawy wobec świata. Człowiek okazuje się wpisany w porządek większy, rozleglejszy - wiecznych wymian życia i śmierci. Mit eleuzyński w wydaniu Warzechy ma swojską postać:

Wielkie pod ziemią
poruszenie
podbiał się budzi
i kaczeniec

Pąk się obraca
w stronę słońca
dziewczyna chłopcu
mówi zostań
(Wiosenna gorączka)

Ale mit ten uznać można za najstarszą formułę aprobaty i zgody na życie z jego paradoksami, krótkością, gromadzoną latami w odczuciu indywidualnym sumą niespełnień. Bunt przeciwko odwiecznym prawom powiększa tylko cierpienie:

Nie uprawiał, bo nie miał czasu.
Nie miał czasu, bo czuwał.
Czuwał, bo nie dowierzał.
Nie dowierzał, bo nie był pewien,
i powiesił się ogrodnik
w swym rajskim ogrodzie.
(Rajski ogród)

Jest w tym krótkim wierszu portret człowieka współczesnego, który zbudował sobie nieprawdziwe wyobrażenie życia i świata, fałszywe i obezwładniające. Przyroda, natura, zajmująca tak ważne miejsce w obrazowaniu poetyckim Warzechy, nie stanowi samodzielnego tematu; nie chodzi o malowanie wzruszających pejzaży, lecz stałe przypominanie owego odwiecznego eleuzyńskie-

go porządku. Tajemnica egzystencji jest jedna – i dla podbiału, i dla człowieka. Im dalej odchodzimy od owych elementarnych praw, tym więcej cierpimy. Poezja refleksji, namysłu, zasadnicza w dorobku Andrzeja Warzechy, zmierza – raz po raz – ku skrótowi, ku aforyzmowi. Zwięzłość jego wierszy, brak ozdobnych i wyszukanych metafor, uznać trzeba za celowe, perfekcyjne wręcz wydobywanie myśli właśnie. A myśl nie lubi krzyku, nie lubi także pustosłowia i ozdób.

Nasz wrzaskliwy, mass medialny czas buduje fałszywe wyobrażenie życia i świata. Pogoń za newsami zniekształca obraz; wszystkie mass media – niezależnie od głośnych deklaracji i zarzekań – są na czyimś garnuszku, prezentują interesy swego pana. Powtarzam tu opinię prawdziwego eksperta, najwybitniejszego z wybitnych – Ryszarda Kapuścińskiego. Tylko 10% z tego, co dzieje się wokół nas, staje się tematem przekazu, 90% to wielka „czarna dziura". Na jej obrzeżach trwa nieustanny wrzask. To ten wrzask właśnie wypełnia nasze wnętrza, nasze sposoby myślenia i przeżywania, a nawet mówienia. Nie jesteśmy sobą, co więcej – może już nie potrafimy być sobą: jesteśmy niewolnikami newsowej cywilizacji.

Czytajmy poetów, których nie interesują newsy, których mózgi nie zostały porażone szczurzą gonitwą.

Stanisław Burkot

Agnieszka Ogonowska

Lars von Trier
Teoretyk czy szarlatan kina?

Zapytany przez jednego z internautów, czy kręcenie kolejnych filmów sprawia, że staje się lepszym reżyserem, odparł: „Mam nadzieję, że czyni mnie to i n n y m reżyserem"; powszechnie kojarzony z radykalnym Manifestem Grupy Filmowej Dogma '95, po latach konstatuje ten okres: „Nigdy nie zamierzałem zrobić więcej niż jednego filmu Dogmy. Dogma była jak lekarstwo na ból głowy. Nie bierzesz go cały czas, ale tylko wtedy, kiedy potrzebujesz"

Naprawdę nazywa się Lars Trier, urodził się w 1956 r. w Kopenhadze. Zajmuje się nie tylko reżyserią, ale również pracował jako scenarzysta, operator i aktor filmowy, a nawet autor reklam i rockowych wideoklipów. Pracę reżyserską rozpoczął już jako student kopenhaskiej szkoły filmowej dwiema, nagrodzonymi na festiwalu filmów studenckich w Monachium, etiudami filmowymi: *Nocturne* i *Befrielsesbillder* (*Wyobrażenia wolności).* Międzynarodowa krytyka zapamiętała go jednak jako autora takich dzieł, jak: *Element zbrodni* (1984), *Epidemic* (1988), *Europa* (1991), *Przełamując fale* (1996) (Złota Palma MFF w Cannes i Europejska Nagroda Felixa dla najlepszego filmu), *Idioci* (1998) (filmu zrealizowanego zgodnie z zasadami Dogmy) oraz musicalu: *Tańcząc w ciemnościach,* z przepiękną muzyką odtwórczyni głównej roli - wokalistki Björk, czy w końcu *Dogville*, z niezapomnianą kreacją Nicole Kidman.

W 2000 r. Lars decyduje się realizować pomysł kolejnego filmu, a do współpracy zaprasza swojego dawnego nauczyciela, sławnego duńskiego dokumentalistę, Jorgena Letha. W liście tak przedstawia mu swoją propozycję:

„Wyzwanie, które Ci proponuję, nazywa się: *Pięć nieczystych zagrań*. Na początek chcę byś pokazał mi swój 12-minutowy film pt. *The Perfect Human*. Obejrzymy go wspólnie i przedyskutujemy, a następnie wyznaczę ci ograniczenia, nakazy i zakazy, według których będziesz musiał przerobić ten film. Powtórzymy ten proces pięć razy - stąd tytuł. Wydaje mi się oczywiste, że nasze rozmowy powinny zostać włączone do ostatecznej wersji filmu - wraz z pięcioma nowymi wersjami *The Perfect Human*. Mam nadzieję, że będziesz usatysfakcjonowany tym zadaniem. Może temat pierwszego z filmów ustalimy wspólnie? Oczywiście największej rozrywki dostarczy nam taki temat, który zapewni jak największe zróżnicowanie kolejnych obrazów. Daj mi znać, co o tym sądzisz. Czekam na odpowiedź.

Pozdrowienia. Lars."

Wyzwanie zostało podjęte, i tak rozpoczął się filmowy pojedynek dwóch silnych osobowości, złączonych nie tylko pasją tworzenia, ale również relacją: uczeń - mistrz, która teraz jednak uległa praktycznemu odwróceniu. Może właśnie stąd - jakże pełne zdziwienia - pojawia się wyznanie samego Jorgena:

„Przy pracy nad *Pięcioma nieczystymi zagraniami* miałem wrażenie, że Lars się na mnie mści. Wyrzucał mi, że jako student szkoły filmowej prosił o rady dotyczące reżyserii, ale ja nigdy nie miałem dla niego czasu. Co prawda nic takiego sobie nie

przypominam, ale on uparcie twierdził, że tak było. Uparty był też podczas pracy nad filmem, czym czasem - mimo że jestem człowiekiem spokojnym - doprowadzał mnie do furii. Wydawało mi się, że przez swoje dziwne *zasady* i *przepisy* chce mnie zmusić do zrobienia złego filmu. Dopiero dziś widzę, że - przy okazji - też się czegoś nauczyłem. Lars lubi przeszkody. Lubi zadawać sobie ból, bo kino traktuje niezmiernie poważnie. Jest mi bliski jako reżyser, bo podobnie jak ja stara się rozszerzyć język kina."

W ten sposób na warsztat trafia *Człowiek doskonały*, dwunastominutowa etiuda filmowa z 1967 r., od której początek wezmą kolejne remake'i Letha, składające się na *Pięć nieczystych zagrań*. Z kolei tytuł tego ostatniego dzieła bezpośrednio nawiązuje do filmu Jorgena, opowiadającego o niezwykłym duńskim piłkarzu, Michaelu Laudrupie, znanym z wirtuozerskiej techniki gry, w której - z powodzeniem - w celu zmylenia przeciwnika, wykorzystywał triki tzw. „gry na faul".

Artystyczny projekt von Triera przyjmuje charakter kuriozalnej zabawy w dekonstrukcje perfekcyjnej formuły dzieła Letha. Doskonałość dzieła, jego lekkość i chłodną precyzję oddają choćby słowa „doskonałego człowieka" przy goleniu: „Dzisiaj doświadczyłem takiego czegoś, co mam nadzieję zrozumieć za kilka dni".

Artystyczny projekt von Triera przyjmuje charakter kuriozalnej zabawy w dekonstrukcje perfekcyjnej formuły dzieła Letha. Doskonałość dzieła, jego lekkość i chłodną precyzję oddają choćby słowa „doskonałego człowieka" przy goleniu: „Dzisiaj doświadczyłem takiego czegoś, co mam nadzieję zrozumieć za kilka dni"

Ustanawiane ograniczenia potęgują gniew i frustracje dawnego mistrza, ale jednocześnie sprawiają, że praca nabiera cech trierowskich; Jorgen zaczyna myśleć, jak von Trier, co też ujawnia w sferze bezpośrednich deklaracji: „Jestem pewien, że Lars tak właśnie nakręciłby tę scenę" - mówi. W efekcie powstaje film o robieniu filmu, o zmaganiu się twórcy z materią dzieła i ze swoim przywiązaniem do jego wystudiowanej formy, z konfliktem pokoleń, z kryzysem tradycyjnych poetyk oraz zasad robienia filmów. Ograniczenia narzucone przez Larsa obejmują wszystkie strategiczne elementy kompozycyjne: temat, formę, miejsce akcji, czy sposób filmowania. Pomysł wymuszonych poprawek, zmian, cięć przeprowadzanych pod zewnętrzny i nieumotywowany artystycznie dyktat, stanowi również zamach na sferę wolności twórczej, zwłaszcza, że arogancja i pycha projektodawcy wzrasta przy kolejnych zadaniach. Między tworzeniem i projekcjami zrealizowanych filmów von Trier nie szczędzi krytyki swemu nauczycielowi, a nawet odrzuca mu jeden z remake'ów, a do kolejnego - niejako za karę - nie udziela żadnych wskazówek. Jednocześnie, jakby wbrew swoim sadystycznym praktykom stosowanym wobec Jorgena, deklaruje: „Myślę, że trzeba być wolnym i używać wszystkich środków, o których myśli się, że powinno się ich użyć. To bardzo ważny rodzaj wolności dla mnie". Z drugiej strony, nasuwa się pytanie, czy jest to w istocie pojedynek między dwoma reżyserami? Czy można tu mówić o konfrontacji ucznia z niespełna 19 lat starszym mistrzem? Być może jest tak, że von Trier traktuje Letha jedynie pretekstowo, chcąc w istocie narzucić ograniczenia - paradoksalnie - tylko samemu sobie.

Zresztą duński dokumentalista wychodzi z opresji obronną ręką. Balansując między przymusem kompletnej wolności i całkowitego ubezwłasnowolnienia tworzy zgrabne dzieła na miarę prawdziwego profesjonalisty. Komentarz do fragmentów *Człowieka doskonałego*, wykorzystanego w nowym filmie na prawach przerywników głosił: „Oglądać będziemy doskonałą istotę ludzką w działaniu..." i taki do końca pozostał Jorgen. Na to zresztą wskazują efekty jego pracy, przedstawione w *Pięciu nieczystych zagraniach*. Ciekawe, czy - nieświadomy założeń całego projektu - widz, domyśliłby się istnie-

nia tych ograniczeń po obejrzeniu samych filmów, wyizolowanych z kontekstu wskazującego na warunki ich tworzenia? Ale w takiej sytuacji powstałoby zupełnie inne dzieło, mniej „teoretyczne". Lars jednak celowo wikła widza w anatomię procesu tworzenia, zaprasza go za kulisy, kreuje dzieło na wskroś autotematyczne, ale czy autentyczne?

Myliłby się bowiem ten, kto sądzi, że dialogi obu panów to całkowicie spontaniczna wymiana poglądów na istotę kina. Pamiętajmy, że Lars dochodzi do autentyzmu poprzez grę pozorów... Tak było w *Idiotach*, tak jest również w *Pięciu nieczystych zagraniach*. Dekonstrukcja filmu służy w istocie analizie psychiki ludzkiej. Kiedy tytułowi Idioci rozmawiają o poziome autentyzmu odtwarzanych przez siebie ról, kiedy mówią do kamery na temat swoich przeżyć związanych z uczestnictwem w tym swoistym antropologicznym eksperymencie, realizują konsekwentnie wymogi wcześniej ustalonego scenariusza. Von Trier to skrupulatny, wręcz pedantyczny (niektórzy mówią sadystyczny) w swej pracy profesjonalista, który nie pozostawia nawet cienia przypadkowości swoim aktorom. Kreuje wrażenie istnienia marginesów swobody, a w istocie tworzy wielopoziomową grę złudzeń, wobec których pozostawia widza bez ostatecznych odpowiedzi, bez istotnych wskazówek.

Oglądając film dokumentalny poświęcony pracy nad tym filmem, widzimy Larsa, który niezwykle sugestywnie opowiada współpracownikom o swoich oczekiwaniach. W rezultacie nie tylko grają oni upośledzonych psychicznie ludzi, ale również udają przed widzem autentyzm w tych partiach filmu, w których pozostają z nim sam na sam. Podobnie rzecz wygląda w *Pięciu nieczystych zagraniach*. W trakcie spotkania z Lethem, na którym nieustannie przedstawia mu swoją wykładnię kręcenia filmów, karmi go kawiorem i poi wódką, a wszystko utrwala kamerą cyfrową. W ten sposób Lars realizuje swój projekt filmowy, którego zarys przedstawił w cytowanym liście.

Wypada się jednak zastanowić nad rzeczywistym celem całego przedsięwzięcia. Prawdziwym obiektem ataku reżysera nie był wbrew powszechnej intuicji Jorgen, lecz - jak to zwykle u von Triera bywało - widz. Reżyserska kalkulacja ma stać się nie tyle sposobem dekonstrukcji konkretnego dzieła, lecz zamachem na podstawowy paradygmat filmowej twórczości, związany z powoływaniem do życia nowych tekstów. Duński reżyser zmusza Letha do swoistej wiwisekcji, dokonywanej na jego filmie przy asyście kinowej publiczności. Destrukcja *Człowieka doskonałego* staje się więc punktem wyjścia do dalszych rozważań na temat natury kina, psychologii tworzenia oraz umysłowości reżysera. Konsekwencja i swoisty despotyzm Larsa pozwala mu dotrzeć do istoty tworzenia filmów, a jednocześnie precyzyjnie określić podstawowe paradoksy społeczne. Ujawniają się one choćby w konstrukcji jego filmowych bohaterek: Bess - szlachetnej, wręcz świętej jawnogrzesznicy z *Przełamując fale*; niewinnej morderczyni Selmy z *Tańcząc w ciemnościach*, czy wreszcie Grace, sprawiedliwej mścicielski z *Dogville*. Von Trier jawi się dzięki temu jako krytyczny analityk społeczny, który demaskując iluzyjność kina, obnaża jednocześnie powszechną obłudę, udawaną tolerancję i praworządność. Reżyser nie stosuje przy tym prostych rozwiązań, tanich i efekciarskich trików, efektów specjalnych, które zatrzymywałyby dech w piersiach. To zresztą zostało już niejako postanowione na etapie Dogmy'95. Wymieńmy choćby dwa wybrane punkty z tzw. Ślubów Czystości: piąty postuluje zakaz używania efektów optycznych i filtrów, szósty - radykalne odrzucenie powierzchownej akcji.

Okrzyknięty przez krytyków szarlatanem kina, von Trier ripostował: „Lubię pozerów. Jest taka bajka o nowych szatach cesarza. Złą postacią dla mnie jest w niej mały chłopiec, który mówi, że cesarz jest nagi. Gdyby siedział cicho, wszyscy zobaczyliby piękne ubranie..."

Zamiast tego „grania formą", Lars zwraca się w kierunku człowieka i społeczeństwa, które (psy-

cho)analizuje poprzez pryzmat konkretnych, często zamkniętych społeczności. Umowność obowiązujących zasad społecznych, chyba najpełniej wyraża w filmie *Dogville*. Rezygnując z naturalnej scenerii, do organizacji świata przedstawionego wykorzystuje teatralne oświetlenie, ulice i zarys budynków mieszkalnych narysowanych kredą na scenie, czy warstwę dźwiękową symulującą dźwięki otwieranych, chodź materialnie nieistniejących drzwi i okien. Parateatralny charakter tego filmu nie przeszkadza w ukazaniu dramatu uciekinierki poszukującej schronienia w na pozór normalnej i zamkniętej społeczności, która w końcu swym okrucieństwem doprowadza Grace do przeprowadzenia masowej zbrodni. W *Pięciu nieczystych zagraniach* ta dekonstrukcja zachodzi na całkiem innym poziomie. Lars zdecydował się bowiem na połączenie w obrębie jednego dzieła filmowego dwóch niezależnych tekstów: pierwszego, złożonego z kolejnych remake'ów sporządzonych przez Letha „na zlecenie", i drugiego – związanego z przestrzenią komunikacji międzyreżyserskiej na temat kolejnych filmów, jak również relacji między filmowcami. Technika twórcza stosowana przez autora *Idiotów* problematyzuje jego status jako twórcy; udzielając w tym samym filmie, również wykładni na jego temat, Lars staje się teoretykiem kina. Nic w tym dziwnego, bowiem jego fascynacje językiem i tworzywem filmowym ujawniały się właściwie od początku pracy w charakterze reżysera. W jego dziełach bez trudu wyczuwa się jeszcze jedno dno, co sprawia, że stosowana przez niego technika pracy z aktorami, konstrukcji świata przedstawionego, a co najważniejsze wyboru tematów, składa się na strategie obnażania istoty człowieczeństwa. Nie bez powodu jego bohaterami są często osoby upośledzone fizycznie, ograniczone intelektualnie, pozostające na marginesie „normalnego życia". Dzięki temu, obrazy Tiera to nie tylko traktaty o materii kina i istocie filmowego języka, ale jednocześnie analiza ludzkiej kondycji. Wszystkie filmy Larsa dostrzegają na tej ostatniej pewną rysę, skazę, patologię... Stąd filmy autora *Dogville* tak skutecznie polaryzują opinie krytyki filmowej oraz samych kinomanów, którzy odbierają je jako oskarżenie i demaskację ich samych. Niektórzy widzowie zarzucają twórcy szczególną formę perwersji, która ujawnia się w jego filmach. Lars nie traktuje swoich przedsięwzięć jako formy terapii, lecz próbę kreowania intymnych przedstawień, które przekierowują wzrok widzów właśnie na nich, na obłudę świata, na kuriozalność ludzkich zachowań regulowanych przez prawo, kulturę i lokalne obyczaje. Paradoksom tym daje wyraz we wcześniejszych założeniach Dogmy, a także w systemie ograniczeń i przymusów nałożonych na Jorgena Letha.

Okrzyknięty przez krytyków szarlatanem kina, ripostował: „Lubię pozerów. Jest taka bajka o nowych szatach cesarza. Złą postacią dla mnie jest w niej mały chłopiec, który mówi, że cesarz jest nagi. Gdyby siedział cicho, wszyscy zobaczyliby piękne ubranie..."

Agnieszka Ogonowska

Leszek Wrona

Archiwum X

„Repetitio est mater studiorum". Kto to powiedział? Ech, zapomniałem. Wybaczcie Szanowni Czytelnicy moje braki w erudycji, ale nie chcę udawać chodzącej encyklopedii ani specjalisty od krzyżówek. Zwierzę się wam, że nie obchodzi mnie nazwisko autora tej napuszonej łacińskiej sentencji i nie zadam sobie trudu, aby wypełnić lukę w wiedzy. Jest mi to niepotrzebne, bo do czego miałaby mi się przydać taka wiadomość? Nie widzę dla niej żadnego zastosowania

Jeśli przeglądamy własną pamięć odnajdujemy - nieraz przypadkowo - „informacyjne odpady": a to, ile stron miała przeczytana książka; a to, że autor jest bardzo niskiego wzrostu, czy też posiada letni domek 13 kilometrów od Wielkiej Wsi. Być może takie wiadomości przydałyby się oficerowi śledczemu do wszczęcia poszukiwania nieszczęśnika, który jest podejrzany o to, że był niegrzecznym chłopcem, ale z punktu widzenia studenta są to informacje zupełnie zbędne. Dlaczego zatem zdarza się, że pamiętamy o czymś nieistotnym, a uchodzi naszej pamięci to, co jest potrzebne, na przykład - do sprawdzianu czy egzaminu? Takie niedostatki funkcjonowania naszego systemu pamięci obserwujemy wtedy, gdy źle zaplanowaliśmy nabywanie wiedzy. Zapamiętywanie, tak jak każda inna czynność, musi być właściwie zaplanowana i zorganizowana, jeśli naszym zamiarem jest przyswojenie sobie informacji istotnych, choćby treści wspomnianej książki. Bez przesady można sformułować tu następującą zasadę: sprawne zapamiętywanie wymaga sprawnego zarządzania własną pamięcią.

Zarządzać pamięcią to znaczy przede wszystkim sporządzić plan strategiczny czynności zapamiętywania, utrwalania i wydobywania z pamięci zgromadzonych treści. Jeśli posiadamy już taki plan, to postarajmy się następnie określić sposoby oceny skuteczności tych czynności oraz działania korekcyjne. Zanim przystąpimy do studiowania tekstu spróbujmy choćby w przybliżeniu ocenić czas potrzebny na przestudiowanie książki. Oszacowanie czasu możliwe jest wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę objętość czytanej pozycji, stopień trudności tekstu i nasze własne zasoby psychiczne wyrażone w szybkości zapamiętywania, natężeniu motywacji do uczenia się, a nade wszystko - w łatwości rozumienia materiału, który mamy opanować. O tym, w jakim stopniu rozumiemy tekst, możemy dowiedzieć się dokonując wstępnego przeglądu jego fragmentów, włącznie z próbami stawiania stosownych pytań i odpowiedzi. Trudno oczekiwać, aby oszacowanie czasu było przeprowadzone z dokładnością co do minuty. Oczekiwanie takiej dokładności byłoby przesadą. W praktyce wystarczy nam przewidywać czas studiowania z marginesem błędu do dwóch, trzech godzin, zresztą zależy to od objętości tekstu.

Dla tekstów dłuższych margines ten jest większy, co wynika z ograniczeń pojemności pamięci. Ograniczenia te są znaczne. Po jednorazowej ekspozycji materiału pamiętamy około 7 bitów, o ile nie zastosowaliśmy żadnej metody łączenia informacji ze sobą poprzez wprowadzenie odpowiedniej zasady organizującej tekst.

Mamy zatem za sobą etap przygotowawczy. Teraz wypada przejść do zarządzania procesem zapamiętywania i treściami, które mamy zamiar opanować. Strategia takiego zarządzania zależy od objętości, trudności i struktury tekstu. Konieczne informacje zdobędziemy w trakcie wstępnego jego przeglądu. Najbardziej istotnym rezultatem jest rozpoznanie, z jakich części składa się materiał, jeśli w ogóle występują w nim jakieś części, które samoistnie się wyodrębniają. Jeśli uda się nam rozpoznać wyodrębniające się części, to dobrze jest je oznaczyć używając tytułów, haseł, a nawet rysunków. Taki zabieg ułatwi nie tylko posegregowanie i zorganizowanie treści, ale pomoże nam w wydobywaniu materiału z pamięci. Tytuły, hasła i rysunki pełnią podobną funkcję jak ikonki ukazujące się na ekranie monitora sprzężonego z komputerem. Naprowadzamy

myszką strzałkę na odpowiednią ikonę... klik... i ukazuje się żądana strona. Oczywiście, jeśli okaże się, że tak sporządzony klucz nam odpowiada, to musimy go dokładnie zapamiętać. W przeciwnym wypadku wystąpią trudności z wydobywaniem materiału z pamięci. Warto przypomnieć, że ze względów praktycznych klucz nie powinien zawierać zbyt wiele elementów. Wybrane klucze wymagałyby innych bardziej ogólnych kluczy, a te z kolei następnych i w ten sposób kluczylibyśmy po pamięci, jak Tezeusz po Labiryncie bez nici Ariadny.

Co natomiast uczynić wtedy, gdy tekst jest zagmatwany tak, że nie potrafimy dojrzeć w nim wyraźnych części? Irytacja z powodu braku pisarskich kompetencji autora nie wniesie w naszą lekturę nic rozsądnego. Lepiej samemu narzucić zasadę, na mocy której możemy takie części wyodrębnić. Nie jest to zadanie łatwe, szczególnie wtedy, gdy duże fragmenty tekstu zawierają długie wywody. Istnieje wówczas ryzyko, że sztucznie wprowadzony podział tekstu zaburzy logikę całości. Nie mamy więc innego wyboru; wyodrębniamy części większe tak, aby nie naruszyć spoistości logicznej tekstu. Jeśli udało się nam zadowalająco podzielić tekst i dopasować do niego klucz, przystępujemy do głębszej jego analizy i organizacji.

W każdej części wyodrębniamy pojęcia, tezy i stwierdzenia, które uznajemy za kluczowe, po czym wiążemy odpowiednio z nimi wszystkie istotne jego treści. Najlepiej, by związki te miały charakter logiczny lub treściowy. Zwykłe skojarzenia tu nie wystarczają. Łatwo ulatują z pamięci. Otrzymujemy w ten sposób „wiązki treściowe", które możemy zorganizować w postaci map umysłowych, bądź dołączyć do istniejących już struktur organizujących wcześniej opanowany materiał. Włączanie nowych wiązek do wcześniejszych struktur zwiększa trwałość przechowania w pamięci nowo opanowanego materiału.

Pozostaje pytanie: jak wspomniane wiązki utrwalić w pamięci, aby nie naruszyć spoistości tekstu? Jeśli tekst jest na tyle spójny, że poszczególne wiązki pozostają w relacjach wynikania, tą efektywną metodą jest utrwalanie poprzez powtarzanie całości tekstu, na przykład, rozdziału książki. Gdy spójność tekstu jest niewielka, niektórzy uczący się powtarzają każdą wiązkę z osobna, po czym wykonują kolejne powtórzenia całości tekstu, narzucając jakąś wybraną przez siebie zasadę łączenia wiązek. Niewykluczone, że powtarzanie częściami, a następnie ich wiązanie zabierze więcej czasu niż powtarzanie całościowe. Zależy to jednak od cech indywidualnych uczącego się; stylów poznawczych, uprzedniego doświadczenia, nawyków i wiedzy o własnej pamięci.

Pozostaje teraz tylko zdecydować, kiedy pracę nad tekstem przerwać w poczuciu zadowolenia, że został on opanowany. Niektórzy przerywają pracę po próbie powtórzenia, wykazującej stuprocentowe opanowanie tekstu. Nie jest to najlepsza decyzja. Wystarczy po pewnym czasie, np. 2 dniach, sprawdzić, ile treści ubyło z naszego archiwum. Może okazać się, że nawet 50 procent. Zapobiec temu można dokonując kilku dodatkowych powtórzeń, mimo że zapamiętaliśmy w całości przewidziane do opanowania treści. Taki zabieg, zwany przyuczaniem, zwiększa trwałość przechowania, o czym czytelnik może się sam łatwo przekonać. Na koniec chciałbym zwrócić uwagę na konieczność zastosowania zasady oczywistej dla dobrego ucznia czy studenta. Zasada ta ma postać: „zapamiętaj tylko treści istotne". Reszta to plewy zaśmiecające pamięć i, co gorsza, mogące rywalizować z istniejącymi treściami w trakcie przypominania sobie. Czasem wiązane z zasadniczymi treściami anegdotki ubarwiają tekst i wywołują zaciekawienie. Pamiętajmy jednak, że nie może być ich wiele.

A teraz zwracam się do pamięci czytelników z pytaniem:

Kto jest autorem sentencji: *„caeterum censeo Carthaginem delendam esse"*?

Zakreśl właściwą odpowiedź:

Wolfgang Goethe

Vladimir Putin

Renata Beger

Inna możliwość

Szanowny Czytelniku! Jeśli poprawnie odpowiedziałeś na powyższe pytanie, przeczytaj kolejny felieton w następnym numerze „Konspektu". Napiszę tam, jak w praktyce wykorzystać wykryte przez psychologów prawidłowości rządzące pamięcią.

Leszek Wrona

Ewa Piotrowska
Renata M. Zając

Systemy elektronicznego dostarczania dokumentów

Jedną z głównych funkcji biblioteki, obok gromadzenia, opracowywania i przechowywania zbiorów, jest udostępnianie dokumentów. Współczesne biblioteki realizują to zadanie przez udostępnianie prezencyjne, czyli udostępnianie materiałów w czytelniach, oraz wypożyczanie książek na zewnątrz. Formą wypożyczania zbiorów poza bibliotekę macierzystą jest wypożyczanie międzybiblioteczne. Dotyczy ono tak materiałów sprowadzanych z bibliotek polskich, jak i zagranicznych

Wypożyczalnia międzybiblioteczna funkcjonuje również w Oddziale Udostępniania Zbiorów Biblioteki Głównej AP (wypm@tessa.wsp.krakow.pl), jednak ze względów finansowych istnieje możliwość zamawiania tylko książek, mikrofilmów oraz artykułów z czasopism gromadzonych przez biblioteki polskie. Proces ten odbywa się w następującej kolejności: jeżeli w żadnej bibliotece krakowskiej nie ma poszukiwanej pozycji, czytelnik może zwrócić się do osoby zajmującej się wypożyczaniem międzybibliotecznym. Ta z kolei wysyła rewers do biblioteki posiadającej interesującą czytelnika książkę lub czasopismo. Po otrzymaniu szukanego dokumentu powiadamia się zamawiającego, ten zaś może skorzystać z przysłanej książki bezpłatnie w Czytelni Głównej naszej biblioteki. Użytkownik zobowiązany jest natomiast zapłacić za ksero przysłanego artykułu lub mikrofilm zamówionego materiału.

Dzięki automatyzacji katalogów bibliotecznych i bazom danych udostępnianym on-line dostęp do informacji bibliograficznej staje się znacznie łatwiejszy, ale czytelnicy wciąż długo czekają na zamówione dokumenty.

Na świecie, a także w niektórych polskich bibliotekach, w wypożyczaniu międzybibliotecznym coraz częściej korzysta się z innej drogi dostarczania poszukiwanych dokumentów, wykorzystując do tego celu najnowsze technologie komunikacyjne i komputerowe. Obecnie najważniejszym celem bibliotek staje się dostarczenie elektronicznej kopii dokumentu bezpośrednio do komputera użytkownika, dlatego we współpracy między bibliotekami coraz większą rolę zaczynają odgrywać *serwisy elektronicznego dostarczania dokumentów* (EDD - *electronic document delivery*).

Automatyzacja procesu wypożyczeń międzybibliotecznych ma na celu ułatwienie czytelnikowi zamówień przez system biblioteczny on-line lub e-mail oraz wyeliminowanie tradycyjnej poczty; umożliwienie przetwarzania zamówienia i generowania na jego podstawie „rewersów" (likwidacja ich ręcznego wypisywania oraz tzw. „pism przewodnich"); przysyłanie elektronicznej kopii dokumentu; usprawnienie kontaktów między bibliotekami i użytkownikami oraz generowanie statystyk i raportów.

Poniżej przedstawiamy najbardziej znane *serwisy elektronicznego dostarczania dokumentów*, również te, które z powodzeniem działają już w niektórych bibliotekach polskich.

ADONIS

System ADONIS jest przykładem systemu dostarczającego dokumenty na płytach CD-ROM. Zaczął funkcjonować w 1985 roku, kiedy to rozpoczęto skanowanie artykułów z 219 czasopism wydawanych przez: Blackwell Scientific Publications, Butterworth Scientific, Churchill Livingstone Medical Journals, Elsevier Science Publishers, C. V. Mosby, Munfsgaard International Publishers, Pergamon Journals, Springer Verlag, Georg Thieme Verlag i John Wiley. System dostarcza literaturę z dziedziny biomedycyny i biochemii do bibliotek oraz współpracujących instytucji. Są to biblioteki narodowe i medyczne w Europie i Australii oraz instytuty informacji technicznej w Madrycie, Paryżu, Sztokholmie, a także Królewska Akademia Nauk w Amsterdamie i Japonia Kinokuniya w Tokio.

Wydawca czasopisma należącego do systemu wysyła do biura ADONIS dwie kopie każdego zeszytu. Tam wprowadza się dane dotyczące czasopisma; jeden egzemplarz pozostaje w archiwum, a drugi wysyłany jest do Amsterdamu, do zindeksowania. Po indeksowaniu kartki czasopisma są skanowane w firmie Scanmedia w Wielkiej Brytanii i przesyłane do firmy w Hanowerze w celu zapisania danych na dyskach optycznych, które następnie rozsyłane są do współpracujących instytucji i bibliotek.

ARIEL

System został zapoczątkowany w 1990 r. przez Grupę Bibliotek Naukowych (Research Library Group). Jest to ok. 140 instytucji i bibliotek naukowych ze Stanów Zjednoczonych, które dostarczają dokumenty przez internet.

Przy użyciu oprogramowania firmy ARIEL istnieje możliwość skanowania artykułów, zdjęć i innych dokumentów, przysyłania ich ze stanowiska pracy ARIEL-a przez internet i drukowania w dowolnym miejscu na świecie. ARIEL zapewnia bibliotekom i centrom informacji bazę pozwalającą na doskonalenie metod dostarczania dokumentów bezpośrednio na biurko użytkownika. Jest systemem wykorzystywanym na całym świecie, ostatnio służy m.in. do elektronicznego dostarczania dokumentów w bibliotekach węgierskich.

SUBITO (www.subito-doc.com)

Wdrażanie systemu rozpoczęto w Niemczech w 1994 r. SUBITO jest serwisem działającym w oparciu o internet, a jego głównym celem jest możliwość zamawiania kopii artykułów i wypożyczania książek za pomocą sieci. Do Stowarzyszenia SUBITO należy 29 bibliotek, w tym 26 bibliotek z Niemiec, 2 centralne biblioteki specjalistyczne z Austrii i 1 biblioteka uniwersytecka ze Szwajcarii.

Wszystkie biblioteki należące do serwisu udostępniają swoje zasoby przez system wyszukiwania i składania zamówień. Serwis oferuje katalog periodyków (ok. 1 mln. tytułów) i katalog artykułów (ok. 11 mln). Sieciowy katalog tytułów książkowych obejmuje ok. 70 mln pozycji. Połączone w sieci katalogi bibliotek służą do wyszukiwania i zamawiania książek oraz dysertacji naukowych. Każda baza danych zawiera opis bibliograficzny konkretnego tytułu i informacje o miejscu jego przechowywania. Zarówno funkcja wyszukiwania, jak i zamawiania dokumentu, odbywają się przez wypełnienie formularzy elektronicznych. Zamówienia dostarczane są do biblioteki, w której następuje wyszukanie z zasobów oryginału dokumentu, wykonanie kopii wybranego artykułu przy użyciu skanera i przesłanie jej do odbiorcy. Zamówione kopie są dostarczane przez e-mail, FTP; mogą również być przysyłane pocztą lub faksem.

Serwis jest wykorzystywany przez użytkowników indywidualnych i biblioteki z całego świata. Mogą one zamawiać dokumenty dla swoich użytkowników po wcześniejszym zarejestrowaniu się w systemie i wypełnieniu odpowiedniego formularza umieszczonego w internecie. Innowacyjność systemu polega na nowoczesnej platformie sprzętowej i szybkości dostarczenia dokumentu bezpośrednio na biurko zamawiającego. Zwykła dostawa kopii elektronicznej trwa do 72 godzin, istnieje też możliwość szybkiej dostawy trwającej do 24 godzin.

doc@med

System ten, działający od 1 września 2000 r., został zaprojektowany w celu dostarczania artykułów z czasopism będących w posiadaniu 7 polskich bibliotek medycznych. Obecnie działa na serwerze Biblioteki Głównej Akademii Medycznej w Poznaniu i zrealizował już ponad 25 000 zamówień. Nie wymaga specjalistycznego oprogramowania, a do komunikacji z bibliotekami i klientami wykorzystuje przeglądarkę internetową oraz e-mail. Jego dużą zaletą jest realizacja zamówień w ciągu 48 godzin. System liczy także automatycznie średni czas od złożenia zamówienia do jego realizacji dla każdej współpracującej biblioteki oraz generuje reklamacje i przypomnienia o niezrealizowanych zamówieniach. W przyszłości planuje się rozbudowę systemu, by mógł być wykorzystywany w bibliotekach o innych specjalnościach niż medycyna i w dużych bibliotekach uniwersyteckich. Trwają już testy działania systemu zamówień w oparciu o katalog KaRo.

Obok systemów dostarczania dokumentów tworzonych przez konsorcja biblioteczne (ARIEL, SUBITO, *doc@med*), serwisy takie są również tworzone przez koncerny wydawnicze. Jednym z nich, dostępnym także w naszej bibliotece, jest serwis firmy EBSCO - EBSCOhost. Składa się on z kilku baz danych, zawierających opisy bibliograficzne i pełne teksty artykułów z czasopism elektronicznych, które można przesyłać pocztą elektroniczną.

Przeglądać można m.in. następujące bazy danych: Academic Search Premier (artykuły z nauk społecznych, literatury, informatyki), Agricola (artykuły z dziedziny rolnictwa), American Humanities Index (pełne teksty z amerykańskich i kanadyjskich czasopism humanistycznych), Business Souce Premier (ekonomia, międzynarodowy biznes), Communication & Mass Media Complete. Dostęp do wymienionych baz danych posiadamy tylko z komputerów naszej sieci bibliotecznej, lecz przesyłanie artykułów e-mailem lub kopiowanie na dyskietki jest dla naszych pracowników i studentów bezpłatne.

Reasumując: być może w niedalekiej przyszłości system *doc@med* będzie gotowy do zainstalowania w dużych polskich bibliotekach uniwersyteckich (obecnie działa tylko w bibliotekach medycznych); w tej chwili niektóre biblioteki korzystają z systemu SUBITO jako użytkownicy. Takie rozwiązanie nie daje szybkiego dostępu do polskich dokumentów. Biblioteki polskie nie mają wystarczających środków na zakup książek i czasopism, a cóż dopiero na zakup systemu dostarczania dokumentów. Z drugiej jednak strony - skoro bibliotek nie stać na zakup wielu dokumentów - powinny przynajmniej umożliwić czytelnikowi sprowadzenie ich z innych źródeł, co jednak również pociąga za sobą duże koszty. W Niemczech rozwiązano ten problem, tworząc jednolity system funkcjonujący we wszystkich bibliotekach naukowych. Wydaje się, że jest to najlepsze rozwiązanie, trudno jednak przewidzieć, kiedy takiego systemu doczekamy się w Polsce.

Ewa Piotrowska, Renata M. Zając

Jarosław Rafa

Cyfronet wczoraj i dziś

Już od ponad 30 lat działa w krakowskim środowisku naukowym Akademickie Centrum Komputerowe Cyfronet. Z tej okazji zorganizowało ono na przełomie listopada i grudnia 2004 r. „Dni Otwarte", podczas których wszyscy chętni mogli zapoznać się zarówno z historią, jak i aktualną ofertą centrum

30 listopada 2004 r. na Akademii Górniczo-Hutniczej odbyła się konferencja prezentująca działalność Cyfronetu (od 1999 r., ze względu na zmiany w przepisach o finansowaniu badań naukowych, Cyfronet został formalnie przyłączony do AGH). W następnych dniach organizowane było zwiedzanie pomieszczeń centrum, stanowiące rzadką okazję obejrzenia „na żywo" pracującego tam sprzętu komputerowego.

Cyfronet to instytucja świetnie znana przynajmniej części pracowników naszej Uczelni - zwłaszcza zajmujących się naukami ścisłymi i przyrodniczymi. W ramach swoich prac naukowych niejednokrotnie mieli oni okazję korzystać z cyfronetowych superkomputerów, bowiem podstawowym zadaniem, jakie spełnia ta instytucja od początku swego istnienia, jest zapewnienie pracownikom krakowskich uczelni dostępu do komputerów dużej mocy obliczeniowej.

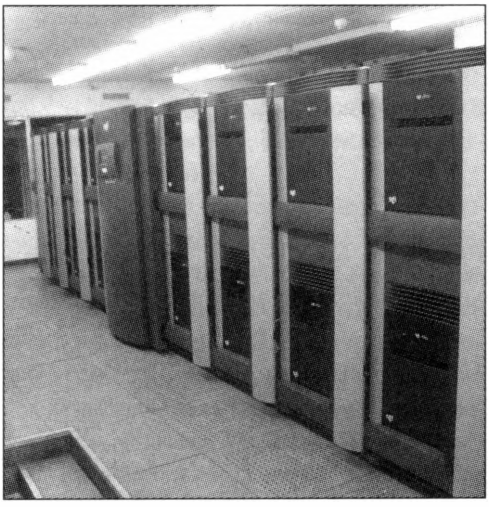

Drugą istotną sferą działalności Cyfronetu jest świadczenie usług dostępu do sieci internetowej. Jako operator telekomunikacyjny, Cyfronet administruje krakowską miejską siecią komputerową (MAN), z której korzystają nie tylko uczelnie i instytuty naukowe, ale także urzędy, szkoły, jak również użytkownicy komercyjni oraz wojsko. Cyfronet zaangażowany jest także w wiele związanych z Internetem inicjatyw o charakterze ogólnospołecznym - na jego serwerach utrzymywany jest m.in. miejski serwis internetowy Krakowa - „Magiczny Kraków" (http://www.krakow.pl/) i Zakopanego.

Historia Cyfronetu zaczęła się w roku 1973, kiedy w wyniku wspólnej inicjatywy władz krakowskich uczelni oraz instytutów naukowych, zostało utworzone Środowiskowe Centrum Obliczeniowe „CYFRONET" - tj. wyodrębniona jednostka organizacyjna Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki z siedzibą w Krakowie. Podstawowa idea, która znalazła się u podstaw utworzenia centrum, nie uległa zmianie do dziś - centrum takie, działając na rzecz wszystkich uczelni Krakowa, może zapewnić znacznie efektywniejsze wykorzystanie drogiego sprzętu komputerowego, którego zakup przez pojedynczą uczelnię byłby nieopłacalny bądź wręcz niemożliwy.

Pierwszym komputerem dużej - jak na owe czasy - mocy obliczeniowej, który zawitał do Cyfronetu w roku 1975, była maszyna CDC CYBER 72. Komputer ten miał szybkość około 0,5 MIPS (MIPS = milion operacji na sekundę; moc obliczeniowa współczesnych mikrokomputerów klasy PC sięga tysięcy MIPS), zaś jego pamięć operacyjna liczyła sobie około 100 kilosłów (w odróżnieniu od współczesnych komputerów, w których pamięć zorganizowana jest zazwyczaj w „paczki" po 8 bitów, zwane **bajtami**, w komputerach z lat sie-

demdziesiątych pamięć zorganizowana była w **słowa** o długości zależnej od typu komputera - w komputerach CYBER słowo liczyło 60 bitów, a więc 100 kilosłów pamięci tego komputera odpowiadało z grubsza 750 kilobajtom).

Wokół CYBER-a powstał także zaczątek pierwszej międzyuczelnianej sieci komputerowej. Użytkownicy korzystali bowiem z tego komputera - tak jak odbywa się to również na dzisiejszych serwerach sieciowych - za pośrednictwem **terminali**, czyli „końcówek" umożliwiających zdalną pracę. O ile jednak dzisiaj terminalem zazwyczaj jest komputer PC z odpowiednim oprogramowaniem pozwalającym na komunikację przez sieć globalną (z wykorzystaniem usług typu telnet czy ssh), to ówczesne terminale były specjalizowanymi urządzeniami, podłączanymi do komputera za pośrednictwem odrębnych, dedykowanych linii telekomunikacyjnych. Z CYBER-em współpracowało 20 takich terminali, rozmieszczonych na uczelniach. Tylko niewielka część z nich była zaawansowanymi modelami wyposażonymi w monitor (a dodatkowo także w czytnik kart perforowanych - podstawowy nośnik służący do wprowadzania większej ilości danych do komputera, oraz w drukarkę). Większość terminali stanowiły dalekopisy, które informacje i odpowiedzi komputera drukowały na papierze, czyniąc przy tym nieprawdopodobny hałas. Terminale dalekopisowe komunikowały się z komputerem przy wykorzystaniu modemów o szybkości 300 bitów/sekundę; te bardziej zaawansowane - 1200 bitów/sekundę.

Pomimo parametrów, które z dzisiejszego punktu widzenia mogą się wydawać śmieszne, komputer ten oddał krakowskiemu środowisku akademickiemu wielkie usługi. Eksploatowany był aż do roku 1991, służąc nie tylko obliczeniom naukowym, ale też „wychowując" całe pokolenia studentów, którzy odbywali na nim ćwiczenia z programowania. W roku 1991 nastąpiła „przeprowadzka" Cyfronetu, który do tej pory zajmował pomieszczenia w budynku Instytutu Fizyki UJ przy ul. Reymonta, do nowo wybudowanego budynku przy ul. Nawojki 11. Wprawdzie i tu Cyfronet jest „sublokatorem" budynku UJ, ma jednak do swojej dyspozycji całe piętro.

Zmiana lokalizacji stała się okazją do pożegnania z wysłużonym CYBER-em, którego miejsce zajął „prawdziwy" superkomputer - Convex C120. Jego osiągi były już znacznie wyższe: 40 MIPS, 20 MFLOPS (MFLOPS = milion operacji zmiennoprzecinkowych na sekundę; ten parametr z punktu widzenia obliczeń naukowych jest zazwyczaj znacznie istotniejszy od MIPS), co równało się szybkości około dwudziestokrorotnie większej od używanych w tym czasie mikrokomputerów PC z procesorem Intel 486. Fizycy (głównie oni byli pierwszymi użytkownikami superkomputerów) mieli więc doskonały sprzęt do własnych prac naukowych...

Komputer C120, w przeciwieństwie do swojego poprzednika, nie „zagrzał" długo miejsca w Cyfronecie - został wycofany z eksploatacji już w roku 1993, a jego miejsce zajął nie jeden, ale aż trzy komputery, każdy z nich znacznie mocniejszy od „lajkonika" (taką nazwę sieciową nadano pierwszemu C120). Od tej pory co kilka lat w „stanie posiadania" Cyfronetu następowały jakieś zmiany: jedne komputery były wycofywane z eksploatacji, a ich miejsce zastępowały inne - po to, aby oferować użytkownikom stale rosnącą moc obliczeniową.

W chwili obecnej w Cyfronecie zainstalowanych jest sześć superkomputerów o bardzo różnych mocach obliczeniowych - od 9,6, poprzez 48, aż do 375 GFLOPS (gdzie skrót GFLOPS oznacza już nie milion, a miliard operacji zmiennoprzecinkowych na sekundę!). Łączna moc obliczeniowa wszystkich komputerów - oczywiście jest to parametr wyłącznie teoretyczny, gdyż tak ze względów technicznych, jak i organizacyjnych do żadnych obliczeń nie wykorzystuje się ich wszystkich naraz - wynosi prawie 900 GFLOPS.

Komputery dużych mocy obliczeniowych rzecz jasna w niczym nie przypominają mikrokomputerów stojących na naszych biurkach - różnią się od nich zarówno wyglądem, jak i budową wewnętrzną oraz oprogramowaniem. Z wyglądu są to wielkie szafy, „pożerające" mnóstwo energii elektrycznej i wytwarzające stosowną do ilości tej energii ilość ciepła (w hali komputerowej Cyfronetu mimo potężnych urządzeń klimatyzacyjnych jest zawsze gorąco!) oraz... hałasu. Zdjęcia superkomputerów znajdujących się w Cyfronecie można obejrzeć na jego stronie internetowej: **http://www.cyf-kr.edu.pl/**, pod hasłem „usługi obliczeniowe".

Pod względem budowy wewnętrznej od naszych „pecetów" odróżnia je przede wszystkim fakt, iż są to maszyny **wieloprocesorowe**. Podczas gdy typowy komputer PC ma jeden główny procesor, czasami co najwyżej dwa - superkomputery mają ich znacznie więcej. Mogą to być dziesiątki, a nawet setki procesorów, tak jak w „okręcie flagowym" Cyfronetu - superkomputerze SGI 2800, który zawiera ich aż 128.

Komputery tego typu buduje się na dwa sposoby. Mogą to być albo (tak jak wspomniany SGI 2800) tzw. komputery **masywnie równoległe**, których konstrukcja jest jak gdyby odpowiednikiem tradycyjnego jedno- czy dwuprocesorowego komputera, tyle że ze znacznie większą liczbą procesorów. Wszystkie te procesory stanowią jednak elementy jednego zwartego urządzenia i - przede wszystkim - korzystają z jednej wspólnej pamięci. Taka architektura przysparza wiele trudności technicznych firmom wytwarzającym komputery masywnie równoległe - co przekłada się także na cenę takiego urządzenia - ale za to komputer taki, nawet mimo teoretycznie mniejszej mocy obliczeniowej, może być wydajniejszy od drugiego typu komputera wieloprocesorowego, jakim jest **klaster**.

Klaster to komputer zbudowany z... wielu oddzielnych komputerów. Poszczególne komputery wchodzące w skład klastra (**węzły**) mają zazwyczaj budowę bardzo zbliżoną do zwykłych „pecetów", tyle że umieszczone są w małych, płaskich obudowach pozwalających na „gęste" upakowanie takich komputerów w typowej 19-calowej szafie teletechnicznej. Nie podłącza się do nich oczywiście klawiatur ani monitorów; jeden z komputerów, zarządzający klastrem, steruje pozostałymi, wykorzystując do tego celu zwykłą sieć komputerową, taką samą do jakiej podłączamy nasze „biurkowe" PC. Klaster jest zatem rozwiązaniem znacznie tańszym niż komputer masywnie równoległy, ale też i technika wykonywania obliczeń jest tu zupełnie inna. Szybkość komunikowania się węzłów klastra przez sieć - w porównaniu z szybkością dostępu procesorów komputera masywnie równoległego do wspólnej pamięci - jest dramatycznie niska. Stąd też, o ile w komputerze masywnie równoległym można *zrównoleglać* (rozdzielać pomiędzy poszczególne procesory) nawet wykonanie pojedynczych instrukcji programu, to pomiędzy węzły klastra musimy rozdzielać większe partie obliczeń, tak aby każdy węzeł mógł wykonywać swoją część pracy w dużym stopniu samodzielnie, nie kontaktując się zbyt często z sąsiadami. Klastrem zarządza specjalne oprogramowanie, które rozdziela pracę pomiędzy poszczególne węzły, rozsyła im dane do obliczeń i zbiera wyniki. Sumaryczna wydajność obliczeń prowadzonych w taki sposób jest niż-

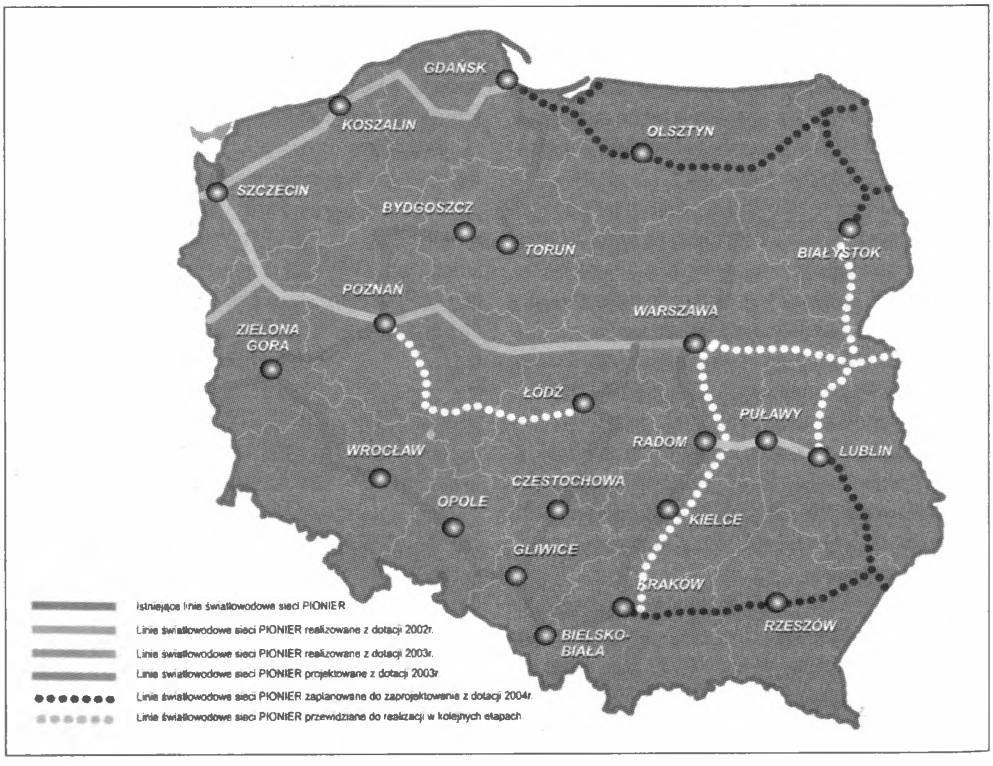

sza, dlatego nawet wolniejszy pod względem „czystej" mocy obliczeniowej komputer masywnie równoległy może konkurować z teoretycznie szybszym od niego klastrem.

Oprogramowanie to trzecia podstawowa różnica między typowym „biurkowym" PC a superkomputerem. Na superkomputerach nie spotkamy żadnej wersji systemu Windows; tu niepodzielnie królują systemy unixowe w najróżniejszych odmianach. Może to być znany także z „pecetów" Linux, szczególnie chętnie wykorzystywany do tworzenia klastrów z uwagi na dostępne dla tego systemu bardzo dobre oprogramowanie do zarządzania klastrami, ale mogą być też specjalizowane, firmowe Uniksy opracowane przez producenta danego typu komputera. Współczesne Uniksy - w szczególności najmłodszy i najbardziej dynamicznie się rozwijający członek rodziny, Linux - oczywiście w wielu aspektach się różnią od swego przodka stworzonego 35 lat temu w laboratoriach Bella, wciąż jednak opierają się na tych samych podstawowych założeniach i tej samej „filozofii" systemu, która ciągle najlepiej się sprawdza jako platforma dla dużych, wielozadaniowych serwerów. Warto tu zaznaczyć, że poważne firmy analityczne uważają, iż **minimalny** czas rozwijania systemu operacyjnego, niezbędny do osiągnięcia przez system tzw. „dojrzałości użytkowej", wynosi około 10 lat.

Jeżeli trzymać się tego kryterium, to Unix byłby dzisiaj bodaj jedynym systemem operacyjnym na świecie, do którego stosowania można w pełni mieć zaufanie...

Same zawrotne moce obliczeniowe nie są jednak aż tak istotne - istotniejszym wydaje się pytanie, do czego można je wykorzystać? Osoby zainteresowane tematem, które od lat korzystają z usług Cyfronetu, świetnie wiedzą, do czego. Ci natomiast, którzy dotychczas z obliczeniami intensywnymi numerycznie (*numerically intensive computing*) się nie zetknęli, mogli się tego dowiedzieć właśnie na konferencji 30 listopada. Jedną z jej części wypełniły prezentacje zastosowań różnego - zainstalowanego w Cyfronecie - oprogramowania do obliczeń naukowych i technicznych. Meteorologia, modelowanie przepływu krwi w naczyniach krwionośnych, symulacyjne testy wy-

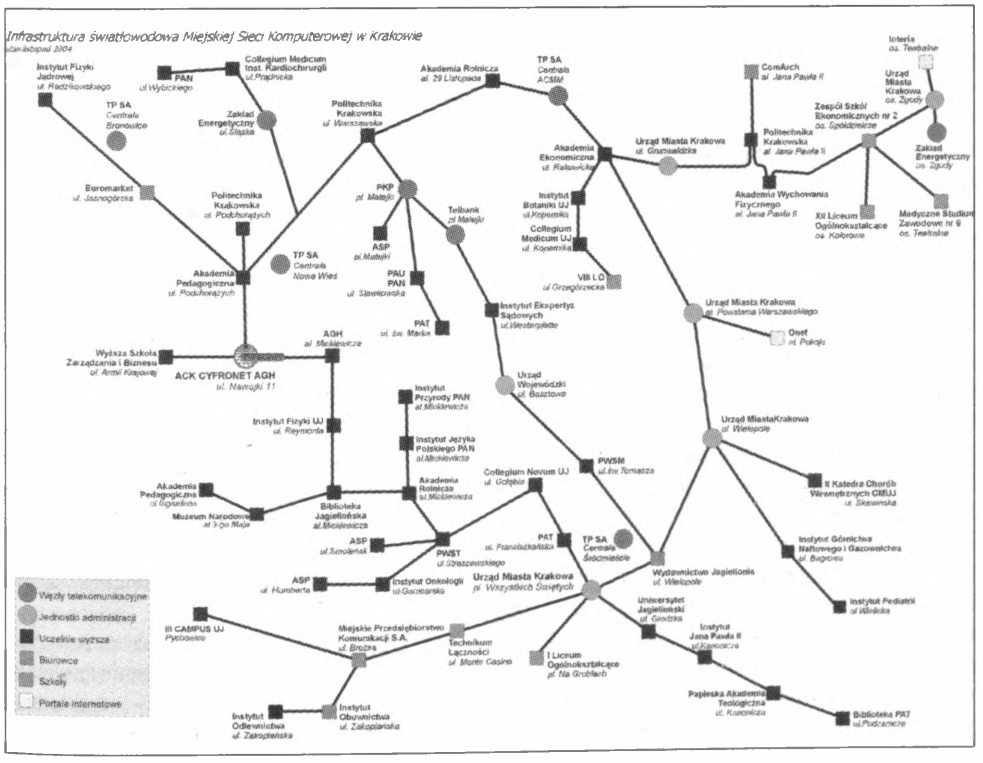

trzymałościowe różnych urządzeń mechanicznych, projektowanie skomplikowanych układów elektronicznych, analiza obrazów na potrzeby np. sterowania robotami - to tylko część zagadnień, w których pomocna jest oferowana przez Cyfronet moc obliczeniowa.

Cyfronet - jak już wspomniałem - to nie tylko superkomputery, ale także s i e ć. Na początku była to (jeżeli nie liczyć terminali CYBER-a) sieć EARN/BITNET, łącząca szereg ośrodków naukowych na całym świecie, do której Polska została włączona w 1990 roku. W grudniu tego roku w Cyfronecie zainstalowano komputer IBM 4381, który stał się trzecim po Warszawie i Wrocławiu regionalnym węzłem sieci EARN w Polsce. Krakowski węzeł połączony był telefoniczną linią dzierżawioną, przy wykorzystaniu modemów o szybkości 9,6 kbit/s, z węzłem krajowym PLEARN w Centrum Informatycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Na komputerze IBM 4381 założono ponad 1600 kont dla użytkowników z krakowskich uczelni; dla większości z nich był to pierwszy kontakt ze światem za pomocą sieci komputerowej. Jako ciekawostkę warto tu wspomnieć, że komputery PC wykorzystywane na uczelniach w charakterze terminali IBM-a 4381 były z nim połączone zazwyczaj tymi samymi liniami telefonicznymi, które wcześniej służyły terminalom CYBER-a; tak było np. na naszej uczelni.

W rok później w Polsce rusza Internet. Cyfronet uruchamia połączenie internetowe z CIUW-em, a równocześnie rozpoczyna budowę światłowodowej sieci miejskiej, która ma zastąpić starą infrastrukturę opartą na „odziedziczonych" po CYBER-ze liniach dzierżawionych. Uczelnie rozpoczynają budowę swoich sieci lokalnych, które będą podłączone do sieci miejskiej, a poprzez nią - do Internetu.

W chwili obecnej administrowana przez Cyfronet sieć MAN na terenie Krakowa liczy ponad 90 km łączy światłowodowych. Oprócz niemal wszystkich uczelni i instytutów naukowych, do sieci tej przyłączone są także jednostki administracji państwowej i samorządowej (Urząd Miasta, Urząd Wojewódzki), niektóre szkoły, firmy takie jak Zakład Energetyczny, MPK, PKP i inne instytucje. Wielu innych abonentów korzysta z dostępu do Internetu zapewnianego przez Cyfronet za pośrednictwem „tradycyjnych" łączy dzierżawionych, nie będąc bezpośrednio dołączonych do sieci światłowodowej. W przeciwieństwie do działalności w zakresie udostępniania superkomputerów, która finansowana jest ze środków Komitetu Badań Naukowych, usługi dostępu do sieci MAN i Internetu Cyfronet świadczy odpłatnie, działając jako operator telekomunikacyjny. Jest m.in. „hurtowym" dostawcą Internetu dla wielu spośród licznych w Krakowie małych operatorów, udostępniających Internet w sieciach osiedlowych. Z jego łączy korzysta także znany portal Onet.pl.

Od samego początku swojej działalności „internetowej", Cyfronet oferował pracownikom krakowskich uczelni - które w większości nie posiadały wówczas jeszcze własnych serwerów sieciowych - możliwość bezpłatnego założenia konta internetowego na specjalnie w tym celu udostępnionych serwerach. Pomimo iż większość uczelni w chwili obecnej posiada już własne serwery, na których zakłada konta swoim pracownikom, usługa ta jest utrzymywana nadal i cieszy się znaczną popularnością, o czym świadczy fakt, że obecnie na serwerach Cyfronetu posiada konta przeszło 3600 użytkowników.

Konto w Cyfronecie łączy w sobie dwie funkcje: jest zarazem **kontem dostępowym**, pozwalającym na łączenie się z Internetem poprzez modem telefoniczny i numery dostępowe Cyfronetu (0-20 92 53 i 0-20 94 53), z drugiej strony jest zarazem **kontem tzw. *shellowym*** na serwerze Cyfronetu, umożliwiającym korzystanie w pełnym zakresie z poczty elektronicznej, utworzenie własnej strony WWW, a także bezpośrednią pracę terminalową w systemie Unix.

Serwery Cyfronetu udostępniają także szereg usług sieciowych dla użytkowników „z zewnątrz", tzn. nie posiadających na nich kont. Działa tu serwer grup dyskusyjnych dla całego krakowskiego MAN-u, jeden z większych serwerów FTP w Polsce zawierający kopie (*mirrory*) znanych na świecie archiwów oprogramowania (w sumie ponad 80 GB różnych programów), a przede wszystkim serwer WWW udostępniający szereg użytecznych serwisów informacyjnych, na czele ze wspomnianym już „Magicznym Krakowem". Krakowska miejska sieć komputerowa stanowi także bazę dla zintegrowanego systemu bibliotecznego VTLS, w ramach którego na wspólnym serwerze swoje elektroniczne katalogi prowadzi 13 bibliotek krakowskich uczelni i instytutów naukowych (Krakowski Zespół Biblioteczny) - wśród nich również biblioteka naszej uczelni.

Oczywiście dostęp do Internetu nie może ograniczać się tylko do zasobów sieci MAN - niezbędne jest jakieś „wyjście w świat". Dla Cyfronetu - a tym samym dla prawie wszystkich krakowskich uczelni - tym „wyj-

ściem" są łącza sieci szkieletowej PIONIER, dawniej noszącej nazwę POL-34 (**http://www.pionier.gov.pl/**). Sieć PIONIER, zbudowana specjalnie dla potrzeb obsługi ośrodków akademickich, jest jedną z najnowocześniejszych sieci szkieletowych w Polsce, zapewniając prędkości transmisji rzędu 10 gigabitów na sekundę zarówno na łączach międzymiastowych, jak i międzynarodowych (połączenia z europejskimi sieciami GEANT oraz Telia). Oprócz PIONIER-a Cyfronet posiada jeszcze bezpośrednie połączenia z sieciami szkieletowymi takich operatorów jak Pro Futuro, Netia, Telbank, Energis i Telekomunikacja Kolejowa S.A. Struktura taka zapewnia szybką, sprawną i praktycznie niezawodną łączność z polskim i światowym Internetem.

Szybkie sieci rozległe - takie jak PIONIER - i komputery dużej mocy obliczeniowej ściśle łączą się ze sobą w najnowszej tendencji w dziedzinie obliczeń intensywnych numerycznie, jaką jest **grid**. Na konferencji 30 listopada właściwie nie było referatu, który w swojej treści nie nawiązywałby do zagadnień związanych z gridami.

Grid jest niejako rozwinięciem koncepcji klastra: skoro z wielu niezbyt mocnych komputerów współpracujących ze sobą w sieci możemy utworzyć superkomputer, to czy nie dałoby się w analogiczny sposób potraktować już istniejących superkomputerów? Oczywiście superkomputerów nie da się zebrać w jednym miejscu i połączyć ich siecią, ale dysponując szybkimi sieciami rozległymi wcale nie trzeba ich przecież nigdzie zbierać; każdy z nich jest już przecież podłączony do sieci i mogą one współpracować na odległość.

Nietrudno oczywiście się domyślić, że utworzenie gridu - składającego się przecież z komputerów różnego typu, mających różne procesory i działających pod kontrolą różnych systemów operacyjnych jest nieporównanie trudniejsze niż utworzenie klastra. Jednak „trudności są po to, aby je pokonywać" i zgodnie z tą maksymą na świecie funkcjonuje w chwili obecnej już wiele projektów gridowych. Cyfronet uczestniczy w szeregu z nich - takich jak np. Crossgrid, którego jest koordynatorem, EGEE czy CoreGrid. Corocznie w grudniu Cyfronet organizuje także konferencję na temat gridów - Cracow Grid Workshop; w 2004 r. odbyła się już jej czwarta edycja.

Innym ciekawym projektem związanym z szybkimi sieciami komputerowymi jest projekt iTVP, realizowany wspólnie przez Telewizję Polską, Cyfronet, Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe, firmę ATM S.A., Instytut Łączności, Politechnikę Gdańską oraz Politechnikę Łódzką. Projekt, współfinansowany przez Komitet Badań Naukowych, ma na celu stworzenie w polskim Internecie „interaktywnej telewizji" - czyli powszechnie dostępnej, zaawansowanej usługi transmisji materiałów audiowizualnych - zarówno nadawanych „na żywo", jak i archiwalnych odtwarzanych „na żądanie" - z wykorzystaniem łączy sieci PIONIER. Głównym dostawcą materiału audio-wideo w obecnej fazie projektu jest Telewizja Polska, ale projekt jest otwarty również dla innych dostawców treści. System ma zapewnić wysoką jakość transmisji i możliwość odbioru jej przez dużą liczbę użytkowników oraz zapewnienie wysokiej jakości przekazu, jak również możliwość zarządzania prawami autorskimi poprzez np. udostępnianie określonych audycji tylko autoryzowanym odbiorcom.

Z uwagi na oczywiste ograniczenia techniczne związane z przepustowością (nawet tak szybkich) sieci, realizacja takiej usługi wymagać będzie stworzenia całej struktury regionalnych i lokalnych centrów danych, w których znajdować się będą serwery pośredniczące, „powielające" dostarczany przez nadawcę materiał i rozsyłające go do odbiorców. Opracowanie takiej infrastruktury jest jednym z głównych celów projektu, gdyż sama technologia transmisji audiowizualnych przez sieć jest już dobrze znana i szeroko wykorzystywana (m.in. nasza uczelnia transmituje w Internecie niektóre odbywające się tu konferencje). „Wąskie gardło" w postaci ograniczonej przepustowości sieci wymusza jednak zazwyczaj stosunkowo słabą jakość transmitowanego obrazu i dźwięku (im wyższa jakość, tym więcej danych trzeba przesłać w ciągu sekundy). W projekcie iTVP - dzięki zastosowaniu systemu rozproszonych serwerów - ma być inaczej.

W niniejszym tekście przedstawiony został oczywiście tylko fragment działalności Cyfronetu. Więcej informacji uzyskać można na stronie WWW centrum: **http://www.cyf-kr.edu.pl/**. Osoby zainteresowane wykorzystaniem Cyfronetowych superkomputerów do swoich prac badawczych powinny się skontaktować z uczelnianymi ekspertami ds. superkomputerów - ich lista znajduje się również na stronach WWW Cyfronetu (na naszej uczelni funkcję tę pełni dr Maria Stanek z Instytutu Fizyki).

Jarosław Rafa

Maciej Kawka

Dziennikarstwo interwencyjne?

na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników - przyznasz - mieliśmy nikczemnie małych
czy warto zatem zniżać świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet.

Zbigniew Herbert, *Do Ryszarda Krynickiego - list*

Ks. Alessandro Pronzato to wybitny pisarz katolicki. Paweł VI, przeczytawszy kilka jego książek, zachęcił go do kontynuowania tego „błyskotliwego i przenikliwego" stylu, który niektórzy krytykowali, uważając go za przesadnie bezceremonialny.

Sam ks. A. Pronzato stwierdził: „niektórzy mówią mi, że mam styl dziennikarski, nie uważam tego za obrazę, uważam to natomiast za komplement. Bo dla mnie dziennikarstwo tzn. troska o to, by pisać rzeczy także głębokie w taki sposób, aby wszyscy mnie zrozumieli, a nie tylko specjaliści"*.

To tylko jedno rozumienie stylu dziennikarskiego, drugie nie jest aż tak pozytywne, bowiem styl dziennikarski wielu wypowiedzi prasowych o zabarwieniu interwencyjnym - ale nie zawsze w obronie prawdy i ludzi pokrzywdzonych - to sposób pisania sztampowy, niedbały i niedoskonały, pełny epitetów i niewybrednych sformułowań, ukrytych implikatur i głoszenia nieprawdy jedynie w celu wykreowania dziennikarskiego sukcesu. Stylu takiego używają niektórzy dziennikarze, by zaszokować czytelnika, wywołać za wszelką cenę jego reakcję i to w zasadzie wszystko jedno, jaką - byleby tylko zostać zauważonym i czytanym.

Styl taki bywa używany także w dziennikarstwie określanym jako: obywatelskie lub interwencyjne. W wielu wypadkach służy on społeczeństwu, ale znane też są teksty wykorzystywane w niedobrej sprawie. Nazwijmy go dziennikarstwem interwencyjnym „w złej lub niesłusznej sprawie" w przeciwieństwie do dziennikarstwa interwencyjnego bez dodatkowego określenia.

Przekonanie o tym, że dziennikarz jest przedstawicielem czwartej władzy tak głęboko tkwi zwłaszcza w świadomości czytelników prasy regionalnej, że świadomość ta mogłaby stworzyć podwaliny pod to, co widzimy na ekranach naszych telewizorów, i to, co czytamy w prasie codziennej.

Oto początek prasowego tekstu interwencyjnego, zamieszczonego w jednej z ogólnopolskich gazet codziennych (zmieniono nazwisko dyrektora i nazwę szkoły):

„Gdy dyrektor Jan Poliński dowiedział się, że powstaje tekst o nim i szkole w Zespole Szkół Zawodowych rozpoczęły się gorączkowe porządki. W dokumentach i nie tylko. W ostatnich dniach ubiegłego roku kolejni niewygodni ludzie zostali usunięci z rady szkolnej".

Po pierwsze, już w początkowym zdaniu czytelnik dowiaduje się od dziennikarza nie tylko, że w szkole X „rozpoczęły się gorączkowe porządki", ale przede wszystkim, że w cytowanej instytucji był bałagan. Oraz że to wyłącznie przygotowywany przez dziennikarza tekst był przyczyną porządkowania dokumentów i nie tylko, a nie jakieś kompromitujące

dyrektora zdarzenie. Po drugie: rzetelność dziennikarska wymaga zwykle podania źródła informacji. Enigmatyczne: dowiedział się, że powstaje o nim tekst, budzi grozę przed dziennikarską publikacją. Paraliżujący lęk jest tu wzmocniony niewyrażoną w tekście tezą o istnieniu ukrytego i wszechwiedzącego informatora. Gorączkowe porządki spowodowane powstającym tekstem dziennikarskim czynione są „w dokumentach" (implikacja: w dokumentach szkoły jest bałagan), „w dokumentach i nie tylko w dokumentach", a więc gdzie jeszcze? Pojawia się nowa implikatura: istnieją miejsca w szkole, w których jest bałagan, być może bałagan jest wszędzie (na korytarzach, w salach lekcyjnych, na podwórku, w sali gimnastycznej... itp.). Może jeszcze gdzie indziej, tylko gdzie? Tajemnicze „nie tylko" wzmaga poczucie zagrożenia i wywołuje fobię, że to „nie tylko" też dziennikarz wyśledzi i o tym napisze, ale jeszcze nie teraz.

Dziennikarz swoją służbę społeczną nadal pełni w sposób prawie doskonały w następnym zdaniu, gdy pisze o „usuwaniu w ostatnich dniach kolejnych niewygodnych ludzi". Nikt nie lubi „usuwania w ostatnich dniach niewygodnych ludzi", to zawsze budzi społeczny sprzeciw, bo może dotyczyć każdego z czytelników i wywołuje skojarzenia z minionej epoki. Teraz już wyłącznie na podstawie samego sposobu pisania, celowo skonstruowanych implikatur, wytartych zwrotów w służbie dziennikarskiego stylu, a nie faktów - na pewno nikt już nie będzie wątpił w to, że ci „kolejno usuwani niewygodni ludzie" to jedynie osoby szlachetne, uczciwe i godne szacunku, a nie niegodziwcy i awanturnicy. Dziennikarz w całym tekście zastosował matrycę złego pisarstwa interwencyjnego, którą można powielać nieskończoną ilość razy w każdej sytuacji, przy każdej okazji, bez jakiejkolwiek dbałości o fakty i w każdej sprawie.

Jest to tylko próba analizy fragmentu większej dziennikarskiej wypowiedzi, ale nie ulega wątpliwości, że takich tekstów - zwłaszcza w prasie lokalnej - jest więcej. Należy je czytać uważnie i nie dać zwieść „stylowi interwencyjnemu", bowiem nie każdy taki przekaz jest obiektywny i służy ujawnieniu prawdy.

Jednakże na pewno jesteśmy dzisiaj świadkami narodzin nowego stylu w dziennikarstwie - nowego gatunku i sposobu pracy - dziennikarstwa interwencyjnego. Dzisiaj nie wiadomo jeszcze, jak nazwać ten gatunek wypowiedzi prasowej - należy śledzić jego rozwój, by jasno określić jego cechy i miejsce w dziennikarskiej genologii.

Maciej Kawka

* katolik.pl, www.katolik.pl/index1.php?st=artykuly&id=832

Marek Karwala

Barbara Zambrzycka-Śliwa – artystka niezależna

Barbara Zambrzycka-Śliwa, urodzona na Pomorzu w 1950 r., pobierała nauki w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni Orłowie, a następnie rozpoczęła studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Po roku przeniosła się do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie w Pracowni Rzeźby prof. Mariana Koniecznego zrealizowała dyplom w 1974 r. Uczyła się także malarstwa pod kierunkiem prof. Jonasza Sterna, zaś tajniki rysunku przyswajała pod opieką prof. Adama Hoffmanna. Pracuje w Instytucie Sztuki Akademii Pedagogicznej w Krakowie, gdzie kształci studentów w zakresie rzeźby. Prowadzi autorską galerię – Space Gallery – w Krakowie przy ul. Floriańskiej 13.

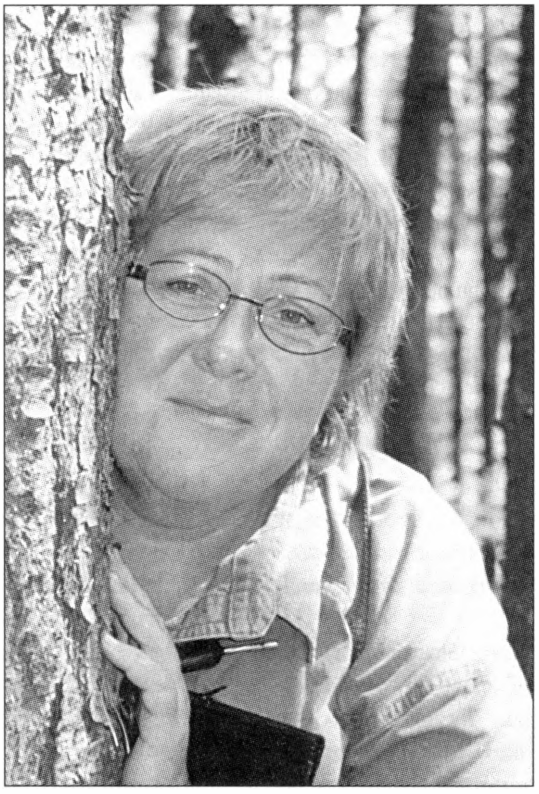

Ma w dorobku blisko pięćdziesiąt wystaw indywidualnych (krajowych i zagranicznych) oraz udział w wielu ekspozycjach zbiorowych (m.in. w Austrii, Niemczech, Hiszpanii, Włoszech, Wielkiej Brytanii, Bułgarii, Rosji, Belgii, USA, Czechach, Słowacji, Finlandii, Danii, Estonii, Szwajcarii, na Węgrzech). Jej prace można spotkać w renomowanych muzeach na kilku kontynentach oraz w prywatnych kolekcjach w kraju, jak również poza granicami. Jest laureatką wielu prestiżowych nagród i wyróżnień.

Określenie „artystka niezależna" wydaje się trafnie definiować pozycję, jaką zajmuje Barbara Zambrzycka-Śliwa wśród współczesnych rzeźbiarzy. Nie traktuje ona bowiem z nadmierną estymą reguł wypracowanych przez tradycję (jakkolwiek błędnym byłoby mniemanie, że całkowicie je odrzuca), ale też nie poddaje się „terrorowi" bycia nowoczesną, któremu jakże łatwo ulega wielu twórców o nie najwyższej próby talencie. W konsekwencji zdołała przez lata swej artystycznej aktywności wypracować dla siebie miejsce osobne, indywidualne, a jej prace stały się rozpoznawalne nie tylko przez znawców czy koneserów sztuki...

Katarzyna Kobro, wyznaczając powinności rzeźby i starając się zdefiniować tę formę działań ikonicznych, powiedziała onegdaj:

„Zadaniem rzeźby nie jest lepienie takich lub innych figurek. Istotnym jej podłożem jest przestrzeń i operowanie tą przestrzenią, organizowanie rytmu, proporcji, harmonia formy, związanie z przestrzenią. Rzeźba powinna być projekcją organicznych i teologicznych możliwości epoki".

Założenia te zdają się obecnie niemal perfekcyjnie przylegać do prac rzeźbiarskich Barbary Zambrzyckiej-Śliwy. Warto jednak przyjrzeć się nieco bliżej drodze, którą przemierzyła artystka, aby osiągnąć tak rozumianą harmonię. Pierwszymi wystawami dała się poznać jeszcze jako licealistka, co skwapliwie odnotowywała pomorska prasa, słusznie dostrzegając niemały talent dojrzewającej artystki. Dopiero jednak lata studiów, a potem pierwszy poważny etap wystawienniczy, w pełni ukształtowały osobowość twórczą rzeźbiarki. Określenie to nie jest zresztą pełne, jako że Barbara Zambrzycka-Śliwa uprawia nie tylko rzeźbę, realizuje bowiem jeszcze tzw. instalacje; swego czasu była też zafascynowana rysunkiem.

*

Prace z okresu „dyplomowego" cechuje przede wszystkim niezwykły dynamizm, gwałtowność ruchu, ekspresja. Bez wątpienia wpłynęła na to jeszcze jedna pasja artystki - sport. Dokładniej zaś rzecz ujmując „biała broń", była ona bowiem w latach 70., a więc znakomitych dla polskiej szermierki, członkinią kadry narodowej i reprezentowała nasz kraj na forum międzynarodowym. Stąd zapewne pochodzą inspiracje dla wykonanej w sztucznym kamieniu sporych rozmiarów (400 x 230 cm) pracy zatytułowanej *Dedykowane Chwistkowi*. Widać tu dwie sylwetki szermierzy, każda jakby w trzech kolejnych fazach ruchu, jakby w trzech kolejno następujących po sobie kadrach - by posłużyć się językiem filmowym. Adresat nie jest przypadkowy z dwu powodów, bo przecież Leon Chwistek także podejmował rzeczoną tematykę, także starał się utrwalić ruch na płaszczyźnie, a i rozwiązanie zastosowane przez artystkę zdaje się nawiązywać do formistycznych sposobów wyrażania.

*

Zaraz potem pojawiły się rzeźby stawiające pytania egzystencjalne, właśnie - pytania, a nie odpowiedzi. Wśród nich była między innymi *Tabula rasa*, która - będąc bardzo dobrze przyjętą na Zachodzie - dała Barbarze Śliwie „przepustkę do świata". Na podstawie o boku 50 cm została umieszczona główka dziecięca, prawie jeszcze niemowlęca, a obok niej rozbite, ciemne skorupy. To z nich, symbolizujących zapewne niebyt, wyłonił się człowiek, który po raz jedyny i niepowtarzalny zacznie zapisywać swoją „białą kartę" życia. Analogicznymi dylematami dzieli się artystka z widzem, gdy proponuje mu pracę *Życie przeżycie*. Tu z kolei siedem ustawionych w plenerze tablic, przypominających nieco żydowskie macewy, ma wyryte napisy, m.in.: „przeżycie", „użycie", „współżycie", „zżycie", które odsyłają widza do kręgu refleksji filozoficznej nad sposobami organizowania egzystencji wedle określonych systemów aksjologicznych. O wyborze konkretnej drogi decyduje niejednokrotnie przypadek, zdaje się mówić autorka, bowiem wśród tablic znajduje się sporych rozmiarów kostka do gry, na której zamiast liczby „oczek" zostały umieszczone napisy-pytania (od frontu widoczne są dwa spośród nich: „gdzie", „kiedy").

*

Jeszcze w latach 70. zaczęła artystka przeprowadzać eksperymenty materiałowe. Dotąd posługiwała się głównie materią twardą, granitem, sztucznym kamieniem itp. Teraz zaczęła konfrontować materiały

z pozoru wykluczające się: granit oraz watę. Z takiego właśnie zestawienia powstała rzeźba *Pozytywizm organiczny*, w której wykonana z waty głowa postaci nie tylko nic nie traci z monumentalności, ale wręcz wydaje się „kamienna". W tym samym mniej więcej czasie Barbara Śliwa sięgnęła także po pastele, utrwalając nimi na papierze podhalańskie kamienie i głazy. Okazało się, że o ile watę można wykorzystać „twardo", o tyle kamień poddaje się „miękkiemu" zaprezentowaniu...

*

Spod ręki artystki wyszło sporo serii prac; niektóre z nich ułożyły się w cykle, a spośród nich najistotniejsze wydają się *Homo Petra*, *Stawanie się* oraz *Labirynt świata - raj serca*. Również tutaj wysuwa się na pierwszy plan ich filozoficzny wymiar. Pierwszy z cykli zawiera realizacje złożone z kamiennych bloków, na których zostały mozolnie wykute dookolne rowki, mające - jak można sądzić - sugerować nakładanie się na siebie kolejnych „warstw" ludzkiej egzystencji. Na drugi składają się prace konsekwentnie stawiające pytania o proces stawania się człowieka (jego dorastania) zarówno w wymiarze czysto fizycznym, jak i intelektualnym, świadomościowym. Najciekawiej jednak prezentują się „kapliczki" (bo tak je artystka skrótowo nazywa), składające się na cykl trzeci. Na pomysł natrafiła zgoła przypadkiem, gdy podróżując przez Syberię dostrzegała wielokrotnie wyłaniające się spomiędzy drzew wieże strażnicze tzw. obozów pracy... Podstawa tych prac jest marmurowa i zwarta, natomiast zwieńczenie zdaje się zamykać jakąś kruchą, ulotną przestrzeń, ograniczoną kamiennymi „listewkami", jedynie sugerującą dyskretnie metafizyczny wymiar obecności nieobecnego; starającą się nazwać nienazywalne.

*

W latach 90. Barbara Śliwa reprezentowała Polskę na międzynarodowym sympozjum rzeźby w Finlandii, gdzie poznała smak pracy w drewnie, a konkretniej w syberyjskiej sośnie, z której wydobyła kolejną swą „kapliczkę", nagrodzoną zresztą w trakcie owego sympozjum. Od tego czasu drewno wprowadziła na stałe do swego warsztatu. Później powstała cała seria drewnianych „kapliczek", do których zwiedzający mogą wsuwać intencje, pragnienia, prośby zapisawszy je na karteczkach przygotowanych wcześniej przez artystkę (to jedna z wielu form „akcji" realizowanych w ostatnich latach).

*

Ciekawe rozwiązania można dostrzec także w nowym cyklu zatytułowanym *Autostrady*. Tu z kolei rozrąbane lub wydrążone pnie drzew stanowią tory wyłożone smolistą masą, w której zostały zatopione dziecięce samochodziki. Pnie wydają się jakby okaleczone, „rozjechane" brutalnie przez mnóstwo samochodów (czyżby chodziło o ścieranie się natury i cywilizacji?).

*

Osobne miejsce w dorobku Barbary Śliwy zajmują kameralne, intymne w treści i formie prace zrealizowane w brązie, których najwięcej powstało w końcu lat 70. i na początku 80. Nie przekraczają one zwykle rozmiarów 18 x 13 cm, rejestrują twarze lub całe sylwetki dzieci; znalazło się wśród nich także miejsce na autoportret.

*

Nie można również zapomnieć o bardzo ważnej pracy zrealizowanej przez artystkę w 2000 roku u podnóża Alp, w austriackim mieście St. Ulrich bei Steyer, gdzie powstała europejska aleja rzeźb. Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku wytypowało do wzięcia udziału w tym prestiżowym przedsięwzięciu właśnie Barbarę Zambrzycką-Śliwę. Tym razem „kapliczkę" stanowi trzymetrowy, granitowy głaz, zwieńczony regularnie pokratkowanym rombem, do którego prowadzi kilkunastometrowa, wyboista i nieregularna droga wyłożona granitową kostką. Im bliżej cokołu, tym regularność drogi się zwiększa, a na zwieńczeniu panują już porządek i harmonia...

Marek Karwala

Dedykowane Chwistkowi sztuczny kamień (400 x 230 cm) 1974

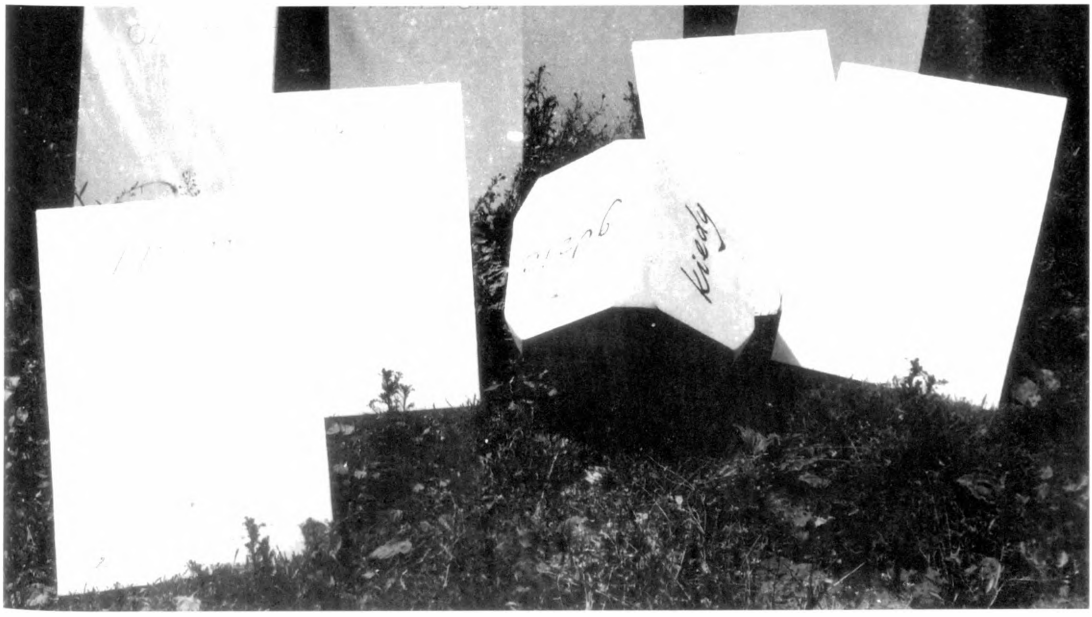

Życie przeżycie marmur 1975

Tabula rasa (60 cm) 1975

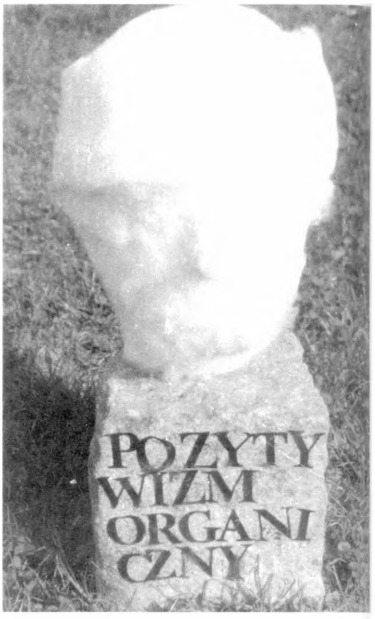

Pozytywizm organiczny
granit, wata (60 cm) 1977

Nie pytaj kto jest winien brąz (23 x 30 cm) 1978

Autoportret brąz (70 x 45 cm) 1980

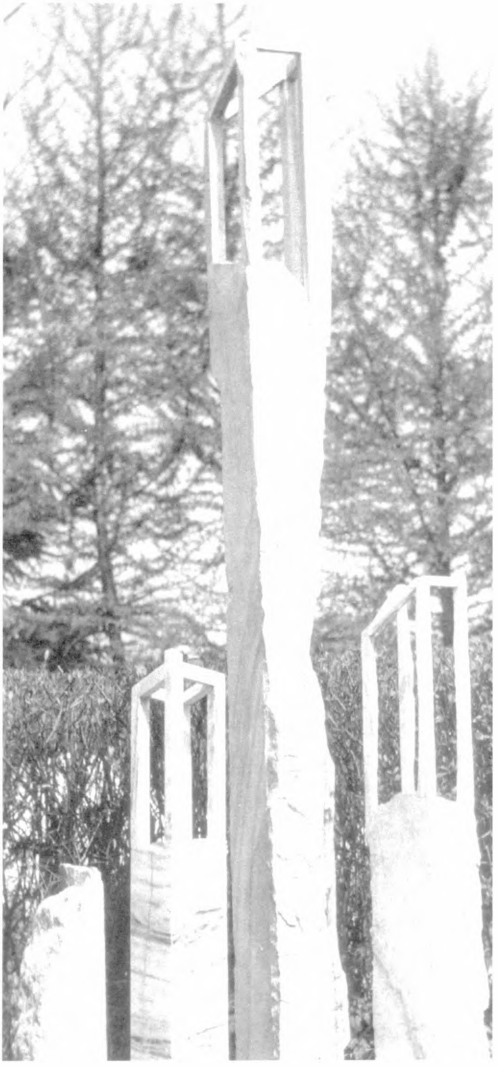

Labirynt świata. Raj serca biały granit polski 1987

Krechy ziemi z cyklu *Kapliczki polskie* 1989

Romuald Oramus

Holendrzy w Krakowie

Trudno sobie wyobrazić dzieje nowożytnego malarstwa europejskiego bez sztuki artystów Północy. XV- i XVI-wieczne malarstwo Niderlandów, Niemiec i Francji było „drugim płucem", ważnym biegunem wspólnego europejskiego organizmu, gdzie rodziły się nowe tendencje renesansu i baroku. Podczas gdy na Południu w pierwszej ćwierci XV w. przywracano do łask antyczne ideały piękna, zasady matematycznego porządku, gdy rozważano nowatorskie metody coraz doskonalszego, trójwymiarowego odwzorowywania rzeczywistości, na Północy zauważa się jeszcze przywiązanie do średniowiecza, choć i tam dochodziły do głosu nowe tendencje rozwiązań - jednak jakby niespiesznie, z chłodnym osądem malarskich możliwości, oraz z wykorzystaniem lokalnej ludowości (H. Bosch, P. Breughel Starszy). Ważnym faktem były tu transalpejskie podróże artystów na Południe, gdzie dynamiczny ruch umysłowy otwierał oczy na nową koncepcje widzenia człowieka i rzeczywistości (zjawisko styku dwóch różnych obszarów kulturowych, wzajemne wpływy krajów Północy i Południa ukazała wystawa *Transalpinum. Od Giorgiona i Dürera do Tycjana i Rubensa* w warszawskim Muzeum Narodowym, w 2004 r.).

Ciepłe światło Południa uwrażliwiało malarzy „zimnej Barbarii" na bardziej intensywną kolorystyczną materię natury. Skutkiem tego rozwijały się poszukiwania w zakresie czystej barwy i w zakresie niuansów kolorystycznych. Szukano nowych możliwości technologicznych: łączenia tempery jajkowej z techniką olejną. Cenimy szczególnie finezję kolorystyczną Włochów: Giorgiona, Tycjana, Tintoretta, stosujących olejno-żywiczne media w malarstwie, ale pierwsze dokonania technologiczne, zrywające ze średniowiecznymi przyzwyczajeniami do tempery przypisuje się Janowi van Eyck. Jego portrety i sceny religijne - poprzez krystaliczne laserunki - oddają blask światła jakby ukryty wewnątrz obrazów. Świetlna emanacja barwy nie jest tylko związana z kolorem lokalnym powierzchni wiernie odwzorowywanej rzeczywistości, czym zachwycali się i na czym wzorowali się malarze włoscy I połowy XVI wieku. U malarzy Północy kolor budujący strukturę kompozycji jest alchemiczną substancją o szlachetności drogich kamieni, charakterystyczną dla malarstwa całego tego obszaru (J. van Eyck, R. van der Weyden, P. Christus, H. Memling).

Przez cały wiek XVII malarstwo Północy wpisuje się w barokowe, stylistyczne tendencje epoki. Widzimy dzieła o wyrazistej plastyczności form, o złożonej konfiguracji światłocieniowych relacji, kształtujących rozbudowane układy przestrzenne. Szkoła włoskiego tenebryzmu (wpływ Caravaggia) ukształtowała za pośrednictwem G. Honhorsta, H. ter Brugghena, O. Gentileschi'ego luministyczne opracowania rodzajowych i religijnych tematów, podobnie jak w obrazach powstałych w Bolonii, Mediolanie, Florencji, Rzymie czy Neapolu.

Z perspektywy czasu zauważa się pewne różnice pomiędzy malarstwem katolickiej Flandrii i protestanckiej Holandii (powstałej po oderwaniu się od Korony hiszpańskiej siedmiu zbuntowanych północnych prowincji w 1581 r., a uznanych przez Hiszpanów w 1609 r.). Ośrodki tych dwóch odrębnych krajów różnią się nie tylko pod kątem kompozycji, kolorytu, ale również popularności tematów. W Holandii - Republice Zjednoczonych Prowincji - spostrzegamy obrazowaną prostotę życia mieszczańskiego. Oszczęd-

ne w wielość rekwizytów, symboliczne martwe natury ukazują materialną wartość przedmiotu, stając się zarazem refleksją nad przemijaniem. Uporządkowane i schludne wnętrza domów (J. Vermeer), nie są wolne od ludycznych zachowań: muzykowania i zabawy, intymnych spotkań czy też karczemnych swawoli - bo też prawdę natury ludzkiej odnajdujemy także w miejscach o wątpliwej reputacji (mali mistrzowie). Spotykamy się z wizerunkami zasobnych mieszczan, czasem notablami życia społecznego - popularny jest reprezentacyjny portret zbiorowy (Rembrandt, F. Hals). Pochłonięci pomnażaniem majątku i codziennym umiłowaniem wygody odczuwają jednak duchowy wymiar życia. Ich malarze nadal malują tematy biblijne, ale zarazem widzą panteistyczne piękno pejzażu. Materia chmur i powietrza jest jednią z materią fauny i flory, w tym i człowieka, zaludniającego rozległe obszary płaskiego pejzażu aż po odległy horyzont (J. van Ruisdael).

Natomiast we Flandrii wyraźniej zaznacza się bujność Południa, obfitość kształtów, bogactwo sztafażu i większa kolorowość i dynamika życia. Sceny rodzajowe czy mitologiczne pełne są zgiełku, rzec by można, że są jakąś formą odreagowywania od hiszpańskiej, dworskiej surowości oraz hiszpańskiej skłonności do mistyczno-eschatologicznych przedstawień (J. de Ribera, F. Zurbaran, P. P. Rubens, A. van Dyck). W ukazywanych historiach i rozbudowanych martwych naturach dostrzegamy ostentacyjne bogactwo materii przedmiotów oraz wszelakich dóbr konsumpcji. Śmiech i radość zdaje się pożądanymi atrybutami szczęśliwego życia i ma wyraźnie pozytywny wymiar (J. Jordaens).

Malarz Holandii widzi otaczającą rzeczywistość ze szczególnym zaangażowaniem. Zdaje się być jej zachłannym obserwatorem. Tak jak jego rodacy wyrwali morzu ukryte partie lądu, które zasiali i zaludnili, tak artysta tej ziemi pragnie ogarnąć tajemnicę swej zamieszkałej przestrzeni. Emocjonalnie szuka własnej prawdy sztuki, czasem zmierzając do autodestrukcji (van Gogh). Ale zdolny jest też do analitycznego, chłodnego widzenia rzeczywistości. Wtedy destyluje jej strukturę. Upraszcza, sprowadza ją do zasadniczych kierunków pionu i poziomu: kierunku wertykalnego i horyzontalnego (jest wierny doświadczeniu tektoniki swego terenu). Pion to dla niego nie tylko kierunek: góra-dół, ale idea wznoszenia się lub opadania. Duchowości i ziemskości. Poziom to nie tylko horyzont, ale i synonim rozumu i doczesności (neoplastycyzm Mondriana). Niepokorny, kontynuując zasadę przeciwstawności zasadniczych kierunków natury, dla uwiarygodnienia takiego uniwersalizowania „wizerunku rzeczywistości" pryncypialnie stwierdza, że prostopadłość tych strukturalnych układów winna być zdominowana układem diagonalnym, bliższym według tej doktryny prawdziwemu, doświadczanemu porządkowi realności (neoplastycyzm T. van Deosburga).

*

W ostatnich dniach możemy zetknąć się ze szczególnym obliczem współczesnej sztuki holenderskiej. Muzeum Narodowe w Krakowie prezentuje wystawę: *Malarze rzeczywistości. Współczesna figuracja holenderska*, przygotowaną w oparciu o zbiory Drents Muzeum w Assen i Kolekcję Grupy ING. Z jednej strony widzimy, że są w Holandii instytucje, które kompletują aktualne malarstwo - muzeum i grupa zrządzająca finansami, wyraźnie pod prąd obowiązujących mód i nowości w sztuce, z drugiej strony doświadczamy niezwykłej kontynuacji rodzimej kultury. Na wystawie nie znajdziemy śladów artystycznych nowinek, prób szukania nowych nurtów, czy prób nawiązywania do tego, co chodliwe w artystycznych metropoliach. Mamy wrażenie, jakby rewolucyjne przemiany artystyczne ostatnich 30 lat nie dotyczyły Holandii (z takiego bowiem okresu znajdują się prace na wystawie). Artyści kontynuują klasyczne tematy: martwe natury, portrety, sceny rodzajowe, pejzaże. Kontynuują także tradycyjne techniki malarskie: olej na płótnie lub płycie, czasem tylko wykorzystują akryl lub techniki mieszane.

Spotykamy się z różnego rodzaju stylizacjami odwzorowania rzeczywistości, kreowania świata fantazji lub poetyki realności, zawsze jednak z pomocą form widzialnych, rozpoznawalnych, figuratywnie nazwanych. Zdziwieni ortodoksją rozumienia malarstwa uświadamiamy sobie, że sens malar-

stwa tkwi niekoniecznie w próbie galopowania za modą, co w oryginalnym i indywidualnym widzeniu otaczającego świata. W osobistym nazwaniu, obrazowaniu tego, co zdawałoby się już poznane. W mistrzowskim stosowaniu techniki, dającym w rezultacie obiekty o nienagannych formalno-warsztatowych cechach.

Holendrzy wciąż kochają obrazy. Tak jak w XVII w. otaczali się nimi w swych wnętrzach, czyniąc z nich również środek płatniczy (przy zakupie wszelkich artykułów czy dóbr), tak teraz zdają się chronić malarstwo przed kulturową degradacją. Jak hodowcy tulipanów, dbający o piękno i jakość swych kwiatów, tak nadal współcześni malarze obrazów pragną swymi dziełami upiększać świat lub odkrywać przed nami ukrytą realność. Artyści pracują poza czasem przyspieszonej komercji. Pochłonięci malowaniem łudząco podobnych do rzeczywistych malarskich światów, bez kompleksów kontynuują sprawdzone kryteria. Zdają się mówić: „ma być sugestywnie, pięknie i po mistrzowsku". Dbają o swoich uczniów i ciągłość edukacji w tym zakresie. W Groningen, w północnej części kraju, mieści się szczególnie znacząca Akademia Sztuk Pięknych Minerva, z której pochodzi wielu artystów prezentujących w MN swe prace. Uczy tam m in. Mattijis Röling, który na krakowskiej wystawie prezentuje 4 martwe natury, typowe dla tradycyjności tego malarskiego tematu. Symboliczne, pełne znaczeń zbliżonych do XVII-wiecznych *Vanitas*, ukazują nie tylko przemijalność i zmienność świata (*4 pory roku*). Jest w tych obrazach charakterystyczne manifestowanie poglądów na temat współczesnej sztuki. W alegorii zimy znajdujemy namalowany odręczny list artysty, w którym odnaleźć można jego oskarżenie, skierowane pod adresem swego rodaka Pietra Mondriana o to, że „abstrahując od rzeczywistości, zadał sztuce śmierć".

Metafizykę przedmiotów- usytuowanych, a właściwie „zawieszonych" w przestrzeni doskonałej: bezwzględnego porządku rytmów - a także uchwycenie ich „cichego życia", odnajdujemy w syntetycznych martwych naturach Henka Helmantela. Bezwzględne linie: dolna, blatu stołu, i górna - niczym horyzontu kompozycji - wyznaczają optyczne ramy rozgrywającego się na naszych oczach spektaklu nieruchomości ukazanych rekwizytów: jaja, dwóch skorupek, porcelanowej czarki, owoców granatu. Przemijalność natury zdaje się nie dotykać tych przedstawień. Czujemy jakby „zamrożoną wieczność": doskonałość formy, perfekcję warsztatu artysty.

Przywiązanie do przedmiotu znajduje wyraz nie tylko w rozbudowanych, mniej lub więcej, metaforycznych martwych naturach. Holendrzy zdają się widzieć „centrum świata" poprzez detal: jeden przedmiot, jedno wybrane ujęcie. Wtedy okazuje się, że prawdę materialnego świata dostrzec możemy nie tylko w iluzjonistycznych *trompe l'oeil*, ale w analizie wybranego owocu lub ich pary, w koszyku pieczarek, w słoiku czosnku, w finezji muszli (Ben Rikken, Albert Greving).

Taka bliska perspektywa widzenia przedmiotu innym razem kontrastuje z kontynuacją ukazywania odległych przestrzeni. Tajemnicze pejzaże, niepokojące w swym idealizmie, przenoszą nas tam, gdzie zieleń spowita jest mgłą, a bezkres horyzontu otwiera przed nami nieograniczone widzenie dali. Jakieś zapomniane przez ludzi wioski, opustoszałe budowle lub zupełnie opuszczone, jakby polodowcowe równiny z ledwo widocznymi szczelinami, reliktami-kamieniami (Peter Duriex, Berend Groen) prowadzą nas w obszary niepokojąco nadrealistyczne. W perfekcyjnym iluzjonizmie napotykamy na motywy pejzażowe dziwnych zakątków - wciąż opustoszałych posiadłości. Gdzieś na peryferiach stylizowane bramy prowadzą donikąd, w jakieś odludne parki, zagajniki (Gerrie Wachtmeester). To umiłowanie pustki, nawiązujące do wątków malarstwa metafizycznego lat 30., odzwierciedla się nawet w pejzażach miejskich. Puste, wyludnione ulice, gdzie indziej tylko refleks światła; otwarte okno, odbicie szyby, przypadkowe ujęcie przejeżdżającego tramwaju - zdają się być jakimś śladem życia, zatrzymanym w kadrze. Ujęte są jakby poza regułami zmienności świata (Frans Stuurman).

Niezmienne jest też u Holendrów przywiązanie do swojskich narodowych motywów. Bezceremonialne malowanie krów, rozbrajających wizerunków

cielaków, zadziwia i rozwesela. Ze swadą i werwą portrety te malowane są z takim samą celnością ujęcia animalistycznej fizjognomii, co psychologizujące ujęcia ludzkich konterfektów (Pieter Bander). Ekspresję na granicy malarskiej brawury odnajdujemy natomiast w portretach - malowanych całych postaciach u Sama Drukkera. Weryzm przedstawienia osób stojących w niewymuszonych pozach nie krępuje artysty w swobodnym posługiwaniu się techniką. Szerokie gesty, lekki rysunek, spływająca farba, innym razem jej zgęszczona materia, niedomalowania, a także wykorzystanie naturalnych cech podłoża są niewątpliwie kontynuacją najświetniejszych przykładów holenderskiego portretu (Rembrandt, Hals, van Gogh).

Człowiek we wnętrzu, zanurzony we śnie, a nawet opuszczony, widoczny jest w obrazach Barenda Blenkerta. Następuje tu synteza formy, uproszczenia bryły; finezyjny kolor, wsparty często zaskakującą fakturą, obrazuje wymownie egzystencjalne sytuacje. Ciszę i pustkę podkreśla zimne światło żarówki, lampy, wydobywające z mroku sylwetki anonimowych, odwróconych postaci.

Teatr ludzkiej samotności może się jednak szybko zamienić w teatr ludycznej groteski, cyrkowej zabawy. Przebieranki, maski, nagromadzenie scenicznych kostiumów i rekwizytów, wydobyte ostrym punktowym światłem, obecne są w malarstwie Olgi Wiese. Kontrasty kolorystyczne, wirująca przestrzeń, ikonograficzny zgiełk - wszystko to przypomina nam niderlandzką tradycję scen rodzajowych, gdzie wszystko się zdarzyć może, z ukrytą puentą znaczeń.

Pięknie malowane obrazy współczesnych Holendrów zadziwiają tradycjonalizmem (przedstawiliśmy tylko wybrane obrazy tej szczególnej wystawy). Uwodząc oko, krzepią umysł, myśl kierując ku refleksjom, których coraz trudniej przychodzi nam doznawać na wystawach aktualnego malarstwa. Mistrzowsko wykonane dzieła (o bardzo zróżnicowanej stylistyce) wciąż przypominają o trudnej sztuce malarskiej iluzji.

Romuald Oramus

Michał Mentel – (ur. 1980 r.) student V roku filologii polskiej Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Swoje fotografie drukował w „Nowym Legionie", „Lamelli". Wyróżniony w konkursie „Sceny rodzajowe z życia uczelni" zorganizowanym przez Instytut Sztuki oraz Samodzielną Sekcję Promocji Uczelni i Karier Studenckich AP.

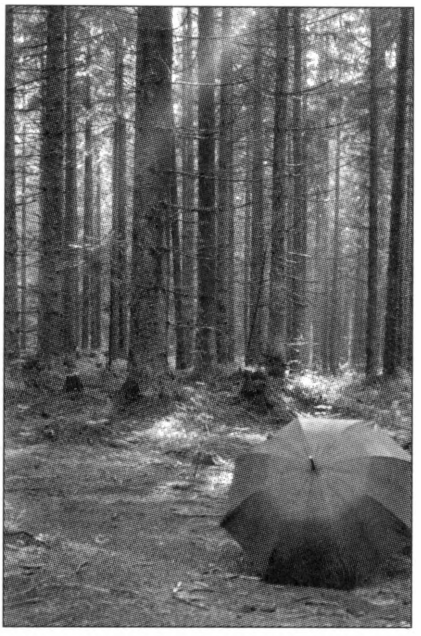

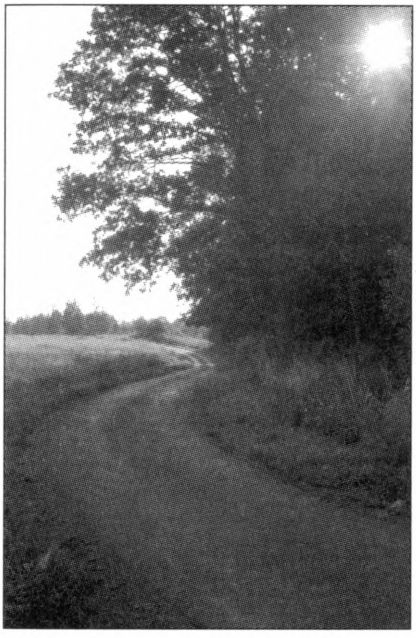

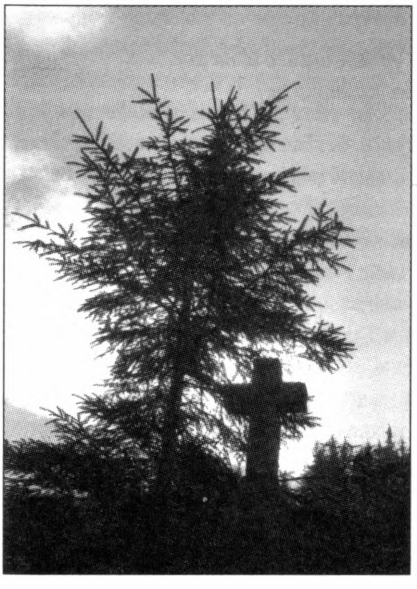

Dorota Piątek – studentka V roku filologii polskiej Akademii Pedagogicznej w Krakowie i Studium Dziennikarskiego AP. Poetka i dziennikarka. W latach 2000–2001 publikowała swoje utwory na łamach Skarbnicy Współczesnych Poetów. Autorka cyklu artykułów dla „Gazety Krakowskiej".

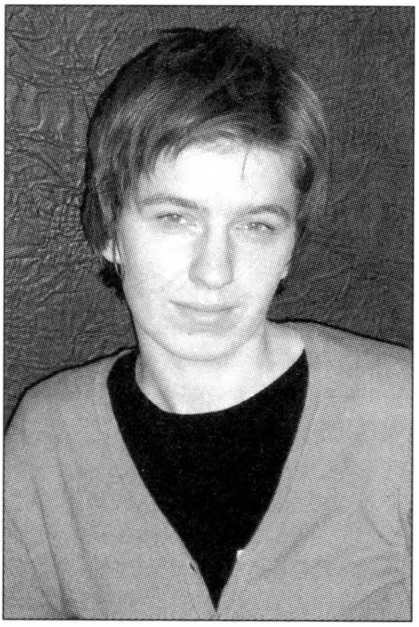

* * *

Przecinają się ścieżki naszych szeptów
Pociąg. Kraków. Panorama twarzy.
Uniwersytet. Sms.
Noc. Warszawa niby sen
Jak linie papilarne spotkamy się kiedyś

Ból

Nie pamiętam
co znaczy
zasypiać po całym dniu pracy
parzyć z rana dla Ciebie
kawę
iść na spacer
kiedy tylko chcę
szeptać przy zgaszonej lampie

Nie pamiętam
Jak zapachniała już jesień

Tak, proszę bardzo te na noc.
Z tym gipsem to tu.

Konferencje w Instytucie Historii w 2004 roku

W Instytucie Historii odbyły się w roku 2004 cztery konferencje naukowe. O konferencji „lwowskiej", organizowanej w początkach maja, pisaliśmy już w „Konspekcie". Odrębnie donosimy również o XVII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich. Dlatego w skrótowej formie informujemy o pozostałych konferencjach.

Urzędnicy miejscy w Rzeczpospolitej – problemy badawcze (20–21 czerwca 2004 r.)

W dniach 20-21 czerwca 2004 r. odbyła się w Krakowie zorganizowana przez Dyrekcję Instytutu Historii Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie i Dyrekcję Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu konferencja poświęcona urzędnikom miejskim w Rzeczpospolitej oraz związanym z tym zagadnieniem problemom badawczym.

Referat wstępny wygłosił Krzysztof Mikulski (UMK). Mówił *O potrzebie sporządzenia spisów urzędników miejskich Rzeczpospolitej*, podkreślając przydatność sporządzenia tego zamierzenia badawczego dla dalszych badań nad problematyką miast średniowiecznych i nowożytnych. Przytoczył przykład spisów urzędników ziemskich, który okazał się niezwykle pomocny w badaniach nad rycerstwem i możnowładztwem. Następnie zabrał głos Mateusz Goliński (Uniwersytet Wrocławski; *W kwestii użyteczności spisów urzędników na przykładzie Wrocławia i Świdnicy*). Podkreślił odrębności ustrojowe miast śląskich oraz związane z tym problemy przy opracowaniu spisu urzędników. Z kolei Roman Czaja (UMK) w referacie *Kształtowanie się ustroju radzieckiego w miastach nadbałtyckich w średniowieczu*, poruszył problem formowania się i dochodzenia rady do monopolistycznej władzy w miastach Pomorza Zachodniego, ziem pruskich oraz Inflant, porównując tamtejsze rozwiązania ustrojowe z modelem ustrojowym miast polskich.

Kolejni referenci koncentrowali się głównie na omówieniu postępów badawczych nad problematyką ustrojową poszczególnych miast. Ryszard Szczygieł (UMCS) przedstawił *Stan badań nad urzędnikami lubelskimi i możliwości ich prowadzenia*. Natomiast Grażyna Jakimińska zaprezentowała prosopograficzną charakterystykę rady miejskiej Lublina w pierwszej połowie XVI wieku. Kolejny mówca, Stanisław Jujeczka, omówił zachowane zasoby źródłowe odnoszące się do miasta Legnicy oraz ocenił możliwości opracowania spisów tamtejszych urzędników miejskich.

Dwa następne referaty dotyczyły Krakowa. Waldemar Bukowski (IH PAN w Krakowie) przedstawił *Stan i perspektywy badań nad urzędnikami miasta Krakowa w średniowieczu*, podkreślając genezę oraz specyfikę krakowskiego ustroju miejskiego. Podobną problematykę, tyle że w odniesieniu do okresu nowożytnego, podjął Zdzisław Noga (AP w Krakowie). Zwracając większą uwagę na urzędników średniego szczebla, omówił ich kompetencje na podstawie zachowanych rot przysiąg.

W drugim dniu obrad podjęto sprawy wschodnie. Goście z Ukrainy: Natalia Biłous (Kijów) oraz Miron Kapral (Lwów) przedstawili stan literatury, zasoby archiwów, odrębności ustrojowe oraz możliwości i problemy, na jakie natknąć się muszą przyszli autorzy spisów urzędników Kijowa i Lwowa. Po wysłuchaniu referatu Janusza Grabowskiego (AGAD, *Urzędnicy Starej i Nowej Warszawy do 1526/29. Stan badań i perspektywy badawcze*), uczestnicy konferencji rozpoczęli dyskusję, stanowiącą później jej istotny element.

Pojawiło się bowiem sporo problemów metodologicznych i terminologicznych. Podjęto próbę zdefiniowania pojęcia „urzędnik miejski" i elementów odróżniających urzędników od „sług miejskich". Wskazano na różnice pomiędzy urzędem a funkcją. W końcu uczestniczy przyjęli zasady doboru urzędników do planowanych spisów. Ustalono, że oprócz wójtów, rajców

i ławników w spisach znajdą się również kierownicy kancelarii (pisarze, sekretarze) oraz syndycy.

Podsumowując obrady, Ryszard Szczygieł podkreślił zasadność organizowania tego typu konferencji tematycznych i wkład, jaki wnoszą w rozwój badań nad ośrodkami miejskimi dawnej Rzeczpospolitej.

Jerzy Rajman

Mitteleuropa gestern und heute in einem vereinigten Europa (2–4 listopada 2004 r.)

W dniach 2–4 listopada 2004 r. odbyła się w Instytucie Historii Akademii Pedagogicznej międzynarodowa sesja naukowa *Mitteleuropa gestern und heute in einem vereinigten Europa* [Europa Środkowa wczoraj i dziś w zjednoczonej Europie]. Sesję zorganizował Instytut Historii AP przy organizacyjnym wsparciu fundacji Haus der Aktion 365 z Frankfurtu nad Menem. Było to kolejne z triateralnych spotkań historyków, socjologów i pedagogów z Pädagogische Hochschule Schwäbisch Gmünd, Uniwersytetu w Ołomuńcu, Uniwersytetu Opolskiego i Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Zgodnie z dotychczasową tradycją tych naukowych spotkań, obrady konferencji toczyły się w językach niemieckim i angielskim. Problem Europy środkowej widzianej w perspektywie historycznej, współczesnej i edukacyjnej został naświetlony z punktu widzeniu wielu płaszczyzn badawczych.

W aspekcie historycznym poruszono kolejno problem mozaiki etnicznej na terenie dzisiejszej Polski w czasach prehistorycznych (dr hab. prof. AP Marek Wilczyński, Kraków), wielokulturowości średniowiecznego Śląska (dr hab. prof. UO Anna Pobóg-Lenartowicz, Opole), wieloetnicznego charakteru miasta Krakowa we wczesnym okresie nowożytnym (dr hab. prof. AP Zdzisław Noga), problemu polityki polskiej wobec Śląska w latach 1945–1950 (dr M. Świder, Opole), dekretów Benesza ze współczesnej perspektywy (dr M. Hořinek, Ołomuniec) i czeskiej drogi do totalitaryzmu (mgr D. Hampl, Ołomuniec)

Blok socjologiczny prezentował się równie ciekawie. Omówione zostały zagadnienia chrześcijańskich korzeni Europy (prof. dr W. Löser SJ, Frankfurt nad Menem), europejskich modeli ułożenia stosunku: państwo – Kościół (prof. dr R. Wichard, Schwäbisch Gmünd), obrazu strukturalnego Europy w aspekcie historycznym (prof. dr S. Immerfall, Schwäbisch Gmünd), teoretycznego ujęcia europejskości z punktu widzenia Czechów (prof. dr F. Mezihorák, Ołomuniec), jak też problemom obecności Kościoła w mediach polskich (dr P. Tarliński, Opole) oraz nieetycznego sceptycyzmu w europejskiej myśli filozoficznej (doc. dr Z. Novotny, Ołomuniec).

W zakresie edukacji historycznej i socjologicznej poruszono zagadnienia holokaustu w dydaktyce szkolnej (dr P. Trojański, Kraków), pojmowaniu polityki przez dzieci w wieku wczesnoszkolnym (doc. dr J. Skopálova, Ołomuniec), kształceniu europejskiemu młodzieży szkół średnich i przygotowaniu nauczycieli tych szkół (mgr A. Stanek, Ołomuniec), wynikom eksperymentu „Świat dzieci" (doc. dr A. Nelešovska i mgr M. Dopita, Ołomuniec).

Udanym podsumowaniem sesji i dyskusji były rozważania nad pytaniem, czy możliwa jest koegzystencja narodów Europy środkowej (dr D. Spiner, Ołomuniec), uzupełnione z kolei przez relację o praktycznej realizacji współpracy młodzieży z Polski, Czech, Rumunii i Niemiec w ramach „szkoły letniej", organizowanej przez fundację Haus der Aktion 365 (Gerlinde Back, Frankfurt nad Menem).

W ramach dyskusji skomentowano także bieżące problemy polityczne oraz problemy dotyczące interpretacji historii w aspekcie sporów o przedstawienie problematyki wypędzeń, związanych z nimi roszczeń oraz zagadnienia praktycznego rozwiązania sporu o miejsce ideologii chrześcijańskiej w zjednoczonej Europie.

Materiały sesji zostaną opublikowane nakładem fundacji Haus der Aktion 365 z Frankfutu nad Menem. Teksty zostały zebrane z początkiem grudnia br., należy mieć więc nadzieję, że ukażą się drukiem w 2005 r. Kolejna sesja, tym razem poświęcona problemowi migracji w Europie środkowej, planowana jest na październik 2005 r. w Kamieniu Śląskim.

Zdzisław Noga

Premonstratensi na ziemiach polskich w średniowieczu (13–14 grudnia 2004 r.)

W dniach 13–14 grudnia w Instytucie Historii odbyła się ogólnopolska konferencja poświęcona zakonowi premonstratensów na ziemiach polskich w śre-

dniowieczu. Premonstratensi zwani są u nas norbertanami, od imienia założyciela zakonu św. Norberta z Xanten. Przybyli do Polski około połowy XII wieku, prawdopodobnie z Niemiec, ale na losy polskich klasztorów bardzo silnie oddziaływali również premonstratensi czescy. Należeli do „wielkich" zakonów średniowiecza, ale ich rola na ziemiach polskich nie jest jeszcze dokładnie rozpoznana. Konferencja, którą zorganizował Instytut Historii, była pierwszą naukową sesją w Polsce poświęconą zakonowi św. Norberta. Dominowały referaty podejmujące problematykę początków poszczególnych klasztorów. Błażej Śliwiński (Gdańsk) przedstawił zagadnienie początku klasztoru w Żukowie. Monika Kopka (Opole) omówiła nowe źródło ukazujące założenie klasztoru w Czarnowąsach. Marek Stawski (Warszawa) przedstawił skomplikowaną kwestię założenia klasztoru norbertanek w Płocku. Początki klasztoru na Zwierzyńcu, wraz z próbą oceny historiografii zakonnej, były tematem wystąpienia Jerzego Rajmana (Kraków). Józef Dobosz (Poznań) zajął się kwestią stosunku Piastów do zakonu premonstratensów i innych kanoników, podejmując również próbę oceny stosunku Piastów do reformy gregoriańskiej. Zagadnienie reformy zwanej gregoriańską, w powiązaniu z analizą duchowości zakonu premonstratensów, przedstawił ks. Grzegorz Ryś (Kraków). Z problematyką duchowości zakonu wiąże się także księga norbertańskich żywotów świętych z XVII w., którą od strony bibliologicznej omówiła Jolanta Gwioździk (Katowice). Wojciech Dominiak (Opole) zajął się zagadnieniem stosunku Piastów linii opolskiej do klasztoru w Czarnowąsach. Sporo emocji u słuchaczy wzbudziły referaty poświęcone życiu codziennemu klasztorów żeńskich, a przedstawiły je Beata Możejko (Gdańsk), w odniesieniu do Żukowa, oraz Krystyna Sulkowska-Tuszyńska (Toruń), w odniesieniu do Strzelna. Z zagadnieniem dyscypliny wewnętrznej, przestrzegania reguły i najważniejszych bolączek poszczególnych konwentów związane były referaty Dariusza Karczewskiego (Bydgoszcz) o reformach w klasztorze w Strzelnie oraz Dariusza Misiejuka (Wrocław) o próbach wprowadzenia niezbędnych zmian w opactwie na Ołbinie pod Wrocławiem. Zasoby archiwalne dotyczące opactwa ołbińskiego i prepozytury w Czarnowąsach omówił natomiast Roman Stelmach (Wrocław). Życia wewnętrznego dotyczył także referat Macieja Mączyńskiego (Kraków), który przedstawił zalecenia w sprawie kroju i koloru habitu zakonnego, sformułowane w klasztorze na Zwierzyńcu w XVII w., wraz z analizą użytego w nich słownictwa. Stosunki panujące między wrocławskimi premonstratensami i kanonikami regularnymi przedstawiła Anna Pobóg-Lenartowicz (Opole), nie unikając kwestii sporów o pierwszeństwo między tymi zakonami, które tak mocno bulwersowały wrocławian w XIV w. Nie zabrakło referatów o roli zakonu w rozwoju kultury średniowiecznej. Jolanta Byczkowska-Sztaba (Warszawa) omówiła jeden z najbardziej nietypowych graduałów norbertańskich znajdujących się w polskich zbiorach muzycznych. Adam Żurek (Wrocław) dokonał oceny znaczenia opactwa na Ołbinie w kulturze artystycznej Śląska, a Krzysztof Kaczmarek (Poznań) przybliżył słuchaczom zagadnienie studiów uniwersyteckich podejmowanych przez polskich premonstratensów. Jan Drabina (Kraków) podjął się niełatwej próby ukazania zarysu dziejów jednego z klasztorów, a mianowicie prepozytury w Bytomiu. Problematyce funkcjonowania latyfundium klasztoru w Żukowie poświęcony był referat Marka Smolińskiego (Gdańsk).

Referaty wygłoszone podczas konferencji, a zwłaszcza ożywiona dyskusja, wykazały jak wiele jest jeszcze do zbadania w dziejach polskich premonstratensów, zaś zwiedzenie jednego z dwu istniejących jeszcze dziś klasztorów tej reguły (Zwierzyniec) unaoczniły wszystkim piękno dawnej architektury zakonnej. Pozostaje żywić nadzieję, że profesor Jerzy Rajman, inicjator konferencji, będzie zmierzał do tego, aby tak owocna sesja stała się początkiem regularnych konferencji „klasztornych", organizowanych w naszym Instytucie.

Zdzisław Noga

Czesław Nowarski

Raport z XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich

„Tradycja a nowoczesność – tożsamość" Kraków, 15–18 września 2004 roku

U progu XXI stulecia krakowskie środowisko historyczne – z woli Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego – podjęło trud zorganizowania XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich. Obradował on w dniach 15–18 września 2004 r. W gronie współorganizatorów znalazły się następujące uczelnie i instytucje: Uniwersytet Jagielloński, Akademia Pedagogiczna im. KEN, Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego, Instytut Pamięci Narodowej (Biuro Edukacji Publicznej), Gmina Miasta Kraków, Fundacja Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Międzynarodowe Centrum Kultury Kraków, Stowarzyszenie Archiwistów Polskich. Patronat honorowy nad Zjazdem objął prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, zaś Komitet Honorowy utworzyli: Jerzy Adamik – wojewoda małopolski, Janusz Sepioł – marszałek województwa małopolskiego, Jacek Majchrowski – prezydent miasta Krakowa, Franciszek Ziejka – rektor UJ, Michał Śliwa – rektor AP

W składzie 29-osobowego Komitetu Organizacyjnego XVII Zjazdu znaleźli się przede wszystkim historycy z dwóch największych uczelni humanistycznych Krakowa: Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Pedagogicznej. Nie zabrakło w nim także przedstawicieli innych instytucji oraz studentów. Na czele Komitetu stanął tandem wytrawnych badaczy i sprawnych organizatorów: prof. Andrzej Chwalba z UJ i prof. Feliks Kiryk z AP. Odpowiedzialną i czasochłonną rolę sekretarzy pełnili: dr Piotr Trojański (AP) i Dagmara Harężga (szefowa Koła Naukowego Historyków UJ).

Prace nad sporządzeniem programu XVII Powszechnego Zjazdu Historyków trwały wiele miesięcy. Ich ukierunkowaniem była *Odezwa Zjazdowa Zarządu Głównego PTH*, w której podkreślono, że Zjazd u progu XXI stulecia, w okresie decydującym o miejscu Polski w jednoczącej się Europie, powinien podjąć problematykę ważną dla przyszłości naszego państwa i narodu. Stąd zrodziła się myśl przewodnia obrad ujęta w formule: ***Tradycja a nowoczesność – tożsamość.*** W tekście wzmiankowanej *Odezwy* wyszczególniono kwestie, którymi zjazd będzie się zajmował. Obok wybranych epizodów z dziejów Polski i Polaków trzeba w obradach omawiać zagadnienia globalne, a zwłaszcza dotyczące źródeł konfliktów cywilizacyjnych, zagrożeń i nadziei ludzkości. Na uwagę zasługuje problem jedności Europy, powstawanie i przemiany jej różnorodności etnicznej i kulturowej, rola dawnych i nowych stolic Europy, znaczenie regionów centralnych i peryferyjnych, tożsamość europejska i jej odmiany. Należy zarazem podjąć próbę oceny przełomu politycznego w krajach środkowej i wschodniej części kontynentu w latach 80. i 90. minionego stulecia.

W toku wielu dyskusji, konsultacji i polemik, prowadzonych regularnie w gronie osób tworzących Komitet Organizacyjny XVII Zjazdu, niejednokrotnie z udziałem władz PTH oraz w obecności przedstawicieli większości krajowych Instytutów Historycznych, konkretyzował się porządek tematyczny zjazdu i jego struktura organizacyjna. W rezultacie powstał bogaty, urozmaicony i wielowątkowy program, którego realizację rozłożono na cztery dni. Za przygotowanie i przebieg obrad odpowiedzialnych było blisko 50. moderatorów. Referaty i koreferaty przygotowało prawie 120 osób. Większość wzmiankowanych tekstów znalazło się na stronie internetowej Zjazdu. Odbyło się w sumie 14 sympozjów i 8 paneli.

W pierwszym dniu (15 IX) miały miejsce „Otwarte przedzjazdowe spotkania sesyjne PTH". Wśród nich na szczególną uwagę zasługiwały obrady prowadzone przez prof. M. M. Drozdowskiego, poświęcone planowi „Burza" i Powstaniu Warszawskiemu. Do dużej sali konferencyjnej PAU - miejsca spotkania - przybyło wielu zainteresowanych. Również sesje nt. *Poetyki dyskursów w dziejach myśli społecznej i politycznej*, *Nauki dające poznawać źródła historyczne* i *Wojna jako przedmiot badań historyka* przyciągnęły uwagę sporej grupy uczestników. Ponadto w pierwszym dniu obrad, w ramach otwartych imprez towarzyszących odbył się panel historyków i polityków pt. *Polityka w czasie wielkiego przełomu 1989-1990*. Kierował nim prof. R. Legutko, filozof z UJ. Wśród uczestników dyskusji znaleźli się m.in. P. Wandycz, T. Mazowiecki, abp J. Życiński. Także w pierwszym dniu zjazdu zwołano uroczystą sesję Rady Miasta Krakowa, na którą zaproszono Komitet Organizacyjny i innych gości. Podczas posiedzenia głos zabierali kolejno: przewodniczący Rady Miasta dr inż. P. Pytko, prezydent Krakowa prof. J. Majchrowski, wiceprzewodniczący Komitetu Organizacyjnego prof. F. Kiryk czy przewodniczący tegoż Komitetu prof. A. Chwalba. Oprawę muzyczną spotkania zapewnił występ chóru „Quattro Voci" pod kierownictwem Artura Sędzielarza. Dopełnieniem pierwszego dnia zjazdu były imprezy towarzyszące: otwarcie w Collegium Maius UJ wystawy poświęconej prof. Aleksandrowi Gieysztorowi (1916-1999), który był nie tylko wybitnym mediewistą, dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie, powstańcem warszawskim, ale przede wszystkim przez całe dziesięciolecia był autorytetem moralnym dla wielu Polaków; projekcja filmu *Warszawa - Berlin - Praga. Wyścig do wolności* w klubie studenckim „Rotunda".

Następnego dnia (16 IX) ks. Kardynał F. Macharski odprawił dla uczestników Zjazdu Mszę św. w Kościele akademickim św. Anny. Po niej o godz. 9.00 w Filharmonii im. K. Szymanowskiego nastąpiła uroczysta ceremonia otwarcia XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich. Przesłanie prezydenta RP A. Kwaśniewskiego do uczestników obrad przekazała minister B. Labuda. Przemawiali też inni goście m.in.: marszałek Sejmu J. Oleksy, marszałek województwa małopolskiego J. Sepioł, prezydent Krakowa prof. J. Majchrowski, wojewoda Małopolski J. Adamik, rektor AP prof. M. Śliwa, aktualny prezes PTH prof. K. Mikulski i były prezes PTH prof. W. Wrzesiński. Podczas uroczystości w Filharmonii wręczono Księgę Jubileuszową emerytowanemu profesorowi Uniwersytetu Yale (USA) Piotrowi Wan-

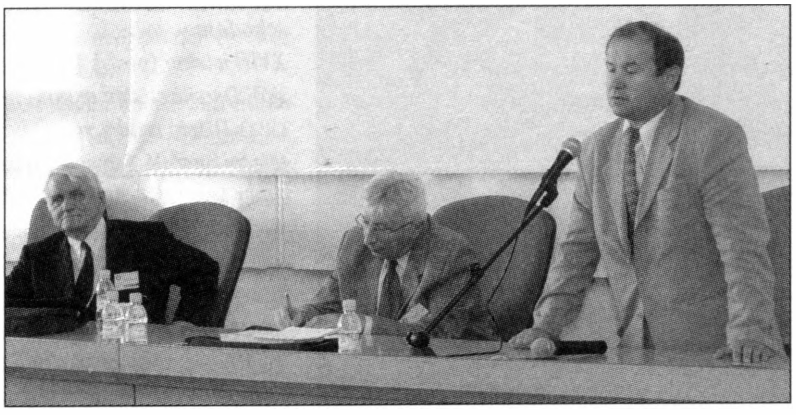

dyczowi. Na zakończenie ceremonii otwarcia ciekawy wykład inauguracyjny wygłosił brytyjski historyk, prof. Norman Davies, stwierdzając m.in. „Dzisiaj w Krakowie odbywają się dwa zjazdy: ten, w którym uczestniczę, oraz medyków sądowych. Obie profesje łączy to, że zajmują się z reguły zmarłymi. Historycy i patologowie wiedzą o nich niemal wszystko, tyle tylko, że za późno".

W południe, po uroczystości w Filharmonii, wystrzał armatni oddany przez Bractwo Kurkowe pod Wieżą Ratuszową na Rynku krakowskim oznajmił początek XVII Zjazdu. Jednocześnie przypomniał, iż zaczyna się czas nie tylko uczonych obrad, ale i rozrywki, spotkań, zwiedzania. Od godziny 13.00 z pełnym rozmachem ruszyły prace zjazdowe. Temat główny tego popołudnia brzmiał: „Czas wielkiego przełomu: społeczeństwo, gospodarka i kultura państw Europy Środkowowschodniej 1989-1990" (moderatorzy: prof. T. Gąsowski, dr hab. P. Machcewicz). Był on oddzielnie dyskutowany w panelach: I. „Rok 1989 w Europie Środkowowschodniej: mechanizm i natura przełomu", II. „Pamięć historyczna 15 lat po upadku komunizmu". Uczestniczyli w nich m.in. prof. A. Paczkowski, prof. W. Roszkowski, dr hab. A. Dudek. Dopełnieniem omawianej problematyki była wystawa „Peerel - tak daleko, tak blisko". Równolegle trwały prace w trzech sympozjach: „Rodzina - prywatność - intymność. Dzieje rodziny w kontekście europejskim" (prof. A. Żarnowska, prof. A. Walaszek, dr D. Kałwa); „Wędrówka i etnogeneza. Świt narodów nie tylko europejskich" (prof. M. Salamon, prof. J. Strzelczyk); „Rozrzutność i skąpstwo w tradycji kulturowej i rzeczywistości" (prof. J. Tazbir, prof. A. K. Banach). O godz. 16.00 w holu głównym AP został otwarty Salon Książki Historycznej, który zgromadził ponad trzydziestu wystawców z Polski i Niemiec. Na zakończenie drugiego dnia zjazdu w klubie studenckim „Rotunda" odbyła się projekcja filmu *Moje notatki z historii* i spotkanie z reżyserem A. Wajdą.

W kolejnym dniu (17 IX) bogaty program prac zjazdowych obejmował dwa tematy główne i siedem sympozjów. Niektóre z nich odbywały się w tych samych godzinach i w różnych punktach miasta, co powodowało konieczność wyboru najbardziej interesującej problematyki. Można więc było wziąć udział w omawianiu jednego z dwóch tematów głównych: *Tożsamość europejska i jej odmiany na przestrzeni wieków* (prof. J. Łaptos, prof. T. Schramm) lub *Historia i jej przekaz dawniej i dziś: od tradycji ustnej do zapisu cyfrowego* (prof. J. Pomorski, prof. K. Zamorski). Także tematyka siedmiu sympozjów w tym dniu przyciągała uwagę oryginalnością i aktualnością. Na pewno takie cechy posiadał *Dramat przemocy w perspektywie historyka* (prof. W. Wrzesiński, prof. J. Chrobaczyński). Również pozostałe zawierały impulsy do indywidualnych przemyśleń i refleksji: *Judaizm, chrześcijaństwo i islam. Dialog i akulturacja* (prof. A. Pankowicz, dr S. Bielański); *Rządy prawa w przeszłości dalszej i bliższej* (prof. W. Uruszczak, prof. D. Malec); *Europa Środkowowschodnia - jedność czy różnorodność od X do XVIII wieku?* (prof. J. Kłoczowski, prof. K. Baczkowski); *Dawne stolice w nowej Europie* (prof. J. Purchla); *Dzieło sztuki: źródło ikonograficzne czy coś więcej* (prof. M. Fabiański); *Człowiek śmiechu i zabawy* (prof. Cz. Robotycki). Dla niezainteresowanych taką ofertą tematyczną, organizatorzy przygotowali przed południem zwiedzanie archiwów krakowskich (Archiwum Klasztoru Jezuitów, Archiwum Klasztoru Karmelitów, Archiwum Nauki). Po południu zaś zaprosili do Muzeum Historycznego Miasta Krakowa na otwarcie wystawy towarzyszącej wspo-

mnianemu wyżej sympozjum *Dzieło sztuki: źródło ikonograficzne*. Z kolei wieczorem można było zwiedzać Bazylikę Mariacką i wysłuchać przy okazji koncertu organowego. Od godziny 21.00 rozpoczęło się nocne zwiedzanie Krakowa.

Godzinę wcześniej (20.00) w Sali im. J. Tischnera w Collegium Witkowskiego (UJ) zaczęły się obrady Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Delegatów PTH, w celu zmiany niektórych punktów obowiązującego Statutu. Otworzy to nowe możliwości finansowania prac Towarzystwa przez uzyskanie statusu organizacji pożytku publicznego.

W ostatnim dniu zjazdu (18 IX) na uczestników czekał jeden temat główny *O nas bez nas* - historia Polski w opinii historyków obcojęzycznych" (prof. W. Molik, prof. H. Żaliński), cztery sympozja i pięć paneli. Trzy sobotnie sympozja adresowane były kolejno do użytkowników archiwów - „Jakich archiwów potrzebują historycy? (prof. D. Nałęcz), przewodników turystycznych - *Nie zgubić się w historii. Doświadczenia przewodników w mieście historycznym* (dr hab. P. Krasny, dr J. Basista, J. Lentocha) i studentów - *Historyk a otaczająca go rzeczywistość* (D. Harężga, T. Pudłocki, R. Woźniak). W ramach tego ostatniego, przygotowanego przez samych studentów, zorganizowano cztery panele dotyczące następujących kwestii: *Rola historyka w kształtowaniu świadomości społeczeństw* (L. Sykulski, A. Kubal); „Mity i mitologia a rzeczywistość historyczna" (O. Błyskal, W. Szymborski, A. Weiss, P. Łuczyński); *Wpływ czynników zewnętrznych na historię* (W. Kudela, I. Mucha, E. Szpak); *Terroryzm. Droga ku wolności czy autozagładzie?* (R. Woźniak, P. Zaziąbło, S. Pochłopień).

Ważne miejsce w ostatnim dniu obrad zjazdowych zajęło sympozjum dydaktyczno-historyczne, adresowane do środowiska nauczycielskiego i osób żywotnie zainteresowanych stanem i rozwojem edukacji historycznej w Polsce. Jego naczelnym hasłem uczyniono *Ideę zjednoczonej Europy w edukacji historycznej w Polsce* (prof. J. Maternicki, dr hab. Cz. Nowarski). Konkretyzację treści w nim zawartej stanowiły cztery referaty, dyskusja panelowa oraz multimedialna prezentacja materiałów dydaktyczno-historycznych, obrazująca dorobek kilku szkół na polu edukacji europejskiej.

W zagajeniu obrad prof. J. Maternicki poinformował zebranych, że pierwszą osobą, która podjęła prace organizacyjno-programowe wokół sympozjum i zaproponowała jego temat, był nieżyjący od 2002 roku prof. Czesław Majorek. Dalsze konsultacje w gronie dydaktyków historii z uniwersytetów i innych szkół wyższych, rozmowy z Komisją Dydaktyczną Zarządu Głównego PTH oraz Krajową Komisją Dydaktyki Historii pozwoliły na ostateczne ustalenie programu obrad. Dominowały w nim dwa wątki problemowe. Pierwszy z nich bezpośrednio korespondował z hasłem *Idea zjednoczonej Europy w edukacji historycznej w Polsce* i przewijał się we wszystkich czterech referatach: *Europejska edukacja historyczna XXI wieku* (prof. J. Centkowski); *Europejski wymiar polskiej edukacji historycznej* (prof. M. Kujawska, dr V. Julkowska); *Dzieje Polski w europejskich podręcznikach historii* (prof. A. Suchoński); *Integracja europejska w szkolnej edukacji historycznej* (dr J. Mazur).

Wieczorem ostatniego dnia XVII Zjazdu odbył się panel historyków i dziennikarzy pt. *Najjaśniejszy Pan. Rzecz o wartości mitu historycznego*. Wypowiadali się w nim m.in. prof. S. Grodziski, prof. J. Pomorski, prof. S. Waltoś, red. L. Mazan, red. M. Czuma. Prowadzenie należało do prof. K. Zamorskiego. Po jego zakończeniu głos zabrali szefowie Komitetu Organizacyjnego Zjazdu, profesorowie A. Chwalba i F. Kiryk, podsumowując i zamykając czterodniowe obrady. Finałem sobotniego dnia był koncert „Piwnicy pod Baranami" na dziedzińcu Collegium Maius.

XVII Powszechny Zjazd Historyków Polskich przeszedł do historii. Przyniósł bogaty plon w postaci często oryginalnych ujęć wielu problemów, uporządkowania nader istotnych, choć nierzadko zawiłych zagadnień monotematycznych, nakreślenia perspektyw i prognoz na przyszłość w wybranych dziedzinach życia (np. edukacji). Jego pokłosie w formie publikacji powinno być inspiracją dalszych badań i studiów w omawianych na zjeździe sprawach.

Czesław Nowarski
Fotografował M. Pasternak

Historycy obcokrajowcy na XVII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich

Rozmowa z prof. Henrykiem W. Żalińskim

Na Zjeździe swoje referaty wygłosiło kilkunastu historyków zagranicznych. Wielu innych wzięło udział w dyskusjach związanych z tematami zjazdowymi. Po raz pierwszy historycy obcokrajowcy mieli też oddzielną sesję zatytułowaną „O nas bez nas". O idei tej sesji opowiada jej moderator – profesor Henryk Żaliński

Hubert Chudzio: Panie profesorze, jak wskazuje nazwa XVII Powszechny Zjazd Historyków Polskich, konferencja powinna w istocie dotyczyć tylko historyków polskich. Tymczasem do Krakowa przyjechali również goście zza granicy...

Henryk W. Żaliński: - Faktycznie, tak jak na prawie każdym wcześniejszym Zjeździe, na niektórych sesjach pojawili się historycy obcokrajowcy. Co ciekawe, wykład inauguracyjny wygłosił angielski historyk, profesor Norman Davies. W sesji zatytułowanej: *Wędrówka i etnogeneza. Świt narodów nie tylko europejskich,* referaty przedstawili historycy krajów sąsiadujących z Polską. Również w cyklu: *Tożsamość europejska i jej odmiany na przestrzeni wieków* pojawili się goście zza granicy. Należy wspomnieć także o sesji zatytułowanej: *O nas bez nas,* która została zorganizowana wyłącznie dla historyków obcokrajowców. Wspólnie z profesorem Witoldem Molikiem z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu byliśmy jej moderatorami.

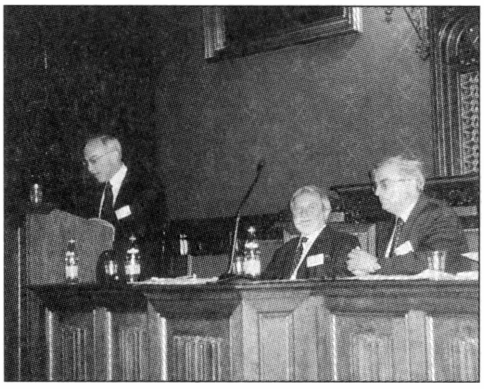

To pewien przełom, bowiem to pierwsza taka sesja na Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich, w której wzięli udział wyłącznie historycy zza granicy.

- Jak wspomniałem, na każdym Zjeździe gościli historycy obcokrajowcy, ale to prawda, że nigdy nie stworzyliśmy dla nich osobnej sesji, gdzie mogliby prezentować swoje spojrzenie na sprawy polskie. To faktycznie pewien przełom i nowość. W konferencji *O nas bez nas* swoje referaty wygłosiło ośmiu naukowców. Byli to: prof. Michael G. Müller z Niemiec, prof. Swietłana Falkowicz z Rosji, prof. John Kulczycki z USA, prof. Daniel Beauvois z Francji, prof. Alvydas Nikżentaitis z Litwy, prof. Leonid Zaszkilniak z Ukrainy, prof. István Kovács z Węgier oraz doc. Jiří Vykoukal z Czech. Jak widać, są tu przedstawiciele sąsiadujących z nami krajów, ale również historycy z Francji, USA i Węgier, czyli krajów szczególnie związanych z historią naszego państwa.

Czy wiemy, lub czy istnieją specjalne opracowania, ilu historyków w świecie zajmuje się tematyką polską?

- Na pewno kilkadziesiąt osób. Mieliśmy problem, żeby wybrać do naszej sesji tych najbardziej reprezentatywnych, może nawet nie ze względu na same nazwiska, ale na państwa, z których się wywodzą. Staraliśmy się tutaj oszczędzić profesora Normana

Daviesa, który, jak już wspomniałem, wygłosił wykład inauguracyjny otwierający całą konferencję. W naszych założeniach chcieliśmy, aby słuchacze wyrobili sobie pogląd, jak historię Polski widzą uczeni z Ameryki lub Francji. Ale równie ważne były opinie przedstawicieli państw sąsiadujących z nami, z którymi mieliśmy liczne kontakty, tzn. z Niemiec, Rosji, Ukrainy, Czech, Litwy, ponadto naszego tradycyjnego już przyjaciela, czyli Węgier. Te osiem osób, które przedstawiły swoje referaty, zostało wybranych z plejady historyków obcokrajowców zajmujących się tematyką polską.

W takim razie jaki jest cel zorganizowania sesji, w której referaty wygłosili tylko obcokrajowcy?

– My znamy dobrze swoją historię, ale chcieliśmy się dowiedzieć, jak widzą ją badacze należący do innych narodów, naukowcy europejscy, amerykańscy, również – jak społeczeństwa tych państw odbierają nasze dzieje? Dlatego też temat takiej sesji stworzył możliwość wystąpień naukowych dla historyków obcojęzycznych. Na Zjeździe przedstawili oni swoją opinię na temat losów Polaków w dawnych i nowych czasach, dali spojrzenie na dorobek kulturalny i cywilizacyjny Polski, a także na jej miejsce w świecie współczesnym. Chcieliśmy ponadto, by zaproszeni przez nas goście odpowiedzieli na liczne pytania. Na przykład: jak wygląda ujęcie dziejów, czyli jak przedstawiają się punkty ciężkości w obcojęzycznych syntezach historii Polski, jakie są zalety i wady tych syntez? Jakie są oceny kontaktów między Polską a jej sąsiadami w różnych narodowych opracowaniach? Interesowało nas również to, czy w tych historiach opracowanych za granicą, więcej się pisze o sukcesach narodu i państwa polskiego na przestrzeni 1000 lat, czy też historię Polski przedstawia się w duchu pesymistycznym, podkreślając na przykład wady narodowe, błędy, niepowodzenia, i niezdolność do konstruktywnego działania.

Często uważamy, że historię Polski przedstawia się w tych obcych syntezach i pracach monograficznych w sposób uproszczony, zwracając głównie nacisk na mity, fobie lub stereotypy. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy te uproszczenia faktycznie jeszcze się pojawiają. Bo kiedyś niewątpliwie one istniały. Z drugiej strony bardzo nas ciekawiło, czy tamtejsze środowiska historyczne w ogóle są zainteresowane historią Polski i czy w ogóle prowadzi się badania nad dziejami Polski, a jeśli tak, to kto je inspiruje, na jakich uniwersytetach oraz jak i przez kogo ta problematyka jest poruszana. W końcu: czy więcej interesują się nami historycy państw ościennych, czy może państw nie graniczących z Polską? Dalej – czy badania te obejmują tylko tematy dwustronnych stosunków, przykładowo: polsko-rosyjskich, polsko-ukraińskich, czy polsko-niemieckich, czy raczej patrzą na nasze dzieje szerzej? Ważne było stwierdzenie, czy historycy obcy opierają się w badaniach na literaturze swoich państw, czy również wykorzystują polskie opracowania i sięgają do polskich źródeł.

Może postarajmy się przedstawić bliżej przynajmniej kilka sylwetek uczonych, którzy wzięli udział w konferencji „O nas bez nas".

– Przykładowo, wspomniany już profesor John Kulczycki prowadził zajęcia z zakresu historii Polski na kilku uniwersytetach amerykańskich. Regularnie wykładał polskie dzieje na uniwersytecie w Chicago. Z jego inicjatywy powołano tam kurs historii Polski obejmujący 1000 lat. Nosił on charakterystyczną nazwę: *Od Lecha do Lecha*. Ten kurs jest dalej umieszczony w ofercie tego uniwersytetu. Prof. Kulczycki prowadził również wykłady monograficzne jak np. *Historia XIX-wiecznej Polski 1764–1918*, albo *XX-wieczna Polska 1918–1989*. Jak sam stwierdził, nie miał nigdy kłopotów ze skompletowaniem kursu, gdy problematyka polska była na pierwszych stronach gazet, tzn. wtedy, gdy powstała „Solidarność" lub gdy wprowadzono stan wojenny. Na jego zajęcia przychodziły tłumy. Zainteresowani byli nie tylko studenci polskiego pochodzenia, ale również ci nie mający polskich korzeni. A ostatnio, ponieważ Polska stała się „normalnym krajem", czyli takim, można powiedzieć, dla historyka trochę nudnym, profesor zauważył, że większość studentów, którzy zapisują się na jego zajęcia to osoby pochodzenia

polskiego. Studentów amerykańskich zdaje się bardziej interesować historia Francji, Niemiec czy w ogóle Europy niż historia Polski.

Innym znanym historykiem, który był uczestnikiem Zjazdu, jest zajmujący się od lat historią naszego kraju Francuz – Daniel Beauvois.

– Daniel Beauvois jest profesorem historii narodów słowiańskich na paryskiej Sorbonie. Wcześniej prowadził zajęcia na uniwersytetach w Nantes oraz w Lille. W tym ostatnim stworzył i prowadził katedrę slawistyki. Natomiast będąc profesorem na Sorbonie, przez lata kierował ośrodkiem historii narodów słowiańskich. Tam właśnie wiele uwagi poświęcał historii Polski. Wykładał zresztą nie tylko na uczelniach francuskich, ale również w Rosji, Ukrainie, Litwie, Bułgarii, Belgii, Niemczech, Wielkiej Brytanii i we Włoszech. Dla Polaków jest postacią niezwykle zasłużoną. Za swoją pracę został odznaczony przez stronę polską Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP i medalem Komisji Edukacji Narodowej. Od 1991 r. jest członkiem zagranicznym PAN, a od 1997 r. również PAU. Jego podstawowe publikacje to: *Polacy na Ukrainie w latach 1831–1863. Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie*, *Szkolnictwo polskie na ziemiach litewsko-ruskich 1803–1832* oraz najnowsza książka *Walka o ziemie a szlachta polska na Ukrainie Prawobrzeżnej. Między caratem a ludem ukraińskim 1863–1914*. Profesor Beauvois jest również autorem syntezy, panoramy naszych dziejów, adresowanej do czytelnika francuskiego zatytułowanej *Historia Polski*. Jest to jednak historyk, który na łamach swych książek wcale nas nie „pieści" – wręcz przeciwnie – dostrzega wyraźnie polskie wady. Nie jest jednak pochlebcą historii z punktu widzenia francuskiego, gdyż wiele cierpkich słów kieruje pod adresem własnego środowiska naukowego, dla którego kultura polska rysuje się mało wyraźnie. Uczony ma zastrzeżenia wobec zachowania się Francuzów w stosunku do Polaków, począwszy od czasów Henryka Walezego aż do II wojny światowej. Z drugiej strony historyk dostrzega też błędy polskie, szczególnie gdy zajmuje się sprawami wschodnimi. Profesor obala mit Polski ze Wschodu, tzn. mit Sienkiewicza i następujących po nim innych wielkich pisarzy, którzy znacznie go rozszerzyli. Obraz ten, jak sam twierdzi, nie jest do końca prawdziwy, gdyż oddaje tylko polski punkt widzenia, podczas gdy Beauvois respektuje też racje ukraińskie.

A jak ma się sytuacja historyków żyjących i prowadzących swoje badania nieco bliżej Polski?

– Chciałbym tu powiedzieć kilka słów o (prawie) obywatelu Krakowa. Profesor István Kovács, bo o nim mowa, przez dwie kadencje był w Krakowie konsulem generalnym Republiki Węgierskiej. Jest on jednak nie tylko dyplomatą, ale właśnie, a może przede wszystkim, historykiem. Także pisarzem i poetą. To wielki przyjaciel Polski. Na jednym z uniwersytetów węgierskich kierował katedrą polonistyki. W naszym kraju wydał kilka książek historycznych; znane są m.in. takie tytuły jak: *Józef Bem bohater wiecznych nadziei* czy *Polacy w węgierskiej Wiośnie Ludów 1848–1849*. Ta druga pozycja została nagrodzona nagrodą imienia profesorów Wacława Felczaka i Henryka Wereszyckiego. W Polsce publikował też swoje wiersze i przekłady z literatury obcej. Jest obywatelem honorowym kilku polskich miast: Krakowa, Jarosławia i Zwierzyńca. Profesor Kovács w swych pracach wielokrotnie zastanawiał się, czy w dalszym ciągu jest aktualne i zasadne powiedzenie „Polak, Węgier dwa bratanki..." Uważa, że tak jest nadal, choć massmedia poświęcają więcej uwagi sprawom błahym, aniżeli wzajemnym stosunkom polsko-węgierskim, nad czym on osobiście boleje.

Pozostali nam uczeni z państw graniczących z Polską. Coraz lepiej rozwijają się i nabierają większej wagi kontakty z naszym wschodnim sąsiadem Ukrainą.

– Przedstawicielem Ukrainy na naszej sesji był profesor Leonid Zaszkilniak ze Lwowa. Jest on współautorem pierwszej *Historii Polski* wydanej na Ukrainie, w której to publikacji Polska została przedstawiona

w korzystnym świetle. Profesor Zaszkilniak w swoim referacie bardzo analitycznie przedstawił wzajemne dotychczasowe kontakty dwóch sąsiednich narodów. Nakreślił problemy polskie, które są pokazywane w historiografii ukraińskiej. Jak zauważył, w podręcznikach szkolnych czy akademickich pozytywne oceny naszych wzajemnych stosunków są raczej rzadkością. Świadczy o tym analiza statystyczna używanych przymiotników. Pozytywnych przypomnień o Polsce w tych podręcznikach było 66, natomiast negatywnych aż 117. To wszystko dlatego, że w świadomości przeciętnego Ukraińca są zakorzenione dawne stereotypy, które ukształtowały się w wiekach poprzednich i potem zostały jeszcze mocno poszerzone przez rosyjską i radziecką historiografię. Tak było jednak w przeszłości. Teraz zaś nastawienie do Polski i Polaków jest dużo bardziej pozytywne. Według ostatnich badań, zajmują oni czwartą pozycję wśród przychylnych Ukrainie narodów, wyprzedzając między innymi Amerykanów, Francuzów i Niemców. Profesor Zaszkilniak rozróżnił tutaj różnice regionalne: inaczej jest w Zachodniej Ukrainie, gdzie ludność jest krytycznie nastawiona do Polaków, a inaczej we Wschodniej Ukrainie, gdzie zauważalne jest raczej przychylne stanowisko do naszego państwa i narodu. Jednak na Ukrainie, podobnie jak i w innych historiografiach narodowych, historia Polski nie znajduje się na pierwszym planie. Dużo ważniejsza dla Ukraińców jest historia Rosji jako państwa, które zdecydowanie mocniej niż Polska wpływa na losy tej części Europy.

Jakie są efekty końcowe sesji, której współmoderatorem był pan profesor?

– Zagraniczni prelegenci przedstawili obraz historii Polski widziany z perspektywy ich państw, określili także stan wiedzy poszczególnych społeczeństw o naszych dziejach. Okazało się, że większe zainteresowanie dziejami Polski wykazują historiografie państw ościennych, chociażby z racji występujących w przeszłości problemów terytorialnych oraz krzyżujących się interesów politycznych czy gospodarczych. Zainteresowanie Polską w historiografii państw niegraniczących z naszym krajem jest wielce niewystarczające. Zabierając głos bezpośrednio po Johnie Kulczyckim, Daniel Beauvois wystąpienie swoje zagaił słowami: „Po amerykańskiej nędzy – francuska bieda".

Wydaje się, że dzięki tej konferencji mamy większą świadomość miejsca historii Polski w historiografiach obcych; dowiedzieliśmy się jak jest wykładana i czy w ogóle jest wykładana, jak dużo studenci i uczniowie państw obcych wiedzą o historii Polski. Są to informacje potrzebne także dla nas, historyków polskich, ponieważ my również zajmujemy się dziejami państw obcych. Sami chcemy się ustrzec błędów, jakie popełniali i chyba popełniają nadal historycy zagraniczni w stosunku do historii Polski. Tą ogólną refleksją chcieliśmy zarazić wszystkich uczestników naszej sesji. Mam nadzieję, że to się udało.

Prezentowane na konferencji referaty będą opublikowane. Napisane w większości w językach narodowych, których używają referenci na co dzień. Jednak, w związku z tym, że wszyscy zaproszeni prelegenci świetnie władają naszym językiem ojczystym, swoje referaty wygłosili po polsku. Zainteresowanie sesją historyków obcokrajowców było bardzo duże. Oprócz ośmiu referentów zaprosiliśmy też kilku uczonych obcokrajowców do zabrania głosu w dyskusji. Byli to między innymi historycy z Litwy i Białorusi. W konferencji tej uczestniczyli także nauczyciele – Polacy, uczący w szkołach polskich za granicą. Szczególnie wielu pojawiło się zza wschodniej granicy Polski, tj. z Rosji, Białorusi, Litwy i Ukrainy. Ich pobyt sfinansowało stowarzyszenie „Wspólnota Polska", które przeznaczyło na ten cel 20 tys. złotych. Uważam, że był to niezwykle ważny kontakt naszych historyków z nauczycielami pracującymi na Wschodzie. Szkoda, że nie udało się zaprosić wszystkich nauczycieli uczących w szkołach polskich poza granicami kraju, również tych pracujących na Zachodzie. Zainteresowanie uczestników Zjazdu naszym tematem było tak wielkie, że w auli Collegium Novum, gdzie odbywały się obrady, zabrakło miejsc siedzących.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Hubert Chudzio

Krystyna Latawiec

Zjazd Polonistów w Krakowie

22–25 września 2004 r.

Polonistyka w przebudowie
Literaturoznawstwo – Wiedza o języku i kulturze – Edukacja

W salach Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Pedagogicznej wygłaszano referaty, toczono dyskusje i stawiano pytania o przyszłość polonistyki w czasach przyspieszonych zmian cywilizacyjnych. Wśród organizatorów Zjazdu były, prócz wymienionych już uczelni, Komitet Nauk o Literaturze PAN, Komitet Językoznawstwa PAN, Instytut Badań Literackich PAN i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Przedstawiciele tych instytucji weszli w skład Komitetu Organizacyjnego. Z ramienia Akademii Pedagogicznej funkcję jednego z wiceprzewodniczących pełnił prof. Bolesław Faron, w składzie Komitetu natomiast znaleźli się prof. Tadeusz Budrewicz i prof. Zenon Uryga

Wśród licznych powodów, dla których warto dyskutować o przyszłości badań polonistycznych, są te wynikające z natury samej dyscypliny, a więc z jej tradycji filologiczno-strukturalistycznej, jak i te, które wiążą się z rozwojem studiów kulturowych. Na tę dwoistość wiedzy o literaturze wskazał w swoim referacie Ryszard Nycz, współautor (wraz z Krzysztofem Kłosińskim) koncepcji programu Zjazdu Polonistów. Z jednej strony zatem profesjonalna specjalizacja, a z drugiej otwarcie na inne dziedziny humanistyki – te dwie tendencje, choć trudne do uzgodnienia, określają jednak charakter literackiej polonistyki. Również językoznawcy podkreślają potrzebę wyjścia poza sztywne ramy badań systemu w stronę komunikacjonizmu (Stanisław Gajda). Dzieje się tak na skutek zmiany w spojrzeniu na język, który ujmowany jest w jego relacjach z kulturą, rzeczywistością i myśleniem (poznaniem). Zatem od tezy o autonomiczności języka (tekstów słownych) przechodzi się do badań kontekstualności i wielotworzywowości komunikatów, od opisów podsystemów języka do opisu holistycznego, funkcjonalnego (Jerzy Bartmiński). W tym ujęciu istotna staje się obecność dziedzictwa przeszłości w aktualnym stanie języka, możliwość odsłaniania wpisanego w język obrazu świata, także mentalności mówiącego. Nieprzypadkowo środkowy człon podtytułu *Polonistyki w przebudowie* brzmi *Wiedza o kulturze i języku*, gdyż współczesne językoznawstwo otwarte jest na liczne konteksty oraz na inne dyscypliny humanistyczne, takie jak filozofia, psychologia, etnografia. Nowoczesna lingwistyka wraca też do dialogu z literaturoznawstwem. Zatem po długim okresie specjalizowania się dyscyplin wyrosłych na gruncie polonistycznym (wiedza o literaturze, o języku, dydaktyka) daje się zauważyć próba przywrócenia perspektywy interdyscyplinarnej. Zresztą uprawianie pewnych dziedzin polonistyki, jak choćby stylistyka, zawsze było wychylone w stronę różnych metodologii. Obecnie status „interdyscyplinarny" otrzymuje nowocześnie rozumiana retoryka, która, według Michała Rusinka (*Retoryka wobec teorii literatury*), mogłaby pełnić funkcję „nauki pomocniczej" wszystkich dziedzin wiedzy, jako że pozwala dostrzec i nazwać cechy dyskursu o znaczeniu epistemologicznym.

Zamysł interdyscyplinarny przyświecał też organizatorom Zjazdu. Świadczy o tym układ referatów w poszczególnych zespołach. W ramach danej grupy można było wysłuchać wypowiedzi badaczy z różnych kręgów nauk polonistycznych, co pozwoliło, naocznie niejako, zilustrować pogląd, że ten sam temat (problem) w ujęciu różnych dyscyplin przedstawia się nieco inaczej. Może nie radykalnie odmiennie, ale jednak narzędzie badań, jak również cel, określają wyraźnie tryb postępowania polonisty. I choć są punkty wspólne poszczególnych wypowiedzi, to jednak każda oświetla tylko pewien aspekt zjawiska, co wydaje się zrozumiałe, zważywszy na postulat profesjonalizmu. Nie jest zatem łatwo, ze względu na ich szeroki zakres i różnorodność, pogodzić rzetelność naukową z otwarciem na kulturowe konteksty.

Wśród zespołów tematycznych były: poetyka, genologia, osoba, interpretacja, proces historycznoliteracki, kanon, tożsamość narodowa, wielokulturowość, aksjologia, kultura popularna, komparatystyka, literatura epok dawnych, XIX i XX wieku, krytyka, przekłady, edytorstwo, komunikacja, media, folklor, polonistyka stosowana. Zatem organizatorzy zamierzyli ogarnąć całość polonistyki i jej pogranicza, pokazać rozległość dyscypliny, jej otwarcie na nowe sposoby komunikowania i na nowe, przynajmniej na polskim gruncie, problemy (np. feminizm, *gender studies*, szkoły pisania). Układ tematyczny porządkował całość zjawisk, obrady w poszczególnych grupach gromadziły zainteresowanych, choć ci często przemieszczali się pomiędzy grupami, mając kłopot z wyborem opcji, tym bardziej że w ramach niemal każdej zaplanowano referaty z literaturoznawstwa, językoznawstwa i edukacji. Pozwoliło to uniknąć monotonii, a co ważniejsze spotkać się i wymienić poglądy z uczonymi różnych obszarów badań polonistycznych. Natomiast w ramach obrad plenarnych wygłoszono referaty porządkujące stan wiedzy w obrębie poszczególnych działów badań polonistycznych. I tak, przykładowo, Michał Głowiński i Andrzej Mencwel przypomnieli kilka związków, jakie zachodzą pomiędzy wiedzą o literaturze a innymi dziedzinami kultury. Dyskurs literacki nie jest izolowany od innych dyskursów i procesów społecznych, a kultura to dziedzina komunikacji, nie eliminacji. Mencwel przywołał też krótką historię pojęcia „kultura", zwracając uwagę na jego wąskie i szerokie rozumienie. To drugie, bardziej antropologiczne (kultura to ludzka rzeczywistość we wszystkich jej aspektach), zyskuje obecnie wyraźną przewagę, czego dowodzą referaty zjazdu. Często powoływano się w nich na kulturowe konteksty w znaczeniu antropologicznym, co odpowiada współczesnej tendencji w humanistyce. Jednak nadużywanie kategorii „kulturowych" grozi popadnięciem w ogólniki, z czego zdają sobie sprawę niektórzy przynajmniej poloniści.

Na dość praktyczny aspekt funkcjonowania polonistyki zwrócił uwagę gość z Fryburga Szwajcarskiego, Rolf Fieguth. Studia slawistyczne w Europie niestety się kurczą, co powinno skłaniać do przemyślenia ich formuły i poszukiwania jakiegoś *modus vivendi* w świecie nastawionym na postęp technologiczny i konsumpcję. Nie był to głos Kasandry, ale jednak wprowadzał moment niepokoju. Bardziej dramatycznie zabrzmiał referat Jerzego Święcha, który stwierdził, że polonistyka traci swą tożsamość. Tymczasem winna ona chronić wartości dziś zagrożone, a wiec te wspierające cywilizację książki, także stać na straży kanonu oraz dawać podstawy etyki, dzięki którym można by nabyć umiejętności poruszania się wśród zagadnień nowoczesności według zasad niezrelatywizowanych do okoliczności. Obawy przed relatywizmem etycznym wydają się jednak przesadzone, tym bardziej że odwołania do postmodernistycznego paradygmatu nie były na Zjeździe aż tak liczne, jakby się można było spodziewać po modzie, choćby w środkach masowego przekazu, na ten pojemny termin. Kategoria postmodernizmu i toczące się wokół niej dyskusje skłaniają do przemyślenia konsekwencji zmian cywilizacyjnych. Jednak sam termin obejmuje o wiele szerszy zakres zjawisk niż tylko literatura. W badaniach literackich daje się wręcz wyodrębnić „zwrot etyczny", o którym mówiła Danuta Ulicka. Z kolei Agata Bielik-Robson przeprowadziła krytykę dekonstrukcji jako „zwrotu", który miał zmienić myśl (post)humanistyczną. Jednak to, co w zamierzeniu było radykalnym cięciem, okazało się po upływie czasu jakąś formą kontinuum, a proklamowane „śmierci" i „kresy" kluczo-

wych pojęć nowożytnego humanizmu nie są tak nieodwracalne, jakby to można było wnosić z wczesnych tekstów dekonstrukcyjnych (lata 60. i 70.). Ponadto w wypowiedziach wielu uczestników Zjazdu bardzo wyraźna była wspomniana już perspektywa antropologiczna i aksjologiczna, zwłaszcza w kręgu tematycznym Aksjologia, etyka, sacrum. Zatem Zjazd nie był obliczony jedynie na prezentację nowości w dziedzinie zjawisk artystycznych i metodologii. Chodziło raczej o przegląd stanowisk badawczych, które niewątpliwie podlegają ewolucji wskutek presji potrzeb poznawczych, ich dynamiki wymuszonej przez szybko zmieniające się warunki egzystencji.

Polonistyka naukowa oferuje zatem wiele metodologii, co może nawet wprawiać w zakłopotanie. Wydaje się, że każda szczegółowa jej dziedzina wypracowała sobie właściwe metody opisu. Podejście historycznoliterackie dominuje wśród badaczy epok dawnych, choć i oni zauważają, że i tutaj niezbędne jest uwzględnienie współczesnej myśli humanistycznej (Teresa Kostkiewiczowa). Rozwój nowych technologii cyfrowych ma znaczenie również dla mediewistyki, której stan aktualny oraz perspektywy badawcze przedstawił Roman Mazurkiewicz. Stały przyrost wiedzy może być problemem, jeśli komunikacja między ośrodkami uniwersyteckimi nie będzie sprawna, a informacja o powstających rozprawach doktorskich i habilitacyjnych słabo dostępna. Dlatego też pojawiły się głosy wzywające do uporządkowania wiedzy na ten temat, jak też postulaty kontynuowania prac dokumentacyjnych (Ewa Głębicka). W dawnych epokach odnaleźć można wzory ważne dla współczesnych ludzi. I tak wielość stylów polszczyzny baroku może posłużyć za nośnik wielokulturowości (Aleksander Wilkoń), która jest obecnie włączana do edukacji, zwłaszcza tam, gdzie żyją mniejszości narodowe.

Nie sposób wymienić tutaj choćby tytuły wszystkich referatów, ich tezy czy dyskusje, jakie one prowokowały. Zainteresowani będą mogli zapoznać się z nimi, gdy materiały ze Zjazdu ukażą się drukiem. Warto jednak przyjrzeć się bliżej problemom związanym z edukacją. W wielu wypowiedziach na ten temat pojawiała się krytyka anachronizmu edukacji polonistycznej i to na wszystkich jej szczeblach, również akademickim. Stan świadomości polonistyki w jej najlepszym wydaniu słabo przekłada się na poszukiwanie atrakcyjnych sposobów przekazywania wiedzy uczniom i studentom. Często dominuje w dydaktyce werbalizm i nastawienie na ilość (terminy, przełomy, listy lektur). I choć postmodernistyczna metafora kultury jako biblioteki zakłada koncentrację wiedzy, jak to w bibliotece, to jednak korzystanie z jej zasobów jest możliwe dopiero po nabyciu sprawności poruszania się w jej labiryntach. Ważne jest zatem przygotowanie do dokonywania wyborów, które nie zawsze będą sięgać do najwyższej półki, gdyż żyjemy w świecie kultury popularnej, której nie sposób ignorować.

O trudnościach pracy nad teorią kształcenia mówił Zenon Uryga, wskazując na obiektywne uwarunkowania, w jakich funkcjonuje dydaktyka przedmiotowa. Jej pokrewieństwo z dyscypliną macierzystą i z pedagogiką sprawia, że korzysta ona z ich ustaleń, ale zarazem ta podwójność przeszkadza w zbudowaniu spójnego systemu pojęć w obrębie własnej dyscypliny. Najbliższym zapleczem dla teorii kształcenia są badania polonistyczne nad odbiorem literatury oraz nad językową i kulturową komunikacją. Wypracowane na tym gruncie narzędzia badawcze można spożytkować w diagnozowaniu efektów kształcenia, także dla rozpoznania motywacji czy barier percepcyjnych. Spójna teoria kształcenia, zdaniem Urygi, winna być oparta na badaniach empirycznych, a te nie jest łatwo przeprowadzić w taki sposób, aby stanowiły podstawę do prawomocnych twierdzeń. Z kolei Anna Legeżyńska zajęła się teorią kształcenia polonistycznego na poziomie akademickim. Jej zdaniem taka teoria nie istnieje i należy ją dopiero zbudować, uwzględniając szereg warunków, o których referentka mówiła w swoim wystąpieniu. Wskazała na konieczność skorelowania przyszłej teorii z reformą edukacji szkolnej, z przemianami współczesnej kultury i z prognozą odnośnie uniwersytetu jako „wspólnoty uczonych". Warunkiem wstępnym jest jednak zdiagnozowanie stanu aktualnego, co jest trudne ze względu na brak precyzyjnych standardów kształcenia, jak też z powodu słabej wymiany informacji między uczelniami. Za jeden z najtrudniejszych problemów w edukacji polonistycznej na poziomie akademickim Legeżyńska uznała integra-

cję języka i literatury. I choć autorka nie przeczy pewnej autonomii przedmiotów literaturoznawczych i językoznawczych w nauczaniu akademickim, to jednak proponuje typy zajęć integrujących (analiza językowo-literacka, retoryka, metodologia). Ponadto postuluje trwałe miejsce w programach nauczania dla historii, filozofii z estetyką, metodologii i antropologii kultury.

Problemy edukacji polonistycznej pojawiły się w wielu wypowiedziach uczestników Zjazdu, choć referaty Legeżyńskiej i Urygi miały istotne znaczenie ze względu na postulowany projekt budowania teorii kształcenia polonistycznego. Jednak inspirację do refleksji nad dydaktyką można było odnaleźć i w innych wystąpieniach, tak literaturoznawców, jak i językoznawców. I tak przykładowo spojrzenie na oświecenie w szerszej niż narodowo-rozbiorowa perspektywa historyczna pozwoliłoby może zobaczyć w nim istotne dla współczesności tematy (krytycyzm wobec autorytetów, rola podmiotowego „ja", obyczajowość ówczesnych elit). Natomiast romantyzm i pozytywizm nie są zantagonizowanymi epokami w perspektywie antropologicznej, jak dowodzi Włodzimierz Szturc. Dążeniu do ujmowania kultury w kategoriach ciągłości raczej niż dychotomicznych podziałów sprzyja rozumienie poznania w duchu kognitywizmu. W przekonaniu Elżbiety Tabakowskiej przyniósł on prawdziwy przełom, jeśli idzie o badanie języka jako formy ludzkiego poznania. Za sprawą nowych narzędzi badań języka w centrum językoznawczych zainteresowań znalazły się tematy zarezerwowane dotąd dla literaturoznawców (np. metafora i metonimia jako podstawa figur retorycznych).

Kulturze symbolicznej epok dawnych w edukacji poświęcony był referat Marii Jędrychowskiej. Autorka przyjęła za podstawę rozpatrywania tego tematu zmodyfikowaną przez Edwarda Balcerzana formułę M. Bachtina: „Człowiek w świecie tekstów – tekst w świecie człowieka". Zawarta w niej semiotyczno-aksjologiczna perspektywa pozwala poszerzyć refleksję nad dorobkiem przeszłości dzięki temu, że uwzględnia nie tylko teksty literackie, ale też inne teksty kultury (ikoniczne, dokumentarne), za sprawą których można dokonywać rekonstrukcji polskiej i śródziemnomorskiej tradycji kulturowej. Obecność kultury symbolicznej jest realna, gdy towarzyszy jej wola dziedziczenia. Polonistyka szkolna musi zatem w pierwszym rzędzie dążyć do zagospodarowania sfery motywacji uczniowskich. Analiza aktualnie wydawanych podręczników pozwala prześledzić, jakie modele postępowania dydaktycznego wydają się w tej mierze bardziej skuteczne. Wniosek jest jeden – musi nastąpić przebudowa paradygmatu edukacyjnego tak w odniesieniu do materiału kształcenia (zbyt obszernego), jak i szkolnych reguł poznania.

Kulturową koncepcję kształcenia polonistycznego przedstawiła Agnieszka Kłakówna, współautorka serii podręczników do nauczania języka polskiego „*To lubię!*". Realizują one w praktyce założenia antropocentryzmu i filozofii personalistycznej. Odchodzą od historii literatury na rzecz pogłębionego czytania tekstów w ujęciach problemowych. Zamiast poznania linearnego projektują poznanie spiralne, gdyż pewne tematy powracają na wyższych poziomach. Poznające uczniowskie „ja" konfrontuje się z nowymi treściami, a nie tylko biernie je przyswaja. Celem tak rozumianej edukacji jest formowanie ucznia jako osoby, wyposażenie go w kompetencje kulturowe, literackie, językowe i komunikacyjne. Osią tak ujmowanego procesu nie są epoki historyczno-literackie, ale figury długiego trwania. W związku z tym znaczenia nabiera kontekst kulturowy, zwłaszcza filozoficzny.

Wrześniowy Zjazd, na który przybyli poloniści z tak licznych ośrodków uniwersyteckich, okazał się potrzebny dla zdiagnozowania stanu naukowych dociekań, a może jeszcze bardziej dla wskazania na pewien anachronizm edukacji akademickiej. Dające się zauważyć wyczerpanie paradygmatu strukturalistycznego nie prowadzi jednak do kryzysu badań, a skłania do poszukiwania w miarę stabilnych metod, które pozwolą na poszerzenie zainteresowań polonisty o inne dziedziny szeroko rozumianej humanistyki. Z całą pewnością system został jednak zdestabilizowany, w rezultacie czego pojawiło się szereg propozycji wychylonych w stronę tego, co inne, indywidualne, śladowe. Może to na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie chaosu, uporządkowanego jednak przez organizatorów według klarownych kryteriów.

Krystyna Latawiec

Irena Pulak
Bożena Jarosz

Sprawozdanie z 14. Ogólnopolskiego Sympozjum Naukowego *Komputer w edukacji*

W dniach 1-2 października 2004 r. w Krakowie, pod honorowym patronatem JM Rektora Akademii Pedagogicznej, prof. Michała Śliwy, odbyło się kolejne, 14. już Ogólnopolskie Sympozjum Naukowe *Komputer w edukacji*. Jego termin - zwykle przypadający na ostatnie dni września - zbiegł się tym razem z początkiem nowego roku akademickiego, co umożliwiło poszerzenie grona słuchaczy o nieobecnych zazwyczaj studentów, także tych dopiero rozpoczynających naukę w Akademii Pedagogicznej.

Zmieniona w ubiegłym roku nazwa sympozjum sugeruje, iż zgodnie z wieloletnią już tendencją obserwowaną podczas obrad, organizatorzy z Pracowni Technologii Nauczania Akademii Pedagogicznej w Krakowie starali się położyć nacisk na jego szeroko pojęty wymiar edukacyjny i społeczny, unikając tym samym zdominowania tematyki spotkań sympozjalnych przez aspekty technologiczne wykorzystania komputera i narzędzi informatycznych.

Wobec utrzymywanego od lat zwyczaju, sympozjum adresowane było przede wszystkim do nauczycieli akademickich z całego kraju. Tak więc wśród zaproszonych gości, którzy zechcieli wygłosić swe referaty znaleźli się m.in.: JM Rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie prof. Ryszard Tadeusiewicz, prof. Władysław P. Zaczyński, prof. Maciej M. Sysło z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz prof. Jan Trąbka z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Ponadto gościliśmy czworo zagranicznych uczestników: dr Danielę Horváthovą i doc. Márię Rakovską ze Słowacji oraz - reprezentujących Stany Zjednoczone - prof. Roberto Muffoletto i prof. Alexandra J. Romiszowskiego.

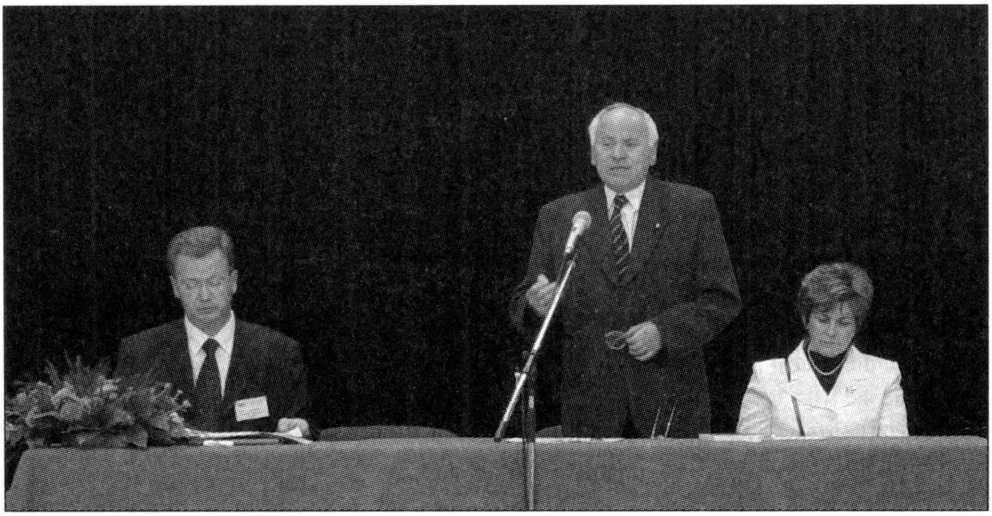

W uroczystości otwarcia sympozjum udział wzięli przedstawiciele władz Uczelni: prorektor ds. studenckich - prof. Marian Zakrzewski oraz dziekan Wydziału Pedagogicznego - prof. Bożena Muchacka. Gościem sympozjum był także przedstawiciel MENiS - Jerzy Dałek.

Obrady odbywały się w auli Wydziału Pedagogicznego AP w Krakowie; prowadził je dr Janusz Morbitzer z Pracowni Technologii Naukowej. W naukową, pełną skupienia atmosferę wprowadził uczestników występ dwojga muzyków: skrzypaczki Violetty Szopy-Tomczyk z Sinfonietta Cracovia oraz pianisty Wojciecha Koguta z krakowskiej Akademii Muzycznej.

Program tegorocznych obrad obejmował trzy sesje naukowe. Bezpośrednio po każdym odczycie organizatorzy zarezerwowali czas na krótką dyskusję, dzięki której referenci mieliby możliwość natychmiastowego wyjaśnienia wszelkich pojawiających się wątpliwości ze strony słuchaczy, udzielić odpowiedzi na dodatkowe pytania czy nawet uzupełnić swą wypowiedź o polemiczne niekiedy zdania zaproszonych gości. W tym roku zaprezentowano łącznie około 60 referatów. W tematyce obrad można było wyróżnić cztery wiodące obszary. W pierwszej, przedpołudniowej sesji piątkowej przeważały referaty poświęcone technologii informacyjnej, postrzeganej w szerokim kontekście poznawczego, kulturowego i emocjonalnego rozwoju jednostki. W wypowiedziach szczególny nacisk kładziono na etyczno-wychowawczy aspekt korzystania z technologii informacyjnej. Przeważały opinie krytyczne, akcentujące postępujący zalew informacji, degradację jej wartości i negatywny wpływ na kulturę społeczeństwa. Postulowano m.in. wzmocnienie roli kompetentnych nauczycieli i wychowawców w procesie edukacji, dzięki czemu istniałaby szansa nie tylko opanowania, ale również w pełni świadomego wykorzystania technologii informacyjnej. Zwracano także uwagę na różnorodne bariery utrudniające wprowadzanie rozwiązań pozytywnych, tak koniecznych w obliczu ciągłego rozwoju techniki. Zwieńczenie wystąpień, utrzymanych w tym nurcie tematycznym, stanowił wygłoszony po przerwie obiadowej znakomity referat JM Rektora Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie prof. Ryszarda Tadeusiewicza: *Aspekty moralne wykorzystywania komputera w edukacji*.

Piątkowe obrady popołudniowe zdominowały problemy zastosowań technologii informacyjnej w nauczaniu przedmiotów o charakterze przyrodniczym (w dydaktyce fizyki, chemii, biologii czy geografii). Położono nacisk na jej możliwości i zalety, ale także na typowe pułapki metodyczne, tkwiące w samej strukturze urządzeń informatycznych.

W drugim dniu obrad przeważała tematyka związana z kształceniem na odległość oraz z wykorzystaniem internetu zarówno w edukacji - jako źródła wiadomości merytorycznych - jak też w funkcji ułatwiającej organizację pracy uczniów i nauczycieli. Zaprezentowano wiele propozycji praktycznych rozwiązań, które miałyby na celu usprawnienie i wzbogacenie procesu dydaktycznego. Cenny wkład w rozważania zebranych na sali osób wniosły odczyty gości ze Stanów Zjednoczonych, prof. Roberto Muffoletto z Appalachian State University (*Możliwości wykorzystania interaktywnych mediów cyfrowych w nauczaniu i kontroli wyników nauczania*) i prof. Alexandra J. Romiszowskiego z Syracuse University (*Nauczanie na odległość - kontekst międzynarodowy i międzykulturowy. Wybrane problemy*

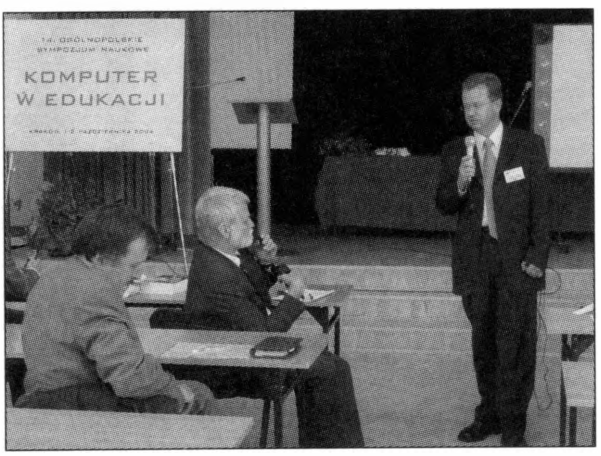

techniczne i pedagogiczne). Oba wystąpienia wywołały spontaniczną dyskusję.

Nie pominięto także tematyki dotyczącej wykorzystania komputerów, jak również szerzej pojętej techniki multimedialnej w kształceniu na szczeblu przedszkolnym i wczesnoszkolnym; pokreślono możliwość zastosowania technologii informacyjnej w celu wspierania aktywności twórczej w edukacji i w nauce, dlatego też nie obyło się bez wystąpienia przedstawicieli dwóch firm zajmujących się dystrybucją oprogramowania dla szkół, uczniów i nauczycieli.

Pan Jacek Kallas, prezes gdyńskiej firmy ProgMan Kallas Trzciński Sp. J. - od kilkunastu lat produkującej nowoczesne, kompleksowe rozwiązania informatyczne wspomagające zarządzanie oświatą, zawierające przyjazne dla użytkownika aplikacje - przedstawił propozycję zastosowania w rozmaitych placówkach oświatowych zintegrowanego systemu zarządzania, obejmującego m.in. oprogramowanie ewidencyjno-administracyjne, kadrowo-finansowe i biblioteczne. Warto nadmienić, iż firma ProgMan wystąpiła na sympozjum już nie po raz pierwszy, a wszyscy jego uczestnicy otrzymali drukowane materiały informacyjne uzupełnione prezentacją na CD-ROM-ie.

Z kolei reprezentant Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, Rafał Lewicki przedstawił tablicę multimedialną, mogącą stanowić dla uczniów i nauczycieli niezwykle atrakcyjną obudowę procesu dydaktycznego.

Bardzo istotnym wydarzeniem sympozjum była dyskusja pt. *Kształcenie informatyczne – w stronę informatyki czy technologii informacyjnej?*. Dyskusję prowadził dr Janusz Morbitzer z Akademii Pedagogicznej w Krakowie (członek Rady ds. Edukacji Informatycznej i Medialnej, stanowiącej organ doradczy Ministra Edukacji Narodowej i Sportu) oraz przedstawiciel MENiS-u Jerzy Dałek. Poruszono szereg istotnych problemów, zarówno natury merytoryczno-dydaktycznej (np. dotyczących spójności czy rozłączności celów i treści obu przedmiotów), jak też organizacyjno-szkoleniowej (np. związanej z zapewnieniem kompetentnej kadry nauczycielskiej, przygotowanej do prowadzenia przedmiotów na poszczególnych etapach kształcenia).

Organizatorzy tegorocznego sympozjum przygotowali dla jego uczestników tradycyjny wieczór przy świecach, gdzie przy posiłku, w przyjaznej atmosferze, istniała znakomita okazja do kontynuowania naukowych dociekań.

Tym, którzy nie dotarli na czas na sympozjum, a chcieliby poznać treści ogłoszonych referatów, proponujemy lekturę recenzowanych materiałów już ogłoszonych drukiem, a także dostępnych w internecie pod adresem: www.ap.krakow.pl/ptn/ref2004, gdzie umieszczono również galerię sympozjalnych zdjęć.

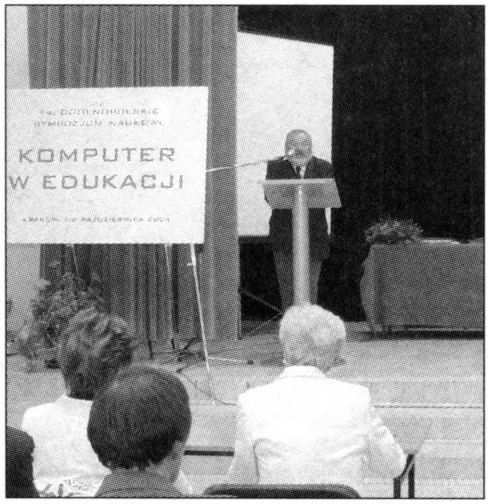

Irena Pulak
Bożena Jarosz

Fotografował
Marian Pasternak

Henryk Lach
Agnieszka Greń

O mechanizmach utrzymujących życie – prosto z Podbrzezia

11 września 2004 r. w budynku Akademii Pedagogicznej w Krakowie przy ul. Podbrzezie 3 odbyło się kolejne, XVIII już Ogólnopolskie Seminarium nt. *Mechanizmów służących utrzymaniu życia i regulacji fizjologicznych*.

W spotkaniu uczestniczyli pracownicy z różnych ośrodków akademickich całego kraju, m.in.: Torunia, Warszawy, Lublina, Łodzi, Katowic, Krakowa, a także znane osobistości polskiej oświaty z różnych regionów Polski, w tym dyrektorzy szkół wyższych, ośrodków metodycznych, doktoranci, magistranci, lekarze oraz studenci kierunku biologii Akademii Pedagogicznych Krakowa i Kielc.

Oficjalnego otwarcia Seminarium dokonał prorektor ds. nauki Akademii Pedagogicznej w Krakowie, prof. Henryk Żaliński, który przywitał wszystkich uczestników, a następnie wręczył laudacje mgr Krystynie Grzybowskiej-Mnich, dr Kazimierze Skałubie, prof. Krystynie Pierzchały-Koziec oraz prof. Adamowi Kołątajowi.

W końcowej części swego wystąpienia prof. dr hab. Henryk Żaliński podkreślił duże znaczenie tego typu spotkań w zakresie nauki i oświaty w ramach Unii Europejskiej.

Następnie rozpoczęły się obrady w sesjach plenarnych i posterowych. W pierwszej sesji plenarnej zostały wygłoszone trzy bardzo interesujące referaty. Pierwszy z nich to odczyt prof. Krystyny Pierzchały-Koziec z Akademii Rolniczej, w którym autorka omówiła *Rolę greliny w procesach wzrostowych*. Drugi referat wygłosiła prof. Jolanta Janus z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Przedstawiła w nim *Współczesne poglądy na cukrzycę typu II*. W trzecim, ostatnim referacie tej sesji dr Mirosława Dmowska z Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie omówiła problemy związane z *Hartowaniem farmakologicznym jako potencjalnym neuroprotektorem w epilepsji*.

W drugiej sesji plenarnej wygłoszone zostały również trzy kolejne referaty, a mianowicie prof. Barbara Płytycz z Uniwersytetu Jagiellońskiego przedstawiła niezwykle interesujące wyniki badań *Roli dżdżownic w immunotoksykologii*. Z kolei pani prof. Krystyna Skwarło-Sońta z Uniwersytetu Warszawskiego poruszyła problem wpływu diety na odporność organizmu człowieka. Wystąpienie to wywołało ożywioną dyskusję uczestników seminarium. Ostatni referat w tej części obrad wygłosił prof. Florian Ryszka z Akademii Medycznej w Katowicach, który w interesujący sposób przedstawił *Wpływ prolaktyny na procesy cytolizy komórek eksplantowanej wątroby*.

Ważne i równie interesujące referaty zostały wygłoszone podczas trzeciej części obrad plenarnych, która dotyczyła procesu dydaktycznego w świetle „nowej matury". Jako pierwsza w trakcie tego spotkania referat wygłosiła prof. Danuta Cichy z Instytutu Badań Edukacyjnych w Warszawie, która w swoim wystąpieniu zwróciła uwagę na *Wyzwania Unii Europejskiej dla nauczania biologii*. Z kolei temat *Nowej matury w świetle wymogów Unii Europejskie*" podjęła mgr Krystyna Grzybowska-Mnich, a o *Tendencjach w zakresie kształcenia nauczycieli w Polsce i Unii Europejskie*" wypowiedziały się dr Katarzyna Potyrała i dr Alicja Walosik.

Oprócz trzech niezwykle interesujących sesji plenarnych, odbyły się cztery sesje posterowe, w czasie których zostało zaprezentowanych 40 prac eksperymentalnych w postaci plakatu ze wszystkich ośrodków akademickich kraju. W XVIII Ogólnopolskim Seminarium wzięło udział łącznie 150 osób, a opublikowane materiały seminaryjne obejmują 171 stron tekstu.

Podsumowania XVIII Seminarium podjął się jego organizator, prof. Henryk Lach, dziękując wszystkim, którzy przyczynili się do organizacji tej konferencji.

Małgorzata Nodzyńska

Międzynarodowa konferencja *Badania w dydaktyce chemii*

26–27 czerwca 2004 r. odbyła się w Krakowie międzynarodowa konferencja nt. „Badań w dydaktyce chemii", zorganizowana przez Pracownię Dydaktyki Chemii z Katedry Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej. W konferencji wzięło udział pięćdziesięciu ośmiu naukowców z pięciu krajów (Polski, Czech, Słowacji, Rosji i Stanów Zjednoczonych) reprezentujących dwadzieścia cztery wyższe uczelnie. Uczestnicy konferencji byli przedstawicielami zarówno wydziałów chemicznych i przyrodniczych, jak i pedagogicznych. W ciągu dwudniowych obrad wygłoszono cztery wykłady monograficzne, trzydzieści cztery referaty i zaprezentowano sześć posterów dotyczących różnych aspektów badań w dydaktyce chemii

Konferencję, w imieniu prof. Michała Śliwy, rektora AP, otworzył prorektor ds. studenckich prof. Marian Zakrzewski. Ciepłymi słowami wszystkich uczestników konferencji powitała kierownik Katedry Chemii, prof. Maria Jolanta Korohoda. Pani profesor przewodniczyła też pierwszej sesji, obejmującej obrady plenarne.

Wykład wprowadzający, nt. roli badań w dydaktyce chemii, wygłosił przewodniczący konferencji, dr Jan Rajmund Paśko. W odczycie poruszono wiele ważnych i ciekawych problemów dotyczących dydaktyki chemii, rozwijanych później przez uczestników konferencji zarówno w kolejnych wystąpieniach, jak również w rozmowach kuluarowych.

Jednym z poruszonych zagadnień była rola i miejsce dydaktyki chemii w systemie kształcenia oraz w strukturze specjalności naukowych. W Polsce dydaktyki szczegółowe nie są jeszcze specjalnie doceniane. Trudniej, aniżeli w krajach ościennych*, zdobywa się kolejne stopnie naukowe z dydaktyk przedmiotowych, czemu przeciwni są tak pedagodzy, jak i przedstawiciele interesującej nas dyscypliny naukowej. Często też myli się dydaktykę nauczania z metodyką uczenia i sprowadza ją do roli tylko instrumentalnej.

Kolejnym ważnym wątkiem wystąpienia J. R. Paśki były rozważania dotyczące sposobu prowadzenia badań w dydaktyce chemii. Obecnie przeważają w niej badania ilościowe (weryfikujące i diagnostyczne) - relacje z tego typu badań dominowały też w referatach wygłoszonych przez uczestników konferencji. Badania ilościowe podają nam informacje, jaki procent badanych potrafi poprawnie rozwiązać dany problem, a tym samym odpowiadają na pytanie, jaki procent badanych nie potrafi rozwiązać tego problemu. Nie dają jednak one odpowiedzi na bardzo ważne pytanie, dlaczego tak się dzieje? Na pytanie o przyczyny trudności w rozumieniu chemii przez uczniów mogą bowiem odpowiedzieć tylko badania jakościowe. Biorąc pod uwagę, iż chemia jest powszechnie postrzegana jako przedmiot trudny i niezrozumiały, wydaje się, że w celu zwiększenia efektywności kształcenia chemicznego i większego zainteresowania omawianą dziedziną, wśród uczniów należy prowadzić badania jakościowe na szeroką skalę.

Wygłaszane wykłady i referaty koncentrowały się wokół kilku istotnych zagadnień. Najliczniej były reprezentowane badania diagnostyczne dotyczące pomiaru osiągnięć studentów z przedmiotu na różnych kierunkach studiów. Nieco mniejszym zainteresowaniem cieszyły się badania zastosowania komputerów i internetu w nauczaniu chemii na poszczególnych poziomach kształcenia. Wśród tych badań wyróżniała się jednakże grupa wystąpień omawiających wpływ wizualizacji pojęć chemicznych na poziom ich zrozumienia przez uczniów. Część wystąpień dotyczyła poza tym badań rozumienia podstawowych terminów chemicznych przez uczniów (w tym uczniów dyslektycznych). Natomiast osobny dział stanowiły wystąpienia dotyczące elementów chemii w nowowprowadzonym przedmiocie szkolnym „przyroda".

Konferencja sprzyjała ponadto ćwiczeniu kompetencji językowych jej uczestników, albowiem zgodnie z przyjętym założeniem, iż języki słowiańskie mało się od siebie różnią, zarówno referaty, jak i następujące po nich dyskusje, odbywały się w językach narodowych. Założenie okazało się w pełni słuszne. Potwierdziły go zresztą nie tylko obrady – w pełni zrozumiałe dla wszystkich gości – ale też część artystyczna w wykonaniu samych uczestników konferencji – po uroczystej kolacji nastąpiły śpiewy przy gitarze i wzajemne uczenie się ludowych piosenek.

Podsumowując obrady uczestnicy stwierdzili, że konferencje poświęcone badaniom dydaktyki chemii są niezbędne, ponieważ umożliwiają one wymianę doświadczeń w zakresie nowo prowadzonych badań naukowych przez różne ośrodki badawcze, a także umożliwiają wymianę doświadczeń dotyczących pracy dydaktycznej z młodzieżą akademicką. W wyniku takich spotkań nawiązuje się też bliższa współpraca naukowa, nawet pomiędzy oddalonymi ośrodkami – przykładem takiej współpracy było jedno z wystąpień, w którym omawiano wyniki badań prowadzonych równolegle w Czechach przez pracowników Uniwersytetu w Hradec Kralove i w Polsce – przez pracowników Akademii Pedagogicznej.

W związku z tym kolejna konferencja na temat badań w dydaktyce chemii planowana jest na rok 2006. Już teraz zapraszamy na nią serdecznie wszystkich zainteresowanych, których prosimy o przesłanie proponowanego tematu konferencji z zakresu badań w dydaktyce chemii na adres: mnodzyn@ap.krakow.pl). Równocześnie informujemy, że pełne teksty artykułów z ubiegłorocznej konferencji zostaną opublikowane w najbliższym czasie w formie książki. Natomiast, w celu szerszego udostępnienia wyników badań, przewidujemy zamieszczenie wygłoszonych wystąpień w internecie, na stronie naszej katedry.

Małgorzata Nodzyńska

* Por. M. Bilek, *Doktorska studia z didaktiky chemie ve vybranych zemich evropske unie a USA*, [w:] *Aktualni otazky vyuky chemie*, Gaudeamus 2001.

Marek Glogier

Dylematy archiwistów uczelnianych

Latem 2004 r. w Poznaniu i Krakowie miały miejsce dwa ważne spotkania, gromadzące archiwistów z różnych polskich instytucji naukowych. Pokłosie tych spotkań znajdzie z czasem odzwierciedlenie w publikacjach specjalistycznych, jednakże poruszana tematyka warta jest odnotowania także na łamach periodyków niekoniecznie „branżowych". Niektóre kwestie, podejmowane przez archiwistów-teoretyków, odnoszą się bowiem do długofalowej wizji praktycznego działania uczelnianego archiwum Akademii Pedagogicznej.

W gąszczu pojęć

Archiwa wyższych szkół akademickich są swoistym typem „małych instytucji o niemałym znaczeniu", z obsadą personalną często minimalną, a zarazem z licznymi zadaniami określonymi przez *Ustawę o narodowym zasobie archiwalnym i archiwach* (z 1983 r.). Archiwiści - dodatkowo wyposażeni w wewnętrzne „Instrukcje archiwalne", ogłaszane mocą zarządzeń rektorów poszczególnych uczelni - mogą określić swe osobiste zadania mając do dyspozycji tzw. „mapę ośmiu archiwalnych pojęć-drogowskazów". Można je scharakteryzować następująco: **archiwum**, posiadające rangę wyższą od składnicy akt, wskazuje na organ nadzoru, jakim jest najbliższe Archiwum Państwowe (a nie dyrektor przedsiębiorstwa, prezes spółdzielni czy kierownik firmy); **archiwum zakładowe**, które zaznacza, że obszarem jego działań jest określony zakład pracy, a tym samym jest ono wpisane w strukturę organizacyjną tego zakładu, posiada etatowego pracownika, realizuje swój roczny plan zadań i pełni role usługowe wobec całej struktury danej instytucji; **archiwum uczelniane**, którego już sama nazwa określa profil zbiorów i wykazuje pośrednio, że składa się ono głównie z akt studentów i absolwentów, ich prac dyplomowych, oraz wszelakiej dokumentacji związanej z tokiem studiów; **archiwum z zasobem otwartym**, przy czym zasób ów kształtuje się od czasu utworzenia uczelni (np. UJ ma ponad 600 lat, AP wkrótce 60 lat, ale oba archiwa są wciąż uzupełniane i otwarte na nowe typy dokumentacji); **archiwum z zasobem narastającym**, tzn. archiwum, w którym archiwista nie tylko spodziewa się dopływu materiału, ale wie, iż każdego roku musi wchłonąć do magazynów gigantyczne ilości wpływającej dokumentacji; **archiwum z zasobem powierzonym** informuje natomiast o zasadzie, że to, co znajdzie się w archiwum uczelni, nigdy, nigdzie i przez nikogo nie będzie zabrane, jak również też sygnalizuje, iż ciągle narastający zasób (*de facto* będący własnością Państwa, a tylko powierzony Uczelni) nie może być umniejszany bez każdorazowej zgody najbliższego Archiwum Państwowego; **archiwum z zasobem historycznym**, będące w przypadku AP wskazaniem rangi zbiorów odzwierciedlających ewolucję nauki, obrazujących reformę programów nauczania, również wskazujących sezonowe trendy i mody wychowawcze, które zapisują udział ludzi w dziejach instytucji oraz polskiej edukacji; **archiwum naukowe**, oznacza lokalizację źródeł o sprecyzowanym profilu i oryginalnych dokumentów, które gdzie indziej są nie do znalezienia, bowiem występują zazwyczaj w jednym tylko egzemplarzu.

Zjazd archiwistów w Poznaniu

24 i 25 czerwca 2004 r. Archiwum Uniwersytetu Adama Mickiewicza oraz Sekcja Archiwów Szkół Wyższych i Instytucji Naukowych Stowarzyszenia Archiwistów Polskich zorganizowały ogólnopolską

konferencję nt. *Archiwum jako wizytówka macierzystej uczelni*. Z zaproszenia skorzystało 50 osób z 14 miast, reprezentując archiwa 27 instytucji. Warto przyjrzeć się bliżej omawianym kwestiom.

Już na wstępie konferencji zauważono, że z chwilą wejścia Polski w struktury Unii Europejskiej, ranga archiwów uczelnianych stała się jeszcze większa niż dotychczas, bowiem wśród kryteriów UE dotyczących ocen uczelni, znajduje się punkt dotyczący posiadanego archiwum. Na konferencji akcentowano potrzebę swobodnego dostępu studentów do archiwów, lecz dość szybko pojawiły się głosy o niebezpieczeństwie plagiatów prac magisterskich, sporządzanych na podstawie innych rozpraw naukowych. Z powszechnym więc zrozumieniem przyjęto informację, iż władze Uniwersytetu Rzeszowskiego wydały zakaz udostępniania studentom jakichkolwiek prac magisterskich, podobnie jak i Uniwersytetu Adama Mickiewicza, które wszakże umożliwiło korzystanie z nich w określonych przypadkach, głównie w zakresie prac z regionalistyki. Zainteresowanych kieruje się zazwyczaj do ogólnie dostępnej literatury przedmiotu oraz drukowanych bibliografii.

Zauważono, że archiwa uczelniane, w dużej mierze składają się z dokumentacji studenckiej, a znacznie ciekawsze stają się dopiero wtedy, gdy dopływają do nich zróżnicowane materiały pamiątkowe i naukowe. Wizytówką archiwum jest wobec tego zasób, jaki reprezentuje, na którego kształt wpływa kreatywność samego archiwisty. To jego wizja właściwie rozszerzy lub zawęzi klientelę przyszłych pokoleń badaczy i interesantów.

Kolejna konferencja tego typu, już jedenasta, odbędzie się w Gdańsku, we wrześniu 2005 roku. Z pewnością znajdzie się na niej echo konferencji krakowskiej, której w tym miejscu warto poświęcić nieco więcej uwagi.

Zjazd archiwistów w Krakowie

W dniach 16–18 września 2004 r. w Krakowie odbywał się XVII Powszechny Zjazd Historyków Polskich. W jego programie (18 IX) znalazł się też moduł archiwistyczny. Kilkugodzinne posiedzenie sekcji problemowej: *Jakich archiwów potrzebują historycy?* zgromadziło około 250-osobowe audytorium przysłuchujące się publicznej debacie historyków i archiwistów. Panel – dynamicznie prowadzony przez prof. Darię Nałęcz, zwierzchnika Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych (NDAP) – był miejscem prezentacji poglądów takich osób jak (w kolejności wystąpień): M. Kula, K. Kozłowski, A. Paczkowski, A. Friszke, Ł. Kamiński, A. Biernat, A. Kulecka, N. Davies, H. Robótka, R. Wojtkowski. Przedmiotem wypowiedzi oraz zwięzłej dyskusji była troska o politykę gromadzenia i udostępniania źródeł głównie w sieci archiwów państwowych. Część I panelu: *Niespełnione oczekiwania? Historyk w archiwum* oraz część II: *Co będzie wiadomo o przeszłości na podstawie źródeł archiwalnych dziś zgromadzonych?*, były osobistą projekcją odczuć i sugestii badaczy konfrontujących potrzeby warsztatowe z możliwościami archiwistyki polskiej oraz doświadczeniami owych historyków korzystających z zasobów archiwalnych w Polsce i na świecie. Szereg wniosków i obserwacji wartych jest przywołania, albowiem współbrzmią one z wypowiedziami archiwistów-praktyków obradujących nieco wcześniej w Poznaniu.

Zgodnie uznano zatem, że dzisiejszy historyk to już nie tylko badacz, ale publicysta, regionalista bądź student, którego aspiracje bywają większe niż kwalifikacje archiwalne. Można zauważyć, iż zmienia się kategoria użytkowników: maleje grupa badaczy, wzrasta grupa interesantów prywatnych, których przyciągają głównie sprawy tytułów własności, poświadczenia represji czy zwykłe zaświadczenia dla ZUS. Jednak z pomocy archiwistów w Polsce wciąż częściej korzystają historycy, aniżeli użytkownicy prywatni. Dla porównania – na Zachodzie kwestię genealogii roztrząsa już blisko 60% uprawnionych. Nie ulega jednak wątpliwości, że dostęp do państwowego zasobu stał się wolny i nie wymaga uprzednich zezwoleń, nawet (jak to głośno stwierdzono) dla analfabetów, stąd priorytetem jest bezpieczeństwo dokumentów i ich ochrona przed wandalami. Z pomocą przychodzą więc urządzenia techniczne, chociażby w postaci skanera i kserokopiarki.

Z drugiej strony pojawiło się kilka gorzkich refleksji. Okazuje się, niestety, że współczesny archiwista jest już coraz rzadziej badaczem, a z wolna staje się sługą ołtarza naukowego. Pewnym obciążeniem są w Polsce ceny kserokopii z materiałów archiwalnych (najwyższe na świecie, poza Rosją), jak również sam sposób postępowania z dokumentem - podczas gdy u nas dokument jeszcze się przepisuje, na Zachodzie, w tym samym czasie, dokument już się analizuje. I jakkolwiek migracja dokumentu z papierowego na inny nośnik pozornie zmniejsza koszty przechowywania, wciąż odzywa się pytanie: jak współczesne nośniki przechować przez kolejne wieki?

Kolejne problemy sygnalizuje Norman Davies, zwracając uwagę na fakt, że dawniej źródła były nam albo nieznane, albo niedostępne, a dzisiaj mamy wielkie góry informacji, nad którymi nie jesteśmy w stanie zapanować. W tym świetle rodzi się pytanie: jak tworzyć pełną i nową informację o informacji? Równocześnie zauważyć można też gigantyczną specjalizację profesji, w efekcie której historycy zaczynają mówić nieznanym już językiem o mało ważnych sprawach. Wciąż istnieje rozdźwięk na linii: historyk - urzędnik, gdyż każdy z nich widzi inną rangę tego samego dokumentu.

Zastanawiano się nad rolą historyków „mentalności epoki", którzy z racji braku utrwalania zapisu dyskusji internetowych, za 50 lat mogą nie mieć pełnej informacji o opinii masowej. Jednakże precedens już zaistniał - w USA zarchiwizowano wszystkie strony WWW związane z zamachem 11 września 2001 r. Jakkolwiek źródła dostępne w NDAP stanowią oficjalne wytwory urzędów - z punktu widzenia historyka - niekoniecznie oddają klimat epoki.

Wiele zresztą mówiono o tej instytucji. NDAP eksperymentuje np. z usługą indywidualnego otwarcia, czyli udostępnia czytelnię dla badaczy spoza Warszawy, anonsujących swe potrzeby telefonicznie oraz sugerujących termin, kiedy chcieliby skorzystać z archiwaliów. W NDAP nie istnieje rygoryzm 30-letniej karencji dostępu, można zatem zawrzeć umowę o skróconym cyklu, polegającą na deklaracji, że dany dokument będzie użyty zgodnie z prawem tylko dla celów naukowych. W projekcie nowego prawa archiwalnego, które leży w Sejmie od 8 lat, w ogóle nie będzie mowy o karencji dostępności do dokumentów, bowiem ich treść zabezpiecza wiele innych ustaw (o ochronie danych osobowych, bankowych, sądowych, zdrowotnych, etc.). Ponadto bieżący dostęp do informacji publicznej jest już możliwy na podstawie Prawa Prasowego umożliwiającego zebranie informacji wprost u aktotwórcy.

Na plan pierwszy wysuwa się potrzeba sformułowania nowych instrukcji o zarządzaniu dokumentacją narodową. Do NDAP trafia 50-60% dokumentów, reszta idzie na makulaturę. Tymczasem bywa, że pracę podejmują młodzi absolwenci geografii, filologii czy prawa i po krótkim kursie archiwalnym uzyskują władzę nad typowaniem mało sobie znanych dokumentów do selekcji (*de facto* nie będąc ekspertami działów i nie znając „kuchni" kancelaryjnej).

Co dalej?

Prof. Andrzej Paczkowski, znawca wielu archiwów i ich problemów, zachęca: nie martwcie się, archiwiści, zostawcie coś następnemu pokoleniu archiwistów i historyków!

Prof. Daria Nałęcz deklaruje: jesteśmy urzędnikami będącymi do dyspozycji dla historyków jako naszych tradycyjnych partnerów.

Archiwista uczelniany, będący reprezentantem archiwistyki naukowej, nie musi obawiać się przyszłości. O rozwiązaniach systemowych myśli się i mówi już od kilku lat. W 1999 r. Archiwum PAN w Warszawie zorganizowało konferencję międzynarodową *Archiwa naukowe w procesie integracji europejskiej*, jedna z sekcji problemowych pracowała nad zagadnieniem *Archiwa naukowe w strukturze archiwów narodowych*. Jej echa znalazły swój oddźwięk na takich zgromadzeniach jak wyżej relacjonowane debaty strażników przeszłości na rzecz generacji, które dopiero zaistnieją.

Marek Glogier

Hieronim Tokarski

Spotkanie absolwentów Wydziału Geografii WSP – rocznik 1954 w dniach 19–20 czerwca 2004 r.

U każdego człowieka są pewne chwile pojawiające się nieoczekiwanie i przywołujące na myśl przeżycia z różnych okresów jego wędrówki po świecie. Wspomnienia zobojętniają zainteresowanie sprawami dnia codziennego i powodują tęsknotę za tamtymi, które przeminęły i nigdy nie powrócą. Dla wielu z nas najciekawsze wspomnienia wiążą się ze studiami – tym najpiękniejszym okresem w życiu młodego człowieka. Choć dla nas przypadły na lata powojenne, niezwykle trudne, ubogie, pełne problemów i dylematów wręcz nie do rozwiązania, z perspektywy czasu oceniamy je zwykle jako miłe i szczęśliwe. Zapewne wynika to z faktu, że byliśmy wówczas młodzi, pełni zapału do nauki, pracy i śmiałych przedsięwzięć, a także wierzący w osiągnięcie upragnionego celu, jakim był dyplom ukończenia studiów

W moich myślach przesuwają się postaci naszych wielce cenionych i szanowanych profesorów, wykładowców, asystentów - zawsze pełnych życzliwości i chęci przekazywania nam wiedzy - swoistego uzbrojenia potrzebnego w pracy pedagogicznej i wychowawczej każdego nauczyciela. Dość wymienić dr Marię Dobrowolską, dr. Józefa Prennika, dr. Jana Flisa, profesora Zygmunta Mysłakowskiego czy początkującego wówczas asystenta, Tadeusza Ziętarę. Trudno wspomnieć wszystkich w tak wielkim skrócie,

lecz nie sposób o nich zapominać. To byli nasi wykładowcy. Swoją wiedzą, pracą i postawą dodawali nam poczucia wartości i siły do przezwyciężania trudności, zapału do nauki, przyszłej pracy, cementowania koleżeńskiej jedności, która nie uległa zapomnieniu i przetrwała do dziś, przez pół wieku.

Nie wolno pominąć w tych obrazach naszych radosnych i szczęśliwych koleżanek, mówiących każdego dnia - uśmiechnijcie się, jutro będzie lepszy dzień - i kolegów, mniej szczęśliwych, mających zawsze mnóstwo palących kwestii do omówienia. Wszyscy byliśmy sobie życzliwi i wszystkie sprawy przeżywaliśmy razem, jak jedna szanująca się rodzina. I może to było dodatkowym motywem nie pozwalającym wykreślić się z naszej pamięci.

Pragnienie spotkania się było wobec tego wciąż żywe, a z upływem lat potęgowało się, lecz praca zawodowa, skromne dochody, obowiązki rodzinne i przypadki losowe stanowiły główną przeszkodę dla jego wcześniejszego zorganizowania. Dopiero 50. rocznica zakończenia studiów I stopnia i przejście na emeryturę przemogły wszelkie opory i przeszkody, spowodowały, iż realizacja marzeń mogła stać się faktem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nie będzie to jednak łatwe, i że nie ze wszystkimi będzie nam dane się spotkać. Moje obawy spełniły się - niestety.

Po ukończeniu studiów w 1954 r., po otrzymaniu dyplomów i nakazów pracy, rozproszyliśmy się po kraju z takim pożegnaniem, jakby chodziło o wyjazd na wakacje. Nikt z nas nie myślał wtedy o spotkaniu, które mogłoby się odbyć za kilkanaście lat. Nikomu nie zostawiliśmy adresów miejsc przyszłej pracy, stąd też wynikała wielka trudność w ustaleniu aktualnych adresów zamieszkania i powiadomieniu koleżanek i kolegów o organizowanym spotkaniu. Poszukiwanie zajęło najwięcej czasu - aż pół roku.

Już na samym początku, z Janem Adamikiem i Eugeniuszem Zagórskim, doszliśmy do wniosku, że trzeba sięgnąć po adresy domowe z 1954 r., znajdujące się w archiwum uczelni i pisać na otwartych kartach pocztowych, prosząc czytających te karty o doręczenie adresatom. Ta droga w znacznym stopniu okazała się słuszna, lecz nie do końca. Spora część kart krążyła po kraju, by po paru tygodniach dotrzeć do adresatów, inne natomiast wracały do nadawców. Często koleżanki i koledzy powiadamiali jedni drugich o przygotowywanym spotkaniu. Trzeba też było pisać do kuratorów, dyrektorów szkół średnich, rektorów szkół wyższych, sołtysów, a nawet księży. Smutnym było, gdy listonosze donosili o zgonie danej osoby. W połowie maja już się orien-

towaliśmy, gdzie nasi poszukiwani mieszkają i kto spośród nich weźmie udział w ewentualnym spotkaniu.

Ideę zjazdu poparł prof. Jan Lach, któremu niniejszym chciałbym złożyć serdecznie podziękować za możliwość ugoszczenia nas w Instytucie Geografii. Wkrótce też wysłaliśmy pisma do wszystkich koleżanek i kolegów, powiadamiając o dacie, miejscu i wszystkich szczegółach dotyczących spotkania; podobne zaproszenia przesłaliśmy naszym dawnym profesorom.

Spotkanie absolwentów geografii WSP roku 1954 odbyło się w dniach 19 i 20 czerwca 2004 r. w Instytucie Geografii Akademii Pedagogicznej w sali im. profesor Marii Dobrowolskiej.

O godzinie 10.45 prof. Jan Lach, dyrektor Instytutu, powitał zebranych i otworzył spotkanie, wprowadzając przyjacielską, prawie rodzinną atmosferę, która udzieliła się wszystkim uczestnikom i towarzyszyła do końca spotkania. Wśród zaproszonych gości pojawili się również: prof. Maria Kozanecka, prof. Tadeusz Ziętara, prof. Zenon Uryga i dr Bronisław Pydziński.

Po dokonanym powitaniu, nie obyło się bez serdeczności, kwiatów i łez, a także - krótkiego zreferowania zmian funkcjonowania IG na przestrzeni minionego półwiecza. Prof. Tadeusz Ziętara przedstawił zatem rozwój naukowy kadry, poprzez podnoszenie poziomu swej wiedzy i zdobywaniu stopni naukowych, dzięki czemu wzrastała ranga uczelni. Prof. Maria Kozanecka przedstawiła sytuację ekonomiczną, społeczną i lokalową uczelni w latach pięćdziesiątych i porównała ją z obecną, natomiast prof. Zenon Uryga zwrócił uwagę na to, czego uczelnia nie mogła dać w tamtym okresie swoim studentom, a mianowicie opanowania języków obcych, zwłaszcza zachodnich. Działanie prawa „żelaznej kurtyny", szczególnie w latach 50. i 60., uniemożliwiło wyjazdy za granicę i wpłynęło na brak motywacji uczenia się języków. W efekcie starsze pokolenie nie zna lub zna bardzo słabo języki obce. Niemniej wszystkie wypowiedzi państwa profesorów wyrażały zadowolenie z rozwoju uczelni.

W dalszej części rozmowy uczestnicy spotkania przedstawili pokrótce swoje sukcesy zawodowe i rodzinne, z których wynikało, że tylko jedna osoba nie zainteresowała się szkolnictwem, a znakomita większość - podjęła pracę na rozmaitych szczeblach oświaty.

Sukcesów było wiele, jednakże najważniejszymi wciąż pozostają te związane z kształceniem nowych pokoleń. Miło wobec tego przypomnieć, że połowa koleżanek i kolegów urządziła od podstaw pracownie geograficzne, a wielu przygotowywało młodzież do różnych konkursów i olimpiad. Wszyscy prowadzili kółka zainteresowań, wycieczki geograficzne i krajoznawcze, lekcje pokazowe dla nauczycieli danego kuratorium i wiele innych zajęć popularyzujących wiedzę geograficzną w swoim środowisku pracy i zamieszkania, zyskując powszechny szacunek władz i społeczeństwa. Za swoją pracę 27 osób otrzymało Złote Krzyże Zasługi 6 osób Medale Komisji Edukacji Narodowej - J. Adamek, E. Zagórski, H. Ciołczyk-Wygasiowa, J. Czaplik-Szymanowska, A. Solińska-Dobosz, M. Stefanow, H. Włodarczyk.

Krzyże Kawalerskie Odrodzenia Polski otrzymało 7 osób - J. Adamek, H. Ciołczyk-Wygasiowa, J. Czaplik-Szymowska, A. Solińska-Dobosz, M. Stefanow, H. Włodarczyk, E. Zagórski.

Złotą Odznakę Zasłużonego w Rozwoju Woj. Katowickiego otrzymała H. Ciołek-Wygasiowa.

Złotą Odznakę Zasłużonego dla miasta Nysy otrzymał J. Adamek, dla m. Krakowa J. Czaplik-Szymanowska, M. Stefanow, E. Zagórski, dla miasta Żagania H. Włodarczyk. Dwie osoby otrzymały Złote Odznaki ZNP, 1 Złotą Odznakę PTTK, 1 Złotą Odznakę PTG. Kilka osób otrzymały Złote i Srebrne Odznaki z Opieką nad Zabytkami, za zorganizowanie i opiekę nad Izbami Pamięci Narodowej, prowadzenie kół SKKT, PTTK, Obronności Kraju, kół geograficznych i krajoznawczych. Prawie wszyscy otrzymywali nagrody kuratorów i wiele osób ministra oświaty.

Najwięcej odznaczeń otrzymali: Halina Ciołczyk-Wygasiowa, Jan Adamek, Eugeniusz Zagórski, Mieczysław Stefanów, Irena Czaplik-Szymanowska i Henryk Włodarczyk.

Należałoby jeszcze zapytać: kto nas nauczył tak dla Ojczyzny pracować? Komu należy za tę naukę podziękować?... Chcieliśmy im złożyć podziękowanie... niestety mogliśmy pomodlić się tylko za ich dusze.

Dnia 19 czerwca o godzinie 19.00 odprawiona była msza święta w Kościele Mariackim za dusze zmarłych profesorów, wykładowców, asystentów, koleżanek i kolegów.

Krótki czas trwania spotkania nie pozwolił na podzielenie się wieloma zagadnieniami zawodowymi, jak i sprawami rodzinnymi. Nie miały jednak końca indywidualne rozmowy w hotelu. Tematów do nich w ciągu 50 lat nazbierał się właściwie cały „TIR", z którymi, mówiąc żartobliwie, ledwie zdołał do nas dojechać. Były starsze - pięćdziesięciolatki, czterdziestolatki i coraz młodsze - niemowlaczki z ostatnich miesięcy.

Zabawnie toczyła się rozmowa przy oglądaniu zdjęć z lat studenckich. Koleżanka pyta kolegę - „Kto to jest ten chłopiec?" - wskazując na fotografię - „Czy on jeszcze żyje?" A kolega odpowiada - „Tak, on jeszcze żyje, ale nie wiem, jak długo jeszcze będzie żył, on nawet siedzi koło Ciebie i z Tobą rozmawia" - i wybuchają śmiechem. Ach, ten czas - on wszystko zmienia, nawet twardy granit zamienia w proch i pył.

Z kolei 20 czerwca o godzinie 9.00 w Kościele Mariackim przed głównym ołtarzem odprawiona była msza święta za dusze Wyzwolicieli Państwa Polskiego w 1918 i 20 roku oraz Obrońców Ojczyzny w czasie II wojny światowej. Wziął w niej udział m.in. profesor Tadeusz Ziętara. Wyraził on swoją wdzięczność za zorganizowanie spotkania i oświadczył ze wzruszeniem, w niezmiernie serdecznych słowach, że byliśmy pierwszą grupą jego studentów, z którymi rozpoczął swoją pracę na uczelni. Wzruszeni byliśmy wszyscy, a temperatura rozmów i słowa pożegnania były bardzo gorące. Nie obyło się bez uścisków, ucałowań i nie dających się ukryć w wielu oczach łez.

Dziękujemy Ci, profesorze Tadeuszu, dziękujemy Wam wszystkim, Państwu Profesorom: Marii Kozaneckiej, Janowi Lachowi, Zenonowi Urydze i Doktorowi Bronisławowi Pydzińskiemu, za ich życzliwość i serdeczność dla nas, za trud wkładany w kształcenie nowych pokoleń nauczycieli.

Dziękujemy również Eugeniuszowi Zagórskiemu, bez którego współpracy zjazd ów nie mogłoby się odbyć.

Dziękujemy Koleżankom i Kolegom za okazanie niemałej wdzięczności organizatorom spotkania.

Hieronim Tokarski

List do uczestników spotkania absolwentów Wydziału Geografii

W dniach 18–20 czerwca 2004 roku odbyło się spotkanie absolwentów kierunku geografii WSP w Krakowie po 50 latach ukończenia studiów.

Przyjechaliśmy z wielu stron Polski z całym bagażem naszych doświadczeń zawodowych i życiowych. Było to dla mnie wielkie przeżycie; po tylu latach poznawać na nowo twarze moich dawnych kolegów, nawiązywać znów serdeczne stosunki, jakie dawniej łączyły mnie z nimi w czasie studiów. Okazało się, że przyjaźnie z dawnych lat, przez pewien okres zerwane, nic nie straciły ze swej aktualności.

To był czas wspaniałych wspomnień z życia studenckiego. Los nas w owych czasach nie rozpieszczał, ale życzliwość, wyrozumiałość, wiedza i kultura wykładowców oraz bliskie więzi z koleżankami i kolegami z naszego roku pozwalały znieść wszystkie niewygody ówczesnego bytu studenckiego.

Zwiedzając piękne gmachy Akademii Pedagogicznej, jej wspaniałą bazę dydaktyczną i zaplecze socjalne, podziwialiśmy ich rozwój i rozbudowę. Myśmy tego nie mieli, ale jednocześnie charakteryzował nas ogromny zapał zdobywania wiedzy i wykształcenia. Każdy starał się jak najlepiej przygotować do zdawanego kolokwium czy egzaminu. Dzięki naszemu wysiłkowi zdobyliśmy solidną wiedzę, która procentowała w naszym dalszym życiu i pracy. Każdy z nas skorzystał też z możliwości kontynuowania studiów II-go stopnia i uzyskania tytułu magistra geografii.

W planie spotkania, które odbyło się w gmachu Akademii Pedagogicznej, nie zabrakło czasu przeznaczonego na indywidualne przedstawienie osiągnięć zawodowych a także swojej drogi życiowej. Były to chwilami wzruszające relacje.

Pozwoliło to wzajemnie poznać losy koleżanek i kolegów. Warto wspomnieć, że zaszczycili nas wówczas swoją obecnością dyrektor Zakładu Geografii pan profesor Jan Lach, pani profesor Kozanecka, pan profesor Ziętara oraz pan doktor Bronisław Pydziński i dłuższy czas przebywali z nami.

Nadszedł też ważny dla nas moment zadumy i refleksji, kiedy uczestniczyliśmy we mszy św. w Kościele Mariackim, poświęconej pamięci naszych zmarłych profesorów, koleżanek i kolegów z roku.

Jestem wdzięczny naszym organizatorom, że mogłem się spotkać po tylu latach z przyjaciółmi. Poczułem się tak, jakbym był znów młody, jak za dawnych, studenckich lat.

Podtrzymuję obecnie na nowo zawiązane przyjaźnie, korespondujemy z sobą, przesyłamy zdjęcia i często do siebie telefonujemy.

Minęło już wiele dni od mego pobytu w Krakowie, a nadal to spotkanie pozostaje żywe w mej pamięci.

Mieczysław Piwkowski

INTRO 2004
wprowadzenie na rynek pracy

Pod patronatem rektora AP prof. Michała Śliwy, a z inicjatywy prorektora ds. dydaktycznych, prof. Eugeniusza Wachnickiego, 24 listopada 2004 r. odbyło się w uczelni doroczne spotkanie seminaryjno-dyskusyjne pod nazwą: *INTRO 2004 – uprowadzenie na rynek pracy*.

Organizatorem i gospodarzem spotkania stała się Samodzielna Sekcja Promocji Uczelni i Karier Studenckich przy udziale Zarządu Samorządu Studentów AP, a głównym zagadnieniem spotkania stało się zapoznanie słuchaczy z obecnymi realiami panującymi na polskim i zagranicznym rynku pracy.

Spotkanie adresowane było głównie do studentów i absolwentów Akademii Pedagogicznej, ale z wykładów i prelekcji odbywających się w ramach cyklu skorzystać mogli również uczniowie innych szkół wyższych krakowskiego środowiska akademickiego.

Na program spotkania złożyły się wystąpienia przedstawicieli – grup oświatowych Krakowa i województwa, Wojewódzkiego Urzędu Pracy, członków organizacji wolontariackich, agencji doradztwa zawodowego oraz pracowników Ogólnopolskiej Sieci Biur Karier.

Inspiracją do żywej dyskusji i wymiany poglądów stały się odczyty: wiceprezydent Krakowa, pani Stanisławy Urbaniak oraz dyrektora Józefa Rostworowskiego, reprezentującego Kuratorium Małopolskie. Prelekcje te poświęcone zostały zmienności ról w życiu zawodowym człowieka oraz pragmatyce nauczycielskiej, zjawisku patologii i zagrożeń, z jakimi przyszłym nauczycielom przyjdzie się zmierzyć w ich pracy.

Z dużym zainteresowaniem spotkała się także problematyka programu „Pierwsza Praca", dającego możliwości korzystania z Europejskiego Funduszu Społecznego i uzyskania zatrudnienia poza granicami kraju.

Wypełnione Audytorium im. prof. Wincentego Danka, żywe zainteresowanie słuchaczy i dyskusja, która w konsekwencji wydłużyła planowany czas spotkania o ponad dwie godziny, wskazały na celowość i potrzebę organizowania podobnych konferencji. Łącznie udział wzięło 236 studentów Akademii Pedagogicznej, a także liczna grupa studentów i absolwentów innych krakowskich uczelni.

Fot. M. Pasternak

Samodzielna Sekcja Promocji Uczelni i Karier Studenckich

Teresa Wildhardt

Czytelnia Główna w nowej szacie

W dniu 29 listopada 2004 r. w Bibliotece Głównej miało miejsce uroczyste otwarcie zmodernizowanej Czytelni Głównej, z udziałem Senatu Akademii Pedagogicznej, zaproszonych gości i pracowników biblioteki.

Po przecięciu wstęgi przez Rektora prof. dr. hab. Michała Śliwę uczestnicy uroczystości obejrzeli Czytelnię i wpisali się do księgi pamiątkowej Biblioteki.

W ramach modernizacji Czytelni przeprowadzono gruntowny remont pomieszczenia oraz dokonano całkowitej wymiany wyposażenia (regały, stoliki itp.). Nowa aranżacja wnętrza i zastosowana kolorystyka oraz liczne akcenty zieleni tworzą miłą atmosferę, sprzyjającą pracy naukowej.

Obecnie Czytelnia Główna posiada 80 miejsc, w tym 4 z dostępem do internetu i oferuje wolny dostęp do księgozbioru.

Księgozbiór Czytelni, liczący 15 tysięcy woluminów, jest usystematyzowany wg uniwersalnej klasyfikacji dziesiętnej, a usytuowana centralnie tablica klasyfikacyjna ułatwia docieranie do poszukiwanych materiałów. Ponadto kompetentni i życzliwi bibliotekarze pełniący dyżury w Czytelni służą pomocą i radą w doborze odpowiedniej literatury.

Czytelnia Główna jest czynna od poniedziałku do piątku w godz. 9.00-19.00, a w soboty od 9.00 do 14.00.

Do korzystania z nowoczesnej, przyjaznej użytkownikowi Czytelni zapraszają Dyrekcja i pracownicy Biblioteki Głównej.

Fotografowała Dorota Witczak

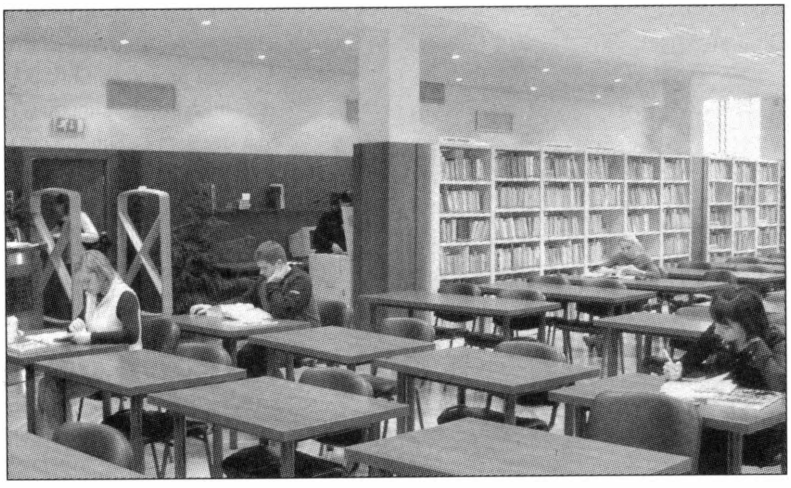

Muzyka chóralna

Chór Educatus Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie nie tylko powitał nowy rok akademicki 2004/2005 śpiewem podczas uroczystości inauguracji, ale sprawił też miłą niespodziankę w postaci nagrania płytowego muzyki chóralnej w swoim wykonaniu. Cieszy i zaskakuje pracowitość, tempo rozwoju i częstotliwość sukcesów chóru – jego uczestników i „Pana Dyrygenta", jak z widoczną sympatią studenci nazywają ad. II st. Adama Korzeniowskiego

Przypomnijmy: zespół w swych szeregach skupia studentów i absolwentów AP i innych krakowskich uczelni. Celem, jaki wyznaczył sobie Chór Mieszany *Educatus*, jest przedstawienie muzyki chóralnej różnych epok.

Zaszczytem w działalności chóru jest reprezentowanie uczelni na różnego rodzaju koncertach, festiwalach i konkursach, zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. *Educatus*, pomimo krótkiego stażu śpiewaczego, był wykonawcą muzyki - między innymi u boku Radiowej Orkiestry Symfonicznej w Krakowie, Orkiestry Opery Krakowskiej - na koncertach z cyklu *Vivat Academia, Vivat Musica*!, organizowanych przez naszą Uczelnię. Uczestniczył w Koncertach Edukacyjnych Wydziału Pedagogicznego, inicjowanych przez Katedrę Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej oraz Zakład Początkowego Nauczania Muzyki i Plastyki, a w 2002 r. koncertował w trzech edycjach Krakowskich Spotkań Chórów Akademickich. Brał również udział w oprawie muzycznej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski.

Chór Mieszany *Educatus* jest dwukrotnym zdobywcą „Złotego Pasma" w Małopolskim Konkursie Chórów w roku 2002 i 2003. W kwietniu 2004 r. zdobył „Złoty dyplom" w VIII Międzynarodowym Konkursie Chóralnym w Riva del Garda we Włoszech.

Dodajmy, że już w nowym roku akademickim chór wypracował nowy sukces, zdobywając II miejsce na VII Łódzkim Festiwalu Chóralnym *Cantio Lodziensis. Educatusa* wyprzedził tylko chór z Akademii Muzycznej w Katowicach.

Wydana niedawno studyjna płyta, zawiera przegląd możliwości wokalno-artystycznych zespołu. Są to pieśni religijne, świeckie i okolicznościowe; muzyka polska i obca, a w tym - ulubiona przez słuchaczy *Sijahamba* - zuluska pieśń ludowa.

Słuchając nagranej muzyki, odnosi się nieodparte wrażenia obcowania ze sztuką chóralną na bardzo wysokim poziomie. Chór potrafi wznieść się na wyżyny mistycznego klimatu w motecie *Już się zmierzcha* Wacława z Szamotuł oraz *Parce Domine* Feliksa Nowowiejskiego, a także urzekać radością młodzieńczego śpiewu w *Gospels* czy *Krakowiaku*. Zadbano też o pieśni okolicznościowe, których słuchamy przy uczelnianych uroczystościach. Polecając państwu tę płytę dodaję życzenia dla uczestników chóru i jego dyrygenta Adama Korzeniowskiego, aby pracowali nadal z taką pasją, radością i zapałem jak dotychczas.

Vivat Musica!

R.Ł.

O sporcie
pisze Czesław Michalski

Wychowanie fizyczne i sport na ziemiach polskich pod zaborami (2)

Druga połowa XIX wieku to okres rozwoju różnych społecznych form organizacyjnych, powoływanych w celu realizacji wąskich celów grupowych. Stowarzyszenia te stanowiły doskonały sposób pozyskiwania zwolenników aktywności ruchowej.

Najstarszym istniejącym na ziemiach polskich stowarzyszeniem tego typu, było Krakowskie Towarzystwo Strzeleckie, powołane do życia uchwałą Senatu Rządzącego Wolnego Miasta Krakowa w dniu 31 maja 1833 r. W zarysie historycznym, poprzedzającym statut, założyciele Towarzystwa odwoływali się do tradycji Bractwa Kurkowego, a w paragrafie pierwszym dokumentu stwierdzali, że „Towarzystwo Strzeleckie Krakowskie zawiązuje się dla strzelania do tarczy i mienia a stąd przyjemnej zabawy". Według historyków AWF, było ono pierwszym nowoczesnym stowarzyszeniem kultury fizycznej na ziemiach polskich.

W roku 1839, w zaborze pruskim przy Towarzystwie ku Ulepszaniu Hodowli Bydła i Koni Wielkiego Księstwa Poznańskiego powstał pierwszy klub jeździecki, wzorowany na angielskich organizacjach sportowych. W 1841 r., w Warszawie, rozwinęło się zaś Towarzystwo Wyścigów Konnych i Wystawy Zwierząt Gospodarskich, stanowiące w latach następnych największe centrum sportów jeździeckich na ziemiach polskich. Kolejnym stowarzyszeniem tego rodzaju było Lwowskie Towarzystwo Zachęty Hodowli Koni i Zwierząt Gospodarskich.

Z inicjatywy Bonifacego Łazarewicza a pod auspicjami Stowarzyszenia Przemysłowców Polskich w Poznaniu zostało założone 22 listopada 1862 r. pierwsze polskie towarzystwo gimnastyczne. Przestało ono działać w roku 1863, prawdopodobnie z powodu przejścia znacznej grupy skupionej w nim młodzieży do oddziałów powstańczych. Reaktywowało swą działalność cztery lata po upadku powstania styczniowego, ale szybko zostało rozwiązane przez zaborcze władze pruskie. Trwalsze towarzystwo gimnastyczne powstało dopiero w 1867 r. w zaborze austriackim, gdzie władze zliberalizowały swą politykę wobec narodów wchodzących w skład Monarchii Habsburskiej. W roku 1867 lwowscy działacze narodowi uzyskali pozwolenie na założenie polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". Pierwszym jego prezesem został lekarz - Józef Milleret. Stawiało ono sobie za cel budzenie świadomości narodowej przez działalność kulturalną, przemarsze, zloty i pokazy gimnastyczne, a pod względem sportowym - odrodzenie fizyczne społeczeństwa polskiego za pośrednictwem ćwiczeń fizycznych. Równolegle, bo

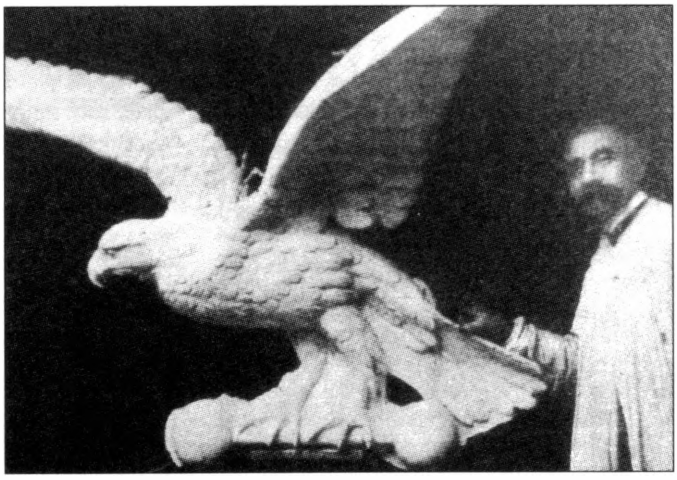

w 1868 r. powstały: Towarzystwo Gimnastyczne Krakowskie i w roku 1870 Towarzystwo Gimnastyczno-Strzeleckie „Orzeł Biały". Miały one jednak zasięg lokalny, podczas gdy filie „Sokoła" zakładano na terenach polskich we wszystkich zaborach. Oddziały te powstawały od 1884 r. w Galicji (Stanisławowie, Tarnowie, Krakowie i innych miastach), zaborze pruskim: w Inowrocławiu, Poznaniu, Bydgoszczy (gdzie później, już w 1893 r. powstał Związek Sokołów Wielkopolskich). W zaborze rosyjskim działalność „Sokoła" była zakazana. Zezwolono na nią dopiero w latach 1905-1906 pod wpływem rewolucji.

Od końca XIX stulecia powstawały liczne emigracyjne gniazda organizacji w Niemczech, Francji, Stanach Zjednoczonych, wobec czego już w 1899 r. odbył się pierwszy zlot polskich organizacji sokolich na obczyźnie.

Pojawiają się jednak także inne, pozagimnastyczne, o szerszej podstawie społecznej, organizacje sportowe. Mimo politycznego podziału ziem polskich, rozwój towarzystw miał charakter równoległy i cechował się stosunkowo silnymi kontaktami między organizacjami różnych zaborów. W poszczególnych zaborach o rozwoju towarzystw i sportu w ogóle decydowały złożone czynniki, wśród których dominowały: w Galicji - wpływ nastawionego anglofilsko ziemiaństwa, w Wielkopolsce - chęć przeciwstawienia się wpływom stowarzyszeń niemieckich, w Królestwie Polskim - programowe zapożyczenia zachodnich wzorców wobec nieistnienia bądź słabej atrakcyjności wzorów rosyjskich. We wszystkich zaborach wspólnym stymulatorem rozwoju ruchu sportowego był niski poziom kultury fizycznej wśród szerszych warstw ludności miejskiej. Chronologicznie pierwsze stowarzyszenia sportowe powstają we Lwowie i Krakowie. Już w 1869 r. powstało Lwowskie Towarzystwo Łyżwiarzy i Krakowskie Towarzystwo Łyżwiarskie, w roku 1878 w Warszawie zostaje założone Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie, które oficjalnie zalegalizowano cztery lata później. Organizacje tego typu powołano w 1884 r. w Płocku i w 1886 r. we Włocławku. W roku 1884 zostaje założony we Lwowie Akademicki Klub Cyklistów i Towarzystwo Kolarzy Wyścigowych.

Pod koniec XIX w. zaczęły też powstawać kluby sportowe. Pierwszymi były założone już w 1891 r. we Lwowie i w Krakowie kluby szermiercze, następnymi - piłkarskie i lekkoatletyczne: Czarni (1903) i Pogoń (1904) oraz Cracovia (1906) i Wisła (1906), klub wioślarski (1904), Warta i Unia w Poznaniu, a w Warszawie w 1907 r. powstało Warszawskie Koło Sportowe, które zrzeszało ludzi uprawiających hipikę i tenis.

Krótko przed wybuchem I wojny światowej zawiązały się pierwsze robotnicze kluby sportowe, jak: Siła na Śląsku, Marymont w Warszawie oraz Widzew w Łodzi.

Przeszczepiono też w tym okresie na polski grunt angielski *scouting*, nadając mu polską nazwę harcerstwa. Był to dobrowolny, rekreacyjny ruch młodzieży polskiej, włączający w zakres swojego działania wędrownictwo i obozownictwo. Pierwsze drużyny harcerskie powstały w 1911 r. najpierw we Lwowie w ramach towarzystwa „Sokół", potem w całej Polsce. Poza Galicją harcerstwo musiało rozwijać się w konspiracji.

Wymienione tu przykłady wskazują, że rozwój różnych dyscyplin sportu w okresie, gdy Polska znajdowała się pod zaborami, następował głównie poprzez ruch stowarzyszeń, mających na celu również zadania patriotyczne.

Czesław Michalski

Łukasz Smogorowski

Sportowa Jesień w Kijowie

Poszarpane blokowiska, przetykane wysokimi, jakby pysznymi swoją świeżością molochami ze szkła, betonu i stali, wydają się skansenem architektury spod znaku wielkiej płyty, ścielącym się u podnóża chmur i ich drapaczy. Takim krajobrazem przywitał podróżnych Kijów, gdy z końcem października, u schyłku jesieni, w stołecznej metropolii Ukrainy pojawili się studenci Akademii Pedagogicznej - sportowcy z Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego - należący do sekcji pływackiej i lekkoatletycznej kobiet i mężczyzn, koszykówki oraz piłkarze wraz z trenerami: Janiną Cięszki, Ignacym Tokarzem oraz Piotrem Pastuszką.

Narodowy Uniwersytet Pedagogiczny im. M.P. Dragomanowa z Kijowa zrewanżował się za zaproszenie na obchody 50-lecia Studium Wychowania Fizycznego i Sportu naszej Uczelni, które odbyły się w marcu roku 2004, zapraszając studentów Akademii Pedagogicznej do udziału w szeregu imprez sportowych, organizowanych w Kijowie w ramach „Studenckiej Sportowej Jesieni 2004". W konkurencjach brało udział kilkanaście uczelni, głównie z Kijowa. Obecność drużyn Akademii Pedagogicznej nadała tej imprezie charakter międzynarodowy.

Kijów zachwycił wszystkich; miasto ogromne i tętniące życiem... Nowością, ale też - przywdzianą w neonowy blask szarzyzną; przystrojone pomnikami przeszłości i przyszłości. Miasto jakby szkicowane przez wielkiego planistę, ruchem dłoni z ołówkiem naśladującym zamach dyskobola... Ogrom i kicz. Wyszukana stylizacja i kompozycja przestrzenna, biedota kontrastująca z przepychem. A ponad tym wszystkim baśniowe, oblane złotem kopuły cerkwi, stare, ocienione uliczki i zatrzymane w czasie enklawy awangardy lat dwudziestych - zakamarki tak urokliwe jak muzeum jednej ulicy... Sztuka ludowa, pamiątki po partii, malarstwo wszystkich epok i kontynentów w syntetycznym podsumowaniu w kolorowej mozaice promenad... Nie można pozostać wobec tego miasta obojętnym.

Zarówno trenerów jak i studentów zadziwiło podejście do sportu akademickiego prezentowane przez władze tamtejszych uczelni. Nieskrywana duma i radość z osiągnięć studiujących sportowców, zainteresowanie życiem sportowym, wsparcie działalności sekcji, m.in. aktywna pomoc w znajdywaniu sponsorów - wszystko to tworzy tam niepowtarzalny klimat, który towarzyszy sportowi akademickiemu, pomaga przezwyciężać trudności. Okazuje się, że dobre chęci i życzliwość władz uniwersyteckich

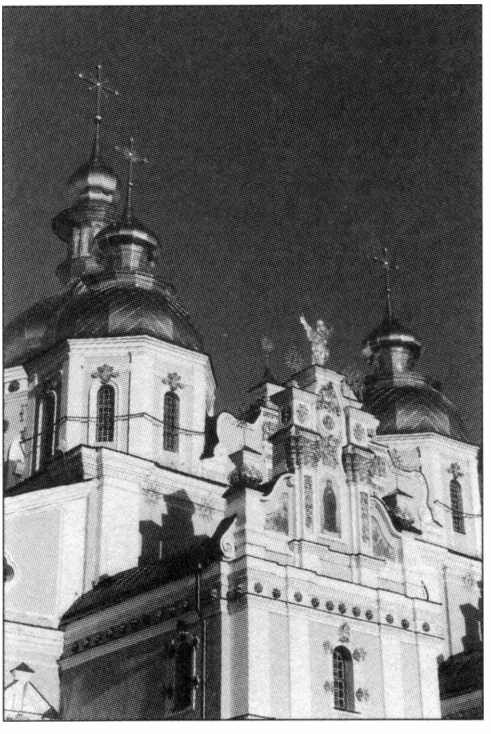

nie muszą być tylko piekielną wyściółką, ale podstawą, kamieniem węgielnym w fundamentach sportu uczelnianego.

Na uroczystej gali podsumowującej wszystkie zawody medale zwycięzcom wręczali rektorzy uczelni, większość Rektor Narodowego Uniwersytetu Pedagogicznego; on sam przyczynił się znacząco do sukcesu tej imprezy, pozyskując sponsora strategicznego - bank, z którego usług korzysta ta uczelnia.

Sportowcy Akademii Pedagogicznej, pomimo coraz mniejszych możliwości treningowych (sekcja pływacka od tego roku trenuje raz w tygodniu czterdzieści pięć minut; dla porównania - studenci z Kijowa uczęszczają na treningi trzy razy w tygodniu, a trwają one sześćdziesiąt minut), w Kijowie jeszcze całkiem nieźle się zaprezentowali: piłkarze (pod wodzą trenera Piotra Pastuszki) zdobyli w rozgrywkach futsalu drugie miejsce. Koszykarki (prowadzone przez trenerkę Janinę Cięszki) uplasowały się na trzeciej pozycji. Pływacy (trenerem pań jest Ignacy Tokarz, trenerem panów - nieobecny w Kijowie - Michał Malarz), w klasyfikacji ogólnej zajęli trzecie miejsce. Złoty medal na dystansie stu metrów stylem klasycznym zdobyła Agnieszka Kiełbusiewicz, srebrny, na dystansie stu metrów kraulem, Alicja Bębenek. Panie wywalczyły również brąz w sztafecie 4x50 metrów zmiennej (Barbara Mikołajczyk, Agnieszka Kiełbusiewicz, Alicja Bębenek oraz Katarzyna Wołoch). Wśród mężczyzn na podium stanęli: Maciej Mikołajczyk (srebrny medal na dystansie 50 metrów stylem grzbietowym), Tomasz Machinko, brąz w tej samej konkurencji oraz Łukasz Smogorowski, brązowy medal na dystansie 100 metrów stylem klasycznym.

Rektor Narodowego Uniwersytetu Pedagogicznego wielokrotnie podkreślał, jak ważny dla rozwoju fizycznego i duchowego jest sport akademicki (powtórzył jakby tym samym słowa minister Łybackiej z inauguracji Akademickich Mistrzostw Polski w Lekkiej Atletyce, które odbyły się w Poznaniu w roku 2003). Wyraził również radość, że sportowe zmagania mogą być okazją do zbliżenia się, nie tylko sportowego, dwóch uczelni, które przecież od lat cieszą się obopólną przyjaźnią.

W Kijowie nie zjawiła się niestety delegacja naszej uczelni, świetnie natomiast w tej roli spisali się trenerzy, szczególnie pani Janina Cięszki, która swoim przemówieniem na uroczystej gali kończącej „Studencką Sportową Jesień 2004" wywołała burzę oklasków.

W stolicy Ukrainy dawało się już odczuć podniosłe nastroje przedwyborcze. Dystans do własnych nadziei znikł po pierwszej turze wyborów, choć emocje targały studentami już dużo wcześniej. Chętnie o tym rozmawiali, kreślili plany; nie miały one jednak rozmachu kijowskiej architektury. Nawet teraz, gdy prowadzimy telefoniczne dyskusje, nie można powiedzieć, żeby studenckie nadzieje ubrały się w złudzenia, że po wyborach wszystko będzie możliwe, prostsze. I może właśnie dlatego mają większe szanse realizacji.

Łukasz Smogorowski

Książka, którą czytam

Jerzy S. Ossowski

Mag w cylindrze i kapeluszu

Spośród niewielu zachowanych zdjęć Gałczyńskiego, to jedno, poety w pelerynie, do której dopasował oratorską, ale jakże tchnącą wesołością pozę, przedstawia go w grupie osób na tarasie śledziejowickiego dworku

Od lewej żona Natalia, jako umundurowany w *battledres* herold, w głębi Jerzy Andrzejewski w zastygłym geście i przebraniu franciszkanina, Anda Kitschman z wielkim kwiatem na piersi, kompozytorska opoka rodzącego się teraz kabaretu „Siedem Kotów" i on - przyszły autor *Zielonych Gęsi* i *Listów z fiołkiem*, założyciel „cywilizacji »Przekroju«". Urocza właścicielka resztówki majątku Niedzielskich w Śledziejowicach (pod Wieliczką), gdzie w połowie XIX stulecia mieszkał i malował Artur Grottger, obecna właścicielka starego dworku (z domu Colonnna Walewska, siostrzenica margrabiego Wielopolskiego), którą wszyscy „przekrojowi" goście zgodnie nazywali Babcią Niedzielską, cieszyła się, że wraz z przyjazdem panów poetów odżyją niegdysiejsze tradycje literackie, co potwierdzały ich artystyczne przebrania i humory. Ale kiedy, łatwo to sobie wyobrazić, przeczytano jej pierwszą wydrukowaną w „Przekroju" *Zieloną Gęś* pt. *Potworny wujaszek*, długo milczała, aż wreszcie powiedziała: „Gdyby to był mój syn, jakże ja bym się martwiła...". Niezwykłą urodę zabaw tego śledziejowickiego lata 1946 utrwalił Henryk Hermanowicz, który wykonał jeszcze kilka, dzisiaj bardzo słynnych, zdjęć Maga w cylindrze. Jedno z nich widnieje na okładce pasjonującej książki Kiry Gałczyńskiej pt. *Gałczyński*, wydanej w znakomitej serii *A to Polska właśnie* Wydawnictwa Dolnośląskiego (Wrocław 1998).

Zapewne to zdjęcie miał na uwadze prof. Janusz Rohoziński, kiedy przed podtytułem redagowanego zbioru studiów i szkiców *O pisarstwie K. I. Gałczyńskiego* - umieszczał główny tytuł książki: *Mag w cylindrze;* niewykluczone, iż ze świadomością, że określenie to spełni funkcję alegorycznego wprowadzenia czytelników w światy literatury, gdzie jedwabne sztywne *chapeaus claques* były symbolami *gentelmana*. Tom zawiera rozszerzone teksty referatów wygłoszonych na konferencji zorganizowanej w listopadzie 2003 r. przez Wydział Filologii Polskiej

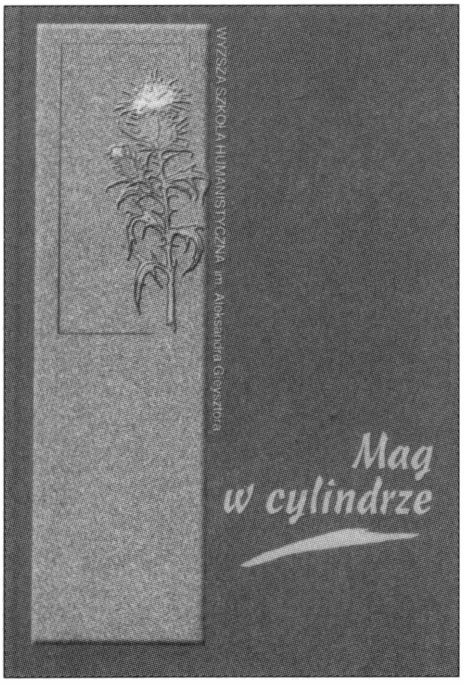

Wyższej Szkoły Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku, oraz artykuły przygotowane do tej edycji. W sumie 10 publikacji naukowych badaczy znanych i cenionych w świecie polonistycznym. I bez mała wszyscy autorzy, podobnie jak zwykliśmy to czynić wobec literackich manier jaśniepanicza Gombrowicza, słusznie traktują Gałczyńskiego, właśnie jako *gentelmana* literatury polskiej XX w. Pisarza nienagannie, niekiedy z ironią, posługującego się rozlicznymi formami poetyckimi i symbolami kultury wysokiej.

Okazuje się, że jeszcze dzisiaj ten mag w szapoklaku ma do powiedzenia światu rzeczy ważne, ciekawe, zabawne. Więc ów gest *chapeaus bas* humanistów pułtuskich jest ze wszech miar uzasadniony, tym bardziej, że wpisywał się w obchody - ogłoszonego przez Sejm i Prezydenta RP - Roku K. I. Gałczyńskiego (2003). A ponieważ piszący sprawozdanie z *Maga w cylindrze* w organizacji obchodów tego Roku miał także swój udział, niech wolno mu będzie przywołać te rocznicowe wydarzenia, których przypomnienie stworzy właściwy klimat dla sprawozdania z tej pasjonującej lektury*. Zwłaszcza że

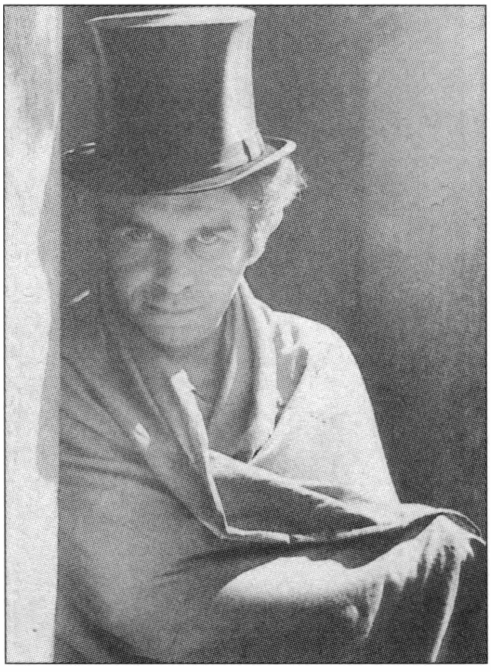

23 I 2005 r. obchodziliśmy 100-lecie urodzin Gałczyńskiego, więc cały rok będzie usposabiał do kolejnych rocznicowych imprez kulturalnych. Rozpoczęło je odsłonięcie pamiątkowego kamienia-pomnika na ulicy Towarowej w Warszawie, miejscu urodzenia poety, połączone z promocją książkowego wydania, przygotowanych przez Kirę Gałczyńską, jego listów, które są swoistą sensacją, nie tylko epistolograficzną.

Pięćdziesięciolecie śmierci K. I. Gałczyńskiego wywołało wyraźny wzrost zainteresowań dziełem i osobą poety, co potwierdziły liczne wydarzenia kulturalno-artystyczne i naukowe, których samo odnotowanie zajęło kilkanaście stron w internecie (www.fackyou). Fundacji Oświecenia Publicznego Towarzystwa Asystentów AP w Krakowie przypadł zaszczyt współorganizowania, wraz z IINiB oraz IFP, krakowskiej Inauguracji Roku Gałczyńskiego (luty 2003 r.). Uroczystość tę obecnością w auli naszej Uczelni uświetniła córka poety, Kira Gałczyńska, która wystąpiła w roli redaktorki trzytomowej edycji *Dzieł wybranych* (Czytelnik, Warszawa 2002), po raz pierwszy zawierającej słynny jeniecki *Notatnik* Gałczyńskiego, o czym relację zamieścił „Konspekt" (2003, nr 14/15). Potem w kraju odbyło się wiele imprez kulturalno-oświatowych, spektakli teatralnych i kabaretowych, koncertów, spotkań rocznicowych w szkołach i domach kultury, zwłaszcza tych noszących imię poety. W towarzystwie pani Kiry uczestniczyłem w wieczornicy zorganizowanej przez grono pedagogiczne krakowskiego 48 Gimnazjum im. Gałczyńskiego oraz *Ildefonsjadzie*, corocznie przygotowywanej przez krakowski Dom Kultury im. Gałczyńskiego na Rynku Głównym, a także w charytatywnej aukcji rysunków dziecięcych, które ilustrują tomik wierszy *Dlaczego ogórek nie śpiewa* (2003). Ponadto brałem udział w uroczystym otwarciu, opracowanej plastycznie przez Jarosława Kiliana, wystawy poświęconej Gałczyńskiemu w warszawskim Muzeum Literatury (lato 2003). Nieco wcześniej wraz z panią Kirą i prof. A. Kulawikiem współuczestniczyłem w przygotowanym w neapolitańskim Uniwersytecie „Orientalnym" (23-24 maja 2003), przez prof. Jolantę Żurawską sympozjonie naukowym, którego literaturoznawczy dorobek

utrwaliła książka *Gałczyński po latach* (Neapol 2004); wyjątkowość tej podróży opisałem w „Konspekcie" i tutaj też zamieściłem wywiad z córką poety pt. *Dom otwarty państwa Gałczyńskich* (2003, nr 16/17).

Wreszcie, w dniach 3-5 grudnia nasza Uczelnia gościła bez mała sześćdziesięciu referentów (32 profesorów, 16 doktorów, 8 doktorantów) z kraju i zagranicy, uczestników Międzynarodowej Konferencji Naukowej *Dzieło i życie K. I. Gałczyńskiego,* która odbyła się - pod honorowym patronatem Kiry Gałczyńskiej - jako najważniejsze wydarzenie intelektualne Roku Gałczyńskiego, a także największa historycznoliteracka debata w dziejach gałczyńskologii; wielu jej uczestników twórczość pisarza odczytało na nowo. Odkrywczy i ciekawy plon badawczy tej sesji ukaże się drukiem pod redakcją prof. A. Kulawika i autora niniejszego sprawozdania na jesieni tego roku. Zanim więc to nastąpi, warto sięgnąć po *Maga w kapeluszu,* bo tutaj znajdziemy także nowe i ciekawe odczytania jego wierszy i poematów, a nawet - Witolda Sadowskiego - zajmujące uwagi o graficzno-przestrzennych aspektach jego wersyfikacji.

Teksty Gałczyńskiego składają się ze słów poety, a po części z elementów cytowanych, naśladowanych, powtórzeń jakichś wyrazów, pojęć, symboli, wypowiedzeń, imion własnych, postaci (lub ich atrybutów), motywów, tematów, krótko mówiąc: wszelkich rozpoznawalnych (swoiście estetycznie przetworzonych i artystycznie wyzyskanych) nawiązań do tradycji literackiej. Obecność tej cudzej mowy, zapożyczeń, cytatów, słowem jakichś pierwowzorów poetyckich, ustala badacz, odpowiednio kwalifikując dany zabieg międzytekstowy, jako zapożyczenie, stylizację, parodię, imitację, pastisz, reminiscencję, parafrazę, aluzję literacką itd. Rzecz jasna rozpoznania tego „ciała obcego", ornamentu, ozdobnika, echa myśli, może dokonać tylko znawca poezji polskiej od Kochanowskiego do Staffa, historyk piśmiennictwa polskiego i zarazem komparatysta, biegły w arkanach literatur obcych: greckiej, łacińskiej, angielskiej, francuskiej, niemieckiej, rosyjskiej, bo tyloma językami biegle władał Gałczyński, a przecież, jak wiemy, dobrze zżyty z kulturą włoską, chętnie sięgał także do Dantego. Czy ktoś jest w stanie ogarnąć owo morze zjawisk językowych, postaci, motywów, tematów i form literackich, na jakie składa się siedem, osiem - nie licząc własnej - wzajemnie w czasoprzestrzeni kilku tysięcy lat przenikających się literatur (Horacy, Kochanowski, Szekspir, Goethe, Mickiewicz, Norwid), oddziałujących na kilkudziesięciu poetów współczesnych (Elliot, Rilke, Jesienin, Trakl), którzy również służyć mogli własnym słowem i inspirować Gałczyńskiego. Czy dzisiaj - w epoce rozumu praktycznego - można wejść na tę samą komparatystyczną drogę, po której tak swobodnie do historii wielkiej humanistyki przeszli Jacob Burckhardt, Johan Huizinga, Ernst Robert Curtius, by wspomnieć uczonych porównawczo badających międzynarodowe związki kulturowe i literackie na przestrzeni wieków? Wejść można, wszak pod warunkiem, że taką potrzebę intertekstualnej analizy i interpretacji stwarza sam pisarz, i jeśli odpowiedzią na tę potrzebę mogą być multikulturowe kompetencje badacza. Zwłaszcza, że kwestia Europy, tak w konsekwencji badawczo zaniedbana - jak tego dokazał Tomasz Wójcik, ten stan rzeczy w swoim artykule zmieniając *in concreto* - nieustannie obecna była w liryce poety jako mit, rys autobiografii, motyw kulturowo-geograficzny (Bruksela, Paryż, Notre-Dame etc). Jednak z powodu nazbyt mechanicznych, ahistorycznych analiz niektórych symboli topograficznych, postaci i wątków, interpretacje ich funkcji ideowo-artystycznych stają się mocno wątpliwe (np. *Jak Lechoń chciał zostać laureatem w Paryżu)*, co potwierdzają artykuły podejmujące kwestie europejskich związków literackich.

Takie komparatystyczne wyzwanie, rzucone przez dzieło Gałczyńskiego, podjął w swoim subtelnym i przenikliwym szkicu Andrzej Lam, który zlokalizowawszy rozpoznane przez siebie parodie, parafrazy i inkrustacje doszedł do przekonania, że:

„W skali poezji XX wieku Gałczyński okazuje się szafarzem i odnowicielem języka o takim znaczeniu, jakie przypisuje się Gombrowiczowi w prozie. Język zostaje tu postawiony w stan podejrzenia, jest wypróbowywany w sytuacjach skrajnych, zarówno prześmiewczych, jak i wysoko lirycznych. Jest kon-

frontowany zarówno z tradycją, jak z mową potoczną, z żargonem środowiskowym i z idiomami politycznymi [...] Angażuje czytelnika bezpośrednio, krótkim spięciem, nagłym wyzwoleniem humoru i wzruszenia, zręcznością i inteligencją" (s. 12).

Jakże to zasłużona pochwała autora poetyckiego przekładu słów chóru z końcowej części IX symfonii Beethovena, zaczerpniętych z ody Schillera *Do Radości,* pochwała pisarza, dla której dalsze dowody - o wybitności jego poezji - zgromadził Jakub Z. Lichański w głębokim, erudycyjnym studium komparatystycznym poświęconym *Niobe.* Mistrzowska monografia poematu, oparta na metodzie wnikliwej analizy retorycznej, pozwalającej na weryfikację utartych osądów historycznoliterackich dowiodła, że Gałczyński, nawet w dramatycznych latach stalinowskiej opresji, pozostał wierny wartościom wielkiej tradycji klasyczno-humanistycznej (Horacy, Owidiusz), co paszkwilanckie uwagi Miłosza w *Zniewolonym umyśle* czyni jeszcze bardziej kuriozalnymi. Czyni te pamfletowe opinie kuriozalnymi także dlatego, że Miłosz, stale będący pod presją realistycznego myślenia mimetycznego, zupełnie nie miał wyczucia i zrozumienia dla groteski, jej poetyki, stylu, estetyki, bogatego repertuaru funkcji pozaliterackich. Tymczasem wszystkie te wartości i właściwości językowo-estetyczno-poetyckie, których brawurową analizę i interpretację (apologię) teoretyczno-historycznoliteracką przeprowadził w swoim studium poetyki Edward Kasperski, przygotowywały grunt postmodernizmowi, więc Gałczyński mógłby uchodzić za jednego z jego ojców założycieli. Na uwagę, że groteska przekazywała znaczenia, jakie poetę mogły przerastać, i których nie musiał być świadom, odpowiedzią może być artykuł Hanny Gosk; badaczka wpadła na znakomity pomysł konfrontacji „Wielkiej Historii" z „historiami nie z tej ziemi" prezentowanymi w *Zielonych Gęsiach* i przeanalizowała zawarte w nich dyskursywne znaczenia, które mogły się odnosić do historiograficznych opowieści interpretacyjnych na temat rzeczywistości pozaliterackiej. Te dyskursywne quasi-opowieści o historii, w wykonaniu prof. Bączyńskiego, Grzegżółki, Hermenegildy, i innych bohaterów „najmniejszego teatrzyku świata" dowodzą, że Gałczyński potraktował nieciągłość, dyferencjację jako zasadę operacyjną historii, a więc proponował hermeneutykę idącą pod prąd holistyczno-realistycznej historiografii marksistowskiej (owo ironiczne: „I wszystko będzie cacy" z *Xsięcia Poniatowskiego ze stemplem 1946).* Więc nie propagandowy konformizm, jak tego chcieliby W. P. Szymański i J. Trznadel, którzy sklonowali tezy *Zniewolonego umysłu,* a historiograficzny nonkonformizm, opowiadanie w historiach nie z tej ziemi o tym, czego nie można zmienić. Dopowiedzmy od siebie, że w historiozofii Gałczyński do końca pozostał personalistą chrześcijańskim.

Autor *Balu u Salomona* nie tylko swobodnie panował nad stylami i konwencjami w obrębie całej poezji - od antyku po współczesność - i potrafił je mistrzowsko ożywiać przez inkrustacje, grecyzmy, latynizmy, parodie, parafrazy, nie tylko ostentacyjnie demonstrował swe upodobania do form osobliwych, ekscentrycznych, wyolbrzymionych i zdeformowanych, łączył skłócone wzorce stylowe, mieszał pierwiastki tragiczne z komicznymi, mowę wysoką z niską, parodiował konwencje literackie, wprowadzał sprzeczne porządki motywacyjne, nie tylko z upodobaniem, fantazją i swobodą wyobraźni podchwytywał i przedrzeźniał cudzą mowę, co w efekcie prowadziło do prowokacyjnego nastawienia wobec zdroworozsądkowej wizji świata, ale - jak w znakomitym eseju poświęconym jego poetyckiej dykcji dowodzi Mieczysław Dąbrowski - zderzając różne rejestry mowy i języków, ów polilog, podobnie jak swój własny język, potrafił postawić w stan podejrzenia, co jest przecież filozoficzno-literackim mechanizmem nowocześnie stosowanej ironii. Mowa ironiczna stale upomina się o intelektualną aktywność odbiorcy, daje mu możliwość uczestniczenia w wytwarzaniu znaczeń, i właśnie to, zdaniem autora *Dekadentyzmu współczesnego,* czyni Gałczyńskiego poetą nowoczesnym i współczesnym.

A także, jak rzetelnie starał się to udokumentować w swoim artykule o krytycznoliterackiej recepcji jego twórczości w PRL-u Stanisław Siekierski, potępianym przez znawców i kochanym przez czytelników. Natomiast w świetle faktów przedstawionych przez

Andrieja Bazylewskiego opinię poety lubianego przez publiczność i poetów oraz cenionego przez badaczy zyskał Gałczyński w Rosji, gdzie jego wiersze przekładał sam Josif Brodski, a ostatnio ukazał się największy wybór tekstów *Farlandia, czyli Podróż do Ciemnogrodu* (Moskwa 2004). Niech pani Kira, za podarowanie tej książki z własnoręczną dedykacją, zechce od piszącego te słowa - raz jeszcze - przyjąć serdeczne podziękowanie i zapewnienie, że zostanie ona przeczytana w oryginale, bo oryginał ten potwierdza, że również w ojczyźnie Jesienina lubią poetę o gorącym sercu. Napisałem „również", ale to słowo ma dzisiaj nieco inny sens, niż kilka czy kilkanaście lat temu, co potwierdza ciekawy sondaż recepcyjny Anny Krystoszyk na temat poczytności Gałczyńskiego w szkole, poczytności, o której decyduje zniesmaczona poezją młodzież odrzucająca wszystko, co wymaga intelektualnego wysiłku. Swą pracę autorka kończy jednak pochlebną oceną *Rozmowy lirycznej,* wypowiedzianą przez ucznia klasy pierwszej: „Myślę, że gdyby ktoś powiedział mi takie słowa, na pewno uwierzyłbym w miłość". Myślę, że jeśli polonistka, która ma w klasie prawie samych Gałkiewiczów (patrz *Ferdydurke),* swój artykuł kończy takim optymistycznym przykładem, dodaje otuchy wszystkim.

Podobnie, jak we wcześniejszym tomie *Gałczyński po latach,* w książce *Mag w kapeluszu* znajdziemy studia ugruntowujące swoisty przełom w gałczyńskologii (J. Z. Lichański, E. Kasperski, M. Dąbrówki, H. Gosk), przełom, którego literaturoznawczy kierunek wyznaczały wcześniejsze prace M. Wyki, A. Drawicza, M. Piwińskiej, nieco późniejsze M. Baranowskiej, A. Lama, A. Z. Makowieckiego, a zwłaszcza, co *ad oculos* potwierdzają recenzowane teksty, i co jest kwiatkiem do ogródka naszej własnej polonistyki, A. Kulawika, badacza poetyki analitycznie ceniącego sobie intencje autora i konteksty interpretacji. Wprawdzie w studiach literackich nadal obowiązuje paradygmat ergocentryczny, ale wiele nowych wątków humanistycznych, jakie pojawiają się w rozprawach literaturoznawczych (powrót do podmiotu), nie tylko gałczyńskologicznych, dowodzi, iż przynajmniej zdajemy sobie sprawę z wagi poszczególnych alternatyw, stale walczących o nasze uznanie.

Kiedy kończyłem tę pożyteczną, nie tylko dla profesjonalisty, lekturę *Maga w cylindrze,* uświadomiłem sobie, że stawiając w nagłówku recenzji tytuł przeczytanego zbioru, mógłbym alternatywnie uzupełnić go o słowo „kapelusz", które skojarzyłem z jeszcze innym zdjęciem poety, jakie szybko odnalazłem we wspomnianej książce biograficznej córki pisarza pt. *Gałczyński.* Fotografia ta pochodzi z roku 1929: Zbigniew Uniłowski i Gałczyński, dwaj eleganccy panowie literaci, nadzieja piśmiennictwa polskiego, sfotografowani na ulicy Mazowieckiej w Warszawie, idą z zawadiackimi minami, w najmodniejszych płaszczach i kapeluszach, z laseczkami w dłoni, być może do redakcji „Kwadrygi" lub „Cyrulika Warszawskiego", pism, w których zamieszczali wówczas swoje najlepsze utwory oraz teksty satyryczne. Ten kapelusz to symbol elegancji, ale także pewności siebie, zawadiackiej pozy, w jakiej uchwyciło młodych pisarzy oko aparatu. Z taką pewnością siebie, wraz z Gombrowiczem, Czechowiczem, Miłoszem, weszli do literatury swego pokolenia i poszli dalej przez całą epokę XX w. W noszeniu tego kapelusza dostrzegam jakąś zawadiacką zadziorność młodego buntownika, którą potwierdzają jego łotrzykowskie satyry i niepokorne wiersze, z jakimż znawstwem analizowane i subtelnością interpretowane przez wspomnianych autorów książki, jaką z satysfakcją czytam. Widzę wówczas „słodkiego szarlatana" Gałczyńskiego w staromodnym kapeluszu, z tym postmodernistycznym gestem przekory, jak rozpoczyna swój długi marsz przez historię literatury (w dziele „poezja magiczna") i nieangelologiczną kulturę XXI wieku.

Mag w cylindrze. O pisarstwie K. I. Gałczyńskiego. Pod redakcją Juliana Rohozińskiego. Wyższa Szkoła Humanistyczna imienia Aleksandra Gieysztora w Pułtusku. Pułtusk 2004.

Jerzy Ossowski

* Autor recenzji przygotowuje do druku książki: *Śmiech i płacz Gałczyńskiego* oraz *Herbert czytający Gałczyńskiego*, które ukażą się w roku 2005, roku stulecia urodzin poety. [Redakcja]

Bal na Kremlu

Ambasadorskie gwiazdy, gorsy
I cała Moskwa dama kier
Za sto tysięcy carskiej forsy
wydaje bal Z. S. R. R.

Rechocą żonki komisarzy,
Strojne w paryskie, drogie kiecki
Krasnoarmiejców stu na straży
murem osłania bal sowiecki.

Jak to się zwija i rozwija
w górę i w dół, w skos i w bok
Jak syczy ta czerwona żmija
i jak zabija i jak wpija
W Europę wygłodniały wzrok!

Szarfy i Lwy i komandorie
Czerwony przyszły świetnić bal,
I zjawy i fantasmagorie
(Oto jak tańczy się historię!)
pośród złoconych tańczą sal.

Wtem strajk wybuchnął generalny,
- Czekiści doo mnie! Co się stało?
Rząd lamp zagasnął triumfalny,
I księżyc, ten Pierrot pieczalny
Scenę oświetla niebywałą...

Ildefonso
[Konstanty Ildefons Gałczyński]
„Cyrulik Warszawski" 1929, nr 52, s. 8

Redakcja składa podziękowania panu Jerzemu Ossowskiemu za udostępnienie niepublikowanego wcześniej wiersza K.I. Gałczyńskiego *Bal na Kremlu*

Małgorzata Chrobak

Tadeusza E. Witkiewicza *Niezwykłe ksiąg miłowanie*

„Pomimo pokrewieństwa z Witkacym, Tadeusz Witkiewicz jest pod każdym względem przeciwieństwem Witkacego; samym już choćby życiem – smutnym, samotnym, martwym. Jednakże widzę i pewne podobieństwa – choćby ostrość i, powiedziałbym, jadowitość widzenia bliska Witkacemu" – powyższy portret psychologiczny, nakreślony ręką Stanisława Czycza, poprzedzał debiutancki tom poezji Tadeusza E. Witkiewicza zatytułowany „Półmroczne oprawy mijania". Poetyckie poszukiwania współbrzmiały z niezwykle szerokimi zainteresowaniami wybitnego bibliofila, społecznika od dziecka związanego z Krakowem, Tadeusza Eugeniusza Witkiewicza. Ów Wielki Mistrz Zakonu Bibliofilskiego umiłowanie ksiąg zawdzięczał ojcu, Kazimierzowi Witkiewiczowi, pomysłodawcy unikalnego na skalę europejską przedsięwzięcia, zwanego Rycerskim Zakonem Bibliofilskim wraz z Kapitułą Orderu Białego Kruka. Odznaczenie trafiało do rąk admiratorów sztuki edytorskiej do 1963 r., czyli do momentu zawieszenia działalności Zakonu

Za sprawą Witkiewicza syna udało się jednak, u progu lat dziewięćdziesiątych, przywrócić do życia ideę orderu i „rycerskiej pieczy" nad słowem drukowanym. Literackie pasje, długo skrywane przed światem, dzielił z członkami krakowskiej grupy „Gronie", będącej notabene Oddziałem Towarzystwa Miłośników Ziemi Żywieckiej w Żywcu. Koligacje rodzinne uczyniły zeń wreszcie niestrudzonego witkacologa, który z jadowitością godną wielkiego krewniaka demaskował wszelkie nadużycia popełniane na legendzie twórcy teorii Czystej Formy. Warto w tym miejscu przypomnieć kuriozalne „laurki" ku czci „demonicznego filuta", tak przed wojną nazwał autora *Nienasycenia* Adam Grzymała - Siedlecki, masowo produkowane podczas pamiętnego Roku Witkiewiczowskiego, czy też absurdalne okoliczności kolejnych pogrzebów, zaskakujące analogią do irracjonalnych zwrotów akcji w jego dramatach. Witkiewicz - wieloletni tropiciel śladów sławnego kuzyna, zdaje się nie zapominać słów wypo-

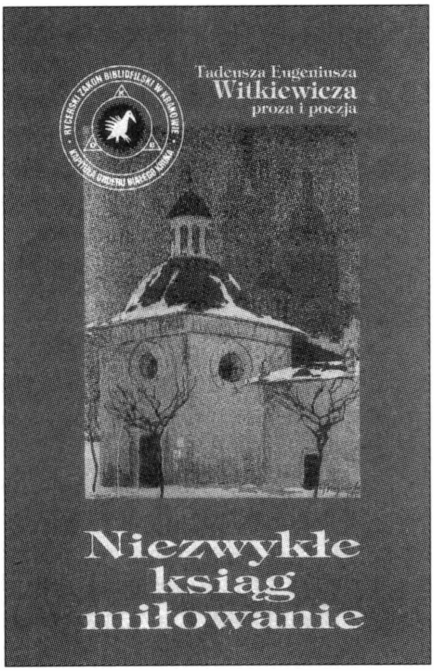

wiedzianych mimochodem w komentarzu do Czystej Formy w teatrze: „Zastanówmy się nad trupem podniesionym do kwadratu, sześcianu lub n-tej potęgi. Trup może być w życiu tylko trupem".

Niezwykłe ksiąg miłowanie prezentuje ułamek prozatorskiej i lirycznej spuścizny Wielkiego Mistrza Zakonu Bibliofilskiego, zmarłego w 2001 r. Wydana staraniem żony, przyjaciół, przy wydatnej pomocy Wydawnictwa Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum", publikacja stanowi swoisty hołd złożony niezwykłemu człowiekowi, oddanemu bibliofilskiej pasji, utalentowanemu poecie. Jej tetralogiczny układ: *Bibliofil - Witkacolog - Krakowianin - Poeta*, odpowiada najważniejszym rozdziałom życia T. E. Witkiewicza. Zebrano tutaj szkice, polemiki i cracoviana drukowane na łamach „Dziennika Polskiego", „Gazety Krakowskiej", „Miesięcznika Literackiego", „Echa Krakowa". Wyłania się z nich obraz energicznego animatora kultury, rozmiłowanego w podwawelskim krajobrazie. To dzięki wieloletnim staraniom Witkiewicza udało się przywrócić Krakowowi Gniazdo Białego Kruka z siedzibą przy ulicy Smoleńsk 9, jak również powołać do życia tradycję tzw. „Imienin Książki", czyli cyklicznych spotkań członków Rzeczpospolitej Bibliofilskiej. Mobilizacji do działania, co niejednokrotnie akcentuje w swych wypowiedziach, dostarczał mu szacunek i pamięć o bibliofilskich zasługach ojca, profesora Kazimierza Witkiewicza. Poznajemy wreszcie bohatera *Niezwykłego ksiąg miłowania* jako konesera i kolekcjonera ekslibrisów - odręcznych znaków identyfikujących właściciela książki, w tym graficznych miniatur autorstwa Witkacego.

Niezwykłe ksiąg miłowanie. Tadeusza E. Witkiewicza poezja i proza,
red. R. Landowski, Bernardinum, Pelplin 2002, 262 s.

Lwia część liryków Witkiewicza, na co zwrócił uwagę S. Czycz, powstała niejako przy okazji pisania listów, jako ich dopełnienie bądź rodzaj lirycznego postscriptum. Natchnienia dostarczał często adresat i jednocześnie „słuchacz" utworu. Ten szczególny rodzaj komunikowania się z odbiorcą wynikał z ogromnej nieśmiałości twórczej, był również przez dłuższy czas jedyną formą edycji utworów poetyckich Witkiewicza. Wiersze: *Szukanie*, *Aleja umierania*, *To było wczoraj*, *Drogeria Wszystkich Świętych*, *Cmentarz na Salwatorze*, zamieszczone pierwotnie w debiutanckich tomie *Półmroczne oprawy mijania* (1973), znalazły się w tym wyborze nieprzypadkowo. Znamionują one bowiem powracający obsesyjnie w twórczości Witkiewicza motyw nekropoli oraz cmentarnej celebry. Jego bohater liryczny penetruje krakowskie cmentarze na Salwatorze i Rakowicach, „uczy się śmierci", dotyka nagrobków i krzyży, by poznać ich „właścicieli" albo może odtworzyć to, co było wczoraj.

W utworze *Cmentarz na Salwatorze* czytamy:

„Krzyże zamkniętego horyzontu
Zmarły - wysoki, szczupły, siwy,
ciało reprezentowane czarnym
garniturem - trzyma pod
prawą pachą książkę w oprawie
z roku 1970 [...]"

Odejściu żywych towarzyszy u Witkiewicza umieranie przedmiotów. Wspomniane utwory utrzymane są w formie niezwykłych litanii „niegdyś modnych" kapeluszy, walizek „o kształtach wytworzonych przez wiekową tradycję", butonierek czy krawatów. Siłę poetyckiego wyrazu potęguje obecność groteskowo ujętych obrazów ostatnich pożegnań, podczas których znajomi uczą się płakać, a zwłoki nieboszczyka „musują przykrym zapachem". Oswajanie śmierci to nie jedyny temat lirycznych rozważań bohatera *Niezwykłego ksiąg miłowania*. Witkiewiczowskie *memento mori* współbrzmi z pragnieniem powrotu do natury, fascynuje się zarówno jej żywotnością, jak i naturą w stanie rozkładu, skazaną na powolne gnicie. Wędrując poetycką *Aleją umierania*, rodzi się jednakże refleksja -

natura horret vacuum. Próżnię, w której porusza się „ja liryczne" z kilku utworów Witkiewicza, wypełnia właśnie przekonanie o istnieniu odwiecznego ładu - gwaranta spokoju. Tego antidotum poszukuje w wierszu *Gdzie jest mój kościół?* - chwilowego ukojenia dostarczyć mogą Słowa Boże.

Obok mrocznych i posępnych utworów, przywołujących na myśl tradycje poetyckiego katastrofizmu, napotykamy subtelne i pełne ciepła wiersze - listy, adresowane do żony Urszuli. Tym razem liryczny bohater rozkoszuje się chwilą bycia razem z ukochaną, chroni intymną przestrzeń „wspólnej jedności". „Z dwojga naszych sylwetek nie ma już dwóch cieni" zdradza w wierszu *Tak Jest*... Nieustannie zaskakuje nas równocześnie dojrzałość witkiewiczowskiej metafory, rodowodu której szukać należy niewątpliwie u jej awangardowych mistrzów. Na potwierdzenie warto przywołać fragment lirycznego wyznania *Patrzę przez okno*, jego preludium bowiem inicjuje ciąg metaforycznych skojarzeń:

„Brzoza zastrzelona przez śnieg
nie ma już potrzeby
rozmawiać ze mną
swoimi gałęziami [...]"

Poeta, Tadeusz Witkiewicz inspiracje czerpał także z modernistycznych źródeł, czego najlepszym dowodem są utwory *A teraz myślę o twojej chałupie* z tomu *Półmroczne oprawy mijania*, czy też szczególny obrazek *Chałupa wiejska wczesnym rankiem*. Młodopolski kostium jest jednak tylko pretekstem, finał wiejskich sielanek odbiera nam poczucie pierwotnego bezpieczeństwa, poetycka malowanka brzmi złowróżbnie w swej ostatecznej wymowie.

Liryczna spuścizna pełna jest - czemu dziwić się nie można - wielkiej admiracji Witkiewicza do rodzinnego gniazda. Krakowski pejzaż wyłania się z przywoływanych już „cmentarnych wędrówek" poety, a także z wielu felietonów i szkiców Wielkiego Mistrza. Na witkiewiczowskiej mapie królewskiego miasta zaznaczono kamienice Podgórza, most na Wiśle, Salwator i Las Wolski, kościoły i kaplice. Rekonstruuje doskonale znane sobie miejsca, notuje dźwięki i zapachy ulic. Pasjonująca okazuje się lektura, przedrukowanych w omawianej publikacji artykułów, poświęconych Jamie Michalika czy zielonobalonikowych tradycji. Ujawnia w nich nie tylko doskonałą znajomość historii krakowskiej bohemy, ale jednocześnie umiejętność barwnego opowiadania losów znanych bywalców jaskini polskiego modernizmu. Witkiewicz z detektywistycznym zapałem odcyfrowuje każdy szczegół z biografii miasta i jego mieszkańców.

Bibliofil - Witkacolog - Krakowianin - Poeta, Tadeusz E. Witkiewicz pozostanie na widocznym miejscu Krakowa, parafrazując tytuł jednego z jego szkiców. Bohater *Niezwykłego ksiąg miłowania* w jednym z nielicznych autoportretów ujawnił:

„Jestem bratem szlachetnego nałogu - realizowania ambicji, która stwarza nadzieję, że możemy być bogaci, szczęśliwi, uznawani i cenieni! Kto szuka uzasadnionej sławy - ma prawo wierzyć, iż stanie się Napoleonem w swojej dziedzinie".

Małgorzata Chrobak

Artur Jachna

Nowe źródło do dziejów gospodarczych Drugiej Rzeczypospolitej w opracowaniu naukowym Jerzego Gołębiowskiego

Sytuacji gospodarczej Polski w okresie międzywojennym poświęcono do tej pory niejedną książkę. Ukazały się na ten temat setki różnych artykułów i rozpraw. Ich autorami byli nie tylko historycy, ale również prawnicy i ekonomiści. Są to jednak pozycje o charakterze rozpraw monograficznych lub przyczynków do dziejów omawianej epoki. Zdecydowanie rzadziej wydawano źródła archiwalne, a przecież ich wartość dla nauki nierzadko jest większa niż duża część publikacji autorskich.

Na rynku księgarskim ukazała się właśnie pozycja pt. *Kapitał państwowy w spółkach prawa handlowego u schyłku Drugiej Rzeczypospolitej*. Poprzedził ją wstępem i opracował Jerzy Gołębiowski. Tytuł ten opublikowało Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie. Celem niniejszej edycji źródłowej było upowszechnienie mało znanego, a cennego dla dalszych badań nad etatyzmem w Drugiej Rzeczypospolitej, dokumentu przechowywanego w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie pod Warszawą.

nie zaś na problemie udziału sektora państwowego w ustroju ekonomicznym Polski przed wybuchem II wojny światowej. Autor wstępu do omawianej pozycji archiwalnej jest zarazem autorem licznych publikacji, w tym czterech o charakterze monograficznym, a także wielu artykułów i recenzji polemicznych w prestiżowych periodykach specjalistycznych oraz prac redakcyjnych i współautorskich. Znaczący jakościowo dorobek w zakresie piśmienniczym idzie w parze z niesłabnącym zacięciem dydaktycznym.

Podjęcie pracy nad przygotowaniem do wydania omawianego sprawozdania, nie jest więc przypadkiem, lecz konsekwencją przed laty obranej specjalizacji zawodowej. Jerzy Gołębiowski wykorzystywał już wspomniane źródło, teraz jednak postanowił upublicznić je również i dla tych, którzy z takich czy innych względów nie skorzystaliby z oryginału dokumentu. Właśnie o oryginale pisze we wstępie. Opisuje jego zawartość, wskazuje możliwości dalszych badań z jego użyciem. Ponadto prostuje

Kapitał państwowy w spółkach prawa handlowego u schyłku Drugiej Rzeczypospolitej. Szczegółowe sprawozdanie z działalności przedsiębiorstw o kapitale mieszanym za rok 1937 wzgl. 1937/1938.

Wstęp i opracowanie Jerzy Gołębiowski, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2004

Mozolnej pracy edytorskiej podjął się tutaj wybitny znawca tematu Jerzy Gołębiowski, krakowski historyk, od lat konsekwentnie skupiający swe zainteresowania naukowe na dziejach społeczno-gospodarczych Drugiej Rzeczypospolitej, szczegól-

nieścisłości i omyłki, które znalazły się w tekście dokumentu. Wyjaśnienia te były konieczne, gdyż autor nie chciał ingerować w oryginalną strukturę graficzną źródła. Jedyne zmiany, na które sobie pozwolił, mają charakter kosmetyczny. Korekty w pisowni, in-

terpunkcji oraz konieczne wytłuszczenia w druku zostały dokonane tylko dla wygody współczesnego czytelnika. Właściwy tekst sprawozdania poprzedził badacz dwudziestoczterostronicową rozprawą pt. *Spółki prawa handlowego w sektorze przedsiębiorstw państwowych w okresie Drugiej Rzeczypospolitej*. Z powodzeniem mogłaby ona stanowić samodzielny artykuł w czasopiśmie naukowym i to nie tylko ze względu na wyposażenie jej w bardzo rozbudowany aparat badawczy. Uważam, że bez gruntownego przestudiowania tego opracowania lektura kolejnych stronic omawianej książki nie będzie w pełni owocna dla czytelnika. Nie można bowiem w pełni poznać i prawidłowo zrozumieć zaprezentowanego materiału źródłowego bez pomocy eksperta. Jerzy Gołębiowski omówił w tej rozprawie podstawy organizacyjno-prawne przedsiębiorstw państwowych oraz starał się wyjaśnić genezę rozwoju spółek prawa handlowego, jako korzystnej formy organizacji kapitału państwowego. Czytając te wyjaśnienia, można zapoznać się z istotą stosunków własnościowych opisanych w sprawozdaniu przedsiębiorstw. Historyk udowodnił, że powiększenia kapitałowe, mające na celu uzyskanie przez państwo pakietu większościowego, nie były zjawiskiem odosobnionym w ówczesnej praktyce gospodarczej. Świadczyły o tendencjach zmierzających do stopniowego upaństwowienia przedsiębiorstw mieszanych, w których przewagę miał dotychczas kapitał prywatny. Autor użył we wstępie i rozprawie na temat spółek prawa handlowego przypisów, które spełniają w moim odczuciu rolę wykazu źródeł i opracowań w zakresie omawianej problematyki. Są to cenne wskazówki bibliograficzne, szczególnie dla młodych badaczy. Co ważne, zaprezentowano tutaj nie tylko odnośniki do opracowań ogólnych i syntez, ale i źródeł archiwalnych oraz drukowanych. Na uwagę zasługuje również przejrzysty, chociaż miejscami zwarty tok rozumowania, podany w bardzo ładnej polszczyźnie, co bez wątpienia ułatwia czytelnikowi – nawet nie nawykłemu do lektury dzieł z zakresu problematyki historii ekonomicznej – śledzenie myśli badacza. Sprawność językowa jest zresztą stałym wyróżnikiem prac naukowych Jerzego Gołębiowskiego.

Właściwy tekst źródła oddzielony jest od omówienia roli spółek prawa handlowego w sektorze państwowym ówczesnej gospodarki polskiej kopiami maszynopisu strony tytułowej i spisu treści. Dzięki temu zabiegowi wydawniczemu, czytelnik ma możliwość porównania estetycznego pomiędzy wizerunkiem fragmentu oryginału a prezentowaną edycją. Samo sprawozdanie składa się z dwóch części, „zbiorczej" lub, inaczej ujmując, ogólnej oraz sprawozdań poszczególnych przedsiębiorstw. Zakłady zostały podzielone na dwanaście grup, tj.: wojskową, elektryfikacyjną, chemiczną, naftową, morską, komunikacyjną, górniczą, rolniczą, gdańską, różnych przedsiębiorstw, bankową i kolei lokalnych. Ogółem wydawnictwo zawiera informacje o około 449 przedsiębiorstwach, zakładach przemysłowych, handlowych i organizacjach gospodarczych. Tekst uzupełniony jest licznymi tabelami. Praca zawiera ponadto wykaz skrótów oraz indeksy nazwisk oraz przedsiębiorstw, zakładów przemysłowych, handlowych i organizacji gospodarczych.

Bardzo dobrze się stało, że nad materiałem tym pochylił się właśnie Jerzy Gołębiowski. Któż inny mógłby w pełniejszy sposób podołać tej pracy? Pochwały godna jest nie tylko idea wydania tej właśnie spuścizny źródłowej, ale i forma, jaka ostatecznie trafiła do rąk czytelników. Opracowanie jest przejrzyste pod względem konstrukcyjnym. Ma ogromną rolę poznawczą. Reasumując, muszę stwierdzić, że recenzowana publikacja stanowi istotny wkład w rozwój badań nad dziejami gospodarczymi Drugiej Rzeczypospolitej. Tematyka jej sprawia zaś, że powinna zainteresować nie tylko wąskie grono historyków gospodarczych zajmujących się historią najnowszą, lecz również wszystkich tych, którzy chcą poznać, jak znaczną i pozytywną rolę odgrywały przedsiębiorstwa państwowe w Polsce przed wybuchem II wojny światowej.

Artur Jachna

Dydaktyka w Drugiej Rzeczypospolitej

Violetta Rodak w swoim opracowaniu porusza następujące zagadnienia, na których opiera też konstrukcję merytoryczną książki: warunki funkcjonowania polskiej dydaktyki jako dyscypliny w okresie międzywojennym; cele kształcenia w polskiej dydaktyce w latach 1918-1939 - poglądy, zmiany i ich wieloaspektowe uwarunkowania; cele kształcenia w II Rzeczypospolitej - źródło inspiracji dla współczesnej polskiej dydaktyki. Wyodrębnione obszary są konsekwencją przyjętych przez autorkę dwóch podstawowych celów, a mianowicie działania zmierzającego do zrekonstruowania celów kształcenia, formułowanych na gruncie dydaktyki jako dyscypliny opartej na podstawowych założeniach pedagogiki herbartowskiej, pragmatycznej i kultury (okresu międzywojennego) oraz do wykazania inspirującego wpływu dla współczesnej dydaktyki i celów kształcenia, formułowanych na gruncie tejże dyscypliny w latach 1918-1939.

Violetta Rodak, *Cele kształcenia w dydaktyce Drugiej Rzeczypospolitej*, Katowice 2003

Książka *Cele kształcenia w dydaktyce Drugiej Rzeczypospolitej* w zasadzie skupia się na analizie ówczesnych tekstów pedagogicznych - wydawanych w okresie międzywojennym, jak i w czasach późniejszych. Autorka posiłkowała się także licznymi pracami dotyczącymi ówczesnego stanu polskiej dydaktyki ogólnej.

W rozdziale pierwszym V. Rodak analizuje wpływ stosunków ekonomiczno-społeczno-politycznych i ideologicznych na ogólną sytuację w nauce i dydaktyce. Powiela przy tym ustalenia już dość powszechne, wspominając, że ideał wychowawczy oraz rozwój nauki polskiej zależał od ideologii klas czy też - jak chce autorka - grup społecznych, które w latach 1918-1939 sprawowały władzę. I tak w okresie do 1926 r. w ideale wychowania dominowała „idea narodu, interpretowana z różnych pozycji klasowych jej przedstawicieli" (s. 17), a od zamachu majowego pojawia się koncepcja wychowania - najpierw solidarystyczno-państwowego, a potem obywatelsko-narodowego (s. 17-24). Oczywistością jest również stwierdzenie autorki, że ustawy i statuty wyższych szkół, a także ich polityka kadrowa, decydowały o możliwościach rozwojowych różnych dyscyplin (s. 25).

Kolejną kwestią rozpatrywaną w I rozdziale jest wpływ nauk o wychowaniu i ich rozwoju na kształtowanie się dydaktyki jako dyscypliny naukowej. Autorka zajmuje się tu rolą, jaką w tworzeniu koncepcji wychowania i nauczania odgrywała psychologia. Słusznie zauważa, że z ustaleń polskiej psychologii - jako uniwersyteckiej dyscypliny naukowej - korzystała pedagogika, a także dydaktyka. W podobnym kontekście naukowym (pojęciowym i teoretycznym) kształtowały się relacje nauki o nauczaniu i wychowaniu z innymi dyscyplinami humanistycznymi, np. socjologią. Dzięki badaniom socjologicznym polscy dydaktycy zaczęli zauważać ścisłe związki wychowania i nauczania ze stanem materialnym, ideologicznym i moralnym społeczeństwa.

Kształt polskich koncepcji dydaktycznych był uzależniony od siły intelektualnej polskiego środowiska dydaktycznego. V. Rodak twierdzi, że rodzima teoria dydaktyczna i pedagogiczna, w momencie odrodzenia się państwa polskiego, nie stała na zbyt wysokim poziomie. Co było wynikiem słabości organizacyjnej tego środowiska? Dominował w niej po-

gląd, że pedagogika powinna skupiać się na dwóch nurtach badań. Pierwszym miało być eksplorowanie pedagogiki ogólnej, która obejmowałaby również historię wychowania oraz prowadziła badania dydaktyczne, drugim zaś zajmowanie się psychologią eksperymentalną. V. Rodak trafnie zauważa, że budowanie w II Rzeczypospolitej naukowego środowiska polskich pedagogów i dydaktyków „sprzyjało realizacji różnorodnych zadań badawczych oraz zainicjowało powstanie wielu prac dotyczących polskiej teorii pedagogicznej i dydaktycznej" (s. 41).

Główna część pracy V. Rodak poświęcona jest jednak analizie celów kształcenia, formułowanych przez dydaktyków i pedagogów w okresie międzywojennym, a także koncepcji ich tworzenia, podziału i uwarunkowań genetycznych. Zagadnienia te rozpatrywane są w kontekście wspomnianych już założeń pedagogiki: herbartowskiej, pragmatycznej oraz kultury.

Punktem wyjścia jest ustalenie związków pomiędzy ideą pedagogiki Jana Fryderyka Herbarta i koncepcjami polskich pedagogów i dydaktyków. Spośród polskich teoretyków nauczania i wychowania do herbartowskich koncepcji bezpośrednio nawiązywali: A. Danysz, M. Baranowski, Sz. Matusiak, ks. J. T. Peche, ks. W. Kosiński. Zgadzali się oni z podstawowym założeniem pedagogiki Herbarta, iż kształt osobowościowy wychowanka, jego stan intelektualny, zależny jest od czynności nauczyciela. Niezbyt też daleko odchodzili od rozumienia pojęć jego teorii pedagogicznej. V. Rodak stwierdza, że „W ich ujęciu dydaktyka stawała się dyscypliną zorientowaną na treści i czynności nauczyciela, pomijała indywidualne właściwości uczniów, ich zainteresowania, dążenia i sprowadzała aktywność wychowanków jedynie do odbioru materiału nauczania, przyswajania go i utrwalania" (s. 59). Stojąc na tym stanowisku, formułowali cele kształcenia. Według autorki omawianej pracy nie zajmowali jednak w tej kwestii identycznego stanowiska. Zgadzali się odnośnie określenia istoty celów kształcenia, usytuowania ich źródeł w racjonalistycznej i sensualistycznej filozofii, ich podziału na końcowe i etapowe. Zasadnicze różnice pomiędzy nimi dotyczyły bardziej szczegółowych rozstrzygnięć, a mianowicie ustalenia treści końcowego celu wychowania i kształcenia, a także ich hierarchii. Autorka mało przekonywująco stwierdza, że źródłem różnic były indywidualne przekonania religijne dydaktyków, wyznawane przez nich systemy wartości, a także częściowo potrzeby i kierunki życia politycznego, społecznego i kulturalnego państwa polskiego w okresie międzywojennym.

Drugim nurtem pedagogiki, zbadanym przez V. Rodak w kontekście celów kształcenia, jest pedagogika pragmatyczna. Powstała ona na skutek rozbieżności między przeobrażeniami społeczno-gospodarczymi i obyczajowymi przełomu XIX i XX w. a tradycyjnym, tj. herbartowskim, przygotowaniem jednostki do życia w nowych, zmienionych warunkach. Opracowane przez Johna Deweya koncepcje pedagogiczne znalazły uznanie u części polskich pedagogów i dydaktyków (T. Łopuszańskiego i H. Rowida). Polscy zwolennicy Deweya zaakceptowali jego tezę, że wychowania nie można oddzielić od nauczania (podobnie myśleli zwolennicy J. F. Herbarta) i że proces wychowania powinien być czynnością uczenia się przez działanie (czego nie akceptowali pedagodzy stojący na gruncie pedagogiki herbartowskiej). Ta przesłanka sprawiała, że źródło formułowania celów kształcenia widzieli w indywidualnych predyspozycjach wychowanków do działania, które nie tworzyły wszak układu hierarchicznego, a jedynym sposobem ich weryfikacji pozostawało działanie jednostki. V. Rodak zauważa, że dorobek polskiej dydaktyki opartej na pedagogice pragmatycznej stał się dla wielu pedagogów po II wojnie światowej źródłem twórczej inspiracji (s. 85–107).

Trzecim nurtem pedagogiki omówionym przez V. Rodak w kontekście celów kształcenia jest pedagogika kultury, której teoretyczne podwaliny opracował W. Dilthey. Pedagogika kultury widziała ścisły związek pomiędzy osobowością człowieka a wartościami uniwersalnymi, ich przeżywaniem przez jednostkę oraz generowaniem. Proces poznawania, akceptacji i kierowania się w działaniu dobrami kultury „utożsamiano w pedagogice kultury z kształceniem, a jego rezultat z wykształceniem" (s. 115). Czo-

łowymi polskimi pedagogami nawiązującymi do teorii kultury i wartości, także do psychologii humanistycznej w okresie międzywojennym, byli: B. Suchodloski, S. Hessen. B. Nawroczyński. W recenzowanej pracy przedstawione zostały stanowiska S. Hessena i B. Nawroczyńskiego.

Ostatnim fragmentem II rozdziału - poświęconego celom kształcenia w polskiej dydaktyce w II Rzeczypospolitej - jest syntetyczne skonfrontowanie stanowisk polskich dydaktyków wobec tego problemu. Wynika z niego, że problematyka celów kształcenia stanowiła istotne pole badawcze omawianych w pracy V. Rodak gałęzi pedagogiki: herbartowskiej, pragmatycznej i kultury. Stanowiły one ważny etap w rozwoju dydaktyki współczesnej, gdyż, jak okazuje się z ostatniego rozdziału książki, mogą być inspiracją do formułowania współczesnych celów kształcenia.

Pomiędzy poszczególnymi pedagogikami, w odniesieniu do stanowienia celów kształcenia, istniały pewne rozbieżności. Głównie w zakresie ujmowania ich istoty, źródeł, treści, rodzajów, hierarchii i klasyfikacji.

Praca posiada wiele zalet. Niewątpliwie najcenniejszą jest syntetyczne skonfrontowanie koncepcji stanowienia celów kształcenia z różnymi teoriami pedagogicznymi. Jej wadą jest jednak to, że w pracy V. Rodak tak naprawdę trudno jest odnaleźć różnice pomiędzy pedagogiką i dydaktyką. Autorka posługuje się nimi naprzemiennie; w jej narracji, świadomie lub nie, nie widać różnicy pomiędzy wychowaniem a nauczaniem, stąd także w recenzji posłużono się pojęciami wykorzystanymi w omawianej pracy.

Można jednak stwierdzić, że mimo dość powierzchownego potraktowania tematyki celów kształcenia - autorce udało się stworzyć opracowanie, które - jak sama założyła - przyczyni się do „bardziej gruntownego i wnikliwego zrozumienia oraz prawidłowego formułowania przez nauczycieli celów kształcenia, które odgrywają przecież istotną rolę we wszystkich fazach konstruowania systemu kształcenia" (s. 13).

Józef Brynkus

Iwona Wendreńska, *Dydaktyka ogólna jako przedmiot kształcenia nauczycieli w Drugiej Rzeczypospolitej (1918–1939)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2003

Przemiany zachodzące w polskiej oświacie na przestrzeni ostatnich kilku lat, związane z wprowadzaną reformą, dają impuls do podejmowania dyskusji nad kondycją polskiej edukacji szkolnej oraz przemodelowaniem tendencji edukacyjnych. Krytyce podlega także dotychczasowy model kształcenia nauczycieli, który często uznawany jest za niewystarczający, oparty na wiedzy teoretycznej bez koniecznych odniesień praktycznych. Zasadne wydaje się więc podejmowanie badań nad przemianami zachodzącymi w dydaktyce ogólnej dla lepszego zrozumienia współczesnej teorii i praktyki dydaktycznej.

Autorka monografii *Dydaktyka ogólna jako przedmiot kształcenia nauczycieli w Drugiej Rzeczypospolitej (1918-1939)*, podjęła się opisania przemian zachodzących w dydaktyce okresu międzywojennego. W swych działaniach naukowych badaczka skupiła się na rozwiązaniu problemów dotyczących: realizacji dydaktyki ogólnej jako przedmiotu kształcenia nauczycieli na ziemiach polskich na przełomie XIX i XX wieku, uwarunkowań realizacji badanego przedmiotu w dwudziestoleciu międzywojennym, a także miejsca, roli i zadań dydaktyki w kształceniu pedagogicznym nauczycieli w tym okresie.

Aby zrealizować postawione sobie cele i rozwiązać problemy badawcze, Iwona Wendreńska korzystała z różnorakich źródeł i opracowań. Wśród nich ważną pozycję zajmują archiwalia, takie jak plany pracy szkół dla nauczycieli czy zestawienia dotyczące ich pracy, znajdujące się w archiwach. W książce tej zostały również wykorzystane różnego rodzaju źródła drukowane: programy nauczania, podręczniki do nauczania dydaktyki, poradniki, kroniki uniwersyteckie, lecz nie tylko. Wśród opracowanej literatury nie brakło także monografii dotyczących kształcenia nauczycieli w badanym okresie historycznym, prac dotyczących polityki oświatowej czy popularnych periodyków pedagogicznych, wychodzących w Polsce w latach dwudziestych i trzydziestych XX w.

Monografia składa się z czterech rozdziałów, w których autorka przyjęła problemowo-chronologiczny układ rozważań. Rozdział I dotyczy realizacji dydaktyki ogólnej jako przedmiotu kształcenia nauczycieli w poszczególnych zaborach na przełomie XIX i XX w. Z przeprowadzonych badań wynika, że dydaktyka jako odrębny przedmiot została wprowadzona najwcześniej w galicyjskich seminariach nauczycielskich. Ustalono, że treści programów nauczania i ich konstrukcja pozostawały pod silnymi wpływami poglądów Jana Fryderyka Herbarta. Autorka sporo uwagi poświęciła opisaniu i analizie używanych wówczas podręczników do dydaktyki, programom nauczania a także zaangażowaniu w proces kształcenia nowych, czynnych zawodowo kadr nauczycieli szkół średnich (w Galicji).

Drugi rozdział dotyczy kształtowania się dydaktyki ogólnej rozumianej jako przedmiot nauczania w odrodzonej Polsce. Autorka zwraca uwagę na rozwój dydaktyki jako nauki, która w kraju, mimo opóźnień spowodowanych zaborami, szybko osiągnęła poziom europejski. Podkreśla zmiany zachodzące w obrębie celów kształcenia nauczycieli, będące konsekwencjami sytuacji politycznej, społecznej czy oświatowej omawianego okresu. Ukazuje również dwutorowość kształcenia nauczycieli w omawianym okresie, polegającą na dbaniu o organizację instytucjonalnych form kształcenia kandydatów do zawodu, a także na organizowaniu kursów umożliwiających czynnym nauczycielom podniesienie kwalifikacji. Autorka zwraca uwagę na rozwój czasopiśmiennictwa pedagogicznego oraz ukazanie się ważnych dla rozwoju nauki wydawnictw encyklopedycznych prezentujących stan ówczesnej wiedzy dydaktycznej i pedagogicznej, zarówno w Polsce, jak i za granicą.

W rozdziale trzecim autorka podejmuje próbę analizy podobieństw i różnic między instytucjami kształcącymi nauczycieli. Stara się również ustalić, jaką rolę odgrywa dydaktyka ogólna na tle przedmiotów pedagogicznych w poszczególnych szkołach. Podkreśla, iż zakłady kształcące nauczycieli czynnie uczestniczyły w tworzeniu teorii dydaktycznych oraz wdrażały praktycznie ich osiągnięcia. Na podstawie analizy źródeł, badaczka wykazała, że na plan pierwszy wysuwały się sposoby i formy pracy sprzyjające kształtowaniu aktywności poznawczej, ale zalecano również stosowanie metod aktywizujących ucznia.

Rozdział czwarty jest próbą połączenia rozważań dotyczących dydaktyki ogólnej Drugiej Rzeczypospolitej ze współczesnością. Autorka stwierdza, że tworząc współczesne propozycje kształcenia nauczycieli, można z powodzeniem odwoływać się do tradycji dydaktyki okresu międzywojennego. Stara się odnaleźć w dorobku dydaktyki ogólnej inspirację i odniesienia do współczesnego kształcenia dydaktycznego nauczycieli. Iwona Wendreńska uważa, że warto odwoływać się do znakomitych podręczników dydaktyki międzywojennej, a także korzystać z bogatych doświadczeń instytucjonalnych form kształcenia nauczycieli.

Autorka widzi możliwości czerpania z doświadczeń dydaktyki przedwojennej dla urozmaicenia i wzbogacenia dydaktyki współczesnej. Korzystając z przedwojennych wzorów, Iwona Wendreńska zachęca do korzystania w trakcie zajęć dydaktycznych z różnorodnych form i metod pracy, a także do wymiany doświadczeń nauczycieli prowadzących zajęcia z tego przedmiotu z kadrą naukową uczelni kształtujących nauczycieli.

Autorka wskazuje również kierunki dalszych działań badawczych na polu poznania dydaktyki

ogólnej, choćby prowadzących do pełnego poznania rozwoju tej nauki w okresie powojennym, co zapewne rozszerzyłoby pole ocen i porównań.

Prezentowana monografia autorstwa Iwony Wendreńskiej dotyczy niezbyt lubianej i popularnej dziedziny wiedzy, jaką jest dydaktyka ogólna, będąca podstawą dydaktyk przedmiotowych. Ze względu na próbę połączenia doświadczeń dydaktyki z okresu międzywojennego z sugerowanymi inspiracjami dla dydaktyki współczesnej, okazuje się nauką ciekawą. Ciągłość i zmienność nadaje jej charakter uniwersalny, z którego mogą czerpać współcześni nauczyciele.

Lucyna Kudła

Liliana Majda

Ksiądz Antonio Marini

Neapolitański jakobin i jego biblioteka

Andrzej Dróżdż w pracy naukowej skupia uwagę na historii książki i bibliotek, teorii książki, historii literatury oświeceniowej, a także - na historii wychowania i hermeneutyce. W jego dorobku, obok publikacji w języku polskim, odnaleźć można prace pisane po włosku. Autor jest bowiem stypendystą Collegio Borromeo w Pavii, Instytutu Polskiego Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie, Fundacji L. Einaudi w Turynie oraz Instytuto per le Ricerche Educative w Neapolu i Instituto Italiano per gli Studi Filosofici, również w Neapolu.

Publikacja jest częścią dysertacji doktorskiej, napisanej pod kierunkiem dr hab. Krystyny Bednarskiej-Ruszajowej a obronionej w 1996 r. w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Autor książki skupił się na zbadaniu księgozbioru prywatnego księdza Antonio Mariniego (1749--1832), proboszcza z San Martino Yalle Caudina. Postać księdza, zwolennika idei republikańskich, została bardzo ciekawie scharakteryzowana na tle epoki (schyłku wieku XVIII) we Włoszech.

Książka została podzielona na cztery rozdziały. W pierwszym znalazło się omówienie czynników kulturowych i społecznych, które złożyły się na wzrost nastrojów antyklerykalnych i antyfeudalnych w południowych Włoszech w XVIII w. Drugi rozdział omawia losy Antonio Mariniego, jego poglądy i działalność „proboszcza-jakobina" (s. 32). W trzecim rozdziale Andrzej Dróżdż przedstawia analizę zawartości i spójności ideowej księgozbioru z występującymi w biografii ks. Mariniego wątkami o charakterze demokratycznym, natomiast ostatni rozdział autor poświęcił na wskazanie cech bibliofilskich omawianego księgozbioru, odróżniających go od typowych bibliotek prywatnych w tym okresie. Całość wzbogacono o aneks: *Księgozbiór ks. Antonia Mariniego w opracowaniu bibliograficznym,* który sporządzony został na podstawie źródeł archiwalnych i kwerendy przeprowadzonej w licznych bibliotekach włoskich przez autora książki.

Pozycja zawiera 40 ilustracji najciekawszych pozycji z biblioteki księdza Mariniego, zamieszczony jest w niej również *Indeks nazwisk.*

Na szczególne podkreślenie merytorycznej wartości pracy zasługują wyczerpujące przypisy, świadczące o ogromie materiału badawczego opracowanego przez Andrzeja Dróżdża oraz pozwalające czytelnikowi na uzupełnienie informacji zawartych w tekście.

Andrzej Dróżdż, *Książki i rewolucja. Ks. Antonio Marini - neapolitański jakobin i jego biblioteka*
Kraków 2004

Pierwszy rozdział: *Klimat myślowy i polityczny w Neapolu końca XVIII wieku,* wprowadza czytelnika w burzliwą historię Królestwa Obojga Sycylii - „tego największego (112 tys. km) i najludniejszego państwa na Półwyspie Apenińskim. Według spisu ludności z 1797 roku liczyło ono 4 959 770 mieszkańców,

z których niemal co dziesiąty mieszkał w stolicy, trzecim pod względem zaludnienia mieście w Europie - po Londynie i Paryżu. [...] Neapol w XVIII wieku był miastem podziwianym nie tylko z powodu swego uroku i wyrafinowanej kultury, ale także z racji ambitnych reform, którymi Karol Burbon (1716-1788) starał się podźwignąć swój naród z trwającego od wielu wieków cywilizacyjnego zastoju, spowodowanego dominacją baronów i Kościoła" (s. 12).

Kolejny rozdział to szczegółowa biografia księdza Mariniego - ściśle związana z historią Królestwa Obojga Sycylii. Urodzony w 1749 r. w Altavilli, w 1768 r. wstąpił do seminarium diecezjalnego w Benewencie, gdzie spędził osiem lat. Seminarium cieszyło się wówczas dobrą opinią, zwłaszcza dzięki cenionym profesorom, autorom kilku znaczących publikacji naukowych. W swojej dalszej drodze życiowej i duszpasterskiej Marini trafił do Gaetana Sanceza de Luny, który uczynił go nauczycielem i wychowawcą swojego syna. W 1789 r. Antonio Marini przeprowadził się do Montaguto, w odległej prowincji Kapitanata, gdzie objął posadę prałata w kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii del Carmine.

Jednakże jego dalsza działalność polityczno-społeczna (1789-1799) oraz czynny udział w walkach o Republikę Neapolitańską zaprowadziły go do więzienia. W konsekwencji: „24 grudnia 1799 roku ksiądz Marini został skazany na wygnanie" (s. 51). Po upadku Republiki Neapolitańskiej i podpisaniu pokoju w Luneville, w czerwcu 1800 r., nowy władca Ferdynand IV ogłosił amnestię dla wszystkich swoich poddanych, przebywających na wygnaniu. Ksiądz Antonio Marini przybył do Neapolu w styczniu 1803 r. i zamieszkał w klasztorze San Domenico Maggiore. Ostatnie lata życia spędził jako proboszcz w kolegiacie św. Jana Chrzciciela w San Martino Valle Caudina. Proboszcz Marini prowadził w swoim domu szkołę dla miejscowych dzieci i utrzymywał ją z własnych środków. Parafianie przychodzili, by korzystać z jego biblioteki - stąd popularyzowały się postępowe idee demokratyczne. Antonio Marini zmarł 9 grudnia 1832 r. Ten krótki rys biograficzny nie oddaje jednak w pełni sylwetki człowieka postępowego, działacza politycznego i jakobina. A zatem dopełnieniem może stać się analiza jego bogatej biblioteki.

Historyka książki może szczególnie zainteresować rozdział poświęcony księgozbiorowi księdza Mariniego. Andrzej Dróżdż szczegółowo opisał wygląd pomieszczenia służącego za bibliotekę, wygląd mebli, wyposażenia, narzędzi i przedmiotów wynikających z zainteresowań właściciela. Ksiądz Marini stworzył na swoje potrzeby katalog, w którym książki podzielone zostały na następujące działy: teologia i kaznodziejstwo, nauka i filozofia, historia i polityka oraz filologia i literatura piękna.

Księgozbiór ten został rozgrabiony w czasie powszechnej anarchii w 1799 r. Dzięki skrupulatnej dokumentacji sądowej można dzisiaj odtworzyć jego zawartość i pokusić się o próbę odpowiedzi na pytanie: jaką rolę kulturową odegrał księgozbiór w szerzeniu czytelnictwa i wiedzy w środowisku kleru neapolitańskiego II połowy wieku XVIII?

Pod koniec XVIII w. na prywatne zbiory pozwolić sobie mogli przedstawiciele szlachty, arystokracji, zamożniejsi adwokaci oraz księża. Według ustaleń Patrizii Viglio (włoskiej badaczki dziejów książki tego okresu), przeciętna biblioteka księdza w tym okresie liczyła 197 tytułów (s. 61). Liczba ta zmalała na początku XIX w. na skutek popularyzacji czytelnictwa i łatwiejszego dostępu do książek, spowodowanego obniżeniem kosztów produkcji. Książki przestały wówczas być cennymi przedmiotami wymagającymi notarialnego poświadczenia. Biorąc pod uwagę powyższe dane, bibliotekę Mariniego ze 107 tytułami bibliotecznymi można by uznać za typową dla ówczesnego kleru (zawierała ona 410 tytułów analitycznych wynikających z edycji dzieł zebranych w liczbie 412 woluminów). Różniła się od przeciętnej biblioteki prywatnej tamtych czasów tym, że kompletowana była w sposób przemyślany i celowy. Odzwierciedleniem zainteresowań i klimatu ideologicznego epoki było zgromadzenie dużej ilości dzieł z literatury pięknej, nauk ścisłych i filozofii, a mniej z zakresu teologii i filozofii.

Pozycje zawarte w dziale „Książki teologiczne" są odzwierciedleniem osobistych doświadczeń i poglądów społecznych księdza Mariniego. Dzieła teolo-

giczne i kaznodziejskie stanowiły 20,5% tytułów bibliotecznych. Całkowita wartość księgozbioru wyceniona przez księdza wyniosła 552 dukaty, z czego tylko kilkanaście wydał na pozycje religijne.

W dziale „Książki filozoficzne i matematyczne" znajdowało się 25 dzieł. Ten dział był najliczniejszy, obejmował 29,9% wszystkich tytułów, a to głównie dzięki wielotomowym dziełom zebranym Voltaire'a. Książki zebrane w tym dziale dowodzą zainteresowań empirycznych i utylitarystycznych księdza.

W kolejnym, trzecim dziale, „Książki historyczne i polityczne", znalazło się stosunkowo niewiele tytułów, co wynikało z trudności klasyfikacyjnych pozycji z różnych dziedzin wiedzy. W tym dziale znalazły się zarówno pozycje historyczne o tematyce biblijnej, dzieła na temat antycznej Grecji i Rzymu, dzieła z zakresu historii Francji, Anglii i Rosji, a także dzieje Kościoła.

Dział czwarty, „Książki filologiczne i literatura piękna", stanowiły 39% tytułów bibliotecznych i 61% tytułów analitycznych i były odzwierciedleniem upodobań literackich księdza Mariniego uformowanych pod wpływem Arkadii - stowarzyszenia poetów intelektualistów, powstałego pod koniec XVII w., które później przekształciło się w sieć towarzyskich instytucji kulturalnych z siedzibą w większych miastach Półwyspu Apenińskiego. Znalazły się tutaj dzieła Wergiliusza, Horacego, Cycerona czy Plutarcha. Oprócz cennej kolekcji książek ksiądz Marini posiadał zbiór antycznych medali i kolekcję specjalistycznych dzieł z zakresu numizmatyki.

Biblioteka księdza Mariniego miała charakter bibliofilski. Świadczy o tym zarówno treść gromadzonych książek, jak i logiczny podział na cztery działy. Każdy zakup był przemyślany i zaplanowany. Tworzenie takiego typu bibliotek było aktem odwagi i wymagało dużych wyrzeczeń finansowych. W epoce księdza Mariniego prawo kanoniczne oraz przepisy cenzury kościelnej regulowały kwestię dzieł literackich i filozoficznych, klątwa groziła nie tylko autorom dzieł antykościelnych, ale również tym, którzy te książki czytali i gromadzili. Marini biegle znał język francuski i prócz dzieł wydawanych po łacinie zgromadził wiele pozycji wydanych we Francji i Szwajcarii w języku francuskim. W zbiorze można zauważyć prawie równy podział, jeżeli chodzi o stosunek autorów antycznych, włoskich i francuskich, przy jednoczesnym zachowaniu proporcji językowych. W bibliotece nie brakło tytułów z zakresu medycyny, prawa i argonomii. Po grabieży zachowały się 54 książki szkolne i rękopisy służące księdzu do nauczania (pozostawione przez złodziei prawdopodobnie ze względu na ich małą wartość). Ksiądz kupował książki u neapolitańskich księgarzy i agentów handlowych dokładnie notując ich ceny. Inną cechą księgozbioru Mariniego była duża ilość występujących w nim dzieł zebranych, niekiedy nawet w kilku różnych edycjach. Wiele z nich ksiądz Marini nabywał tylko ze względu na wysoką wartość edytorską i drukarską, często zaopatrywał się w dzieła w znanych oficynach wydawniczych, również zagranicznych. Księgozbiór księdza Mariniego był kolekcją książek zaadresowanych do czytelnika wykształconego, dociekliwego, myślącego i odznaczającego się wyrafinowanym gustem literackim.

Cel, jaki A. Drożdż przyjął w pracy - czyli przybliżenie postaci znakomitego bibliofila, intelektualisty i patrioty, podkreślenie roli książek w popularyzacji idei społecznych, prądów naukowych, filozoficznych i literackich - został przez autora osiągnięty. Książka ta jest cennym źródłem informacji dla badaczy książki i historii Włoch końca XVIII i początku XIX w.

Liliana Majda

Prasa Krakowa w dekadzie przemian 1989–1998

Praca jest monografią krakowskiego ośrodka prasowego w latach 1989–1998. Szczególny akcent położono na wyeksponowanie aspektów rynkowych i kulturowych oraz ukazano związki z życiem politycznym i relacje pomiędzy prasą a otoczeniem instytucjonalnym i społecznym. W pracy omówiono także krakowskie instytucje kulturalne, edukacyjne i naukowe, środowiska literackie i artystyczne, partie polityczne i scenę samorządową oraz lokalne życie religijne.

Krakowski ośrodek prasowy z wielu względów zasługuje na monografię, ponieważ jest niekwestionowaną kolebką polskiej prasy (w 1661 r. ukazała się pierwsza polska gazeta – „Merkuriusz Polski"), jak również, a może przede wszystkim, dlatego, że Kraków jest największym w kraju regionalnym centrum wydawniczym.

Szczególnie interesujący w rozwoju krakowskiej prasy był okres ostatniej dekady XX w., czyli czas transformacji ustrojowej. W okresie tym prasa zmieniła się radykalnie. Wraz z likwidacją cenzury i skierowaniem mediów na tory liberalne prasa wróciła do swej podstawowej roli – znów stała się w równej mierze podmiotem i przedmiotem zdarzeń. Zakres zmian najlepiej obrazują liczby. W ostatniej dekadzie XX wieku nastąpił skok ilościowy: drukowano tu aż 1383 czasopisma (czyli ponad 8% krajowej oferty). Ukazywało się 11 gazet, 133 pism społeczno-politycznych, 129 periodyków kulturalnych, 214 pism religijnych i 85 gazetek sublokalnych (w tym samorządowych), a obraz dopełniała bogata oferta pism naukowych i fachowych – 514 tytułów. Warto dodać, że wiele tytułów promieniowało na cały kraj. Taki charakter miały bez wątpienia „Tygodnik Powszechny" i „Przekrój", a także periodyki literackie, takie jak: „bruLion" i „NaGłos", które weszły na stałe do podręczników historii literatury.

Publikacja jest adresowana do szerokiego grona czytelników zainteresowanych problematyką krakowską, zarówno profesjonalistów, jak i uczniów i studentów. Warto dodać, że podjęta problematyka nie doczekała się jak dotychczas żadnej książki; równie słabo reprezentowane są też inne dziedziny (polityka, literatura, kultura, nauka, religia), które omówiono w kontekście mediów. Niniejsza publikacja może wypełnić tę dotkliwą lukę.

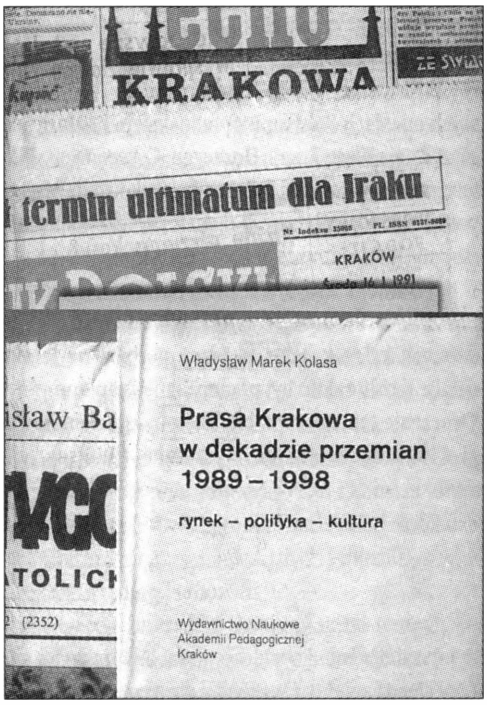

Fragmenty opinii recenzentów:

„[...] Książkę Władysława Marka Kolasy traktować można jako budzącą zaufanie syntezę całego dorobku nauki polskiej, jeśli chodzi o losy gazet i czasopism w Krakowie lat dziewięćdziesiątych. Sięgnie do niej każdy, kto zainteresuje się współczesnymi mediami krakowskimi, choćby po pomoc bibliograficzną czy faktograficzną, i prawdopodobnie nie zawiedzie się, a w dotarciu do poszukiwanej informacji pomogą mu obszerne indeksy [...]"

Prof. dr hab. Walery Pisarek (OBP UJ)

„[...] W tej pracy znaleźć można wszystko o prasie Krakowa opisywanej dekady [...] Trudno o jakieś przykłady pominięć, a już zwłaszcza materiał zawarty w samej prasie został wykorzystany perfekcyjnie. Nadto wykorzystał autor wszystkie dostępne (i niektóre formalnie niedostępne) źródła, w tym ekspertyzy i oceny, a także relacje ludzi prasy krakowskiej. Zna doskonale literaturę przedmiotu, a nade wszystko musiał mieć w ręku wszystkie tytuły i numery gazet i czasopism, które się w omawianej dekadzie ukazywały. Jestem przekonany, że książka wzbudzi duże zainteresowanie zwłaszcza w środowisku prasoznawczym, ale także w krakowskiej prasie, którą tak wszechstronnie charakteryzuje [...]"

Prof. dr hab. Jerzy Myśliński (IBL PAN)

Prasa Krakowa w dekadzie przemian 1989–1998. Rynek-polityka-kultura. Kraków. Wydaw. Naukowe AP, 2004, 475 s.

Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej

przedstawia Jolanta Grzegorzek

ul. Studencka 5
31-116 Kraków
tel./fax (012) 430-09-83
tel. (012) 662-67-56
http://www.wydawnictwoap.pl
e-mail: redakcja@wydawnictwoap.pl

BOGUSŁAW KRASNOWOLSKI
Instytut Sztuki

Lokacyjne układy urbanistyczne na obszarze Ziemi Krakowskiej w XIII i XIV wieku
Cz. I. Miasta Ziemi Krakowskiej, chronologia procesów osadniczych i typologia układów urbanistycznych;
Cz. II. Katalog lokacyjnych układów urbanistycznych

Praca jest niewątpliwie życiowym osiągnięciem Autora, jako podsumowanie i obszerne rozwinięcie jego badań nad urbanistyką małopolskich miast prowadzonych od blisko 30 lat. Otrzymaliśmy materiał obszerny, nie tylko podsumowujący dotychczasowy stan wiedzy, lecz znacznie ten stan poszerzający.

Tadeusz Chrzanowski

Pierwsze tego typu kompleksowe opracowanie procesów urbanistycznych średniowiecznej Małopolski obejmujące 65 układów miejskich. Oparte na szczegółowych analizach lokacyjnych układów skonfrontowanych ze skrupulatnie zebranymi, szeroko pojętymi źródłami pisemnymi i architektonicznymi. Starannie zgromadzony i zinterpretowany materiał analityczny, uzupełniony bogatą literaturą przedmiotu, ukazuje polityczne, społeczne, kulturowe i artystyczne aspekty procesów osadniczych.

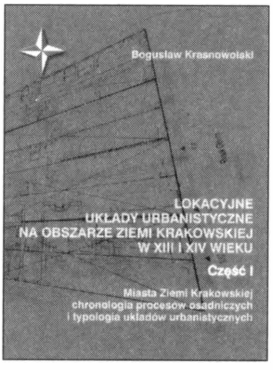

ZAWARTOŚĆ: cz. I: I. Zakres tematu i metoda badawcza, II. Stan badań, III. Charakterystyka i krytyka źródeł, IV. Urbanizacja średniowiecznej Małopolski jako problem polityczny, społeczny, gospodarczy, ideowy i artystyczny, V. Średniowieczny zespół miejski Krakowa jako cykl przekształceń urbanistycznych, VI. Typologia i konstrukcja układów lokacyjnych, VII. Podsumowanie: miejsce Ziemi Krakowskiej w urbanizacji Europy Środkowej

ZAKRES TEMATYCZNY: historia, historia sztuki, urbanistyka

Prace Monograficzne nr 386, format B5, 240 s. (cz. I), 444 s. (cz. II)

JACEK CHROBACZYŃSKI, WŁADYSŁAW KRUCZEK
Instytut Historii

Nauczyciele małopolscy. Portret zbiorowy 1939–1945

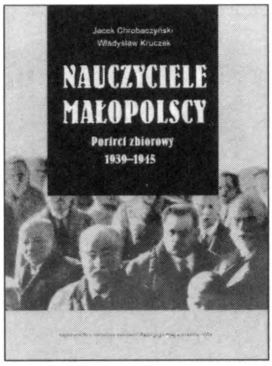

Portret nauczycielstwa małopolskiego z lat 1939–1945, czyli zbiorowa biografia tegoż pokolenia nauczycieli, wyłożona na kartach książki, jest lekturą pasjonującą, a zarazem ważną społecznie. Autorzy ukazali nie tylko realistyczny obraz nauczycieli i ich działalność w warunkach okupacji, ale także rozprawili się z wieloma mitami funkcjonującymi w dotychczasowej literaturze przedmiotu.

Jan Draus, Uniwersytet Rzeszowski

Książka stanowi efekt studiów z zakresu biografistyki nauczycieli małopolskich. W poszczególnych rozdziałach Autorzy przedstawiają pola aktywności nauczycielstwa w latach wojny i okupacji dopełniając je problematyką rodowodów nauczycielskich, martyrologii oraz ważnego okresu przełomu lat 1944-45. Całość stanowi syntezę okupacyjnych i konspiracyjnych dziejów szkolnictwa wraz z nakreślonym portretem zbiorowym stanu nauczycielskiego.

ZAWARTOŚĆ: I. Dylematy metodologiczne; II. Nauczycielskie rodowody; III. Wrześniowy dramat; IV. Polityka i praktyka okupacyjna. Nauczyciele w szkolnictwie jawnym; V. Nauczyciele tajnej szkoły; VI. Okupacyjna i konspiracyjna dydaktyka oraz wychowanie. Nauczyciel i uczeń. Okupacji dzień powszedni; VII. Martyrologia nauczycieli; VIII. Środowisko nauczycielskie w okresie przełomu (1944–1945)

ZAKRES TEMATYCZNY: historia Polski, historia oświaty, biografie

Prace Monograficzne nr 389, format B5, 354 s.

JACEK CHROBACZYŃSKI, PIOTR TROJAŃSKI (RED.)
Instytut Historii

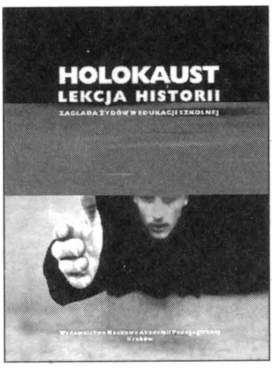

Holokaust – lekcja historii. Zagłada Żydów w edukacji szkolnej

Książka jest efektem kilku ważnych naukowych konferencji, nauczycielskich spotkań i warsztatów. Autorzy pragną, aby stała się ona ważną pozycją nie tylko w nauczaniu, nie tylko w wychowaniu i budowaniu świadomości oraz tolerancji, ale by dotarła do wszystkich, którym trauma Zagłady nie pozwala spokojnie żyć.

ZAWARTOŚĆ: 1. Wybrane problemy badawcze, 2. Próby interpretacji, 3. Doświadczenia międzynarodowe, 4. W praktyce szkolnej, 5. Propozycje rozwiązań metodycznych, 6. Wspomnienia

ZAKRES TEMATYCZNY: historia, oświata, wspomnienia

format B5, 344 s.

TOMASZ FALĘCKI (RED.)
Instytut Politologii

Skąd przychodzi Antychryst?
Kontakty i konflikty etniczne w Europie Środkowej i Południowej. Fakty – interpretacje – refleksje

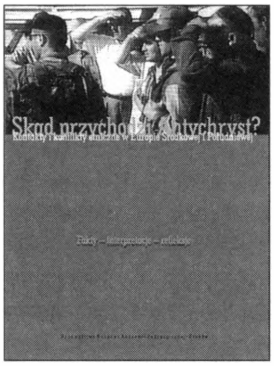

Wielość interesująco przedstawionych problemów sama w sobie jest „bogactwem" pracy, zmusza do refleksji dając przedstawicielom jednej gałęzi nauki możliwość zapoznania się z osiągnięciami innych dyscyplin na niwie przedstawienia różnych elementów składających się na etniczny obraz XX-wiecznej Europy.

Przemysław Hauser, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań

Publikacja o charakterze interdyscyplinarnym; stanowi plon konferencji dotyczącej problemów narodowościowych i etnicznych na różnych obszarach Europy Środkowej i Południowej ukazanych w skali mikro i makro. Tytułowy Antychryst to znane z przeszłości upiory ksenofobii i nietolerancji wobec odmiennych zjawisk kulturowych, przejawy rasizmu i zwykłego kołtuństwa.

ZAWARTOŚĆ: I. Konflikt międzyetniczny i międzykulturowy. Ogólne uwarunkowania; II. Stereotypy i klisze. Ich geneza, trwanie i przezwyciężanie; III. Na styku kulturowym i styku interesów; IV. Mniejszość i większość etniczna – wzajemne relacje

ZAKRES TEMATYCZNY: historia powszechna, nauki polityczne, etnologia, kulturoznawstwo, socjologia, ekonomia, filozofia

format B5, 374 s.

TADEUSZ ŚLĘZAK, MICHAŁ ŚLIWA (RED.)
Instytut Politologii

Polska lewica w XX wieku.
Historia – ludzie – idee

Dobrze się stało, że książka ukazuje się właśnie teraz, w okresie zauważalnego kryzysu polskiej lewicy, w czasach, gdy badania nad jej dziejami zostały bardzo zaniedbane, a niektórzy historycy i media nadali pojęciu lewicowości odcień negatywny. Pomaga bowiem zrozumieć polską rzeczywistość ostatnich stu lat i pokazuje, jakie miejsce zajmowała w niej lewica.

Andrzej Andrusiewicz, Uniwersytet Rzeszowski

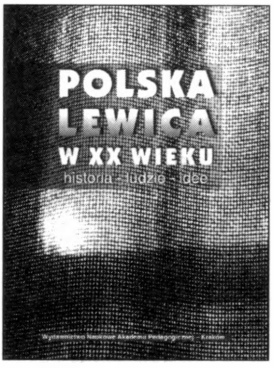

Tom prezentuje najnowszy stan badań na temat przeszłości polskiej lewicy i jej aktualnych problemów, a także formułuje postulaty badawcze w tym zakresie. Chronologiczno-problemowy układ umożliwia poznanie dynamiki zjawisk i procesów, rozwoju form organizacyjnych lewicy, koncepcji ideowych i politycznych, ciągłości tradycji, przy tym znacznie ułatwia czytelnikowi lekturę tego obszernego dzieła, stanowiącego pokłosie międzynarodowej konferencji naukowej.

AUTORZY ARTYKUŁÓW (wybór): K. Gunin-Wąsowicz, M. Śliwa, H. Sekuła-Kwaśniewicz, W.W. Jaworski, K. Urbański, S. Kilian, K. Łabędź, A.Sebesta, E. Fogelzang-Adler

ZAKRES TEMATYCZNY: historia Polski, historia powszechna, historia idei, politologia

format B5, twarda oprawa, 456 s.

LUDWIK MROCZKA (OPRAC.)
Instytut Historii

Radziwiłłowski Inwentarz dóbr hrabstwa żmigrodzkiego i starostwa osieckiego 1758–1766

Cenny materiał źródłowy do dziejów gospodarczych Rzeczypospolitej nowożytnej. Obszerny inwentarz dóbr podgórskich Radziwiłłów położony w Beskidzie Niskim nad granicą węgierską, jest niezwykle interesujący i wartościowy dla wielorakich badań nad dziejami wsi i małych miasteczek małopolskich u schyłku czasów przedrozbiorowych.

Zawartość: Wstęp, Opisanie dworu żmigrodzkiego, Inwentarz starostwa osieckiego, Accesoria, Obora in anno 1760 zostawiona, Sumariusz dokumentów, Deces, Znaczenie użytych w tekście słów i zwrotów łacińskich

Zakres tematyczny: teksty źródłowe, historia Polski, etnografia

format A4, 112 s.

RENATA DŹWIGOŁ
Instytut Filologii Polskiej

Polskie ludowe słownictwo mitologiczne

Jest to pierwsza tego typu rzecz w literaturze językoznawczej dająca wyobrażenie o świecie ludowej demonologii, a więc temacie interesującym nie tylko dla językoznawców czy specjalistów etno- i kulturoznawców, ale i dla przeciętnego czytelnika.
Maria Wojtyła-Świerzowska, Polska Akademia Nauk

Autorka zajęła się nazwami istot mitycznych odnotowanymi w XIX- i XX-wiecznych zbiorach polskiego słownictwa ludowego i w różnego rodzaju opracowaniach (także etnograficznych) z tego okresu.

Zawartość: I. Nazwy demonów domowych; II. Nazwy demona śmierci; III. Nazwy demonów chorób epidemicznych; IV. Nazwy uroku – przyczyny choroby oraz choroby; V. Nazwy osób zajmujących się leczeniem; VI. Nazwy zmory; VII. Nazwy upiora; VIII. Nazwy czarownicy; IX. Nazwy demona zła – diabła; X. Nazwy demonów polnych i zbożowych; XI. Nazwy demonów leśnych; XII. Nazwy demonów wodnych i brzegowych

Zakres tematyczny: językoznawstwo, kulturoznawstwo, etnoznawstwo

Prace Monograficzne nr 372, format B5, 372 s.

JERZY WALIGÓRA
Instytut Filologii Polskiej

Młodopolski „dramat wewnętrzny".
Przejawy podmiotowości i subiektywizacji w wybranych utworach dramatycznych

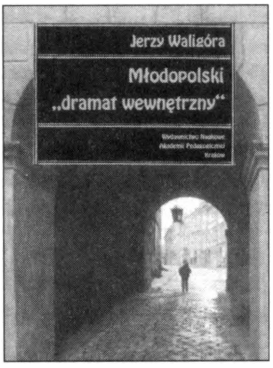

Autor rozprawy imponuje znajomością literatury teoretycznej. Przejawia niewątpliwie zdolność wysupływania problemów ważnych, godnych szczegółowych badań. Połączenie pietyzmu faktograficznego z umiejętnością dostrzegania w konkretnej tkance tekstu dramatycznego przejawów podmiotowości i subiektywności pozwala wyznaczyć jedną z dróg rozwoju polskiego dramatu.

Eleonora Udalska, Uniwersytet Śląski

Praca ma charakter analityczny i interpretacyjny. Autor dokonał w niej operacjonalizacji pojęcia „dramat wewnętrzny", zatrzymując się przede wszystkim na wybranych przejawach podmiotowości i subiektywizacji, określających najmocniej ten rodzaj dramatu, a ponadto dał cały szereg przykładów jego realizacji i rozmaitych wariantów odnoszących się do przedstawionego wzorca.

ZAWARTOŚĆ: I. Preliminaria; II. Dyskurs dramatyczny; III. Postaci w „dramacie wewnętrznym"; IV. Wizja, czas i przestrzeń

ZAKRES TEMATYCZNY: teoria literatury, historia literatury polskiej, krytyka literacka

Prace Monograficzne nr 401, format A5

WŁADYSŁAW MAREK KOLASA
Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa

Prasa Krakowa w dekadzie przemian 1989–1998.
Rynek – polityka – kultura

Monografia stanowi syntezę całego dorobku nauki polskiej, jeśli chodzi o losy gazet i czasopism w Krakowie lat dziewięćdziesiątych. W wyniku przeprowadzonych kwerend Autor ustalił i uwzględnił w opisie 1383 gazety i czasopisma ukazujące się w Krakowie.

ZAWARTOŚĆ: 1. Uwarunkowania i tło procesu transformacji; 2. Transformacja krakowskiej prasy codziennej; 3. Prasa społeczno-polityczna; 4. Prasa kulturalna; 5. Prasa katolicka; 6. Czasopisma naukowe, fachowe i popularnonaukowe; 7. Wybrane grupy popularnych czasopism treści specjalnej; 8. Prasa sublokalna

ZAKRES TEMATYCZNY: prasoznawstwo, czasopiśmiennictwo, historia

Prace Monograficzne nr 393, format B5

MIROSŁAW J. SZYMAŃSKI
Instytut Nauk o Wychowaniu

W poszukiwaniu drogi. Szanse i problemy edukacji w Polsce

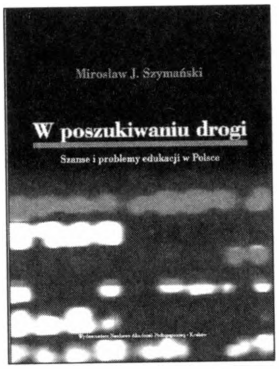

Książka jest cennym źródłem wiedzy dla decydentów oświatowych i pedagogów pracujących w instytucjach akademickich – jednych i drugich nierzadko oderwanych od praktyki życia codziennego przeciętnego nauczyciela. Skorzystać z niej może wszakże sam nauczyciel, któremu Autor przedkłada ważne, rzec można nawet priorytetowe kwestie związane z aktualnie wprowadzaną reformą edukacji.

Maria Dudzikowa, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań

Zbiór tekstów pisanych „na gorąco" w reakcji na różne sytuacje i wydarzenia w polskiej oświacie. Powstawały one w ciągu ostatnich kilku lat. Były treścią referatów na różnych konferencjach, znajdowały miejsce bądź to w publikacjach zbiorowych, bądź też w czasopismach. W sumie stanowią swoisty dokument czasu przełomu stuleci.

ZAWARTOŚĆ: I. Studia i szkice: Edukacyjne wyzwania globalizacji; W kręgu edukacyjnych wyzwań teraźniejszości i przyszłości; Szkoła i nauczyciel w okresie przemian społecznych; Rodzina i szkoła w procesie gwałtownej zmiany społecznej; Młodzież w perspektywie dalszego życia i pracy zawodowej; Problemy demograficzne w szkolnictwie; Nieegalitarność pedagogiki i egalitarnej polityki oświatowej; Edukacja – droga reprodukcji społecznej czy emancypacji człowieka; Wolność i równość w edukacji; Kwestia równego startu w perspektywie reformy oświaty; Reforma systemu edukacji – próba wyrównania szans młodego pokolenia; Gimnazjum – rok trzeci. Osiągnięcia, problemy, znaki zapytania; Wartości uczniów, ich rodziców i nauczycieli; Nauczyciel akademicki – mistrz, przewodnik czy partner studentów; Śmiech w szkole; II. Komentarze

ZAKRES TEMATYCZNY: pedagogika, szkolnictwo, oświata

Prace Monograficzne nr 390, format B5, 208 s.

TADEUSZ LEWOWICKI, MIROSŁAW J. SZYMAŃSKI (RED.)
ROMA KWIECIŃSKA, STANISŁAW KOWAL (WSPÓŁPR.)
Instytut Nauk o Wychowaniu

Nauki pedagogiczne w Polsce.
Dokonania, problemy, współczesne zadania, perspektywy

Tom wydany z okazji 50-lecia Komitetu Nauk Pedagogicznych Polskiej Akademii Nauk. Składa się z trzech rozdziałów. Zawiera refleksje nad stanem pedagogiki, jej perspektywami, zadaniami i użytecznością praktyczną w warunkach społecznych XXI wieku.

ZAWARTOŚĆ: Humanistyka – kultura – myśl pedagogiczna; Pedagogika wobec lokalnych, regionalnych i globalnych kontekstów społecznych, ekonomicznych, gospodarczych i politycznych; Pedagogika a edukacja – nauczyciel i oświata

ZAKRES TEMATYCZNY: pedagogika, oświata, szkolnictwo

format B5, 376 s.

ANDRZEJ RYK
Instytut Nauk o Wychowaniu

Pokolenie zmiany.
Studium porównawcze wartości i perspektyw życiowych młodzieży włoskiej i polskiej

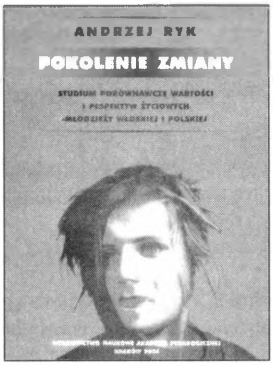

Na tle jeszcze dość nikłego i powierzchownego dorobku polskich badań nad problematyką transformacji ustrojowej w Polsce po 1989 roku na płaszczyźnie aksjologicznej, a zwłaszcza badań porównawczych w skali międzynarodowej, praca ta stanowi ważny krok w kierunku rozpoznania kondycji aksjologicznej pokolenia Polaków.
Janusz Mariański, Katolicki Uniwersytet Lubelski

Książka dotyczy ważnego problemu wartości wyznawanych przez współczesne młode pokolenie oraz perspektyw, jakie ono ma i łączy ze swoją przyszłością. Podejmuje próbę odpowiedzi na pytania, jaki jest system wartości młodzieży polskiej i włoskiej, jakie są jej perspektywy życiowe, jakie są podobieństwa i różnice w preferowanych wartościach, podejmowanych decyzjach, przyjmowanych postawach i zachowaniach młodych Polaków i Włochów. Autor wskazuje efekty procesów socjalizacji i wychowania młodego pokolenia Polaków w warunkach szybkich zmian społecznych z uwzględnieniem szerszego układu – kontekstu międzynarodowego.

Zawartość: Rozumienie pojęcia „wartość"; Wybrane badania nad młodzieżą polską; Młodzież włoska w świetle badań; Metodologiczne podstawy badań własnych; Prezentacja wyników badań własnych

Zakres tematyczny: pedagogika, socjologia

Prace Monograficzne nr 380, format B5, 160 s.

BOŻENA MUCHACKA, KRZYSZTOF KRASZEWSKI (RED.)
Instytut Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej

Kształcenie nauczycieli przedszkoli i klas początkowych w okresie przemian edukacyjnych

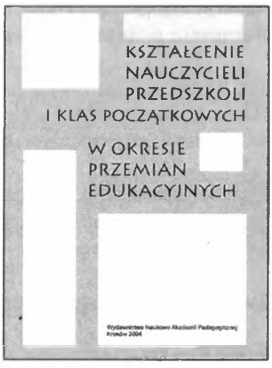

W kształceniu nauczycieli ważne jest wyposażenie ich w kompetencje składające się z umiejętności, wiedzy, dyspozycji i postaw niezbędnych do skutecznej realizacji zadań wynikających z przyjętej koncepcji pedagogicznej. W publikacji zaprezentowano wyniki naukowej dyskusji na ten temat, w której wzięli udział pracownicy Akademii Pedagogicznej oraz nauczyciele akademiccy z ośrodków zagranicznych.

Zawartość: Teoretyczne aspekty przygotowania zawodowego nauczycieli przedszkoli i klas I–III; Kompetencje w zakresie wybranych dziedzin edukacji

Zakres tematyczny: pedagogika, pedeutologia, oświata, szkolnictwo

format A5, 234 s.

HELENA SIWEK
Instytut Matematyki

Kształcenie zintegrowane na etapie wczesnoszkolnym.
Rola edukacji matematycznej

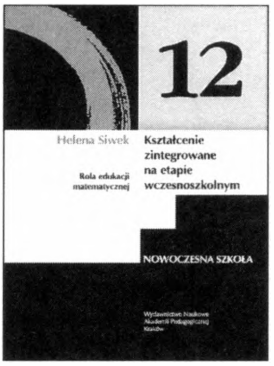

To, co proponuje Autorka, jest w pełni dojrzałą, w pełni dopracowaną koncepcją kształcenia zintegrowanego w zastosowaniu do nauczania początkowego matematyki. Praca jest doskonałym środkiem dydaktycznym, który umożliwi nauczycielom klas I–III zrozumieć i zrealizować w praktyce szkolnej koncepcję kształcenia zintegrowanego w procesie edukacji matematycznej.

Henryk Moroz, Uniwersytet Śląski

Książka ma pomóc w przygotowaniu studentów do nowoczesnego nauczania, przekonać już pracujących nauczycieli do zmian, przyczynić się do kształtowania postaw charakterystycznych dla refleksyjnego praktyka uwzględniającego możliwości uczniów i otwartego na jego potrzeby. Jest ona uwieńczeniem doświadczeń Autorki wyniesionych z badań diagnozujących możliwości matematyczne dzieci, wykorzystuje rozproszone teksty, które opublikowała ona w książkach, czasopismach i materiałach pokonferencyjnych.

ZAWARTOŚĆ: I. Kształcenie zintegrowane i kształcenie matematyczne; II. Główne strategie w kształceniu zintegrowanym ukierunkowanym na myślenie logiczne i matematyczne; III. Teorie psychopedagogiczne w służbie praktyki; IV. Czynnościowe opracowanie liczby naturalnej, działań, własności i rachunków w kształceniu zintegrowanym; V. Od ujęcia integralnego do ujęcia przedmiotowego. Zastosowania teorii i wyników badań dydaktycznych; VI. Zasada wyprzedzania A.Z. Krygowskiej. Budowanie kolejnych pięter abstrakcji arytmetycznych i geometrycznych

ZAKRES TEMATYCZNY: dydaktyka matematyki, pedagogika

Nowoczesna Szkoła nr 12, format A5

Ponadto ukazały się:

LESZEK BEDNARCZUK, EDWARD STACHURSKI, TADEUSZ SZYMAŃSKI (RED.)
Studia Linguistica II
Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis 19, 556 s.

BOLESŁAW FARON (RED.)
Studia Historicolitteraria IV
Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis 20, 272 s.

FRANCISZEK LEŚNIAK, ZDZISŁAW NOGA, ANDRZEJ JURECZKO (RED.)
Studia Historica III
Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis 21, 504 s.

WŁADYSŁAW WIC (RED.)
Studia Politologica II
Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis 22, 292 s.

ART$_{OZ}$ fragment instalacji *Arkadia* - *ART*$_{OZ}$ 2004

ART$_{JAZZ}$ fragment instalacji z cyklu *Arkadia* 2004

Barbara Zambrzycka-Śliwa *Skąd jesteśmy* Fragment rzeźby upamiętniającej wejście Polski do UE. Austria 2004